

MICK CONEFREY

Duchy K2

Epicka historia
zdobycia szczytu

*K2. Góra, która nie ma imienia.
Góra, która nie zna litości!*



Mick Conefrey

Duchy K2

Historia podboju

Tytuł oryginału: The Ghosts of K2: The Epic Saga of the First Ascent

Tłumaczenie: Krzysztof Krzyżanowski

ISBN: 978-83-283-5510-1

Copyright © 2015, Mick Conefrey

All rights reserved.

Polish edition copyright © 2019 by Helion SA

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Helion SA dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Helion SA nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Alinari Archives / Getty Images

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

WWW: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

http://bezdroza.pl/user/opinie/duchyk_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

- [Poleć książkę](#)

- [Kup w wersji papierowej](#)
 - [Oceń książkę](#)
-
- [Księgarnia internetowa](#)
 - [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

Dla Michaela F.

Wstęp

Góra, która nie ma nazwy

Na niewielkim wzniesieniu, niedaleko ogromnej góry na granicy Pakistanu i Chin, znajduje się wyjątkowy monument — kamienny kopiec wysoki na jakieś trzy metry. Został usypany w 1953 r., by upamiętnić śmierć młodego, amerykańskiego wspinacza, Arta Gilkeya. W ciągu kolejnych dziesięcioleci ten kopiec zamienił się w symboliczny cmentarz wszystkich osób, które zginęły, próbując zdobyć K2.

Do kopca przymocowano wiele niedużych tabliczek. Można wśród nich znaleźć kilka gustownych, metalowych płytek ozdobionych wypukłymi napisami i odlanych wiele tysięcy kilometrów od K2, a potem przywiezionych tam przez przyjaciół oraz krewnych; inne wyglądają tak, jak gdyby zostały wyklepane na miejscu z kawałków starej blachy. Niektóre upamiętniają wspinaczy, którzy zginęli w drodze na szczyt; inne — tych, którzy rozstali się z życiem w trakcie zejścia z K2. Na kilku spośród tych tablic widnieją nazwiska wspinaczkowych sław takich jak Alison Hargreaves, Nick Estcourt czy Tadeusz Piotrowski; reszta upamiętnionych tam osób nie jest tak znana, choć wcale nie oznacza to, że ich bliscy mniej za nimi tęsknią. Gdy akurat wieje (co zdarza się tam całkiem często), tabliczki pobrzękują o skały niczym żagle jachtów łopoczące na wietrze.

Dalej, na tle Lodowca Godwina-Austena odcinają się jaskrawe namioty bazy pod K2 — niewielkie punkciki wśród niewrażliwego na upływ czasu krajobrazu złożonego z szarobrązowych skał oraz bezkresnych pól śniegu i lodu. Pod koniec wiosny mogą tu przebywać dziesiątki wypraw, lecz gdy lato się

kończy, ekspedycje stopniowo wyjeżdżają, a na miejscu zostaje tylko wiatr i śnieg.

Powyżej wznosi się gigantyczna sylwetka K2, złożona ze skał i lodu wyrastających na trzy i pół kilometra ponad poziom bazy. Od czasu do czasu można zobaczyć wierzchołek, ale generalnie skrywa się on wśród gęstych chmur. Chociaż w teorii na K2 nie występuje problem dużych opadów śniegu związanych z monsunem — zjawisko, które tak bardzo utrudnia wspinanie na Mount Evereście — pogoda jest bardzo nieprzewidywalna, a burze miewają ogromną siłę. W styczniu temperatura może spadać poniżej -50 stopni Celsjusza. Jeżeli połączymy to z huraganowym wiatrem osiągającym prędkość ponad stu kilometrów na godzinę, trudno się dziwić, że nikt nie zdobył jeszcze K2 zimą.

Wysokość 8611 m n.p.m. sprawia, że K2 ustępuje w tej kwestii wyłącznie Mount Everestowi i jest tylko nieznacznie wyższy od Kanczendzongi (czyli trzeciego pod względem wysokości szczytu na naszej planecie), ale w ciągu ostatniego stulecia rozbudził wśród ludzi gór szczególną fascynację. To „góra wspinaczy” i największe możliwe wyzwanie, na które składają się niezwykle strome zbocza, ekstremalna wysokość, odosobnienie oraz nieprzewidywalna pogoda. Na szczyt Mount Everestu prowadzi popularna „droga dla jaków”, ale w przypadku K2 nie ma żadnej łatwej drogi wiodącej na szczyt, a potem z powrotem do bazy.

Łatwo zrozumieć, w jaki sposób K2 zdobył swoją reputację najbardziej wymagającej góry na świecie — w ciągu 50 lat od pierwszego wejścia na szczyt na wierzchołek dotarło 247 osób, a 54 straciły życie w trakcie wspinaczki^[1]. W ostatnich latach postępy związane z rozwojem wyposażenia i stosowaniem nowoczesnych technologii sprawiły, że wspinaczka na K2 jest odrobinę bezpieczniejsza, chociaż co kilka lat nagłówki artykułów prasowych i tak informują o najnowszej „tragedii na K2”.

Osobą, która jako pierwsza zmierzyła K2, był podpułkownik Thomas George Montgomerie, brytyjski oficer uczestniczący w projekcie Great Trigonometrical Survey of India, jednym z najważniejszych elementów spuścizny Indii Brytyjskich. 10 września 1856 r. wspinał się na Haramukh, pięciotysięcznik leżący na terenie Kaszmiru, z zamiarem rozstawienia tam sprzętu pomiarowego. W odległości mniej więcej 210 kilometrów dostrzegł dwa wybitne szczyty w centralnej części Karakorum, długiego łańcucha górskiego położonego na północny zachód od Himalajów.

Po zrealizowaniu pomiarów Montgomerie naszkicował w swoim notatniku niewielki rysunek, nazywając te dwa szczyty K1 i K2 — „K” oznacza tu „Karakorum”. Wraz z przeprowadzaniem dalszych pomiarów na liście pojawiło się kilka następnych gór opatrzonych literą K i kolejnymi liczbami. W większości przypadków odkrywano później ich lokalne nazwy, ale K2 był tak odosobniony i tak trudno było do niego dotrzeć, że nie istniała żadna lokalna nazwa będąca w powszechnym użyciu. Ostatecznie pomimo kilku prób zmiany nazwy, K2 zachował swoje początkowe oznaczenie — surowe imię pasujące do surowej góry.

W ciągu kolejnych dziesięcioleci, które nastąpiły po tym, jak Montgomerie po raz pierwszy zobaczył górę, kilku podróżników udało się do niej bardziej zbliżyć, ale nikt nie próbował się na nią wspinać; cele, którymi kierowały się wspomniane osoby, miały charakter nie tyle sportowy, co militarny. Wielka Brytania i Rosja rywalizowały w tak zwanej wielkiej grze — imperialnej walce o wpływy w Azji Środkowej. Rosjanom zależało na ekspansji na południe i zyskaniu ostatecznie punktu zaczepienia w Indiach (a w każdym razie tego obawiali się Brytyjczycy); Brytyjczycy chcieli z kolei poszerzać swoje imperium na północ, dążąc do zagarnięcia cennych terenów handlowych Azji Środkowej (lub tak przynajmniej przedstawiały się obawy Rosjan). Na wypadek ziszczenia się któregośkolwiek z tych scenariuszy obydwa kraje starały się zyskać przewagę i wysyłały na tajne misje

wojskowych oraz urzędników cywilnych, dążąc w ten sposób do eksploracji niezbadanych terytoriów.

Pierwszym takim badaczem, który ujrzał K2, był brytyjski żołnierz Henry Haversham Godwin-Austen. W 1861 r. wyruszył on w teren z misją zbadania lodowców Karakorum i ustalenia, czy K2 leży w całości na terenie Kaszmiru, czy może znajduje się na jego północnej granicy. Godwin-Austen nie zdołał się zbliżyć do „wielkiego Szczytu K2” na odległość mniejszą niż 25 kilometrów, ale po powrocie ogłosił się pierwszym Europejczykiem, który miał okazję dobrze przyjrzeć się tej górze. Dla upamiętnienia jego osoby lodowiec biegnący wzdłuż wschodniego zbocza K2 nosi dziś jego nazwisko; na niektórych mapach również i sam szczyt nazywano „Mount Godwin-Austen”.

Minęło 26 lat, zanim w ślady Godwina-Austena poszedł kolejny młody, tryskający energią absolwent akademii wojskowej w Sandhurst — noszący piękne nazwisko Francis Younghusband. Otrzymane od przełożonych z brytyjskiego wywiadu polecenie, by dokładniej przyjrzeć się górom Karakorum od chińskiej strony, okazało się nadzwyczajnym zwieńczeniem niesamowitej wyprawy wiodącej przez kontynentalne Chiny. Dla 24-letniego Younghusbanda była to doskonała okazja, by podjąć brawurowe działania ku chwale imperium brytyjskiego:

Nie miałem żadnego doświadczenia związanego ze wspinaczką górską; nie posiadałem również stosownego wyposażenia — ani butów podkutych gwoździami, ani tym bardziej czekana. Nie miałem też pieniędzy. Pokonałem już niemal pięć tysięcy kilometrów, podróżując przez pustynię Gobi oraz równiny Turkiestanu. Teraz okazało się, że mam przejść nieznaną przełęczą na drugą stronę pasma Himalajów. To właśnie tego rodzaju rozkazy najbardziej lubiłem^[2].

8 września 1887 r. Younghusband wyruszył z Shache w Chinach na czele ośmioosobowej grupki dysponującej 13

kucami. Dwa tygodnie później ujrzeli K2. Choć Youngusband nigdy nie miał zamiaru zdobywać tej góry, był autorem pierwszego wielkiego literackiego hołdu złożonego temu szczytowi:

Uniosłem akurat dosyć gwałtownie wzrok, a moim oczom ukazał się widok, który wprowadził mnie w osłupienie. Właśnie minęliśmy zakręt, dzięki czemu w naszym polu widzenia po lewej stronie ukazał się ogromny szczyt — to mógł być wyłącznie K2, wysoki na 8619 metrów i ustępujący pod względem wysokości jedynie Mount Everestowi. Obserwowany z tej strony zdawał się tworzyć idealny stożek o niewyobrażalnej wysokości. Byliśmy całkiem blisko góry — być może mniej niż 20 kilometrów od szczytu — a od północnej strony, dosłownie okrytej lodowcem, musiało być od czterech do pięciu kilometrów litego lodu. To był jeden z tych widoków, które na zawsze zapadają człowiekowi w pamięć i odciskają w jego umyśle trwałe ślady — niemożliwe do zatarcia poczucie wielkości i wspaniałości dzieł Natury, którego człowiek nigdy nie zdoła utracić lub zapomnieć [3].

Youngusband kontynuował eksplorację wysoko położonych przełęczy oraz lodowców pasma Karakorum; zanim wrócił wreszcie do swojego pułku w Indiach, od jego wyjazdu minęło jakieś 18 miesięcy. Dzięki tej podróży zapewnił sobie złoty medal Królewskiego Towarzystwa Geograficznego; zdołał także podsyć zainteresowanie K2.

Wielka Brytania i Rosja nie były jedynymi krajami wykazującymi się aktywnością w tym regionie. Bracia Schlagintweit z Bawarii opublikowali w tym samym czasie kilka obszernych tomów opisujących ich podróże przez Karakorum i Himalaje; oprócz tego tymi okolicami interesowali się Włosi — ta tradycja sięgała jezuickich zakonników z XVIII w., a potem została podjęta przez markiza di Cortanze, włoskiego arystokratę i plantatora herbaty, który pod koniec XIX w. badał Baltistan i Ladakh. Istnieją pogłoski świadczące o tym, że pierwszą osobą, która naprawdę postawiła stopę na K2, mógł

być Roberto Lerro, zamożny alpinista z północnych Włoch. Około 1890 r., pod koniec długiej, samotnej wyprawy, której celem były Himalaje i Karakorum, dotarł do K2 i zdaniem jego krewnych podjął próbę wspinaczki południowo-wschodnią granią góry. Lerro nie wydał jednak żadnej książki, a jego pamiętnik spłonął w pożarze domu, tak więc nie jesteśmy w stanie potwierdzić tych pogłosek.

Ostatnia z wielkich XIX-wiecznych brytyjskich wypraw na K2 zaowocowała dla odmiany powstaniem bardzo znanej książki, *Climbing and Exploration in the Karakoram-Himalayas*. Jej autorem był William Martin Conway, historyk sztuki, który w wolnym czasie oddawał się swojej pasji związanej ze wspinaczką górską. W skład „cywilnego” zespołu Conwaya wchodził też budzący respekt porucznik Charles Granville Bruce, który miał zdobyć sławę dzięki dwóm pierwszym brytyjskim wyprawom na Mount Everest.

Conway, który miał okazję zapoznać się z relacjami Younghusbanda i Godwina-Austena, opuścił Anglię w lutym 1892 r., stawiając sobie za cel stworzenie mapy lodowców znajdujących się w sąsiedztwie K2, a także zebranie próbek geologicznych oraz eksponatów antropologicznych. Oficjalnym artystą wyprawy został znany malarz A.D. McCormick, natomiast na czele grupy wspinaczkowej stanął Oscar Eckenstein, wybitny wspinacz skałkowy.

Przywiezienie obrazu przedstawiającego słynny już K2 zajmowało ważną pozycję na liście celów Conwaya, ale chmury oraz inne granie przesłaniające widok nieustannie krzyżowały mu plany. Gdy wreszcie stanął twarzą w twarz z górą, o której tyle się naczytał, z niedowierzaniem odkrył, że ma przed sobą nie tyle „majestatyczny szczyt” odpowiadający jego wyobrażeniom, lecz coś, co nazwał „paskudną masą skał, odartą z wszelkiej elegancji”^[4]. A.D. McCormick stworzył niezwykle obraz K2 widzianego z lodowca Throne, ale ponieważ Conway zdążył się już poróżnić z Oscarem

Eckensteinem i wyrzucił go z wyprawy, sam nie odważył się podjąć próby wspinaczki.

Zanim XIX w. dobiegł końca, K2 został zlokalizowany, zmierzony, naniesiony na mapy i namalowany. Teraz ktoś musiał tylko wspiąć się na szczyt. Ta książka przedstawia historię pierwszych zdobywców K2 oraz ekspedycji, które działały przed nimi na tej górze. Podstawą tekstu są pamiętniki, listy i dokumenty z tamtych czasów, a także wywiady ze wspinaczami i ich krewnymi.

To jedna z wielkich opowieści składających się na historię wspinaczki górskiej; występują w niej niektóre spośród najważniejszych osobistości ówczesnego świata wspinania — ksiązę Abruzzów, najwspanialszy odkrywca działający na początku XX w.; Charlie Houston, błyskotliwy, lecz borykający się z wieloma problemami kierownik wyprawy z Harvardu; Fritz Wiessner, niemiecki emigrant, który zrewolucjonizował wspinanie w Stanach Zjednoczonych; Achille Compagnoni, włoski narciarz i żołnierz; i wreszcie zaciekły rywal Compagnoniego, Walter Bonatti, uznawany za jednego z najwybitniejszych wspinaczy wszech czasów. Dla każdego z nich K2 stał się obsesją, która ciągnęła się przez całe życie, choć nikomu nie zapewniła szczęścia.

To fascynująca i niezwykła opowieść, nie tylko dlatego, że obejmuje tyle ludzkich dramatów, ale również dzięki temu, iż w przeciwieństwie do dwóch himalajskich gigantów, Mount Everestu i Nanga Parbat, które stały się odpowiednio obsesją Brytyjczyków i Niemców, historia zdobywania K2 ma w znacznej mierze międzynarodowy charakter. W ciągu sześciu dziesięcioleci wspólne próby zdobycia drugiego co do wysokości szczytu na Ziemi podejmowali wspinacze z Austrii, Szwajcarii, Włoch, Stanów Zjednoczonych, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Wszyscy wyciągali wnioski z wcześniejszych prób i wnosili do wspinaczki własne narodowe cechy.

Początkowy okres działalności na K2 doprowadził do powstania kilku ważnych książek: spisane przez Charliego Houstona i Boba Batesa historie ich ekspedycji z 1938 i 1953 r.,

czyli *Five Miles High* i *The Savage Mountain*, są uznawane za klasykę literatury górskiej, podobnie jak opis ekspedycji księcia Abruzzów z 1909 r. pióra Filippo de Filippiego. Oprócz tego na rynku jest też sporo bardzo dobrze napisanych książek przedstawiających historię zdobywania K2 z szerszej perspektywy — do tej grupy zaliczają się dzieła, których autorami są Jim Curran, Ed Viesturs, Leonardo Bizzaro i Roberto Mantovani. Skąd zatem wziął się pomysł, by napisać następną taką książkę?

Uzasadnieniem tych działań jest fakt pojawienia się nowych materiałów archiwalnych, które rzucają światło na niektóre spośród najbardziej interesujących i kontrowersyjnych epizodów w historii K2. Ekspedycja Fritza Wiessnera z 1939 r. była na przykład przez długi czas przedmiotem zażartej i silnie spolaryzowanej dyskusji, która w znacznej mierze bazowała na nieprecyzyjnych i niekompletnych informacjach. W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci zyskaliśmy dostęp do wielu dokumentów, pamiętników i listów, dzięki którym możemy teraz przedstawić dużo bardziej szczegółową wersję wydarzeń, wyjaśniając przy okazji przynajmniej niektóre zagadki.

Nawet jeżeli kłótnie po wyprawie Wiessnera były zacięte, jeśli spojrzeć przez pryzmat ilości wywołanej goryczy i urazy, żadna wyprawa w historii wspinaczki górskiej nie dorównuje włoskiej ekspedycji z 1954 r. Przez 50 lat członkowie i organizatorzy tej wyprawy kłócili się ze sobą o niemal każdy aspekt wydarzeń, począwszy od kwestii związanych z finansami i filmowaniem, a skończywszy na szczegółowym harmonogramie tego, co zdarzyło się na górze. Uczestnikami najdłuższej i najbardziej osobistej batalii byli Walter Bonatti, który został okrzyknięty jednym z najwybitniejszych wspinaczy XX w., a także Achille Compagnoni i Lino Lacedelli — dwaj Włosi, którzy jako pierwsi zdobyli szczyt K2.

W ciągu ostatnich 10 lat we Włoszech zapanowała powszechna zgoda w kwestii aprobowania stanowiska Bonattiego, a zarazem potępienia Compagnoniego i Lacedellego jako kłamców. Nowe dowody, które odkryłem — zarówno

fotograficzne, jak i pisemne — pokazują jednak, że Bonatti i jego zwolennicy w wielu kwestiach nie mieli racji, a Compagnoni i Lacedelli najprawdopodobniej mówili prawdę. Ujawnienie tego, że żadna ze stron zaangażowanych w tę historię *nie* kłamała, nie wydaje się typowym przykładem rewizjonizmu, ale (jak się okaże) w postawionym często na głowie świecie wypraw starających się zdobyć K2 rzeczy nietypowe są czymś zupełnie normalnym.

Cała ta opowieść zaczyna się jednak w 1902 r. (czyli na długo przed tym, jak fakt zdobycia szczytu stał się tematem dyskusji toczących się w barach oraz na placach w Mediolanie i Turynie), wraz z początkiem pierwszej wyprawy, która zdołała postawić stopę na K2. Jak przystało na górę okrzykniętą później mianem „przeklętej”, jednym z liderów tej ekspedycji był najsłynniejszy okultysta XX w., Aleister Crowley, „Wielka Bestia, 666”.

Rozdział 1

Bestia i książkę

Aleister Crowley był ekstrawaganckim, biseksualnym wielbicielem narkotyków, na dodatek zafascynowanym okultyzmem. Nie zaliczał się do typowych XX-wiecznych wspinaczy, aczkolwiek przynajmniej przez kilka lat podchodził do działalności górskiej z ogromnym entuzjazmem.

Urodził się w 1875 r. w Royal Leamington Spa jako Edward Alexander Crowley, a jego rodzice byli konserwatywnymi chrześcijanami. Po tym, jak w 1887 r. zmarł jego ojciec, 11-letni Crowley szybko się zbuntował i spędził większą część młodości w rozmaitych szkołach, z których kolejno go wydalano. Ostatecznie w połowie lat 90. XIX w. wylądował na Uniwersytecie Cambridge. Ponieważ odziedziczył ogromną fortunę, szybko zaczął się oddawać zamięłowaniu do 12-letnich prostytutek, szachów, poezji i „magii”, od czasu do czasu organizując też wypadki w góry.

Crowley rozpoczął przygodę ze wspinaczką tuż przed wkroczeniem w trzecią dekadę życia; pierwsze kroki w wertykalnym świecie stawiał wśród bardzo niebezpiecznych kredowych klifów Beachy Head na południowym wybrzeżu Anglii. Podobnie jak większość brytyjskich wspinaczy, wkrótce wyjechał w Alpy, które (jak ujął to słynny wiktoriański pisarz, sir Leslie Stephen) stały się wówczas „europejskim placem zabaw”. Inaczej niż gros osób udających się wówczas w góry, Crowley nigdy nie był zwolennikiem zatrudniania zawodowych przewodników alpejskich — wolał się wspinać samotnie lub z przyjaciółmi prezentującymi takie samo nastawienie, jak on. Chociaż był utalentowany i nie brakowało mu entuzjazmu,

nigdy nie wstąpił do Alpine Clubu stanowiącego wówczas ostoję brytyjskiego środowiska górskiego.

W 1898 r. 23-letni Aleister spotkał Oscara Eckensteina — wspinacza, który miał później pokierować wraz z Crowleyem pierwszą udokumentowaną próbą zdobycia K2. Eckenstein również był typowym outsiderem i ekscentrykiem, choć bardzo różnił się od Crowleya — był synem żydowskiego socjalisty, który po rewolucjach z 1848 r. uciekł z Niemiec do Londynu. Oscar Eckenstein był z wykształcenia chemikiem, lecz przekwalifikował się i podjął pracę na kolei jako inżynier. Chociaż był o 17 lat starszy od Crowleya, wkrótce zostali dobrymi przyjaciółmi, i to pomimo bardzo odmiennego pochodzenia oraz różnic dotyczących usposobienia.

Nie pasowali do siebie również wyglądem. Eckenstein był niski i umięśniony; jak stwierdził brytyjski pisarz Geoffrey Winthrop Young, „miał brodę i budowę ciała naszego praprzodka”^[1]. Ubierał się w niechlujny sposób, chodził po mieście w sandałach, a gdy nie ćwiczył akurat gry na dudach, z ust niezmiennie zwisała mu fajka, otaczając go duszącym zapachem Rutter’s Mitcham Shag, jednej z najmocniejszych i najbardziej pospolitych odmian tytoniu dostępnych na rynku. Crowley ubierał się z kolei niczym dandys i wyglądał na szczupłego, wychudzonego wiktoriańskiego estety, zaś jego udręczoną twarz wieńczyła bujna czupryna.

Chociaż obaj byli zafascynowani XIX-wiecznym odkrywcą i mistykiem sir Richardem Burtonem, Eckenstein nie interesował się w ogóle „magią” Crowleya. Podczas gdy Crowley był towarzyski i okazywał ciekawość intelektualną, Eckenstein był posępny i racjonalny. Jeśli chodzi o wspinanie, obaj szanowali wzajemnie swoje uzdolnienia, ale mieli zupełnie odmienne podejście do tego sportu. Eckenstein był wynalazcą, który projektował nowe rodzaje czekanów i raków; traktował wspinaczkę niczym problem inżynieryjny, zawsze szukając najbardziej skutecznej metody pozwalającej wspiąć się na jakąś turnię lub głąz. Crowley działał dla odmiany instynktownie i

impulsywnie; sam przyznawał, że bardzo różni się w tej kwestii od Eckensteina:

Jego wspinaczka niezmiennie była schludna, uporządkowana i zrozumiała, podczas gdy moje działania dotyczące tej materii z trudem można było uznać za coś ludzkiego^[2].

Kwestią, która ich łączyła, była wspólna niechęć do Alpine Clubu oraz wspinaczkowego establishmentu. Po tym, jak Crowley w 1895 r. bez powodzenia ubiegał się o członkostwo w klubie, wyrobił sobie trwającą przez całe życie antypatię w stosunku do ludzi, których nazywał „uzurpatorami”. Obaj z Eckensteinem szczególnie pogardzali koncepcją wspinaczki z przewodnikiem, którą uznawali za coś z gruntu nieuczciwego.

Chociaż stanowili wyjątkowo dziwną parę, bardzo dobrze dogadywali się jako partnerzy wspinaczkowi i wkrótce zamienili urwiska Lake District na szwajcarskie Alpy. W 1901 r. wybrali się jeszcze dalej i spędzili wiosnę w Meksyku. Wspięli się na Pico de Orizaba, najwyższy szczyt w tym kraju, a także na Popocatepetl, najsłynniejszy meksykański wulkan. Później podjęli próbę wspinaczki na kolejny wulkan o nazwie Colima. Niewiele wcześniej doszło do jego erupcji, a Crowley i Eckenstein zdecydowali się zawrócić dopiero wtedy, gdy buty, które mieli na nogach, zaczęły się tlić. Zachęceni sukcesami i zadowoleni ze swojego towarzystwa zaczęli planować na kolejny rok dużo większą ekspedycję — wyprawę na K2.

Dla Aleistera Crowleya miała to być pierwsza wizyta w Karakorum, natomiast z perspektywy Oscara Eckensteina była to okazja do wyrównania starych porachunków. Wiosną 1892 r. był on członkiem wyprawy Martina Conwaya działającej w Himalajach i Karakorum, ale nie było to przyjemne doświadczenie ani dla lidera ekspedycji, ani dla najlepszego wspinacza wśród jej uczestników. Eckenstein sądził, że wyrusza na sportową wyprawę udającą się w najbardziej wymagające góry na świecie, z kolei Conway najwyraźniej chciał pokonać jak największy dystans i zarządzał okazjonalne postoje tylko po

to, by zorganizować wypad na pobliski cmentarz i uzupełnić swoją kolekcję czaszek, względnie pozwolić towarzyszącemu wyprawie artyście na namalowanie kolejnej akwareli.

Gdy nadszedł czerwiec, Eckenstein zaczął odczuwać znudzenie. Chociaż otaczały go fantastyczne szczyty, „praktycznie w ogóle się nie wspinali”, jak napisał w liście wysłanym do domu^[3]. Kiedy wyprawa dotarła do Askole, ostatniej wsi przed K2, napięcie między dwoma mężczyznami osiągnęło punkt kulminacyjny. Jak ujął to później Conway:

Eckenstein przez cały czas był niezadowolony... Najwyraźniej nie było sensu, by podróżował dalej z nami, więc zdecydowałem, że będzie lepiej, jeśli wróci do Anglii.

Eckenstein przedstawił jednak te wydarzenia inaczej:

O odbyliśmy swoiste spotkanie wszystkich członków wyprawy, podczas którego ustalono, że powinienem wyjechać. Od czasu do czasu dochodziło do poważnych tarć, a ponieważ po spędzeniu w górach mniej więcej dwóch i pół miesiąca nie dokonaliśmy żadnego znaczącego wejścia i ograniczyliśmy się jedynie do przekroczenia dwóch znanych wcześniej przełęczy, nie paliłem się do dalszego udziału w ekspedycji. W tej sytuacji zgodziliśmy się, że najlepiej będzie się rozstać^[4].

Podczas gdy Conway ruszył w kierunku K2, stawiając sobie za cel nie tyle zdobycie szczytu, co uwiecznienie go na płótnie, Eckenstein zawrócił. Ponieważ nie miał towarzyszy, sprzętu ani zapasów, nie był w stanie się wspinać, rozpoczął więc niespieszny powrót, zatrzymując się od czasu do czasu w różnych wsiach i organizując tam zawody wspinaczkowe. Pod koniec sierpnia dotarł do Śrinagaru, stolicy Kaszmiru, a następnie spędził dwa miesiące na barce mieszkalnej na jeziorze Dal, poznając miejscowych kupców i targując się o antyki.

Gdy Conway wrócił do Wielkiej Brytanii, w swoich relacjach nie wspominał o napięciach, jakie pojawiły się w trakcie wyprawy, ale książka Eckensteina, *The Karakoram and*

Kashmir, zawierała liczne ataki wymierzone w byłego kierownika wyprawy. Była tam na przykład mowa o tym, że Conway podczas przekraczania mostu musiał iść między dwoma przewodnikami, związany z nimi liną. Oprócz tego Eckenstein nieustannie skarżył się, że wokół było mnóstwo gór, na które nie pozwolono mu się wspiąć. Conway nie udzielił publicznie żadnej odpowiedzi, ale nie zapomniał wszystkich tych zniewag.

Jak można się było spodziewać, gdy Aleister Crowley poznał tę historię, okazał współczucie Eckensteinowi, przyjmując zarazem wrogą postawę wobec ważnej postaci wspinaczkowego establishmentu, jaką był Martin Conway. Chociaż Crowley nigdy nie był w Karakorum ani nie próbował się wspiąć na jakikolwiek szczyt wyższy niż 5800 metrów, nabrał przekonania, że zdobędą K2, narobią wstydu Martinowi Conwayowi i ustanowią nowy rekord świata dotyczący wysokości osiągniętej w górach przez człowieka.

Gdy panowie uzgodnili cel, Crowley scedował na Eckensteina zadanie skompletowania reszty zespołu. Wybory, jakich dokonał Eckenstein, były zaskakująco kosmopolityczne. Austrię reprezentowali Heinrich Pfannl i Victor Wessely, odpowiednio sędzia i adwokat, uchodzący za dwóch najwybitniejszych wspinaczy skałkowych w całym kraju. Przedstawicielem Szwajcarii był doktor Jules Jacot-Guillarmod, występujący w roli zarówno wspinacza, jak i lekarza wyprawy. Ostatnim członkiem zespołu został Guy Knowles, 22-letni student z Cambridge, który wspinał się z Eckensteinem w Alpach. Chociaż miał mniejsze doświadczenie górskie niż pozostali uczestnicy, uchodził za niezwykle sprawnego fizycznie, a do tego było wiadomo, że jest bardzo bogaty, co było istotną kwestią w przypadku wszystkich wypraw na K2 organizowanych w tamtych czasach.

Na mocy umowy przygotowanej przez Crowleya i Eckensteina, wszyscy uczestnicy mieli obowiązek „ochoczo i najlepiej jak będą potrafili” podporządkowywać się poleceniom liderów; wyjątkiem były sytuacje, w których ktoś musiałby

narażać swoje życie. Wszelkie spory miały być rozstrzygane w drodze jawnego głosowania, chociaż lider (Eckenstein lub Crowley) miał mieć decydujący głos. Pamiętając zajście ze swojej ostatniej wizyty w Kaszmirze, kiedy próba nabycia stroju ozdobionego klejnotami zakończyła się kupnem kobiety noszącej to ubranie, Eckenstein dodał specjalną klauzulę, zachęcając członków wyprawy do trzymania się z dala od lokalnych kobiet oraz unikania prób kupowania czegokolwiek bez jego wyraźnej aprobaty.

Gdy dziennikarze dowiedzieli się o ekspedycji, okazali jej ogromną przychylność, chociaż na podstawie doniesień „Daily Chronicle” opublikowanych w maju 1901 r. widać wyraźnie, że K2 nie cieszył się jeszcze reputacją najniebezpieczniejszej góry na świecie:

Głównym celem wyprawy jest zaspokojenie sportowej ambicji dotyczącej pobicia wszelkich wcześniejszych rekordów wspinaczkowych, chociaż w planie jest też prowadzenie obserwacji naukowych i gromadzenie informacji na temat flory i fauny Himalajów, gdyż nasza wiedza dotycząca tych obszarów jest bardzo skromna. Pierwszymi szczytami, na jakich skupią się wspinacze, będą Godwin-Austen (K2), 8611 m n.p.m., oraz Dapasang^[5], 8615 m n.p.m. Jeżeli te początkowe próby zakończą się sukcesem, wyprawa może obrać za cel Mount Everest — najwyższą górę świata mierzącą 8840 m n.p.m. i stanowiącą cel ambitnych alpinistów — choć jeśli chodzi o tę ostatnią część programu ekspedycji, nie podjęto jeszcze ostatecznej decyzji^[6].

Wspinacze najwyraźniej też nie mieli pojęcia, w co się pakują. Guy Knowles na początku swojego niepublikowanego pamiętnika tłumaczył, że Eckenstein i Crowley wybrali K2 nie dlatego, że góra stanowiła tak ogromne wyzwanie, ale ze względu na to, iż „nie nastroczała technicznych trudności o charakterze wspinaczkowym”. Z perspektywy Knowlesa najważniejszym wymogiem, jaki musiała spełnić osoba

atakująca K2, było posiadanie dużej ilości czasu oraz wystarczającej ilości pieniędzy, by móc sobie pozwolić na roczne wakacje na Wschodzie.

Dziś to wszystko wydaje się bardzo naiwne, ale na początku XX w. ludzie posiadali bardzo skromną wiedzę na temat gór wysokich, takich jak Himalaje i Karakorum, a także niebezpieczeństw związanych ze wspinaczką na dużej wysokości. Naukowcy i wspinacze mieli ogólne poczucie tego, że wraz ze wzrostem wysokości powietrze staje się coraz rzadsze, lecz nikt nie miał pojęcia o istnieniu „strefy śmierci”^[7]; nikt nie dysponował też głębszą wiedzą na temat choroby wysokościowej. Eckenstein i Crowley wspinali się w Alpach i w Meksyku, a ambicja skłaniała ich do sięgnięcia po coś nowego. Mount Everest znajdował się poza zasięgiem, gdyż Nepal i Tybet — dwa kraje znajdujące się po dwóch stronach tej góry — były zamknięte dla obcokrajowców, ale Kaszmir nie nastroczał tego typu trudności, więc K2 był kolejnym logicznym celem.

Podczas gdy Eckenstein zajmował się sprawami logistycznymi i tworzeniem szczegółowych planów, beztrudni Crowley ruszył do Cejlonu i Indii, gdzie poznawał jogę, podziwiał widoki i pisał wiersze. Przygotowując się do wyprawy i długiej podróży przez kraje „mahometańskie”, zapuścił brodę i nauczył się nigdy nie dotykać twarzy lewą ręką. Poza tym jego przygotowania ograniczały się do minimum. W niedzielę 23 marca 1902 r. wsiadł do pociągu pocztowego zmierzającego do Rawalpindi w północnych Indiach, gdzie wszyscy mieli się spotkać; szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że tym samym pociągiem podróżowali też pozostali członkowie ekspedycji. Tak oto rozpoczęła się wyprawa na K2 zorganizowana przez Eckensteina i Crowleya.

Rawalpindi było jednym z największych miast w regionie, ważną bazą British Indian Army, a także przystankiem końcowym ówczesnej sieci kolejowej. Zespół Eckensteina spędził pięć dni, dzieląc przywiezione trzy tony zapasów i sprzętu na łatwiejsze do transportu pakunki, po czym wyruszył

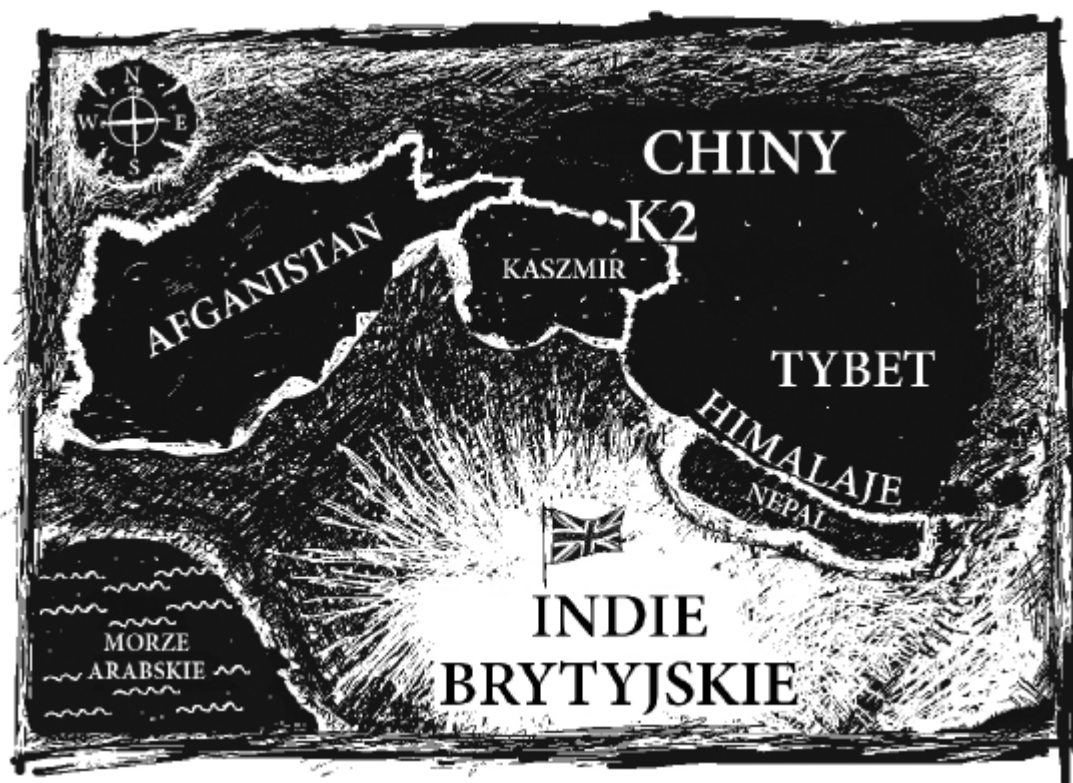
do Śrinagaru, słynącej ze swojego piękna stolicy Kaszmiru. Członkowie ekspedycji podróżowali w niewielkich, prostych powozach, które nosiły nazwę *ekka* i tak naprawdę niewiele różniły się od pudła umieszczonego na kołach. Jak ujął to jeden z członków wyprawy, będący jeszcze studentem Guy Knowles, *ekka* były „tak bliskie prymitywnym pojazdom, jak tylko można to sobie wyobrazić w naszych czasach”. Austriacki adwokat Victor Wessely czuł się w *ekka* tak niekomfortowo, że nabawił się poważnego bólu pleców i musiał wynająć dużo lepiej wyposażony (i droższy) powóz nazywany *tonga*. Niewiele później zaczęły się prawdziwe problemy.

Po tym, jak wszyscy członkowie wyprawy zatrzymali się którejs nocy w jednej z napotkanych po drodze wsi, Crowleya obudził widok inspektora policji brytyjskiej siedzącego przy jego łóżku. Chociaż nieco zakłopotany urzędnik nie potrafił wyjaśnić przyczyn tej sytuacji, powiedział Crowleyowi, że otrzymał rozkaz zatrzymania całej ekspedycji. Kilka godzin później przyjechał zastępca komisarza z Rawalpindi, przywożąc nieco bardziej szczegółowe instrukcje: miał zatrzymać Eckensteina, natomiast reszta uczestników wyprawy mogła kontynuować podróż. Jeden z dwóch liderów ekspedycji nie był oficjalnie aresztowany, jak zapewnił go komisarz okręgowy, ale nie mógł też podążać dalej w kierunku K2.

Zamiast całkowicie blokować wyprawę, Eckenstein zgodził się wrócić do Rawalpindi, by ustalić, co się dzieje. Liczył na to, że zdoła wszystko szybko wyjaśnić i wkrótce dołączy do kompanów, ale gdyby te nadzieje okazały się płonne, polecił Crowleyowi przejąć jednoosobowe przywództwo. Nie był to pomyślny początek wyprawy.

Na szczęście z perspektywy Crowleya i reszty uczestników wyprawy jej kolejny etap nie obfitował już w tyle wydarzeń. W tamtym okresie Kaszmir był księstwem — jednym z setek niewielkich królestw, które znajdowały się na terenie Indii Brytyjskich lub na ich obrzeżach i cieszyły się ograniczoną niepodległością. Lokalni władcy kontrolowali kwestie wewnętrzne, ale nie mieli prawa utrzymywać armii ani

prorowadzić polityki zagranicznej. Kaszmir ze względu na swoje piękne góry i jeziora był popularnym celem wyjazdów Brytyjczyków mieszkających w Indiach. Crowley był zaskoczony, w jak znacznym stopniu lokalny krajobraz przypominał widoki znane mu z Meksyku i Szwajcarii. Jacot-Guillarmod, szwajcarski lekarz, nie mógł się nadziwić bujnym lasom, a wszyscy uczestnicy wyprawy byli oczarowani Śrinagarem i jego barkami mieszkalnymi, eleganckimi mostami oraz pływającymi ogrodami.



Mapa 1. K2, 1902 r.

Przez dwa tygodnie członkowie wyprawy niespiesznie zwiedzali okolicę, urządzali sobie wycieczki na bazar i spędzali długie godziny na przepakowywaniu zapasów oraz sprzętu. W trakcie następnego etapu podróży wszystko musiało być transportowane przez kuce lub (częściej) tragarzy, a zatem żaden ładunek nie mógł ważyć więcej niż 24 kilogramy. W celu uzupełnienia dużych ilości suszonej żywności zakupionej przez Eckensteina w Anglii (i określanej przez Crowleya mianem

„prowiantu tylko dla żołnierzy”), członkowie ekspedycji zaopatrzyli się w świeże owoce i warzywa.

22 kwietnia, trzy tygodnie po zatrzymaniu przez policję, do wyprawy dołączył Oscar Eckenstein — cieszył się odzyskaną wolnością, choć nie dowiedział się niczego na temat przyczyn całego tego zajścia. Ktoś twierdził, że ze względu na nazwisko został omyłkowo uznany za pruskiego szpiega. Inni utrzymywali, że powodem zatrzymania były publikowane przez prasę informacje o tym, iż zmierza na Mount Everest, a nie na K2. Sam Eckenstein przypuszczał, że swój udział w tych wydarzeniach miał jego stary nieprzyjaciel, Martin Conway, który stał na czele Alpine Clubu i był postacią publiczną dysponującą sporymi wpływami (te podejrzania podzielali też Crowley i Knowles). Eckenstein nie był w stanie niczego udowodnić, ale gdy zagroził, że poinformuje o wszystkim prasę, brytyjscy urzędnicy szybko przeprosili za zaistniałą sytuację i pozwolili mu ruszyć w dalszą podróż.

Licząc na to, że teraz szczęście będzie im już sprzyjać, 28 kwietnia wszyscy uczestnicy wyprawy opuścili Śrinagar wraz z niewielką grupką osobistych służących, mniej więcej 150-osobową grupą kaszmirskich tragarzy oraz oddziałem patańskich najemników z Pendżabu wynajętych po to, by odstraszać ewentualnych agresorów. Długość drogi wiodącej do bazy pod K2 była szacowana na 530 kilometrów.

Pierwszy etap bardzo przypominał wizualnie krajobraz alpejski, ale gdy tylko wyprawa wkroczyła na teren Baltistanu (wówczas jednego z regionów wchodzących w skład Kaszmiru), pejzaż gwałtownie się zmienił. Pagórki porośnięte gęsto sosnami i niekończące się lasy nagle zniknęły, a ich miejsce zajął dużo bardziej surowy krajobraz złożony z nagich, skalistych wzgórz przecinanych siatką wąskich ścieżek. Jeśli nie liczyć napotykanych okazjonalnie wsi dysponujących własnymi systemami nawadniania, trudno było dostrzec jakąkolwiek roślinność.

Odcinki pokonywane przez uczestników wyprawy były krótkie, ale często okazywały się wyczerpujące. Chociaż

poszczególne etapy nie musiały wcale odpowiadać dużemu dystansowi na mapie, zazwyczaj obejmowały tyle podejść i zejść oraz tyle odchyień od zasadniczego kierunku podróży, że czasem potrzeba było wielu godzin, by przebyć zaledwie kilka kilometrów. W trakcie podróży ekspedycja była witana i zabawiana przez lokalnych radzów; Aleister Crowley zwrócił uwagę na to, że w Baltistanie tytuł „króla” mógł oznaczać zarówno wodza rządzącego lokalnym plemieniem, jak i monarchę absolutnego władającego setkami tysięcy poddanych.

Eckenstein zapamiętał z 1892 r. kilka sytuacji, w których w niezwykle odległych miejscach spotykał brytyjskich i amerykańskich myśliwych, ale tym razem nie napotkali żadnych innych przedstawicieli świata Zachodu, jeśli nie liczyć brytyjskiego misjonarza we wsi Shigar. Nie będzie raczej zaskoczeniem, że Aleister Crowley nie był zbyt zadowolony, widząc (jak to określił) „chrześcijańskiego węża w mahometańskim Edenie”.

Po dwuipółtygodniowej wędrówce wyprawa dotarła do Skardu, największego miasta w Baltistanie, i zatrzymała się tam na kilka dni, by po raz trzeci i ostatni przepakować ekwipunek przed końcowymi etapami podróży prowadzącymi do Askole, ostatniej wsi przed K2. Było wiadomo, że później nie będzie już możliwości uzupełnienia zapasów, a zatem, jak ujął to Crowley, „wykupili wszystko, co nadawało się do jedzenia w całej dolinie, i zatrudnili wszystkich tamtejszych mieszkańców”. Uświadomili sobie również, że z tego rodzaju ekspedycjami wysokogórkimi wiąże się dodatkowy problem: nie tylko musisz znaleźć tragarzy, którzy będą nieśli twoją żywność i ekwipunek; trzeba też wynająć następną grupę, która będzie niosła jedzenie dla osób dźwigających twoje bagaże. Doktor Jacot-Guillarmod oszacował, że po minięciu Askole jedna trzecia zatrudnionych przez ekspedycję tragarzy niosła mąkę na ćapati (stanowiące podstawę diety w Baltistanie) dla pozostałych mężczyzn wynajętych do dźwigania ładunków.

W sytuacji, w której siła robocza była kosztowna i trudno dostępna, Eckenstein poprosił każdego członka zespołu o

ograniczenie bagażu osobistego do maksymalnie 18 kilogramów; doprowadził w ten sposób do nadspodziewanie żaźartej kłótni z Aleisterem Crowleyem. Problemem okazał się spory księgozbiór tego ostatniego. Crowley twierdził, że inni wspinacze mogą być skłonni do tego, by zrezygnować z takich intelektualnych przyjemności i zachowywać się „podczas podróży przez dziki kraj” w sposób godny barbarzyńców, ale on sam utrzymywał, iż nie jest w stanie żyć bez Milтона i reszty swoich książek. Z teatralną przesadą utrzymywał, że woli raczej cierpieć fizyczny głód, niż pozbawić się intelektualnej strawy. Spór zaostrzył się do tego stopnia, że Crowley zagroził, iż prędzej zrezygnuje z uczestnictwa w wyprawie, niż rozstać się ze swoją przenośną biblioteczką.

Ostatecznie Eckenstein ustąpił, a literatura zwyciężyła, lecz nim ekspedycja opuściła Askole, pojawiły się znaki świadczące o tym, że jej uczestnikom zaczynają doskwierać trudy wędrówki. Guy Knowles, najmłodszy uczestnik wyprawy, kiepsko znosił wysiłek związany z podróżą, a Crowley był coraz bardziej rozdrażniony. W obliczu narastającego napięcia dwaj Austriacy, Pfannl i Wessely, poprosili Eckensteina, by ten pozwolił im zabrać racje żywniowe na trzy dni i odłączyć się od grupy w celu urządzenia szybkiego wypadu w górę Baltoro — ogromnego, liczącego ponad 60 kilometrów lodowca biegnącego przez samo serce Karakorum — połączonego z błyskawicznym atakiem na K2. Eckenstein (czemu trudno się dziwić) odrzucił ich nierealistyczną prośbę.

Gdy grupa opuściła wreszcie Askole po kolejnych 10 dniach działań organizacyjnych i reorganizacyjnych, karawana rozrosła się do niemal 230 osób, a w jej skład wchodziło teraz także czterech kucharzy, 12 osobistych służących, niewielkie stadko kóz i owiec, a także lokalny dostojnik, wezyr Alchori. Ostatni odcinek podróży miał być najtrudniejszy. Jałowe pustkowia Baltistanu oraz nieustanne podejścia i zejścia towarzyszące pokonywaniu tego terenu były dziecinną igraszką w porównaniu z trudnościami, jakich nastręczało Karakorum.

Europejskie pasma górskie wydawały się przy Karakorum bardzo małe. Towarzysze Eckensteina przekraczali rozległe lodowce pokryte ogromnymi blokami skalnymi i poprzecinane strumieniami o szerokości do 30 metrów. W Szwajcarii typowy lodowiec może się kończyć skalną moreną czołową mierzącą ponad 100 metrów, ale tutaj według Crowleya niektóre z nich wznosiły się na wysokość 450 metrów. Kozy i owce najwyraźniej były zadowolone z napotkanego wyzwania, ale dla całej reszty ekspedycji pokonywanie tego terenu było czystą udręką.

Postępy były tak powolne, że Eckenstein postanowił podzielić karawanę. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli Crowley ruszy jako pierwszy, zmierzając prosto pod K2 wraz z garstką tragarzy; reszta wyprawy podzielona na grupy miała podążać tą samą drogą w niewielkich odstępach. Eckenstein bezinteresownie zaproponował, że zajmie się zabezpieczaniem tyłów oraz organizacją transportu jedzenia i zapasów, dopóki nie będzie gotów, by dołączyć do towarzyszy. Dbając o to, by nie zrazić do całej wyprawy Wessely'ego i Pfannla, Eckenstein powiedział Crowleyowi, by ten nie rozpoczynał ataku na K2, dopóki wszyscy członkowie ekspedycji nie zbiorą się znów w jednym miejscu.

Ze swojej strony Aleister Crowley był bardzo zadowolony z tego, że choć na kilka dni może zostawić towarzyszy za sobą. Nigdy nie znosił ludzi, których uważał za głupców, a wraz z upływem czasu zaczął żywić ogromną niechęć do jednego z Austriaków, Wessely'ego. Szczególnie bulwersowały go nawyki, jakie ów adwokat przejawiał podczas jedzenia. Zdaniem Crowleya Wessely był „wypisz wymaluj wieprzem”, który cierpiał na taką krótkowzroczność, że gdy chciał coś zjeść, „pochylał głowę nad talerzem, a następnie używając widelca i noża niczym elementów koła łopatkowego, zagarniał jedzenie do ust szybkim obrotowym ruchem”^[8]. Nie wiemy dokładnie, co Wessely myślał o swoim młodym brytyjskim towarzyszem, ale

sam fakt, że w swojej relacji z wyprawy w ogóle nie wspominał o Crowleyu, jest równie wymowny, jak każdy inny afront.

Chociaż Crowley był zadowolony z tego, że znalazł się w grupie podróżującej na czele wyprawy, w miarę pokonywania dystansu w górę lodowca Baltoro czerpał z wędrówki coraz mniej przyjemności. Nocami temperatura spadała do -30 stopni Celsjusza, ale w ciągu dnia wędrowcom dokuczał niemiłosierny skwar. Podobnie jak wielu wspinaczy i przyszłych uczestników trekkingów, Crowley musiał porzucić swoje zachodnie wyobrażenia na temat higieny. Nie mył się przez 85 dni z rzędu i pozwolił, by jego ręce i twarz pokryły się warstwą tłuszczu. Początkowo uważał, że jest to odrażające, ale wkrótce uświadomił sobie, iż jest to najlepsza metoda, by zadbać o nawilżenie skóry. Jak zauważył, wszy stanowiły w tych okolicznościach element ryzyka zawodowego, a ich populacja była uzupełniana za każdym razem, gdy miał kontakt z którymkolwiek z tragarzy.

Jeśli chodzi o antypatie okazywane innym, Crowley był dużo bardziej wyrozumiały wobec lokalnych mieszkańców niż wobec swoich europejskich kompanów. Szczególną fascynację budziły w nim zwyczaje kulinarne Baltów. Podstawą lokalnej diety były ćapati, placuszki wytwarzane poprzez rozsmarowanie masy z mąki i wody na okrągłych kamieniach rozgrzewanych w ogniskach. Tragarze przygotowywali rano ciasto, a następnie owijali kamienie chustami, dzięki czemu gdy kończyli pracę pod koniec dnia, ćapati były gotowe do jedzenia. Jeśli chodzi o obuwie, tubylcy nosili prymitywne buty nazywane *pabu*, wykonane z trójkątnych kawałków maty słomianej lub szmaty, które trzymały się potem na miejscu dzięki rzemykom. *Pabu* dobrze się sprawdzały podczas wędrówki wśród skalistego terenu i miękkiego śniegu, ale na lodzie stawały się niebezpieczne. Zamiast okularów ochronnych tragarze nosili fryzury w tybetańskim stylu — mieli długie warkocze, które w razie potrzeby można było wykorzystać do przesłaniania oczu.

Po dwutygodniowym marszu grupa Crowleya dotarła wreszcie w połowie czerwca do Concordii, spektakularnego naturalnego amfiteatru, w którym spotyka się pięć lodowców, a linię horyzontu wyznaczają ogromne góry. Crowley był zdumiony tym, jak zróżnicowane były poszczególne szczyty: Marble Peak ze swoim ostrym wierzchołkiem, Mitre Peak ze swoimi dwiema iglicami, a także Crystal Peak okryty grubą warstwą śniegu. K2 (lub Czogori, jak wolał określać górę Crowley^[9]) nie był jeszcze widoczny, ale po kilku godzinach wędrówki w górę Lodowca Godwina-Austena — długiej rzeki skał i lodu prowadzącej z Concordii pod południowo-wschodnie zbocze drugiej pod względem wysokości góry na świecie — pojawił się wreszcie w zasięgu wzroku.

Spoglądając na gigantyczną południową ścianę, Crowley początkowo nie był w stanie dostrzec bezpośredniej drogi prowadzącej na szczyt lub choćby miejsca, w którym można byłoby założyć obóz wysunięty, lecz po całym dniu oglądania K2 przez lornetkę doszedł do zgoła odmiennych wniosków. Jak powiedział później Eckensteinowi, wspinaczka południowo-wschodnią granią do wysoko położonego, pokrytego śniegiem ramienia nie powinna nastęczać wielkich trudności, podobnie jak szczytowa piramida skalna prowadząca na wierzchołek. Pełen optymizmu przesłał notatkę ze swoimi spostrzeżeniami pozostałym członkom wyprawy, a następnie ruszył w górę lodowca, w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na bazę.

W ciągu następnych czterech dni reszta wspinaczy dołączała stopniowo do Crowleya na Lodowcu Godwina-Austena. Nie wszyscy prezentowali jednak równie optymistyczne nastawienie. Gdy Jacot-Guillarmod po raz pierwszy ujrzał K2, stanął jak wryty:

Poczuliśmy się tak, jak gdyby coś nas sparaliżowało lub zniewoliło. Zachowywaliśmy milczenie i nie potrafiliśmy znaleźć słów pozwalających wyrazić nasze odczucia (...) im dłużej przyglądaliśmy się gołym okiem i przez lornetki zarówno tej części, która kryła się w cieniu, jak i tej skąpanej

w słońcu, tym wyraźniej docierało do nas, jak niewielka jest szansa na to, by nasz pierwszy atak zakończył się powodzeniem^[10].

Do 20 czerwca w bazie zameldowali się wszyscy oprócz Eckensteina, który wciąż znajdował się w odległości kilku dni marszu i organizował dostawy jedzenia. Przez następny tydzień członkowie ekspedycji nie ruszali się z miejsca — w oczekiwaniu na lidera urządzali tylko wypadki na lodowiec. Pogoda była kapryśna, a ładne, pochmurne i burzowe dni przeplatały się ze sobą, nie tworząc na pierwszy rzut oka żadnego logicznego wzorca.

Jako że baza była położona na wysokości mniej więcej 5000 m n.p.m.^[11], Jacot-Guillarmod zwrócił uwagę na to, że wszyscy mają trudności z oddychaniem, zwłaszcza w obliczu jakiegokolwiek wysiłku. Powszechną dolegliwością stały się też bóle głowy, choć nie były zbyt dotkliwe. Wystarczyło zaledwie kilka minut spędzonych poza namiotem bez ciemnych okularów na nosie, by doświadczyć ślepoty śnieżnej. Jeśli chodzi o mniej poważne kwestie, Jacot-Guillarmod zauważył, że niższe ciśnienie atmosferyczne oznacza również, iż butelki z szampanem — zaskakująco często spotykany element ekwipunku wczesnych ekspedycji — nie otwierają się już z efektywnym wystrzałem, a temperatura wrzenia wody jest obniżona do zaledwie 82 stopni Celsjusza, co zdecydowanie wydłuża czas gotowania ryżu i warzyw.

Gdy kilka dni później Oscar Eckenstein dotarł wreszcie do bazy, dostarczył towarzyszom mnóstwo świeżego mięsa i chleba, ale wszyscy szybko spostrzegli, że lider ekspedycji nie jest w najlepszej dyspozycji. Przez całe życie bardzo dużo palił, a teraz dokuczały mu problemy związane z płucami. Jacot-Guillarmod zdiagnozował u niego grypę i dopisał go do wydłużającej się listy chorych. Ten spis obejmował Crowleya, który dopiero co zmagał się z atakiem malarii na lodowcu Baltoro, a także młodego Guya Knowlesa, u którego

najwyraźniej dawała o sobie znać jakaś postać choroby wysokościowej.

Niezależnie od tych problemów, wszyscy palili się do tego, by ruszyć w drogę, tak więc następnego dnia Eckenstein zwołał spotkanie — postanowiono wówczas, że 29 czerwca rozpocznie się pierwsza próba zdobycia szczytu. Crowley, Pfannl i Jacot-Guillarmod mieli stworzyć pierwszą grupę podejmującą atak szczytowy, natomiast Knowles, Wessely i kilku tragarzy miało zapewniać im wsparcie. Zmagający się z chorobą Oscar Eckenstein miał — przynajmniej na razie — zostać w bazie.

Plan uczestników wyprawy był prosty i bardzo optymistyczny. Mieli zamiar zbudować z nart prowizoryczne sianie i załadować na nie namiot oraz zapasy żywności na trzy dni. Potem chcieli rozpocząć wspinaczkę drogą wypatrzoną przez Crowleya, starając się dotrzeć do rzucającego się w oczy pasa żółtych skał w połowie grani południowo-wschodniej. Planowali rozstawić tam niewielki obóz, a następnie wysłać tragarzy na dół po świeże zapasy. Kolejnego dnia Europejczycy ot tak wspięliby się na szczyt.

Spodziewając się, że następnego dnia wszyscy będą odczuwać głód, Jacot-Guillarmod zajął się przyrządzaniem ćwiartki świeżo zarżniętej owcy, podczas gdy pozostali porządkowali swój sprzęt. To właśnie wtedy pogoda zaczęła się zmieniać. Wczesnym popołudniem północno-wschodni wiatr przybrał na sile, zamieniając się w istny huragan, który narobił szkód w bazie i na jakiś czas wypełnił namiot kuchenny śniegiem. Wczesnym wieczorem pogoda się uspokoiła, ale wciąż na tyle mocno wiało, że nie było szans, by ktoś zasnął. W tej sytuacji uczestnicy wyprawy do późna nie szli spać, grając zamiast tego w szachy. Bez wątplenia nie było to najlepsze możliwe przygotowanie do ataku na drugą co do wysokości górę na świecie.

Poranek — jak można się było spodziewać — przyniósł tylko rozczarowanie. Wspinacze mieli wyruszyć o piątej rano, ale o tej porze było tak zimno i wietrznie, że nawet Crowley (który zazwyczaj rwał się do działania) zaproponował, by opóźnić

wymarsz o kilka godzin. Nikt nie zaprotestował, choć Pfannl i Wessely uznali, że nie będą dalej spać — zamiast tego przypięli do butów narty i ruszyli w górę lodowca, by przyjrzeć się innej grani K2 dochodzącej do Lodowca Godwina-Austena kilkaset metrów wyżej. Dwaj Austriacy wrócili, twierdząc, że ich zdaniem grań północno-wschodnia wygląda na trochę łatwiejszą od południowo-wschodniej. Crowley protestował, twierdząc, że pokonanie grani północno-wschodniej pochłonie więcej czasu, a z tego, co miał okazję zaobserwować, była ona bardziej niebezpieczna, ale został przegłosowany. Był jedyną osobą, która dobrze się czuła w aktualnej bazie, a po spędzeniu w tym miejscu niemal 10 dni w bardzo zróżnicowanych warunkach atmosferycznych nikt inny nie miał ochoty zostawać dłużej w „obozie niedoli”.

1 lipca Pfannl i Wessely wyruszyli z zamiarem założenia nowej bazy. Reszta uczestników wyprawy miała zamiar dołączyć do Austriaków następnego dnia, lecz znów dała o sobie znać kiepska pogoda. Słowa, jakimi Jacot-Guillarmod opisał życie obozowe podczas czterodniowej burzy pod K2, miały się w kolejnych dekadach wielokrotnie powtarzać w takiej czy innej postaci:

Dni mijają mniej lub bardziej monotennie. Niebo jest zazwyczaj pokryte chmurami, a nieprzyjemne odgłosy, które towarzyszą występującym często burzom i nawałnicom, łączą się z hukami schodzących lawin. Podczas sporadycznych przejaśnień wychodzimy z namiotów i suszymy na słońcu mokre ubrania oraz śpiwory, względnie ruszamy na spacer wokół obozu, by rozgrzać krew i rozruszać stawy^[12].

Nim pogoda się poprawiła i wszyscy byli gotowi do wymarszu, u Crowleya znów wystąpiły objawy malarii. Bez względu na to i tak chciał podjąć próbę wspinaczki, więc 8 lipca ruszył z Jacotem-Guillarmodem do nowej bazy założonej przez Pfannla i Wessely'ego. Po pięciu godzinach niełatwej wędrówki dotarli na miejsce. Crowley odzyskał siły i czuł się nawet na tyle

dobrze, by następnego dnia urządzić samotny wypad w kierunku grani północno-wschodniej, ale była to dla niego ostatnia wspinaczka podczas tej wyprawy. Malaria, której nabawił się rok wcześniej w Meksyku, wróciła ze zdwojoną siłą, a przez następny miesiąc Crowley praktycznie nie był w stanie wyjść z namiotu, nękany przez dreszcze, gorączkę, duszności i mdłości^[13].

W sytuacji, w której Crowley był wyłączony z działalności górskiej, a Eckenstein i Knowles wciąż znajdowali się w niższym obozie, walcząc z grypą, to Jacot-Guillarmod i dwaj Austriacy zostali na placu boju jako ci, którzy mieli przypuścić granią północno-wschodnią pierwszy poważny atak na K2 podczas tej wyprawy. Rano Pfannl oznajmił, że on również czuje się zbyt chory i zamiast iść się wspinać wraz z Wesselym i Jacotem-Guillarmodem, zostanie raczej w obozie. Pomimo wszystkich tych wydarzeń Austriak i Szwajcar rozpoczęli ten dzień z optymizmem, podnoszeni na duchu przez dobrą pogodę oraz przekonanie, że szczyt znajduje się na wyciągnięcie ręki.

Wkrótce dała jednak o sobie znać rzeczywistość — lub przynajmniej jej pozory. W przeciwieństwie do preferowanej przez Crowleya drogi, która prowadziła granią południowo-wschodnią i w dolnych partiach była stosunkowo łatwa, nowa droga wybrana przez wspinaczy zmuszała ich do pokonania na samym początku bardzo wysokiego, stromego zbocza pokrytego śniegiem; wyprowadzało ono na wąską niczym ostrze noża grań, którą mieli nadzieję dotrzeć na ramię K2, a potem na sam szczyt. Okazało się jednak, że już dotarcie do grani jest sporym wyzwaniem, które sprawiło, iż Wessely co kilka kroków ciężko walczył o to, by złapać oddech. Gdy po kilku godzinach obaj wspinacze pokonali wreszcie zbocze, uświadomili sobie, że droga, którą mają przed sobą, jest zarówno bardzo eksponowana, jak i pokryta niepokojąco głębokim śniegiem. Ryzyko zwiększał dodatkowo fakt, że od czasu do czasu na grani występowały przewieszane nawisy — ogromne masy nawianego śniegu i lodu, które były przyklejone do krawędzi

grani, ale wyglądały tak, jak gdyby lada chwila miały polecieć w dół.

Po osiągnięciu wysokości mniej więcej 6700 m n.p.m., a więc zaledwie 260 metrów poniżej rekordowej wysokości ustanowionej w 1897 r. na Aconcagui, Wessely stwierdził, że nadszedł czas, by zawrócić^[14]. Jacot-Guillarmod narzekał później, że ta decyzja wynikała z lenistwa, ale obaj mieli już za sobą wiele godzin wspinaczki, a Wessely utrzymywał, iż następnego ranka mogą tam wrócić, korzystając ze swoich śladów, co przyspieszy drogę na szczyt. Ich powrót był dużo szybszy niż wspinaczka; jego zwieńczeniem był liczący ponad pół kilometra zjazd, który doprowadził ich praktycznie do namiotów.

To był wyczerpujący dzień. Pomimo problemów Wessely'ego, Jacot-Guillarmod był zaskoczony tym, jak dobrze się czuli, gdy dotarli na grań. Wszelkie dolegliwości składał na karb bardzo zimnego powietrza, a nie wysokości. Problematyczną kwestią dotyczącą grani północno-wschodniej nie było to, czy dadzą radę tam wrócić (co zdaniem obu było wykonalne), lecz to, czy ich tragarze zdołają podążyć ich śladami, dźwigając namioty i zapasy.

W tej sytuacji zamiast podchodzenia w górę po starych śladach, Wessely i Pfannl (który na pozór wrócił do zdrowia) skorzystali ze zgody, którą otrzymali właśnie od Oscara Eckensteina, i w towarzystwie pięciu tragarzy postanowili poszukać łatwiejszej drogi na szczyt. Wyruszyli 12 lipca, pełni energii i determinacji, ale trzy dni później do obozu wpadł posłaniec z informacją o gwałtownym pogorszeniu się stanu zdrowia Pfannla. Jacot-Guillarmod udał się do chorego na nartach — gdy dotarł na miejsce, Austriak leżał w swoim namiocie, zanosząc się kaszlem i wypluwając paskudnie wyglądającą rzekę różowej piany. Lekarz zdiagnozował u chorego obrzęk płuc, czyli bardzo niebezpieczną chorobę, która sprawia, że płuca wypełniają się płynem. Jedynym lekarstwem

było sprowadzenie Pfannla na mniejszą wysokość, ale chory był tak osłabiony, że miał trudności z utrzymaniem się na nogach.

Gdy udało się go wreszcie przetransportować do bazy, jego stan się pogorszył. W malignie wezwał do swojego namiotu Aleistera Crowleya i powiedział mu, że czuje się tak, jak gdyby został podzielony na trzy części. Pierwsze dwie sprawiały wrażenie relatywnie przyjaznych, ale trzecia była gigantyczną, groźnie wyglądającą górą, która trzymała w dłoni sztylet. Najwyraźniej był bardzo chory, ale (co ciekawe) Guy Knowles uważał, że te problemy zdrowotne są następstwem przetrenowania:

Od momentu, kiedy wsiadł na pokład okrętu w Suezie, przy każdej nadarzającej się okazji wykonywał ćwiczenia fizyczne. W rezultacie dotarł na lodowiec w dobrej kondycji, ale nie miał rezerw pozwalających przetrwać bardzo złą pogodę, z którą mieliśmy do czynienia^[15].

Jacot-Guillarmod opiekował się chorym najlepiej, jak potrafił, ale nowa baza była położona zdecydowanie za wysoko, by Pfannl mógł wyzdrowieć. W tej sytuacji dwa dni później lekarz opuścił bazę z dwoma Austriakami, planując towarzyszyć im aż na lodowiec Baltoro.

Brytyjczycy wchodzący w skład ekspedycji postanowili zostać w bazie, ale tak naprawdę oni również nie cieszyli się na tyle dobrym zdrowiem, by móc się wspinać. Crowley wciąż nie uporał się z malarią, grypa Eckensteina nie chciała ustąpić, a Guy Knowles nabawił się ostrej infekcji ucha i anginy. Trudno powiedzieć, dlaczego po prostu nie spakowali swoich rzeczy i nie ruszyli w dół. Być może wysokość miała negatywny wpływ nie tylko na ich apetyt, lecz także na trzeźwość rozumowania. Bez wątpienia zachowywali się bardzo dziwnie — rozgorączkowany Aleister Crowley zaczął w którymś momencie wymachiwać swoim rewolwerem, choć został szybko rozbrojony przez Knowlesa^[16].

Gdy Jacot-Guillarmod wrócił do bazy po sprowadzeniu Austriaków na mniejszą wysokość, był zaszokowany tym, jak

wychudzeni byli wszyscy uczestnicy wyprawy. Guy Knowles, który już wcześniej był szczupły, stracił niemal 15 kilogramów, a sam Jacot-Guillarmod — prawie 12. Kiedy lekarz pobrał próbki krwi członków ekspedycji i użył przenośnego sprzętu, by oznaczyć wskaźnik hematokrytowy, odkrył, że czerwone krwinki stanowią u jego towarzyszy 80 – 85% objętości krwi, co było alarmującym wynikiem. Na dużej wysokości spodziewano się wzrostu liczby czerwonych krwinek w stosunku do pozostałych elementów krwi, ale te wartości były niezwykle wysokie. Nie chcąc niepokoić towarzyszy, lekarz zachował jednak informacje dotyczące wyników badań dla siebie.

Członkowie wyprawy tkwili w bazie, lecz było jasne, że wkrótce będą musieli się poddać. 1 sierpnia 1902 r. Eckenstein napisał ponury list do swojego przyjaciela, Douglasa Freshfielda, który był w Himalajach kilka lat wcześniej:

Szalejąca właśnie burza trwa od ponad 96 godzin i póki co nie słabnie. W naszym obozie zalega ponad półtora metra świeżego śniegu. Nasze szanse na zdobycie jakiejś wysokiej góry — lub jakiegokolwiek szczytu — są w tej sytuacji praktycznie zerowe^[17].

Kroplą, która przepełniła czarę, było pojawienie się grupy tragarzy przysłanych przez Pfannla i Wessely'ego. Oprócz świeżego chleba i mięsa przybysze przynieśli też — powitaną bez cienia entuzjazmu — informację o tym, że w Baltistanie wybuchła epidemia cholery. W Askole zmarło już 20 osób i mówiło się, że cały region zostanie objęty kwarantanną; w tej sytuacji powrót do Śrinagaru byłby niemożliwy. Trzymając fason i nie zdradzając swoich myśli, Guy Knowles odnotował w swoim pamiętniku:

Epidemia cholery dołączająca do reszty naszych problemów sprawia wrażenie dosyć pechowego wydarzenia^[18].

Jedynym wyjściem z sytuacji było posłanie po nowych tragarzy z innej wioski znajdującej się poza strefą występowania cholery, a także wykorzystanie przybyłych

właśnie tubylców w celu zniesienia na dół jak największej części ekwipunku. Trzy dni później ekspedycja opuściła obóz i rozpoczęła długą wędrówkę powrotną przez lodowiec Baltoro.

Gdy w drodze powrotnej napotkali gońca poczty Baltistanu, mężczyzna nie miał żadnych dodatkowych informacji na temat epidemii cholery, zaskoczył natomiast członków ekspedycji świeżą porcją poczty z Europy. Jacot-Guillarmod otrzymał trzytygodniową porcję kolejnych wydań swojego lokalnego dziennika, „Gazette de Lausanne”, a także wiele listów od przyjaciół, którzy z góry gratulowali mu tego, co w ich przekonaniu było zakończoną sukcesem wspinaczką na K2.

Przez chwilę Jacota-Guillarmoda opanowało przemożne pragnienie powrotu na Lodowiec Godwina-Austena i podjęcia ostatniej próby zdobycia szczytu. Zapewniał Eckensteina, że nawet gdyby nie zdołał dotrzeć na sam wierzchołek, na pewno pobiłby rekord związany z wysokością osiągniętą w górach przez człowieka. Gdyby żaden z Europejczyków nie chciał mu towarzyszyć, być może w zamian za dodatkowe wynagrodzenie zrobiłaby to część tragarzy? Eckenstein nie pozwolił na ten wypad. Od kilku dni samemu lekarzowi też dokuczała grypa, która najwyraźniej pozbawiła go zdolności logicznego rozumowania. Wyprawa dobiegła końca.

Grupa, która wlokła się przez Concordię i lodowiec Baltoro do obozu Pfannla i Wessely'ego, była przygnębiona i zniechęcona. Jacot-Guillarmod odczuwał osobistą urazę związaną z tym, że Eckenstein odrzucił jego plan; lekarz wyczuwał również, że wszyscy są zażenowani porażką, jaką poniosła ekspedycja. Crowley wciąż był bardzo chory i zmagał się z powracającymi atakami wymiotów oraz biegunki.

Gdy spotkali się z Pfannlem i Wesselym, obie części zespołu były początkowo bardzo zadowolone z tego, że znów się widzą, dopóki Eckenstein nie uświadomił sobie, iż dwaj Austriacy zjedli większość rezerw żywnościowych. Po przeprowadzeniu śledztwa okazało się, że głównym winowajcą był Wessely. Chociaż w przypadku wyprawy schodzącej z gór był to przykład całkowicie bezsensownego działania, Wessely'ego poproszono,

by wytłumaczył swoje zachowanie, a następnie wydano go z zespołu.

Ekspedycja Crowleya i Eckensteina rozpadała się na drobne kawałki, a żaden z jej członków nie wracał do domu szczęśliwy. Wessely został w nieuprzejmy sposób zmuszony do opuszczenia zespołu, a Pfannl postanowił dołączyć do rodaka; Jacot-Guillarmod poróżnił się z Eckensteinem, zaś Knowles był ogromnie zadowolony z faktu zakończenia czegoś, co było jego pierwszą — i jak się okazało ostatnią — wyprawą w góry wysokie. Jediną dobrą informacją było to, że epidemia cholery najwyraźniej osłabła, ale Eckenstein i Knowles wciąż tak bardzo obawiali się tej choroby, iż odmówili odwiedzenia Askole i obrali dłuższą drogę prowadzącą do Śrinagaru.

Cała wyprawa okazała się świadectwem niezwyklej wytrwałości. Wspinacze spędzili na lodowcu 68 dni; cieszyli się dobrą pogodą przez zaledwie osiem dni, a sprzyjająca aura nie utrzymywała się nigdy dłużej niż przez dwa dni z rzędu. Jediną rzeczą, która zachęcała ich do dalszych działań, było wyrastające ze złudzeń przeświadczenie, że wspinaczka na K2 nie będzie nastęrczać trudności. Nawet pod koniec, gdy Jacot-Guillarmod prosił Eckensteina o pozwolenie na podjęcie dodatkowej próby, wciąż był przekonany, że do zdobycia szczytu potrzebuje jedynie kilku dni dobrej pogody i paru chętnych do współpracy tragarzy.

Chociaż w swoich relacjach Crowley krytykował umiejętność wspinaczkowe zespołu, który sam określał mianem „międzynarodowego”, w ostatecznym rozrachunku jedynymi członkami wyprawy, którzy zdołali cokolwiek zdziałać na K2, byli Wessely i Jacot-Guillarmod. Eckenstein był chory przez praktycznie cały czas, jaki spędził w bazie, a Crowley zmagął się z powracającymi atakami malarii. Pierwsza udokumentowana próba zdobycia K2 zakończyła się klapą.

Nieudana ekspedycja nie była w Europie zbyt szeroko opisywana. Wessely przygotował artykuły dla austriackich czasopism wspinaczkowych, a kilka stron pamiętnika Crowleya ukazało się na łamach „Vanity Fair”. Wydaje się, że Eckenstein

nie opublikował niczego, co miałoby związek z K2. Nadal się wspinał, ale w ciągu następnych dwóch dekad coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Gdy zmarł w 1921 r. (najprawdopodobniej na gruźlicę), w prasie krajowej nie pojawiły się mowy pochwalne na jego cześć. Młody przyjaciel Eckensteina, Guy Knowles, nie brał już udziału w żadnych wyprawach, choć dobrze po sześćdziesiątce wstąpił do Alpine Clubu, a w 1959 r. na łamach „Alpine Journal” opublikowano jego nekrolog. Wydaje się, że w którymś momencie rozważał pomysł opublikowania swojego pamiętnika z wyprawy na K2, lecz chociaż te notatki istnieją w formie maszynopisu, nigdy ich nie wydano.

Nawet jeżeli okres spędzony w 1902 r. w Karakorum nie był zbyt szczęśliwy dla Aleistera Cartera, energia i entuzjazm, z jakimi podchodził do wspinaczki wysokogórskiej, ani trochę się nie zmniejszyły. Trzy lata później wrócił do Indii, by podjąć pierwszą próbę zdobycia Kanczendzongi, trzeciej co do wysokości góry na świecie. Ta ekspedycja była jeszcze bardziej chaotyczna niż wyjazd na K2; towarzyszyło jej również więcej niesnasek, a jej punktem kulminacyjnym była śmierć trzech tragarzy i szwajcarskiego wspinacza, Alexisa Pache’a. Chociaż Crowley po powrocie z tej wyprawy ogłosił, że ustanowił nowy rekord, jeśli chodzi o wysokość, na jaką udało się wspiąć człowiekowi, mało kto wierzył w te deklaracje. Po powrocie z Kanczendzongi Crowley właściwie przestał się wspinać, chociaż poświęcił swoim górskim przygodom niemal dwa rozdziały swojej „autohagiografii”, *The Confessions of Aleister Crowley*.

Po wyprawie na K2 Crowley nie utrzymywał żadnych kontaktów z Victorem Wesselym i Heinrichem Pfannlem, co nie jest raczej zbyt zaskakujące, natomiast przez kilka lat przyjaźnił się z Jacotem--Guillarmodem. Szwajcarski doktor złożył wizytę w dziwnym pałacu Crowleya w Loch Ness, a potem pojechał z nim w 1905 r. na Kanczendzongę. Gdy ekspedycja zakończyła się fiaskiem, Crowley oskarżył Jacota-Guillarmoda o bunt i nigdy mu nie wybaczył.

Jeśli chodzi o samego szwajcarskiego lekarza, w 1904 r. opublikował on długie i szczegółowe sprawozdanie z wyprawy na K2; zostało ono także zilustrowane licznymi fotografiami. Chociaż nigdy nie doczekało się przekładu na język angielski, wywołało w Europie spory oddźwięk i ostatecznie przyciągnęło uwagę kolejnej kluczowej postaci w historii K2: był nią włoski książę Luigi Amadeo di Savoia, znany szerzej jako książę Abruzzów.

Jako kuzyn króla Włoch, książę był — jak ujął to wielki wspinacz epoki wiktoriańskiej, Edward Whymper — „człowiekiem gór, od którego bił prawdziwie królewski majestat”. Wysoki, szczupły, obdarzony pięknymi rysami twarzy i zagubionym spojrzeniem, książę był niespokojną duszą, a wyprawowa codzienność odpowiadała mu bardziej niż typowa egzystencja arystokracji skrepowana regułami etykiety. W okresie od 1897 do 1906 r. podjął próbę zdobycia bieguna północnego, dokonał pierwszego wejścia na szczyt Góry Świętego Eliasza w Kanadzie i stanął na czele długiej, zakończonej sukcesem wyprawy zorganizowanej w celu eksploracji Ruwenzori, legendarnych Gór Księżycowych rozdzielających Kongo i Ugandę. W trakcie owej ekspedycji dokonał też kilku pierwszych wejść na różne szczyty. Gdy już został najbardziej znanym podróżnikiem na świecie, zakochał się w kobiecie, z którą nie mógł się związać.

Katherine Elkins była piękną córką amerykańskiego senatora; uchodziła też za dziedziczkę ogromnej fortuny. Przez dwa lata amerykańskie gazety pisały o jej zbliżającym się ślubie z pełnym fantazji włoskim księciem, ale Elkins nie pochodziła z rodziny królewskiej, a do tego nie była ani katoliczką, ani Włoszką — z perspektywy ciotki księcia, królowej Małgorzaty, ta kandydatura była zatem nie do zaakceptowania. Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny pod koniec 1908 r., gdy zewnętrzna (a być może również i wewnętrzna) presja sprawiła, że para ze sobą zerwała.

Kilka miesięcy później amerykańska prasa donosiła, że nieszczęśliwie zakochany książę znów skupił się na podróżach, licząc na to, iż lekarstwem na złamane serce okaże się w jego przypadku pierwsze wejście na K2. Zachęcił go pozytywny wydzźwięk książki Jacota-Guillarmoda. Chociaż szwajcarski doktor szczerze opisywał niepowodzenia wyprawy z 1902 r., utrzymywał również, że K2 można zdobyć, a ponieważ Nepal i Tybet wciąż były zamknięte dla obcokrajowców, to właśnie K2 stanowił największe wyzwanie dla zapalonego wspinacza poszukującego celu, który mógłby zaprzętnąć jego uwagę.

W przeciwieństwie do ekspedycji Eckensteina, która dosyć spontanicznie nabrała międzynarodowego charakteru, cały zespół księcia Abruzzów składał się z Włochów — w większości wypróbowanych towarzyszy uczestniczących w jego wcześniejszych przygodach. Książę zabrał czterech doświadczonych przewodników alpejskich, braci Alexisa i Henriego Brocherelów oraz zespół złożony z ojca i syna, Josepha i Laurenta Petigaksów; oprócz tego włączył do ekspedycji trzech tragarzy ze swojej rodzinnej Doliny Aosty. Lekarzem i oficjalnym kronikarzem wyprawy był Filippo de Filippi, który towarzyszył księciu, gdy ten zdobywał Górę Świętego Eliasza; „nową twarzą” w zespole był natomiast Federico Negrotto, z wykształcenia topograf. Ostatnim członkiem zespołu był częsty współpracownik księcia, 50-letni Vittorio Sella, uznawany wówczas za jednego z najwybitniejszych fotografów górskich na świecie.

Vittorio Sella był bratankiem Quintina Selli (który założył CAI — Club Alpino Italiano), utalentowanym wspinaczem i wybitnym fotografem. W trakcie ponad 30-letniej kariery wspinaczkowej zjeździł wraz ze swoimi aparatami fotograficznymi sporą część świata, poczynawszy od Kaukazu na pograniczu Europy aż po Góry Świętego Eliasza na Alasce i góry Ruwenzori. Towarzyszył księciu Abruzzów podczas większości jego najważniejszych ekspedycji, aczkolwiek sam w coraz większym stopniu skupiał się na fotografowaniu. W 1909 r. zaczynał być już zmęczony księciem, który zawsze zdawał się

gdzieś spieszyć, lecz wyprawa na K2 była zbyt dobrą okazją, by odrzucić zaproszenie. Sella zgodził się wziąć udział w ekspedycji, choć upierał się, że chce mieć do dyspozycji własnych tragarzy, dzięki czemu w razie potrzeby mógłby działać niezależnie od głównej grupy.

W Niedzielę Wielkanocną 1909 r., po dwutygodniowej podróży z Europy, książę i jego towarzysze dotarli do Rawalpindi, miasta garnizonowego w północnych Indiach, które szybko stało się punktem początkowym wszystkich ekspedycji zmierzających w Karakorum. Bagaże uczestników wyprawy obejmowały przynajmniej 132 odrębne ładunki, z których każdy ważył 36 kilogramów. Razem dawało to 4,75 tony — dużo więcej niż jedzenie i sprzęt zabrane przez Eckensteina.

Dwa dni później, po wysłaniu przodem bagaży, uczestnicy wyprawy wsiedli do dwóch powozów lando i z fasonem ruszyli do Śrinagaru. Tym razem nie było żadnych porannych wizyt lokalnej policji ani zakazów podróży. Książę został ciepło powitany przez oficjalnego brytyjskiego rezydenta w Kaszmirze — jedną z osób związanych z eksploracją okolic K2, Francisa Younghusbanda, który teraz był już lordem. Przez kolejny tydzień włoski arystokrata był goszczony przez brytyjskie władze.

Zgodnie z sugestią Younghusbanda, książę zatrudnił jednego z miejscowych, A.C. Bainesa, by ten zajął się wszelkimi kwestiami transportowymi związanymi z wyprawą. Było to bardzo rozsądne posunięcie. Baines, który sam był doświadczonym podróżnikiem, zajmował się zatrudnianiem i zwalnianiem tragarzy na całej trasie, a oprócz tego organizował spotkania z lokalnymi radzami i maharadzami.

Książę przemierzał tę samą drogę, co Eckenstein: ruszył z Kaszmiru, by przez Baltistan dotrzeć w Karakorum. Jedyna zmiana dotyczyła samego początku podróży, kiedy członkowie wyprawy z wielką pompą opuścili Śrinagar w dwóch wspaniale wyposażonych łodziach, w towarzystwie admirała floty maharadży oraz 15 ubranych w barwne mundury wioślarzy znajdujących się na pokładzie każdej z tych jednostek. Włosi

spędzili noc na pokładzie, wśród igrzysk królewskich rozrywek, by następnego dnia wysiąść na brzeg i kontynuować podróż pieszo i na kucach.

Wędrówka przebiegała bez większych problemów i istotniejszych wydarzeń. Wyprawa potrzebowała 15 dni, by dotrzeć do Skardu, i kolejnych siedmiu, by osiągnąć Askole — dostali się do tej wioski o jakiś tydzień szybciej niż Eckenstein i Crowley. Wszystko działało niczym dobrze naoliwiony mechanizm: Baines podróżował przed resztą zespołu, organizował obozy i dbał o to, by na księcia oraz jego towarzyszy czekało wszędzie mnóstwo herbaty i jedzenia.

Gdy Włosi dokonali przeglądu ekwipunku w Askole, ogromnie ucieszyli się z tego, że po 22 dniach marszu, pokonaniu ponad 475 kilometrów i kilku zmianach tragarzy, nie zaginął ani jeden pakunek. Dwa dni później rozpoczęli ostatni odcinek podróży; ogromnej grupie liczącej ponad 250 osób towarzyszyło niewielkie stadko kóz i owiec, które miały zapewniać świeże mleko.

Chociaż zespół stworzony przez księcia składał się z doświadczonych podróżników, którzy mieli okazję podziwiać wcześniej niektóre spośród najbardziej spektakularnych gór na świecie, Włosi i tak byli zdumieni rozmiarami lodowców oraz różnorodnością otaczających ich szczytów. De Filippiemu kojarzyły się one z Arktyką, choć Karakorum zrobiło na nim jeszcze większe wrażenie:

Zamiast monotonnego horyzontu spotykanego na dalekiej północy, cały krajobraz otaczający K2 cechuje się ogromną różnorodnością kształtów, majestatem form oraz nieskończonym bogactwem planów i perspektyw... Skala tego wszystkiego jest zdecydowanie zbyt rozległa, by człowiek mógł od razu stworzyć w umyśle całościowy obraz otoczenia. Oko może zarejestrować tylko pojedyncze fragmenty krajobrazu^[19].

Gdy uczestnicy wyprawy dotarli do Urdukasu — umiejscowionej w połowie lodowca Baltoro oazy złożonej z

kwiatów i trawiastych zboczy, a zarazem miejsca, w którym Pfannl i Wessely wracali do zdrowia w trakcie ostatnich tygodni spędzonych pod K2 — odesłali połowę tragarzy, pozostawiając niewiele ponad 100 ludzi, którzy mieli za zadanie pokonać całą drogę aż do bazy pod K2. 35 najmłodszych i najsprawniejszych tragarzy wynajęto na cały czas trwania ekspedycji — 10 miało towarzyszyć księciu, a 25 zostać z Bainesem w Urdukasie i zapewniać bazie regularne dostawy świeżego jedzenia i paliwa.

Księżę Abruzzów palił się do tego, by od razu ruszyć w dalszą drogę, ale duży opad śniegu w nocy sprawił, że następnego dnia nie było mowy o tym, by kontynuować podróż. Vittorio Sella stwierdził, że nie chce marnować nieoczekiwanego wolnego dnia, i zabrał kilka osób na lodowiec Baltoro w celu zbudowania tam piramidy ze skał, podczas gdy Negrotto, topograf towarzyszący wyprawie, zmierzył położenie tego znacznika. Gdy dwa miesiące później wrócili do Urdukasu i powtórzyli pomiary, ze zdumieniem odkryli, że w ciągu 62 dni ruch lodu przesunął ten punkt orientacyjny o 110 metrów w dół lodowca.

Następnego poranka pogoda nadal sprawiała wrażenie niepewnej, ale członkowie wyprawy podjęli ryzyko i ruszyli w górę lodowca. Półtora dnia później stanęli oko w oko ze swoim celem: K2. Tak samo jak Jacot-Guillarmod, de Filippi był zarówno oczarowany, jak i onieśmielony. Podobnie jak miało to miejsce w przypadku Francisa Younghusbanda, pierwsza okazja, kiedy kronikarz włoskiej wyprawy mógł się przyjrzeć górze, doprowadziła też do narodzin wspaniałego opisu góry:

Na samym końcu wznosił się samotny i odseparowany od wszystkich innych szczytów K2 — niekwestionowany władca tej okolicy, gigantyczny i odosobniony, skrywany przed ludzkim wzrokiem przez niezliczone pasma górskie, zazdrośnie osłaniany przez całą rzeszę podległych gór, chroniony przed inwazją przez ciągnące się kilometrami lodowce. Już samo dotarcie do miejsca, z którego był widoczny, wymagało ogromnej pomysłowości, wielu dni spędzonych w drodze i sporego nakładu pracy.

Szczyt zamyka dolinę i nic nie jest w stanie odciągnąć uwagi od jego sylwetki. Wszystkie linie krajobrazu zdają się schodzić w punkcie, w którym znajduje się K2...

Wpatrywaliśmy się w górę i drobiazgowo ją badaliśmy, lustrując przez lornetki niezwykłą skalną ścianę. Nasze umysły przez cały czas zmagaly się z rosnącymi wątpliwościami, które doprowadziły nas do osiągnięcia niemal stuprocentowej pewności, że od tej strony góra jest nieprzystępna i nie zapewnia żadnej sensownej linii, którą można byłoby zaatakować^[20].

Książę nie był aż takim pesymistą. Bez zbędnej zwłoki rozpoczął wraz ze swoimi przewodnikami szybki rekonesans. Nie było szans, by dotrzeć do północnej ściany znajdującej się na terytorium Chin, ale członkowie wyprawy zdołali dokładnie obejrzeć K2 ze wszystkich pozostałych stron. Wszyscy zgadzali się co do tego, że same ściany były zbyt strome i za bardzo narażone na lawiny, by mogły stanowić bezpieczną drogę na szczyt, ale trzy granie wyglądały tak, jak gdyby mogły „puścić”. Książę — podobnie jak Aleister Crowley — był przede wszystkim zainteresowany południowo-wschodnią granią K2.

Szybko opracował plan ataku. Członkowie wyprawy mieli najpierw stworzyć u stóp grani niewielki skład z zaopatrzeniem. Później książę i jego włoscy przewodnicy ruszyliby w górę, aż do pasa czerwonych i żółtych skał znajdującego się mniej więcej na wysokości 6850 m n.p.m. Po tym, jak Włosi przygotowaliby drogę, lokalni tragarze podeszliby do góry ze sprzętem oraz zaopatrzeniem i pomogliby zbudować obóz pośredni, z którego wspinacze przypuściliby atak na szczyt. Gdyby okazało się to absolutnie niezbędne, podjęliby kroki pozwalające założyć jeszcze jeden obóz, ale książę Abruzzów miał nadzieję, że drogę na szczyt K2 uda się podzielić na zaledwie trzy etapy.

Podobnie jak założenia Eckensteina i Crowleya, plan księcia był optymistyczny. Chociaż włoski arystokrata twierdził, że jednym z celów wyprawy jest zbadanie wpływu dużej

wysokości na organizm człowieka, książe najwyraźniej nie zakładał, że to zjawisko wpłynie na tempo, w jakim będzie się wspinał zarówno on, jak i jego zespół. Z drugiej strony wykazywał na tyle realistyczne podejście, by przyznać, że mogą nie zdobyć szczytu, chociaż sukcesem byłoby już dotarcie na Ramię, wybitną płaską formację znajdującą się około 900 metrów poniżej wierzchołka. Z pewnością wystarczyłoby to do ustanowienia upragnionego rekordu świata, jeśli chodzi o wysokość osiągniętą podczas wspinaczki.

Rankiem 30 maja wszyscy byli gotowi do drogi. Podczas pierwszej próby książe postanowił zabrać ze sobą tylko swoich przewodników alpejskich, Brocherelów oraz Petigaksów, zostawiając w bazie Vittoria Sellę i innych członków zespołu naukowego. Po dokładniejszym przyjrzeniu się grani książe uznał, że nie będzie tam na tyle dużo miejsca, by wyższy obóz mógł wszystkich pomieścić. Poza tym, gdyby pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem, grupa pozostająca na razie w bazie mogłaby ruszyć śladami towarzyszy i zrobić użytek z rozstawionych już namiotów.

Wszyscy zaakceptowali ten plan, chociaż de Filippi przyznał, że odczuwał poważne obawy, gdy książe ruszył w kierunku szczytu:

Prawda jest taka, że te góry nie przypominają żadnych innych, a człowiek nie jest w stanie spoglądać na nie bez niepokoju i złych przeczuc^[21].

Początkowo wszystko układało się całkiem nieźle. Brocherelowie i Petigaksowie posuwali się do góry i na wysokości mniej więcej 5550 m n.p.m. znaleźli na grani osłonięte miejsce, które mogło pomieścić dwa namioty. Książe wkrótce do nich dołączył, chociaż później postanowił trzymać się z tyłu, by mieć oko na nieco podenerwowanych tragarzy; przewodnicy wspięli się w tym czasie na niewielką skalną przełęcz jakieś 300 metrów wyżej. Nadal byli 1200 metrów poniżej pasa żółtych skał i ponad 2400 metrów poniżej wierzchołka, ale był to pomyślny początek wspinaczki.

Zostawili swoje plecaki, a następnie zeszli do namiotów, by porządnie się wyspać.

Następnego poranka udało się przekonać tragarzy, by podążając śladami Włochów, podeszli granią wyżej, aż do przełęczy. Tam ponownie zostali z tyłu za przewodnikami, którzy ruszyli w górę, zakładając w najtrudniejszych miejscach ponad 100 metrów lin poręczowych. Około godziny piętnastej Włosi zawrócili, schodząc do ciepłego schronienia namiotów.

Był to kolejny udany dzień, ale stawało się jasne, że wspinaczka granią południowo-wschodnią pochłonie dużo więcej czasu, niż ktokolwiek wcześniej zakładał. Wspinacze wysłali zatem do bazy sześciu tragarzy, którzy mieli za zadanie przynieść więcej żywności i sprzętu. Następnego dnia księżę został w obozie, podczas gdy jego przewodnicy błyskawicznie dotarli na skalistą przełęcz i wspięli się zalodzonego żlebem pokonanym poprzedniego dnia. Po wyjściu ze żlebu okazało się jednak, że dalsza droga jest jeszcze trudniejsza. Mieli przed sobą bardzo wąską i eksponowaną grań. Wystarczyło poślizgnąć się na jedną stronę, by spaść prosto do zalodzonego żlebu. Poślizgnięcie i upadek na drugą stronę oznaczały lot aż na lodowiec znajdujący się jakieś 900 metrów niżej.

Brocherelowie i Petigaksowie byli dumnymi przewodnikami alpejskimi i nie chcieli zawracać, ale gdy powoli i ostrożnie pokonywali kolejne metry, zaczęło do nich docierać, że nie są w stanie prawidłowo oszacować odległości. Przez cały czas wydawało się, że pas żółtych skał znajduje się całkiem blisko, ale było to tylko złudzenie. Stoki, które z pewnej odległości sprawiały wrażenie łatwych do pokonania, okazywały się pionowymi urwiskami wymagającymi pełnego skupienia. Po trzech godzinach Joseph Petigax postanowił wreszcie, że czas powiedzieć pas, a K2 nie uda się zdobyć tą konkretną drogą. W trakcie zejścia przewodnicy zdjęli linę przymocowaną wcześniej w żlebie, przekonani o tym, że księżę nie będzie protestował. Istotnie, nie trzeba go było zbyt długo przekonywać: nawet gdyby Włochom udało się przedrzeć dalej,

tragarze na pewno nie zdołaliby pokonać grani, która okazała się tak trudna dla doświadczonych alpejskich przewodników.

2 czerwca, cztery dni po rozpoczęciu wspinaczki, książę Abruzzów zszedł wraz z towarzyszami do bazy, ku uldze tych, którzy tam zostali. Pierwszy wypad na K2 nie był wielkim sukcesem, ale przynajmniej wszyscy wrócili cali i zdrowi, a na dodatek wciąż było mnóstwo czasu, by sprawdzić inne rozwiązania. Jak się okazało, żadne z nich nie było łatwiejsze od drogi, ku której zwrócili się w pierwszej kolejności. Gdy wyprawa przeniosła swoją działalność na drugą stronę góry, książę zdołał pokonać stromy stok śnieżny grani północno-zachodniej, ale według słów de Filippiego widok z wierzchołka zbocza wystarczył, by „całkowicie przekreślić nadzieje, z jakimi rozpoczęliśmy wspinaczkę”. Po powrocie w okolice początkowej działalności ekspedycji, wspinacze ruszyli w górę Lodowcem Godwina-Austena ku północno-wschodniej grani, pod którą Eckenstein i Crowley obozowali przez wiele tygodni w 1902 r.

Przed dotarciem do celu Włosi natknęli się na stos pudeł i sprzętu wspinaczkowego — były to resztki ostatniego obozu Eckensteina. Gdy książę porównał aktualną pozycję tych przedmiotów z mapą zamieszczoną w książce Jacota-Guillarmoda, uświadomił sobie, że w ciągu siedmiu lat lodowiec przeniósł wszystkie pozostałości po ekspedycji Eckensteina o jakieś półtora kilometra w kierunku swojego czoła.

Uczestnicy wyprawy przez niemal dwa tygodnie poznawali labirynt grani, lodowców i przełęczy na północny wschód od K2, szukając jakiegoś słabego punktu w fortyfikacjach stworzonych przez górę. Vittorio Sella zarejestrował kilka niezwykłych panoramicznych fotografii, kartograf Negrotto zebrał dane pozwalające stworzyć szczegółową mapę, natomiast książę zdołał osiągnąć wysokość 6600 m n.p.m. na pobliskim Skyang Kangri (określanym też mianem Staircase Peak), skąd wykonał słynną fotografię wschodniej ściany K2. Nie udało mu się jednak znaleźć lepszej drogi na szczyt. Pod koniec czerwca miał już dosyć K2. Wraz z uczestnikami wyprawy zdołał zebrać mnóstwo danych topograficznych i

meteorologicznych, obejrzał górę z trzech stron i podjął jedną — trzeba przyznać, niezbyt zaawansowaną — próbę zdobycia szczytu. Teraz pozostawała jeszcze kwestia wspięcia się na rekordową wysokość.

Na szczęście książe dysponował planem B. Zmierzając pod K2, widział kilka szczytów mierzących ponad 7900 m n.p.m., ale wszystkie wyglądały na równie nieprzystępne. Podążając zatem śladami Martina Conwaya, książe Abruzzów postanowił skoncentrować swoją uwagę na południowym krańcu lodowca Baltoro. Nie chciał powtarzać próby Conwaya na Golden Throne (ta góra była zresztą zbyt niska, by pobić jakikolwiek rekord), ale niedaleko znajdował się inny, wyższy szczyt znany jako Czogolisa lub Bride Peak.

Podobnie jak K2, góra okazała się dużo trudniejsza, niż początkowo zakładano, a znaczącą rolę odegrała tu zarówno kiepska pogoda, jak i coraz większe zmęczenie, lecz 18 lipca, zaledwie dwa tygodnie po opuszczeniu bazy pod K2, książe i jego przewodnicy zdołali osiągnąć wysokość 7500 m n.p.m., bijąc o ponad 350 metrów dotychczasowy rekord. Znajdowali się około 150 metrów poniżej szczytu Czogolisy, ale wznoszące się ponad nimi stoki spowite były mgłą, a sytuację utrudniał dodatkowo niestabilnie wyglądający nawis śnieżny. Chociaż Włosi czekali przez dwie godziny na poprawę pogody, warunki atmosferyczne nie zmieniły się na lepsze, więc choć niechętnie, wspinacze musieli zawrócić.

Książę Abruzzów ustanowił wraz z towarzyszami rekord wysokości, który utrzymał się aż do 1922 r., ale wszyscy byliby bardziej zadowoleni, gdyby nie musieli zawracać spod samego szczytu i zdołali zdobyć Czogolisę. Gdy 20 lipca wyprawa zlikwidowała obóz i ruszyła w drogę powrotną, tragarze z Baltistanu nie ukrywali zadowolenia, natomiast Włosi opuszczali Karakorum, jak ujął to de Filippi, „milczący i przygnębieni fatum, które nie pozwoliło księciu sięgnąć po nagrodę za całą jego pracę i wytrwałość, choć trofeum znajdowało się niemal na wyciągnięcie ręki”^[22].

W drodze powrotnej do Europy ponure nastroje nie opuszczały uczestników wyprawy. Zgodnie ze słowami włoskiego dziennikarza cytowanego na łamach „New York Timesa”, książę spędził większość czasu w drodze powrotnej:

pisząc w salonie muzycznym parowca lub odpoczywając na leżaku. Nawet wtedy, gdy przechadzał się po pokładzie z markizem lub którymś ze swoich przyjaciół, rzadko się odzywał. Jego oczy, jak powiedział Włoch, sprawiały wrażenie utkwionych w jakimś odległym celu, jak gdyby planował już kolejne ekspedycje w odległe zakątki świata^[23].

Nikt nie potrafił powiedzieć, czy rozmyślał o K2, swojej następnej wielkiej wyprawie, czy może dawnej amerykańskiej miłości, Katherine Elkins.

Ostatecznie książę nie dotarł na K2 wyżej niż Pfannl i Jacot-Guillarmod w 1902 r., ale włoska ekspedycja miała dużo większy wpływ na późniejszą historię tej góry. W 1912 r., po trzech latach skrupulatnej pracy, we Florencji, Nowym Jorku i Londynie opublikowano liczący 469 stron oficjalny opis wyprawy przygotowany przez Filippa de Filippiego. Dzięki towarzyszył niezwykle zestaw map i fotografii — w tym wielu panoramicznych widoków. Była to monumentalna praca, która stała się bardzo ważnym punktem odniesienia dla następnych wypraw, a przy okazji jeszcze bardziej podbudowała reputację Vittoria Selli jako najwybitniejszego fotografa górskiego tamtych czasów.

Podobnie jak Eckenstein i Crowley, książę Abruzzów wyraźnie się pomylił, oceniając rozmiary K2 i trudności, jakie spodziewał się spotkać na tej górze. Bezpośrednio po tym, jak wrócił z wyprawy, często cytowano jego słowa, z których wynikało, że tego szczytu po prostu nie da się zdobyć. W zakończeniu swojej książki de Filippi wyraźnie dał jednak do zrozumienia, że po dłuższym namyśle książę nie zakładał, by istniała jakakolwiek bezwzględna granica wysokości, której nie dałoby się pokonać podczas wspinaczki. Nie uważał również, by K2 był po prostu za stromym lub zbyt skomplikowanym

szczytem. Prawdziwym problemem było jego położenie na uboczu: zdaniem de Filippiego K2 znajdował się po prostu tak daleko i panował tam tak niesprzyjający klimat, że nikt nie mógł zorganizować porządnego obłężenia tej góry.

Kto mógł jednak przewidzieć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby w przyszłości udało się znaleźć szybsze metody docierania pod K2 i można byłoby tam zostać dłużej? Być może po „złotej erze alpinizmu”, która miała miejsce w połowie XIX w., gdy zdobyto większość wysokich szczytów w Alpach, miała nadejść złota era himalaizmu? Przyjaciel księcia, norweski eksplorator Arktyki, Fridtjof Nansen, lubił mawiać:

Rzeczy trudne zajmują trochę czasu; na rzeczy niemożliwe potrzeba go nieco więcej.

Niezwykłe dzieje K2 właśnie się rozpoczęły. Montgomerie stworzył nazwę, a Eckenstein i księżę Abruzzów napisali wstęp. Daleko po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego kolejni śmiałkowie nosili jeszcze krótkie spodenki, ale w przyszłości mieli bazować na dokonaniach swoich poprzedników, a ich losy miały się okazać jeszcze bardziej niezwykłe.

Rozdział 2

Chłopcy z Harvardu

Dwaj młodzi ludzie związani z Harvardem i absolwent Uniwersytetu Yale odwrócili kosz na śmieci do góry dnem i zatknęli wokół jego krawędzi fotografie Vittoria Selli. Później chodzili wokół kubła, szukając drogi prowadzącej na szczyt drugiej co do wysokości góry na świecie.

Północna strona? Nie. Południowa? Nie. Wschodnia? Zachodnia? Nie i nie; nie było żadnej oczywistej drogi. Czy mieli się poddać już teraz? Na pewno nie — za kilka miesięcy ruszali do Indii, by udowodnić, że książe Abruzzów się mylił, natomiast rację miał Nansen. Był marzec 1938 r., a American Alpine Club miał zamiar przypuścić atak na drugi pod względem wysokości szczyt na kuli ziemskiej; teraz nic nie mogło ich już powstrzymać.

W ciągu 29 lat, które upłynęły od momentu, gdy włoska ekspedycja wróciła z pustymi rękami, nie było żadnych wypraw na K2, natomiast wspinacze wykazywali się sporą aktywnością w Himalajach. W latach 1921 – 1937 zorganizowano sześć wypraw na Mount Everest, trzy próby zdobycia Kanczendzongi^[1] i trzy wyprawy na Nanga Parbat (odpowiednio trzeci i dziewiąty spośród najwyższych szczytów na naszej planecie). Żadna z tych wypraw nie zakończyła się sukcesem, chociaż dwóm brytyjskim zespołom zabrakło do wierzchołka Mount Everestu jakieś 300 metrów w pionie, a zatem pobiły one rekord księcia Abruzzów o mniej więcej 1000 metrów.

W Europie wspinaczka górską często trafiała na pierwsze strony gazet, natomiast w Stanach Zjednoczonych — pomimo wszystkich gór znajdujących się na terenie tego kraju — ten

sport rozwijał się dosyć wolno. W latach 30. XX w. sytuacja zaczęła się zmieniać (choć działo się to powoli). Na kilku uniwersytetach ze Wschodniego Wybrzeża wchodzących w skład Ivy League — w tym na Yale i Dartmouth — zorganizowano kluby wspinaczkowe. Największy i najbardziej wpływowy z takich klubów powstał w 1924 r. przy Uniwersytecie Harvarda i to właśnie dzięki niemu Charlie Houston i Bob Bates stali się częścią opisywanej tu historii.

Charles Houston (znany jako Charlie) urodził się w 1913 r. w Nowym Jorku. Jego ojciec był odnoszącym sukcesy prawnikiem specjalizującym się w prawie morskim, natomiast jego matka pochodziła ze starej szkockiej rodziny, która kilka pokoleń wcześniej osiedliła się na amerykańskim Południu. Charlie dorastał na Long Island i chodził do prestiżowej Hotchkiss School. Po raz pierwszy zasmakował wspinaczki jako dwunastolatek, gdy w ramach wakacji ojciec zabrał całą rodzinę w Alpy. Po rozpoczęciu studiów na Harvardzie w 1931 r. Charlie został członkiem klubu wspinaczkowego i szybko zaczął spędzać weekendy, wspinając się w pobliskich kamieniołomach.

Bob Bates wywodził się z akademickiej części amerykańskiej klasy średniej. Jego ojciec, profesor greki na Uniwersytecie Pensylwanii, uwielbiał spędzać czas na świeżym powietrzu; matka chłopaka — nauczycielka, która została gospodynią domową — podzielała pasję męża. Batesowie spędzali miesiące letnie w Górach Białych w New Hampshire i pozwalali swoim dzieciom włóczyć się po okolicznych lasach. Bob spotkał Charliego na Harvardzie na początku lat 30. XX w. Po tym, jak w 1933 r. wybrali się razem na pierwszą poważniejszą wyprawę na Mount Crillon na Alasce, nawiązała się między nimi przyjaźń, która miała przetrwać całe ich życie. Obaj traktowali Alaskę jako świetne miejsce do treningu, a także teren, na którym mogli się wykazać ambicjami i umiejętnościami. Charlie Houston należał do pierwszych zdobywców Mount Foraker, natomiast Bob Bates wraz z innym wychowankiem Harvardu, Bradem Washburnem, dokonali pierwszego wejścia na Mount

Lucania w kanadyjskim Jukonie (choć kosztowało ich to mnóstwo wysiłku).

Bob nigdy nie wspinał się poza granicami Stanów Zjednoczonych, natomiast Charlie był już w 1938 r. himalajskim weteranem. Dwa lata wcześniej wraz z dwoma kumplami z Harvardu, Farniem Loomisem i H. Adamsem Carterem, mieli czelność poprosić brytyjskie władze o zgodę na zorganizowanie wyprawy na Kanczendzongę, trzecią pod względem wysokości górę na świecie, a gdy ich prośba została odrzucona, zaczęli się starać o pozwolenie, dzięki któremu mogliby się wspiąć na Nanda Dewi. Była to jedna z najwyższych i najświętszych gór Indii — mierzyła 7816 m n.p.m., była otoczona przez niezwykle trudną do pokonania barierę złożoną z innych szczytów i uchodziła za jeden z najbardziej wartościowych celów w świecie wspinaczki górskiej. Już samo dotarcie do podnóży tej góry było niezwykle trudne, a Amerykanie postanowili zdobyć jej szczyt; zapewnili sobie też wsparcie dwóch słynnych postaci świata wspinaczkowego — Brytyjczyków Billa Tilmana i Noela Odella. Ci chłopcy z Harvardu mogli być niedoświadczeni, ale bez wątplenia nie brakowało im pewności siebie.

Chociaż ostatecznie to Odell i Tilman zdobyli Nanda Dewi, zaledwie 23-letni Charlie Houston po powrocie do Stanów Zjednoczonych uchodził już za jednego z czołowych amerykańskich wspinaczy. W 1937 r. był główną gwiazdą dorocznego spotkania American Alpine Clubu; podobny status miał też emigrant z Niemiec, Fritz Wiessner. Charlie wygłosił prelekcję na temat swoich przygód w Himalajach, podczas gdy Fritz przypomniał dramatyczną historię pierwszego wejścia na Mount Waddington w Kanadzie. Wówczas żaden z nich nie zdawał sobie z tego sprawy, ale w ciągu kolejnych dziesięcioleci ich losy miały się ze sobą ściśle spleść, a centralnym punktem ich przeznaczenia miał się stać K2.

Pod względem charakteru i stylu całkowicie się od siebie różnili. Charlie był niski, krępy i miał na głowie mnóstwo kręconych włosów; cechowały go również przenikliwe spojrzenie i poważna atmosfera, jaką wokół siebie roztaczał.

Fritz był o 13 lat starszy, miał wyraźną łysinę i szeroką klatkę piersiową. Charlie był anglofilem, a jego wspinaczkowi bohaterowie byli na wskroś brytyjscy; akcent i zachowanie Fritza jednoznacznie wskazywały na to, że wywodzi się z Niemiec. Charlie odziedziczył rodzinną fortunę, natomiast Fritz liczył na to, że zarobi miliony w Nowym Świecie.

Obaj byli niezwykle utalentowani, ale nie było wątpliwości, że to Fritz jest lepszym technicznie wspinaczem. Już na początku lat 30. XX w. był powszechnie znany w Niemczech, a teraz podbijał amerykańską scenę wspinaczkową, upowszechniając nowe techniki i pokazując amerykańskim wspinaczom wspinałe (acz ignorowane) góry znajdujące się na ich własnym podwórku. Fritz był typem organizatora i tryskał entuzjazmem. Przez całe życie uwielbiał inspirować i zachęcać młodych wspinaczy, a także organizować górskie wyprawy. W 1932 r., trzy lata po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych, pomagał w organizacji pierwszej niemieckiej ekspedycji na Nanga Parbat, liczący 8126 m n.p.m. szczyt, który miał przejść do historii jako „góra przeznaczenia” Niemców. Fritz zabrał też na tę wyprawę dwoje Amerykanów: Elizabeth Knowlton, dziennikarkę i jedną z czołowych amerykańskich wspinaczek, oraz Randa Herrona, potomka bardzo bogatej rodziny, który niewiele wcześniej zainteresował się wspinaniem. Ekspedycja nie była szczególnie udana, ale pozwoliła Fritzowi zapoznać się z kapryсами himalajskiej pogody i zapewniła mu pierwsze doświadczenia związane ze wspinaczką na dużej wysokości.

Cztery lata później, w 1936 r., próbował zorganizować wyprawę American Alpine Clubu na Nanga Parbat, ale nie otrzymał stosownego pozwolenia od brytyjskich władz kontrolujących dostęp do tego regionu. Zgodę na wspinaczkę otrzymała już kolejna ekspedycja austriacko-niemiecka, która nie życzyła sobie konkurencji na górze. W tej sytuacji Fritz postanowił obrać ambitniejszy cel i za pośrednictwem American Alpine Clubu złożył prośbę o pozwolenie na wspinaczkę na K2. Tym razem Brytyjczycy wyrazili ostatecznie

zgode, ale podjęcie decyzji zabrało im tyle czasu, że gdy wreszcie przyznali pozwolenie, Fritz miał już inne plany.

Od niemal 10 lat próbował rozkręcić swoją firmę i wszystko wskazywało na to, że rok 1938 będzie bardzo pracowity. Wiessner był z wykształcenia chemikiem i prowadził w Niemczech niewielką sieć aptek, a teraz starał się uruchomić w Ameryce fabrykę, w której produkowałby wosk do nart. Ponieważ American Alpine Club długo i wytrwale lobbował, starając się uzyskać pozwolenie na zorganizowanie wyprawy na K2, nie chciał teraz rezygnować i przedstawił w związku z tym plan będący swoistym kompromisem. W 1938 r. wysłałby na K2 ekspedycję, która miałaby za zadanie przeprowadzić rekonesans i znaleźć drogę prowadzącą na szczyt, a w kolejnym roku Fritz pojechałby tam z głównym zespołem. Wszyscy zgadzali się co do tego, że najlepszą osobą, jaka mogłaby stanąć na czele takiej wyprawy rekonesansowej, będzie Charlie Houston.

Charlie skwapliwie skorzystał z okazji. Był zachwycony wyprawą na Nanda Dewi i marzyły mu się kolejne przygody. Wiedział od swoich brytyjskich przyjaciół, że dopóki imperium wciąż rządzi na Wschodzie, żadna amerykańska ekspedycja nie otrzyma zgody na działalność na Mount Evereście, tak więc K2 wciąż pozostawał najambitniejszym wyzwaniem dla wspinaczy spoza Wielkiej Brytanii. Teraz Charlie potrzebował tylko skompletować zespół.

Pierwszą osobą, do której się zwrócił, był Bob Bates. Choć Bob dopiero co rozpoczął nową pracę jako wykładowca i ciężko pracował nad swoim doktoratem, natychmiast zgodził się wziąć udział w wyprawie. Przez pewien czas obaj rozważali zaproszenie kogoś z grona brytyjskich wspinaczy — być może znów Billa Tilmana lub Freddy'ego Spencera Chapmana, znanego ze swoich wypraw na Grenlandię. Jak się jednak okazało, żaden z nich nie był w tym okresie dyspozycyjny, więc Charlie i Bob zwrócili się do dwóch Amerykanów, z którymi już wcześniej rozmawiał Fritz: Dicka Burdsalla, członka amerykańskiego zespołu, który w 1932 r. wspiął się na Minya

Konka w Chinach, a także Tony'ego Cromwella, wiernego sojusznika American Alpine Clubu. Cromwella zatrzymały zobowiązania rodzinne, ale Dick Burdsall zgodził się przyłączyć do wyprawy.

Charlie starał się włączyć do zespołu również Farniego Loomisa, kolejnego wspinacza związanego z Harvardem, a zarazem członka wyprawy, która w 1936 r. działała na Nanda Dewi. Farnie początkowo się zgodził, lecz po kilku tygodniach okazało się, że jednak nie może jechać — w tej sytuacji wysunął kandydaturę Paula Petzoldta, cenionego przewodnika górskiego prowadzącego firmę przewodnicką w Parku Narodowym Grand Teton. Paul — który określał samego siebie mianem „kowboja z Wyoming” — bardzo różnił się pod względem pochodzenia i wykształcenia od reszty ekipy, ale Loomis tak bardzo ufał umiejętnościom wspinaczkowym Petzoldta, że zaproponował pokrycie kosztów jego udziału w wyprawie.

Znalezienie ostatniego członka zespołu okazało się najtrudniejszym zadaniem. W sytuacji, w której wyprawy przewidziane na 1938 i 1939 r. kompletowały swoje składy w tym samym czasie, Charlie Houston i Fritz Wiessner rywalizowali o najlepszych wspinaczy — obaj starali się pozyskać Billa House'a, niezwykle silnego 25-latką i byłego przewodniczącego klubu wspinaczkowego w Yale. Bill był partnerem Fritza podczas pierwszego wejścia na Mount Waddington, ale Charlie chciał włączyć go do swojej wyprawy rekonesansowej. Choć sytuacja, w której te same osoby wchodziłyby w skład obu wypraw, była jak najbardziej logiczna, ze względu na ogromne nakłady finansowe i czasowe trudno było sobie wyobrazić, że House lub jakikolwiek inny wspinacz będzie dostępny przez dwa kolejne lata. Pytanie brzmiało zatem: do której wyprawy przyłączy się Bill?

Pomimo wzajemnego szacunku, jakim Charlie i Fritz darzyli się jako wspinacze, nigdy nie czuli się komfortowo w swoim towarzystwie, a rywalizacja o Billa House'a tylko pogłębiła ten problem. Gdy w 1936 r. Charlie otrzymał pozwolenie

umożliwiający wyjazd na Nanda Devi, władze American Alpine Clubu zachęcały go, by włączył do swojego zespołu Fritza. Charlie odrzucił tę sugestię, argumentując, że Niemiec nie będzie pasował do angielsko-amerykańskiego zespołu^[2]. Z kolei Fritz zmieniał co chwilę zdanie na temat Charliego — wspinał się z nim, jeździli razem na nartach i uważał go za przyjaciela, lecz nigdy nie byli sobie szczególnie bliscy.

Ostatecznie Bill House przyłączył się do wyprawy rekonesansowej zaplanowanej na 1938 r., ale chociaż tę konkretną bitwę udało się wygrać, Charlie Houston i jego prawa ręka, Bob Bates, w coraz większym stopniu zaczęli odczuwać, że Fritz Wiessner ich wykorzystuje. Mieli pojechać na K2 w 1938 r. i odwalić całą czarną robotę, a Wiessner miał tam wrócić rok później, dotrzeć ich drogą na szczyt i wrócić opromieniony całą chwałą. Charlie i Bob stwierdzili, że mogą temu zapobiec tylko w jeden sposób: zdobywając szczyt.

Gdy Charlie skompletował już swój zespół, musiał się zmierzyć z kolejnym wyzwaniem, które dotyczyło kwestii finansowych. Chociaż wyprawa rozpoznawcza zaplanowana na 1938 r. była „oficjalną” ekspedycją American Alpine Clubu, członkowie musieli samodzielnie pokryć koszty. W Wielkiej Brytanii zainteresowanie wspinaczką wysokogórską było tak duże, że wyprawy na Mount Everest były finansowane w znacznej mierze dzięki sprzedaży praw do publikacji doniesień prasowych londyńskiemu dziennikowi „The Times”. W Stanach Zjednoczonych ta aktywność nie budziła po prostu aż takiego zainteresowania, więc wspinacze, którzy chcieli się sprawdzić w górach wysokich takich jak Himalaje lub Karakorum, musieli być dobrze sytuowani lub mieć odpowiednie znajomości.

Charlie Houston pochodził z bogatej rodziny, ale wciąż studiował i był zależny finansowo od rodziców. Na szczęście dla Charliego, jego ojciec, Oscar, sam był głęboko zainteresowany wspinaniem; z perspektywy Oscara sytuacja była jednak o tyle korzystna, że Charlie z natury wykazywał się oszczędnością. Określił wysokość budżetu wyprawy na 9 tysięcy dolarów i

poprosił każdego z uczestników o taki wkład, na jaki ta osoba będzie sobie mogła pozwolić. Większość środków miały ostatecznie zapewnić artykuły prasowe, prelekcje oraz darowizny od prywatnych donatorów. W przeciwieństwie do księcia Abruzzów, który zatrudnił grupę pomocników i osób troszczących się o kwestie transportowe, Charlie i Bob musieli osobiście zająć się większością przygotowań.

Charlie, jak przystało na zdeklarowanego anglofila, zamówił większość ubrań i sprzętu w Wielkiej Brytanii: buty miała dostarczyć firma Roberta Lawriego z siedzibą niedaleko Marble Arch w Londynie, bielizna miała być uszyta z wełny szetlandzkiej, natomiast wiatroodporne ubrania stanowiące warstwę wierzchnią miały zostać wykonane ze specjalnej gabardyny w zakładach w Burnley w północnej Anglii.

Bob Bates zajął się gromadzeniem zapasów żywności. Jego gusty były bardziej eklektyczne: wybrał odporną na wysoką temperaturę czekoladę zwaną Javatex, suszone warzywa wytwarzane przez firmę z Massachusetts według utrzymywanego w tajemnicy przepisu, a także 23 kilogramy pemikanu z Danii. Pemikan — połączenie tłuszczu, suszonej wołowiny i rodzynek — od wielu lat stanowił podstawę diety wypraw arktycznych. Idealnie nadawał się też na prowiant ekspedycji zmierzającej pod K2, chociaż Bob obawiał się problemów, jakie mogły pociągać za sobą próby przemierzania hinduistycznych Indii z dużą ilością puszkowanej wołowiny. W związku z tym usunął z opakowań etykiety; od tego momentu puszki zawierały oficjalnie szpinak i dynię.

Z metody zastosowanej przez Boba podczas wyboru krakersów, które miały pojechać na wyprawę, dumni byliby ludzie polujący na czarownice w Salem: zrzucił ciastka z okna na drugim piętrze, by ocenić, jak bardzo się kruszą, a potem zostawiał je na noc na deszczu w celu sprawdzenia, jak szybko rozmiękną. Ostatecznie zamówił 45 kilogramów krakersów jednej marki — wybrał ciastka, które były odporne na wilgoć, a zarazem łatwo się łamały. Skrzynka z przysmakami na specjalne okazje była niewielka, ale luksusowo wyposażona:

zawierała cztery porcje brytyjskiego puddingu bożonarodzeniowego, dwie puszki kawioru, opakowanie wędzonych śledzi i dwie butelki rumu.

Po pięciu miesiącach wypełnionych intensywnymi przygotowaniem, 14 kwietnia 1938 r.^[3] cały zespół spotkał się wreszcie w Nowym Jorku na pożegnalnym przyjęciu, w którym brali udział przyjaciele i krewni wspinaczy. Fritz Wiessner został zaproszony, ale nie zdołał dotrzeć. O północy uczestnicy wyprawy wsiedli na pokład okrętu SS Europa zmierzającego do Francji, gdzie mieli się przesiąść na statek płynący do Indii. Chociaż całą tę kolację sfinansował Oscar Houston, jego syn Charlie nie wziął w niej udziału. Ze względu na zbliżające się egzaminy na studiach medycznych miał zamiar ruszyć w podróż drogą lotniczą kilka tygodni później i spotkać się z resztą zespołu w Rawalpindi w północnych Indiach.

Podróż do Europy była doskonałą okazją do zacieśnienia więzi łączących członków wyprawy. Bob Bates szybko zaprzyjaźnił się z Billem House'em i Dickiem Burdsallem, ale chociaż wszyscy dokładali starań, by Paul Petzoldt dobrze się czuł w ich towarzystwie, samozwańczy „kowboj z Wyoming” doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jest outsiderem. Wysoki, obdarzony kanciastą żuchwą Petzoldt nie tylko pasował wizualnie do tej roli — on naprawdę wiódł takie życie. Dorastał wśród wiejskich terenów w stanie Idaho i był synem ubogiego farmera, który zmarł, gdy Paul był małym dzieckiem; w tej sytuacji matka Paula musiała samotnie poradzić sobie z wychowaniem dziewięciorga dzieci. Podczas gdy Charlie i Bob — „nababowie ze Wschodu”, jak określał ich Petzoldt — odbierali wykształcenie w najlepszych szkołach i na najlepszych uniwersytetach w kraju, on sam pracował w zależności od sytuacji jako pracownik prosekutorium, szuler, kowboj i hotelowy pomywacz^[4]. W 1922 r., gdzieś pomiędzy wykonywaniem dorywczych prac, wspiął się na pierwszy szczyt, Grand Teton, i natychmiast odkrył swoją niszę oraz pasję.

Gdy Petzoldt otrzymał od Charliego Houstona propozycję przyłączenia się do wyprawy na K2, natychmiast się zgodził, ale dokuczał mu fakt, że jest o wiele uboższy od innych członków ekspedycji. To odczucie wcale się nie zmniejszyło, gdy tuż przed wyjazdem znalazł wśród dokumentów wyprawowych niepodpisaną notatkę American Alpine Clubu zawierającą pytanie o to, czy „pakowacz i przewodnik z Wyoming” będzie dysponował wystarczającymi kompetencjami społecznymi, by poradzić sobie podczas planowanych spotkań z członkami podobnych klubów górskich działających w Wielkiej Brytanii i Francji.

Jak się okazało, gdy tydzień później uczestnicy wyprawy spotkali w Paryżu Pierre’a Allaina, przewodniczącego CAF (Club Alpin Français), Petzoldt doskonale sobie radził. Za jego szorstką powierzchownością skrywało się dużo więcej inteligencji, niż większość ludzi mogłaby się spodziewać; nie był też osobą, która odczuwałaby przesadny respekt — czy to wobec chłopców z Harvardu, czy też w stosunku do wielkich gór lub przewodniczących klubów górskich.

To właśnie CAF był organizatorem ostatniej dużej wyprawy działającej w Karakorum — dysponującej sporym budżetem ekspedycji, która miała w swoim składzie niezwykle doświadczonych wspinaczy i próbowała w 1936 r. zdobyć Gaszerbrum I, jednego z niższych sąsiadów K2. Wyprawa zakończyła się kląpą, gdy potężna nawałnica uwięziła wspinaczy na dwa tygodnie w ich namiotach. Kiedy członkowie klubu usłyszeli o planowanej wyprawie na K2, w której w ich mniemaniu miała wziąć udział banda amerykańskich żółtodziobów, byli bardzo sceptycznie nastawieni i żartowali sobie, że ekspedycja zabiera ze sobą zdecydowanie za dużo prowiantu, ponieważ nie wytrzyma tak długo na miejscu.

Młodzi Amerykanie nie połknęli haczyka, a gdy skończyli żartobliwe przekomarzania z francuskimi kolegami, odwiedzili lokalny sklep wspinaczkowy i zakupili tam torbę haków, uważanych wówczas przez Europejczyków za niezbędny element wyposażenia każdego zespołu działającego w górach.

Wkrótce potem Bates i jego towarzysze pojechali pociągiem do Marsylii, gdzie wsiedli na pokład SS Comorin, okrętu zmierzającego do Indii.

W Bombaju przeznaczycyli trochę czasu na ostatnie zakupy — potrzebowali kupić liny wspinaczkowe. Na bazarze było mnóstwo lin, ale żadna z nich nie była wcześniej sprawdzana pod kątem wytrzymałości. Jediną metodą, by przetestować linę, było przywiązanie jednego końca próbnego odcinka do czegoś solidnego i przerzucenie drugiego końca przez dźwigar; potem wszyscy próbowali uwiesić się na tej drugiej końcówce. Pierwszych kilka próbek nie wytrzymało połączonego ciężaru trzech dobrze odżywionych Amerykanów, ale Bob Bates znalazł ostatecznie jeden typ liny, który cechował się odpowiednią wytrzymałością, po czym zakupił kilkaset metrów takiego sznura.

Po krótkim i nieoczekiwanym spotkaniu z dwoma członkami najnowszej niemieckiej wyprawy, która stawiała sobie za cel zdobycie szczytu Nanga Parbat, Amerykanie wsiedli do pociągu Frontier Mail zmierzającego do Rawalpindi. 9 maja spotkali się z Charliem Houstonem, który po egzaminach na studiach medycznych i podróży do Indii nie był raczej szczególnie wypoczęty. W ciągu dwóch nerwowych tygodni pokonał Atlantyk na pokładzie Queen Mary, przeleciał z wieloma przystankami z Londynu do Karaczi, po czym przez 12 godzin jechał pociągiem przez rozpaloną pustynię Sindh. Nikt nie mógł wątpić w to, jak bardzo zależy mu na tej wyprawie.

W Rawalpindi Amerykanie spotkali też ostatnich członków zespołu: Normana Streatfielda, brytyjskiego oficera, który został przypisany do ich wyprawy przez władze kolonialne i miał się zajmować kwestiami transportowymi, a także sześciu Szerpów. Streatfield był wysokim, radosnym Szkotem. Podczas francuskiej wyprawy na Gaszerbrum I w 1936 r. pełnił dokładnie taką samą funkcję i od samego początku dał jasno do zrozumienia, że chce być pełnoprawnym członkiem zespołu wspinaczkowego. Ze swojej strony uzupełnił ekwipunek

wyprawy o duży krąg sera stilton oraz przenośną gumową wannę.

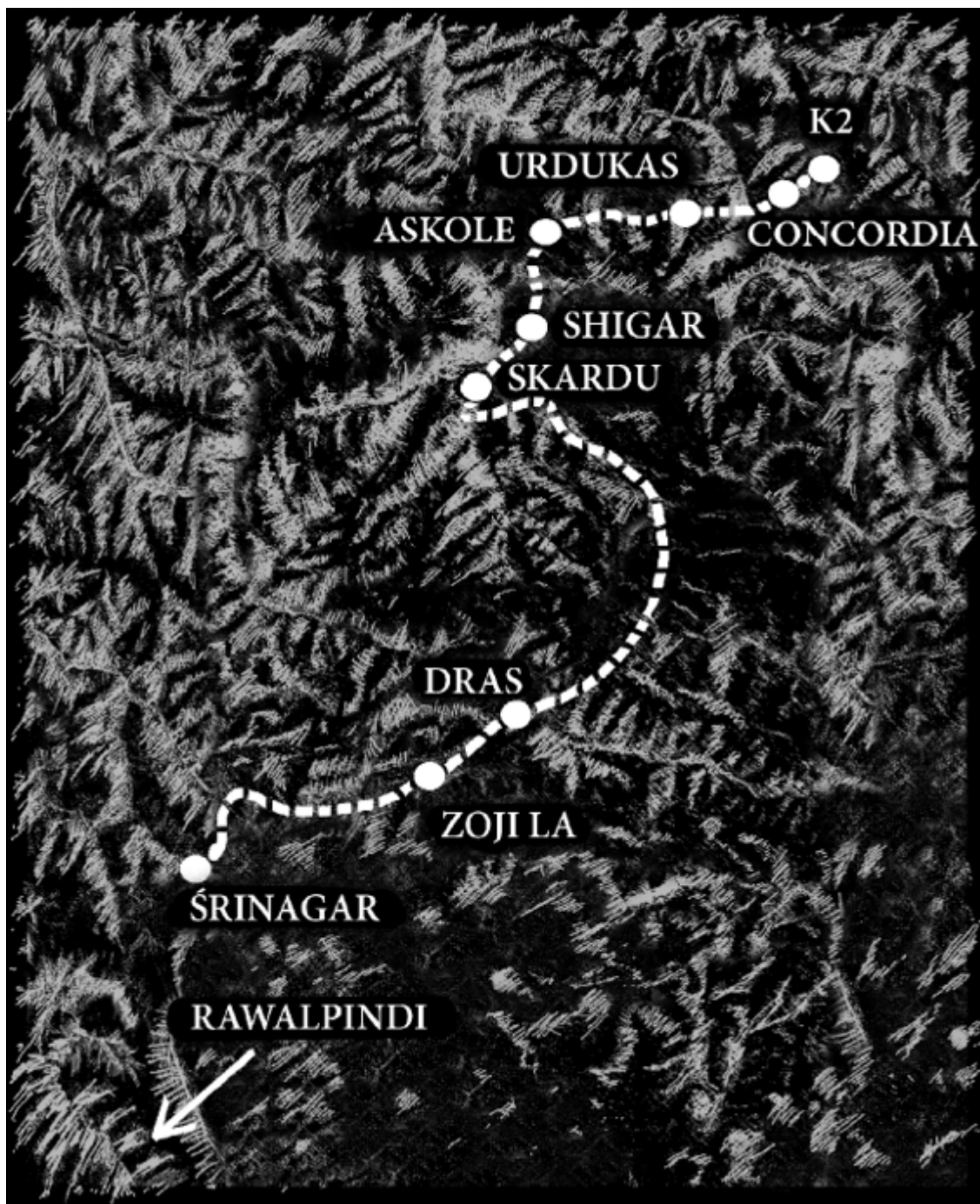
Szerpowie pochodzili z Dardżylingu, oddalonego o wiele kilometrów miasta w północno-wschodniej części Indii Brytyjskich. To była pierwsza sytuacja, w której zatrudniono ich do pracy na K2, ale w połowie lat 30. XX w. byli już kluczowymi uczestnikami wszystkich wypraw ruszających w Himalaje. Szerpowie — dosłownie „ludzie ze Wschodu” — pochodzili z Tybetu, lecz w trakcie wcześniejszych 300 lat migrowali przez Himalaje do Nepalu. Wielu z nich wzięło potem udział w drugiej fali migracji i w poszukiwaniu pracy przeniosło się do Dardżylingu. Byli niezwykle silni i wytrzymali, a w ciągu dwóch dekad poprzedzających tę wyprawę dali się poznać najpierw jako normalni tragarze, a potem jako swego rodzaju elita tragarzy wysokościowych, których zadanie polegało na transportowaniu ekwipunku po tym, jak wspinacze odprawili już większość lokalnych kulisów. Dwóch z sześciu Szerpów, którzy pojawili się w Rawalpindi, uczestniczyło w 1936 r. na wyprawie Charliego na Nanda Dewi, a jeden, Pasang Kikuli, był wówczas jego „osobistym” Szerpą.

Houston miał zamiar trzymać się tej samej trasy co książę Abruzzów i Eckenstein, podążając z Rawalpindi do Śrinagaru, stolicy Kaszmiru, następnie przez Baltistan do Askole, a na koniec w górę lodowca Baltoro aż pod K2. Tym razem zamiast tłoczyć się w *ekka* lub powozach, w celu pokonania liczącej 290 kilometrów trasy do Śrinagaru wynajęli dwa duże samochody i ciężarówkę. Po wielu godzinach spędzonych na wyboistych drogach, dotarli do hotelu Nedou położonego o kilka kilometrów od słynącego z urody jeziora Dal. Wokół rozciągały się lasy sosnowe i łąki pokryte kwiatami, ale nie było czasu na podziwianie widoków lub zwiedzanie. Najważniejszym zadaniem było rozładowanie zapasów i ekwipunku. Inaczej niż książę Abruzzów, który wysłał swój ekwipunek z Europy w postaci gotowych ładunków połączonych w większe pakiety, Amerykanie musieli rozdzielić na miejscu 4 tony zapasów na

25-kilogramowe porcje dla każdego z tragarzy, a także poskładać wiele drewnianych skrzynek.

Wspinacze poczuli ulgę, gdy okazało się, że niemal wszystko, co postanowili ze sobą zabrać, przetrwało podróż bez szwanku; straty były naprawdę niewielkie. Dwukilogramowa puszka z dżemem eksplodowała, pokrywając słodką masę wszystko, co znalazło się w pobliżu, a nieprzewiewny, wykończony futrem strój Charliego Houstona był pokryty lepkiem miodem, który wyciekł z uszkodzonego pojemnika. Trudno się dziwić, że właściciel ubrania nie był zachwycony tym faktem.

Trzy dni później członkowie wyprawy wyjechali z Śrinagaru dwiema ciężarówkami, mając przed sobą ostatnie 29 kilometrów zdatnej do użytku drogi. Później na ostatnich 530 kilometrach drogi prowadzącej pod K2 wszystkie ładunki musiały być niesione albo przez kuce, albo przez tragarzy. Nawet doświadczony brytyjski oficer, który zajmował się transportem i towarzyszył Amerykanom przez cały czas trwania podróży, nie zdołał ich uchronić przed licznymi problemami z lokalnymi tragarzami. Na moście Woyyil, gdzie kończyła się droga, zostali powitani przez tłum właścicieli kuców oferujących swoje usługi, natomiast uliczni handlarze próbowali sprzedawać im świecidełka. Drobnymi złodziejami przez cały czas wypatrywali czegoś, co można byłoby niezauważenie podwędzić.



Mapa 2. Droga lądowa prowadząca pod K2

Po przeznaczeniu kilku chwil na robienie zdjęć i kręcenie filmów, członkowie wyprawy ruszyli w dalszą drogę w chmurze pyłu; towarzyszyło im 25 kuców, a każde ze zwierząt miało przytroczone do grzbietu po trzy ładunki. Oprócz świeżo zatrudnionego myśliwego o jakże trafnym nazwisku Ghaffar

Sheikh, na ich liście płac znajdował się także kucharz wyprawy, Ahdoo, oraz służący, który miał gotować samemu kucharzowi. Bob Bates stwierdził później drwiąco w książce opisującej tę wyprawę, *Five Miles High*: „W Indiach każdy służący ma swojego służącego”^[5]. Z perspektywy Batesa i Houstona, którzy wychowali się na dziełach Rudyarda Kiplinga, wielkiego powieściopisarza Indii Brytyjskich, cała ta wyprawa miała magiczny charakter. Nagle stali się bohaterami powieści przygodowych ze swojego dzieciństwa i przemierzali krainę, która sprawiała wrażenie, jak gdyby nie zmieniała się od wieków.

W ramach pierwszego odcinka podróży pokonali 27 kilometrów, co było dobrym początkiem. Każdemu członkowi zespołu przydzielono „osobistego” Szerpę pełniącego funkcję pomocnika obozowego. Początkowo młodzi Amerykanie czuli się z tego powodu nieco zakłopotani, ale w ciągu pierwszego tygodnia jeden po drugim przyzwyczajali się do roli „sahibów”. Po długim dniu wypełnionym marszem trudno było odmówić uśmiechniętemu służącemu, który proponował rozstawienie namiotu, rozpakowanie śpiwora, przygotowanie kubka herbaty lub nawet pomoc w zdjęciu butów.

16 maja, po trzech dniach wędrówki, ekspedycja dotarła do osławionej i niecierpliwie wyczekiwanej przełęczy Zoji La, która pozwala przekroczyć zachodnie Himalaje, znajduje się na wysokości 3528 m n.p.m., łączy Kaszmir z Baltistanem i od stuleci była ważnym punktem na mapie szlaków handlowych prowadzących przez Orient. Zimą i wiosną była niemożliwa do pokonania; trafiały się takie lata, kiedy nawet w maju karawany musiały czekać tygodniami, nim zdołały ją przekroczyć.

Na całe szczęście Zoji La wyglądała całkiem bezpiecznie, chociaż tamtego dnia istniało spore zagrożenie lawinowe. W tej sytuacji cała grupa zaczęła i dopiero po północy ruszyła w górę stromą ścieżką otoczoną przez wysokie, czarne ściany skalne; drogę oświetlały pochodnie i nikłe światło księżyca. Gdy

Bob Bates szedł po śniegu chrzęszczącym pod jego butami i spoglądał na długie karawany zmierzające z Indii do Tybetu z ładunkami herbaty oraz kosztownych dywanów, poczuł, jak cofa się w czasie. To wrażenie towarzyszyło mu również następnego dnia, gdy w dolinie Dras mijali kamień, na którym niemal 80 lat wcześniej brytyjski geodeta Henry Haversham Godwin-Austen wyrył swoje inicjały i datę, „H.H.G.-A. 1861-2-3”.

Podobnie jak uczestnicy wcześniejszych wypraw Eckensteina i księcia Abruzzów, Bob Bates również był zaskoczony tym, jak bardzo krajobraz Baltistanu różni się od widoków typowych dla Kaszmiru. Nie wędrowali już wśród bujnej roślinności i malowniczych jezior; zamiast tego pokonywali klaustrofobiczne doliny, nad którymi wznosiły się gigantyczne góry. Tę monotonię przerywała jedynie od czasu do czasu jakaś wioska Baltów, przyklejona do zbocza i niezmiennie otoczona zagajnikami drzew morelowych. Bob był zafascynowany lokalnymi systemami nawadniającymi, które składały się z setek metrów rowów i kanałów wykutych ręcznie w skale. Ścieżki między wioskami były równie imponującymi świadectwami kunsztu inżynieryjnego — wiodły zygzakami wzdłuż tych samych ścian skalnych, czasami na wysokości rzeki, kiedy indziej dziesiątki lub setki metrów ponad wartko płynącą wodą.

W miarę upływu dni Charlie Houston, lekarz i lider wyprawy, musiał sobie radzić z niezliczonymi pęcherzami, ponaciąganymi ścięgnami i sińcami, ale do jedyne go poważnego wypadku doszło w chwili, w której jeden z kuców wpadł do wody, a ładunek niesiony przez to zwierzę popłynął w dół rzeki. Ahdoo, kucharz wyprawy, urządził taką scenę, że przez kilka przerażających chwil Bob Bates sądził, iż stracili wszystkie cenne maszynki do gotowania; jak się jednak okazało, skrzynka zawierała pościel kucharza. Dla tego mężczyzny była to poważna strata, ale z perspektywy pozostałych członków wyprawy nie był to aż tak wielki problem. Odetchnęli z ulgą i od tego momentu starannie dbali o

to, by kluczowe elementy ekwipunku były porozdzielane między pakunki niesione przez różne kuce.

Wioski Baltów niezmiennie prezentowały się dużo bardziej ujmująco z większej odległości niż z bliska, kiedy to zapachy robiły zazwyczaj silniejsze wrażenie niż to, co rejestrowały oczy. Chociaż mieszkańcy mijanych wsi wiedli egzystencję, która w praktyce sprowadzała się do walki o przetrwanie, lokalna ludność niezmiennie była bardzo serdeczna, hojna i żywo zainteresowana dziwnymi obcokrajowcami, którzy nagle pojawili się w wiosce. Charlie Houston często był proszony o otwarcie swojej apteczki i zorganizowanie improwizowanej przychodni lekarskiej. Powszechnie spotykaną dolegliwością były tu infekcje oczu; szokująco duża liczba wieśniaków miała też bardzo powiększone tarczycy — w okolicach górskich była to częsta przypadłość wynikająca z niedoboru jodu.

Po niemal dwóch tygodniach wyprawa Houstona dotarła wreszcie do Skardu, stolicy Baltistanu. Był to półmetek ich podróży, a także ostatnie miasto połączone ze światem zewnętrznym linią telegraficzną, więc uczestnicy wyprawy urządzili sobie kilkudniowy postój. Bob Bates przesłał artykuł do redakcji londyńskiego „Timesa”, a Charlie Houston spędzał czas na pisaniu listów. Norman Streatfield, wspierający wyprawę oficer zajmujący się kwestiami transportowymi, zakupił zapas herbaty i mąki, a także wielką skrzynię, którą wypełnił 34 kilogramami monet; taki zapas pieniędzy pozwalał opłacić usługi licznych tragarzy, których trzeba było wynająć na kolejny odcinek podróży. Bob Bates był zaskoczony tym, że na lokalnym bazarze miał możliwość kupienia resztek wyposażenia francuskiej wyprawy na Gaszerbrum I; rozczarowaniem było dla niego z kolei to, iż w sprzedaży nie było żadnego lokalnego piwa.

Po 48 godzinach przeznaczonych na odpoczynek karawana Houstona wyjechała i wymaszerowała ze Skardu, by zmierzyć się z ostatnim odcinkiem trasy prowadzącej pod K2. Od tego momentu nie mogli już liczyć na luksusy. Najważniejszym zadaniem było przeprawienie się wraz z końmi na drugą stronę

grzmiącego Indusu — ogromnej rzeki, która miejscami osiąga ponad 19 kilometrów szerokości, ma swoje źródła w Tybecie i płynie przez Kaszmir do Karaczi, by na koniec wpaść do Morza Arabskiego. Jedynym rozwiązaniem była przeprawa na pokładzie dużej, rozpadającej się barki; ponoć tego rodzaju jednostki zaczęto stosować w czasach Aleksandra Wielkiego. Sternicy odmawiali modlitwę, a następnie ruszali przed siebie w szaleńczym tempie, walcząc z silnym prądem. Gdy dobijali do przeciwległego brzegu, barka znajdowała się jakieś 800 metrów w dół biegu rzeki w stosunku do punktu, z którego wypłynęli.

W Yuno, drugiej napotkanej wsi, ekspedycja pożegnała się z kucami. Od tego momentu cały sprzęt musieli nieść wyłącznie ludzie, co oznaczało, że będzie trzeba wynająć dużo więcej tragarzy. Jedyne problemy polegały na tym, że mieszkańcy Yuno, których próbowali zatrudnić Amerykanie, nie chcieli się zgodzić na oficjalną stawkę i żądali dwukrotnie wyższego wynagrodzenia. Eckenstein i książę Abruzzów bardzo dobrze dogadywali się z tragarzami z Baltistanu, ale 30 lat później amerykańska wyprawa spotkała się z dużo bardziej buntowniczymi nastrojami. Imperium brytyjskie, nad którym nigdy nie zachodziło słońce, zaczynało chwiać się w posadach. Kampanie nieposłuszeństwa obywatelskiego organizowane przez Mahatmę Gandhiego mogły nie dotrzeć bezpośrednio do Baltistanu, ale Houston szybko uzmysłowił sobie, że tubylcy po prostu nie chcą się „płaszczyć” przed przybyszami z Zachodu, bez względu na to, czy towarzyszy im brytyjski oficer łącznikowy.

To, co rozpoczęło się jako spór handlowy, szybko przerodziło się w pełną napięcia (choć nieco komiczną) konfrontację, podczas której sześciu niezadowolonych Baltów przyszło do amerykańskiego obozu, by żądać wyższych stawek, podczas gdy Pasang Kikuli i jego Szerpowie wyciągnęli czekany oraz kukri, słynne zakrzywione nepalskie noże, i błagali, by pozwolono im zaatakować tubylców. Gdy zabłąkany kamień trafił w jeden z amerykańskich namiotów, Paul Petzoldt rzucił go z powrotem

tam, skąd przyleciał, a mieszkańcy Yuno uciekli, grożąc, że wrócą z bronią w ręku.

Charlie Houston nie był przekonany, czy ten incydent rzeczywiście może doprowadzić do rozlewu krwi, ale nie chciał narażać ekwipunku wyprawy na uszkodzenia; wcale nie zależało mu również na tym, by ekspedycja przez resztę podróży zmagać się z opóźnieniami. Streatfield był skłonny nieznacznie podnieść stawki tragarzy, ale jako oficer zajmujący się oficjalnie kwestiami transportowymi nie chciał tworzyć precedensu i całkowicie ulegać żądaniom tubylców. W tej sytuacji zamiast decydować się na kolejną konfrontację, zaproponował, że wraz z Bobem Batesem wrócą do Skardu po pomoc lokalnych władz. Jediną metodą, by szybko tam dotrzeć, było stawienie czoła wezbranym wodom rzeki Shigar; tę przeszkodę należało jednak pokonać na pokładzie tratwy, która wyglądała na jeszcze bardziej prymitywną konstrukcję niż barki używane w trakcie przeprawy przez Indus. Na szczęście Bates często brał na Alasce udział w spływach tratwami, więc to wyzwanie nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Kapitan Streatfield również był gotów zmierzyć się z tą przygodą, więc ruszyli w drogę, zagrzewani do boju przez resztę wspinaczy.

Gdy Bates i Streatfield dotarli do Skardu, zaoferowano im omlety oraz zrozumienie. Co ważniejsze, następnego dnia ruszyli w drogę powrotną w towarzystwie policjanta, który miał aresztować przywódców strajku i przekonać mieszkańców Yuno do pracy na rzecz sahibów. Dwa dni później dotarli z powrotem do obozu, akurat na czas, by uczcić 25. urodziny Billa House'a ryżem i rumem popijanym z niewielkich kubków. Następnego ranka Charlie starał się zorganizować wczesny wymarsz, ale pomimo obecności funkcjonariusza policji (który, jak zanotował Charlie, miał ze sobą „robiący wrażenie dokument i jeszcze bardziej imponującą pałkę”), Streatfield zdołał zwerbować jedynie 44 tragarzy. W tej sytuacji wyprawa została zmuszona do zostawienia 24 ładunków — miały one ruszyć w dalszą drogę, gdy tylko uda się znaleźć ludzi, którzy chcieliby je nieść.

Marsz do następnej wioski, Folio, wymagał pokonania w pionie ponad 1800 metrów; droga wiodła ścieżkami otoczonymi przez wysokie szczyty. Wódz tamtejszego plemienia powitał ich, twierdząc, że są pierwszymi białymi ludźmi, którzy pojawili się tam od 25 lat. Charlie Houston został zabrany do członka plemiennej starzyzny, który zmagął się z bardzo poważnym przypadkiem zapalenia rogówki oraz spojówek i błagał, by odcięto mu opuchnięte powieki. Amerykanin odradził starcowi podejmowanie tak drastycznych działań, ale poza przycięciem rzęs i podaniem mu środków przeciwbólowych nie mógł zbyt wiele dla niego zrobić. Wśród uczestników wyprawy też pojawiła się zresztą choroba — Paul Petzoldt zmagął się z wysoką gorączką, która zdaniem Charliego była wynikiem dźwignia wcześniejszego dnia ciężkiego ładunku.

Zanim dotarli do Askole, ostatniej wioski przed K2, gorączka Petzoldta wzrosła do 40 stopni Celsjusza, a chory nie był w stanie iść. Charlie podał mu aspirynę i czuwał przy nim przez całą noc, lecz gorączka nie chciała ustąpić. Petzoldt nie był w stanie kontynuować wędrówki pod K2 i nie było pewności, ile czasu będzie potrzebował na powrót do zdrowia — o ile w ogóle wyzdrowieje. Później, po powrocie do Stanów Zjednoczonych i rozmowach ze specjalistami, Charlie doszedł do tego, że Petzoldt przypuszczalnie zmagął się z dengą, ale póki co student trzeciego roku medycyny był mocno skołowany.

Nie było rady: chory musiał zostać wraz z Charliem w tyle za resztą wyprawy, podczas gdy Bob Bates i inni mieli podążać dalej pod K2. W razie szybkiego powrotu do zdrowia Petzoldt mógłby razem z Houstonem spróbować dogonić towarzyszy. Gdyby nie wyzdrowiał — cóż, o takiej ewentualności woleli nawet nie myśleć. Charlie podjął decyzję bez jakiegokolwiek żalu, choć czuł się ogromnie przygnębiony. Po tym, jak przeznaczył tyle miesięcy na organizowanie całej wyprawy, mogło się okazać, że nie zobaczy nawet K2. Aby nie zaprzętać sobie głowy tą kwestią, Charlie zajął się licznym gronem pacjentów, których dolegliwości zaczynały się od bólów brzucha dokuczających komuś od 15 lat, a kończyły na

najbardziej zaawansowanych przerostach tarczycy, jakie widział dotychczas w trakcie tej wyprawy.

Rankiem 6 czerwca Bob i pozostali członkowie ekspedycji opuścili Askole wraz z grupą 50 świeżo zatrudnionych tragarzy. W trakcie minionych trzech tygodni pokonali niemal 435 kilometrów, ale ostatnie 95 kilometrów wiodących do bazy pod K2 prowadziło przez teren trudniejszy od wszystkiego, co dotychczas napotkali, a do tego wymuszało również zdobycie w pionie kolejnych 2100 metrów. Krajobraz nie był jedynym problemem; zaledwie dzień po opuszczeniu Askole Amerykanie po raz drugi w ciągu kilku tygodni stanęli w obliczu strajku tragarzy i wysuwanych przez nich żądań dotyczących podwyższenia stawek. Ponieważ nikt nie chciał powtarzać wcześniejszego dodatkowego powrotu do Skardu, Streatfield odrzucił żądania miejscowych, a determinacja lokalnej ludności okazała się na szczęście słabsza niż w przypadku tragarzy z Yuno. Po uzgodnieniu niewielkiej podwyżki ekspedycja ruszyła w dalszą drogę.

Po trzech dniach od opuszczenia przez wyprawę Askole Bob Bates ujrzał wreszcie lodowiec Baltoro. Licząca 63 kilometry „autostrada pod K2” nie wyglądała wcale komfortowo — była poprzecinana lodowatymi strumieniami, pokryta skałami bardzo różnych rozmiarów, a do tego nie było wcale łatwej drogi, która pozwalałaby podróżować lodowcem. Bob odnotował później, że Baltoro przypominał wielkiego gada, który nieustannie na nich czyhał. Gdy trzeba się było wspiąć na strome moreny prowadzące na powierzchnię lodowca, przerażeni tragarze zbijali się w grupkę i odmawiali modlitwy. Oprócz trzech szkieletów koziorożców nie napotkali żadnych śladów życia; początkowo nie było też żadnej roślinności. Odgłosy docierające do wędrowców ograniczały się do huku lawin kamiennych spadających z pobliskich zboczy, a także łoskotu wydawanego przez ogromne głazy, które na pozór bez żadnego powodu odrywały się od lodowca i stoków pobliskich gór, by następnie ruszyć w kierunku śmiałków zmierzających pod K2. Podobnie jak Filippo de Filippi w 1909 r. młodzi

Amerykanie ze zdumieniem obserwowali dziwaczne „okręty lodowe”, które wyrastały pośrodku lodowca niczym skrzyżowanie gigantycznych kłków i żagli.

W połowie drogi wiodącej przez Baltoro wyprawa rozbiła obóz w Urdukasie, zielonej oazie naprzeciwko turni Trango — spektakularnej grupy szczytów, które zdawały się wznosić pionowo nad lodowcem. Ponieważ członkowie wyprawy znajdowali się na wysokości 4000 m n.p.m., widok zboczy pokrytych drobnymi górskimi kwiatami budził niedowierzanie i zapewniał mile widzianą ulgę.

Wszyscy spędzali popołudnie, leniuchując na trawie, gdy Pasang Kikuli dostrzegł coś na lodowcu poniżej nich. Przez cały dzień wypatrywali koziorożców i jeszcze bardziej nieuchwytnego irbisa śnieżnego, ale zauważone stworzenia miały najwyraźniej po dwie, a nie po cztery nogi. Dick Burdsall wyciągnął swoją lornetkę i skierował ją w stronę poruszających się punktów; ku zaskoczeniu wszystkich zgromadzonych byli to Charlie Houston i Paul Petzoldt, który rzucał się z daleka w oczy za sprawą czerwonej, kraciastej koszuli. Jego ciało mierzące ponad 180 centymetrów wzrostu sprawiało wrażenie wyraźnie wychudzonego, ale gdy przybysze dołączyli do swoich kolegów, Paul upierał się, że wraca do zdrowia; potwierdził to zresztą, pochłaniając kilka kubków herbaty, garść ciastek i trochę sera, a następnie pytając, co jest tego wieczoru na kolację.

Jeśli nie liczyć Amerykanów, jedyną dużą wyprawą, która działała tamtego roku w Karakorum, byli Brytyjczycy próbujący zdobyć Maszerbrum, liczący 7821 m n.p.m. wierzchołek znajdujący się dalej w górę lodowca. Wśród uczestników tej wyprawy znajdował się T. Graham Brown, niezwykle doświadczony wspinacz, którego Charlie Houston spotkał po raz pierwszy w Alpach 11 lat wcześniej, kiedy sam był jeszcze nastolatkiem. Gdy przemierzali się wzdłuż lodowca, Charlie liczył na to, że zdoła zobaczyć Maszerbrum, ale na szczęście nikt nie planował złożenia odwiedzin w bazie drugiej wyprawy. Brytyjczycy przeżywali bardzo trudne chwile: zmagali się z

potworną pogodą i odmrożeniami. Z pewnością nie byłaby to wizyta, która podniosłaby amerykański zespół na duchu.

Po sześciu dniach mozolnej wędrówki, 11 czerwca wyprawa dotarła wreszcie do Concordii, niesamowitego naturalnego amfiteatru, w którym lodowiec Baltoro krzyżuje się z lodowcami Godwina-Austena i Vignego. Wokół nich wznosiły się gigantyczne szczyty, które zrobiły tak ogromne wrażenie na Aleisterze Crowleyu — Mitre Peak, Czogolisa, Golden Throne, masyw Gaszerbrum, Broad Peak... jedyny problem polegał na tym, że dzień był tak pochmurny, że nie mieli możliwości zobaczenia żadnej z tych gór.

Ich pierwsze spotkanie z K2 było dosyć krótkie. Gdy zmierzali w górę Lodowca Godwina-Austena, wysokie chmury rozstąpiły się na kilka krótkich minut, odsłaniając widok na wierzchołek. Bob Bates napisał później, że jego pierwszą reakcją było szczere zdumienie:

Wyglądał nieziemsko, jak coś niebiańskiego, oglądanego we śnie^[6].

Zaduma Batesa nie trwała długo. Wkrótce chmury zakryły widok, a uczestników wyprawy zaczęły nękać bóle głowy związane z pobytem na dużej wysokości.

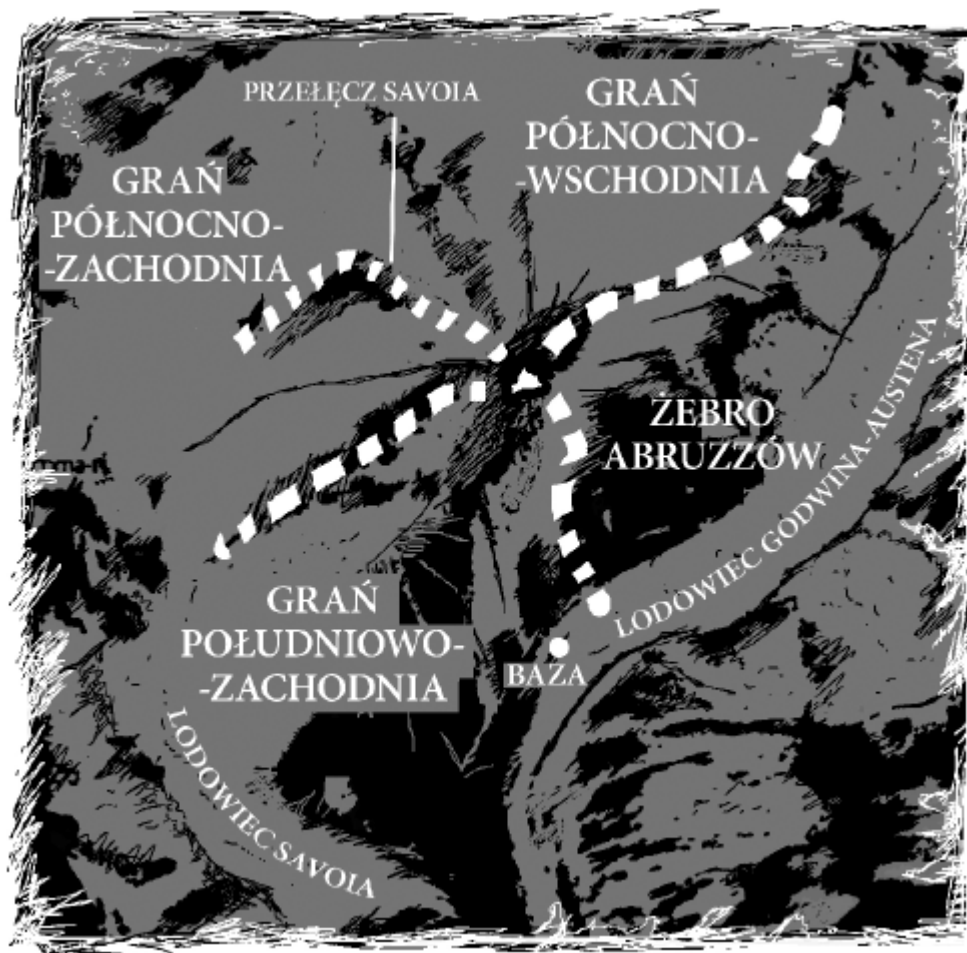
Chociaż nie postawili jeszcze nogi na K2, znajdowali się już powyżej poziomu wszystkich europejskich szczytów i większości alaskańskich gigantów. Ich baza położona na wysokości 5060 m n.p.m. składała się z kilku ustawionych blisko siebie namiotów rozbitych w obniżeniu terenu, jakieś kilkaset metrów w górę Lodowca Godwina-Austena. Wspomniane miejsce nie oferowało może luksusów, ale było przynajmniej osłonięte od wiatru i wydawało się, że nie zagrażają mu gigantyczne lawiny, które schodziły z pobliskich gór, beztrąsko rozrzucając wokół wiele ton skał i śniegu.

Dla nikogo nie było zaskoczeniem, że tragarze z Askole bardzo ucieszyli się z możliwości wyruszenia w drogę powrotną; równie przewidywalne było to, iż nie przepuścili okazji, by potargować się o dodatkowy bakszysz. Bob Bates

zadbał o wypłacenie kilku „wiernym” tragarzom hojnych napiwków, lecz podczas rozliczania się z tymi, którzy sprawiali problemy, wykazywał się skąpstwem. Tuż przed odejściem tragarzy Streatfield zorganizował wszystko tak, by wrócili za 45 dni. Aby mieć pewność, że pojawią się w wyznaczonym terminie, wręczył ich przywódcy 45 kamieni i powiedział, iż codziennie ma wyrzucać jeden z nich, a w dniu, w którym pozbędzie się ostatniego kamyka, tragarze mają się pojawić z powrotem w bazie. Około godziny siedemnastej tragarze ruszyli w drogę powrotną, pozostawiając Amerykanów i ich Szerpów „samym sobie”^[7].

Gdy Charlie ocenił sytuację, był przyjemnie zaskoczony tym, jak sprawnie przebiegła pierwsza połowa wyprawy. Zdołali okrążyć niemalże połowę kuli ziemskiej i nie przytrafiło im się żadne poważniejsze nieszczęście. Wydawało się, że zespół dobrze się zgrał, a chociaż tajemnicza choroba Petzoldta wciąż budziła niepokój, wyglądało na to, iż „kowboj z Wyoming” już wyzdrowiał, natomiast wszyscy pozostali byli najwyraźniej zdrowi i w dobrej formie.

Teraz mieli nieco ponad sześć tygodni, by dogłębnie poznać górę, a jeśli będzie taka możliwość, wspiąć się również na jej szczyt. Po zapoznaniu się z przebiegiem wyprawy księcia Abruzzów oraz zaznajomieniu się ze zdjęciami Selli, Charlie i Bob doszli do wniosku, że istnieją cztery granie, którym warto się przyjrzeć. Żadna z nich nie wyglądała tak, jak gdyby prowadziła tamtędy łatwa droga wspinaczkowa, ale Amerykanie nie brali w ogóle pod uwagę pomysłu pokonywania gigantycznych ścian K2: podobnie jak książkę Abruzzów i Eckenstein, Houston i Bates uznali, że panuje tam zbyt duże zagrożenie lawinowe, by próbować się tamtędy wspiąć.



Mapa 3. Granie wokół K2

Spośród czterech grani to właśnie północno-zachodnia była zdaniem Amerykanów tą najbardziej obiecującą. Książę Abruzzów zapatrywał się pesymistycznie na próby wspinaczki tą drogą, ale szczegółowa analiza zdjęć Selli pokazała, że skała jest tam nachylona pod większym kątem, co powinno ułatwiać znajdowanie chwytów, a co za tym idzie, samą wspinaczkę. Kolejną zaletą grani północno-zachodniej było to, że zaczynała się ona na wysokości 6700 m n.p.m., a zatem do szczytu pozostawało niecałe 2000 metrów w pionie. Z drugiej strony dotarcie do początku grani wymagało pokonania w pionie ponad 900 metrów i dotarcia do stromej przełęczy Savoia, nazwanej tak przez wyprawę księcia Abruzzów na cześć rodziny księcia, dynastii sabaudzkiej (wł. Casa di Savoia). Ponieważ Włosi dotarli tam w 1909 r. dwukrotnie, Bates i

Houston zakładali, że nie będzie to dla nich zbyt wielkim wyzwaniem.

14 czerwca cały zespół wyruszył gromadnie ku pierwszemu obranemu celowi. Wszyscy mieli ze sobą lekkie plecaki, by nie przeciążać organizmów, ale droga i tak nie była łatwa. Lodowiec Savoia biegnący wzdłuż zachodniej flanki K2 pokryty był licznymi szczelinami; łatwo było również zniszczyć cienkie, śnieżne mostki umożliwiające pokonywanie owych szczelin. Jedyna płaska powierzchnia, która była na tyle duża, by pomieścić ich namioty, znajdowała się pośrodku labiryntu szczelin i rozpadlin; w tej sytuacji obozowisko sprawiało wrażenie dosyć niebezpiecznego. Po udzieleniu pomocy związanej z rozstawianiem namiotów i skonsumowaniu szybkiego popołudniowego posiłku, Bob Bates i Norman Streatfield pożegnali się z towarzyszami i wrócili ze wszystkimi Szerpami do bazy po wschodniej stronie ściany, pozostawiając na barkach kompanów obowiązek rozpoczęcia właściwego rekonesansu.

Zwiad nie ułożył się pomyślnie. Gorączka Petzoldta powróciła, uniemożliwiając mu opuszczenie namiotu. Charlie i inni wyruszyli na lodowiec, ale pół godziny później zaczął padać śnieg. Ponieważ wspinacze bardzo chcieli rozpocząć wreszcie działalność górską, nie rezygnowali, lecz po kolejnych dwóch godzinach burzy śnieżnej zmuszeni byli do odwrotu.

Następny dzień był bardziej udany. Pogoda się poprawiła, a Petzoldt utrzymywał, że wyzdrowiał, i rwał się do działania; w tej sytuacji Amerykanie postanowili przenieść obóz w bezpieczniejsze miejsce, wyżej na lodowcu. Powyżej — być może w odległości zaledwie kilku godzin marszu — znajdowała się przełęcz Savoia pozwalająca dotrzeć na grań północno-zachodnią. Tej nocy temperatura spadła do -17 stopni Celsjusza, ale maszynki do gotowania mruczące w zaciszu namiotów oraz kolejne porcje herbaty sprawiały, że nikt nie odczuwał nadmiernego dyskomfortu.

Bill House liczył na to, że jeśli kilka najbliższych dni okaże się szeregiem sukcesów, być może zdołają założyć bazę

wysuniętą w okolicach przełęczy. Jego optymizm okazał się jednak nieuzasadniony. Kolejnego ranka House ruszył w kierunku przełęczy, lecz okazało się, że zbocza, które obserwowane z większej odległości wydawały się możliwe do pokonania, obejmowały odcinki o nachyleniu 55 – 60 stopni, co sprawiało, że praktycznie nie dało się tam wspinać^[8]. Sytuację utrudniał dodatkowo fakt, że pod cienką warstwą śniegu znajdował się lity, zielony lód, który można było pokonać tylko w jeden sposób: wycinając setki stopni. Nawet gdyby zdołali dotrzeć na przełęcz, było oczywiste, że ta droga nigdy nie będzie wystarczająco bezpieczna dla ich Szerpów — zwłaszcza, że wyprawa nie miała raków dla swoich tragarzy.

Gdy następnego dnia wszyscy członkowie wyprawy spotkali się ponownie w bazie, nikt nie miał dobrych wiadomości. Petzoldt przyjrzał się południowo-zachodniej grani, ale nie wyglądała ona na teren nadający się do wspinania. Według Batesa grań południowo-wschodnia również sprawiała wrażenie bardzo stromej. Bates razem ze Streatfieldem wybrali się również dalej w górę Lodowca Godwina-Austena, by przyrzeć się ostatniej możliwości, czyli grani północno-wschodniej, lecz nim do niej dotarli, pogoda na tyle się pogorszyła, że grań nie była nawet widoczna.

Pierwszy tydzień pobytu pod K2 okazał się brutalną konfrontacją z rzeczywistością. Góra była bardziej stroma, noce zimniejsze, a pogoda gorsza, niż ktokolwiek się spodziewał. Chociaż jednak wspinaczom nie dopisywało szczęście, nie mieli zamiaru się poddawać. Skoro północno-zachodnia grań okazała się nieprzystępna, postanowili skupić całą uwagę na wschodniej części K2. 21 czerwca ruszyli w kierunku podnóża grani południowo-wschodniej, szukając namiotu ze sprzętem zostawionego kilka dni wcześniej przez Batesa. Aby uczcić włoskiego księcia i jego wyprawę z 1909 r., Amerykanie nazwali tę formację Żebrem Abruzzów. Wczesnym popołudniem rozlokowali się bezpiecznie w namiocie i zadowoleni odesłali Szerpów do bazy.

Przez cały okres trwania wyprawy wszyscy byli zdumieni niezwykłym apetytem Paula Petzoldta; ten wieczór nie był w tej kwestii wyjątkiem. Podstawą diety uczestników ekspedycji był duński pemikan, sprytnie przemycony przez Boba. Pemikan był zazwyczaj rozpuszczany w wodzie i jedzony jako gęsta zupa. Niestety, taka mieszanina rzadko kiedy zapewniała poczucie sytości, tak więc trzeba ją było uzupełniać sporymi porcjami krakersów. Bob Bates, skąpy kwatermistrz, obliczył, że każdemu wystarczy 100 gramów pemikanu, ale Petzoldt zaprotestował i w ramach udowadniania swoich racji zjadł na spółkę z Billem House'em 450 gramów pemikanu — panowie pochłonęli tę porcję oprócz tego, co normalnie im przysługiwało. Bates podszedł do tej rywalizacji w kwestii jedzenia z uśmiechem i dopełnił ten posiłek swoimi ulubionymi balladami z Alaski oraz długimi ustępami z *Klubu Pickwicka* Charlesa Dickensa.

Petzoldt i House, pełni energii po swoich wieczornych ekscesach żywieniowych, następnego ranka wspięli się na grań po przeciwnej stronie lodowca, by lepiej przyjrzeć się południowo-wschodniej grani K2. Z tego, co udało im się zobaczyć, jej pierwsze 2100 metrów było w istocie szeregiem skalnych filarów przeplatanych stromymi kuluarami lodowymi. Mniej więcej na wysokości 7600 m n.p.m. grań się kończyła, przechodząc w długie, bardziej płaskie ramię. Powyżej znajdowała się piramida szczytowa położona na tyle wysoko, że przez większą część czasu pozostawała ukryta wśród chmur.

To wszystko nie wyglądało łatwo, ale jedyną metodą, by prawidłowo ocenić trudności, było obejrzenie ich z dużo mniejszej odległości. Bill House i Charlie Houston postanowili zatem ruszyć granią w kierunku szczytu. Po zdobyciu w pionie mniej więcej 300 metrów, zatrzymali się na pierwszym płaskim kawałku terenu i natrafili tam na stare kawałki drewna — pozostałości skrzynek wniesionych tam w 1909 r. przez tragarzy włoskiej wyprawy. Zachwyty Charliego związany ze znalezieniem tych resztek został przytłumiony świadomością tego, że znakomita grupa alpejskich przewodników towarzyszących wówczas księciu stwierdziła, iż grani nie da się

pokonać. Szybko zrozumiał, z czego wynikał ten osąd: teren był niemiłosiernie stromy i nie było widać żadnych miejsc, w których można byłoby potencjalnie zakładać kolejne obozy.

W ciągu 30 lat, które upłynęły od czasów ekspedycji księcia Abruzzów, kolejne brytyjskie wyprawy na Mount Everest doprowadziły do wykształcenia nowego podejścia dotyczącego wspinaczki w górach wysokich. Nikt poza ekscentrykami (lub wizjonerami) w rodzaju Aleistera Crowleya nie wierzył już w to, że istnieje możliwość szybkiego zdobywania takich szczytów; miejsce tej koncepcji zajęła koncepcja „oblegania góry” i wspinania się etapami, co pozwalało stopniowo przyzwyczajać się do wysokości^[9]. Charlie Houston przewidywał założenie na K2 przynajmniej dziewięciu, a może i dziesięciu obozów; każdy kolejny miał się znajdować mniej więcej 300 metrów wyżej od poprzedniego lub w odległości odpowiadającej połowie dnia wspinaczki. Gdyby nie udało się znaleźć względnie płaskich miejsc, w grę wchodziło wyrąbywanie półek w lodzie lub budowanie z luźnych skał platform pod namioty. Wiadomo było jednak, że takie działania na dużej wysokości będą wyczerpujące.

Wieczorem 23 czerwca nastroje w bazie były mało entuzjastyczne. Paul Petzoldt znów zmagał się z gorączką, a Charlie Houston obawiał się, że ich towarzysz nie będzie już w stanie kontynuować wspinaczki. Wcześniej tego dnia Petzoldt uporał się z trudnym lodowym urwiskiem, ale w trakcie powrotu do bazy doznał częściowej zapaści. Przygnębienie było tak powszechne, że wspinacze postanowili obalić cenną butelkę rumu Demerara; ponury nastrój udzielił się nawet zawsze pogodnym Szerpom.

Następnego dnia zamiast podejmowania kolejnych prób na drodze księcia Abruzzów, Charlie podzielił wspinaczy i wysłał Boba Batesa z powrotem na zachodnią stronę K2, by jeszcze raz przyjrzał się grani północno-zachodniej; on sam podjął próbę dotarcia do grani północno-wschodniej, która wywołała frustrację wyprawy Eckensteina w 1902 r. Obydwa zespoły

wróciły do bazy zniechęcone i z pustymi rękami. Gdy Charlie pisał 27 czerwca list do rodziców, miał tylko złe wieści:

Muszę przyznać, że ta góra jest większa i bardziej wymagająca, niż którykolwiek z nas wcześniej sądził — a do tego, żeby dotrzeć gdziekolwiek wyżej, potrzebny będzie zespół lepszy od naszego i dysponujący dużo większą ilością czasu niż to, co nam jeszcze zostało^[10].

28 czerwca wspinacze przeprowadzili naradę wojenną. Wszyscy zgodzili się co do tego, że nie ma sensu podejmować kolejnych starań, które pozwoliłyby się wspiąć na przełęcz Savoia. Konieczność rezygnacji z prób dotarcia na przełęcz, którą Włosi zdobyli dwukrotnie, wprawiała Amerykanów w zakłopotanie, ale istniała możliwość, że w trakcie tych trzech dekad lodowiec się przesunął, przez co zbocze prowadzące w kierunku przełęczy zrobiło się dużo bardziej strome. Uczestnicy ekspedycji mogli jeszcze teoretycznie obejść górę i przyjrzeć się jej od północnej strony, lecz obiecali władzom indyjskim, że nie będą przekraczać granicy z Chinami, a poza tym opis Francisca Younghusbanda o „niewyobrażalnie wysokiej górze (...) okrytej warstwą litego lodu mierzącą od czterech do pięciu kilometrów wysokości” nie brzmiał wcale bardziej zachęcająco.

Dyskusja koncentrowała się zatem wokół możliwości związanych z graniami wschodnimi. Charlie Houston chciał podjąć kolejną próbę ataku na granią północno-wschodnią, ale Bill House utrzymywał, że powinni jeszcze raz spróbować wspinaczki Żebrem Abruzzów, czyli granią południowo-wschodnią. Wciąż sprawiała ona wrażenie najbardziej oczywistej drogi prowadzącej na szczyt, a nawet gdyby nie udało im się znaleźć płaskiego terenu pod obozy, mieli do dyspozycji cały miesiąc — w razie potrzeby czasu wystarczyłoby również na wyrąbanie szeregu platform pod namioty. Bob Bates i Norman Streatfield nie podchodzili ze zbyt wielką nadzieją do żadnej z tych dwóch opcji.

Ostatecznie udało się uzgodnić plan: wspinacze mieli najpierw zaopatrzyć obóz u podnóża Żebra Abruzzów, a

następnie postarać się ze wszystkich sił znaleźć jakąś drogę prowadzącą do góry. Gdyby ich próba zakończyła się fiaskiem, wszyscy mieli się przenieść na grań północno-wschodnią, a jeśli i ona okazałaby się niemożliwa do przebycia, należałoby się pogodzić z tym, że K2 nie uda się zdobyć — a przynajmniej nie w tym roku.

Jak gdyby w ramach aprobaty planów wspinaczy — lub może po to, by trochę bardziej namieszać im w głowach — los obdarzył ich kilkoma dniami pięknej pogody, dzięki czemu udało się przetransportować lodowcem ogromną liczbę ładunków i założyć bazę wysuniętą u stóp Żebra Abruzzów. Później, gdy wydawało się, że wszystko układa się tak, jak powinno, 1 lipca doszło do nieoczekiwanej katastrofy. Członkowie wyprawy zostawili 15-litrowy, blaszany pojemnik z benzyną pod dużą skałą, by chronić paliwo przed działaniem promieni słonecznych. Zgodnie z założeniem, paliwo stało przez cały czas w cieniu i w chłodzie. Tego samego nie można było jednak powiedzieć o gładzie, który stanowił osłonę dla blaszanego pojemnika. Po kilku godzinach słońce wytopiło lód utrzymujący w miejscu ten blok skalny, a gład przewrócił się, miażdżąc blaszany pojemnik. Cenne paliwo, które z niego wyciekło, wsiąkło w śnieg.

Po trzech tygodniach działań rekonesansowych był to poważny problem. Jedynym sposobem, by zdobyć dodatkowe paliwo, było pokonanie całej drogi z powrotem do Skardu, co w ogóle nie wchodziło w grę. Wyprawa dysponowała taką ilością paliwa, by jakoś sobie poradzić, ale nie mogła już sobie pozwolić na żadne błędy. Wspinacze górscy, podobnie jak żołnierze, działają dzięki temu, co trafia do ich żołądków; bez paliwa nie można było ani gotować, ani wytapiać wody do picia, co stanowiło jeszcze poważniejszy problem.

Istniała tylko jedna szansa. Przypominając sobie o wyprawie, która w 1936 r. obrała za cel pobliski Gaszerbrum I, kapitan Streatfield powiedział towarzyszom, że przed wyjazdem Francuzi ukryli w swojej bazie trochę paliwa. Przypuszczalnie wszystkie zapasy zostały już do tego czasu

splądrowane, ale istniała niewielka szansa, że paliwo wciąż się tam znajduje. Gdyby go nie było, Streatfield sugerował wysłanie kilku Szerpów na dół, do Askole, by przynieśli drewno na opał. Nie było możliwości, by korzystać z niego w trakcie wspinaczki, ale można byłoby nim przynajmniej palić w bazie.

Streatfield ruszył w drogę na czele niewielkiej grupki tragarzy, podczas gdy Bill House i Paul Petzoldt mieli przypuścić ostatni atak na Żebro Abruzzów. Żaden z nich nie żywił zbyt wielkiej nadziei, ale tym razem im się poszczęściło, gdy Petzoldt dostrzegł niewielki, płaski skrawek zaśnieżonego terenu po drugiej stronie skalistej grani, na wysokości około 5890 m n.p.m. Nie była to wielka platforma, ale oferowała na tyle dużo miejsca, by można tam było rozstawić trzy namioty.

Tej nocy nastroje w bazie wysuniętej były zupełnie inne niż dotychczas. Po raz pierwszy od niemal trzech tygodni udało się osiągnąć jakiś postęp. Wspinacze wciąż mieli przed sobą mnóstwo pracy, ale skoro znaleźli miejsce pod pierwszy obóz na grani, która wyglądała na niemożliwą do zdobycia, istniała szansa, że zdołają zlokalizować inne podobne miejsca. Nawet gdyby nie udało im się pokonać w tym roku całej drogi prowadzącej na szczyt, sporym osiągnięciem byłoby już dokładne rozpoznanie Żebra Abruzzów, a może nawet dotarcie do Ramienia.

Wydarzenia kilku kolejnych dni zdawały się usprawiedliwiać świeżo odkryty optymizm. 3 lipca Bates i Houston wynieśli do góry zapasy jedzenia na ponad tydzień, natomiast House i Petzoldt kontynuowali wspinaczkę, szukając miejsca, w którym mogliby założyć trzeci obóz. W trakcie następnego tygodnia pokonywali stopniowo kolejne odcinki grani, zakładając następne obozy i instalując w najtrudniejszych miejscach liny poręczowe.

Nie było to wcale łatwe zadanie. Utrzymująca się przez cały czas stromizna Żebra Abruzzów uprzykrzała życie zarówno prowadzącym wspinaczom, jak i tym, którzy podążali ich śladami. W przypadku tak dużej ilości kruszyzny na górze, nie dało się uniknąć lawin kamiennych, więc wszystkie osoby

znajdujące się pod najwyżej położonym zespołem musiały nieustannie mieć się na baczności. Jak gdyby ta kwestia nie stanowiła wystarczającego problemu, zaczęła się również zmieniać pogoda.

6 lipca Petzoldt i House wycofali się do bazy wysuniętej, wyczuwając zbliżającą się burzę. To było rozsądne posunięcie: tej nocy musieli stawić czoła najsilniejszej nawałnicy, z jaką mieli dotychczas do czynienia pod K2. Gwałtowne porywy wiatru szarpały ich namiotami, uniemożliwiając sen. Nad ranem wiatr osłabł, ale wszyscy byli tak wyczerpani, że postanowili zrobić sobie dzień odpoczynku — wyjątkiem był niezmordowany Charlie Houston, który uparł się, że zejdzie do bazy po dodatkową porcję zapasów. Jak gdyby chcąc potwierdzić swoją świetną formę fizyczną, pokonał tę drogę w dwie strony w rekordowym czasie trzech i pół godziny.

Następnego dnia Streatfield wrócił ze złymi i dobrymi wieściami: nie znalazł paliwa, natomiast zdołał wyszperać zdatne do spożycia francuskie przysmaki, które zasiliły spiżarnię wyprawy. Chociaż burza nie pozwoliła im opuścić obozu, pamiętnik Charliego Houstona jest dowodem na to, że w grupie dominowało pozytywne nastawienie.

8 lipca wiatr, który zażarcie atakował płótno namiotu przy akompaniamencie odgłosów przypominających ostrzał z broni palnej, uniemożliwił nam zdobywanie wysokości... Po południu zajęliśmy się cerowaniem ubrań, czytaniem Oxford Book of English Verse i układaniem planów dotyczących tego, jakie dania powinny się pojawić na stołach podczas oficjalnego spotkania członków wyprawy przewidzianego na przyszłą zimę^[11].

Dwa dni później wspinacze wrócili na Żebro Abruzzów; tym razem Houston stworzył zespół z Petzoldtem, biorąc na siebie obowiązek zdobywania kolejnych metrów. Jeżeli pierwsze 1200 metrów w pionie zasługiwało na miano „trudnych”, dalsza wspinaczka stawała się jeszcze bardziej skomplikowana. Mniej więcej na wysokości 6400 m n.p.m. możliwość dalszego

podążania granią blokowała iglica skalna wysoka na jakieś 25 metrów. Petzoldt musiał się wykazać nie lada umiejętnościami, by uporać się z tym wyzwaniem. Gdy już tego dokonał, ściągnął do siebie Houstona, po czym wspinali się dalej, dopóki nie zatrzymali się po raz drugi, tym razem przy czerwonych skałach widocznych z lodowca poniżej.

Petzoldt i Houston szukali jakiegoś obejścia tej przeszkody, ale nie znaleźli żadnego bezpiecznego rozwiązania, więc ostrożnie wycofali się po własnych śladach. Po dwóch tygodniach spędzonych pod K2 Charlie nauczył się, że nie warto się zbyt szybko poddawać. Skalna ściana mogła na pierwszy rzut oka sprawiać wrażenie niemożliwej do pokonania, ale zamiast walić głowami o tę przeszkodę lub wywiesić białą flagę, wspinacze założyli następny obóz, a następnie wrócili na dół, by przekazać to wyzwanie następnej parze, którą tworzyli Bob Bates i Bill House.

Bates i House chętnie podjęli się tego zadania i spędzili popołudnie na przyglądaniu się ścianie skalnej; rankiem 14 lipca pojawili się tam, uzbrojeni w 120 metrów liny i torbę pełną haków. Było za zimno, by zacząć działać naprawdę wcześniej, ale o 10 rano byli już u stóp ściany, przygotowując się do wspinaczki. House przejął prowadzenie, podczas gdy Bates zbudował stanowisko, wykorzystując w tym celu iglicę skalną blisko podstawy ściany; później skupił się na ważnym wydawaniu liny.

Jedyną drogą prowadzącą w górę była rysa pośrodku ściany; na dole była na tyle wąska, że dało się znaleźć chwyt i stopnie po którejś z jej stron, ale po jakichś sześciu metrach zaczynała się rozszerzać. Bill House szybko uświadomił sobie, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zaklinować w środku swoje ciało, opierając plecy o jedną stronę rysy, a nogi — o drugą. Potem powoli i mozolnie zaczął gramolić się do góry. Po jakichś 12 metrach wiercenia się i sapania znalazł niewielką półkę, na której był w stanie odpocząć, ale gdy spróbował wbić hak, by zapewnić sobie asekurację, okazało się, że skała jest zbyt twarda, a metal jest za miękki. Hak po prostu się zgiał.

House lakonicznie napisał w swojej relacji z wyprawy, że był wówczas „całkiem bliski” przekroczenia marginesu bezpieczeństwa. Bob asekurował go z dołu, robiąc użytek z czegoś, co sprawiało wrażenie solidnego stanowiska, ale nikt nie asekurował Billa z góry. Gdyby odpadł, w najlepszym razie skończyłoby się to połamanymi nogami. Bob Bates zawołał do prowadzącego, martwiąc się tym, że wspinaczka zajmuje tak dużo czasu; ostrzegł również Billa, iż powinien schodzić, ale ten uświadomił sobie, że dotarł do punktu, w którym dalsza wspinaczka była bezpieczniejsza niż próba odwrotu.

Na szczęście podjął właściwą decyzję. Po niecałych pięciu metrach rysa znów się zwięzła i można było znaleźć na tyle dobre stopnie, by zagwarantować sobie solidny punkt podparcia. Mniej więcej półtorej godziny po rozpoczęciu wspinaczki Bill House wciągnął się wreszcie na niewielką półkę i mógł spojrzeć w dół, na znajdującego się poniżej Boba Batesa. To był kluczowy moment tej wyprawy. W późniejszych latach ta rysa została nazwana Kominem House'a i jest na K2 odpowiednikiem Stopnia Hillary'ego z Mount Everestu. Późniejsze pokolenia wspinaczy miały podziwiać umiejętności i odwagę człowieka, który jako pierwszy pokonał tę formację. Na razie najważniejszą kwestią, jaką miał na głowie Bill, było jednak ściągnięcie na górę Boba. Ten ostatni pomimo górnej asekuracji przeklinał się, narzekał i był ogromnie szczęśliwy, gdy dotarł do końca komina i mógł pogratulować uśmiechniętemu partnerowi.

Znajdowali się teraz na wysokości 6675 m n.p.m., a zatem dotarli na K2 o ponad 400 metrów wyżej niż Włosi, aczkolwiek do szczytu wciąż brakowało im niemal dwóch kilometrów w pionie. W dole widzieli pokrytą kamieniami powierzchnię Lodowca Godwina-Austena wijącego się stopniowo coraz dalej od góry. Nad sobą mogli podziwiać następny poważny problem: długi fragment stromych, potrzaskanych skał ochrzczonych mianem Czarnej Piramidy. Po znalezieniu miejsca na obóz piąty i przymocowaniu liny do szczytu komina ruszyli w dół, do

wilgotnych wygod zapewnianych przez zostawione niżej namioty.

W ciągu kilku następnych dni uczestnicy ekspedycji kontynuowali niekończącą się sztafetę wypadów w górę i w dół. Bob Bates i Bill House zbudowali improwizowaną kolejkę linową i zaczęli wciągać jedzenie na górę komina, natomiast Charlie Houston i Paul Petzoldt przejęli prowadzenie i skupili się na zdobywaniu kolejnych metrów. Niespodziewaną atrakcją okazało się przybycie sporej porcji listów — poczta została dostarczona przez tragarzy, którzy przynieśli drewno z Askole. Nikt nie spodziewał się, że pośrodku Żebra Abruzzów będzie miał okazję przeczytać listy z rodzinnych stron.

Pierwszy od trzech miesięcy kontakt Billa House'a z Ameryką skłonił go do głębokich rozważań. Podobnie jak wszyscy inni, traktował listy od przyjaciół i krewnych niczym skarb i czytał je raz za razem, ale przypomnienie o domu miało zarówno dobre, jak i złe strony. Gdy człowiek zaczynał za dużo myśleć o ciepłych łóżkach, gorącym jedzeniu i — przede wszystkim — bezpieczeństwie dobrze znanego środowiska, łatwo było poczuć przygnębienie na myśl o tym, co działo się właśnie wkoło.

Z drugiej strony Bill uświadomił sobie jednak, że wieści ze świata zewnętrznego są istotnym czynnikiem pozwalającym skorygować perspektywę. Łatwo popaść w obsesję dotyczącą problemów, z jakimi człowiek ma właśnie do czynienia. W przypadku wyprawy na dużą górę w rodzaju K2, a także wszystkich wyzwań i zagrożeń towarzyszących działalności w takim miejscu, wspinacz może zapomnieć o tym, że istnieje też inny świat, w którym ludzie zmagają się z zupełnie odmiennymi problemami. Jeśli zestawić je z pytaniem o to, jak pokonać niezwykle stromą ścianę skalną, kłopoty „zwyczajnego świata” mogą się okazać równie zniechęcające; czasem bywają wręcz poważniejsze niż zmartwienia wspinaczy. Skoro zaś inni ludzie radzą sobie w życiu z pozornie niemożliwymi do pokonania trudnościami, być może wspinacz też mógłby dokonać tego samego.

To był właściwy moment, by wykazać się takim pozytywnym podejściem, gdyż wszyscy uświadomili sobie, że im wyżej docierają, tym trudniejsza staje się wspinaczka i tym bardziej dokucza im duża wysokość. Chociaż na drodze nie było już pojedynczej formacji równie wymagającej jak Komin House'a, Czarna Piramida stanowiła niesamowity labirynt potrzaskanych skał, zalodzonych żlebów i wysokich filarów skalnych. Dodatkowym czynnikiem skłaniającym do szybkiego działania była coraz bardziej niestabilna pogoda.

17 lipca wspinacze natrafili na tak gwałtowną burzę, że Houston i Petzoldt byli zmuszeni wrócić do swojego namiotu po pokonaniu zaledwie kilkuset metrów. Gdy dotarli do obozu, ich brody były pokryte lodem, a dłonie i palce u stóp — przemarznięte na kość. Pasang Kikuli, który kierował całą grupą Szerpów, miał dla Amerykanów ciepłe napoje i niezbyt pocieszające słowa. Stwierdził, że ta burza przypominała mu tę, którą przeżył w 1934 r. na Nanga Parbat, podczas najbardziej jak na tamten moment katastrofalnej wyprawy w dziejach himalaizmu.

W drodze powrotnej po nieudanej próbie ataku na Nanga Parbat, dziewiątą co do wysokości górę na świecie, austriacko-niemiecki zespół natrafił na fatalną pogodę. Ponieważ wspinacze nie byli przygotowani na taką sytuację, trzech Europejczyków i sześciu Szerpów zostało już w górach na zawsze; niektórzy z nich zmarli z głodu w obozach, które nie były zaopatrzone w wystarczającą ilość prowiantu. Nieco późniejsza, francuska wyprawa na pobliski Gaszerbrum I, zorganizowana w 1936 r., została zakończona po bezlitosnej burzy śnieżnej, która na dwa tygodnie uwięziła Francuzów w ich namiotach.

Kiepska pogoda na K2 nie utrzymała się zbyt długo, ale Charlie Houston odczuwał coraz większy niepokój. Był przekonany, że w którymś momencie oni również doświadczą przedłużającej się burzy i opadów śniegu — czy będą jednak mieli na tyle dużo jedzenia i paliwa, by zmierzyć się z żywiołem?

Pomimo wszystkich obaw, Charlie parł do góry. Dwa dni później wymienił z Paulem Petzoldem uściski dłoni na wysokości niemal 7500 m n.p.m., na szczycie Czarnej Piramidy, i przyglądał się z zachwytem innym gigantom Karakorum otaczającym K2. Później obydwaj postanowili spróbować szczęścia i korzystając z nadarżającej się okazji, kontynuowali wspinaczkę wśród potrzaskanego lodu, aż wreszcie zatrzymali się niecałe 100 metrów poniżej Ramienia, kulminacji Żebra Abruzzów, a zarazem jednego z niewielu miejsc na K2, gdzie nachylenie terenu staje się nieco mniejsze.

Wspinacze mieli przed sobą coś, co wyglądało na stosunkowo łatwy, śnieżny stok wyprowadzający na złożoną ze skał piramidę szczytową, która stanowiła ostatnie 600 metrów drogi na szczyt. Było już późno, więc zamiast pisać dalej i ryzykować zejście wśród zapadających ciemności, zawrócili wcześniej, zachwyceni wspaniałą wspinaczką tego dnia.

Bill House i Bob Bates czekający w obozie szóstym byli podekscytowani, gdy usłyszeli, czego dokonali ich towarzysze, lecz atmosfera przez cały czas pozostawała napięta. Był 19 lipca; wspinacze spędzili na K2 nieco ponad pięć tygodni i zostało zaledwie 10 dni do daty, kiedy w bazie mieli się pojawić tragarze, a cała ekspedycja miała ruszyć w długą drogę powrotną do Skardu.

Wspinacze mieli wystarczająco dużo jedzenia, by przetrwać jedną długą burzę, ale nie dysponowali już właściwie rezerwami na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń. Przed rozpoczęciem ekspedycji Houston otrzymał w Nowym Jorku wytyczne od władz American Alpine Clubu:

Przeprowadzić rekonesans grani góry, a gdyby pogoda na to pozwalała, podjąć atak szczytowy^[12].

W prywatnej korespondencji Fritz Wiessner poprosił Henry'ego Halla, przewodniczącego klubu, o wyraźne przekazanie Houstonowi „tego, że liczy się powrót bez ofiar w ludziach, a nie błyskotliwy sukces osiągnięty dzięki brawurze”^[13].

Według obliczeń Charliego Houstona wspinacze potrzebowali założyć jeszcze przynajmniej dwa obozy, nim mogliby przypuścić atak na szczyt. Do każdego z tych obozów należałoby dostarczyć zapasy jedzenia i paliwa na wypadek złej pogody. Aż do tego momentu w porównaniu do wyprawy Eckensteina z 1902 r. warunki były stosunkowo dobre, ale wyglądało na to, że pogoda robi się coraz bardziej niestabilna. Nawet gdyby czyste niebo utrzymało się na tyle długo, by umożliwić podjęcie ataku szczytowego, Charlie Houston obawiał się, że mogą natrafić na burzę w trakcie zejścia. Podczas wspinaczki zdołali sobie poradzić z — jak się wydawało — przeszkodami nie do pokonania, lecz wizja schodzenia Kominem House'a lub stromymi zboczami Czarnej Piramidy w zamieci śnieżnej budziła przerażenie Charliego.

Jeżeli ich celem było dogłębne rozpoznanie K2, świetnie wywiązali się z tego zadania. W ciągu ostatniego miesiąca sprawdzili wszystkie oczywiste drogi prowadzące na szczyt i odkryli, że da się pokonać Żebro Abruzzów. Uzbrojony w ich zdjęcia, mapy oraz szczegółowe opisy, Fritz Wiessner wraz z główną wyprawą American Alpine Clubu bez wątpienia mógł dotrzeć aż na sam szczyt. Czy jednak oni sami chcieli być po prostu wyprawą rekonesansową Fritza Wiessnera? Czy po tym, jak włożyli w to tyle ciężkiej pracy, mieli się teraz poddać i pozwolić, by ktoś inny zgarnął całą chwałę?

Rozwiązanie Charliego było kompromisem: Amerykanie nie mieli już na tyle dużych zapasów jedzenia i paliwa, by w pełni zaopatrzyć dwa następne obozy, ale mogli założyć przynajmniej jeden. Dzięki zapasowi jedzenia na trzy dni dwóch mężczyzn mogło porządnie przyjrzeć się piramidzie szczytowej; była też niewielka szansa, że dotrą na jej szczyt. Gdyby jednak pojawiły się jakiegokolwiek oznaki świadczące o nadchodzącym załamaniu pogody, byli zobowiązani rozpocząć zejście.

To był sprytny, choć ostrożny plan. Jedyne problem sprowadzał się do wyboru pary, która miała ruszyć w kierunku szczytu. Dick Burdsall znajdował się wraz z Normanem Streatfieldem niżej, w obozie pierwszym, ale Bill House i Bob

Bates byli w dobrej formie i palili się do zdobywania szczytu tak samo, jak Charlie Houston i Paul Petzoldt. Póki co w trakcie wyprawy zmieniali się na prowadzeniu, ale w obozie siódmym miało być miejsce tylko dla dwóch osób. Kim mieli być ci wybrańcy? Ostatecznie Bill House i Bob Bates zrezygnowali, przyznając, że Petzoldt i Houston zapoznali się już z drogą aż do Ramienia i nieco lepiej się zaaklimatyzowali. House i Bates mieli pomóc kolegom przetransportować sprzęt powyżej Czarnej Piramidy, a potem planowali wrócić do obozu szóstego. Żaden z Szerpów nie wyglądał na tak silnego, by wspiąć się wyżej, ale Pasang Kikuli prosił, by pozwolono mu pomóc przy noszeniu ładunków, a Charlie ostatecznie się zgodził.

Pięciu mężczyzn wyruszyło w drogę wczesnym rankiem 20 lipca, ale na szczyt Czarnej Piramidy dotarli dopiero późnym popołudniem. Powyżej znajdował się stromy, oblodzony stok prowadzący na zaśnieżony teren poniżej Ramienia. Dzień wcześniej Paul Petzoldt wyrębał w lodzie stopnie i dla bezpieczeństwa zamocował tam linę, ale słońce przygrzewało tak mocno, że roztopiło lód, a haki użyte do przymocowania liny swobodnie na niej zwisały. Na naprawienie tego wszystkiego potrzeba było kilku godzin, więc zamiast kontynuować wspinaczkę, co oznaczałoby konieczność powrotu do obozu szóstego po ciemku, Bob Bates, Bill House i Pasang Kikuli zostawili swoje ładunki i pożegnali się z Charliem i Paulem, którzy mieli sami kontynuować wspinaczkę.

Kilka godzin później wspomniana dwójka zatrzymała się, by nieco powyżej 7500 m n.p.m. założyć siódmy i ostatni obóz. Początkowo mieli nadzieję, że uda się go rozbić trochę wyżej, ale wciąż znajdował się on na tyle blisko piramidy szczytowej, by z optymizmem spoglądać na nadchodzący dzień. Wśród przenikliwego mrozu złożyli maszynkę do gotowania, nie mogąc się już doczekać ciepłego jedzenia i picia, a następnie solidnej porcji snu przed czekającym ich, ważnym dniem. Wtedy wydarzyło się jednak coś bardzo dziwnego.

Gdy Paul i Charlie przeszukiwali swoje plecaki, uświadomili sobie, że jakimś cudem zostawili niżej zapalniczki. Dysponowali

wystarczającymi zapasami jedzenia i paliwa, ale bez ognia nie mieli szans, by cokolwiek ugotować lub nawet roztopić śnieg i zapewnić sobie tym samym wodę.

Dwa lata wcześniej, w 1936 r., Charlie Houston znajdował się wysoko na Nanda Dewi razem z brytyjskim wspinaczem Noelem Odellem; był gotów do ataku szczytowego, ale zjadł łyżkę zjełczałej peklowanej wołowiny i niemal natychmiast zaczął wymiotować. Tak się pochorował, że jego miejsce w zespole szczytowym musiał zająć Bill Tilman. Czy teraz miał stracić także szansę na zdobycie K2, a wszystko przez zapalki?

Charlie i Paul w przypływie rozpaczyny opróżnili plecaki i kieszenie. Petzoldt nie zdołał niczego znaleźć, ale po gorączkowych poszukiwaniach Charlie natrafił w kieszeni na dziewięć wymęczonych przez życie zapalek. Cztery z nich były wyprodukowanymi w Kaszmirze zapalkami wymagającymi użycia draski, natomiast pięć pozostałych miało fosforowe główki, które można było odpalić poprzez potarcie o dowolną szorstką powierzchnię.

Pierwsza zapalka zaskwierczała i zgasła. Druga złamała się tuż przy główce. Wbrew wszelkim przeciwnościom, trzecia się zapaliła.

Wspinacze od razu rzucili się do topienia jak największej ilości śniegu, by zapewnić sobie wodę na następny poranek. Aby uniemożliwić jej ponowne zamarzanie, owinęli garnek w zapasowe ubrania i starali się ogrzewać go swoimi stopami. Charlie zastanawiał się, czy to, że zapomnieli zapalek, świadczyło o przytępieniu jego umysłu przez wysokość, ale niezależnie od tego, jaka była przyczyna tego niedopatrzenia, teraz mógł się tylko modlić o dobrą pogodę i o to, by rano przynajmniej jedna z pozostałych zapalek dała ogień.

Miał szczęście — znów się udało, choć nie bez trudu. Ponownie trzeba było zużyć trzy zapalki, by uzyskać ogień. Na zewnątrz nie wiało, ale chociaż Charlie i Paul mieli pod zewnętrzną odzież odporną na działanie wiatru po cztery swetry z wełny szetlandzkiej, gdy tylko opuścili namiot, zaczął im dokuczać przenikliwy ziąb. Na stokach powyżej napotykali

na przemian twardą, zlodowaciałą skorupę i głęboki, puszysty śnieg. Im wyżej się wspinali, tym głębsze były zasy, przez które musieli się przekopywać, co spowalniało ich postępy. Paul Petzoldt nie miał najwyraźniej większych problemów, ale była to pierwsza sytuacja podczas całej wyprawy, kiedy Charlie naprawdę zaczął odczuwać oddziaływanie wysokości.

W okolicach godziny trzynastej skaliste zbocza piramidy szczytowej zaczynającej się na wysokości 7900 m n.p.m. znajdowały się złudnie blisko; od ostatniej przeszkody blokującej dostęp do wierzchołka K2 dzieliło wspinaczy zaledwie kilkaset metrów stoku pokrytego śniegiem i lodem. Z tego, co mogli zobaczyć, największym zagrożeniem był ogromny wiszący lodowiec, który znajdował się tuż pod szczytem i od czasu do czasu wypluwał ogromne kawały lodu na pole śnieżne znajdujące się poniżej.

Ostatni etap wspinaczki nie wyglądał na łatwy, lecz wydawało się, że można znaleźć drogę prowadzącą do góry. Najpierw musieli pokonać łagodnie nachylony, ośnieżony stok, który mieli przed sobą, jednak Charlie szybko uświadomił sobie, że to zadanie jest dużo bardziej wymagające, niż się spodziewał. Powietrze było tak rozrzedzone, że musiał się zatrzymywać co pięć kroków, by złapać oddech. Charlie wykrzesał z siebie wszystkie siły i doszedł aż do skał, lecz dotarł tym samym do granic swojej wytrzymałości fizycznej. Po kilku minutach odpoczynku zawrócił i ruszył stokiem w dół, aż do miejsca, w którym zatrzymał się zaledwie pół godziny wcześniej.

Gdy rok później zaczął spisywać swoją relację z wyprawy, starał się uchwycić niemal mistyczne odczucia towarzyszące tej chwili:

Poczułem, że tych kilka godzin intensywnych zmagania z naturą stanowiło punkt kulminacyjny całego mojego dotychczasowego życia (...) podczas tych chwil na wysokości 7900 m n.p.m. na K2 osiągnąłem taką głębię emocji, jaka już nigdy nie stanie się moim udziałem^[14].

Podczas gdy Charlie przeżywał swoje chwile objawienia, Paul Petzoldt zaczął szukać możliwości pokonania piramidy szczytowej. Po sprawdzeniu potencjalnego miejsca na obóz u jej stóp, wspiał się jeszcze około 45 metrów wąskim żlebem obrzeżonym skałami, ale w którymś momencie on też się zatrzymał — odczuwał ogromne zmęczenie i był świadomy tego, że dalsza wspinaczka w pojedynkę byłaby zbyt ryzykowna. Zatrzymał się wyłącznie w celu wykonania szybkiego autoportretu (wcisnął przycisk migawki swojego aparatu czubkiem czekana), a następnie zawrócił i zszedł do Charliego, który wciąż leżał na śniegu.

Była godzina szesnasta, a pierwsza wyprawa na K2 zorganizowana przez American Alpine Club osiągnęła właśnie swój punkt kulminacyjny na wysokości około 7970 m n.p.m., zaledwie 640 metrów od wierzchołka. Ponieważ Charlie i Paul nie mieli ani chwili do stracenia, ostrożnie zeszli do namiotu, podczas gdy otaczające ich góry różowiły się w ciepłym, wieczornym świetle.

Następnego ranka wspinacze, którym skończyły się już zapalki, wmusili w siebie wczesne śniadanie złożone z krakersów, dżemu i zimnej wody, po czym zeszli do obozu szóstego, w którym czekali Bates, House i Pasang Kikuli. Charlie i Paul nie urządzali zbyt długiego przystanku, by opowiedzieć, jak minął im wcześniejszy dzień. Ponieważ słońce otoczone było złowieszczą, ciemną obwódką, a na horyzoncie pojawiły się chmury pierzaste, wszystkim spieszyło się do jak najszybszego zejścia. Zatrzymali się dopiero w obozie czwartym, poniżej Komina House'a. Tam mogli się wreszcie rozluźnić i uczcić sukces, robiąc użytek z dawno zapomnianego przysmaku zabranego na wyprawę: puszki wędzonych śledzi.

Następnego popołudnia, tuż przed tym, jak wspinacze pożegnali się z K2, góra zapewniła im jeszcze jeden dreszczyk emocji. Gdy schodzili zalodzone żlebem poniżej obozu trzeciego, w ich kierunku zaczął się nagle toczyć ogromny głaz. Na szczęście Pasang Kikuli dostrzegł niebezpieczeństwo na tyle wcześnie, by wszystkich ostrzec — każdy ze wspinaczy znalazł

sobie jakąś osłonę, natomiast kamień uderzył o inną skałę i rozpadł się na kawałki. Szerpa twierdził później, że to yeti ostrzegł go przed tym niebezpieczeństwem.

Po radosnym spotkaniu ze Streatfieldem i Burdsallem, którzy przebywali w bazie, wspinacze po raz pierwszy od wielu tygodni wykąпали się w przenośnej, gumowej wannie. O świcie 26 lipca — 44 dni po przybyciu — opuścili bez zbędnej zwłoki Lodowiec Godwina-Austena i rozpoczęli szybki marsz do Askole, a potem do Skardu. Ekspedycja okazała się radosnym doświadczeniem, a chociaż zespół nie dotarł na szczyt, realizując rekonesans, osiągnął wszystko, o czym można było marzyć. Gdy Bob Bates przesłał swój najnowszy raport do redakcji „The Timesa”, został on opatrzony nagłówkiem „Podbój K2”.

Po powrocie do domu Charlie podsumował dokonania swojego zespołu i przygotował długi artykuł opublikowany na łamach „American Alpine Journal”. Początkowo lider był krytykowany za to, że zabrał tak niewielką grupę wspinaczy, ale to, czego doświadczyli na górze, zdawało się potwierdzać prawidłowość podjętej decyzji. Houston był również zadowolony z Pasanga Kikulego i Szerpów, którzy pokazali swoją wartość na górze znajdującej się setki kilometrów od terenów, gdzie zwykle działali. Jeśli chodzi o decyzję związaną z tym, by nie angażować wszystkich wspinaczy w atak na szczyt, Charlie utrzymywał, że był to słuszny wybór:

Byłoby to podejmowanie nieuzasadnionego ryzyka i przykład tego, jak nie należy się wspinac^[15].

Ta chwila miała go jednak prześladować i w nadchodzących latach miał do niej wracać bardzo wiele razy. Całe 50 lat później cofnął się do tamtych wydarzeń, pisząc artykuł, w którym porównywał aktualne standardy z normami z lat 30. XX w.:

Czy mogliśmy dotrzeć wyżej? Patrząc przez pryzmat dzisiejszych realiów, na pewno tak. Czy należało podjąć kolejną próbę? Jeśli wziąć pod uwagę ówczesne standardy i praktyki, kiepską pogodę (nadchodziła burza), a także to, że

byliśmy bardzo zmęczeni po pięciu tygodniach eksploracji oraz dźwigania ładunków, decyzja o powrocie była słusznym wyborem. Inni, wiele lat później, w większym stopniu wykraczali poza granice możliwości; niektórzy dokonywali wielkich i heroicznych wyczynów, inni niepotrzebnie ginęli, stając się ofiarami ambicji oraz otępiającego oddziaływania wysokości. My przeżyliśmy i mogliśmy się jeszcze wspinać przez wiele lat... w prawdziwej wspinaczce górskiej szczyt nie jest wszystkim; jest tylko częścią tego, co ważne^[16].

Bill House i Bob Bates zgodzili się z tym, że Houston miał rację, zarządzając pod koniec odwrót; później trzymali się tej opinii przez resztę życia. Paul Petzoldt nie był tego aż tak pewny, ale musiało minąć ponad 50 lat, nim ujawnił publicznie te poglądy. Pod koniec lat 90. w trakcie Telluride Mountain Film Festival Petzoldt pojawił się podczas dyskusji panelowej poświęconej K2, występując razem z Charliem Houstonem. Gdy został zapytany o ich decyzję, by nie angażować wszystkich sił w próbę dotarcia na wierzchołek K2, Paul zrzucił winę na kiepską organizację, twierdząc, że powinni byli zabrać więcej zapasów i lepiej przygotować się do ataku szczytowego. Charlie Houston nie próbował bezpośrednio odpierać tych zarzutów, ale najwyraźniej poczuł się dotknięty i zmagał się z irytacją^[17].

Sednem tej dyskusji była oczywiście koncepcja „akceptowalnego ryzyka”. Czy mogli (i powinni byli) postarać się trochę bardziej? A może kontynuowanie wspinaczki byłoby przejawem lekkomyślności? W zacytowanym powyżej artykule Charlie Houston ujął to pytanie przez pryzmat porównania etyki wspinaczkowej lat 30. i 80., ale w okresie, w którym działała tamta ekspedycja, ta dyskusja była osadzona w innym kontekście, dużo mocniej związanym z ówczesną epoką — mam tu na myśli dyskusję między młodymi europejskimi wspinaczami i „starą gwardią” z brytyjskiego Alpine Clubu.

W lecie 1938 r. uwaga całego świata wspinaczkowego nie skupiała się wcale na wyprawach działających właśnie na K2,

Mount Evereście czy Nanga Parbat — najważniejszym wydarzeniem była próba pokonania północnej ściany Eigeru w Szwajcarii przez młody, austriacko-niemiecki zespół. Z perspektywy wielu członków społeczności wspinaczkowych z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, podejście przyjęte przez tych młodych ludzi było niemal herezją i oznaczało złamanie zasad postępowania, które wykształciły się wraz z upływem lat.

Gdy w latach 50. XIX w. wspinaczka górską stała się w europejskich Alpach sportem, pierwsze pokolenie wspinaczy uważało, że ściany wielkich gór są zbyt narażone na lawiny, by można się było nimi bezpiecznie wspiąć. W tej sytuacji wszyscy starali się zdobywać szczyty ostrymi graniem oddzielającymi od siebie ściany.

Takie postępowanie pozostawało powszechnie stosowaną praktyką aż do końca lat 20. XX w., kiedy na scenie pojawiło się nowe pokolenie europejskich wspinaczy poszukujących nowych wyzwań. Wszystkie główne granie zostały już pokonane (i to wiele razy), więc wspinacze zwrócili się ku lodowatym, północnym (i podobno niemożliwym do zdobycia) ścianom wielkich alpejskich szczytów. W 1931 r. dwaj bracia z Niemiec, Toni i Franz Schmid, przeszli północną ścianę Matterhornu; później do podobnych prób doszło na Cima Grande i kilku innych górach — najbardziej znaną z nich był Eiger położony w Szwajcarii, w Oberlandzie Berneńskim.

Mierząca 1800 metrów północna ściana Eigeru, znana też jako Nordwand, była i wciąż jest uważana za jedno z najpoważniejszych wyzwań wspinaczkowych w Alpach. To niemal dwa kilometry zdradliwego terenu skalnego. W latach 1935 i 1936 sześciu młodych wspinaczy z Austrii i Niemiec zginęło w okropnych okolicznościach podczas dwóch prób przejścia tej ściany. Trzej zmarli na śmierć, natomiast pozostała trójka zginęła w lawinie. Te zajścia sprowokowały wiele rozważań i dyskusji w świecie wspinaczkowym. Pułkownik Edward Strutt, szanowany prezes brytyjskiego Alpine Clubu, potępił fascynację północnymi ścianami jako

„obsesję szaleńców”, podczas gdy inni krytykowali młodych Europejczyków, określając ich mianem wspinaczy samobójców.

24 lipca 1938 r., gdy zespół Houstona wycofywał się spod K2 po nieudanej próbie ataku szczytowego, Heinrich Harrer wraz z grupką trzech młodych przyjaciół z Niemiec i Austrii zdołał wreszcie pokonać północną ścianę Eigeru. Tym razem obyło się bez ofiar i był to przełomowy moment w historii wspinaczki górskiej. Dyskusje toczyły się dalej, ale wyznaczono właśnie nowe standardy, a te same pytania siłą rzeczy miały się wkrótce zacząć pojawiać w odniesieniu do K2. Jeżeli próg akceptowalnego ryzyka został właśnie podniesiony w Alpach, czy należało zrobić to samo w Himalajach i Karakorum? A konkretniej, czy wyprawa Houstona powinna była w 1938 r. wykazać się podczas swoich prób większą determinacją? Niektórzy niemieccy wspinacze uważali, że na to pytanie należy odpowiedzieć twierdząco, aczkolwiek Charlie wraz z przyjaciółmi z Nowego Jorku i Londynu utrzymywał, iż dokonali najlepszego wyboru. Póki co cała ta dyskusja miała charakter retrospektywny, ale czy następny zespół wysłany przez American Alpine Club powinien się zachować inaczej?

Zespół dowodzony w 1938 r. przez Houstona zrealizował swoje zadanie i przygotował teren dla zmasowanego ataku. Charlie Houston napisał na łamach „American Alpine Journal”:

Postawiony przed nami cel — przeprowadzenie rekonesansu — został w pełni zrealizowany i znaleziono drogę, którą druga grupa wspinaczy przy odrobinie szczęścia może dotrzeć na szczyt^[18].

Przygotowano zatem grunt dla kolejnej wyprawy, której członkowie mieli się zmierzyć z K2, kładąc na szali swoje życie. Dodatkowym atutem tej ekspedycji miała być osoba stojąca na jej czele: najbardziej znany emigrant z Niemiec działający w amerykańskim środowisku wspinaczkowym, Fritz Wiessner. Czy on również miał zamiar unikać zbędnego ryzyka, co groziło powrotem z pustymi rękami? A może, podobnie jak ci młodzi Europejczycy, miał zamiar zagrać o wyższą stawkę i

zaakceptować konieczność zmierzenia się z konsekwencjami takiego postępowania?

Rozdział 3

Grupa wspinaczy

Gdy 29 lipca Charlie Houston wracał razem ze swoim zespołem spod K2, w miejscu oddalonym o dziesięć i pół tysiąca kilometrów Fritz Wiessner przygotowywał się do wspinaczki na North Twin, trzeci co do wysokości szczyt w Canadian Rockies. Tego lata zorganizował długą wyprawę przez Albertę i Kolumbię Brytyjską; jego towarzyszem był Chappell Cranmer, młody student Dartmouth College, jednej z najbardziej prestiżowych uczelni w Stanach Zjednoczonych. Obaj bardzo miło spędzali czas, spotykając się w różnych górach z różnymi przyjaciółmi i zdobywając trzy najwyższe szczyty w paśmie Canadian Rockies. Ogólnie rzecz biorąc, z perspektywy Fritza, który doskonale radził sobie z techniczną stroną wspinania, ale czerpał również ogromną przyjemność z jego towarzyskich aspektów, był to przykład idealnej wyprawy.

Fritz Wiessner wspiął się przez całe życie i robił to z ogromną pasją. Urodził się w 1900 r. w Dreźnie w Niemczech i dorastał wśród typowych wygod tamtejszej klasy średniej. Jego ojciec był malarzem i zapalonym wspinaczem; posiadał też obszerną biblioteczkę, która budziła ogromne zainteresowanie małego Fritza. Gdy chłopak miał zaledwie 12 lat, ojciec zabrał go na szczyt Zugspitze, najwyższej góry w Niemczech. Jego matka nie pochwałała tej pasji, ale w trakcie kolejnych 15 lat młody Fritz został entuzjastycznym wspinaczem — zaczynał w Saksonii, potem skupił się na południowej Bawarii, a następnie na Alpach i Dolomitach w północno-wschodnich Włoszech.

Kiedy Fritz wyjeżdżał z Niemiec w 1929 r., był uważany za jednego z najwybitniejszych wspinaczy skalnych w Europie. Podczas wyboru swoich celów wykazywał się odwagą, ale

zawsze przywiązywał dużą wagę do bezpieczeństwa i dbał o to, by zdobywać góry w „dobrym stylu”, co oznaczało używanie jak najmniejszej liczby haków i „żelastwa”. Gdy przyjechał do Stanów Zjednoczonych, szybko nawiązał przyjaźnię w niewielkim amerykańskim świątku wspinaczkowym — w 1932 r. wstąpił do American Alpine Clubu, a w ciągu następnej dekady popisał się szeregiem imponujących przejść. Dokonał pierwszego wejścia na Mount Waddington, położoną w Kanadzie i niezdobytą aż do tamtego momentu Tajemniczą Górę; był również autorem pionierskiego przejścia w stylu klasycznym stromej ściany Devils Tower w stanie Wyoming (wykorzystał przy tym do asekuracji tylko jeden hak). Zapisał ponadto na swoim koncie pierwsze przejścia nowych dróg w paśmie Teton w Wyoming oraz Shawangunks w stanie Nowy Jork — dziś obydwie te miejsca zaliczają się do najpopularniejszych rejonów wspinaczkowych w Stanach Zjednoczonych.

K2 był oczywiście dużo poważniejszym wyzwaniem niż jakakolwiek góra w Ameryce Północnej lub Europie. Baza pod K2 znajdowała się ponad 900 metrów wyżej niż szczyt Mount Waddington i niemal dwukrotnie wyżej niż czubek Zugspitze. Fritz był jednak z natury optymistą, a do tego głęboko wierzył we własne umiejętności. Sprawozdania z udanego rekonesansu przeprowadzonego przez Charliego Houstona przekonały Wiessnera, że ma realne szanse na zdobycie K2, ale bardzo szybko — już jesienią 1938 r. — ta druga amerykańska wyprawa stanęła w obliczu niespodziewanego problemu.

2 listopada Ellis Fisher, skarbnik American Alpine Clubu, napisał do Fritza, by przekazać mu informację o tym, że to polski zespół wspinaczkowy dostał od władz Indii Brytyjskich pozwolenie na podjęcie w 1939 r. próby ataku na K2, tak więc amerykańska wyprawa będzie musiała poczekać aż do 1940 r. Na kilka nerwowych tygodni Fritz wstrzymał swoje przygotowania — zostały one wznowione dopiero po otrzymaniu informacji o tym, że polska wyprawa została odwołana. Fritz odetchnął z ogromną ulgą, po czym rozpoczął

rozmowy z potencjalnymi członkami wyprawy. Wiedział, że nikt z uczestników ekspedycji z 1938 r. nie znajdzie czasu ani pieniędzy, by pojechać pod K2 drugi rok z rzędu, ale skontaktował się już z trzema najlepszymi amerykańskimi wspinaczami i narciarzami: Sterlingiem Hendricksem, Alfredem Lindleyem i Rogerem Whitneyem. Gdyby wszyscy zaakceptowali zaproszenie na wyprawę, miałyby ona spore szanse zakończyć się sukcesem.

Niestety, wymarzony zespół Fritza okazał się wyłącznie piękną wizją: Hendricks wycofał się z powodu kosztów, żona Lindleya poroniła, a Whitney złamał nogę na nartach. Jedynym doświadczonym partnerem, który mógł pojechać w Karakorum, był stary przyjaciel Wiessnera, Bestor Robinson — tyczkowany kalifornijski prawnik, który był jednym z pionierów wspinaczki skalnej w Parku Narodowym Yosemite w Kalifornii.

To był poważny problem. Fritz nie potrzebował dużego zespołu, ale nie było mowy o tym, by udało mu się zdobyć K2 wyłącznie w towarzystwie Robinsona. Dwie osoby nie zdołałyby też pokryć kosztów ekspedycji. Chociaż wyprawa przewidziana na 1939 r. znów była oficjalnie organizowana pod szyldem American Alpine Clubu, jej uczestnicy musieli sami sfinansować wyjazd. Fritz określił wysokość budżetu całej wyprawy na 15 tysięcy dolarów (czyli o 6 tysięcy więcej niż w przypadku rekonesansu Charliego Houstona) i miał zamiar udać się niebawem do Europy, by zakupić tam najlepszy dostępny na rynku sprzęt wspinaczkowy.

Jedynym rozwiązaniem było rozszerzenie zakresu poszukiwań tak, by objęły one większą liczbę potencjalnych kandydatów. Fritz był pod ogromnym wrażeniem tego, co pokazał w 1938 r. Chappell Cranmer, a oprócz tego spotkał dwóch innych studentów Dartmouth, George'a Sheldona i Jacka Durrance'a, którzy wydawali się mieć spory potencjał. Durrance pracował na niepełny etat jako przewodnik górski, a 20-letni Sheldon był bliskim przyjacielem i partnerem wspinaczkowym Cranmera. Ostatecznie Durrance nie zdołał zebrać odpowiedniej ilości gotówki, natomiast Sheldon i

Cranmer poddał temu wyzwaniu i obaj zgłosili chęć wyjazdu na K2.

Poszukując kandydatów wśród osób znajdujących się na przeciwległym krańcu skali wiekowej, Fritz skontaktował się z Tonym Cromwellem, 46-letnim mieszkańcem Nowego Jorku. Cromwell pochodził z bogatej rodziny i był szykownym, noszącym okulary wspinaczem-dżentelmenem, który miał na tyle dużo czasu i pieniędzy, by oddawać się swojemu zamiłowaniu do wspinaczki górskiej. Pierwsza rozmowa między Wiessnerem i Cromwellem dotycząca wyjazdu na K2 miała miejsce już w 1938 r. — Cromwell miał być uczestnikiem pierwszej ekspedycji planowanej przez Fritza, choć tak naprawdę nikt nie uważał go za wybitnego wspinacza. Lista przejść figurująca przy jego nazwisku w kronice American Alpine Clubu była dłuższa niż wykazy innych członków tej organizacji, ale podczas znakomitej większości wspinaczek Cromwellowi towarzyszyli przewodnicy górscy. Jakby tego było mało, Tony nie miał żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o dłuższe wyprawy. Zgodził się pojechać na K2 i występować w roli prawej ręki Fritza oraz jego skarbnika, lecz uprzedził go, że prawdopodobnie nie przekroczy granicy 6500 m n.p.m. znajdującej się ponad 2 kilometry poniżej wierzchołka góry.

Kolejny kandydat, któremu Fritz zaproponował udział w wyprawie, Dudley Wolfe, był znany nie tyle jako wspinacz, co jako żeglarz biorący udział w rejsach transatlantyckich. 42-letni Wolfe był o cztery lata młodszy od Cromwella, choć dzięki gigantycznej fortunie, którą odziedziczył, był od niego bogatszy o kilka łodzi i luksusowy apartament. Dudley był zapalonym narciarzem i niedawno ożenił się z Alice Damrosch, córką słynnego dyrygenta Waltera Damroscha i była menedżerką kobiecej reprezentacji narciarskiej Stanów Zjednoczonych. Wspinaczką zajmował się od niedawna, ale dzięki temu, że dzielił swój czas między Europę i Amerykę, miał na swoim koncie kilka sezonów wspinaczki z przewodnikami w Alpach i niemal natychmiast zgodził się wziąć udział w wyprawie w Karakorum.

Brak doświadczenia zespołu zebranego przez Fritza nie umknął uwadze członków American Alpine Clubu. Studenci z Dartmouth, Chappell Cranmer i George Sheldon, wspinali się dopiero od kilku lat, a chociaż Tony Cromwell i Dudley Wolfe byli starsi i bardziej doświadczeni, żaden z nich nie uchodził za wspinacza tej klasy co Bob Bates czy Dick Burdsall. Sytuacja, w której główna ekspedycja byłaby słabsza od zespołu rekonesansowego, nie miała najmniejszego sensu, więc Bill House — jeden z autorów sukcesu wyprawy z 1938 r. — wysunął pomysł ponownego zaproszenia „kowboja z Wyoming”, Paula Petzoldta. W przeciwieństwie do innych członków pierwszej wyprawy, którzy przed końcem lata wrócili już do Stanów Zjednoczonych, Petzoldt został w Indiach i istniała możliwość, że chętnie spróbowałby ponownie zmierzyć się z K2.

Fritz nie podchodził jednak do tego pomysłu ze zbyt wielkim entuzjazmem. Nigdy nie wybaczył Petzoldtowi zajścia, które miało miejsce kilka lat wcześniej w paśmie Teton, gdy Paul mimo wcześniejszych ustaleń uprzedził go na jednej z nowych dróg wspinaczkowych. Teraz Wiessner oznajmił, że słyszał sporo złego na temat działalności biznesowej Petzoldta. Henry Hall, prezes American Alpine Clubu, naciskał, by Fritz ponownie przemyślał tę kwestię. Grupa innych kandydatów do udziału w wyprawie była bardzo nieliczna, a skoro Petzoldt niemal dotarł na szczyt z Charliem Houstonem w 1938 r., być może w kolejnym roku zdołałby pokonać całą tę drogę^[1]? Loszykował jednak inny scenariusz. Nawet gdyby Hall zdołał przekonać Wiessnera, Paul Petzoldt — podobnie jak tylu innych potencjalnych kandydatów — już wkrótce miał się stać nieosiągalny.

Chociaż wówczas nikt nie wiedział jeszcze, że te wydarzenia przerodzą się w jeden z najdziwniejszych epizodów w historii K2, Petzoldt związał się z parą starszych Amerykanów, których poznał w Śrinagarze w sierpniu 1938 r. Państwo Johnsonowie byli dziwacznymi członkami sikhijskiej sekty założonej przez

guru, który obiecywał szybkie osiągnięcie nirwany każdemu, kto postanowi się do niego przyłączyć i przekaże mu swoje bogactwa. Pan Johnson, emerytowany lekarz z Kalifornii, prowadził klinikę i sanatorium dla gruźlików w wiosce niedaleko głównej siedziby sekty. Pani Johnson pracowała z kolei jako jego pielęgniarka i prowadziła własny, niewielki biznes, sprzedając kosmetyki ziołowe.

Johnsonowie natychmiast zapalali sympatią do młodego amerykańskiego wspinacza. Zaoferowali mu pracę i zgodzili się nawet sfinansować podróż jego żony ze Stanów Zjednoczonych do Indii. Zaciekawiony Petzoldt postanowił się do nich przyłączyć. Na przekór swojemu wizerunkowi nieokrzesanego, twardego wspinacza-kowboja, Petzoldt bardzo interesował się polityką i filozofią, chętnie mówiąc o sobie jako o „osobie, która jest w połowie badaczem”^[2]. Na dokładkę kończyły mu się pieniądze i nie bardzo miał pomysł, jak opłacić swój powrót do Ameryki. Nim ktokolwiek się obejrzał, przewodnik górski z Parku Narodowego Grand Teton pracował na niepełny etat jako anestezjolog doktora Johnsona i pomagał mu nawet przeprowadzać operacje.

Gdy kilka miesięcy później do Indii przybyła żona Petzoldta, Bernice, sytuacja zaczęła się robić jeszcze dziwniejsza. Kobieta nigdy nie przyzwyczaiła się do życia we wspólnocie i nabrała przekonania, że ponieważ odmawia poważnego traktowania sekty, pani Johnson próbuje ją otruć. Pewnego styczniowego wieczoru w 1939 r. napięcie sięgnęło zenitu — po kłótni przy stole w jadalni pani Johnson wyciągnęła dubeltówkę i zaczęła grozić Petzoldtowi. Podczas szamotaniny, która się wówczas wywiązała, wspinacz zdołał rozbroić kobietę, ale przy okazji przypadkowo przewrócił jej męża. Pan Johnson tak pechowo uderzył głową o posadzkę, że zmarł kilka godzin później.

Przywódcy sekty starali się za wszelką cenę uniknąć skandalu i zaproponowali zmianę zarzutów przeciwko Petzoldtowi z zabójstwa na napaść, jeśli tylko zgodzi się on przemilczeć udział pani Johnson w całym tym zajściu i skłamię

w kwestii tego, co się naprawdę wydarzyło. Petzoldt znalazł się pod ogromną presją i początkowo przystał na przedstawione mu warunki, ale po rozmowie z amerykańskim konsulem w Karaczi zmienił zdanie i wynajął indyjskiego obrońcę.

Gdy w marcu 1939 r. doszło do rozprawy, Petzoldt został oczyszczony z zarzutów, lecz osobliwe okoliczności śmierci pana Johnsona oraz sensacyjne doniesienia związane z tą sprawą nie wpłynęły korzystnie na jego reputację. Krążyły plotki, że jest w Indiach *persona non grata*, a jeśli kiedykolwiek spróbuje wrócić do tego kraju, zostanie aresztowany. Jako osoba, która wspięła się na K2 wyżej niż ktokolwiek inny, Paul mógłby być wartościowym członkiem wyprawy Fritza, ale po rozprawie sądowej nie było już większych szans na to, by mógł wrócić w Karakorum. Wiessner musiał sobie po prostu poradzić bez niego.

Nawet jeżeli Fritz miał jakieś złe przeczucia, nie ujawniał ich publicznie. W wieku 38 lat czuł, że jest w szczytowej formie; nie brakowało mu też pewności siebie oraz umiejętności niezbędnych do zaatakowania K2. Jego amerykańscy koledzy z zespołu nie byli tak doświadczeni, jak mógłby sobie tego życzyć, zatrudnił jednak znanego Szerpę, Pasanga Kikulego, sirdara (czyli kierownika zespołu Szerpów) z wyprawy Houstona z wcześniejszego roku, a także ośmiu innych Szerpów i razem z Bestorem Robinsonem, Chappellem Cranmerem i Pasangiem Kikulim tworzył trzon zespołu zdolnego dotrzeć na szczyt.

W marcu Fritz ruszył do Wielkiej Brytanii spotkać się z ostatnim wspinaczem zwerbowanym na tę ekspedycję, Dudleyem Wolfe'em, który niedawno udał się do Europy; Wiessner miał też zamiar kupić wyposażenie potrzebne podczas wyprawy. Dudley wpadł w szaleństwo zakupów jeszcze w Ameryce, zaopatrując się w najlepsze rękawiczki, jakie można było kupić, kilka par pantofli z wyszytym monogramem, a także parę kamer pozwalających nakręcić film z wyprawy. Gdy obaj panowie krążyli po londyńskich sklepach wspinaczkowych, kupując namioty, maszynki do gotowania oraz różnoraki sprzęt, książeczka czekowa Wolfe'a okazała się

bardzo przydatna. Od czasu do czasu zastanawiał się, czy nie jest traktowany niczym dojna krowa, ale był na tyle zamożny, by wykazać się hojnością, a oprócz tego był podekscytowany możliwością wzięcia udziału w tak wielkiej przygodzie. Po 10 dniach Fritz ruszył do Niemiec, obiecując spotkać się z Dudleyem we Włoszech; to właśnie tam byli umówieni z resztą zespołu, który w tym czasie znajdował się już na pokładzie statku płynącego do Europy.

Choć Fritz nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy, z zebranego przez niego zespołu wypadła niestety jedna osoba. Bestor Robinson, tyczkowaty prawnik z Kalifornii, który oprócz lidera wyprawy był jedynym członkiem zespołu uważanym za doświadczonego wspinacza górskiego, zmienił w ostatniej chwili zdanie, skłaniając tym samym władze American Alpine Clubu do podjęcia nerwowych działań. Nawet gdyby siła Chappella Cranmera jako wspinacza dorównała nadziejom pokładanym w jego osobie, podczas wyprawy na drugą pod względem wysokości górę na świecie Fritz bez wątplenia potrzebował więcej niż jednego dobrego wspinacza.

W tej sytuacji Ellis Fisher, skarbnik klubu, skontaktował się z Jackiem Durrance'em — studentem z Dartmouth, który kilka miesięcy wcześniej rozmawiał z Wiessnerem o wyjeździe pod K2. 26-letni Durrance był starszy od swoich przyjaciół i partnerów wspinaczkowych z Dartmouth College, Chappella Cranmera i George'a Sheldona, a przez kilka ostatnich sezonów letnich pracował jako przewodnik górski w paśmie Teton. Nie był może wspinaczem tej klasy, co Bestor Robinson, lecz cieszył się dobrą reputacją i sprawiał wrażenie osoby, której było pisane dokonywanie wielkich rzeczy.

Jack Durrance miał nietypowe pochodzenie, które pod wieloma względami było odwrotnością losów Fritza Wiessnera. Urodził się w Ameryce, ale po tym, jak jego rodzice się rozwiedli, chodził do szkoły w Niemczech. Na początku lat 30. zaczął pracować w firmie inżynierskiej w Monachium. Gdy zakład zmienił profil działalności i zaczęto tam wytwarzać broń, Jack został odsunięty na boczny tor; później zarzucono

mu, że jest zagranicznym szpiegiem, a następnie wyrzucono go z pracy. W 1935 r. wrócił do Stanów Zjednoczonych i zaczął studiować w Dartmouth College, stawiając sobie za cel ukończenie studiów medycznych (jeśli chodzi o tę kwestię, podążał śladami Charliego Houstona).

Wysoki i przystojny, obdarzony bujną, czarną czupryną oraz wyglądem gwiazdy filmowej, Jack miał reputację flirciarza i imprezowicza; był również wrażliwym mężczyzną zafascynowanym botaniką — w późniejszym okresie miał zostać sławnym hodowcą irysów. Chociaż był dużo mniej znany od swojego młodszego brata, Dicka Durrance'a, który jako narciarz brał udział w igrzyskach olimpijskich, Jack był dobrym wspinaczem i współzałożycielem klubu wspinaczkowego na uczelni w Dartmouth. Nie był na tyle zamożny, by pokryć koszty swojego udziału w wyprawie na K2, ale w obliczu kryzysu kadrowego American Alpine Club zaproponował, że wyłoży większość potrzebnych pieniędzy. Jack pożyczył resztę od przyjaciół i skwapliwie przyłączył się do wyprawy.

Trzy dni później Jack znalazł się w nowojorskim mieszkaniu Ellisa Fishera. Miał ze sobą torbę pełną książek o Karakorum; odczuwał również ból ramienia po zorganizowanym naprędcie szczepieniu na dur brzuszny. Fisher zaprosił na kolację Charliego Houstona, licząc na to, że przekaże on jakieś rady najnowszemu członkowi kolejnej ekspedycji. Szybko stało się jednak jasne, że Charlie nie zapatruje się na wyprawę Wiessnera ze zbytnim optymizmem. Ponieważ Houston wcześniej opuścił towarzystwo, Ellis Fisher zabrał Jacka do nowojorskiego portu i oprowadził go po statku, który miał go zabrać do Europy. Tuż przed północą jednostka odbiła od brzegu w świetle księżyca i wśród kłębow pary.

Kolejne dni wcale nie były spokojniejsze. Po szybkiej (choć niezbyt przyjaznej dla żołądka) podróży przez Atlantyk, Durrance dotarł 27 marca do Cherbourga, gdzie wsiadł do pociągu jadącego do Szwajcarii. Spotkał kilku starych przyjaciół, bez powodzenia starał się kupić nową parę butów wspinaczkowych, a następnie złapał następny pociąg

zmierzający do położonej na włoskim wybrzeżu Genui. To właśnie tam miał nadzieję dołączyć do Fritza i pozostałych członków wyprawy, by wraz z nimi wyruszyć w długą podróż do Indii.

Gdy zaokrętował się na SS Conte Biancamano, ze zdumieniem odkrył, że dzięki interwencji Dudleya Wolfe'a wszyscy uczestnicy ekspedycji zostali przeniesieni do kajut pierwszej klasy. Ponieważ to Jack pojawił się na pokładzie jako pierwszy, uciął sobie półtoragodzinną drzemkę, po czym umył się i ogolił. Kiedy odpoczywał w swojej kajucie, pojawił się steward z informacją o oczekującym gościu.

Jack zakładał, że będzie to Fritz, lecz gdy wyszedł na pokład, okazało się, iż jego gościem nie jest ani lider wyprawy, ani żaden z jej amerykańskich uczestników. W istocie mężczyzna, którego miał przed sobą, był najsłynniejszym żyjącym fotografem górskim — był to Vittorio Sella, 78-letni weteran wyprawy na K2 zorganizowanej w 1909 r. Książę Abruzzów nie żył od sześciu lat, ale Sella wciąż był w pełni sił, a niedawno skontaktował się z nim Wiessner, prosząc go o powiększone odbitki jego fotografii K2.

Jack ledwie zdążył się przywitać z gościem, gdy na trapie pokazali się Fritz Wiessner i Dudley Wolfe. Nikt nie powiedział Fritzowi, że zamiast Bestora Robinsona w ekspedycji weźmie udział Jack Durrance. Gdy Jack wszystko wyjaśnił, Fritz sprawiał wrażenie rozczarowanego i wyraźnie przygaszonego. To była bardzo krępująca chwila dla obu mężczyzn, ale na szczęście Sella nie zdawał sobie sprawy z całego napięcia. Powiedział Fritzowi, jak bardzo ucieszył się na wieść o kolejnej ekspedycji zmierzającej na K2, a później poradził mu jeszcze raz przyjrzeć się grani północno-wschodniej, która jego zdaniem była bardziej osłonięta niż droga wybrana przez wyprawę Houstona. Sella wpisał jeszcze życzenia powodzenia w pamiętniku Jacka, po czym ze łzami w oczach pożegnał się z Amerykanami. Niewiele później SS Conte Biancamano podniósł kotwicę i ruszył do Neapolu, gdzie na pokład mieli wsiąść pozostali trzej członkowie wyprawy.

Gdy udało się już przełamać początkowe skrępowanie, reszta podróży przebiegła bezproblemowo. Oczywiście, Jack znał już swoich kumpli z uczelni, Chappella Cranmera i George'a Sheldona; szybko stwierdził również, że Tony Cromwell jest czarujący i przyjacielski. Durrance był zaskoczony obecnością wśród członków ekspedycji Dudleya Wolfe'a, który nie wyglądał na typowego wspinacza, ale okazał się radosnym i bezproblemowym towarzyszem podróży. W tej sytuacji w zespole szybko zapanowało poczucie wspólnoty.

Niezależnie od tego, ile radości Amerykanie czerpaliby ze swojego towarzystwa, nie byli w stanie zignorować niepokojących globalnych wydarzeń, które zmierzały właśnie w kierunku punktu krytycznego. Była późna wiosna 1939 r. Podczas gdy członkowie tej wyprawy szykowali się do bitwy z K2, Europa przygotowywała się do wojny. Na całym kontynencie faszyzm rósł w siłę. Armia Franco zajęła właśnie Madryt, siły Hitlera dopiero co rozpoczęły okupację Pragi, a Mussolini miał wkrótce przeprowadzić inwazję na Albanie. Gdy SS Conte Biancamano przemierzał Ocean Indyjski, salony okrętu rozbrzmiewały piosenką sławiącą uroki Wiednia — na pokładzie znajdowało się 800 austriackich Żydów, którzy uciekali do Szanghaju, by uniknąć nazistowskich prześladowań.

Najbardziej intrygującym pasażerem okrętu był Hjalmar Schacht, niemiecki ekonomista znany jako „bankier Hitlera”. Fritz Wiessner i Jack Durrance mówili płynnie po niemiecku, więc wkrótce zaczęli gawędzić z Schachtem. Jak się okazało, zmierzał on do Indii ze swoim bratankiem; bankowiec na pozór jechał na wakacje, ale nikt nie wiedział, co tak naprawdę myśleć o tym człowieku. Krążyły pogłoski, że jest szpiegiem, który ma za zadanie przyjrzeć się brytyjskim koloniom. Część osób twierdziła z kolei, że Schacht znalazł się w niełasce ze względu na swój udział w niedawnej próbie zamachu stanu. Durrance i Wiessner nigdy nie doszli do tego, która z tych hipotez była prawdziwa, lecz Schacht był miłym towarzyszem podróży, a do tego nie skąpił nikomu szampana i nie unikał rozmów.

Siedem lat wcześniej, gdy Fritz płynął do Indii wraz z członkami ekspedycji zmierzającej na Nanga Parbat, cały zespół rozpoczynał dzień od godziny ćwiczeń fizycznych. Teraz podróż przebiegała w zupełnie innej atmosferze. Ulubionym drinkiem stało się chianti z 1931 r., a Jack Durrance odnotował w swoim pamiętniku, że uczestnicy wyprawy spędzali większość czasu, „zmieniając jedną rozrywkę na inną”. Najstarsi członkowie wyprawy — Wolfe, Wiessner i Cromwell — nie byli aż tak skorzy do imprezowania jak chłopcy z Dartmouth, ale na filmie nakręconym przez Wolfe’a widać, że wszyscy świetnie się bawili: pływali, uprawiali na pokładzie różne sporty i generalnie cieszyli się przywilejami przysługującymi pasażerom pierwszej klasy.

Gdy po trzech tygodniach dopłynęli do Bombaju, czekała ich — tradycyjnie już niewygodna — podróż do Rawalpindi, choć zaraz po dotarciu do Śrinagaru w Kaszmirze znów wrócili do życia na wysokim poziomie. Zanim członkowie wyprawy Houstona ruszyli w 1938 r. w dalszą drogę, przeznaczili większość czasu na przepakowywanie ekwipunku, natomiast na zwiedzanie zostało im zaledwie kilka godzin. Wiessner postanowił dla odmiany przeznaczyć cały tydzień na aklimatyzację i dopiero później rozpocząć długi marsz w góry.

Przez kilka pierwszych dni Amerykanie mieszkali u majora Kennetha Hadowa, brytyjskiego oficera, którego rodzina od dawna związana była z Kaszmiem. Kenneth Hadow był synem bratanka Douglasa Hadowa, młodego brytyjskiego wspinacza, który w 1865 r. poślizgnął się na grani Hörnli na Matterhornie i pociągnął za sobą trzech innych wspinaczy. To właśnie ten wypadek, który pochłonął cztery ofiary śmiertelne, zakończył pierwszą „złotą erę” w historii wspinaczki górskiej. Hadow zaprzyjaźnił się z Wiessnerem po wyprawie na Nanga Parbat, a teraz wszyscy przekonali się, że był niezwykle szczodrym gospodarzem posiadającym piękną posiadłość.

Nawet Tony Cromwell, który wiódł życie zamożnego człowieka korzystającego z rozmaitych przywilejów, był zaskoczony obecnością całej armii służących będących na

każde zawołanie. W artykule napisanym po powrocie z ekspedycji Tony przyznał, że od czasu do czasu musiał się uszczyplnąć, by mieć pewność, iż to, co ma przed oczyma, dzieje się naprawdę. Europa mogła się znajdować na krawędzi wojny, a świetność imperium brytyjskiego mogła przechodzić właśnie do historii, ale w Kaszmirze flagi brytyjskie wciąż dumnie łopotały na wietrze, a gin z tonikiem lał się litrami^[3].

Po kilku dniach odpoczynku członkowie wyprawy wybrali się w towarzystwie dwóch poznanych właśnie Brytyjek do Gulmargu — kurortu położonego w górach wznoszących się nad Śrinagarem. Oczywiście podróżowali z klasą i zabrali ze sobą kamerdynera, kucharza, zamiatacza oraz trzech innych służących. Schronisko narciarskie, w którym się zatrzymali, było zupełnie nowe i szczyliło się obecnością gospodarza oraz kilku służących, ale pobyt w tym miejscu nie składał się wyłącznie z przyjemności. Przez cztery dni Amerykanie ciężko pracowali w okolicznych górach (sięgających 3800 m n.p.m.), próbując się zaaklimatyzować i poprawić swoją kondycję. Dudley Wolfe okazał się dużo lepszym narciarzem, niż ktokolwiek przypuszczał, a wszyscy uczestnicy wyprawy dbali o zapewnienie sobie dużej ilości ruchu — przynajmniej za dnia.

Gdy wrócili do Śrinagaru, okazało się, że ich brytyjski oficer zajmujący się kwestiami transportowymi, George Trench, czeka już na nich razem z Pasangiem Kikulim i ośmioma Szerpami z Dardżylingu. Wysoki i szczupły Trench miał 22 lata, nosił krótko przycięte wąsy i był porucznikiem artylerii w 21. pułku górskim stacjonującym wówczas w Peszawarze, niedaleko granicy z Afganistanem. Znaleziony w ostatniej chwili jako zastępca jednego z miejscowych, który nie mógł jednak towarzyszyć członkom wyprawy, Trench miał niewielkie doświadczenie wspinaczkowe. Większe obawy Fritza budziło to, że oficer nie znał żadnego z lokalnych dialektów używanych w Baltistanie, a zatem nie był w stanie zbyt pomóc podczas kontaktów z tragarzami. Był jednak czarujący i pełen energii, a

do tego szybko nawiązał świetny kontakt z Tonym Cromwellem, który był anglofilem.

Jack Durrance był zachwycony tym, że ma okazję spotkać słynnego Pasanga Kikulego i jego grupę Szerpów. Ich krępe ciała i uśmiechnięte twarze doskonale pasowały do tego, jak ich sobie wcześniej wyobrażał. Szczególnie duże wrażenie robił Pasang Kikuli, wyglądający na twardziela weteran wypraw brytyjskich i niemieckich, który najwyraźniej budził powszechny szacunek.

Gdy Fritz ocenił sytuację, poczuł umiarkowane zadowolenie. Utrata Bestora Robinsona była poważnym ciosem, ale ekspedycja zaczęła się całkiem pomyślnie. Szerpowie robili znakomite wrażenie, cały ekwipunek wyprawy dotarł na miejsce nieuszkodzony, zespół się ze sobą zżył, a jeśli wierzyć pocztówce, którą Fritz wysłał Ellisowi Fisherowi z American Alpine Clubu, byli „wyjątkowo zgraną” grupą. Teraz pozostawało jedynie uporać się z liczącą 530 kilometrów podróżą do bazy pod K2, a potem pokonać w pionie 3600 metrów i dotrzeć na szczyt.

*

Droga pod K2 wiodła tą samą trasą, którą rok wcześniej pokonał Houston: po krótkiej wędrówce przez Kaszmir następował mniej komfortowy marsz przez Baltistan. Wędrówka okazała się przyjemnie monotonna. Wyprawa pokonała przełęcz Zoji La tuż po północy 4 maja, a następnie minęła szereg wsi, które wyglądały tak, jak gdyby „dopiero co wyjechał stamtąd Marco Polo” (lub tak przynajmniej ujął to Jack Durrance).

Ostatnie pozostające w pamięci chwile miały miejsce między Askole a bazą, gdy ekspedycja musiała pokonać kilka bardzo niebezpiecznie wyglądających mostów linowych. Były wykonane z kory wierzby i zazwyczaj składały się z długich, pomocniczych włókien znajdujących się po obu stronach centralnej, położonej niżej liny, po której trzeba było przejść niczym po linie do akrobacji. Boki były zabezpieczone plecioną kratownicą (również wykonaną z kory), jednak rzadko kiedy

wyglądała ona na tyle solidnie, by można było liczyć na to, że utrzyma upadającego człowieka.

Mosty znajdujące się w najgorszym stanie były niezmiennie zawieszane nad najbardziej rwącymi potokami, zmuszając podróżnych do wykazania się silnymi żołądkami i mocnymi nerwami. Nawet Fritz uważał, że te mosty są nieprzyjemne i budzą grozę. Gdy rozpoczynający właśnie swoją przygodę z pisarstwem George Sheldon opisywał później te konstrukcje, pozwolił sobie na spore niedopowiedzenie:

Te mosty są naprawdę wyjątkowe, a zarazem nie aż tak przyjemne do pokonywania i solidne, jak chociażby most Waszyngtona^[4].

Obawy Amerykanów tylko się pogłębiły, gdy tragarze poinformowali ich, że mosty są wymieniane na nowe dopiero wtedy, gdy się zerwą.

Chociaż Jack Durrance nie zaczął jeszcze studiów medycznych, przyszło mu się wcielić w rolę wędrownego doktora wydającego lekarstwa w takich samych organizowanych naprędce wiejskich przychodniach, w jakich rok wcześniej działał Charlie Houston. Leczył olejem rycynowym zarówno zaparcia, jak i biegunkę, a oprócz tego szybko uświadomił sobie, że w przypadku lokalnych tragarzy tabletki od bólu głowy zdają się stanowić lekarstwo na praktycznie wszystkie schorzenia.

Amerykanie borykali się z typowymi zwichnięciami, otarciami i spuchniętymi kostkami, ale z największym dyskomfortem zmagali się przypuszczalnie sam Durrance. Już po kilku dniach podróży w jego śpiworze załęgły się pchły, które dokuczały mu przez większą część wędrowki i wymarły dopiero wtedy, gdy dotarła ona na większą wysokość.

Zamożny Dudley Wolfe był bardziej przyzwyczajony do kajut wykończonych mahoniem i luksusowych apartamentów niż trudów wędrowki. Starał się zachować pogodny nastrój, chociaż w liście wysłanym do domu przyznał, że spodziewał się

spędzić więcej czasu, mieszkając w rządowych bungalowach, a nie biwakując wśród skał.

Więzi łączące członków zespołu stawały się coraz silniejsze, a poszczególni członkowie wyprawy zaczęli nadawać sobie przydomki. Amerykanie nadali Fritzowi przydomko „Baby Face”, natomiast Szerpowie mówili na niego „Bara Sahib” lub „wielki szef”. 46-letni Tony Cromwell dorobił się z kolei przydomka „Pop Sahib”. Od czasu do czasu członkowie wyprawy płatali sobie psikusy lub dodawali do wędrówki element rywalizacji, ale jak donosił Fritz w liście do Ellisa Fishera napisanym 8 maja 1939 r., jego chłopcy robili dobre wrażenie:

Jedno słowo wystarcza, by zajęli się swoimi obowiązkami i skupili się na ciężkiej pracy. Jestem przekonany, że dobrze poradzą sobie na górze, a ja nie będę miał żadnych problemów ze zorganizowaniem ostrożnej, efektywnej i dobrze skoordynowanej wspinaczki.

W połowie maja, po 12 dniach wędrówki, wyprawa dotarła do Skardu, a cztery dni później wmaszerowała do Askole, ostatniej wsi przed K2. Stosownie do okoliczności ostatnią noc spędzoną wśród „cywilizacji Baltistanu” uczcili obfitym posiłkiem i drinkami z rumu przygotowanymi specjalnie przez Tony’ego Cromwella. Ze względu na problemy, z jakimi zmagał się tutaj Charlie Houston w 1938 r., Fritz Wiessner żywił pewne obawy, jeśli chodzi o wynajmowanie lokalnych tragarzy, ale tydzień później zdołali opuścić Askole ze 120 świeżo zatrudnionymi ludźmi.

Pierwsze etapy wędrówki minęły bez większych trudności, ale kłopoty miały dopiero nadejść. Gdy ekspedycja dotarła do Urdukasu, oazy zieleni pośrodku lodowca Baltoro, pogoda gwałtownie się zmieniła. Przez dwa dni bez przerwy padał śnieg. George Sheldon i Jack Durrance próbowali rozweselić tragarzy papierosami i żartami, ale żaden z tubylców nie dysponował ubraniem chroniącym przed większym niż zwykle mrozem — nic więc dziwnego, że po prostu odmówili

opuszczenia swoich prowizorycznych schronień. Sytuacja zmusiła Fritza do stawienia czoła męczarniom związanym z czekaniem: każdy dzień opóźnienia oznaczał więcej skonsumowanego prowiantu i konieczność znalezienia później większej ilości dodatkowego jedzenia. Znajdowali się bardzo blisko K2, ale wiedzieli, że jeśli nie zdołają wyciągnąć tragarzy spod ich brezentowych płacht i nakłonić tubylców do dalszej wędrówki lodowcem, równie dobrze mogliby się znajdować setki kilometrów od celu.

Na szczęście gdy śnieg przestał padać, tragarze zgodzili się ruszyć w dalszą drogę, choć szybko pojawił się nowy problem: Amerykanie nie mieli ze sobą na tyle dużej liczby okularów lodowcowych, by zapewnić je każdemu z tubylców. Każdy, kto zapuścił się na lodowiec bez tego elementu wyposażenia, narażał się na bardzo bolesną ślepotę śnieżną. Niezmiennie pomysłowy Jack Durrance przygotował prowizoryczne okulary wykonane z tektury oraz zapasowych szkieł jego gogli narciarskich, ale kilku mężczyzn musiało zrezygnować z dalszej wędrówki i porzucić swoje ładunki na lodowcu.

31 maja, niemal dwa i pół miesiąca od momentu opuszczenia Nowego Jorku, Fritz wraz z całym zespołem dotarł wreszcie do Concordii i ujrzał po raz pierwszy K2. Dla Jacka Durrance'a był to „najbardziej emocjonujący moment całej wyprawy”. Z perspektywy Fritza Wiessnera ta chwila była jeszcze bardziej szczególna, o czym wspomniał kilka dni później w swoim pamiętniku:

Wszystko, czego nauczyłem się przez wszystkie te długie lata spędzone w górach — całą siłę, energię, wytrzymałość i instynkt, jakie zapewnił mi ten czas — chciałbym poświęcić właśnie temu szczytowi. Robię to z opanowaniem i rozmysłem, ale także z ciepłem w sercu^[5].

Założyli bazę w tym samym miejscu, które rok wcześniej wybrał Houston, a wczesnym rankiem 1 czerwca Fritz Wiessner i Tony Cromwell wyruszyli w stronę grani północno-wschodniej. Fritz wiedział, że ostatecznie ich wybór padnie

najprawdopodobniej na drogę z 1938 r. wiodącą granią południowo-wschodnią, czyli Żebrem Abruzzów, ale na wypadek, gdyby Vittorio Sella miał rację co do drogi położonej bardziej na północ, chciał się jej dokładniej przyjrzeć. Reszta uczestników wyprawy zajęła się urządzeniem bazy. Jeśli jednak liczyli na kilkudniowy odpoczynek, los szykował zupełnie inny scenariusz.

Wszystko zaczęło się w chwili, w której ostatni tragarze z Askole otrzymali swoje wynagrodzenie i opuścili bazę. Po odłożeniu na miejsce wyprawowej skrzynki z pieniędzmi, Jack poszedł odwiedzić Chappella Cranmera, swojego kolegę z Dartmouth i najmłodszego członka wyprawy. Tego ranka „Chap” nie czuł się zbyt dobrze i postanowił zaszyć się w swoim namiocie. Początkowo Jack nie zwracał na to uwagi — był zbyt zajęty, a oprócz tego znajdowali się teraz na wysokości ponad 5000 m n.p.m., więc niezbyt silne objawy choroby wysokościowej nie były czymś nieoczekiwanym. Gdy jednak uniósł połę namiotu swojego kolegi z uczelni, uświadomił sobie, że sytuacja jest dużo poważniejsza.

Z klatki piersiowej Cranmera wydobywało się rzęzenie; chory wypluwał również mnóstwo śmierdzącego, zielonego płynu. Jack nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Przez całe popołudnie masował klatkę piersiową Cranmera, próbując ułatwić mu pozbycie się flegmy, ale stan pacjenta tylko się pogarszał. Gdy Durrance zrobił sobie kilkuminutową przerwę, by zjeść kolację, Cranmer poczuł się gorzej i wezwał go do siebie. Przez dwie godziny Jack wykonywał sztuczne oddychanie, podczas gdy pozostali członkowie wyprawy pogrążeni w szoku obserwowali rozwój wydarzeń. Wszystko wskazywało na to, że Cranmer może lada chwila umrzeć.

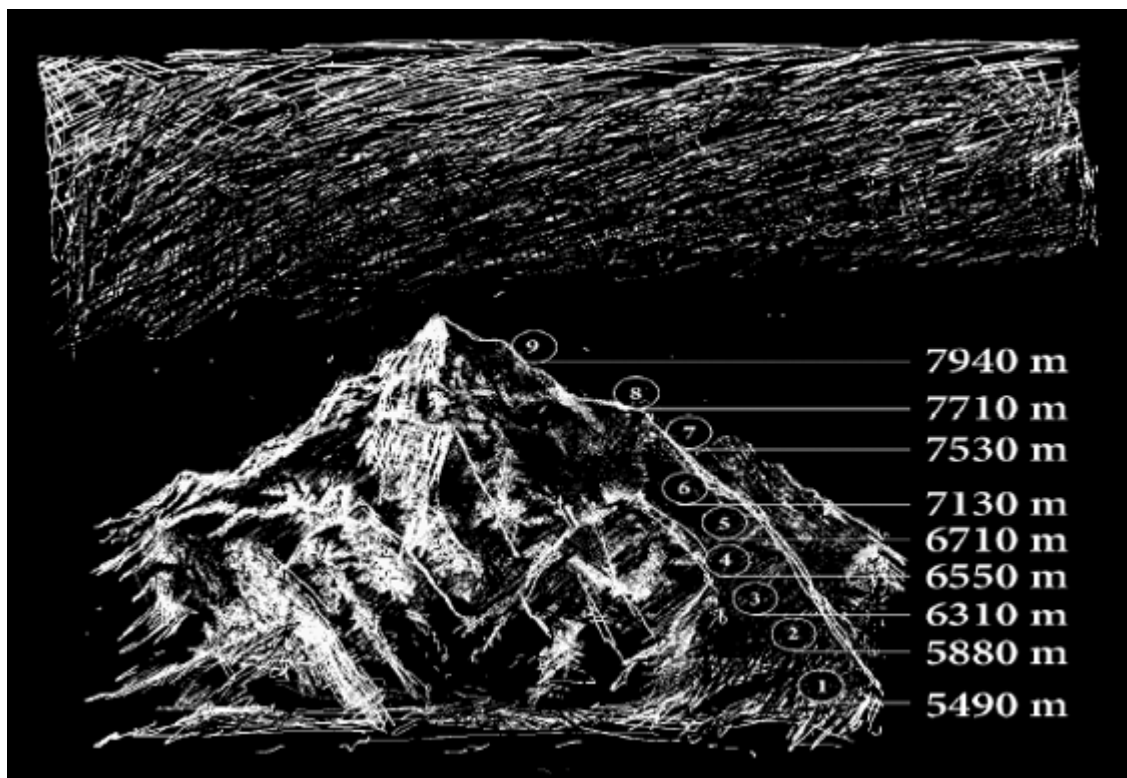
Kryzys minął, ale poprawa stanu zdrowia Chappella była bardzo nieznaczna. Nie było możliwości doustnego podania choremu jakichkolwiek leków, więc Jack postanowił zaaplikować mu zastrzyk z kodeiny. Korzystając z pomocy młodego George’a Sheldona, rozpuścił tabletkę we wrzątku, lecz roztwór zawierał tyle pęcherzyków powietrza, że mógł

przynieść więcej szkód niż korzyści. W tej sytuacji Durrance posmarował ramię chorego jodyną i udał, że robi mu zastrzyk — liczył na to, że ta pozorowana pierwsza pomoc może być bezpieczniejszym rozwiązaniem niż podanie przygotowanego właśnie roztworu. Po pewnym czasie stan Cranmera się ustabilizował, ale chory nadal wyrzucał z siebie zatrważające ilości cuchnącego płynu i trzykrotnie wypróżnił się w niekontrolowany sposób.

Rok wcześniej Charlie Houston przez trzy pełne niepokoju dni zajmował się w Askole chorym Paulem Petzoldtem, zastanawiając się, czy jego towarzysz zdoła wrócić do zdrowia. Ta sytuacja była ogromnie stresująca, ale Charlie miał przynajmniej za sobą trzy lata studiów medycznych. Jack Durrance mógł zrobić użytek wyłącznie z instynktu oraz garści wskazówek otrzymanych podczas zajęć przygotowujących do studiowania medycyny. Gdy po upływie kilku dekad oceniał podczas jednego z wywiadów swoją późniejszą karierę lekarską, powiedział, że Cranmer był najciężej chorym pacjentem, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia.

Fritz Wiessner dowiedział się o tych wydarzeniach dopiero dwa dni później, gdy wrócił do bazy. Rekonesans przebiegł bez żadnych problemów: dwuosobowy zespół zdołał dobrze przyjrzeć się północno-wschodniej grani K2 i odrzucił pomysł traktowania jej jako drogi prowadzącej na szczyt. Fritz był gotów przypuścić atak na Żebro Abruzzów, ale po dotarciu do bazy był zaszokowany sytuacją, którą zastał:

Wszyscy byli koszmarnie przygnębieni, biedny Chap strasznie się rozchorował — był bliski śmierci i z trudem pokonał ten kryzys. Wygląda na to, że mój najlepszy wspinacz przez pewien czas będzie wyłączony z gry^[6].



Mapa 4. Obozy założone na K2 przez wyprawę Fritza Wiessnera

To był poważny cios, ale uczestnicy wyprawy nie mieli innego wyjścia, jak kontynuować działania i liczyć na to, że Cranmer wyzdrowieje na tyle szybko, by odegrać jakąś rolę w wysiłkach zespołu.

Fritz miał zamiar trzymać się drogi Houstona prowadzącej Żebrem Abruzzów; chciał też rozbijać obozy w miejscach znalezionych przez wyprawę z 1938 r., aż do momentu osiągnięcia Ramienia, długiego wypłaszczenia znajdującego się na wysokości 7620 m n.p.m. i prowadzącego pod piramidę szczytową. Wiessner nie miał stuprocentowej pewności, jak będzie przebiegać dalsza wspinaczka, począwszy od Ramienia, ale szacował, że będzie potrzebował jeszcze dwóch niedużych obozów. Podobnie jak Charlie Houston, Fritz niepokoił się o pogodę oraz ryzyko uwięzienia wspinaczy w jakimś miejscu przez burzę — wyprawa dysponowała zatem dodatkowym zapasem prowiantu i sprzętu, co miało zapewniać większy margines błędu. Wszystkie główne obozy miały być zaopatrzone w wystarczającą ilość jedzenia, namiotów i

śpiworów, by w razie potrzeby można się tam było zatrzymać na kilka dni. Było wiadomo, że wyniesienie takiej ilości ekwipunku na odpowiednią wysokość pochłonie mnóstwo czasu i wysiłku, ale uczestnicy tej ekspedycji nie musieli przynajmniej podejmować żadnych działań związanych z eksploracją. Jeśli chodzi o planowany termin likwidacji bazy, tragarze z Askole mieli się tam zjawić w połowie lipca, a zatem wspinacze mieli mniej więcej sześć tygodni, by dotrzeć na szczyt i z powrotem.

W poniedziałek 5 czerwca Fritz Wiessner, Jack Durrance i George Sheldon wyruszyli z bazy w kierunku obozu pierwszego położonego u stóp Żebra Abruzzów. Sahibowie nieśli ładunki ważące po 16 kilogramów, natomiast Szerpowie dźwigali po 23 kilogramy. Przez trzy kolejne dni Fritz wędrował na czele tej grupy w górę i w dół, gromadząc w obozie pierwszym duży zapas jedzenia i sprzętu. Wieczorem 8 czerwca byli wreszcie gotowi, by po raz pierwszy spędzić w tym obozie noc.

W trakcie dwóch kolejnych tygodni wspinali się granią, zakładali kolejne obozy i transportowali do nich setki kilogramów prowiantu i sprzętu. Była to ciężka praca, która na pozór nie miała końca, ale dzięki mapom Charliego Houstona wspinacze przez cały czas robili postępy. Chappell Cranmer pozostawał w bazie i powoli wracał do zdrowia. Inni członkowie wyprawy starali się przyzwyczaić do kapryśków pogody na K2 oraz dyskomfortu towarzyszącego wspinaczce na dużej wysokości.

Każdy ze wspinaczy reagował na sytuację trochę inaczej. George Sheldon tryskał energią i starał się robić dobre wrażenie, nawet jeżeli jego przyjaciel Chappell Cranmer wciąż nie mógł się ruszyć ze swojego namiotu. Fritz Wiessner adaptował się do sytuacji dosyć wolno, ale rzadko miał naprawdę kiepskie okresy. Reakcje organizmu Jacka Durrance'a były dla odmiany dużo bardziej skomplikowane. W trakcie dobrych dni delektował się dreszczykiem emocji wynikającym ze wspinaczki na jednej z najwyższych gór na świecie, i to w towarzystwie Pasanga Kikulego, jednego z najwybitniejszych

żyjących Szerpów. Gdy jednak zdarzały mu się kiepskie dni, jego pamiętnik ukazywał zupełnie inną historię:

Nie sposób opisać, jak fatalnie się dziś czułem: bolały mnie plecy, nie mogłem zaczerpnąć tchu, a do tego dokuczało mi przygnębienie. Fritz wziął na siebie lwią część wybijania stopni, ja natomiast — większą część naszego marznięcia^[7].

Chociaż Dudley Wolfe był zdecydowanie najcięższym uczestnikiem wyprawy, radził sobie zaskakująco dobrze, nawet w trakcie noszenia ciężkich ładunków. Wydawało się również, że rozrzedzone powietrze nie robi na nim większego wrażenia. Gdy George Sheldon wysłał do American Alpine Clubu list, w którym przedstawiał postępy wyprawy, zażartował: „Dudley ruszył do góry i nie sposób ściągnąć go na dół”. Entuzjazm Dudleya przewyższał jednak jego umiejętności techniczne związane ze wspinaczką górską. W Alpach zawsze wspinał się z przewodnikami i nie wykazywał się zbyt wielką pewnością, jeśli chodzi o posługiwanie się liną lub asekurowanie, a na dodatek był bardzo wrażliwy na krytykę. Dwa dni po tym, jak Sheldon przelał na papier zacytowane powyżej słowa, Jack Durrance odnotował „niewielki emocjonalny wybuch ze strony Dudleya”, gdy ktoś odważył się go skrytykować.

Podobnie jak w przypadku każdej ekspedycji regularne dostawy listów były najlepszą ucieczką od monotonii i trudów codziennego życia. 16 czerwca goniec pocztowy dostarczył im trochę gazet i ponad 60 listów. Jack Durrance otrzymał kilkanaście listów, „przede wszystkim od kobiet”, jak odnotował z zazdrością George Sheldon. Niestety, Jack nie dostał tego, na czym zależało mu najbardziej: nowych butów.

Wyjeżdżał z Dartmouth College w takim pośpiechu, że nie miał czasu kupić butów górskich, których można byłoby używać na dużej wysokości, a para, którą zamówił w Szwajcarii, pomimo upływu dwóch miesięcy wciąż do niego nie dotarła. Jack ufał w to, że znajdzie się w składzie zespołu

wyznaczonego do ataku szczytowego, ale wiedział, iż nie dotrze zbyt daleko w przywiezionych ze sobą lekkich butach.

Tony Cromwell, zamożny nowojorczyk, był z kolei doskonale wyposażony, lecz nadal miał obiekcje dotyczące K2. Dotarł do bazy w całkiem dobrej formie, a po pierwszym rozpoznawczym wypadzie w kierunku grani północno-wschodniej powiedział Wiessnerowi, że mógłby nawet spróbować ruszyć na szczyt, ale nie był zbyt skuteczną prawą ręką lidera. Gdy Fritz przydzielił mu zadanie założenia czwartego obozu, Tony kompletnie zawiódł.

Problem wynikał po części z faktu, że Wiessner postanowił nie rozbijać żadnych obozów między obozem drugim na wysokości 5880 m n.p.m. a czwartym znajdującym się na wysokości 6550 m n.p.m. Pomiędzy nimi było na tyle dużo kruszyzny, że zdaniem Fritza lepiej było traktować trzeci obóz Houstona położony na wysokości 6310 m n.p.m. jako skład zawierający zapasy. Z jednej strony było to sprytne posunięcie — nikt nie chciał leżeć w namiocie bombardowanym przez kamienie lecące z góry — ale wadą tego rozwiązania była długa, licząca niemal 700 metrów w pionie droga między obozem drugim a czwartym. Stanowiła ona wyzwanie nawet dla bardzo silnego wspinacza.

W 1938 r. niemal wszyscy członkowie wyprawy rekonesansowej Houstona dysponowali jakimś doświadczeniem — byli przyzwyczajeni do dźwigania ciężkich ładunków i nie odczuwali lęku, gdy musieli się mierzyć z nieznanym terenem. Aż do końca, gdy wspólnie wybrali członków zespołu podejmującego atak szczytowy, wspinacze zmieniali się na prowadzeniu. W 1939 r. sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej. W miarę upływu tygodni ukształtował się wyraźny schemat: Fritz zdobywał nowy teren, a reszta podążała jego śladami. Gdy Wiessner przebywał w obozie, jego umiejętności organizacyjne oraz siła osobowości dodawały wszystkim skrzydeł. Jeżeli jednak wysforował się zbyt daleko do przodu lub zajmował się kwestiami administracyjnymi w bazie, postępy wyprawy były znikome.

Po dwóch tygodniach spędzonych na K2 Fritz zaczynał bardziej realistycznie oceniać ograniczenia swojego zespołu. 17 czerwca zapisał w swoim pamiętniku, że jego zespół nie był już radosną grupką mężczyzn, których wcześniej wychwalał. Będący jego prawą ręką Tony Cromwell nie przepadał za braniem na siebie odpowiedzialności i „nie potrafił poradzić sobie z presją trudnych sytuacji”. Jack Durrance okazał się „bardzo pomocny w obozach i jako jedyny był naprawdę skuteczny”, lecz z powodu braku odpowiednich butów miał problemy z palcami u nóg. Dudley Wolfe robił co w jego mocy, ale Fritz zapisał także: „jest jednak do pewnego stopnia nieudolny, przez co inni nie chcą się z nim wiązać liną”^[8]. George Sheldon dobrze sobie radził, lecz wciąż nic nie wskazywało na to, by jego przyjaciel, Chappell Cranmer, miał wkrótce dołączyć do grupy wspinaczy. Fritz zastanawiał się, czy nie uczynić swoim zastępcą Jacka Durrance’a i nie zwolnić z tych obowiązków Tony’ego Cromwella, choć póki co nie zdecydował się na wprowadzenie w tym względzie żadnych zmian.

21 czerwca Fritz doprowadził swój zespół do obozu czwartego; był to ważny moment dla ekspedycji. Odcinek wiodący do tego obozu był trudny i eksponowany, ale lider uporał się z nim w dobrym stylu. Powyżej znajdował się Komin House’a — zdaniem Houstona najtrudniejsza pod względem wspinaczkowym część drogi prowadzącej na szczyt K2. Ponieważ w namiotach było miejsce tylko dla trzech Sierpów i trzech sahibów, Jack Durrance ruszył z powrotem na dół, pozwalając, by Dudley Wolfe i George Sheldon pomogli w zakładaniu obozu.

Fritz niecierpliwie wypatrywał wyzwania, które na niego czekało, ale ostatecznie musiał się zmierzyć z czymś dużo bardziej wymagającym: silną burzą. Przez osiem dni obóz czwarty był wystawiony na działanie silnego wiatru i niskich temperatur. Fritz miał już do czynienia z podobnymi burzami w 1932 r. na Nanga Parbat, ale inni członkowie wyprawy nigdy

wcześniej nie doświadczyli niczego podobnego. Gdy pełniący obowiązki kronikarza ekspedycji George Sheldon pisał pół roku później artykuł na temat ich próby zdobycia K2, w jego umyśle wciąż obecna była dziwna mieszanka przerażenia i monotonii:

Leżeliśmy w naszych śpiworach, mając na sobie kilka zestawów bielizny, odzież odporną na działanie wiatru, buty, rękawiczki i nakrycia głowy. Zakładaliśmy, że w każdej chwili możemy zostać zwiani do pobliskiego Tybetu. Nie mieliśmy niczego do czytania, jeśli nie liczyć etykiet puszek z jedzeniem. Posiłek stawał się niezwykle ważnym wydarzeniem... nieustanne uderzenia w namiot i jego trzeszczenie na wietrze osiągającym prędkość 110 kilometrów na godzinę sprawiały, że zachowywaliśmy się praktycznie niczym psychopaci^[9].

Ponad 600 metrów niżej Jack Durrance i Tony Cromwell zostali uwięzieni przez tę samą burzę w obozie drugim, aczkolwiek mieli przynajmniej ze sobą dzieła Goethego i Tennysona, którzy dotrzymywali im w ten sposób towarzystwa. Trudno się dziwić, że często rozmyślali o tym, co będą robić po zakończeniu ekspedycji. Obaj nie mogli się doczekać kilkudniowego odpoczynku w Śrinagarze, choć Jack Durrance, nie zważając na szalejące wokół żywioły, planował urządzić sobie przystanek w Europie, co pozwoliłoby mu powspinać się przez kilka dni w Dolomitach.

Po niemal tygodniu, w trakcie krótkiej przerwy w burzy do obozu drugiego dotarł Szerpa z bazy z fantastycznymi nowinami dla Jacka, któremu nieustannie marżyły stopy:

To dla mnie coś lepszego niż prezent na gwiazdkę: dostałem moje buty wyprawowe. Przy sprzyjającej pogodzie i braku nieprzewidzianych problemów będę mógł teraz dotrzeć na większą wysokość. Jestem dumny jak paw z moich butów, lecz wiatr nie podziela mojej radości i nie ustępuje. Czytamy, piszemy i gawędzimy o naszych ulubionych sportach^[10].

Dzień później burza ucichła. Znajdujący się w dosyć opłakanym stanie George Sheldon dotarł na dół w towarzystwie dwóch Szerpów. 22-letni student geologii był na początku wyprawy jednym z najambitniejszych wspinaczy w zespole, nieustannie wyrywającym się do przodu i próbującym zrobić wrażenie na liderze, ale po tym, jak burza uwięziła go na ponad tydzień w obozie czwartym, wyglądał dosyć nieszczęśliwie. Jego głos nie brzmiał zbyt dobrze, a kilka jego palców u rąk i nóg nosiło ślady odmrożeń.

Fritz nie schodził niżej i przy wsparciu szefa Szerpów, Pasanga Kikulego, dokonał kolejnego przełomu: pierwszego w tym roku przejścia Komina House'a. Później napisał, że był to „niezwykle imponujący wyciąg; jestem pełen uznania dla Billa House'a”. Pokonanie tego fragmentu drogi pochłonęło dwie godziny i kosztowało lidera mnóstwo wysiłku; zwiększyło też podziw Fritza dla dawnego partnera wspinaczkowego będącego jednym z filarów wyprawy rekonesansowej z 1938 r. Ekspedycja Wiessnera znalazła kilka lin zostawionych rok wcześniej, ale zamiast podejmować ryzyko związane z korzystaniem ze starego sprzętu, zainstalowała świeże liny.

Fritz był jednym z tych wspinaczy, którzy aklimatyzowali się powoli, acz miarowo. Po miesiącu spędzonym na górze czuł się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Członkowie jego zespołu nie byli jednak ulepieni z tej samej gliny — gdy upływały kolejne tygodnie, a wspinaczka robiła się coraz bardziej wymagająca, mieli coraz większe problemy ze sprostaniem sytuacji, podczas gdy Fritz odczuwał narastającą frustrację:

To okropne, że Tony i Jack po prostu siedzą w [obozie] drugim i ograniczają się do transportowania ekwipunku do trójki, zamiast dostarczyć wszystko do wyższego obozu. Jestem potwornie rozczarowany i wyślę im obu notatkę, która może zdoła ich otrzeźwić i pozwoli im przejrzeć na oczy^[11].

Gdy 2 lipca notatka Fritza została zniesiona na dół przez Szerpę, Jack i Tony poczuli się bardziej poirytowani niż

upomniani. Wiessner najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że oni również zostali zatrzymani przez burzę. Co więcej, coraz wyraźniej dawał o sobie znać rozdźwięk między grupą uderzeniową Fritza a wspinaczami działającymi w niższych partiach góry. Jack Durrance nadal uważał, że razem z innymi uczestnikami ekspedycji ciężko pracuje na rzecz zespołu, lecz — jak zapisał w swoim pamiętniku — bycie „marionetkami” na wyprawie Fritza wcale nie było przyjemne^[12].

Po beczynności, która zdominowała wcześniejsze dwa tygodnie, wszyscy z radością zabrali się do roboty, ale kilka dni później, 5 lipca, podczas powrotu z wyczerpującej wspinaczki do obozu trzeciego z dużą porcją zapasów, wykazujący się zazwyczaj dużą ostrożnością Tony Cromwell poślizgnął się i spadł niemal 15 metrów. Chociaż niczego sobie nie połamał, odczuwał po tym wypadku większe zniechęcenie niż kiedykolwiek wcześniej, a paskudnie poobijane żebra sprawiały, że dźwiganie ładunków stało się jeszcze trudniejsze. 26-letni George Sheldon, wyraźnie młodszy od Cromwella, nadal borykał się z problemami. Ponieważ stan jego odmrożonych palców u nóg się nie poprawiał, Tony podjął jedną z nielicznych decyzji związanych z kierowaniem zespołem i odesłał George’a do bazy, by ten spróbował wykurować się na mniejszej wysokości. George ruszył na dół z założeniem, że wkrótce wróci do wspinania, ale notatki medyczne Jacka Durrance’a przedstawiają obraz młodego człowieka znajdującego się na granicy swoich możliwości:

Stopy George’a Sheldona zaczęły nagle puchnąć z powodu odmrożeń... Podczas bezsennych nocy słyszałem jego kaszel, jęki i przekleństwa, a on sam wygląda na wymizerowanego i wyczerpanego... Ze wszelkich sił stara się nie poddawać i pomagać na tyle, na ile to tylko możliwe, ale jego reakcje są powolne i do pewnego stopnia nieprecyzyjne, a czasem również niezdarne, co jest wynikiem oddziaływania wysokości^[13].

Działający wyżej Fritz i Szerpowie nadal robili postępy — znaleźli bezpieczną drogę prowadzącą wśród kruszyny i skomplikowanego terenu Czarnej Piramidy, czyli wymagającego odcinka potrzaskanych skał na wysokości mniej więcej 7315 m n.p.m., a następnie dotarli niemal do końca Żebra Abruzzów. Dudley Wolfe nie wspinał się razem z nimi; wolał zostać w obozie piątym i poczekać na grupę, która podejdzie z dołu z zapasami. Chociaż jednak czekał cierpliwie przez kilka dni, nikt się nie pojawił.

Komunikacja — a raczej jej brak — stawała się poważnym problemem. Przed wyjazdem na wyprawę wspinacze zastanawiali się, czy nie zabrać ze sobą krótkofalówek, ale pod koniec lat 30. przenośne urządzenia nadawczo-odbiorcze wciąż były rzadkością. Chociaż udało się znaleźć taki sprzęt, Fritz nie pochwalał pomysłu zabierania go na K2. Przez całą swoją karierę wspinaczkową z niechęcią podchodził do tak zwanych sztucznych ułatwień, nie przepadał też ogólnie za nowinkami technicznymi jako takimi. Nigdy nie wspinał się z dodatkowym tlenem, a nawet jeżeli pokonywał w skale bardzo trudne wyciągi, zawsze używał jak najmniejszej liczby haków.

Z perspektywy etyki sportowej jego upór, by robić wszystko w naturalny sposób, mógł budzić podziw, ale w przypadku dużej, „oblężniczej” wyprawy, komunikacja między obozami była wyjątkowo istotną kwestią. Teoretycznie wspinacze mogli się ze sobą porozumiewać, robiąc użytek z sygnałów dymnych, ale w praktyce jedynym sposobem, by najwyższe obozy zachowały kontakt z tymi niższymi, było albo wysyłanie notatek przenoszonych potem przez członków wyprawy, albo osobiste pofatygowanie się w górę bądź w dół.

Schemat, który ukształtował się w początkowym okresie działalności wyprawy, nie ulegał żadnym zmianom: Fritz parł naprzód, prowadząc wszystkie nowe wyciągi i wykonując mnóstwo pracy związanej z transportowaniem sprzętu i prowiantu; Dudley Wolfe podążał śladami lidera i ani przez moment nie brał pod uwagę schodzenia; reszta zostawała w tyle, w niższych obozach, podejmując mniej lub bardziej

entuzjastyczne próby transportowania zapasów. Napięcie sięgnęło zenitu 9 lipca, gdy brak jedzenia zmusił Fritza do przerwania ataku na szczyt i zejścia do obozu drugiego w celu sprawdzenia, dlaczego dostarczanie żywności zabiera tak dużo czasu. Jak można było przewidzieć, Dudley Wolfe wolał zostać w wyższych partiach góry, więc Fritz zszedł samotnie. Jego pojawienie się i dobre wieści dotyczące poczynionych postępów podniosły morale pozostałych członków wyprawy, ale po pięciu tygodniach wspinaczki potrzebowali oni czegoś więcej niż metaforycznego zastrzyku energii. Działalność na K2 zbierała swoje żniwo, a Jack Durrance przyznał w swoim pamiętniku, że uczestnicy ekspedycji byli bardzo wyczerpani:

Pop Sahib [Cromwell] twierdzi, że jest wykończony i nie poradzi sobie powyżej obozu czwartego. Przebywający w bazie George Sheldon jest inwalidą z odmrożonymi palcami u nóg. Chap Cranmer wciąż jest zbyt słaby, by dotrzeć do jedyńki lub dwójki, więc zostaje tylko Fritz, Dudley i ja. Wygląda na to, że gdy pogoda się poprawi, razem z Fritzem spróbujemy zaatakować szczyt. Zakładamy, że w drogę powrotną ruszymy dopiero w sierpniu^[14].

Fritz też zdawał sobie sprawę z istnienia problemów, ale nadal czuł się dobrze, a co najważniejsze, wciąż utrzymywała się dobra pogoda. Nawet jeżeli Cromwell i Sheldon byli wyłączeni z działalności na górze, Wiessner był przekonany, że szczyt K2 znajduje się w jego zasięgu. Musiał tylko zmobilizować swoich żołnierzy do ostatniego dużego kursu w górę Żebrem Abruzzów, a potem szybkiego ataku na szczyt. Później mogli już ruszyć w drogę powrotną do Ameryki z niesamowitą historią do opowiedzenia i przejść do historii jako pierwsi zdobywcy jednej z najwyższych gór na świecie. Gdyby wydarzenia nie ułożyły się tak pomyślnie i nie udało się przeprowadzić ataku szczytowego przed 23 lipca, kiedy to w bazie mieli się pojawić tragarze, Wiessner planował podzielić zespół i wysłać w drogę powrotną Tony'ego Cromwella z

większą częścią ekwipunku ekspedycji. Fritz zostałby w takiej sytuacji na górze, by razem z Jackiem dokończyć to, co zaczęli.

11 lipca o 8:30 rano wszyscy związali się linami, gotowi do przypuszczenia ostatecznego ataku na górę. Odmrożenia Sheldona były tak poważne, że nie mógł towarzyszyć reszcie członków wyprawy, ale pożyczył swoje buty George'owi Trenchowi, ich brytyjskiemu oficerowi zajmującemu się kwestiami transportowymi, który podszedł do góry z bazy. Po spędzeniu niemal sześciu tygodni pod K2, Trench marzył o tym, by przed wyruszeniem w drogę powrotną ustanowić na górze osobisty rekord i pokonać Komin House'a.

Następnego popołudnia wspinacze dotarli do obozu szóstego. Gdy Jack uściśnął dłoń Dudleya Wolfe'a, zaszokowany uświadomił sobie, że minęło 21 dni, odkąd po raz ostatni widział „pustelnika z K2”. W ciągu ostatnich kilku tygodni Durrance sporo myślał na temat Wolfe'a. Podczas sezonów letnich Jack pracował jako przewodnik górski i był przyzwyczajony do szacowania możliwości swoich klientów, a im wyżej docierał Dudley, tym bardziej Jack się o niego martwił. Podczas wyjazdów w Alpy Wolfe mógł sobie pozwolić na zatrudnianie najlepszych przewodników działających w Europie, ale w Karakorum jego majątek nie miał najmniejszego znaczenia. Sam fakt, że Dudley dotarł do obozu szóstego, świadczył o sile i determinacji, jakimi wykazywał się ten mężczyzna, lecz problem polegał na tym, iż najwyraźniej nie posiadał on biegu wstecznego. Fritz przemieszczał się regularnie w górę i w dół, Jack i Tony transportowali ładunki między niższymi obozami, natomiast Wolfe zawsze wolał pozostawać w tym samym miejscu, zamiast schodzić — choćby nawet oznaczało to konieczność samotnego spędzania sporej ilości czasu. Trudno było powiedzieć, czy nie miał po prostu skłonności do schodzenia z gór, czy może była to kwestia braku odpowiedniej techniki, chociaż Jack podejrzewał, że przyczyną była druga z wymienionych tu kwestii.

Tamtego wieczoru Cromwell i Trench ruszyli w dół, a Jack miał dzielić namiot z Dudleyem. Gdy okazało się, że Wolfe

planuje wspinaczkę do następnego obozu położonego na wysokości 7530 m n.p.m., Durrance uznał, iż nadeszła chwila, by stawić czoła problemowi. Ostrzegł Dudleya, że nie jest po prostu wystarczająco dobrym wspinaczem, by iść choćby odrobinę wyżej. Dalsza wspinaczka miała być jeszcze trudniejsza, więc w obliczu braku umiejętności umożliwiających bezpieczne zejście z góry byłoby szaleństwem podążać dalej w kierunku szczytu.

Jak można się było spodziewać, Dudley nie był zbyt szczęśliwy, słysząc komentarze Jacka. Jeśli o niego chodziło, dobrze sobie radził. Dotarł na wysokość 7130 m n.p.m., więc dlaczego nie miałyby pokonać drogi aż na szczyt? To Tony i chłopcy z Dartmouth — włączając Jacka — nie radzili sobie z wysiłkiem. Następnego ranka Dudley opowiedział Fritzowi o tej rozmowie i zapytał, co powinien zrobić. Wiedział, że inni członkowie wyprawy nie mają zbyt pochlebnego zdania na jego temat, ale może była to wyłącznie zazdrość? Jako wspinacze mogli dysponować lepszą techniką niż on, lecz na K2 najwyraźniej nie miało to większego znaczenia.

To była bardzo dziwna sytuacja. Wiessner zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że Wolfe nie ma zbyt wielkiego doświadczenia wspinaczkowego; z drugiej strony Dudley wykazywał się dwiema cechami, których brakowało innym. Po pierwsze, okazywał ogromny entuzjazm i wyglądało na to, że naprawdę chce dotrzeć na szczyt. Po drugie, wydawało się, że wysokość nie sprawia mu problemów. Odesłanie go na dół, gdy tak dobrze sobie radził, byłoby bardzo trudne, szczególnie w sytuacji, w której wszyscy inni wyraźnie słabli.

Wydarzenia, które miały miejsce następnego dnia, zdawały się potwierdzać słuszność słów Dudleya. Gdy zmierzali do obozu siódmego, Jack Durrance miał coraz większe problemy z oddychaniem i musiał ciężko walczyć o każdy wykonany krok. Po pokonaniu około jednej trzeciej drogi i osiągnięciu wysokości mniej więcej 7315 m n.p.m., Jack uświadomił sobie, że po prostu nie zdoła się wspiąć wyżej. Fritz odesłał go na dół w towarzystwie trzech Szerpów i borykającego się z

odmrożeniami Pasanga Kikulego; lider poprosił też, by Durrance wrócił następnego dnia, gdy poczuje się lepiej. Gdyby Jack z jakiegoś powodu nie był w stanie podjąć wspinaczki do obozu siódmego, miał wysłać do góry zespół Szerpów z większą ilością zapasów.

Jack przetrwał drogę w dół i pokonał Komin House'a, ale noc spędzona w obozie czwartym miała być najgorszą, jaką przeżył dotychczas na K2. Bicie jego serca stało się całkowicie nieregularne i miał poważne trudności z oddychaniem. Był tak wystraszony, że nalegał, by jeden z Szerpów spał obok niego.

Gdy Jack analizował później te wydarzenia i próbował zrozumieć tę zapaść, nie potrafił ustalić, co poszło nie tak. Czy było to po prostu oddziaływanie wysokości i złej pogody? A może sił pozbawił go ogólny chaos towarzyszący wyprawie? Przez wiele wcześniejszych tygodni kiepsko sypiał i był pewien, że wysiłek włożony w to, by pomóc George'owi Trenchowi w pokonaniu Komina House'a, a także ciężki plecak wyniesiony do obozu szóstego, na pewno mu nie pomogły. To, że rzadko kiedy miał okazję poznać plany Fritza z odpowiednim wyprzedzeniem, nie był odpowiednio zaaklimatyzowany, a na dokładkę żywił obawy związane z tym, iż był typowany na członka zespołu mającego zaatakować szczyt, bez wątplenia przyczyniało się do ogólnego stresu i niepokoju — prawda wyglądała jednak tak, że nie potrafił podać przyczyny, która w tym konkretnym momencie doprowadziła do zapaści. Był pewien jedynie tego, że dotarł do granic swoich możliwości i musiał jak najszybciej zejść na mniejszą wysokość. Następnego ranka Jack obudził zatem Szerpów o piątej rano, nalegając na szybki odwrót. Na tej wysokości nic nie dzieje się jednak szybko, tak więc potrzebowali ponad trzech godzin, by opuścić obóz.

Powyżej działania toczyły się na pozór zgodnie z planem. Fritz wysłał na dół Szerpę z dobrymi wieściami: na wysokości 7530 m n.p.m. udało się założyć obóz siódmy, a wszystko układało się tak, jak powinno. W głębi duszy Wiessner był jednak potwornie sfrustrowany. Jedynym Amerykaninem, który

był w stanie dotrzymać mu kroku, był Dudley Wolfe, najmniej kompetentny wspinacz. Fakt, że Dudley zdołał dotrzeć tak wysoko, był zadziwiający, ale niezależnie od tego, jak bardzo by się starał, nigdy nie zdołałby dotrzeć na szczyt. Ponieważ w dającej się przewidzieć przyszłości Jack Durrance był wyłączony z akcji, wyglądało na to, że Fritz będzie musiał najprawdopodobniej podjąć próbę ataku wspierany tylko przez jednego Szerpę. Gdyby był to ktoś tak doświadczony jak Pasang Kikuli, Wiessner nie żywiłby obaw, ale nic nie wskazywało na to, by Kikuli miał wkrótce wrócić, a zatem partnerem Fritza podczas ataku szczytowego miał zostać mniej doświadczony Pasang Lama. Lider wyprawy zapisał w swoim pamiętniku 13 lipca:

Ponura sytuacja. Stoję na czele grupy, której potencjał wspinaczkowy spadł do zera, podczas gdy góra po raz pierwszy zapewnia możliwość zdobycia szczytu.

Była to ponura, lecz realistyczna ocena sytuacji. Gdy po długim i męczącym zejściu Jack dotarł 12 lipca do obozu drugiego, spotkał tam Tony'ego Cromwella i George'a Trenchera. Obaj byli wyczerpani. Jeśli nie liczyć krótkiego przypływu entuzjazmu, który miał miejsce na początku czerwca, gdy wyprawa dotarła do bazy, Tony Cromwell ani przez moment nie czuł autentycznej pewności, że zdoła dotrzeć w wyższe partie K2, a teraz było oczywiste, iż podczas tej ekspedycji nie będzie już w stanie się wspinać. Wieści czekające w bazie też nie były pomyślne: Chappell Cranmer nie zdołał pokonać tajemniczej choroby, która praktycznie uwięziła go w namiocie, a odmrożenia George'a Sheldona jeszcze się nie wygoiły. Zgodnie z tym, co przewidywało wiele osób w Stanach Zjednoczonych, niedoświadczony zespół Wiessnera nie wytrzymał presji. Uczestnicy wyprawy robili wszystko, co w ich mocy, ale okazało się, że K2 jest dla nich po prostu zbyt wymagającą górą.

Jack Durrance nie miał jednak zamiaru tak szybko się poddawać. Nadal odczuwał skutki zapaści sprzed kilku dni, ale zamiast wycofywać się do bazy, postanowił zostać w obozie drugim, by tam odzyskać siły i podjąć współpracę z Szerpami

działającymi w wyższych partiach góry. Kierujący grupą Szerpów Pasang Kikuli, który dzielił z nim namiot, również chciał wrócić do Fritza, chociaż póki co jego odmrożenia były na tyle bolesne, że uniemożliwiały mu ponowne dotarcie do wyższych obozów. W tej sytuacji to Tse Tendrup, jeden z jego najbardziej doświadczonych ludzi, otrzymał zadanie kierowania czteroosobową grupą wsparcia, która miała dbać o zaopatrzenie Wiessnera. Tendrup, Tybetańczyk o wyglądzie prawdziwego twardziela, brał udział zarówno we francuskiej wyprawie na Gaszerbrum I działającej w 1936 r., jak i w ekspedycji rekonesansowej wysłanej na K2 w 1938 r. Był dobrym zastępcą Pasanga Kikulego — lub tak przynajmniej wszystkim się wydawało.

Gdy obaj mężczyźni tkwili w swoim namiocie, Jack z fascynacją słuchał opowieści Pasanga Kikulego o życiu w Dardżylingu oraz jego wcześniejszych wyprawach na K2 i inne wielkie góry w Himalajach, choć wyczuwał w słowach szefa Szerpów frustrację. Rok wcześniej podczas amerykańskiego rekonesansu na K2 Pasang Kikuli prosił Charliego Houstona o pozwolenie na wspięcie się do najwyższej założonego obozu; teraz znajdował się w niższych partiach góry, niezdolny do wspinaczki. Jeśli chodzi o Fritza Wiessnera, pomimo zdenerwowania na towarzyszy po prostu parł dalej do góry. 14 lipca w towarzystwie Dudleya Wolfe'a i Pasanga Lamy założył obóz ósmy na wysokości 7710 m n.p.m., jakieś 200 metrów powyżej ostatniego obozu Houstona. Dudley Wolfe nadal zdobywał kolejne metry, a ponieważ szczyt znajdował się niemalże w zasięgu wzroku, nie było powodu, by Wiessner nie miał go zdobyć — z Durrance'em lub bez niego. Zadanie Jacka i innych sprowadzało się teraz do dbania o to, by Szerpowie mieli co robić, linie zaopatrzeniowe funkcjonowały bez zarzutu, a w obozach czekało dużo zapasów na wypadek jakichkolwiek problemów podczas zejścia z góry.

Pogoda (jak zwykle) nie chciała się w pełni wpisać w plany Fritza. Lider wyprawy przez dwa dni tkwił w swoim namiocie, uwięziony przez kolejną gwałtowną burzę, ale tym razem nie

trwała ona długo. Rankiem 17 lipca Fritz opuścił obóz razem z Dudleyem i Pasangiem Lamą. Rok wcześniej Charlie Houston i Paul Petzoldt przemierzali tę samą drogę, lecz ich ostatni dzień wspinania sprawiał wrażenie nie tyle kulminacji całej wyprawy, co jej epilogu. Fritz miał zamiar stworzyć zupełnie inną opowieść. Gdyby udało im się założyć ostatni obóz na Ramieniu K2, a piramida szczytowa była tak prosta do pokonania, jak przewidywał Petzoldt, istniała bardzo duża szansa, że dzięki swojej wspinaczce zdołają przejść do historii.

Najpierw czekało ich jednak wymagające wspinanie bezpośrednio nad obozem ósmym: otwierała się tam ogromna szczelina brzeźna. Wypełniał ją świeży śnieg, a próby pokonania tej przeszkody bardziej przypominały pływanie niż wspinaczkę. Fritz potrzebował niemal dwóch godzin, by przedostać się na drugą stronę; Pasangowi zabrało to kolejną godzinę. Dudley Wolfe nie był jednak w stanie powtórzyć ich wyczynu. Mógł dysponować ogromną siłą i determinacją, ale był po prostu zbyt ciężki i brakowało mu odpowiedniej techniki umożliwiającej pokonanie świeżego śniegu bez zapadania się w nim. Po pewnym czasie zrezygnował z bezowocnej szamotaniny i zawrócił do obozu ósmego, by poczekać tam na posiłki. Liczył na to, że przy odrobinie szczęścia śnieg może się w ciągu kolejnych dni bardziej związać, a on zdoła pokonać szczelinę razem z następną grupą wspinaczy.

Fritz i Pasang Lama zostali teraz sami. Mieli przed sobą około 200 metrów śnieżnego terenu, który wyglądał na stosunkowo łatwy i prowadził do skalnej piramidy szczytowej. Wspinacze byli bardzo zmęczeni, ale niebo było czyste i wydawało się, że pogoda utrzyma się przez kilka kolejnych dni. Wszyscy inni Amerykanie wchodzący w skład jego wyprawy przegrali rywalizację z górą, ale Fritz nie miał żadnych wątpliwości dotyczących dalszej wspinaczki.

K2 był jego górą, a on zamierzał zdobyć ten szczyt.

Rozdział 4

Wygórowane ambicje

Rok 1929 — ten sam, w którym Fritz Wiessner przybył do Nowego Jorku — był datą rozpoczęcia wyścigu związanego ze wznoszeniem najwyższego budynku w Ameryce. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej byki przejęły panowanie nad amerykańskim rynkiem giełdowym i nic nie wskazywało na to, by wkrótce coś miało je zapędzić z powrotem do zagród. Pierwszym pretendencem w wyścigu był noszący bardzo trafną nazwę budynek 40 Wall Street, położony w samym sercu amerykańskiego centrum finansowego. Początkowo miał mieć wysokość 256 metrów, ale gdy właściciele usłyszeli, że kilka kilometrów na północ powstaje konkurencyjna budowla, która została zamówiona przez potentata motoryzacyjnego, Waltera Chryslera, i ma być o 25 metrów wyższa, poprosili architektów o dodanie trzech kolejnych pięter.

30 maja 1930 r. wieżowiec 40 Wall Street został oficjalnie otwarty, zdobywając miano najwyższego budynku na Manhattanie, a co za tym idzie, także na świecie. Szybko utracił jednak ten tytuł, gdy zaledwie kilka tygodni później przy Lexington Avenue otworzył się jego rywal, Chrysler Building. Jeśli wziąć pod uwagę wysokość mierzoną do dachu, nowy wieżowiec był o pół metra niższy niż 40 Wall Street, ale tuż przed otwarciem na szczycie budynku w największym sekrecie umieszczono niemal 40-metrową stalową iglicę, dzięki której konstrukcja osiągnęła wysokość prawie 319 metrów.

Chrysler Building zachował tytuł najwyższego budynku nieco dłużej niż wieżowiec, który wcześniej szczył się tym określeniem, lecz on też nie utrzymał się zbyt długo na czele

stawki. 1 maja 1931 r. doszło do oficjalnego otwarcia Empire State Building; ten niezwykle nowoczesny budynek miał być punktem dokowania sterowców, a maszt cumowniczy umieszczony na 103. piętrze ułatwił mu osiągnięcie wysokości 443 metrów, dzięki czemu bez trudu zdeklasował rywali na następnych 39 lat. Oczywiście największą ironią było to, że gdy wyścig między wieżowcami wszedł w decydującą fazę, Stany Zjednoczone borykały się z wielkim kryzysem. Przez wiele lat całe piętra Empire State Building nie były w ogóle wykorzystywane, co bardzo sugestywnie oddawało pychę kapitalizmu.

Gdy Fritz Wiessner po raz pierwszy przyjechał do Ameryki w interesach, nie planował osiedlenia się tam na stałe. Chciał tylko zawrzeć kilka transakcji, zarobić w krainie okazji trochę pieniędzy, a następnie wrócić do rodzinnych Niemiec. Ze względu na setki tysięcy bezrobotnych nie był to najlepszy moment na przeprowadzkę, ale Fritz szybko uległ urokowi tego, co określał mianem „swobody zachowania” typowej dla mieszkańców Stanów Zjednoczonych. W połowie lat 30. postanowił przyjąć amerykańskie obywatelstwo, nie zważając na opór ze strony swojej rodziny. Rozkręcenie firmy produkującej wosk do nart pochłonęło więcej czasu, niż początkowo zakładał, lecz w ciągu wcześniejszej dekady regularnie rozwijał siatkę kontaktów, a ponieważ narciarstwo zyskiwało w Stanach Zjednoczonych na popularności, z optymizmem spoglądał w przyszłość.

Ponieważ był imigrantem, który nie miał w nowej ojczyźnie żadnych krewnych ani przyjaciół, wspinaczka była dla niego dobrym sposobem poznawania ludzi. Wciąż był to bardzo niszowy sport, ale osoby, które się nim interesowały, wykazywały się pasją i zaangażowaniem. Często były również całkiem bogate. W późniejszych latach niektórzy krytycy Wiessnera utrzymywali, że świadomie starał się nawiązywać kontakty z zamożnymi ludźmi takimi jak Dudley Wolfe czy Rand Herron, którego zabrał w 1932 r. na wyprawę na Nanga Parbat, a podejmując takie kroki, miał na względzie wyłącznie

ich bogactwo. Forsowanie tej tezy oznaczałoby jednak zignorowanie jednej z najważniejszych cech Wiessnera: jego chęci zapoznawania ze wspinaczką kolejnych osób oraz zwiększania popularności tego sportu. Gdyby jego najnowsza wyprawa zakończyła się sukcesem, bez wątpienia zapewniłaby mu sławę, popularyzując zarazem American Alpine Club oraz amerykański świat wspinaczkowy jako taki i wynosząc je na wyżyny, jakich sięgał Empire State Building. Patrząc na sytuację z drugiej strony, nowojorscy architekci na własnych błędach nauczyli się, że z ambitnymi przedsięwzięciami wiąże się też ogromne ryzyko.

Teraz Fritz znajdował się całkiem blisko szczytu i wkrótce miał minąć najwyższy punkt osiągnięty przez wyprawę działającą na K2 rok wcześniej. Przed przypuszczeniem ataku na szczyt Fritz potrzebował jednak założyć jeszcze jeden obóz. Rok wcześniej Paul Petzoldt wypatrzył naturalną platformę u stóp piramidy szczytowej. Wydawało się, że to miejsce świetnie się sprawdzi jako punkt, w którym można byłoby rozbić mały obóz, ale po spędzeniu tak dużej ilości czasu na brodzeniu w świeżym śniegu, zarówno Wiessner, jak i Pasang Lama byli zbyt zmęczeni, by tam dotrzeć.

W tej sytuacji rozbili swój namiot pod osłoną dużego głazu i przygotowali się do spędzenia tam nocy. Następnego ranka przenieśli się w miejsce, które proponował Petzoldt, a w celu zapewnienia sobie dodatkowej osłony zbudowali wokół obozu kamienny murek. Fritzowi nigdzie się nie spieszyło. Póki co na horyzoncie nie było żadnych niepokojących chmur, a pogoda wyglądała tak, jak gdyby miała się utrzymać przez przynajmniej kilka następnych dni. Chciał, by jego działania były miarowe i ostrożne; cytując słowa zapisane w jego pamiętniku wkrótce po tym, jak po raz pierwszy ujrzał K2, nadszedł czas, by wykazać się „opanowaniem i rozmysłem”.

W bazie można było odczuć dużo silniejszą potrzebę pilnego przejścia do działania, chociaż dotyczyła ona zupełnie innej kwestii. Za mniej niż tydzień mieli się pojawić tragarze z Askole, by znieść spod K2 cały sprzęt wyprawy. W niesienie do

bazy całego ekwipunku i prowiantu zaangażowanych było 120 ludzi, ale na drogę powrotną potrzebnych było tylko 23^[1]. Zastępca lidera, Tony Cromwell, miał mnóstwo rzeczy do zorganizowania, jeśli ekspedycja miała opuścić bazę w zaplanowanym wcześniej terminie. Miał do pomocy George'a Trencha, oficera zajmującego się kwestiami transportu, ale myśli George'a Sheldona i Chappella Cranmera zaprzętało coś zupełnie innego.

Chociaż Cranmer nie zdołał wrócić do pełni sił po poważnej chorobie z początku czerwca, chciał wyjechać z Karakorum z poczuciem, że zdołał czegoś dokonać. Razem z Sheldonem postanowili, że zanim wyruszą w długą podróż powrotną na swoją uczelnię, zorganizują szybki wypad geologiczny w dół lodowca Baltoro. Odmrożone stopy Sheldona wciąż stanowiły problem, ale on również chciał się wyrwać z bazy i uciec od żądań „Herr Wiessnera”.

18 lipca Cranmer i Sheldon pożegnali się z Cromwellem i Trenchem, po czym ruszyli powoli w dół lodowca. Dokładnie w tym samym czasie Jack Durrance i Pasang Kikuli zaczęli znosić cenne śpiwory i zapasowe namioty z czterech dolnych obozów, przygotowując się do zakończenia wyprawy. Jeżeli mieli wyjechać zgodnie z planem i nie chcieli zmuszać tragarzy do czekania w bazie, musieli natychmiast zacząć pakowanie.

Jack posegregował zapasowy sprzęt znajdujący się w obozie drugim i wysłał Pasanga Kikulego do obozu czwartego, by zabrał stamtąd dodatkowe wyposażenie. Gdy Kikuli dotarł na miejsce, ku swojemu zaskoczeniu natknął się tam na Tendrupa — Szerpę, który miał za zadanie uzupełniać zapasy jedzenia i paliwa w wyższych obozach. Wbrew otrzymanym poleceniom zszedł jednak do obozu czwartego z innym Szerpą, Kitarem. Pasang Kikuli domagał się wyjaśnień, dlaczego Tendrup nie znajduje się właśnie w wyższych partiach góry.

Tendrup skarżył się, że powyżej było bardzo niekomfortowo i ciasno, ale obiecał udać się od razu do wyższych obozów. Pasang Kikuli zebrał zapasowy sprzęt, a przed rozpoczęciem

zejścia do Jacka znajdującego się w obozie drugim zaczekał, aż Tendrup i Kitar ruszą do góry. Do bazy trzeba było znieść tak wiele ekwipunku, że nie obyło się bez porzucenia kilku namiotów i ogromnej ilości jedzenia. Gdy Jack zważył ich ładunki, okazało się, że ocalili około 105 kilogramów sprzętu.

Chociaż wszyscy byli teraz skupieni na organizowaniu powrotu spod K2, wciąż byli ciekawi, jak radzi sobie zespół szczytowy. Fritz od kilku dni nie przysyłał na dół żadnych notatek — co się zatem działo? Czy ekspedycja miała się zakończyć tryumfem, czy może wrócić do domu pokonani? Na to pytanie nie było na razie odpowiedzi, ale jeśli wziąć pod uwagę utrzymującą się dobrą pogodę, wyglądało na to, że Fritz ma spore szanse. Rankiem 19 czerwca przygotował się do tego, by je wykorzystać.

Dzień rozpoczął się od kluczowej decyzji: czy Wiessner i jego Szerpa, Pasang Lama, powinni pójść w prawo, czy w lewo? Najbardziej oczywistą drogą wiodącą na szczyt był stromy, oblodzony żleb (kuluar) prowadzący na niezbyt wymagające, śnieżne stoki grani szczytowej. Jedynym problemem był przerażający lodowiec, który wisiał nad żlebem i wyglądał tak, jak gdyby lada chwila miał runąć w dół. U wylotu kuluaru znajdowało się sporo pozostałości po lawinach, co sugerowało, że masa lodu powyżej jest dosyć niestabilna. Chociaż żleb zapewniał szybką drogę w górę, sprawiała ona również wrażenie wyjątkowo niebezpiecznej.

Drugim wyjściem z sytuacji było pokonanie stromych, skalistych zboczy po lewej. Ze wspinaczkowego punktu widzenia była to zdecydowanie trudniejsza opcja, ale przynajmniej nie wiązało się z nią ewidentne zagrożenie lawinowe. Fritz nie potrzebował zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji: postanowił ominąć kuluar i miał nadzieję, że droga prowadząca po skałach nie będzie aż tak trudna, jak wydawało się z dołu. Wiessner już jako nastolatek stawiał czoło drogom skalnym, które sprawiały wrażenie niemożliwych do

pokonania, więc dlaczego miałyby nagle rezygnować z pielęgnowanego przez całe życie nawyku?

Fritz ruszył do góry, a Pasang Lama uważnie go asekurował. Ku własnemu zdumieniu wspinacz uświadomił sobie, że jest na tyle ciepło, iż może zdjąć rękawiczki. W oddali widział Nanga Parbat, szczyt w Himalajach, który bez powodzenia próbował zdobyć w 1932 r.; na wyciągnięcie ręki znajdowała się Czogolisa ze swoim zalodzonym szczytem, a także Maszerbrum, czyli K1 z pomiarów Montgomeriego przeprowadzonych niemal 100 lat wcześniej.

Zespół wspinał się powoli i metodycznie, aż po mniej więcej dziewięciu godzinach Fritz zatrzymał się na wysokości 8380 m n.p.m., jakieś 230 metrów poniżej szczytu^[2]. Mieli przed sobą niecałe 20 metrów trawersu prowadzącego na śnieżne stoki grani szczytowej. Wiessner uznał, że prawie cała trudna wspinaczka jest już za nimi, a reszta powinna być łatwa. Ruszył z zamiarem pokonania trawersu, ale Pasang Lama zamiast wydać linę, przytrzymał ją sztywno, uniemożliwiając prowadzącemu wspinaczkę.

— Nie, sahibie, jutro.

Fritz nie wierzył własnym uszom: mieli wracać tu jutro, choć znajdowali się właśnie tak blisko celu? Pasang Lama był jednak niewzruszony: było zbyt późno. Twierdził, że wkrótce pojawią się złe duchy zamieszkujące szczyt góry, więc kontynuowanie wspinaczki jest po prostu niemożliwe.

W trakcie kilku wcześniejszych dni Pasang Lama zaprezentował się jako pewny siebie wspinacz i dobry towarzysz, ale teraz, w kluczowym momencie całej wyprawy, zaczął zdradzać zdenerwowanie. Fritz starał się przemówić mu do rozsądku: niebo było czyste i mogli liczyć na światło księżyca. Na dotarcie na szczyt potrzebowali zaledwie trzech lub czterech godzin, a potem jeszcze kilku na powrót. Reszta drogi wyglądała stosunkowo łatwo. Kontynuowanie wspinaczki było bez wątpienia rozsądniejszym posunięciem niż odwrót i schodzenie po tych wymagających skałach, z którymi zmagali

się przez cały dzień. Druga opcja, czyli wspinaczka na szczyt, a potem zejście stromymi skałami o świcie, była dużo bezpieczniejsza.

Pasang Lama był jednak nieugięty. Wiessner jako prowadzący mógł mieć za sobą znakomity dzień, ale Szerpa spędził większość tego czasu, stojąc na wąskich żebrach skalnych i asekurując lidera wyprawy. Nie miał tak dobrych butów jak jego sahib i nie był przyzwyczajony do wspinania się nocą.

Wiele lat później, gdy Pasang Lama zdobył sławę, dokonując razem z austriackim wspinaczem Herbertem Tichym pierwszego wejścia na Czo Oju, szósty co do wysokości szczyt na Ziemi, udzielił wywiadu austriackiemu wspinaczowi, Kurtowi Maikowski. Gdy padło pytanie o Fritza Wiessnera, uśmiech zniknął z twarzy Pasanga Lamy. Powiedział, że lider wyprawy na K2 był po prostu szalony. „Wspina się, wspina i wspina” — wspominał — „i mówi gdy ciemno, my na szczycie. Nigdy nie widzę nikogo, kto wspina się tak jak on... może umie patrzeć czubkami palców? Mówię, że nie idę dalej”^[3].

Przez chwilę Fritz rozważał odłączenie się od Pasanga Lamy i samotne kontynuowanie wspinaczki. W Himalajach zdarzały się już podobne sytuacje: w 1924 r. na Mount Evereście Edward Norton zostawił Howarda Somervella na wysokości 8530 m n.p.m. i ruszył samotnie w kierunku szczytu. Dziewięć lat później Frank Smythe również ochoczo pozwolił młodemu Ericowi Shiptonowi na samotny odwrót na tej górze, podczas gdy on podjął próbę solowego zdobycia wierzchołka. Tym razem sytuacja przedstawiała się jednak inaczej. Norton i Smythe byli przekonani, że ich partnerzy zdołają zejść na dół o własnych siłach, a Fritz nie miał takiej pewności. Dopiero co pokonali spory kawał terenu, który pod względem trudności zaliczał się do największych wyzwań, jakich kiedykolwiek podjęto się na dużej wysokości, a chociaż Pasang Lama był idealnym partnerem, Wiessner nie potrafił sobie wyobrazić, by Szerpa dotarł samodzielnie do obozu dziewiątego. Ponieważ

Fritz nie był w stanie przekonać Pasanga Lamy do zmiany stanowiska, był zmuszony zawrócić razem z nim. Ta decyzja miała prześladować lidera tej wyprawy przez resztę jego życia.

Zgodnie z przewidywaniami Wiessnera schodzenie po ciemku w wymagającym terenie było zarówno niebezpieczne, jak i czasochłonne. W którymś momencie Pasang zaplątał się w linę i nieumyślnie zrzucił dwie pary raków przypięte do jego plecaka. Sprzęt poleciał w dół, odbijając się od zbocza góry, a potem nikt go już więcej nie widział.

Dotarli do namiotu o wpół do trzeciej nad ranem; w obliczu tak późnego powrotu nie było żadnych szans, by następnego dnia ponownie ruszyli na szczyt. W tej sytuacji Pasang nie wychodził ze śpiwora, natomiast Fritz czerpał przyjemność z opalania się w przygrzewającym słońcu. W obozie dziewiątym było tak ciepło, że mógł leżeć nago przez kilka godzin. Wyglądało na to, że w najgorszym razie wróci do Ameryki z rekordem świata dotyczącym opalania się na dużej wysokości. Nie był jednak jedyną osobą, która korzystała z uroków dobrej pogody.

W położonej dużo niżej bazie Jack Durrance uczcił swoje dwudzieste siódme urodziny kostką mydła Yardley i pierwszą kąpielą od dziewięciu tygodni. Jego bielizna była tak obrzydliwie brudna, że musiał ją praktycznie rozcinać; skóra pod spodem nie wyglądała dużo lepiej. W trakcie ostatnich dwóch miesięcy schudł ponad 10 kilogramów i marzył już o restauracjach oraz barach w Śrinagarze.

Po sześciu tygodniach spędzonych na stromej i niezmiennie zimnej górze Jack mógł przynajmniej rozkoszować się prostą przyjemnością chodzenia po twardym, relatywnie płaskim podłożu. To, że mógł wysuszyć się po kąpieli na słońcu, czytając listy, które do niego dotarły, było niewyobrażalną przyjemnością. Pasang Kikuli udał się do góry, do obozu pierwszego, by ocalić część prowiantu porzuconego przez ekspedycję, natomiast Tony Cromwell i George Trench byli praktycznie gotowi do wyjazdu.

Jedyną rzeczą, której teraz potrzebowali, by wspólnie ruszyć do domu, był tryumfalny powrót Fritza. W ciągu kilku poprzednich dni Jack spędził sporo czasu, zastanawiając się nad tym, jak radzą sobie Fritz i Dudley, ale wciąż nie było od nich żadnych wieści. Gdyby podjęcie takich działań okazało się naprawdę konieczne, Jack obmyślił plan B polegający na tym, że Cromwell i Trench wyruszyliby z główną grupą tragarzy, podczas gdy on zaczekałby na Wiessnera i Wolfe'a. Wszyscy mieli jednak nadzieję, że nie będzie potrzeby wdrażania w życie takiego scenariusza. Wspinacze czekający w bazie mogli teraz tylko czekać, obserwować i mieć nadzieję, że zauważą w górze jakiś ruch.

Gdy Jack obserwował tej nocy Żebro Abruzzów, korzystając ze swojej lornetki, nie dostrzegł sygnałów dymnych, które Fritz obiecał wysłać, gdyby zdobył szczyt. Z drugiej strony następnego dnia Durrance zauważył, że namioty w obozie szóstym zostały częściowo złożone. Zespół szczytowy musiał schodzić na dół, co oznaczało, że przypuszczalnie dotrze do bazy w ciągu najbliższych dwóch dni. Potem będą mogli wracać do domu. Hurra!

Jack był jednak w błędzie.

Namiotów nie złożyli wcale członkowie zespołu wracającego ze szczytu, lecz Tse Tendrup i trzech Szerpów, którzy mieli ciężko pracować, dbając o dostarczanie Fritzowi zapasów. Przez ostatnich siedem dni pozostawiono ich jednak na górze samym sobie. W obozie czwartym spotkali co prawda Pasanga Kikulego, ale nie mieli żadnego kontaktu z sahibami — ani z tymi działającymi wyżej, ani z tymi przebywającymi niżej. Otrzymali polecenie dbania o funkcjonowanie łańcucha zaopatrzeniowego, ale kiepska pogoda oraz ich niechęć do wspinaczki bez czyjegoś nadzoru pokrzyżowała te plany. A teraz jedna rzecz była dla Tse Tendrupa aż nazbyt jasna: Fritz, Bara Sahib, „wielki szef”, był martwy.

Tendrup nigdy nie dotarł aż do obozu ósmego, w którym wedle jego założeń przebywał lider wyprawy, ale znalazł się niewiele niżej i nikt nie odpowiadał na jego nawoływania. W tej

sytuacji uznał, że musiało dojść do jakiegoś wypadku zakończonego śmiercią Fritza Wiessnera, Dudleya Wolfe'a i Pasanga Lamy. Z perspektywy Tendrupa nie istniało inne wyjaśnienie, a żaden z pozostałych Szerpów z jego grupy nie był przygotowany, by wspiąć się do obozu ósmego i sprawdzić prawdziwość tej tezy.

Po spędzeniu na K2 tylu tygodni Szerpowie — podobnie zresztą jak Amerykanie — chcieli po prostu wrócić do domów. Mieli zamiar zejść do bazy i przekazać pozostałym sahibom smutne wieści; po drodze planowali zebrać sprzęt z pozostałych obozów, tak jak zrobił to w obozie czwartym Pasang Kikuli napotkany kilka dni wcześniej. Może mieli nawet szansę na to, że będą mogli zachować cenne śpiwory? Bara Sahib i wspinacze, którzy ruszyli z nim na szczyt, byli martwi, więc nie potrzebowali już tego sprzętu.

W istocie pogłoski o śmierci Fritza były — jak ująłby to amerykański pisarz Mark Twain — mocno przesadzone. Tego samego dnia, kiedy Tendrup i inni zaczęli schodzić z góry z zamiarem ogłoszenia śmierci lidera, Wiessner wyruszył do góry z najwyższego obozu, by podjąć drugą próbę zdobycia szczytu.

Tym razem postanowił jednak wypróbować inną drogę prowadzącą na wierzchołek. Podczas pierwszej próby dobrze przyjrzał się zalodzonemu kularowi na prawo od skał i uświadomił sobie, że wcale nie jest to aż tak niebezpieczny wariant. Inaczej niż droga, którą Fritz pokonał dwa dni wcześniej w towarzystwie Pasanga Lamy, kular zdawał się zapewniać bezpośrednią drogę na szczyt, co powinno w praktyce umożliwić dużo szybsze dotarcie do celu.

Rankiem 21 czerwca, dwa dni po pierwszym ataku szczytowym, o szóstej rano Fritz i Pasang Lama opuścili obóz. Wspinaczka szła im wolniej, niżby sobie tego życzyli. Żeby dotrzeć do kularu, musieli przetraversować piarżyste stoki, a następnie pokonać stromą ściankę pokrytą zdradliwą warstwą śniegu i lodu. Zanim dotarli do wylotu kularu, była już dziesiąta rano. Nie był to jednak najpoważniejszy z ich problemów.

Gdy Fritz spojrział w górę, uświadomił sobie, że bez raków, które Pasang Lama upuścił dwie noce wcześniej, pokonanie przeszkody znajdującej się powyżej będzie bardzo trudne. Zaczął wycinać stopnie, ale w rozrzedzonym powietrzu na wysokości 8200 m n.p.m. była to niesłychanie wyczerpująca praca. Fritz szacował, że zanim dotarliby do zboczy prowadzących na szczyt, musiałyby wyciąć od 300 do 400 stopni. Nie było szans, by dokonać czegoś takiego i wrócić jeszcze tego samego dnia, więc ponownie musiałyby się mierzyć z niechęcią Pasanga Lamy dotyczącą wspinania się w nocy.

Fritz spodziewał się, że do tego czasu Dudley Wolfe, Jack Durrance lub przynajmniej któryś z Szerpów dotrze do ich najwyższego miejsca biwakowego, czyli obozu dziewiątego, ale nikt się tam nie pojawił. Jedynym rozwiązaniem był powrót do obozu ósmego, pożyczenie raków i zabranie stamtąd większej ilości prowiantu i paliwa. Pasang Lama powitał pomysł dotyczący schodzenia z ogromnym zadowoleniem — po dwóch atakach na szczyt był kompletnie wyczerpany i poprosił Fritza, by podczas kolejnej próby jego miejsce zajął ktoś inny.

Gdy następnego ranka ruszyli na dół z zamiarem znalezienia Dudleya, szybko stało się oczywiste, jak bardzo zmęczony jest Pasang Lama. Tuż nad obozem Dudleya Szerpa się poślizgnął, a Fritz z trudem zdołał powstrzymać jego upadek. Nadszedł czas, by Wiessner otrzymał jakieś wsparcie, ale gdy dotarł do obozu ósmego, czekało go bolesne rozczarowanie.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyli, był fakt, że jeden z ich namiotów częściowo się zapadł. Dudley Wolfe stał przed drugim namiotem, lecz był zupełnie sam. Jedyne wieści, jakie miał do przekazania, sprowadzały się do braku nowin. Spędził ostatnich sześć dni samotnie i nie widział ani nie słyszał nikogo spośród uczestników wyprawy działających w niższych partiach góry. Do obozu ósmego nie dotarł ani Jack Durrance, ani żaden z Szerpów. Dudleyowi skończyły się zapalki, przez co był zmuszony pić roztopioną wodę zbierającą się w fałdach materiału, z którego wykonany był namiot. Chociaż na widok

Fritza i Pasanga poczuł ogromną radość, którą podsycała opowieść o tym, jak niewiele zabrakło im do odniesienia zwycięstwa, Wolfe był wściekły na resztę zespołu.

Po tym, jak Dudley miał okazję zjeść pierwszy ciepły posiłek od kilku dni, trzech mężczyzn ruszyli granią w dół, w kierunku obozu siódmego — zakładali, że to właśnie tam przebywa Jack i pozostali Szerpowie. Nawet jeżeli nie zdołali oni pokonać całej drogi do obozu ósmego i Dudleya, ktoś musiał przecież dotrzeć do obozu siódmego. Teren był stromy, oblodzony i wymagał sporej ostrożności; wkrótce dały o sobie znać słabości Wolfe'a.

Nigdy nie opanował techniki schodzenia stromym terenem i z ogromnym podenerwowaniem podchodził do wizji przemieszczania się w dół twarzą do ściany, choć była to zdecydowanie najbezpieczniejsza metoda. Nie przypadło mu również do gustu wybijanie stopni w śniegu. W tej sytuacji Fritz ruszył jako pierwszy i podjął się żmudnej pracy związanej z wycinaniem stopni. Gdy jednak przygotowywał się do wyrąbania następnego z nich, Wolfe nadepnął na łączącą ich linę, doprowadzając do upadku Wiessnera. Dudley i Pasang Lama błyskawicznie poszli w ślady lidera wyprawy i po chwili oni też zjeżdżali w niekontrolowany sposób zboczem K2.

Według wszelkich zasad wspinacz, który znajdzie się w takiej sytuacji, powinien próbować się zatrzymać, wbijając w śnieg głowicę czekana. Ponieważ jednak Fritz wycinał właśnie stopnie, trzymał niewłaściwy koniec czekana. Zdołał chwycić jego głowicę i miał ją właśnie wbić w śnieg, gdy kolejne mocne szarpnięcie sprawiło, że ponownie zaczął koziółkować w powietrzu. Dudley i Pasang Lama znajdowali się teraz przed nim i wszyscy trzech zmierzali w stronę przepaści, której dnem był Lodowiec Godwina-Austena położony niemal dwa i pół kilometra niżej. Fritz był przekonany, że to już koniec, ale zdołał podjąć kolejną próbę powstrzymania zjazdu, a za drugim razem udało mu się jakoś zatrzymać cały zespół.

Wszyscy byli wstrząśnięci. Wolfe stracił plecak, a Pasang Lama — po drugim upadku tego dnia — uszkodził zebra. Wiessner zmagął się z szokiem, ale pod względem fizycznym

nic mu się nie stało. Pozbieranie się zajęło im tak dużo czasu, że gdy dotarli do następnego obozu, był już niemal wieczór. Nie powitano ich jednak gorącą herbatą ani ciepłą zupą; w obozie panował natomiast kompletny chaos. Jeden z namiotów miał złamany maszt i spore rozdarcia na materiale, natomiast drugi był niemal całkowicie wypełniony śniegiem. Jedzenie, które z takim trudem tu wynieśli, walało się wszędzie dokoła, a gdy wreszcie zdołali odkopać jeden namiot nadający się do użytku, okazało się, że zabrano stamtąd wszystkie śpiwory i dmuchane materace.

Fritz nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Podobnie jak Charlie Houston odczuwał ogromny niepokój na myśl o tym, że członkowie wyprawy mogliby zostać uwięzieni na K2 przez potężną burzę, więc zabrał ze sobą na tyle dużo zapasów, by we wszystkich głównych obozach można było umieścić rezerwy jedzenia i paliwa umożliwiające wspinaczom przetrwanie kilku dni. Cztery główne obozy miały być nie tylko zaopatrzone w prowiant, ale także wyposażone w dodatkowe śpiwory i materace, by wspinacze mogli się sprawnie przemieszczać w górę i w dół, nie nosząc ze sobą dużej ilości sprzętu osobistego.

Teraz, dokładnie w chwili, w której wyprawa osiągnęła punkt kulminacyjny, można było odnieść wrażenie, że cały przygotowany wcześniej system poszedł w rozsypkę. Fritz zostawił śpiwór w najwyższym obozie, a Dudley stracił swój podczas upadku. Na całą trójkę został tylko mały śpiwór Pasanga, dopasowany do niewielkiego wzrostu Szerpów. Po dwóch atakach szczytowych i pięciu dniach spędzonych powyżej 7900 m n.p.m. na pewno nie były to warunki, w jakich chcieliby spędzać bardzo mroźną noc. Co właściwie próbowali zrobić jego towarzysze? We wpisie, który pojawił się tej nocy w pamiętniku Wiessnera, lider ekspedycji nie przebierał w słowach:

Co się działo w trakcie tych dni, które spędziliśmy w szczytowych partiach góry — to jakiś sabotaż? Nie byliśmy w stanie tego zrozumieć... Było dla nas oczywiste, że nikt nie

był w siódemce od wielu dni ani nie przejmował się trzema osobami znajdującymi się powyżej. Do diabła z nimi^[4]!

W bazie wszyscy byli równie skonsternowani, choć nie zdradzali aż takiej irytacji. Właśnie przybyli tragarze z Askole i niemal wszystko było już spakowane oraz przygotowane do wyjazdu — gdzie był jednak Fritz? Trzecią noc z rzędu Jack wychodził na lodowiec, wpatrywał się w Żebro Abruzzów i próbował dostrzec sygnały dymne świadczące o schodzeniu grupy, która atakowała szczyt. O dwudziestej pierwszej rozpałił nawet ognisko pozwalające nadawać sygnały, gdyż liczył na to, że wywoła w ten sposób jakąś reakcję, lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Jack Durrance i Tony Cromwell po raz kolejny zmienili plany. Nie mogli opuścić bazy bez Fritza i musieli poczekać jeszcze jeden dzień. Następnego ranka planowali wysłać do obozu drugiego Pasanga Kikulego, przełożonego Szerpów, by zebrał część porzuconego prowiantu i nawiązał kontakt z powracającymi wspinaczami. Gdyby z jakiegoś powodu mu się to nie udało, 23 lipca George Trench miał opuścić bazę z większością tragarzy z Askole, a Jack i Tony ruszyliby granią do góry, próbując zlokalizować Fritza. Nikt nie chciał rozdzielać zespołu, ale tragarze z Askole nie mogli zostać w bazie dłużej niż przez kilka dni — w przeciwnym razie zabrakłoby im jedzenia.

Wydarzenia następnego dnia przypominały francuską farsę, z tym że nikomu nie było do śmiechu. O wpół do szóstej rano Pasang Kikuli wraz z innym Szerpą, Dawą, ruszył z bazy do obozu drugiego. Pogoda była dobra, a gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, liczyli na to, że wrócą w porze obiadowej wraz z bardzo potrzebnym prowiantem oraz zaginionym liderem wyprawy. Cały ten plan miał tylko jeden słaby punkt: Fritz nie był nawet w pobliżu obozu drugiego. Nadal przebywał w obozie siódmym.

Nad bazą mogło świecić słońce, ale na wysokości 7530 m n.p.m. K2 spowijały chmury. Z powodu silnego mrozu i

nieustannie zmieniających się warunków wspinacze zdołali wyjść z namiotu dopiero o dziesiątej rano — cztery i pół godziny po tym, jak Pasang Kikuli wyruszył z bazy. Fritz chciał zebrać z któregoś z obozów raki i zapasy, by przypościć kolejny atak na szczyt, ale po mroźnej nocy priorytetem stało się zdobycie następnego śpiwora. Po upadku, do którego doszło poprzedniego dnia, w moczu Pasanga Lamy pojawiła się krew — trudno się dziwić, że za wszelką cenę chciał wrócić do obozu i marzył o tym, by zwolniono go z roli członka zespołu szczytowego. Pomimo bardzo nieprzyjemnej nocy Dudley Wolfe nie był pewien, czy chce schodzić. Powiedział Wiessnerowi, że nie chciałby przegapić jego następnego ataku na szczyt, więc zamiast zmierzać na dół wraz z Pasangiem, zostanie w obozie siódmym. Fritz obiecał wrócić za kilka dni i niezwłocznie wysłać do góry Jacka Durrance'a oraz zespół Szerpów z zaopatrzeniem. Była to brzemenna w skutki decyzja, która miała być w kolejnych latach przedmiotem niekończących się dyskusji.

Kilkaset metrów niżej Tendrup i pozostawieni pod jego rozkazami Szerpowie również zmierzali w dół, niosąc śpiwory zabrane z obozu szóstego i siódmego. Co ciekawe, nie dostrzegli ani Fritza powyżej, ani Pasanga Kikulego poniżej, a do bazy dotarli dopiero wczesnym wieczorem. Trudno się dziwić, że gdy Tendrup opowiedział wszystkim, iż cały zespół, który zaatakował szczyt, po prostu zniknął, a jego członkowie są niewątpliwie martwi, uczestnicy wyprawy poczuli poważny niepokój. Jack Durrance nie był jednak do końca przekonany; w swoim pamiętniku opisał podwładnych Tendrupa jako „wymęczoną przez żywioły grupkę ludzi nękanych poczuciem winy wynikającym z tego, że zeszli z góry, choć nie otrzymali takiego polecenia od »Bara Sahiba«, ani nie mieli z nim kontaktu od 14 lipca!”^[5].

Gdy Tendrup opowiadał swoją historię, Fritz i Pasang dotarli już do obozu drugiego i byli bliscy desperacji. Wiessner po prostu nie mógł uwierzyć własnym oczom: na górze nie było

ani jednego Szerpy bądź sahiba. W obozach szóstym, piątym, czwartym i trzecim nie było również śpiworów ani dmuchanych materacy. W obozie drugim jeden z namiotów był zupełnie pusty; drugi był w połowie wypełniony jedzeniem, ale nie było tam niczego, co pozwoliłoby wspinaczom jakoś się ogrzać. Jedyne, co pozostało schodzącej dwójce, to rozebrać pusty namiot i użyć go jako prowizorycznego koca. Fritz był wściekły: to nie był już sabotaż, lecz próba zabójstwa.

Po południu 24 lipca lider wyprawy spotkał wreszcie członków swojego zespołu, ale nie odbyło się to w takich okolicznościach, jakie wszyscy sobie wyobrażali. Jack został w bazie, by doprowadzić do końca proces przygotowywania ładunków dla tragarzy wyruszających w drogę powrotną, natomiast Tony podszedł w górę lodowca, by zapewnić sobie lepszy widok na Żebro Abruzzów. Nie dostrzegł żadnych śladów jakiegokolwiek wypadku i zamierzał już wracać, gdy nagle dostrzegł dwie wynędzniałe postacie, które na wpół szły, na wpół zataczały się, schodząc z obozu pierwszego. Cromwell miał właśnie przed sobą Fritza Wiessnera i Pasanga Lamę.

Tony ruszył biegiem w ich kierunku, ale gdy tylko Fritz uporał się z szokiem wynikającym ze spotkania towarzyszy ze swojego zespołu, naskoczył na swojego zastępcę. Chociaż mógł mówić tylko chrapliwym szeptem, otwarcie oskarżył Tony'ego o porzucenie zespołu atakującego szczyt. Dodał, że Dudley Wolfe jest wściekły, a wszystkie te wydarzenia zakończą się pozwami sądowymi. Reakcja Fritza była zrozumiała, ale to nie takich słów spodziewał się Tony. Jeśli o niego chodzi, wywiązywał się ze swoich obowiązków: zorganizował powrót ekspedycji, zajął się tragarzami z Askole, a teraz czekał w bazie na Wiessnera. To lider wyprawy porzucił ludzi znajdujących się w niższych obozach, a nie na odwrót.

Gdy wszyscy dotarli już do bazy, najważniejszą kwestią stało się przygotowanie czegoś ciepłego do jedzenia. Kiedy poszczególne osoby przedstawiały swoje historie, wydarzenia minionego tygodnia stawały się bardziej zrozumiałe. Jack wyjaśnił, że po zapaści, która przytrafiła mu się podczas

podejścia do obozu siódmego, wrócił do obozu drugiego, by odzyskać siły, a kilka dni później zszedł do bazy z całym zapasowym ekwipunkiem, by przygotować się do drogi powrotnej. Był niezadowolony z tego, że nie zdołał pozostać w wyższych partiach góry, ale obaj z Tonym sądzili, że Tendrup, zastępca Pasanga Kikulego, jest wraz ze swoim trzyosobowym zespołem Szerpów w kontakcie z Fritzem. Nikt w bazie nie miał pojęcia, co dzieje się wysoko na górze, i nikt nie wiedział, że z obozów położonych powyżej czwartego zabrano śpiwory. Sahibowie nie wydali żadnych poleceń — wszystkie te działania zostały podjęte z inicjatywy Tse Tendrupa.

Gdy Fritz się uspokoił, opowiedział towarzyszom, że 19 lipca znalazł się bardzo blisko szczytu, a teraz chce za wszelką cenę tam wrócić i podjąć kolejną próbę. Pogoda nadal się nie załamała, a Wiessner utrzymywał, że po kilku dniach odpoczynku wciąż będzie jeszcze na tyle dużo czasu, by przypuścić trzeci atak. W słowach, które Fritz zapisał tego wieczoru w swoim pamiętniku, trudno doszukać się opanowania i rozmysłu, choć na pewno nie brakuje w nich pasji:

Góra znajduje się bardzo daleko.

Jeśli chodzi o pogodę, podczas tej wyprawy nie mieliśmy jeszcze tak dobrych warunków.

Czy będę miał szansę, by po jakimś odpoczynku wrócić na górę z Szerpami i Jackiem, gdyby był w formie, a następnie zebrać po drodze Dudleya i zaatakować szczyt?

Do tego byłoby potrzebnych 7 dni dobrej pogody. Może bogowie okażą mi przychylność i pozwolą zdobyć to, na co zapracowałem?

Gdy Jack próbował tej nocy przetrwać niezwykle wydarzenia minionego dnia, doszedł do zgoła odmiennych wniosków. Pasang Lama był wykończony, a po dotarciu do swojego namiotu zwałił się z nóg. Fritz wyglądał na całkowicie wyczerpanego. Było oczywiste, że niezależnie od tego, jak bardzo by mu na tym zależało, nie będzie trzeciego ataku na szczyt.

Pozostawał tylko jeden — aczkolwiek poważny — problem:
Dudley Wolfe, „pustelnik z K2”.

Rozdział 5

Ważnie

Choć Dudley Wolfe zawsze był bogaty, szczęście nie było wcale stałym elementem jego życia. Nieustannie szukał własnego miejsca na świecie — charakteryzował go pewien niepokój, który sprawiał, że Wolfe praktycznie przez cały czas był w ruchu. Jeżeli nie żeglował, jeździł na nartach. Jeśli nie jeździł na nartach, uprawiał wspinaczkę. Jeżeli się nie wspinał, jeździł samochodem, robił zakupy lub polował na grubego zwierza.

Czasem porównywano go do tytułowego bohatera powieści *Wielki Gatsby*, ale Dudley Wolfe nie należał do osób, które zawdzięczałyby wszystko sobie. Przyszedł na świat jako drugi syn w czteroosobowej wówczas rodzinie. Jego ojciec był angielskim arystokratą, w którego żyłach płynęła błękitna krew (tak przynajmniej utrzymywał), natomiast jego matka była dziedziczką gigantycznej amerykańskiej fortuny zbitej na handlu nieruchomościami i kolejach żelaznych.

Dudley uczęszczał do najlepszych szkół, ale miał problemy z nauką. Wolał sport — początkowo futbol amerykański i zapasy. Był dobrze zbudowanym mężczyzną: mierzył 178 centymetrów wzrostu, a w okresach, w których był zadowolony ze swojej masy ciała, ważył 82 kilogramy (w tych gorszych potrafił ważyć i 100 kilogramów). Po wybuchu pierwszej wojny światowej próbował zaciągnąć się do wojska, lecz został odrzucony z powodu płaskostopia i słabego wzroku. Niezrażony postanowił wstąpić do francuskiej Legii Cudzoziemskiej, a gdy usłyszał, że lista oczekujących jest zbyt długa, stwierdził, że zasili szeregi sanitariuszy Czerwonego Krzyża.

W drodze do Europy Dudley zatrzymał się w Anglii, gdzie przez przypadek spotkał dawno niewidzianego wuja, który ujawnił, że chociaż jego matka rzeczywiście była bardzo bogata, jego ojciec był w istocie synem żydowskiego właściciela sklepu tytoniowego z wyraźnie niearystokratycznego londyńskiego East Endu. To była niepokojąca chwila, ale Dudley ruszył w dalszą podróż, na front zachodni, gdzie walczył również jego starszy brat, Clifford.

Wszyscy trzej bracia Wolfe — Clifford, Dudley i Grafton — mieli za młodu szalone pomysły, ale w latach 20. najstarszy z braci, Clifford, ustatkował się, a następnie zaangażował w rodzinny biznes. Dudley próbował przez jakiś czas zajmować się handlem nieruchomościami, ale podobnie jak jego młodszy brat Grafton, wolał żeglować, niż finalizować transakcje na rynku nieruchomości. Na początku lat 30. był już dumnym właścicielem szkunera i kutra wyścigowego, a także członkiem kilku najsłynniejszych jachtklubów w Ameryce i Wielkiej Brytanii.

Później przyszła miłość i małżeństwo. Dudley był dobrą partią dla Alice Damrosch, bywalczynie nowojorskich salonów i córki słynnego dyrygenta, Waltera Damroscha. Alice była uznaną narciarką, a zarazem atrakcyjną dziewczyną, która chętnie spędzała czas na świeżym powietrzu. Dudley był jej drugim mężem, ale przynajmniej przez kilka lat byli szczęśliwi — spędzali większość czasu w domu Alice w austriackich Alpach, gdzie Dudley nauczył się najpierw jeździć na nartach, a potem wspinać. Umiejętności sportowe wyniesione z tego okresu przetrwały dłużej niż małżeństwo — po czterech latach Alice i Dudley zgodzili się wziąć polubowny rozwód.

Dudley poznał Fritza Wiessnera właśnie poprzez jedną z przyjaciółek Alice, Betty Woolsey. Chociaż Wolfe nie miał doświadczenia związanego z udziałem w wyprawach, a oprócz tego nigdy nie wspinał się bez przewodników, niemal natychmiast wyraził chęć wyjazdu na K2. Obaj mężczyźni z miejsca się zaprzyjaźnili. Z perspektywy Dudleya Fritz oznaczał ekscytację, przygodę oraz możliwość udowodnienia swojej

wartości w nowej dziedzinie. Dla Fritza Dudley był z kolei źródłem autentycznego entuzjazmu oraz finansowym wsparciem ekspedycji. Wiessner wiedział, że Wolfe jest nowicjuszem, ale — jak zawsze — cieszył się z możliwości wprowadzenia w świat tego sportu nowej osoby. Wiele lat później powiedział amerykańskiemu wspinaczowi, Davidowi Dornanowi:

Był bardzo mocnym, twardym i doskonale zbudowanym mężczyzną, który wyglądał na kogoś, kto świetnie się sprawdzi na dużej wysokości. Nie był wspinaczem odznaczającym się elegancją, ale w górach wysokich ludzie obdarzeni doskonałą techniką nie są tak naprawdę niezbędni^[1].

Im dłużej trwała ekspedycja, tym większą irytację Dudleya budziły wszelkie negatywne komentarze pod adresem jego techniki, wygłaszane przez Tony'ego Cromwella i chłopców z Dartmouth. Wolfe miał świadomość tego, że sposób, w jaki operuje liną, a także jego technika asekuracji nie są tak dobre, jak u pozostałych członków ekspedycji, ale z drugiej strony żaden z nich nie znosił wysokości tak dobrze, jak on. Jeżeli wspinacz górski pokroju Fritza Wiessnera był gotów w niego uwierzyć, Dudleyowi w zupełności to wystarczało.

Problem polegał na tym, że w miarę zdobywania wysokości stawał się coraz bardziej osamotniony. Był właśnie 25 lipca; od momentu, kiedy Fritz i Pasang Lama zniknęli, zmierzając ku niższym partiom góry, upłynęły dwa dni. Obiecali przysłać Szerpów z większą ilością prowiantu, lecz jak na razie nikt się nie pojawił. Dudley spędził samotnie siedem z ostatnich ośmiu dni. W malutkim obozie umiejscowionym na skałach na wysokości 7530 m n.p.m. nie miał zbyt wiele do roboty — mógł co najwyżej siedzieć, czekać i liczyć na to, że dotarcie w to miejsce nie zajmie już jego towarzyszom zbyt wiele czasu. Nie miał nawet swoich cennych kamer ani pamiętnika — stracił je podczas upadku w drodze do tego obozu.

Tymczasem w bazie położonej jakieś dwa i pół kilometra niżej panowała krzątanina, jakiej nie obserwowano tam od tygodni. Tony Cromwell i George Trench przygotowywali się do wyruszenia w drogę powrotną wraz z 22 z 30 tragarzy z Askole, którzy przyszli, by zabrać sprzęt ekspedycji^[2]. Tony zaproponował, że zostanie, ale sprawiał wrażenie tak nieszczęśliwego, że nawet Fritzowi zrobiło się go żal. Tendrup — Szerpa, który przedwcześnie rozpuścił informację o śmierci Wiessnera — również wracał do domu, na dodatek w niesławie. „Nikt nie chce go już więcej widzieć” — napisał Fritz w swoim pamiętniku.

Wkrótce po tym, jak Tony opuścił obóz, Jack Durrance w towarzystwie trzech Szerpów — Dawy, Pintsy i Kitara — ruszył w przeciwnym kierunku, z powrotem na K2. Z perspektywy Fritza był to pierwszy etap jego kolejnego ataku na szczyt. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Jack i Szerpowie powinni dotrzeć do Dudleya, wspiąć się do góry i dostarczyć zapasy do obozu ósmego. Po kilku dniach odpoczynku Fritz chciał ruszyć ich śladami, by przeprowadzić trzeci, a zarazem ostatni atak na szczyt.

Jack Durrance postrzegał jednak całą sytuację zupełnie inaczej. Pasang Lama nie nadawał się do akcji górskiej, Pasang Kikuli nadal zmagał się z odmrożeniami, a Fritz Wiessner był cieniem mężczyzny, który prowadził ich ku wierzchołkowi K2. Nie było już mowy o kolejnych atakach na szczyt. Ich akcja miała wyłącznie charakter ratunkowy, a on sam nie był nawet pewien, jak daleko zdoła dotrzeć.

Początkowo wszystko układało się pomyślnie. Jack zaskoczył samego siebie, pokonując rumowisko poniżej obozu pierwszego w błyskawicznym tempie, szybciej od trzech towarzyszących mu Szerpów. O piętnastej był już w obozie drugim i rozbijał ponownie namiot, który kilka nocy wcześniej posłużył Fritzowi i Pasangowi za koc; oprócz tego przygotował zupę i kakao. Jack dobrze spał, a o świcie obudził całą grupę i ruszył na jej czele do położonego prawie 700 metrów wyżej obozu czwartego.

Gdy tam dotarł, nie czuł się już tak dobrze. Droga z obozu drugiego do czwartego była bardzo trudna, pełna niezwiązanych odłamków skalnych, które należało jakoś pokonać (a niektórych z nich — unikać). Ocieplało się, co prowadziło do topnienia lodu utrzymującego w miejscu kamienie i głązy. W południe cała grupa dotarła do obozu czwartego, ale dla Jacka stało się jasne, że ani on, ani Szerpa Dawa nie będą w stanie kontynuować wspinaczki. W trakcie dotychczasowych działań podejmowanych podczas tej ekspedycji Dawa pokazał, że jest bardzo dobrym wspinaczem, ale nabawił się poważnych bólów w klatce piersiowej oraz silnego bólu gardła, a teraz najwyraźniej potrzebował zejść niżej.

Jack dotarł już wyżej, niż się spodziewał, i nie sądził, by miał jakiegokolwiek szanse dojść aż do Dudleya w obozie siódmym. Następnego dnia ruszył zatem na dół z Dawą, zostawiając Kitara i Pintsę w obozie czwartym, by zaczekali tam na Fritza i Pasanga Kikulego, którzy mieli podejść z bazy i doprowadzić do końca akcję ratunkową.

To nie było jednak takie proste. Kiedy Jack dotarł do bazy, odniósł wrażenie, że stan zdrowia Fritza tylko się pogorszył. Wciąż bardzo bolało go gardło i miał poważne problemy z podniesieniem głosu powyżej szeptu. Po spędzeniu całego dnia na przyglądaniu się własnym wychudzonym nogom i porównywaniu śladów odmrożeń z Pasangiem Lamą, zaakceptował wreszcie to, że nie zdoła podjąć w tym roku trzeciego ataku na szczyt. Nie wiedział nawet, czy zdoła dotrzeć do Dudleya.

Na szczęście Pasang Kikuli czuł się lepiej od lidera wyprawy. Powiedział Fritzowi i Jackowi, żeby się nie obawiali. Jego odmrożenia się wygoiły, a on był pewien, że zdoła uratować ich kompana bez wsparcia innych sahibów. Miał zamiar zabrać do obozu czwartego swojego ostatniego Szerpę będącego w dobrej formie, Tseringa, spotkać się tam z Kitarem i Pintsem, a następnie ruszyć po Dudleya.

W teorii oznaczało to działanie wbrew zasadom ustanowionym w Himalajach przez Brytyjczyków. Nieoficjalne reguły głosiły, że Szerpowie zawsze powinni się poruszać w towarzystwie jakiegoś sahiba, a pozwalanie im na samodzielną wspinaczkę jest niebezpieczne. Zasadniczo byli postrzegani jako tragarze wysokościowi, których praca polegała na podążaniu za ich panami z Zachodu i noszeniu ekwipunku. W praktyce nawet na brytyjskich wyprawach sytuacja nie była jednak aż tak oczywista.

Niektórzy Szerpowie cieszyli się szacunkiem jako bardzo dobrzy wspinacze górscy. Podczas tej wyprawy było kilka sytuacji, kiedy pozostawiono ich samym sobie i oczekiwano, że będą się samodzielnie przemieszczać po K2 w górę i w dół. Przyjmowanie takiego założenia nie zawsze się sprawdzało, czego przykładem było chociażby zachowanie Tendrupa, ale Pasang Kikuli prezentował zupełnie inny poziom. Jack wyczuwał, że szef Szerpów zmagają się z poczuciem winy związanym z tym, że z powodu odmrożeń nie był jak na razie w stanie dokonać podczas tej wyprawy niczego znaczącego. Teraz stanął przed szansą, by udowodnić swoją wartość i poprawić reputację.

O szóstej rano 28 lipca Pasang Kikuli i Tsering opuścili bazę, obiecując wrócić za trzy dni z Dudleyem Wolfe'em i pozostałymi Szerpami. Były to optymistyczne przechwałki, ale gdy następnego ranka Fritz i Jack obserwowali Żebro Abruzzów, korzystając z lornetek zapewniających duże powiększenie, wydawało się, że Szerpowie rzeczywiście mogą zrealizować swój plan. Wiessner i Durrance dostrzegli tuż poniżej obozu siódmego trzy osoby, które wytrwale się wspinały. Byli to Pasang Kikuli i dwóch spośród jego Szerpów, Tsering i Kitar. Wcześniejszego dnia Pasang Kikuli i Tsering za jednym zamachem pokonali 2100 metrów w pionie, co na tak dużej wysokości było bezprecedensowym wyczynem.

Bez wątplenia było to niezwykle osiągnięcie, ale budziło ono również pewien niepokój. Fritz i Jack byli teraz wyłącznie widzami. Jedyne, co mogli zrobić, to obserwować działania na

górze i mieć nadzieję, że Pasang Kikuli odniesie sukces — poza tym mogli też bez końca dyskutować, jak w ogóle doprowadzili do tego, że znaleźli się w tak okropnej sytuacji.

Wysoko na grani problemy wyprawy robiły się coraz poważniejsze. Pasang Kikuli zdołał wraz z dwoma Sierpami dotrzeć do obozu siódmego, ale żaden z nich nie był przygotowany na widok i zapach, który ich powitał. Dudley Wolfe leżał w swoim śpiworze i już na pierwszy rzut oka było widać, że od kilku dni nie wychodził z namiotu. Zabrudził śpiwór, a jedzenie, które leżało wokół niego, było zanieczyszczone ekskrementami. Był przytomny, a Sierpowie zdołali go nawet nakłonić do tego, by wyszedł z namiotu, lecz odmówił schodzenia razem z nimi. Nie przekonały go nawet notatka od Fritza oraz paczka listów przysłanych przez jego najbliższych. Oznajmił jednak, że następnego dnia będzie gotowy do zejścia. Sierpowie uprzątnęli sąsiedni namiot, ale ruszając do góry nie przypuszczali, że pojawi się potrzeba zostania na noc w obozie siódmym, w związku z czym zostawili swoje śpiwory niżej. Zrobili Dudleyowi herbatę, po czym zostawili go samego, obiecując powrócić następnego dnia.

To nie tak powinni się zachowywać sahibowie; wszystko wskazywało na to, że ratowanie Dudleya Wolfe'a nie będzie łatwym zadaniem. Pasang Kikuli czuł jednak, że nie może wrócić z pustymi rękoma. Był sirdarem, czyli kierownikiem zespołu Sierpów, i musiał sprostać oczekiwaniom wiążącym się z tą funkcją. Chociaż jeszcze o tym nie wiedział, otrzymał właśnie odznakę Tygrysa przyznawaną przez Himalayan Club, organizację kontrolującą zatrudnianie Sierpów. Było to najwyższe odznaczenie tej instytucji, a Pasang Kikuli otrzymał je za fantastyczną pracę wykonaną rok wcześniej podczas wyprawy rekonesansowej na K2 działającej pod kierownictwem Charliego Houstona. Dla każdego Sierpy reputacja była kluczową kwestią — gdy ktoś taki wyrobił sobie renomę osoby cechującej się niezawodnością, nie musiał się już martwić o to, że zabraknie mu pracy. Jeśli jednak człowiek nie

dotrzymywał swoich obietnic, jego sytuacja szybko robiła się nieciekawa.

Tamtej nocy rozpoczęła się silna burza, która nie słabła przez 24 godziny — Pasang Kikuli musiał zatem przesunąć na kolejny dzień plany związane z zabraniem Dudleya z obozu siódmego. Gdy rankiem 31 lipca ruszył do góry, znów towarzyszyli mu Pintso i Kitar; Tsering został na miejscu z zadaniem przygotowania herbaty dla całej powracającej grupy. Pasang Kikuli stwierdził, że jeśli nie zdołają przekonać Dudleya do dobrowolnego zejścia razem z nimi, ściągną go siłą. Gdyby i to okazało się niemożliwe, miał zamiar nakłonić go do podpisania notatki stanowiącej potwierdzenie, że Szerpowie zrobili wszystko, co w ich mocy, a Amerykanin postanowił zostać w obozie siódmym z własnej nieprzymuszonej woli.

Fritz i Jack nadal czuwali w bazie, obserwując rozgrywający się ponad nimi dramat. Wiessner odzyskał głos — akurat w porę, by móc otwarcie wyrażać swoje obawy. Gdy 29 lipca dostrzegł trzy postacie zmierzające do obozu Dudleya, a potem trzy osoby schodzące w dół, ogarnął go ogromny niepokój. Dlaczego na dół zeszło tylko trzech wspinaczy? Czy Dudley aż tak się rozchorował, że nie był w stanie się ruszyć? Fritz uspokoił się później tego samego wieczoru, gdy Pasang Kikuli nie użył sygnału oznaczającego prośbę o pomoc, ale to tylko pokazywało, w jak desperackim położeniu znalazł się lider wyprawy. Czy *brak* sygnału dymnego naprawdę był jedyną rzeczą, z jakiej mógł się teraz cieszyć?

Wpis w pamiętniku Fritza datowany na 1 sierpnia był zwięzły i rzeczowy:

*Powyżej nie widać żadnego ruchu
Żadnych sygnałów dymnych
Jest wietrznie i pogodnie*

O wpół do ósmej rano następnego dnia Jack Durrance dostrzegł jedną osobę wyruszającą z obozu szóstego. Napięcie zaczęło rosnąć. Schodził tylko jeden Szerpa? Czy inni zostali wysoko, razem z Dudleyem? Pięć godzin później Tsering dotarł do bazy po tym, jak praktycznie zbiegł z góry. Gdy już się

uspokoił, powiedział Jackowi i Fritzowi, że Pasang Kikuli znalazł Dudleya w fatalnym stanie i ogromnie się o niego martwił. Dwa dni po pierwszej wizycie w obozie siódmym kierownik zespołu Szerpów wyruszył ponownie do góry razem z Kitarem i Pintsem, by podjąć drugą próbę ściągnięcia Dudleya, ale tym razem nie wrócił ani sirdar, ani sahib, ani dwóch pozostałych Szerpów. Tsering czekał przez cały dzień, po czym postanowił wrócić do bazy.

Fritz nie chciał zakładać najgorszego. Pasang Kikuli i jego dwaj towarzysze byli tak sprawnymi Szerpami i dysponowali tak dobrą techniką wspinaczkową, że nie można było sobie wyobrazić, by coś poszło nie tak. Najwyraźniej zostali z Dudleyem, czekając na wsparcie. 3 sierpnia Fritz ruszył do góry, rozpoczynając trzecią akcję ratunkową. Jedynymi Szerpami zdolnymi do tego, by mu towarzyszyć, byli Dawa i Tsering, lecz żaden z nich nie był w szczytowej formie.

Jack Durrance zaproponował, że pójdzie z nimi, ale Fritz nakazał mu zostać z wyczerpanym Pasangiem Lamą, ostatnim Szerpą znajdującym się jeszcze w bazie. Kończył się prowiant, a zatem ostatnich ośmiu tragarzy z Askole odesłano do domu z poleceniem jak najszybszego powrotu z zapasem jedzenia. Jack przekazał też tragarzom notatkę adresowaną do Tony'ego Cromwella, informując go w ten sposób o ostatnich wydarzeniach. Podpisał ten tekst swoim typowym pożegnaniem, „Berg Heil”, które jest życzeniem powodzenia podczas wspinaczki, ale w tym momencie nabrało już bardzo nieszczerzego wydźwięku.

Gdy Jack wyszedł tej nocy na lodowiec, nie zobaczył żadnego z umówionych sygnałów dymnych informujących o postępach Fritza. Z pewnym niepokojem przyjrzał się lodowcowi poniżej Żebra Abruzzów, ale nie dostrzegł tam niczego nowego, co spadłoby z góry. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, nie potrafił odpędzić od siebie poczucia grozy, o czym wspomniał w swoim pamiętniku:

Jedynym logicznym wytłumaczeniem informacji, którymi dysponuję, a także wyników moich obserwacji, jest jakaś

katastrofa. To jednak wizja, której na razie w ogóle do siebie nie dopuszczam.

Pogoda stopniowo się pogarszała. 5 i 6 sierpnia spadło dużo śniegu. Czasami grań była widoczna, kiedy indziej była przesłonięta przez śnieg i chmury. Jackowi wydawało się, że jeden z namiotów w obozie piątym został rozbity na nowo, ale wzrok ponownie spłatał mu figła. Żaden z uczestników ostatniej akcji ratunkowej nie dotarł nawet w okolice tego miejsca. Fritz przebywał wraz ze swoimi dwoma Szerpami ponad 800 metrów niżej, w obozie drugim, chroniąc się w rozstawionych tam namiotach przed kolejną burzą.

Po dwóch dniach zmagania się z nawiewanym śniegiem i wyjąłym wiatrem, Fritz musiał się poddać. Po południu 7 sierpnia ruszył po raz ostatni w drogę powrotną do bazy i jak zapisał w swoim pamiętniku, „zmagał się z potwornym przygnębieniem”. Następnego ranka Jack wybrał się na lodowiec, by poszukać śladów lawiny lub jakichkolwiek wskazówek pozwalających ustalić, co dzieje się wysoko nad nimi, ale nadal nie zdołał niczego zrozumieć:

Żadnych śladów, nic. W tej sytuacji wśród śnieżycy na Lodowcu Godwina-Austena odprawiliśmy ceremonię pożegnalną ku czci naszych zaginionych kompanów, których rzeczywistego losu nikt nie zna. Z pochyloną głową próbowałem coś zaśpiewać.

Nadchodziły dalsze opady śniegu, a pozostający w bazie uczestnicy ekspedycji nie mogli zrobić niczego, by pomóc zaginionym. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy Dudley, Pasang Kikuli, Pintso i Kitar zginęli razem czy oddzielnie, ale wszyscy zgodnie zakładali, że z pewnością nie ma ich już wśród żywych. W związku z tym, że zapasy wyprawy były na wyczerpaniu, Fritz i Jack spakowali resztę dobytku Dudleya, po czym ruszyli w długą podróż powrotną, zostawiając około 135 kilogramów sprzętu, który miał być zabrany w późniejszym terminie. Gdy spoglądali za siebie z Concordii, K2 był spowity chmurami.

W tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych (czyli jakieś 11 tysięcy kilometrów od Karakorum) żaden z ich przyjaciół z

American Alpine Clubu nie miał pojęcia, co się wydarzyło. W ostatnim oficjalnym liście, który przedstawiał postępy ekspedycji i został napisany 14 czerwca, choć odczytano go dopiero wiele tygodni później, George Sheldon wspominał o tym, że najgorszą katastrofą była na razie duża dziura, jaką Tony Cromwell wydarł w swoich spodniach. Dudley Wolfe znajdował się wysoko na górze i „cholernie dobrze sobie radził”, a najwięcej problemów nastroczały ekspedycji duże ilości listów miłosnych, które od czasu do czasu musieli dostarczać Jackowi Durrance’owi. George zakończył swój list optymistycznymi słowami:

W chwili, w której będziecie czytać te słowa, wierzchołek będzie już zdobyty, względnie góra będzie się spokojnie uśmiechać do grupki odchodzących postaci, które podjęły wyzwanie, ale nie okazały się wystarczająco dobre. Mamy nadzieję, że zdołamy zrealizować pierwszy z tych scenariuszy, i bez wątpienia dołożymy w tej kwestii wszelkich starań. W każdym razie, choć może się to wydawać niewiarygodne, już wkrótce wyruszymy w drogę powrotną, a potem, nim ktokolwiek się obejrzy, będziemy już w Nowym Jorku podziwiać Wystawę Światową. Pod względem budowania napięcia na pewno nie rozegraliśmy tego tak, jak należało!

W okresie między wysłaniem tego listu a opuszczeniem bazy pod K2 na łamach „Times of India” ukazało się kilka raportów na temat działalności wyprawy, ale latem 1939 r. wydawcy międzynarodowej prasy mieli na głowie bardziej naglące kwestie niż opisywanie losów najnowszej amerykańskiej ekspedycji działającej na K2. Świat nie pogrążył się jeszcze w wojnie, lecz bestie unosiły już swoje głowy, poszczególne kraje koncentrowały siły zbrojne, a dla większości obserwatorów było oczywistością, że już wkrótce dojdzie do konfliktu.

Nieustająca karuzela przyjęć koktajlowych trwała w Śrinagarze w najlepsze, jak gdyby Brytyjczycy nie zdawali sobie sprawy z tego, co się wokół nich dzieje. Kilka miesięcy wcześniej młodzi eleganci z amerykańskiej wyprawy

zmierzającej na K2 skradli ich serca, a kilka kobiet niecierpliwie wyczekiwało ich powrotu. Gdy pierwsi członkowie ekspedycji dotarli jednak do miasta w połowie sierpnia, nie przypominali wcale szczęśliwej grupki, która opuszczała Śrinagar. Brakowało trzech mężczyzn, w tym lidera, Fritza Wiessnera, oraz głównego łamacza serc, Jacka Durrance'a, natomiast ci, którzy wrócili, nie wyglądali już tak beztrąsko.

Kiedy pozostała trójka pojawiła się wreszcie pod koniec miesiąca w Śrinagarze, na jaw wyszedł rozłam w zespole. Tony Cromwell ani nie wybaczył Fritzowi, ani nie zapomniał ich konfrontacji na Lodowcu Godwina-Austena, kiedy to zagrożono mu konsekwencjami prawnymi związanymi z zaniedbaniem obowiązków. Teraz priorytetem było dla niego zapoznanie się ze szkicem raportu, który Jack i Fritz przygotowali w drodze powrotnej.

Tony nie był zachwycony tym, co przeczytał. Z jego perspektywy była to próba tuszowania faktów — dokument całkowicie zwalniał Fritza z odpowiedzialności za porażki, jakie poniósł on jako lider ekspedycji. Między Wiessnerem a Cromwellem wywiązał się spór, a gdy obaj wrócili do Śrinagaru, Tony dawał wszystkim jasno do zrozumienia, że jego zdaniem to Fritz był zasadniczo odpowiedzialny za wszelkie niepowodzenia wyprawy. George Trench, młody brytyjski oficer zajmujący się kwestiami transportu, poparł Cromwella i całkiem jawnie pozwalał sobie na grubiaństwo wobec swojego byłego lidera.

Fritz i Jack wrócili do domu majora Hadowa, u którego zatrzymali się w drodze pod K2, i zaczęli pracować nad poprawioną wersją raportu, ale Cromwell nie dał się udobruchać. Nie pozwolił Fritzowi wejść na pokład swojej barki mieszkalnej, odrzucił zaproszenie na pożegnalną kolację, w której brał udział cały zespół, a gdy wyjeżdżał kilka dni później, zaprosił na przyjęcie pożegnalne Jacka Durrance'a, ale ostentacyjnie pominął Fritza Wiessnera.

Co istotniejsze, Tony rozpoczął też działania odwetowe, wysyłając do Ameryki dwa listy z własnym opisem zajść, które

miały miejsce podczas ekspedycji. Pierwszym z tych listów był oficjalny raport wymieniający w chronologicznej kolejności wydarzenia i poszczególne obozy na górze. Inaczej, niż miało to miejsce w kalendarium wydarzeń Fritza, Tony twierdził (rozmijając się z prawdą), że upadek Fritza, Dudleya i Pasanga Lamy miał miejsce między obozami siódmym i ósmym, ale *przed* próbą ataku na szczyt, a Fritz zostawił niesprawnego i chorego Dudleya Wolfe'a w obozie, podczas gdy sam ruszył z Pasangiem Lamą w stronę wierzchołka K2. Drugi list, zaadresowany do Ellisa Fishera, skarbnika American Alpine Clubu, był jeszcze bardziej konfrontacyjny — zawierał praktycznie oskarżenie Fritza o popełnienie morderstwa. Trench również napisał do Fishera, przedstawiając szczegółowo porażki, jakich Wiessner doznał jako lider wyprawy.

Gdy Jack Durrance dowiedział się o tych listach, był zbulwersowany i natychmiast poinformował Wiessnera. Chociaż Jack również miał serdecznie dosyć rządów twardej ręki stosowanych przez Fritza i uważał, że lider ekspedycji popełnił podczas działań na K2 poważne błędy, nie pochwalał zachowania Tony'ego i dostrzegał ogromną presję, pod jaką znajdował się Fritz.

Ten ostatni chorował przez większość podróży powrotnej spod K2 i nadal wyglądał na wyczerpanego. Gdy Jack powiedział majorowi Hadowowi o listach napisanych przez Tony'ego Cromwella i George'a Trencha, Hadow był tak zaszokowany, że udał się ze skargą do wysokiego rangą przedstawiciela brytyjskich władz w Kaszmirze, noszącego dumny tytuł podpułkownika Denholma de Montalte Stuarta Frasera. Hadow i Fraser natychmiast odrzucili oskarżenia Cromwella i bez powodzenia starali się sprowadzić Trencha z powrotem do Śrinagaru, by zdementował to, co napisał w swoim wcześniejszym liście.

1 września Fritz i Jack udali się do biura Frasera po oficjalny akt zgonu Dudleya Wolfe'a. Tego samego wieczoru dowiedzieli się, że niemieckie wojska zaatakowały Polskę, co kilka dni później skłoniło Wielką Brytanię do wypowiedzenia Niemcom

wojny po raz drugi w ciągu 25 lat. Fritz pogrążył się w jeszcze bardziej ponurym nastroju: nie dość, że był liderem ekspedycji, która zakończyła się śmiercią czterech osób, to jeszcze kraj, w którym się urodził, był teraz w stanie wojny z imperium, które właśnie go gościło. W liście do byłej żony Dudleya, Alice Damrosch, Fritz całkiem otwarcie pisał o tym, co czuje:

Wszystkie te wydarzenia sprawiają wrażenie jakiegoś koszmaru. Jestem również potwornie przybity faktem, że nie byłem w stanie włączyć się w bardziej aktywny sposób w akcję ratunkową, a potem musieliśmy opuścić górę bez ustalenia dokładnej przyczyny wypadku i nie zdołaliśmy odnaleźć ciał zmarłych. Przez całe moje życie nie miałem do czynienia z tak potężnym ciosem — najpierw wymknął mi się szczyt, który na pozór znajdował się na wyciągnięcie ręki, potem nadeszły koszmarne chwile, kiedy uzmysłowiliśmy sobie, że Dudley i Szerpowie nie żyją, a teraz jeszcze doszła do tego wojna^[3].

Brytyjskie władze podejmowały szczególne wysiłki, by poprawić Fritzowi samopoczucie. Zaproponowano mu członkostwo w Himalayan Clubie, a major Hadow zorganizował nawet kolejny wyjazd na narty. Pasang Lama, który szybko wrócił do swojego domu w Dardżylingu, przesłał Wiessnerowi informację, że całe miasto oplakuje śmierć Dudleya i trzech Szerpów zmarłych na K2. Zaproponował nawet, że będzie towarzyszył Fritzowi podczas kolejnej wyprawy na K2 w 1940 r, która miałaby na celu odnalezienie ciał i podjęcie kolejnego ataku na szczyt. To wszystko były miłe gesty, ale nic nie było w stanie odciągnąć myśli Fritza od jego zmartwień.

4 września wraz z Jackiem Durrance'em spotkali się z amerykańskim konsulem Edwardem Grothem i spędzili kilka godzin, opowiadając ponownie przebieg całej wyprawy. Groth okazywał mnóstwo życzliwości dwóm zmęczonym Amerykanom i zgodził się z tym, że oskarżenia wysuwane przez Tony'ego Cromwella były, jak ujął to później w sprawozdaniu, „bezpodstawne i krzywdzące”. Z perspektywy

Grotha Fritz był „doskonałym wspinaczem i dobrym liderem” i nie można go było obwiniać o to, co się nie udało, chociaż konsul zastanawiał się, czy różnice w zachowaniach i usposobieniu wynikające z narodowości nie przyspieszyły rozłamu wśród członków ekspedycji:

Chociaż na papierze i w świetle prawa Wiessner jest obywatelem amerykańskim, jeśli chodzi o zapatrywania i działania, w wielu kwestiach nadal pozostaje zasadniczo Niemcem... Ze względu na jego niemieckie pochodzenie oraz to, że wykazuje się sporą dozą niemieckiej bezceremonialności (typowej dla tej nacji cechy, z której najwyraźniej zdawał sobie sprawę tylko jeden z pozostałych uczestników wyprawy), trudno się dziwić, iż musiało dojść do zderzenia różnych usposobień... podczas przekazywania poleceń jest bardzo stanowczy i kompletnie nieświadomy tego, że obcesowy, bezceremonialny sposób wydawania rozkazów mógł urazić uczucia jego towarzyszy, którzy jako Amerykanie prezentują siłą rzeczy inną postawę i inaczej podchodzą do tego rodzaju spraw.

Sam Fritz mógł się zachowywać w niemiecki sposób, lecz nie miał wątpliwości co do własnej lojalności: wbrew woli swoich rodziców postanowił zostać obywatelem Stanów Zjednoczonych i był świadom faktu, że któregoś dnia może mu przyjść walczyć przeciwko rodzinnemu krajowi. Nie była to jednak miła perspektywa.

Jak gdyby wszystkich tych problemów było jeszcze za mało, Fritz został poinformowany, że okręt, którym wraz z Jackiem miał się udać do Włoch, nigdzie nie popłynie, gdyż rejs został odwołany. Nawet gdyby udało im się znaleźć jakieś inne połączenie, ze względu na rozpoczęte właśnie działania wojenne podróż z Europy do Ameryki mogła się okazać jeszcze bardziej skomplikowana. Jack postanowił ruszyć na wschód i wrócić przez Pacyfik; Fritz skierował się na zachód i poleciał do północnej Afryki, by stamtąd popłynąć do Ameryki.

Ta podróż okazała się istnym koszmarem. W Bombaju Wiessner został zatrzymany i przesłuchany przez lokalną

policję, którą ktoś poinformował, że były lider wyprawy na K2 jest niemieckim szpiegiem. Fritz został zwolniony, ale nie zdążył na swój statek i był zmuszony do szybkiej, nieplanowanej wcześniej podróży do Karaczi, a potem do Aleksandrii, gdzie zdołał wreszcie wsiąść na statek płynący do Nowego Jorku. Jak na ironię, jednym z pozostałych Amerykanów na liście pasażerów był nie kto inny jak Tony Cromwell, jego były przyjaciel, który zamienił się teraz w zacieklego wroga.

Gdy niemal dwa miesiące później Fritz dotarł wreszcie do Nowego Jorku, był w jeszcze gorszym stanie. Po tym, jak przeżył przez dwa i pół miesiąca na najniebezpieczniejszej górze na świecie, podczas podróży przez Atlantyk doznał tak poważnego urazu pleców, że musiał spędzić kilka tygodni w szpitalu ortopedycznym. Nie minęło dużo czasu, a doczekał się odwiedzin nie jednego, lecz dwóch zespołów badających wydarzenia, które miały miejsce na K2.

Pierwszym z tych zespołów była komisja American Alpine Clubu poproszona o przygotowanie raportu na temat ekspedycji. Po otrzymaniu listów Cromwella i Trencha władze klubu uznały, że muszą wkroczyć do działania. Nawet jeżeli nikt nie wierzył w najświeższe plotki — to, że Fritz świadomie porzucił Dudleya, by uniknąć konieczności zwracania pieniędzy, które był mu winien — wyraźnie było widać, iż naprawdę coś poszło nie tak, a ponieważ była to oficjalna wyprawa American Alpine Clubu, władze organizacji musiały podjąć działania, jakich oczekiwała opinia publiczna.

Chociaż zespół był później oskarżany o okazywanie przychyłności Fritzowi, w skład komisji śledczej wchodziło trzech jego przyjaciół: Bill House, Bestor Robinson i Terris Moore, kolejny znany wspinacz z Harvardu. Pozostali — przewodniczący komisji Walter Wood oraz skarbnik klubu Ellis Fisher — byli doświadczonymi członkami American Alpine Clubu. Do udziału w pracach zespołu zaproszono także Charliego Houstona, ale odrzucił on tę propozycję.

Podczas gdy komisja przesłuchiwała członków zespołu i przeglądała ich pamiętniki oraz zapiski, toczyło się też drugie, potencjalnie poważniejsze śledztwo. Wszczął je Clifford Smith, starszy brat Dudleya Wolfe'a. Clifford był zaszokowany wszystkimi plotkami i za wszelką cenę chciał ustalić, co się naprawdę wydarzyło, nawet jeżeli oznaczało to konieczność opłacenia prawnika i stenografa odbierających oficjalne zeznania, które później można byłoby wykorzystać w sądzie.

Clifford przesłuchiwał Fritza w jego szpitalnym łóżku, zaledwie kilka dni po tym, jak lider wyprawy wrócił do Nowego Jorku. Smith przeczytał poprawioną, ostateczną wersję raportu Wiessnera, znał także wersję wydarzeń przedstawioną przez Cromwella, a teraz chciał się dowiedzieć, dlaczego Fritz pozostawił chorego Dudleya Wolfe'a jego własnemu losowi. Fritz wyjaśnił, że Cromwell źle wszystko zrozumiał, a gdy on sam opuszczał obóz siódmy, stan zdrowia Dudleya nie budził żadnych zastrzeżeń. Wiessner stwierdził jednak, że Cromwell nie kłamał — po prostu był w błędzie.

Kiedy Smith spotkał się z samym Cromwellem, usłyszał historię, która zdecydowanie odbiegała od jego oczekiwań. Tony nie oskarżał już lidera wyprawy o działania przestępcze; utrzymywał dla odmiany, że w zespole nie było żadnych trać i zaakceptował to, iż nie miał racji, jeśli chodzi o to, kiedy doszło do upadku wspinaczy między obozami siódmym i ósmym. Niezależnie od tego, czy ta zmiana stanowiska wynikała z poczucia winy, zakłopotania, czy może obaw o to, że cała historia naprawdę może się skończyć w sądzie, Tony Cromwell i inni członkowie wyprawy przygotowywali się teraz na najgorsze i nie chcieli niczego mówić. Gdy Clifford Smith przesłuchiwał George'a Sheldona i Chappella Cranmera, byli oni równie powściągliwi i bagatelizowali wszelki wcześniejszy krytycyzm, nawet jeżeli Tony przekonał ich obydwu, że wszystko było zasadniczo winą Fritza^[4].

Jedynym członkiem ekspedycji, który był gotów otwarcie prezentować swoje poglądy, był Jack Durrance, który

powiedział Cliffordowi Smithowi, że winę należy podzielić między Dudleya i Fritza:

Sądzę, że Dudley dał się porwać swojej ambicji. Moim zdaniem nie powinien był podejmować próby wspinaczki. Zawsze wspinął się z przewodnikami. Sam nigdy nie był prowadzącym w zespole. Zawsze zabierano go na górę — i to właśnie coś takiego zrobił Wiessner. Sądzę, że był to potworny błąd^[5].

Ostatecznie po kilku frustrujących tygodniach śledztwo Clifforda Smitha utknęło w martwym punkcie. Nie zaowocowało żadnymi pozwami sądowymi ani dochodzeniami prowadzonymi przez przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości; skończyło się smutnym listem do American Alpine Clubu z prośbą o skontaktowanie się z rodziną, gdyby w którymś momencie w przyszłości jakaś następna ekspedycja znalazła szczątki Dudleya.

Członkowie komisji powołanej do życia przez klub czuli większą presję, by „coś zrobić”, chociaż odpowiedź na pytanie, czym powinno być to „coś” (o ile w ogóle powinno przybrać jakąś postać), była bardziej skomplikowana. Nikt nie chciał tak naprawdę wydawać osądu dotyczącego trudnej i skonfliktowanej wyprawy. Henry Hall, przewodniczący klubu, napisał do Ellisa Fishera:

Za moimi wysiłkami skrywa się ta sama motywacja, która popycha też do działania Ciebie — chronienie dobrego imienia Klubu, w razie konieczności kosztem pojedynczych osób (...). Najważniejsze jest niedopuszczenie do tego, by cała ta historia stała się zarzewiem waśni^[6].

Podczas obrad komisji jej członkowie siłą rzeczy porównywali wyprawy z 1938 i 1939 r. Pierwsza z nich wycofała się wraz z nadejściem chwili prawdy; druga nie zrezygnowała i była o włos od sukcesu, lecz ostatecznie zakończyła się katastrofą. Jeden z członków komisji, Bill House, wiele lat później ujawnił, że znaczna część debaty ponownie formułowana była w kategoriach dyskusji między brytyjską

mentalnością „bezpieczeństwo ponad wszystko” a niemieckim podejściem „zdobycie szczytu usprawiedliwia podjęcie ryzyka”.

Ujmowanie dyskusji w taki sposób było krzywdzące dla Fritza. Nigdy nie twierdził on, że jest zwolennikiem niemieckiej taktyki zdobywania północnych ścian gór, a jeśli ktoś miał go już oceniać, musiał go uznać za bardzo ostrożnego wspinacza, który poświęcał wiele uwagi asekuracji oraz kwestii bezpieczeństwa. Podejście, jakie zastosował na K2, było bardzo miarowe i metodyczne, a on sam dostrzegał mnóstwo zbieżności między swoim nieustającym pragnieniem wspinania się w sposób wykorzystujący jak najmniej haków i innych „sztucznych ułatwień” oraz brytyjską obsesją dotyczącą „grania *fair*”^[7].

Z drugiej strony pojawiały się też nieuniknione pytania dotyczące jego przywództwa. Na górze zaginął jeden Amerykanin i trzech Szerpów. Zakładano, że nie żyją, a człowiek będący prawą ręką lidera najwyraźniej uważał, iż odpowiedzialność za to wszystko ponosi właśnie Wiessner. Pod adresem Fritza kierowano dwa zasadnicze zarzuty: po pierwsze, że świadomie zabrał ze sobą słaby zespół, a co za tym idzie, powinien był zachowywać większą ostrożność; po drugie, że gdy pojawiły się problemy, powinien był się wycofać. Pytania dotyczyły zwłaszcza tego, czy zdając sobie sprawę z ograniczeń Dudleya Wolfe’a, powinien był pozwolić mu wspiąć się tak wysoko.

Fritz był nieugięty i twierdził, że odpowiedzialność za tragedię spoczywa nie tyle na nim, co na jego zespole. To jego towarzysze nie zdołali zapewnić wsparcia wspinaczom atakującym szczyt, a co istotniejsze, zabrali z wszystkich obozów niezwykle ważne śpiwory. Gdyby wszyscy trzymali się poleceń i dbali o zaopatrzenie obozów oraz o to, by Szerpowie nieustannie przemieszczali się w dół i w górę po K2, nikt by nie zginął, a cała wyprawa mogłaby się nawet zakończyć sukcesem. Głównym winowajcą był zdaniem Fritza Jack Durrance.

To był dziwny zwrot akcji. Śledztwo American Alpine Clubu zostało wszczęte z powodu oskarżeń Tony'ego Cromwella, ale zamiast zaatakować swojego zastępcę lub Tse Tendrupa, okrytego niesławą Szerpę, który uznał Fritza za martwego i z własnej inicjatywy zabrał sprzęt z wyższych obozów, Wiessner wskazał palcem mężczyznę, który dbał o niego w drodze powrotnej spod K2 i wspierał go w Śrinagarze, gdy reszta zespołu po prostu go opuściła. Dlaczego zatem Fritz zwrócił się przeciwko Jackowi?

Odpowiedź była zaskakująca, ale przekonująca: podczas pobytu w nowojorskim szpitalu Fritz znalazł wśród swojego sprzętu wspinaczkowego notatkę pozostawioną przez Jacka kilka tygodni wcześniej w obozie drugim. Durrance gratulował w niej Wiessnerowi zdobycia K2 i informował, że wydał właśnie polecenie zebrania śpiworów z dolnych obozów. Teraz Fritz upierał się, że to właśnie ta decyzja doprowadziła do katastrofy, a słowa napisane przez Jacka wyraźnie zdradzają, kto ją podjął^[8].

Członkowie komisji American Alpine Clubu byli podzieleni. Nikt nie obwiniął Tse Tendrupa; nawet jeżeli nie dopełnił swoich obowiązków, a na dokładkę zebrał śpiwory z wyższych obozów, nie była to tak naprawdę jego wina. Był Szerpą, a wedle powszechnie panującej wówczas wiedzy powinien działać pod nadzorem któregoś z amerykańskich wspinaczy. Nie zrzucano też winy na Tony'ego Cromwella ani nie podejmowano prób ustalenia jego roli w krytycznych wydarzeniach. Sam fakt, że wysunął wszystkie zarzuty pod adresem Fritza i jako zastępca lidera wyprawy powinien kontrolować wszystkie kwestie logistyczne, został w milczeniu pominięty. Były tylko dwie osoby, które naprawdę można było obwinać: Fritz Wiessner lub Jack Durrance. Na którego z nich należało jednak zrzucić winę?

Komisja zgodziła się częściowo z Fritzem, jeśli chodzi o to, że zebranie sprzętu z obozów było zarówno lekkomyślne, jak i niezrozumiałe, a osobą odpowiedzialną za podjęcie tych

działań był Jack Durrance. Bill House, jeden z członków komisji, napisał wiele lat później, że jedynym prawdziwym usprawiedliwieniem Jacka było to, iż zmagał się w tym czasie ze swego rodzaju załamaniem nerwowym będącym następstwem pobytu na dużej wysokości. Co istotne, komisja uznała również, że Fritz popełnił zasadniczy błąd, przeceniając możliwości swojego zespołu. Członkowie grupy analizującej losy wyprawy zgodzili się z Jackiem, jeśli chodzi o to, że absolutnie nie należało pozwalać, by Dudley Wolfe wspiął się na tak dużą wysokość^[9].

Żadna z tych konkluzji nie była jednak w stanie powstrzymać narastającego sporu, a w miarę upływu miesięcy coraz bardziej rosła presja dotycząca niedopuszczenia do publikacji raportu. Gdy Fritz otrzymał jego roboczą wersję, napisał list do Waltera Wooda, przewodniczącego komisji, utrzymując, że dokument jest niesprawiedliwy i nieprecyzyjny. Wiessner poczuł się szczególnie urażony ogólnikową krytyką dotyczącą „kiepskiego kierowania zespołem” w trakcie wyprawy, a następnie upowszechnił raport wśród swoich przyjaciół. Ci zaczęli z kolei wysyłać do klubu listy, grożąc publikacją kontrraportu, gdyby ten oficjalny został rozesłany członkom organizacji.

Scenariusz przewidziany przez prezesa klubu, Henry’ego Halla — to, że dyskusja na temat K2 doprowadzi do rozłamu wśród członków organizacji — urzeczywistniał się na jego oczach. Konsekwencje tej sytuacji były nieuniknione: raport, którego przygotowanie pochłonęło tyle miesięcy, został odłożony na półkę. Nie opublikowano go w całości; zamiast tego w lipcu 1940 r. zwykli członkowie klubu otrzymali jednostronicowe streszczenie oraz diagram obrazujący działania poszczególnych uczestników wyprawy na górze. Każdy, kto planowałby zorganizowanie w przyszłości podobnej ekspedycji, mógł przeczytać raport, ale nie przewidywano udostępniania kompletnego tekstu szerokiej publiczności.

Takie zakończenie całej sprawy nikogo nie usatysfakcjonowało. Fritz Wiessner miał wrażenie, że jego reputacja została już zniszczona, i w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1940 r. zrezygnował z członkostwa w klubie. Niezależnie od tego, co Tony Cromwell powiedział Cliffordowi Smithowi, nadal był bardzo zły na swojego dawnego przyjaciela i lidera wyprawy. Wypisał się z American Alpine Clubu mniej więcej w tym samym czasie, twierdząc, że organizacja powinna była pozbawić Fritza członkostwa dużo wcześniej. Jack Durrance starał się unikać konfrontacji. Pokazał Chappellowi Cranmerowi swój pamiętnik z wyprawy, ale pomimo całej krytyki, jaka na niego spadła, odmawiał podjęcia otwartej walki z Fritzem.

Inaczej, niż miało to miejsce po wyprawie z 1938 r., tym razem nie powstała książka opisująca losy ekspedycji. George Sheldon napisał długi artykuł na potrzeby „Saturday Evening Post”, a Chappell Cranmer przygotował wraz z Fritzem Wiessnerem materiał, który ukazał się na łamach „American Alpine Journal”. Obydwa teksty starannie omijały najbardziej kontrowersyjne kwestie. W 1955 r. dużo pełniejszy opis tej wyprawy stał się częścią cienkiej książki *K2: Tragödien und Sieg am zweithöchsten Berg der Erde* („Tragedia i zwycięstwo na drugiej co do wysokości górze świata”) napisanej po niemiecku przez Fritza wraz z Franzem Grasslerem, ale chociaż większa część tego materiału ukazała się później w długim artykule w amerykańskim czasopiśmie „Appalachia”, książka nigdy nie została w całości opublikowana w Stanach Zjednoczonych.

Artykuł zamieszczony w magazynie „Appalachia” zawierał przypis redakcyjny, w którym zapraszano do wygłaszania komentarzy wszystkich tych, którzy nie zgadzali się z wersją wydarzeń przedstawioną przez Fritza Wiessnera. Ani Tony Cromwell, ani Jack Durrance, ani żaden inny członek tamtej ekspedycji nie skorzystali z tej możliwości. Nie był to jednak koniec całej dysputy. Gdy w 1955 r. brytyjski geograf Kenneth Mason napisał głośną książkę przedstawiającą historię wspinania w Himalajach, *Abode of Snow*, z ogromną zajadłością

opisywał sposób, w jaki Fritz pokierował wyprawą z 1939 r., podsumowując tę ekspedycję w często cytowanym zdaniu:

Bardzo trudno wyrazić w parlamentarnych słowach głupotę tego przedsięwzięcia.

W połowie lat 60. opinie zaczęły się jednak zmieniać. W przeciwieństwie do pozostałych członków tamtej wyprawy, Fritz Wiessner nadal się wspinał; wciąż opiekował się też młodymi talentami i był dla nich mentorem. Jego protegowani doceniali jego niezwykle umiejętności techniczne, a wielu z nich zaczęło postrzegać ekspedycję na K2 z 1939 r. nie tyle jako fiasko wynikające z kiepskiego zarządzania, co jako niezwykle wyczyn, który o mały włos nie zakończył się sukcesem.

Dwaj ważni przedstawiciele nowego pokolenia amerykańskich wspinaczy, Bill Putnam i Andy Kauffman, rozpoczęli kampanię, która miała na celu ponowne zaproszenie Fritza do American Alpine Clubu, co pozwoliłoby „przywrócić dobre imię amerykańskiej wspinaczce”. Kauffman był członkiem amerykańskiego zespołu, który w 1959 r. dokonał pierwszego wejścia na znajdujący się niedaleko K2 Gaszerbrum I, natomiast Bill Putnam był znanym i powszechnie lubianym wspinaczem, który miał w przyszłości zostać prezesem klubu. Tony Cromwell, który do tego czasu znów został członkiem American Alpine Clubu, po raz drugi wypisał się z organizacji, lecz reakcja znakomitej większości jej członków była bardzo przychylna. W 1966 r. Fritz został honorowym członkiem American Alpine Clubu — był to najwyższy zaszczyt, jakiego mógł dostąpić wspinacz należący do klubu.

W latach 70. i 80. w amerykańskiej prasie wspinaczkowej ukazało się kilka bardzo pozytywnych artykułów na temat Wiessnera napisanych przez przedstawicieli najmłodszego pokolenia amerykańskich wspinaczy i pisarzy zajmujących się tematyką górską — do tego grona zaliczali się między innymi David Roberts, Ed Webster i Galen Rowell. Każdy z nich wspinał się kiedyś z Fritzem, a jeśli chodzi o wyprawę na K2, trzymali się wersji Wiessnera, twierdząc, że to niezrozumiała decyzja Jacka Durrance’a związana z zabraniem sprzętu z obozów

doprowadziła do tego, iż cała wyprawa zakończyła się tragedią. Galen Rowell na łamach swojej książki *In the Throne Room of the Mountain Gods* wydanej w 1977 r. zaatakował Kennetha Masona i krytyków Wiessnera, systematycznie i elokwentnie odrzucając ich zarzuty dotyczące tego, jak Fritz pokierował ekspedycją.

Kierownicy wypraw nie wchodzi w skład pierwszych zespołów atakujących szczyt? Co zrobił w takim razie Maurice Herzog na Annapurnie? Szerpowie nie mogą się przemieszczać bez nadzoru w trudnym terenie? A co z licznymi przypadkami takich działań podczas wielu powszechnie wychwalanych brytyjskich wypraw na Mount Everest? Góry nie są warte tego, by ryzykować dla nich życie? Jedyną rzeczą, która 22 maja 1963 r. ocaliła czterech Amerykanów od śmierci na skutek biwaku pod gołym niebem niedaleko wierzchołka Mount Everestu, była rzadko spotykana, bezwietrzna noc. Zespół nie był na tyle silny, by kontynuować wspinaczkę? Ten zespół założył dziewięć obozów i zaopatrzył je w wystarczającym stopniu, by umożliwić wielu osobom dotarcie na szczyt. Zabranie na wielką górę wspinacza, który miał tak niewielkie doświadczenie jak Wolfe, było bezprecedensowym posunięciem? Andrew Irvine, słynny partner George'a Mallory'ego z wyprawy działającej na Mount Evereście w 1924 r., dysponował jeszcze mniejszym doświadczeniem, ale podobnie jak Wolfe radził sobie lepiej niż ci, którzy mogli się poszczycić jako wspinacze większymi dokonaniami^[10].

Później, w połowie lat 80., pojawiła się informacja o tym, że bliscy przyjaciele Wiessnera, Andy Kauffman i Bill Putnam, pracują nad jego pierwszą biografią, która oddałaby wreszcie sprawiedliwość jednemu z najwybitniejszych dwudziestowiecznych wspinaczy. Ostatecznie wydarzenia przybrały jednak inny obrót: ich książka, *K2: The 1939 Tragedy*, nie była otwartym atakiem przypominającym twórczość

Kennetha Masona, ale opisywała w bardzo krytyczny sposób Fritza i to, jak pokierował swoją wyprawą. Co się zatem wydarzyło? Dlaczego dwaj najwięksi obrońcy Wiessnera na pozór zwrócili się przeciwko niemu i sprawili, że spór rozgorzał na nowo?

Po tym, jak książka ujrzała już światło dzienne, powyższe pytania prowokowały liczne spekulacje. W swojej historii K2 wydanej w 2009 r. amerykański wspinacz Ed Viesturs wysunął teorię, która zakładała, że mógł to być kolejny przypadek znużenia dopadającego autorów biografii. Być może podobnie jak Amerykanin Lawrence Roger Thompson, który napisał zjadliwą biografię swojego byłego przyjaciela, poety Roberta Frosta, choć wcześniej przez wiele lat blisko z nim współpracował, Kauffman i Putnam po prostu zmęczeni się Fritzem i jego niejednokrotnie apodyktycznymi zachowaniami^[11]?

Nieco później, w artykule opublikowanym w 2013 r. na łamach amerykańskiego czasopisma „Ascent”, poważany autor zajmujący się tematyką górską, David Roberts, przedstawił inne potencjalne wyjaśnienie, którego podstawą był wywiad przeprowadzony z córką Fritza, Polly Wiessner. Wspominała ona o wydarzeniu, które miało miejsce w 1966 r., gdy wraz z ojcem i Andym Kauffmanem pojechała wspinać się w Alpach w Szwajcarii. W punkcie kulminacyjnym trudnej wspinaczki Kauffman najwyraźniej stracił zimną krew, tak więc Wiessner musiał się wykazać heroizmem, by wszyscy wyszli cało i zdrowo z opresji. Może to właśnie to krępujące wydarzenie sprawiło, że Kauffman zwrócił się przeciwko osobie, która dotychczas była dla niego bohaterem? Wyjaśnienia Viestursa i Roberta są prawdopodobne, ale odpowiedź znaleziona w dokumentach Andy’ego Kauffmana znajdujących się aktualnie w archiwach American Alpine Clubu w Kolorado jest zupełnie inna. Jej kluczowym elementem jest spór między Fritzem Wiessnerem a jego biografem dotyczący czegoś, co miało ogromny wpływ na historię K2 od momentu pierwszej

wyprawy Eckensteina i Crowleya w 1902 r., a mianowicie wpływu dużej wysokości na sprawność wspinacza.

Cała ta historia zaczęła się na początku lat 80., gdy Fritz Wiessner zaczął pracować nad angielską wersją swojej książki o K2 wydanej w 1955 r.^[12] Wspomniana publikacja miała zawierać nieco poszerzony fragment poświęcony wyprawie z 1939 r., a także nowy epilog. Fritz miał nadzieję, że zdoła wydać wspomniane dzieło w Stanach Zjednoczonych, i pokazał je Andy'emu Kauffmanowi. Ten bardzo pozytywnie zareagował na ten tekst i mniej więcej w tym samym czasie wraz ze swoim przyjacielem Billem Putnamem zaczął pracować nad czymś, co mieli nadzieję zamienić w kompletną biografię Fritza.

Trzy lata później, jesienią 1985 r., Kauffman dysponował już czymś, co w jego przekonaniu było całkiem niezłą wersją roboczą tekstu. Spora część tego materiału poświęcona była wczesnej działalności wspinaczkowej Wiessnera w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych, ale wspomniany szkic zawierał też obszerny rozdział poświęcony wyprawie na K2 z 1939 r. Podobnie jak wszyscy inni amerykańscy pisarze, którzy przedstawiali w tym okresie wspomnianą ekspedycję, Kauffman i Putnam byli zgodni co do tego, że główną przyczyną tragedii była decyzja Jacka Durrance'a, by ogołocić ze sprzętu obozy rozmieszczone na górze. Kauffman dodał jednak coś nowego: dyskusję na temat tego, jaką rolę w całej tragedii odegrało oddziaływanie wysokości.

W trakcie kilku dekad, które upłynęły od 1939 r., wpływ dużej wysokości na funkcjonowanie zarówno ciała, jak i umysłu był przedmiotem wielu badań. Kauffman obliczył, że Fritz spędził na K2 pięć dni powyżej granicy 7900 m n.p.m., czyli w „strefie śmierci”, natomiast Dudley Wolfe przez przynajmniej 17 dni przebywał powyżej granicy 7315 m n.p.m. Obowiązujące aktualnie wytyczne sugerują maksymalne ograniczanie czasu spędzanego na takiej wysokości, a wśród dzisiejszych wspinaczy tylko nieliczni ochoczo przystaliby na pomysł pozostawania tak wysoko przez tyle dni. Po rozmowach z

kilkoma fizjologami Kauffman doszedł do wniosku, że niektóre spośród błędów popełnionych w 1939 r. na K2 i kiepskich decyzji podjętych podczas tamtej wyprawy można było przypisać szkodliwemu wpływowi wysokości. Czy długotrwały pobyt na dużej wysokości mógł wyjaśniać, dlaczego Dudley Wolfe podjął fatalną decyzję dotyczącą tego, by nie schodzić razem z Fritzem Wiessnerem i Pasangiem Lamą po ich próbach zdobycia szczytu? — dopytywał autor. Czy oddziaływanie wysokości mogło tłumaczyć, dlaczego Fritz pozwolił Dudleyowi pozostać na górze, a zachowanie Durrance'a mogło być następstwem wysokościowego obrzęku mózgu, niezwykle niebezpiecznego schorzenia prowadzącego do gromadzenia się w mózgu płynów?

Gdy Kauffman pokazał rękopis Wiessnerowi, ten ostatni zareagował zupełnie inaczej, niż spodziewał się tego autor książki. Fritz podszedł bardzo krytycznie do przedstawionego mu tekstu i zagroził wycofaniem się ze współpracy. Całkowicie odrzucał zwłaszcza teorię Kauffmana dotyczącą oddziaływania wysokości: w jego przekonaniu organizmy poszczególnych wspinaczy różnie radziły sobie z wysokością, a on był całkowicie pewny, że ten czynnik nie miał wpływu na jego proces podejmowania decyzji. Aklimatyzował się powoli, ale utrzymywał, że gdy działania wyprawy osiągnęły punkt kulminacyjny, był w życiowej formie i zdołałby przeprowadzić kolejny atak szczytowy, gdyby miał zapewnione odpowiednie zaopatrzenie, a niższe obozy nie zostałyby ogołoczone ze śpiworów. Nie chciał, by ktoś próbował w jakikolwiek sposób usprawiedliwiać działania Jacka Durrance'a, i nadal uważał go za osobę odpowiedzialną za to, co poszło nie tak.

Andy Kauffman był zaszokowany. Starał się złożyć wszystko na karb łatwej do przewidzenia gderliwości człowieka w podeszłym wieku, ale był zarówno urażony, jak i zaskoczony. Rozważał rezygnację z prac nad książką, lecz po poświęceniu temu tekstowi tak dużej ilości czasu ani on, ani Putnam nie chcieli porzucić tego projektu.

Rok później wydarzyło się coś nieoczekiwanego: z autorami skontaktował się Jack Durrance. W ciągu minionych 40 lat trzymał się z dala od dyskusji na temat K2, a jeśli nie liczyć krótkiej prelekcji zorganizowanej przez American Alpine Club, unikał jakichkolwiek komentarzy dotyczących wyprawy. Gdy w grudniu 1986 r. Durrance skontaktował się z Kauffmanem, ten ostatni był początkowo nieufny. Ostrzegł Jacka, że wciąż jest dobrym przyjacielem Fritza Wiessnera i pisze razem z Putnamem bardzo pozytywną biografię lidera wyprawy z 1939 r. Jack również się wahał. Rok wcześniej udzielił Davidowi Robertsowi wywiadu związanego z artykułem na temat Wiessnera, ale ostatecznie zmienił zdanie i nie pozwolił autorowi na cytowanie tej rozmowy. Najwyraźniej dotarł jednak do punktu, w którym zależało mu na tym, by świat poznał też jego wersję wydarzeń.

Gdy miesiąc później Durrance spotkał się w Denver z Kauffmanem, szybko stało się jasne, że Jack nie zmienił swojej opinii na temat Fritza. Utrzymawał, że Dudley Wolfe nie potrafił zatroszczyć się o siebie i absolutnie nie należało pozwalać, by znalazł się na tak dużej wysokości. Po ukończeniu studiów medycznych Jack został pulmonologiem. Zgadzał się z Kauffmanem, jeśli chodzi o to, że długotrwały pobyt na dużej wysokości miał wpływ na osądy Fritza, i uważał, że jego własna zapaść na górze była przypuszczalnie następstwem połączenia wysokościowego obrzęku płuc i mózgu, co oznaczało w praktyce gromadzenie się w tych narządach płynów. Po 40 latach od tamtych wydarzeń przyznawał, że nie pamięta tak naprawdę niczego, co wydarzyło się między jego zapaścią, do której doszło na wysokości 7315 m n.p.m., a powrotem do bazy, który miał miejsce sześć dni później.

Kauffman nie był wcale przekonany, ale Jack zaproponował mu coś nieoczekiwanego: dostęp do swojego pamiętnika z K2. Pamiętnik Dudleya Wolfe'a zaginął gdzieś na górze, a Kauffman widział tylko fragmentaryczną, przepisaną na maszynie kopię pamiętnika Fritza, lecz Jack był gotów wręczyć mu spisany odręcznie oryginał swojej relacji obejmującej okres od

momentu opuszczenia Stanów Zjednoczonych w marcu 1939 r. aż do chwili, w której rozstali się z Fritzem w Śrinagarze we wrześniu tego samego roku.

Gdy autorzy biografii Wiessnera otrzymali pamiętnik, okazało się, że istotnie jest to niezwykle dokument — świadectwo transformacji Jacka Durrance'a z imprezowicza z Dartmouth College, który wypełnił większą część pierwszej połowy swojego pamiętnika zapiskami o spożywanym alkoholu i spotkanych kobietach, w dużo bardziej refleksyjnego człowieka, starającego się zrozumieć to, czego właśnie doświadczył na K2, i rozważającego lekcje, które mógł z tego wszystkiego wyciągnąć. Wbrew oczekiwaniom wielu osób pamiętnik pokazał, że Jack pojechał na wyprawę pełen entuzjazmu i przejawiał go aż do samego końca. Jeśli chodzi o szczegóły dotyczące tragedii na K2, udało się odkryć jedną bardzo istotną rzecz: Jack Durrance nie zlecił nikomu zbierania z obozów sprzętu i śpiworów — takie polecenie wydał Tony Cromwell, zastępca Fritza.

Jak ujawnia wpis z 18 lipca 1939 r., Jack czekał w obozie drugim, gdy „pojawił się Dawa” z notatką od Cromwella i Cranmera, którzy polecieli mu zabrać z niższych obozów wszystkie wartościowe przedmioty i znieść je na dół. Z pamiętnika Jacka jasno wynikało jednak, że późniejsze zbieranie sprzętu z wyższych obozów zostało przeprowadzone z własnej inicjatywy Tendrupa, a ani on, ani Tony Cromwell nie mieli pojęcia o tych działaniach, dopóki Szerpowie nie wrócili do bazy. Główny zarzut wysuwany pod adresem Jacka Durrance'a od tylu dziesięcioleci — to, że był odpowiedzialny za katastrofalną decyzję dotyczącą ogołocenia obozów ze sprzętu — nie miał po prostu oparcia w rzeczywistości.

Dostęp do pamiętnika Jacka Durrance'a skłonił Kauffmana i Putnama do tego, by zamiast przygotowywać ogólną biografię Fritza Wiessnera, bardziej szczegółowo opisać przebieg wyprawy z 1939 r. Utrzymywali kontakt z dawnym mentorem, ale po 1985 r. ich współpraca została praktycznie przerwana. Gdy pojawiły się plotki o tym, że ktoś inny przygotowuje

biografię Wiessnera, Kauffman i Putnam zaczęli rozmawiać z innymi żyjącymi uczestnikami tamtej wyprawy i zgromadzili mnóstwo materiałów archiwalnych.

Dwa lata później, w 1988 r. Fritz zmarł w wieku 88 lat po serii udarów. Był opłakiwany jako jeden z najwybitniejszych amerykańskich wspinaczy górskich. W nekrologu, który ukazał się w „New York Timesie”, wspomniano, że przerwana niedaleko szczytu próba zdobycia K2 stanowiła „być może największe dokonanie w jego karierze”. Hans Kraus nazwał Wiessnera na łamach „American Alpine Journal” „wzorem do naśladowania i osobą, której działania i duch będą inspirować kolejne pokolenia wspinaczy”.

Gdy cztery lata później, w 1992 r. na rynku pojawiła się wreszcie książka Kauffmana i Putnama, *K2: The 1939 Tragedy*, Fritz został pokazany w dużo mniej pochlebnym świetle. Odwołując się do licznych cytatów z pamiętnika Jacka Durrance’a i innych dokumentów z tamtego okresu, Kauffman i Putnam wskazywali na to, że chociaż Fritz był świetnym wspinaczem, nie był wcale wybitnym kierownikiem ekspedycji. Autorzy kwestionowali jego decyzje podejmowane na górze i utrzymywali, że obwinianie Jacka Durrance’a o to, co poszło nie tak podczas wyprawy, było ze strony Wiessnera niesprawiedliwe.

Chociaż Kauffman i Putnam przyznawali, że Fritz odrzucił ich tezę, wciąż utrzymywali, iż zbyt długi pobyt na dużej wysokości mógł wpłynąć na jego sposób myślenia, a co najistotniejsze — na coś, co nazwali „brzemienną w skutki decyzją”, by pozwolić Dudleyowi Wolfe’owi pozostać samotnie w obozie siódmym, gdy Wiessner schodził na dół z Pasangiem Lamą. Książka na pewno nie powstała po to, by zmieszać Fritza z błotem, a spora część zarzutów została ujęta w postaci pytań retorycznych, ale jeśli wziąć pod uwagę, że autorami tego dzieła byli dwaj dotychczasowi obrońcy Wiessnera, sprawiała wrażenie wyjątkowo krytycznej.

Nie wszyscy dali się jednak przekonać. Jak wykazywali krytycy tacy jak brytyjski autor i pisarz Jim Curran, Kauffman i

Putnam wpadli w pułapkę tych samych antyniemieckich stereotypów, z którymi Fritz zmagał się, odkąd przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Autorzy książki o wyprawie z 1939 r. nie posunęli się do tego, by nazwać go nazistą, jak robili to niektórzy z jego wrogów, ale ich opis Wiessnera jako osoby, która została wychowana w duchu „teutońskiego” etosu i wyznawała swego rodzaju „darwinowski naturalizm połączony z naciskiem na przetrwanie najsilniejszych”, wpisywał się w szufladkowanie, z jakim Fritz zmagał się od lat 30.

Dziwnym trafem historia tej książki oraz reakcje, jakie wzbudziło to dzieło, okazały się odzwierciedleniem pierwotnego sporu dotyczącego wyprawy z 1939 r. — teraz jednak to Andy Kauffman stał się głównym krytykiem Wiessnera, podczas gdy młodszy wspinacz i historycy tacy jak Ed Webster i David Roberts przyjęli role, które w latach 60. odgrywali Putnam i Kauffman, walcząc po stronie Fritza.

Losy książki Kauffmana i Putnama są oczywiście tylko częścią większej historii całej wyprawy, ale pozwalają zwrócić uwagę na kilka ważniejszych prawd. Niezwykle negatywna reakcja Wiessnera dotycząca pierwszego szkicu Kauffmana pokazała, że nawet po upływie 40 lat od tamtych wydarzeń i towarzyszących im zażartych dyskusji Fritz wciąż był bardzo drażliwy na ich punkcie i nie zmienił swojego stanowiska w sprawie przyczyn tego, co poszło nie tak, i kto ponosi za to odpowiedzialność. Najwyraźniej wciąż była to dla niego bardzo ważna kwestia i ogromnie zależało mu na tym, by autorzy pierwszej napisanej po angielsku książki przedstawiającej wydarzenia z 1939 r. potraktowali go w sprawiedliwy sposób.

Inna ważna i bardzo nieskomplikowana prawda dotyczy tego, że ogromna część dysputy koncentrowała się w istocie na osądach dotyczących osobowości Fritza, a zwłaszcza jego niemieckich korzeni. Ci, którzy go lubili, postrzegali jego „niemiecką obcesowość” jako czynnik, który nie miał żadnego znaczenia. Co z tego, że czasami bywał stanowczy i przekonany o własnej nieomyślności, skoro był bardzo pozytywną i energiczną postacią, która autentycznie kochała wspinaczkę

i chciała się dzielić tą pasją? Te osoby wierzyły w to, że gdyby w 1939 r. miał bardziej odpowiedzialny zespół, który zapewniłby mu więcej wsparcia, nie doszłoby do tragedii, a Wiessner mógłby nawet zdobyć szczyt.

Z punktu widzenia krytyków Fritza jego pewność siebie była jednak nie tylko powierzchowna: pozwalała mu przeceniać własne siły i czyniła z niego lidera, który był w stanie rządzić wyłącznie poprzez dyktat, a nie poprzez dążenie do jednomyślności. Zdaniem tych osób fakt, że Wiessner odmawiał wzięcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności za to, co poszło niezgodnie z planem, świadczył o tym, iż nie dostrzegał on własnych błędów. Przyglądając się korespondencji, jaką Andy Kauffman pozostawił w swoim prywatnym archiwum, można odnieść wrażenie, że zaczął on jako przedstawiciel pierwszego z opisanych powyżej obozów, by z czasem stać się nieugiętym reprezentantem tego drugiego. Zanim skończył pisać książkę, stracił wiarę we Fritza i zawsze przyjmował najgorsze założenia; gdyby nie jego współautor, Bill Putnam, wnioski zawarte w tym dziele byłyby przypuszczalnie znacznie bardziej krytyczne.

Jeszcze bardziej intrygującą kwestią jest postępowanie Jacka Durrance'a. Dlaczego musiało minąć tak dużo czasu, nim przedstawił swoją wersję całej historii? Mógł przecież od razu odpowiedzieć na zarzuty osób, które obarczały go odpowiedzialnością za zabranie śpiworów z obozów. Dlaczego zatem się nie bronił? Czy sądził, że Tony Cromwell przyzna się do popełnionego błędu? Może w głębi ducha Jack czuł się winny z powodu tego, że wyprawa zakończyła się porażką, a on sam kiepsko radził sobie na dużej wysokości. Jeżeli zmagął się z poczuciem odpowiedzialności związanym z rolą, jaką odegrał w całej katastrofie, osądzał samego siebie zbyt surowo: jego pamiętnik i działania świadczą o tym, że robił wszystko, co w jego mocy i wykazywał się szczerością, nawet jeśli jego możliwości fizyczne były czasem ograniczone. Pierwsze spotkanie z K2 miało się w przyszłości okazać równie trudne dla wielu innych wspinaczy.

Innym oczywistym faktem jest to, że gdyby te wydarzenia miały miejsce 10 lat wcześniej lub 10 lat później, związane z nimi spory byłyby dużo mniej zacięte. Gdy George Mallory i Andrew Irvine zaginęli na Mount Evereście w 1924 r., nikt nie obwiniał kierujących wyprawą Edwarda Nortona i Charlesa Bruce'a o to, że pozwolili niedoświadczonemu wspinaczowi takiemu jak Irvine wziąć udział w ataku szczytowym. W Himalajach i w Karakorum zmarło wcześniej i później dużo więcej osób, ale to, że wydarzenia na K2 miały miejsce latem 1939 r., gdy alianci znajdowali się na krawędzi wojny z Niemcami, sprawiło, iż pochodzenie Fritza stało się niewspółmiernie ważnym czynnikiem debat, które na dokładkę zdecydowanie przybrały na sile.

Kolejne dwie dekady (i kilka książek) później wyprawa z 1939 r. nadal nie daje spokoju amerykańskiemu środowisku wspinaczkowemu, a kłótnie dotyczące przywództwa Fritza Wiessnera wcale nie umilkły. Być może najbardziej sprawiedliwą ocenę tych wydarzeń przedstawił Terris Moore, wybitny wspinacz działający w latach 30., a zarazem jeden z członków komisji śledczej powołanej do życia przez American Alpine Club. W liście do Andy'ego Kauffmana napisanym w 1990 r. utrzymywał on, że na wydarzenia z 1939 r. można tak naprawdę spojrzeć na dwa sposoby: albo jawnie skrytykować wszystkie zaangażowane w nie osoby, albo po prostu przyznać, iż to, co poszło nie tak, mogło się wydarzyć na dowolnej wyprawie wspinaczkowej. Na szczęście większości wspinaczy udawało się przeżyć pomimo podejmowanego ryzyka, ale było to możliwe tylko „dzięki łasce Boga”^[13].

Charlie Houston nie był jednak tak skłonny do wybaczenia ani w 1939 r., ani w późniejszych latach. Jako jedna z ważnych postaci amerykańskiego środowiska wspinaczkowego — a niegdyś wielki rywal Fritza Wiessnera w wyścigu o K2 — był wściekły z powodu tego, co się wydarzyło. Podczas rekonesansu w 1938 r. obrał ostrożną drogę postępowania, trzymając się rady Fritza, by „nie robić niczego lekkomyślnego” i wrócić z

wyprawy bez strat w ludziach. Teraz z życiem rozstały się jednak cztery osoby, w tym ulubiony Szerpa Charliego, Pasang Kikuli, a wszystko to wydarzyło się zdaniem Houstona z powodu kiepskiego przywództwa Wiessnera.

Było jednak coś jeszcze: Fritz *prawie* dotarł na szczyt, ale ostatecznie go nie zdobył. K2 pozostawał jednym z najcenniejszych trofeów w świecie wspinaczki górskiej. Nawet jeżeli było oczywiste, że wojna w Europie potrwa długo i przypuszczalnie z czasem zdecydowanie przybierze na sile, kiedyś musiała się skończyć. Było wiadomo, że K2 wciąż będzie wtedy stać na swoim miejscu, czekając na swojego zdobywcę. Dla Charliego Houstona była to jego „góra przeznaczenia”.

Rozdział 6

Niedokończona sprawa

Wojna nie sprzyja wspinaczce górskiej, ale ma korzystny wpływ na rozwój sprzętu związanego ze wspinaniem. Namioty, liny, buty, ubrania pozwalające przetrwać na mrozie, zestawy tlenowe — wszystkie te elementy ekwipunku zostały w latach 40. znacznie udoskonalone, gdyż obie strony konfliktu starały się zapewnić swoim żołnierzom przewagę nad siłami przeciwnika. W Stanach Zjednoczonych kilku uczestników wypraw na K2 z 1938 i 1939 r. zaczęło pracować na rzecz różnych formacji sił zbrojnych, pomagając projektować i testować specjalistyczny sprzęt dla jednostek wojskowych działających w górach; zajmowali się też bardziej ogólnym wyposażeniem chroniącym zwykłych żołnierzy przed mrozem.

Fritz Wiessner był doradcą technicznym amerykańskiej 10 Dywizji Górskiej, a jego firma wytwarzająca wosk do nart odnotowała znaczny wzrost obrotów dzięki dużym zamówieniom wojskowym. Bob Bates, bliski przyjaciel Charliego Houstona i jego partner wspinaczkowy, pracował na rzecz Korpusu Kwatermistrzowskiego Armii Stanów Zjednoczonych, obmyślając rozmaite wynalazki, począwszy od kombinezonów ratunkowych dla pilotów latających nad Arktyką, a skończywszy na nowych krojach kieszeni kurtek wojskowych przeznaczonych do ogólnego użytku. Wszystko, co prezentowało się obiecująco, przechodziło testy w warunkach polowych na Alasce lub dalekiej północy w Kanadzie. Pomysły, które się tam sprawdziły, były potem pod czujnym okiem Boba przenoszone na linię frontu. Działania podejmowane w czasie wojny przez Charliego Houstona mogły początkowo sprawiać wrażenie niezwiązanych ze wspinaczką górską, ale w istocie

były z nią połączone. W 1941 r. Charliemu przyznano stopień porucznika marynarki i wysłano go do bazy lotnictwa marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych w Pensacoli na Florydzie, gdzie miał się zająć zagadnieniem treningów wysokościowych dla pilotów. Z perspektywy sił powietrznych była to kwestia życia lub śmierci: jeżeli piloci nie byli przygotowani i odpowiednio wyposażeni, mogli stracić przytomność na długo przed tym, jak ich samoloty osiągnęłyby swój pułap. Charlie spędził mnóstwo czasu w komorach dekompresyjnych marynarki oraz w ich bezpośrednim sąsiedztwie, ucząc nowych rekrutów, kiedy i jak należy używać masek tlenowych. Oprócz tego przeprowadzał też z żołnierzami symulacje pobytu na dużej wysokości.

Charlie z własnego doświadczenia zdobytego w 1938 r. na K2 aż za dobrze wiedział o tym, że przebywanie przez dłuższy czas na dużej wysokości jest też ryzykiem zawodowym, na jakie narażeni są wspinacze. Szczegółowych badań dotyczących tego zagadnienia było jednak jak na lekarstwo, a większość „dowodów” bazowała na przypadkowych, niesystematycznych obserwacjach. Podobnie jak ich koledzy związani z lotnictwem, niektórzy brytyjscy wspinacze działający w latach 20. i 30. eksperymentowali na Mount Evereście z butlami tlenowymi, ale w tamtym okresie toczyły się gorące debaty dotyczące zarówno przydatności takiego wyposażenia, jak i tego, czy da się pogodzić stosowanie tego rodzaju „sztucznych ułatwień” z etyką sportową.

Charlie Houston też nie był przekonany, czy należy korzystać z dodatkowego tlenu. Dbał o to, by jego wspinanie było proste i naturalne; tlen w butlach mógł umożliwić człowiekowi dotarcie na większą wysokość, ale mógł potencjalnie przysparzać wyprawie zasadniczych problemów logistycznych i finansowych, tak więc on sam nigdy nie używał go podczas żadnej ze swoich ekspedycji. Podobnie jak Fritz Wiessner, Charlie wierzył w to, że najlepszym sposobem radzenia sobie z wysokością jest stopniowa aklimatyzacja: zamiast próbować jak najszybciej dotrzeć na szczyt dużej góry, należało raczej

zdobywać wysokość powoli i etapami, stopniowo przyzwyczajając się do niższego ciśnienia i bardziej rozrzedzonego powietrza.

Takie podejście siłą rzeczy nie sprawdzało się w przypadku pilota, który mógł stanąć przed koniecznością wzniesienia się w ciągu kilku minut z poziomu morza na wysokość 3 kilometrów, ale czy sama aklimatyzacja mogła wystarczyć wspinaczowi do zdobycia wierzchołka naprawdę wysokiej góry takiej jak K2 czy Mount Everest? Jeszcze przed wojną kilku brytyjskich wspinaczy osiągnęło na Mount Evereście wysokość 8535 m n.p.m.; Fritz Wiessner podczas ataku szczytowego na K2 dotarł niewiele niżej — czy ktokolwiek był jednak w stanie pokonać całą drogę aż na szczyt bez użycia dodatkowego tlenu? Ta kwestia nadal pozostawała nierozstrzygnięta, choć wielu naukowców wątpiło w to, że człowiek jest zdolny do takiego wyczynu.

Latem 1946 r., zaledwie kilka miesięcy po zakończeniu wojny, Charlie zdołał przekonać przełożonych z sił powietrznych marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, by pozwolili mu sprawdzić granice aklimatyzacji, czemu miał posłużyć eksperyment opatrzony kryptonimem „Operacja Everest”. Houston znalazł wśród żołnierzy marynarki czterech ochotników, których umieścił w dużej komorze dekompresyjnej wyposażonej w przenośną toaletę, łazienkę oraz kilka urządzeń do przeprowadzania badań medycznych. W ciągu następnych pięciu tygodni ciśnienie w komorze było stopniowo zmniejszane tak, by symulować pobyt na coraz większej wysokości. Gdy czterej uczestnicy eksperymentu nie pedałowali akurat na rowerach stacjonarnych, przez większość czasu starali się odpoczywać, podczas gdy naukowcy poddawali ich regularnym badaniom. Co ciekawe, żołnierze mogli nawet palić papierosy.

Eksperyment Charliego wzbudził spore zainteresowanie prasy, ale chociaż sprawiał wrażenie powojennego naukowego kuriozum, gra toczyła się o wysoką stawkę. Było wiadomo, że na dużej wysokości dochodzi do powiększenia serca i

rozszerzenia tętnic płucnych, co w skrajnym przypadku może się zakończyć poważnym krwotokiem. Podczas słynnego eksperymentu przeprowadzonego w 1875 r. trzech francuscy pionierzy aeronautyki, słynny pilot balonów Gaston Tissandier oraz jego dwaj pomocnicy, Joseph Crocé-Spinelli i Théodore Sivel, wzniesli się balonem na wysokość ponad 8500 m n.p.m., by sprawdzić, jaki wpływ na ich organizmy będzie miało szybkie zdobywanie wysokości. Tylko Tissandier przeżył tę próbę. Gdy balon uderzył z głuchym łomotem o ziemię, twarze Crocé-Spinellego i Sivela były czarne, a z ust płynęła im krew.

Dzięki użyciu technologii ochotnicy uczestniczący w eksperymencie Charliego zdobywali wysokość dużo wolniej — była to kwestia nie godzin, a raczej tygodni. Chwila prawdy nadeszła po 34 dniach, gdy ciśnienie w komorze dekompresyjnej zostało obniżone do poziomu odpowiadającego warunkom na szczycie Mount Everestu. Po osiągnięciu ciśnienia odpowiadającego wysokości 8140 m n.p.m. jeden z mężczyzn poprosił o podanie dodatkowego tlenu; kolejny poszedł w jego ślady, gdy ciśnienie spadło do poziomu panującego na wysokości 8440 m n.p.m. Pozostali dwaj ochotnicy nadal pedałowali na rowerach stacjonarnych bez żadnego wsparcia i uśmiechali się do kamer (choć były to raczej blade uśmiechy), aż wreszcie ciśnienie spadło do poziomu panującego na wysokości 8840 m n.p.m. Gdy dzień później wypuszczono ich z komory, byli chudszy i bardziej zarośnięci niż przed rozpoczęciem eksperymentu, ale nic nie wskazywało na to, by doznali jakiegoś uszczerbku na zdrowiu.

Wyniki tego eksperymentu pokazały, że człowiek może funkcjonować na wysokości 8840 m n.p.m. bez dodatkowego tlenu, choć aklimatyzacja jest procesem o bardzo indywidualnym przebiegu — dwaj mężczyźni dotarli na „szczyt”, lecz dwóm innym się to nie udało. Charlie był zadowolony z rezultatów, lecz wiedział, że przetrwanie wewnątrz dużej komory dekompresyjnej zapewniającej kontrolowane warunki nie jest tym samym, co poradzenie sobie z wysokością w prawdziwym świecie, w ujemnych

temperaturach i przy huraganowym wietrze. Odpowiedź na pytanie, jak człowiek da sobie radę w takich okolicznościach, mogła zapewnić jedynie wspinaczka, i to właśnie na tej aktywności planował się skupić.

Pod koniec wojny Charlie Houston i Bob Bates zaczęli już planować powrót na K2, choć było wiadomo, że nie będzie to łatwe (podobnie jak i sama wspinaczka). Oprócz znanych już trudności związanych z gromadzeniem funduszy i zebraniem zespołu pojawiły się też nowe komplikacje polityczne obecne w powojennym świecie, w którym błyskawicznie znikwały dotychczasowe pewniki. Gdy Bob Bates zwrócił się latem 1946 r. do brytyjskiego ambasadora w celu uzyskania pozwolenia na kolejną wyprawę, jego prośba została uprzejmie, acz stanowczo odrzucona.

Wielka Brytania mogła wyjść z wojny zwycięsko, ale wyraźnie było widać, że imperium kontrolowane od stuleci przez ten kraj chwieje się w posadach. W 1947 r. Indie Brytyjskie, „klejnot koronny” dawnego imperium, uzyskały niepodległość i podzieliły się na dwa kraje: Unię Indyjską oraz Pakistan. Nie minęło kilka miesięcy, a wspomniane właśnie najnowsze na mapie świata kraje znajdowały się w stanie wojny. Nawet gdy ogłosiły zawieszenie broni, było oczywiste, że przez wiele najbliższych lat ten region pozostanie bardzo niestabilny.

Mapa Azji Środkowej zmieniała się w błyskawicznym tempie. Od stuleci zarówno Tybet, jak i Nepal, a więc dwa państwa leżące po przeciwnych stronach Mount Everestu, były niemal całkowicie zamknięte dla obcokrajowców. W latach 20. i 30. XX w. władze urzędujące w Lhasie niechętnie pozwoliły kilku brytyjskim wyprawom na podjęcie prób zdobycia Mount Everestu od północnej, tybetańskiej strony, ale nikt nigdy nie próbował wspiąć się na tę górę od południa, od strony Nepalu. W trakcie dekady, która nastąpiła po wojnie, wszystko zaczęło się jednak zmieniać.

Jesienią 1950 r. odradzające się Chiny najechały na Tybet i uczyniły go częścią Republiki Ludowej. Było wiadomo, że w

dającej się przewidzieć przyszłości nie będzie kolejnych prób zdobycia Mount Everestu od tybetańskiej strony (a przynajmniej nie będą ich podejmować wspinacze z Zachodu). Mniej więcej w tym samym czasie wydarzyło się jednak coś jeszcze bardziej nieoczekiwanego: nepalskie władze otworzyły granice kraju, wpuszczając do niego obcokrajowców. W pierwszej połowie XX w. Nepal trzymał się polityki niemal całkowitej izolacji, lecz tamtejsi przywódcy zdali sobie teraz sprawę z tego, że będą potrzebować na świecie przyjaciół, dzięki którym ich kraj nie zostanie wchłonięty przez jednego ze swoich gigantycznych sąsiadów, a więc Chiny lub Indie.

Jednym z pierwszych przedstawicieli świata Zachodu, którzy mieli możliwość skorzystać z nowej polityki otwartości stosowanej przez Nepalczyków, był Charlie Houston. W 1948 r. jego ojciec, Oscar, otrzymał pozwolenie, dzięki któremu mógł zabrać niewielką grupę na trekking do Solo Khumbu, górskiego regionu w północnym Nepalu, gdzie znajduje się Mount Everest i cztery spośród najwyższych gór świata. Charlie był ogromnie zadowolony z tego, że został zaproszony na ten wyjazd — tym bardziej że w Katmandu spotkał przypadkiem swojego starego przyjaciela, słynnego brytyjskiego wspinacza Billa Tilmana.



Mapa 5. K2, 1953 r.

Odbyli wspólnie wędrówkę do samego serca Solo Khumbu, ojczyzny Szerpów, zostając w listopadzie 1950 r. pierwszymi przedstawicielami świata Zachodu, którzy sfotografowali Mount Everest od południa. Wracając do domu, nie byli pewni, czy górę można zdobyć od nepalskiej strony, ale i tak był to punkt zwrotny w historii Mount Everestu.

Gdy Charlie wrócił do Ameryki, jego przyjaciele zasugerowali, by wykorzystał swoje kontakty dyplomatyczne, dzięki czemu za rok mógłby wrócić w to samo miejsce i zaangażować wszystkie siły w próbę zdobycia najwyższej góry świata. Brytyjski Alpine Club prowadził już rozmowy z American Alpine Clubem na temat ewentualnej wspólnej ekspedycji na Mount Everest, więc wydawało się, że jest to idealna chwila. Charliemu chodziło jednak po głowie coś innego: jego górą był K2, a nie Mount Everest, więc wolał użyć swoich kontaktów dyplomatycznych, by umożliwić sobie osiągnięcie tego celu.

Przed drugą wojną światową K2 zawsze znajdował się w cieniu Mount Everestu. Crowley i książę Abruzzów próbowali zdobyć tę górę, gdyż zdawali sobie sprawę z tego, że nie uzyskają pozwolenia umożliwiającego zaatakowanie Mount Everestu. Charlie Houston nie postrzegał jednak sytuacji w taki sposób: K2 był jego *pierwszym*, a nie drugim wyborem. To, że według map wspomniany szczyt nie leżał już w Indiach, lecz na terytorium utworzonego niedawno Pakistanu, przysparzało nowych trudności logistycznych, ale góra wciąż była taka sama. Nie zmieniły się też ambicje Houstona związane z chęcią dokonania pierwszego wejścia na jej szczyt.

Wiosną 1952 r. życzenie Charliego się spełniło, gdy jego nowy przyjaciel, Avra Warren, ambasador Stanów Zjednoczonych w Karaczi, przekonał pakistańskie władze, by pozwoliły Houstonowi na zorganizowanie trzeciej amerykańskiej wyprawy na K2. Tym razem Charlie był pewien, że odniesie sukces.

Na całym świecie panowało przekonanie o tym, że nadchodzi właśnie wyczekiwana od dawna „złota epoka himalaizmu”. W 1950 r. francuski wspinacz Maurice Herzog dokonał pierwszego wejścia na jeden z dziesięciu najwyższych szczytów świata, położoną na granicy Nepalu i Indii Annapurnę. Można też było obserwować prawdziwy wyścig na szczyt Mount Everestu: zespoły z Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i

Francji zwracały się do nepalskich władz o pozwolenie na wspinaczkę na najwyższą górę świata.

Wypracowany w czasie wojny postęp technologiczny dotyczący sprzętu i ubrań chroniących przed niskimi temperaturami zaczynał przynosić korzyści, ale co istotniejsze, zapanowało nowe, pozytywne nastawienie głoszące, że „wszystko jest możliwe”, a na dodatek wspinaczka góraska budziła dużo większe zainteresowanie szerokiej publiczności. Charliemu Houstonowi zależało na tym, by jego wyprawa na K2 nie przyciągała zbyt wiele uwagi; z niechęcią podchodził też do wszelkiej rywalizacji między poszczególnymi nacjami, ale cieszył się z możliwości ponownego odwiedzenia Karakorum i uporania się z niedokończoną sprawą.

Pierwszym i najważniejszym zadaniem, z jakim musiał się uporać, było zebranie odpowiedniej grupy wspinaczy. Charlie był przekonany, że większość problemów, z jakimi mierzył się Fritz Wiessner w 1939 r., można było złożyć na karb nieudolnego przywództwa i niekompetencji zespołu. Największą szansę na odniesienie sukcesu miała w jego przekonaniu grupa złożona nie tyle z wybitnych indywidualności, co ze wspinaczy potrafiących dobrze ze sobą współpracować. Musieli być dobrymi, wszechstronnymi wspinaczami z doświadczeniem wyprawowym, ale nie interesowało go zapraszanie osób, które nazywał „primadonnami” świata wspinania.

Po opublikowaniu stosownego ogłoszenia za pośrednictwem American Alpine Clubu Charlie Houston i Bob Bates przeprowadzili rozmowy z mniej więcej 25 kandydatami, a następnie dokonali ostatecznej selekcji. Odrzucili przy tym kilku Amerykanów, którzy wślawni się później jako pierwsi zdobywcy różnych szczytów w Himalajach — pierwszeństwo miały osoby sprawiające wrażenie lepszych graczy zespołowych. Fritz Wiessner przypuszczalnie nadal był najlepszym wspinaczem w Stanach Zjednoczonych i jedyną osobą, która zdołała dotrzeć na K2 naprawdę blisko szczytu, ale nie było w ogóle mowy o tym, by zaprosić go na tę ekspedycję.

Wraz z upływem lat konflikt między Charliem a Fritzem tylko przybierał na sile.

Zespół skompletowany ostatecznie przez Charliego i Boba bardzo różnił się od mieszanej grupy, z którą Fritz musiał współpracować w 1939 r. Nie było tu poważnych różnic dotyczących wieku lub doświadczenia. Wszyscy wspinacze byli stosunkowo młodzi, mieli od 25 do 35 lat; wszyscy byli też dobrze wykształceni i mieli duże doświadczenie związane ze wspinaniem w stylu wyprawowym. Trzej z nich, Bob Craig, Dee Molenaar i Pete Schoening, byli absolwentami Uniwersytetu Waszyngtońskiego na Wybrzeżu Północno-Zachodnim i spędzili mnóstwo czasu, wspinając się w surowych Górach Kaskadowych biegnących przez sam środek stanu Waszyngton.

Mieszkający w Seattle Dee Molenaar studiował geologię, ale jego prawdziwymi pasjami były fotografia i malarstwo. Jego bliski przyjaciel, Bob Craig, był obdarzonym kwadratową szczęką filozofem, który później miał kierować Aspen Institute for Humanistic Studies, jednym z pierwszych think tanków w Stanach Zjednoczonych. Obydwaj pracowali jako przewodnicy na Mount Rainier, najwyższym szczycie Gór Kaskadowych, i należeli do grona cywilnych doradców jednostki trenującej amerykańskich żołnierzy do działań w górach oraz w niskich temperaturach. Pete Schoening był z kolei inżynierem chemikiem oraz znakomitym wspinaczem, który miał na swoim koncie pierwsze wejścia na szczyty w odległych górach Jukonu.

Najwyższym członkiem zespołu był George Bell — chudy, noszący okulary fizyk, który pracował wówczas w Los Alamos w Nowym Meksyku nad budową pierwszych bomb termojądrowych. Spośród wszystkich uczestników wyprawy to on miał przypuszczalnie największe doświadczenie, jeśli chodzi o podróżowanie po świecie, i miał już okazję wspiąć się zarówno w Alpach, jak i w Andach. Ostatni członek zespołu, przystojny, obdarzony młodzieńczą twarzą Art Gilkey, działał na terenach położonych dalej na północ — większość doświadczenia związanego z przebywaniem wśród pustkowi zdobył na Alasce, gdzie przez dwa sezony letnie pracował przy

projektach badawczych na rozległym lodowcu Mendenhall. On również był z wykształcenia geologiem i właśnie kończył pisać doktorat na Uniwersytecie Columbia.

Indywidualnie wszyscy byli bardzo mocnymi, świetnie wyszkolonymi technicznie wspinaczami, ale Charlie i Bob mieli nadzieję, że okażą się również dobrymi graczami zespołowymi, którzy na długo po zakończeniu wyprawy pozostaną bliskimi przyjaciółmi.

Gdy Charlie zdobył już pozwolenie i skompletował zespół, następnymi dwiema przeszkodami, które musiał pokonać, były kwestie związane z finansami oraz ekwipunkiem. Chociaż wspinaczka górską budziła w tym okresie dużo większe zainteresowanie amerykańskiej opinii publicznej niż w latach 30., sytuacja nadal nie przypominała tego, co działo się w Europie, gdzie duże gazety i niektóre rządy były gotowe wyłożyć mnóstwo pieniędzy na duże wyprawy zmierzające w Himalaje. Charlie określił wysokość budżetu swojej wyprawy w 1953 r. na 25 tysięcy dolarów — niemal trzy razy więcej niż w przypadku ekspedycji z 1938 r. Poprosił każdego członka zespołu o wpłacenie nieco ponad tysiąca dolarów i liczył na to, że zbierze resztę dzięki darowiznom, pożyczkom, a także honorariom za artykuły publikowane w prasie i film dokumentalny tworzony na potrzeby amerykańskiej sieci telewizyjnej NBC^[1].

Jeśli chodzi o ekwipunek, wyprawa korzystała w pewnym stopniu ze sponsoringu amerykańskich firm (choćby będącego producentem ubrań sportowych przedsiębiorstwa Eddie Bauer, które nieodpłatnie dostarczyło ekspedycji 50 anoraków), lecz większość rzeczy trzeba było kupić lub pożyczyć. Nim nadeszły lata 50., Charlie wyzbył się swojej anglofilii; inaczej niż miało to miejsce w 1938 r., gdy niemal wszystko musiało pochodzić z Anglii, tym razem większość wyposażenia wyprawy wyprodukowano w Stanach Zjednoczonych. Kontakty z amerykańską armią sprawiły, że Charlie i Bob otrzymali najnowsze obuwie zimowe z izolacją

termiczną, Bunny Boots, wprowadzone właśnie do użytku podczas wojny koreańskiej, a także eksperymentalne namioty i plecaki wspinaczkowe.

Bob Bates znów został wyznaczony na kwatermistrza wyprawy i to on dokonywał wyboru prowiantu. Jego wysokogórskie menu obejmowało suszone mięso oraz pemikan darzony ogromną sympatią przez uczestników tej ekspedycji; dietę uzupełniały liofilizowane owoce i warzywa, włoskie panforte oraz — pierwszy raz w przypadku wyprawy w góry wysokie — jedzenie dla niemowląt. Podobnie jak wiele pomysłów, które na pierwszy rzut oka wydawały się znakomite, ten ostatni element menu kompletnie się nie sprawdził i został odrzucony jako niesmaczny.

Po zaangażowaniu przyjaciół i krewnych na kilka bardzo pracowitych weekendów, uczestnicy wyprawy zapakowali mniej więcej tonę prowiantu w zgrzewane torebki zawierające racje wystarczające dwóm osobom na jeden dzień. W kwietniu 1953 r. zostały one wysłane drogą morską do Karaczi, wraz z trzypółtonowym ładunkiem sprzętu wspinaczkowego. Wkrótce w ślad za tym transportem wyruszył Bob Bates, który udał się na miejsce przed resztą zespołu, by uporać się z biurokracją i kwestiami logistycznymi. Tuż przed wyjazdem do Pakistanu Bob odwiedził Fritza Wiessnera; jeśli jednak nie liczyć napisanego bez większego przekonania listu zawierającego prośbę o „błogosławieństwo” Fritza, Charlie Houston nie próbował nawiązać bezpośredniego kontaktu z byłym liderem wyprawy z 1939 r.^[2]

Pod koniec maja cały zespół spotkał się w Nowym Jorku — w miejscu, w którym miała się rozpocząć wielka przygoda. W trakcie dwóch bardzo gorączkowych dni członkowie wyprawy urządzili najazd na magazyny telewizji NBC i zabrali stamtąd ponad 3300 metrów taśmy filmowej, zdobyli kilka kamer oraz magnetofonów, wzięli udział w uroczystej kolacji na 70 osób zorganizowanej przez American Alpine Club, a także udzielili niezliczonych wywiadów przedstawicielom lokalnych i

krajowych mediów. Student geologii Art Gilkey ślęczał po nocach, by skończyć przygotowywany właśnie fragment swojego doktoratu, podczas gdy jego koledzy z zespołu, Pete Schoening i Dee Molenaar, zadekowali się w jego małym mieszkaniu na Manhattanie, ciesząc się z tego, że zamiast skupiać się na nauce, mogą pospać.

Gdy 25 maja wszyscy zgromadzili się na międzynarodowym lotnisku Idlewild, Charlie Houston z zaskoczeniem odkrył, że pomimo wysłania wcześniej wielu ton sprzętu wciąż mają wiele kilogramów nadbagażu, za który musieliby zapłacić słony rachunek. Jedynym wyjściem z sytuacji było upchanie (za cichym przyzwoleniem pracowników linii lotniczych) 110 kilogramów sprzętu i ubrań wysokogórskich w bagażach osobistych i kieszeniach kurtek.

Następnego ranka cała grupa wylądowała w Londynie, po czym zaczęła szukać w gazetach wieści o najnowszej ekspedycji działającej na Mount Evereście. W sytuacji, w której cztery nacje podejmowały próby na ośmiotysięcznikach, wydawało się, że rok 1953 będzie pamiętną datą w historii himalaizmu. Zespół z Japonii podjął pierwszą próbę wspinaczki na Manaslu, ósmy co do wysokości szczyt na Ziemi, natomiast przedstawiciele trzech innych krajów starali się zdobyć szczyty, które pokonały ich przed wojną: Brytyjczycy działali na Mount Evereście, Niemcy na Nanga Parbat, a Amerykanie zmierzali właśnie pod K2.

Gdy zespół Charliego przygotowywał się do kolejnego etapu podróży lotniczej, Bob miał w Pakistanie pełne ręce roboty, pilnując tego, by zapasy i ekwipunek wyprawy przeszły bezproblemowo odprawę celną. Podobnie jak kilku innych wspinaczy górskich działających na początku lat 50., zainteresował się koncepcją użycia samolotu w celu zrzućenia ekwipunku do bazy na spadochronie, dzięki czemu nie trzeba byłoby zatrudniać dużej liczby tragarzy, którzy przenieśliby wszystkie te ładunki. Bates podjął rozmowy z przedstawicielami pakistańskich sił powietrznych i jego pomysł spotkał się z aprobatą, ale chociaż dowództwo wojskowe

okazywało w tej kwestii przychylność, politycy nie byli już tak chętni do współpracy. Gdy Bob spotkał się z ministrem spraw zagranicznych, Akhtarem Hussainem, ten ostrzegł go przed podejmowaniem jakichkolwiek działań, które mogłyby rozdrażnić sąsiadujące z Pakistanem Chiny. Zasugerował zwłaszcza rezygnację z wszelkich pomysłów dostarczenia ekwipunku drogą powietrzną. Jak wyjaśnił, dokładny przebieg granicy między tymi dwoma krajami wciąż nie został określony, a Pakistan nie chciał dodawać Chin do listy swoich realnych lub potencjalnych wrogów.

27 maja Bob spotkał się z Charliem i resztą zespołu w Karaczi; dwa dni później wszyscy polecili do Rawalpindi. Różnica między wprawami z 1938 i 1953 r. była uderzająca — podczas wcześniejszej wyprawy na dotarcie z Nowego Jorku do Rawalpindi potrzebowali niemal czterech tygodni; tym razem dzięki temu, że wybrali drogę powietrzną zamiast morskiej, ta sama podróż pochłonęła niewiele ponad trzy dni.

Rawalpindi nadal było gwarnym miastem garnizonowym, jakie Charlie zapamiętał z 1938 r.; jeśli cokolwiek się tu zmieniło, było tu jeszcze bardziej tłoczno niż 15 lat wcześniej. Wygłodzeni uchodźcy, którzy trafili tutaj z powodu niedawnej wojny z Indiami, tłoczyli się na ulicach i gromadzili pod tymczasowymi zadaszeniami skleconymi naprędce ze starych arkuszy blachy. Uczestnicy wyprawy mieszkający w Seattle, Dee Molenaar i Bob Craig, w trakcie wojny służyli w wojsku, ale żaden z nich nie widział niczego, co przypominałoby ubóstwo rzucające się wyraźnie w oczy na każdym kroku.

Zanim Charlie i jego towarzysze zdołali opuścić miasto, musieli przetrwać niemal cały tydzień wypełniony różnymi spotkaniami. Pakistan liczył sobie jako kraj zaledwie kilka lat i każdy chciał porozmawiać o polityce z gośćmi z Ameryki. Pomimo tego, że trwał właśnie ramadan, wspinaczy nieustannie zapraszano na przyjęcia i kolacje.

Jeśli chodzi o mniej formalne i przyjemniejsze wydarzenia, Amerykanie spotkali też dwóch ostatnich członków wyprawy: pułkownika Mohammada Ata-Ullaha, oficjalnego

pakistańskiego oficera łącznikowego wyprawy, a także kapitana Tony'ego Streathera, 27-letniego brytyjskiego żołnierza, który podczas ekspedycji miał się zajmować kwestiami transportowymi.

Streather wyglądał na prawdziwego brytyjskiego sahiba w każdym calu; jego twarz zdobiły uśmiechnięte oczy i delikatny wąsik. Był zawodowym żołnierzem, zaciągnął się do wojska w wieku 17 lat i przez większość swojej służby stacjonował w Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej. Chociaż ze wspinaczką górską miał do czynienia od niedawna, towarzyszył już ekspedycji norweskiej, która dokonała pierwszego wejścia na Tiricz Mir w Hindukuszu; co więcej, zdołał nawet wejść na szczyt, choć była to jego pierwsza wyprawa górską. W 1952 r. jego kandydatura była brana pod uwagę podczas kompletowania brytyjskiej wyprawy zmierzającej pod Mount Everest, a choć ostatecznie nie został wybrany, złapał już bakcyła wspinaczkowego i powiedział Charliemu Houstonowi, że bardzo chciałby się przyłączyć do wspinaczy działających na K2. Biorąc pod uwagę bardzo dobre doświadczenia z 1938 r. z ówczesnym brytyjskim oficerem łącznikowym, Normanem Streatfieldem, Charlie z radością zaakceptował tę propozycję.

Pułkownik Ata-Ullah był zupełnie inną postacią. Liczył sobie 50 lat i był doświadczonym lekarzem, a zarazem osobą, która kierowała służbą zdrowia w Kaszmirze. Miał kilkanaście kilogramów nadwagi, kolana w kiepskim stanie i nigdy się nie wspinał. Pozwolenie, jakie otrzymał Charlie, nie pozostawiało mu żadnych złudzeń: musiał zabrać ze sobą pakistańskiego oficera łącznikowego, a pomimo rzucającej się w oczy kiepskiej kondycji, Ata-Ullah mógł się pochwalić świetnymi rekomendacjami. Gdy zaproponowano mu udział w wyprawie, był zaskoczony i trochę zakłopotany tą ofertą, ale ostatecznie okazało się, że był bardzo dobrym kandydatem — kulturalnym i łagodnym mężczyzną, który szybko stał się ważną częścią zespołu.

Kilka dni przed tym, jak wyprawa opuściła Rawalpindi, Charlie Houston dowiedział się, że Brytyjczycy dotarli na szczyt

Mount Everestu. Była to chwila, w której radość mieszała się z goryczą: miał w Wielkiej Brytanii wielu przyjaciół i trzymał kciuki za zespół Johna Hunta, lecz gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że będzie to rok, w którym zdobyty zostanie K2, a nie Mount Everest. Smutek szybko jednak ustąpił, a Charlie i Bob zajęli się układaniem depeszy gratulacyjnej, która miała zostać wysłana do Alpine Clubu w Londynie, współorganizatora brytyjskiej ekspedycji.

Po tygodniu spędzonym na poznawaniu w przyjaznej atmosferze nowych ludzi, Amerykanie wyruszyli w kierunku swojego celu. Czekał ich mrozący krew w żyłach lot — pilotami ich samolotu byli dwaj odważni Polacy, którzy w czasie wojny latali w barwach RAF-u. Wraz z pasażerami pokonywali przełęcze znajdujące się na wysokości niemal 4000 m n.p.m. i mijali góry, których szczyty znajdowały się zdecydowanie powyżej tej granicy. Ponieważ dzień był pochmurny, wspinacze nie mieli okazji zobaczyć K2, ale przelatywali w odległości kilkunastu kilometrów od Nanga Parbat w Himalajach i zdołali nawet dostrzec ślady obecności austriacko-niemieckiej wyprawy działającej wówczas na zboczach góry.

Po 90 minutach, podczas których ich samolotem linii Orient Airways nieustannie targał wiatr, wylądowali na pokrytym pyłem pasie startowym tuż poniżej Skardu. W ciągu kilku minionych lat liczba mieszkańców tego miasta bardzo się zwiększyła, do czego przyczyniły się tysiące uchodźców wysiedlonych przy okazji podziału terytoriów między Indie i Pakistan. Miejsce, które w 1938 r. przypominało średniowieczne miasteczko, mogło się teraz pochwalić nowoczesnym szpitalem i kinem. Gdy Amerykanie zmierzali do miasta, zostali hałaśliwie powitani przez setki dzieci i ich rodziców, którzy ustawili się wzdłuż drogi z banerami, prosząc swoich nowych przyjaciół ze Stanów Zjednoczonych o pomoc w „rozwiązaniu problemu Kaszmiru”.

Gdy Charlie Houston i Bob Bates po raz pierwszy pojechali w Karakorum w 1938 r., K2 znajdował się na północnym skraju brytyjskiego protektoratu, w obrębie księstwa Dżammu i

Kaszmir; kiedy jednak Indie zdobyły w 1947 r. niepodległość, a kraj dzielono, uwzględniając kwestie religijne i etniczne, władca tego księstwa mógł wybrać, czy chce się przyłączyć do hinduistycznych Indii, czy muzułmańskiego Pakistanu. W przypadku wszystkich pozostałych regionów dawnego imperium tego rodzaju decyzje były stosunkowo nieskomplikowane, natomiast Kaszmir był o tyle nietypowy, że miał hinduistycznego władcę i populację składającą się głównie z muzułmanów. Gdy radza się wahał, muzułmańskie plemiona z Pakistanu najechały Kaszmir — w tej sytuacji władca poprosił Indie o pomoc militarną. Ze względu na strategiczne znaczenie Kaszmiru Indie ochoczo wysłały tam swoich żołnierzy, rozpoczynając tym samym długotrwały konflikt, który podzielił ten region i pozostaje nierozwiązany po dziś dzień.

Chociaż próby zdobycia K2 nie budziły większego zainteresowania Hindusów i Pakistańczyków spierających się o podział Kaszmiru, polityczne problemy między tymi dwiema nacjami miały wpływ na jedną ważną kwestię związaną z działalnością wyprawy. Szerpowie odegrali ważną rolę podczas amerykańskich ekspedycji z 1938 i 1939 r., ale ponieważ ich rodzinny Dardżyling znajdował się w obrębie granic Indii, a oni byli uznawani za obywateli indyjskich, nie byli już mile widziani w Pakistanie. W tej sytuacji do amerykańskich wspinaczy dołączyła grupa tragarzy z ludu Hunza, zwerbowanych specjalnie do pracy na dużej wysokości. Byli twardymi ludźmi gór z północno-wschodniego Pakistanu, ale tylko jeden z nich uczestniczył wcześniej w wyprawie wspinaczkowej. Z drugiej strony, już sam fakt, że wędrowali przez dwa tygodnie wśród bardzo trudnego terenu, by spotkać Amerykanów, dobrze świadczył o ich odporności i entuzjazmie.

Ostatni odcinek podróży, ze Skardu do bazy pod K2, wydał się Charliemu Houstonowi i Bobowi Batesowi dużo bardziej znajomy niż pierwsza połowa pokonanej przez nich drogi. Nie było tu żadnych kin ani lotnisk; tak naprawdę można było odnieść wrażenie, że nic się tu nie zmieniło od 1938 r. Pokonali Indus na pokładzie rozpadającej się barki podobnej do tych,

których ponoć używał Aleksander Wielki, a później zaczęli dwustukilometrowy trekking przez jeden z najbardziej spektakularnych i surowych obszarów na naszej planecie.

Zanim dotarli do Askole, wciąż będącego ostatnią wioską przed K2, ich karawana rozrosła się do niemal 200 osób, a w księdze rachunkowej wyprawy pojawiło się wiele wydatków. Chociaż teren się nie zmienił, koszty wynajęcia lokalnych tragarzy wzrosły od 1938 r. o 600 procent. Ponieważ ekspedycja miała ponad cztery i pół tony żywności i sprzętu, które trzeba było przetransportować w górę lodowca Baltoro, nie było jednak innego wyjścia, jak zapłacić tubylcom^[3].

Pułkownik Ata-Ullah z rozbawieniem obserwował, jak młodzi Amerykanie początkowo nie chcieli korzystać z pomocy osobistych tragarzy przypisanych każdemu z nich i upierali się, że sami będą się zajmować obowiązkami obozowymi. Podobnie jednak, jak miało to miejsce w 1938 r., po kilku dniach marszu zaczęli się zachowywać niczym „gnuśni Wielcy Mogołowie^[4], z ogromnym zadowoleniem pozwalając innym na dbanie o ich potrzeby.

Dee Molenaar przeżywał podczas swojego pierwszego wyjazdu poza Amerykę Północną prawdziwą huśtawkę emocji. Był oczarowany londyńską uprzejmością, porażony wrogością Niemców na lotnisku we Frankfurcie, a także zaszokowany ubóstwem napotykanym w Karaczi i Rawalpindi. Inny mieszkaniec Seattle uczestniczący w tej wyprawie, chemik Pete Schoening, był zafascynowany lokalną ludnością, lecz szybko uświadomił sobie, że wraz z towarzyszami jest dla tubylców równie egzotycznym widokiem, jak barwni przedstawiciele lokalnych plemion dla obywateli Stanów Zjednoczonych.

Umiejętności językowe brytyjskiego oficera zajmującego się kwestiami transportowymi, Tony'ego Streathera, okazały się bardzo przydatne, ale popełnił on kardynalny błąd — zatrudnił kontrahenta ze Skardu, który miał wynajmować i zwalniać tragarzy. Nigdy nie było problemów ze znalezieniem tragarzy, ale potem byli oni wiecznie niezadowoleni i nieustannie się

skarżyli. Po kilku dniach marszu Tony odkrył dlaczego: jego partner ze Skardu zabierał połowę ich płac. Mężczyzna został szybko zwolniony, ale problemy z tragarzami nie ustały, przybierając postać niekończących się narzekań i nieustających drobnych kradzieży. Wśród skradzionych rzeczy znalazły się buty wysokogórskie Tony'ego Streathera, a także kilka par butów przywiezionych z myślą o Hunzach. W którymś momencie kradzieży było tak dużo, że Amerykanie musieli przypinać do swojego sprzętu zegarki sygnalizujące upływ każdej kolejnej godziny, chroniąc w ten sposób ekwipunek przed złodziejami.

Pierwsza okazja, by przyjrzeć się celowi wyprawy, nadarzyła się 19 czerwca, gdy po 14 dniach wymagającej wędrówki dotarli do Concordii, gigantycznego skalnego amfiteatru, i zobaczyli K2 wyłaniający się nad nimi z mgły na końcu Lodowca Godwina-Austena. Początkowo szczyt był po części przesłonięty chmurami, ale gdy góra łaskawie się ukazała, zrobiła ogromne wrażenie zarówno na weteranach poprzedniej wyprawy, jak i na tych, którzy oglądali ją po raz pierwszy. Choć Charlie Houston zaliczał się do tej pierwszej grupy, i tak był pod ogromnym wrażeniem:

Po pokonaniu lodowcem Baltoro ponad 60 kilometrów mijasz zakręt, a tu bum! „Wspaniały” to nadużywane określenie, ale ten szczyt jest wspaniały!^[5]

Charlie i Bob nie mogli się doczekać rozpoczęcia wspinaczki, więc następnego ranka wyruszyli bardzo wcześnie, licząc na to, że znajdą miejsce, w którym stała ich baza w 1938 r., i ponownie zrobią z niego użytek. Nim nadszedł czas popołudniowego posiłku, zlokalizowali ten punkt, lecz ostatni z tragarzy dotarł do obozu wiele godzin później. Było bardzo zimno, a mężczyźni z Askole chcieli ruszyć w drogę powrotną tak szybko, jak to tylko możliwe. Gdy opłacono ostatniego z nich, kasa wyprawy świeciła pustkami — zostało tam zaledwie kilka drobnych monet w lokalnej walucie.

Zostali teraz sami: siedmiu Amerykanów, brytyjski oficer, pakistański lekarz i sześciu tragarzy wysokościowych z plemienia Hunza. Do planowanego rozpoczęcia powrotu mieli nieco ponad 50 dni; dysponowali też prowiantem na 70 dni. W teorii zapewniało im to solidny margines bezpieczeństwa, gdyby coś poszło nie tak. W 1938 r. Charlie Houston i Paul Petzoldt potrzebowali tylko 23 dni, by pokonać drogę od podstawy Żebra Abruzzów aż do najwyższego osiągniętego punktu położonego na wysokości 7925 m n.p.m. Tym razem zespół był większy, więc Charlie był pewien, że dysponując czasem i zapasami pozwalającymi dotrzeć na sam szczyt.

Wielką niewiadomą była pogoda. Podczas swojej pierwszej wyprawy Charlie miał szczęście, ale zarówno ekspedycję Eckensteina z 1902 r., jak i późniejszą wyprawę Wiessnera z 1939 r. nękały burze. W tym roku Amerykanie dysponowali istotnym atutem w postaci dużego radiodbiornika w bazie oraz regularnych komunikatów meteorologicznych, które miały im ułatwiać wspinaczkę; gdyby jednak pojawiły się burze, musieliby je przeczekać.

Plan Charliego był prosty: w ciągu następnego miesiąca jego zespół miał stopniowo piąć się w górę Żebrem Abruzzów, rozbijając obozy w tych samych miejscach, co wyprawy z 1938 i 1939 r. Dwuosobowy zespół rozpoznawczy miał wyszukiwać drogę, podczas gdy inni dbaliby o rozbudowywanie obozów za tą dwójką. Wspinacze mieli się zmieniać na prowadzeniu; miało również dochodzić do regularnych zmian w składzie par nocujących razem w namiotach, by wszyscy zdołali się dobrze poznać. Nie było mowy o powtórce z 1939 r.: Charlie nie miał zamiaru pozwolić na likwidację któregokolwiek z obozów, dopóki wszyscy nie zejną z góry. Najważniejszą nowinką technologiczną, z jakiej korzystała ta ekspedycja, były krótkofalówki — nowa generacja przenośnych radiotelefonów o wzmocnionej konstrukcji, zaprojektowanych w czasie drugiej wojny światowej. Wspinacze liczyli na to, że te urządzenia zapewnią im skuteczną komunikację między obozami.

Pierwszym zadaniem, z którym musieli się teraz zmierzyć, było przetransportowanie kilkuset kilogramów jedzenia i paliwa do obozu pierwszego położonego na wysokości 5400 m n.p.m. Gdzieś w głowie Charliego czaił się jednak dokuczliwy lęk: jak szybko natrafią na ślady tragedii z 1939 r.? Czy w obozie siódmym znajdą ciało Dudleya Wolfe'a, czy może jego szczątki będą leżały gdzieś niżej na lodowcu? Co z ulubionym Szerpą Charliego, Pasangiem Kikulim, a także jego dzielnymi kompanami — czy znajdą jakiegokolwiek wskazówki dotyczące tego, co im się przytrafiło?

Był tylko jeden sposób, by poznać odpowiedzi na te pytania.

Rozdział 7

Praca zespołowa

Początkowo Dee Molenaar w ogóle sobie nie wyobrażał, że mógłby wziąć udział w tej ekspedycji. W 1953 r. pracował jako instruktor wspinaczki zatrudniony przez wojsko; nawet gdyby otrzymał urlop, nie był pewien, czy mógłby sobie pozwolić na wyjazd na wyprawę w Karakorum. Mount Everest, K2, Himalaje — tego rodzaju wspinaczka oznaczała spore koszty i była zarezerwowana dla przedstawicieli wyższych sfer ze Wschodniego Wybrzeża. Gdy Bob Craig, jego przyjaciel, który również pracował jako instruktor, powiedział mu, że słynny wspinacz Charlie Houston chciałby osobiście porozmawiać z potencjalnymi członkami zespołu, Dee był jeszcze mniej przekonany. Podróż z Seattle do New Hampshire była czasochłonna i wymagała sporych nakładów finansowych. Molenaar był gotów odmówić, lecz Bob nalegał i zdołał nawet przekonać Houstona, by ten wciągnął Dee na listę uczestników wyjazdu wyłącznie na podstawie rekomendacji. Ojciec pożyczył Dee trochę pieniędzy, a po upływie kilku miesięcy ów młody człowiek spoglądał na drugą co do wysokości górę na świecie.

Po niemal miesiącu spędzonym w podróży Dee wciąż miał trochę mieszane odczucia. Tworzyli bardzo radosny zespół i nie było wątpliwości, że wokół wznoszą się bajeczne szczyty, ale K2 wyglądał na wysoką i niebezpieczną górę, a Dee zaczął tęsknić za swoją żoną Lee i ich małą córeczką Patti, nim jeszcze dotarł do Karakorum. Większość pozostałych członków zespołu miała dziewczyny lub żony, ale Dee i Charlie jako jedyni mieli dzieci, a wizja spędzenia tylu miesięcy z dala od domu była bolesna.

Charlie Houston również tęsknił za swoją rodziną. Wiosną 1953 r. miał dwóch synów i córkę, a także pochłaniającą wiele

uwagi praktykę lekarską w Exeter w stanie New Hampshire. Jego żona Dorcas zdawała sobie sprawę z tego, jak ważne jest dla jej męża wspinanie, więc nie próbowała go powstrzymać, ale Charlie nie był już beztroskim kawalerem, który wspinał się na K2 w 1938 r.

Dla wszystkich członków zespołu oraz ich krewnych pozostających w domach listy były jedynym środkiem pozwalającym zachować kontakt z bliskimi. Oprócz osobistych listów kierowanych do przyjaciół i rodzin, zespół przygotowywał też regularne komunikaty, rozprowadzane później przez ojca Charliego, Oscara, który zapewniał synowi ogromne wsparcie. Piąty meldunek, napisany przez Boba Craiga i datowany na 18 czerwca, czyli dzień, w którym wyprawa dotarła do bazy, pełen był ekscytacji; nie było tam natomiast ani słowa o tęsknocie za domem lub związanych z wysokością bólach głowy, które dokuczały wielu członkom ekspedycji:

Działamy zgodnie z harmonogramem, jesteśmy zdrowi. Straciliśmy kilka elementów naszego ekwipunku, ale znajdujemy się dokładnie pod K2 — zespół jest w bojowym nastroju, który utrzymuje się również dzisiaj rano.

Podczas rozpakowywania sprzętu wyszło na jaw, że nie obeszło się bez drobnych strat związanych z podróżą: duży kawał cheddara połamał się i pokruszył, a kilka tabliczek czekolady roztopiło się w transporcie, pokrywając znajdujące się w pobliżu przedmioty. Jeśli chodzi o pozytywne niespodzianki, w pudłach, które przyjaciele pomagali im pakować kilka miesięcy wcześniej w Stanach Zjednoczonych, wspinacze znaleźli liściki z życzeniami powodzenia, a także kilka fotografii skąpo odzianych pań.

21 czerwca zespół świętował urodziny jednego z członków (nieco później w trakcie wyprawy miało dojść do jeszcze jednego takiego wydarzenia). Kończący 35 lat Dee Molenaar był goniony po całym obozie, a potem koledzy z wielką pompą zdarli z niego dzinsy, w których siedł przez cały lodowiec Baltoro. Po kilku dniach solenizant miał okazję zrewanżować

się kompanom, gdy znaleziono maszynkę do strzyżenia, a Dee wcielił się we fryzjera, strzygąc wszystkich w wojskowym stylu.

Niewiele później nadszedł czas, by rozpocząć wspinaczkę.

Wybierając inne rozwiązanie niż Fritz Wiessner w 1939 r., Charlie Houston postanowił nie urządzać przed rozpoczęciem działalności na K2 żadnych wyjazdów narciarskich; nie planował też treningowych wypadów wspinaczkowych. Liczył na to, że sama harówka związana z transportowaniem ładunków oraz pokonywanie Żebra Abruzzów w górę i w dół pozwoli wszystkim wypracować odpowiednią formę i zadbać o aklimatyzację. Jeśli nie liczyć kilku butli przywiezionych w celach medycznych, wyprawa nie miała ze sobą dodatkowego tlenu. Brytyjska ekspedycja atakująca Mount Everest mogła zabrać ze sobą wiele ton sprzętu, ale zdaniem Charliego na K2 nie było to niezbędne, a na dodatek nie dysponował środkami finansowymi ani odpowiednią liczbą ludzi, by przetransportować drogą lotniczą dziesiątki butli, a potem dostarczyć je do bazy.

Podobnie jak w przypadku innych wielkich „oblężeń” realizowanych w tym okresie w Himalajach, dotarcie na szczyt miało się sprowadzać do długich, powolnych przygotowań i założenia ośmiu lub dziewięciu obozów. Dopiero wtedy ci członkowie zespołu, którzy znajdowaliby się w najlepszej dyspozycji, mogliby zaatakować szczyt. Wyprawa opuściła Stany Zjednoczone z niemal czterema tonami sprzętu, a pierwszym zadaniem było przetransportowanie mniej więcej połowy tego ekwipunku do obozu pierwszego, położonego na Lodowcu Godwina-Austena u podstawy Żebra Abruzzów.

Houston zakładał, że praca tragarzy z plemienia Hunza będzie się ograniczać do dostarczania zapasów nie wyżej niż do obozu drugiego położonego na wysokości 5880 m n.p.m. Później Amerykanie mieli już samodzielnie dźwigać wszystkie ładunki. Teren był zbyt stromy dla niewykwalifikowanych tragarzy, a dzięki doświadczeniom z 1938 r. Charlie wiedział, że w przypadku obecności na górze zbyt dużej liczby osób każdy, kto

znajdował się niżej, był wystawiony na nieustanne bombardowanie spadającymi z góry kamieniami.

Pierwotny plan zakładał, że oficer łącznikowy wyprawy, pułkownik Ata-Ullah, uda się z Amerykanami do bazy, a potem wróci do Skardu — podróż sprawiła jednak wojskowemu tyle przyjemności, że poprosił o możliwość zostania w bazie przez cały czas trwania ekspedycji. Bob Bates wyliczył, że wyprawa dysponuje na tyle dużymi zapasami, by wyżywić dodatkową osobę, tak więc zawarto układ: Ata-Ullah zostanie w bazie, będzie obsługiwał radio i zapewni wspinaczom kontakt ze światem zewnętrznym, w miarę jak oni będą się przenosić do coraz wyższych obozów. Pakistańczyk nie był jedynym „pasażerem na gapę”. Choć baza była wyjątkowo zimnym miejscem, oddalonym o wiele kilometrów od jakichkolwiek drzew lub roślinności, któregoś dnia pojawiła się tam samotna wiewiórka, która zdołała jakimś cudem pokonać strumień lodowcowy i od razu stała się maskotką wyprawy.

Podczas gdy inni wspinacze zajmowali się transportowaniem sprzętu i prowiantu do obozu pierwszego, Bob Bates i Charlie Houston urządzili wypad do góry, starając się zlokalizować miejsce, w którym znajdował się obóz drugi. Obydwaj pamiętali, że była to duża, płaska przestrzeń, która mogła pomieścić kilka namiotów, lecz ku swojemu zawstydzeniu nie zdołali jej znaleźć. Rozpoznawali rzeźbę terenu i kopczyki, które zostały zbudowane w 1938 r. w celu oznaczenia drogi, ale położenie samego obozu pozostawało zagadką. Gdy Bob i Charlie wrócili do bazy, wyglądali na trochę zmieszanych i przez cały wieczór dyskutowali nad tym, czy należało iść wyżej, czy też niżej od drogi, którą obrali.

28 czerwca był dniem, w którym udało się znaleźć odpowiedź na to pytanie. Charlie i Bob ruszyli na czele dwóch zespołów, podążając wybranymi przez siebie drogami. Kilka godzin później okazało się, że to Charlie miał rację — jego zespół po długiej i mozolnej wędrówce dotarł do obozu drugiego. Gdy pokonywali strome zbocze poniżej platformy, na której planowali rozbić namioty, Charlie zastanawiał się, co tam

znajdą. 14 lat wcześniej Fritz Wiessner spędził w tym miejscu trzy dni, starając się przeczekać burzę, by ruszyć do góry i podjąć próbę uratowania Dudleya Wolfe'a oraz trzech zaginionych Szerpów. Pogoda się jednak nie poprawiła, a Wiessner został zmuszony do odwrotu. Czy kolejna ekspedycja miała tam natrafić na jakieś wskazówki dotyczące tego, co przydarzyło się później członkom wyprawy, których Fritz był zmuszony zostawić wysoko na górze?

Na całe szczęście wspinacze nie natknęli się na nic szczególnie przerażającego: znaleźli kilka pokrytych lodem śpiworów, ponad dwukilogramową puszkę Ovaltine, a także zapadnięty namiot, który postanowili rozbić na nowo, by użyć go jako schronienia dla Hunzów. Nigdzie nie było widać szkieletów ani listów pożegnalnych. Rozwiązanie tajemnicy tego, co wydarzyło się w 1939 r., czekało wyżej — o ile ta zagadka w ogóle miała zostać wyjaśniona.

Po założeniu obozu drugiego wspinacze zajęli się transportowaniem do góry zapasów. Bob Craig i Art Gilkey przejęli prowadzenie i dotarli do następnego miejsca biwakowego, obozu trzeciego położonego na wysokości mniej więcej 6310 m n.p.m., czyli 120 metrów wyżej od wierzchołka Denali, najwyższego szczytu Ameryki Północnej. Podczas gdy obóz drugi był na tyle duży, by pomieścić pięć namiotów, obóz trzeci składał się z dwóch wąskich platform położonych tuż nad stromym żlebem i zbudowanych ze znalezionych w pobliżu skał. Fritz Wiessner zdecydował w 1939 r., że ten fragment Żebra Abruzzów jest tak bardzo narażony na spadające kamienie, że nie ma sensu rozbijać tu namiotów; podczas tamtej wyprawy obóz trzeci był wyłącznie magazynem z zapasami. To oznaczało jednak długą, mozolną wędrówkę między obozami drugim i czwartym. Tym razem zespół Houstona znalazł bezpieczniejsze miejsce pod przewieszonymi skałami i rozstawił tam dwa namioty.

Chociaż Houston nie planował korzystania z pomocy Hunzów powyżej obozu drugiego, mężczyźni okazywali tyle entuzjazmu i tak dobrze sobie radzili, że pozwolił im nosić

ładunki do kolejnego obozu położonego ponad 400 metrów wyżej. Powyżej obozu trzeciego^[1] grupa się jednak rozdzieliła. Tragarze mieli pozostać na dole w bazie, razem z Ata-Ullahem, który znajdował sobie zajęcia, troszcząc się o pocztę i komunikację ze światem zewnętrznym. Amerykanie ruszyli natomiast do góry.

Na wysokości 6550 m n.p.m. znaleźli kolejne ślady działalności wyprawy Wiessnera z 1939 r. Wewnątrz dwóch złożonych na płasko namiotów w obozie czwartym natrafili na termosy, maszynki do gotowania, zbiorniki z paliwem i puszki z dżemem, pemikanem oraz jajkami w proszku. Znaleźli także następną dużą puszkę Ovaltine, która wyglądała, jakby dopiero co została otwarta. Bardziej niepokojący był jednak widok kilku kolejnych pokrytych lodem śpiworów. Bob Craig przez moment zastanawiał się, dlaczego Fritz Wiessner twierdził, że ze wszystkich obozów zabrano śpiwory. Chwilę później uświadomił sobie jednak, że zostały one prawdopodobnie zostawione w tym obozie przez Jacka Durrance'a lub Pasanga Kikulego podczas ich nieudanych prób ratowania Dudleya Wolfe'a.

Po spędzeniu na Żebrze Abruzzów niemal miesiąca, członkowie wyprawy dotarli do Komina House'a, położonej na wysokości około 6550 m n.p.m. wąskiej rysy w niemal pionowej ścianie, a zarazem pierwszego prawdziwego sprawdzianu na K2. Chociaż w 1938 r. Charlie Houston pokonał tę przeszkodę kilka razy, zarówno w górę, jak i w dół, teraz odczuwał mieszaną podniecenia i nerwowości. Młodszy członek zespołu zauważyli, że na początku wyprawy miał kilka kilogramów nadwagi, a chociaż do tego czasu zdążył się jej pozbyć, Charlie w ostatnich latach niezbyt często angażował się w wymagającą wspinaczkę skalną. Nie miał wątpliwości co do tego, że chce poprowadzić ten fragment drogi, ale nie wiedział, czy pokona go w dobrym stylu, czy może ta próba przysporzy mu wstydu. Podczas gdy George Bell i Dee Molenaar

obserwowali jego poczynania z dołu, Charlie wcisnął się do komina i zaczął gramolić do góry.

Wkrótce zobaczył kilka pokrytych lodem lin będących pozostałościami po wyprawach z 1938 i 1939 r. Nie było jednak możliwości oceny, na ile solidnie są one zamocowane, więc Houston nie ryzykował korzystania z tego sprzętu. Tak jak się spodziewał, wspinaczka była trudna i wymagająca, ale po kilku przystankach, które miały mu pozwolić wyrównać oddech (i które zmyślnie ukrywał, majstrując przy hakach i wycierając nos), pokonał całą ścianę, a na szczycie poczuł zarówno ulgę, jak i dumę.

Po ściągnięciu na górę Molenaara i Bella, Charlie wraz z partnerami pokonał stromy stok śnieżny prowadzący do obozu piątego Wiessnera. Oprócz typowego chaosu, czyli zapadniętych namiotów oraz porzuconego sprzętu do gotowania, znaleźli również rachunek Dudleya Wolfe'a z ekskluzywnej nowojorskiej pralni chemicznej. Nikt nie miał pojęcia, co ten kawałek papieru robi na K2, choć nie było wątpliwości, że ta należność nigdy nie została uregulowana.

Pokonanie Komina House'a sprawiło, że był to jeden z najbardziej produktywnych dni podczas tej wyprawy, lecz wspinaczy nadal dzieliło od szczytu ponad 1800 metrów w pionie. Jak gdyby stawka była zbyt niska i trzeba ją było po raz kolejny podnieść, przez radio dowiedzieli się od Ata-Ullaha, że austriacki wspinacz, Hermann Buhl, zdobył właśnie Nanga Parbat, pięć tygodni po tryumfie Hillary'ego i Tenzinga na Mount Evereście. W sytuacji, w której dwaj najwięksi rywale Amerykanów tak dobrze sobie radzili, Charlie odczuwał jeszcze większą presję, by odnieść sukces na K2. Najpilniejszy problem, z jakim potrzebował się uporać, był jednak bardziej przyziemny: Houston stanął przed koniecznością wyrwania pierwszego zęba w swojej karierze lekarskiej.

Od ponad miesiąca Bob Bates zmagał się z bólem zęba uszkodzonego w nieodwracalny sposób w imię dobrych manier. W jednej z mijanych wiosek podarowano im „najtwardszego kurczaka na świecie”. Bob poczuł się zobligowany do

skonsumowania otrzymanej potrawy, ale w trakcie przeżuwania nogi kurczaka złamał jeden z zębów trzonowych. Na początku lipca Bob dorobił się już ogromnego ropnia, a ból był tak silny, że trzeba było jakoś rozwiązać ten problem.

Charlie skontaktował się przez radio z Ata-Ullahem, prosząc go o znalezienie kleszczy dentystycznych znajdujących się w wyprawowej apteczce, a następnie przesłanie ich do obozu drugiego. Później zszedł tam razem z Bobem. Pod okiem Mohammada Alego, jednego z Hunzów, który w swoich okolicach robił też za dentystę, Charlie podał Bobowi nowokainę i przygotował się do wyrwania problematycznego zęba. Podczas gdy Bob Craig pełnił funkcję pielęgniarki i fotela dentystycznego w jednym, przytrzymując głowę pacjenta, a George Bell obsługiwał kamery, rejestrując zabieg dentystyczny przeprowadzany na rekordowej wysokości, ku uldze wszystkich obecnych Charlie jednym szybkim ruchem wyrwał nieszczęsny ząb.

Po krótkiej kuracji antybiotykami na twarz Boba Batesa powrócił uśmiech — niestety, nie zagościł tam na dłużej. W czerwcu i na początku lipca wspinacze cieszyli się dobrą pogodą, ale wszystko zaczynało się zmieniać. 11 lipca silny wiatr sprawił, że w nocy nikt nie zmrużył oka, a 48 godzin później członkowie wyprawy musieli się zmierzyć z drugą burzą, która uwięziła ich w namiotach na trzy dni. Kiepska pogoda nie była na K2 niczym nietypowym, lecz dzikość pierwszej poważnej burzy, z jaką mieli do czynienia, była dla wszystkich zaskoczeniem.

Charlie Houston znajdował się w obozie trzecim na wysokości 6310 m n.p.m. i dzielił namiot z Tonym Streatherem — oficerem, który zajmował się kwestiami transportowymi, ale na tym etapie wyprawy stał się już członkiem zespołu. Dla obu mężczyzn była to dobra okazja, by lepiej się poznać, aczkolwiek okoliczności odbiegały od ideału. Chociaż po kilku latach spędzonych na patrolowaniu Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej Tony był przyzwyczajony do kiepskiej pogody, nawet on był zaskoczony siłą wiatru.

Pierwszej nocy Charliemu śniło się, że znajduje się między dwoma ogromnymi blokami lodu i jest przez nie miażdżony. Gdy obudził się w swoim śpiworze, nie był zaskoczony tym, że w bezpośrednim sąsiedztwie nie dostrzega lodu; kiedy jednak spojrzął do góry, na zapadnięty do wewnątrz materiał, z którego wykonany był namiot, uświadomił sobie, iż między tylną częścią ich namiotu a położoną za nim skałą znajduje się mnóstwo śniegu. Gdyby zbierał się tam dalej, zakończyłoby się to albo rozdarciem powłoki namiotu, albo zniszczeniem jego masztów. Co gorsza, ta masa śniegu mogła zepchnąć namiot wraz z jego lokatorami z wąskiej platformy, na której go rozstawili, i posłać go stromym zboczem w dół. Jedynym rozwiązaniem było wstać i zrzucić ten śnieg, choć wśród szalejącej burzy i zamieci śnieżnej była to wyjątkowo nieprzyjemna perspektywa. Charlie z ociąganiem ruszył jako pierwszy, by zająć się tym zadaniem, ale śnieg padał dalej, więc po upływie kilku godzin Tony musiał powtórzyć całą operację.

Wyżej, w obozie czwartym, Dee Molenaar utknął w równie niedużym namiocie z wysokim na 196 centymetrów George'em Bellem. Będący utalentowanym artystą Dee przywiózł ze sobą zestaw akwarel i szkicownik. 13 czerwca zaczął tworzyć na dużej wysokości swoje najnowsze dzieło, nie mając pojęcia, czy kiepska pogoda potrwa na tyle długo, by zdążyć je skończyć. Jak się okazało, następnego dnia burza szalała w najlepsze.

Wiatr był tak silny, że Dee i George nie byli nawet w stanie wyjść z namiotu, żeby się wysikać. Na całe szczęście dysponowali puszką po orzeszkach ziemnych i mogli używać jej jako prowizorycznego nocnika; Dee odnotował jednak w swoim pamiętniku, że o ile wylewanie uryny przed wejściem do namiotu nie budziło żadnego zakłopotania, o tyle „defekacja wymagała większej odwagi”.

16 lipca wiatr osłabł i takie warunki utrzymywały się wystarczająco długo, by Amerykanie podjęli dalszą wspinaczkę, ale ta burza stanowiła punkt zwrotny wyprawy. Niebieskie niebo towarzyszące wspinaczom na początku ekspedycji ustąpiło miejsca coraz bardziej niespokojnej pogodzie. Charlie

Houston nadal trzymał się teorii, w myśl której K2 znajdował się za daleko na północ, by monsun mógł mieć jakiś wpływ na panującą tam pogodę. Niezależnie jednak od tego, jaka była przyczyna takiego stanu rzeczy, padał śnieg i robiło się coraz zimniej.

Charlie zaczynał się martwić o harmonogram ich działań. Mieli spory margines bezpieczeństwa, jeśli chodzi o zapasy, ale każdy dzień, który spędzali uwięzieni w namiotach, oznaczał większą liczbę skonsumowanego prowiantu. Zmagając się z narastającą potrzebą pilnego podjęcia działań, Charlie i inni wspinacze wrócili w okolice Komina House'a i zaczęli transportować do góry zapasy. W 1938 r. był to długi i żmudny proces, ale tym razem wyprawa dysponowała tajną bronią: wciągarką, której aluminiowa rama składała się z pięciu części i miała kształt litery A. Urządzenie zostało skonstruowane przez chemika Pete'a Schoeninga jeszcze w Seattle. Gdy już je złożono, transportowanie ładunków do góry przebiegało dużo szybciej i łatwiej.

Po założeniu nad Kominem House'a obozu piątego, Amerykanie zaczęli szukać drogi wśród kruszyzny występującej na dalszym odcinku grani. Znajdowali się teraz powyżej granicy 6700 m n.p.m. i wysokość dużo wyraźniej dawała im się we znaki, ale przynajmniej byli w ruchu. Gdy Charlie Houston pisał 18 lipca dziewiąty komunikat skierowany do wszystkich osób zainteresowanych losami wyprawy, szacował, że będą w stanie rozpocząć atak szczytowy za jakieś dwa tygodnie, między 1 a 3 sierpnia. Jak donosił, morale utrzymywało się na wysokim poziomie, a ekspedycji udawało się unikać poważniejszych wypadków — jedynym wyjątkiem było dziwne wydarzenie, które miało miejsce w obozie trzecim. Wieszczyk, czyli ptak przypominający kruka, jakimś cudem doleciał na wysokość ponad 6000 m n.p.m. i zaatakował dmuchany materac Boba Craiga, wyjęty właśnie z namiotu w celu wysuszenia na słońcu. Zanim obdarzony żółtym dziobem ptak odleciał, materac miał już tyle dziur, że nie nadawał się do użytku.

Kolejnym momentem przełomowym był 20 lipca, gdy wspinacze dotarli do obozu szóstego wyprawy Wiessnera, czyli na wysokość 7100 m n.p.m. W niższych partiach góry znaleźli wiele dowodów świadczących o działalności wyprawy z 1939 r., ale żaden nie przypominał obrazka, na jaki natknęli się pod dużą, przewieszoną skałą: wiatr podarł namioty na strzepy i nadał im wygląd szkieletów, lecz na matach wewnątrz namiotów leżały trzy starannie spakowane śpiwory i niewielkie pudełko zawierające paczkę herbaty zawiniętą w chusteczkę. Gdyby nie podarte płótno oraz lód, który przytwierdził do podłoża śpiwory, można byłoby odnieść wrażenie, że Szerpowie opuścili to miejsce nie dalej jak wczoraj. Z perspektywy Charliego Houstona ten widok był niezwykle poruszający: 14 lat wcześniej był to ostatni przystanek Pasanga Kikulego, nim wyruszył on, by ratować Dudleya Wolfe'a. Nadal nie było jednak żadnych wskazówek dotyczących tego, co spotkało sirdara tamtej ekspedycji i dwóch towarzyszących mu Szerpów.

Podczas gdy w wyższych partiach K2 Charlie kontynuował ze swoim zespołem mozolną pracę związaną z zakładaniem kilku ostatnich obozów, przebywający w bazie Ata-Ullah zabijał czas, urządzając wypadki na Lodowiec Godwina-Austena, a także przesiadując przy radiu. Każdego dnia o osiemnastej odbywał regularne rozmowy z Charliem; starał się również zapewniać rozrywkę znajdującym się powyżej wspinaczom, streszczając im światowe aktualności. Był to okres obfitujący w ważne wydarzenia: wyglądało na to, że wojna koreańska zakończy się niedługo zawieszeniem broni, natomiast w Moskwie szykowały się poważne zmiany — Ławrientij Beria, cieszący się złą sławą zausznik Stalina, został właśnie aresztowany, co świadczyło o bezwzględnej walce o władzę toczącej się w Związku Radzieckim po śmierci dyktatora, która miała miejsce kilka miesięcy wcześniej.

Polityka i świat zewnętrzny sprawiały wrażenie coraz odleglejszych, ale Ata-Ullah przekazywał drogą radiową również bardziej osobiste nowinki: pod koniec tego miesiąca Dorcas, żona Charliego, zamierzała wylecieć ze Stanów

Zjednoczonych, by spotkać się z mężem w Rawalpindi. Nie widzieli się już od dziewięciu tygodni; Charlie miał nadzieję, że jego wyprawa wróci spod K2 okryta chwałą, chociaż gdy spoglądał w górę, na zachmurzone niebo, „zwycięstwo” nie było pierwszą rzeczą, która przychodziła mu na myśl.

Ata-Ullah niezmiennie dodawał pod koniec każdego ze swoich komunikatów meteorologicznych, że nadchodzą kolejne burze i zawirowania pogodowe. 23 lipca Charlie i jego towarzysze zostali uwięzieni w namiotach na następne dwa dni, a wyjący wokół nich wiatr nie zapowiadał możliwości podjęcia w najbliższym czasie wspinaczki. Gdy pogoda się poprawiła, kolejne fragmenty drogi okazały się jeszcze trudniejsze. Powyżej obozu szóstego znajdowały się strome ściany Czarnej Piramidy, niemal 300 metrów ciemnego granitu wypolerowanego przez schodzące od setek lat lawiny i spadające kamienie. Ścianę urozmaicały jedynie wąskie żleby wypełnione śniegiem oraz połogie fragmenty skały pokryte zdradliwym lodem.

27 lipca wspinacze zorganizowali pierwszy wypad mający na celu pokonanie Czarnej Piramidy. Dla Charliego Houstona była to najtrudniejsza, ale i najbardziej satysfakcjonująca postać wspinaczki górskiej; ze względu na to, że teren stawał się coraz trudniejszy, postępy były powolne i towarzyszyło im wiele niebezpieczeństw. W niższych partiach góry uczestnicy wyprawy przemieszczali się czasem, nie wiążąc się liną, ale teraz nie mieli innego wyjścia, jak uważnie się asekurować. Gdy po czterech godzinach dotarli wreszcie na szczyt Piramidy, Charlie był tak zmęczony i zdrętwiały z zimna, że pozwolił swoim młodszym partnerom, Bobowi Craigowi i George'owi Bellowi, ruszyć wyżej i samodzielnie znaleźć miejsce, w którym miał stanąć następny obóz.

W obliczu pogarszającej się pogody kilku uczestników wyprawy zaczęło korzystać z nowoczesnych Bunny Boots. W przeciwieństwie do tradycyjnych, skórzanych butów, były one wykonane z gumy, a ich konstrukcja skrywała uszczelnioną wewnętrzną warstwę, która funkcjonowała niczym bariera

termiczna, utrzymując ciepło w środku, a chłód — na zewnątrz. Opisywane tu buty ułatwiały wspinaczom życie, ale nikt nie mógł liczyć na to, że będzie mu naprawdę ciepło.

Najgorszą częścią wyprawy były burzowe dni, które zmuszały wspinaczy do krycia się w namiotach i nie miały zamiaru ustąpić. 28 lipca, gdy Dee Molenaar spędzał kolejny bezproduktywny dzień w obozie szóstym, utrwalił w swoim pamiętniku rozważania dotyczące ryzyka odmrożeń. Zastanawiał się również, jak daleko będzie skłonny się posunąć, by dotrzeć na szczyt. Wszyscy wiedzieli, że Maurice Herzog — Francuz, który w 1950 r. wspiął się na Annapurnę — za przywilej bycia pierwszym w historii zdobywcą ośmiotysięcznika zapłacił amputacją wszystkich palców u nóg i większości palców u rąk. Dee zadawał sobie jednak pytanie, czy szczyt naprawdę może być tego wart:

Czy znajdując się na takiej wysokości i odczuwając ekscytację związaną ze zbliżaniem się do celu, z którym wiązały się miesiące planowania, zapomnę o wszystkich potencjalnych konsekwencjach zmarzniętych stóp i będę parł do góry? A może zdołam racjonalnie ocenić wartość realizacji tego ważnego celu w kontekście faktu, że przez resztę życia musiałbym sobie przypuszczalnie radzić bez palców u nóg (a może i innych części ciała)?^[2]

Dee wciąż czuł, że jest w dobrej formie, ale spędził już na dużej wysokości wystarczająco dużo czasu, by uświadomić sobie, iż potrafi ona przytłumić rozsądek tudzież wywołać u wspinacza irracjonalne zachowania — i nie chodziło tu wyłącznie o to, by każdy dbał o swoje kończyny. Każda rzecz, która przytrafiłaby się jednemu z nich, miałaby wpływ na cały zespół, a Dee był świadom tego, że sprowadzenie z K2 osoby zmagającej się z poważnym urazem było praktycznie niemożliwe.

Odmrożenia nie były jedynym zagrożeniem. Z większej odległości K2 sprawiał wrażenie ogromnej, solidnie związanej piramidy skalnej, ale po przyjrzeniu się górze z bliska

okazywało się, że spora część tych skał jest bardzo krucha. Wystarczyło trącić taki kamień, by poleciał on w dół. Gdy wspinacze po raz drugi ruszyli w kierunku Czarnej Piramidy, stawiając sobie za cel założenie obozu siódmego, Tony Streater został trafiony spadającym odłamkiem skalnym. Wszedł z tej sytuacji bez szwanku, ale miał mnóstwo szczęścia, a cała ta historia mogła się skończyć poważnymi obrażeniami.

Gdy wydawało się już, że pogoda nigdy się nie zmieni, rankiem 30 lipca wspinacze powitało bezchmurne niebo i mocno przygrzewające słońce. Charlie miał nadzieję, że zaczyna się właśnie okres stabilnej pogody — pomijając wszystko inne, w 1938 r. przez większą część lipca towarzyszyła im sprzyjająca aura i wycofali się z góry nie tyle w połowie załamania pogody, co spodziewając się pogorszenia warunków. Podczas tej wyprawy znaleźli już drogę pozwalającą pokonać Czarną Piramidę; teraz potrzebowali tylko kilku następujących po sobie pogodnych dni, by założyć trzy następne obozy. Potem mogliby już zacząć realistycznie myśleć o ataku szczytowym.

Zarówno marzenia Charliego, jak i okno pogodowe okazały się jednak przelotne: kilka godzin później wróciły chmury i mróz. Nie mieli innego wyjścia poza kontynuowaniem marszu do góry, ale nie mogli znaleźć miejsca na kolejny obóz. W 1938 i 1939 r. obydwie wyprawy założyły obóz siódmy na wysokości mniej więcej 7530 m n.p.m., lecz po upływie kilkunastu lat wspinacze nie natrafili w okolicy na żadne resztki namiotów i nie dysponowali żadnymi innymi wskazówkami dotyczącymi tego, gdzie ich poprzednicy mogli rozbić obóz.

Dopiero gdy Bob Craig przypadkiem przebił się przez stok i natrafił na małą jaskinię lodową, udało im się wyrąbać niewielką półkę, szeroką akurat na tyle, by pomieścić najmniejszy z ich namiotów. Podczas gdy Charlie i reszta wycofali się do chłodnych wygod oferowanych przez obóz szósty, Pete Schoening i Art Gilkey wślizgnęli się do małego namiotu i starali się jakoś ogrzać. 30 lipca Pete obchodził dwudzieste szóste urodziny, ale trudno je było świętować w małym namiocie rozbitym poniżej stromego stoku, który

wyglądał tak, jak gdyby zalegające na nim masy śniegu miały się lada chwila zamienić w lawinę.

Następnego ranka zbadali teren powyżej, licząc na to, że znajdą bezpieczniejsze miejsce, lecz ich wysiłki nie przyniosły efektów. Najwyraźniej lawiny zmieniły od 1939 r. topografię całej okolicy. Nieszczęsny Dudley Wolfe przypuszczalnie spędził tutaj w samotności ostatnie dni swojego życia, ale nie dało się ustalić, w którym dokładnie miejscu przebywał. Jedyłą korzyścią płynącą z wysiłków Schoeninga i Gilkeya było zlokalizowanie miejsca, w którym potencjalnie można było założyć obóz ósmy — był to szeroki, płaski obszar, który znajdował się na wysokości mniej więcej 7770 m n.p.m. i był na tyle duży, by pomieścić cztery namioty.

Wspinaczka na tej wysokości była bardzo męcząca; Pete Schoening nie czuł się najgorzej, ale zauważył, że jego aktualny partner wspinaczkowy, Art Gilkey, jest coraz bardziej rozdrażniony, a sytuacja robi się jego zdaniem bardzo trudna. Art nigdy nie obawiał się zimna. Spędził dwa sezony letnie na Alasce, pośrodku pola lodowego Juneau, lecz K2 był zdecydowanie najwyższą górą w jego dorobku wspinaczkowym, a teraz Gilkey borykał się z trudnościami, podobnie jak wiele osób docierających po raz pierwszy na taką wysokość. 1 sierpnia planowali zaliczyć dwa kursy do obozu ósmego, ale stopy Arta były tak zmarznięte, że wspinacze zdołali opuścić namiot dopiero po południu, gdy dołączyła do nich grupka pod wodzą Charliego.

Wszystko stawało się bardzo trudne — było zimno, wietrznie, a teren był niesłychanie eksponowany. Ekscytacja i entuzjazm, które wypełniały pierwsze tygodnie działalności na górze, ustąpiły miejsca ponurej determinacji. Niezależnie od tego, jak dobrymi byli wspinaczami i ile zaangażowania okazywali, pogoda stała się nieustępliwym i nieprzewidywalnym wrogiem. To była wojna na wyniszczenie, a oni znaleźli się na linii ognia.

Pierwszy nocleg w obozie ósmym okazał się najgorszą nocą, jaką przeżyli aż do tego momentu podczas tej wyprawy. Wiatr

szarpał ich namiotami, uniemożliwiając sen. Pete Schoening i Art Gilkey testowali eksperymentalny namiot wojskowy wykonany z nieprzemakalnego płótna. Konstrukcja została wyposażona w kilka wywietrzników, lecz wpadało przez nie tyle śniegu, że zablokowali je, by utrzymać ciepło wewnątrz namiotu. Ostatecznie zdołali zasnąć, choć gdyby nie szósty zmysł Pete'a, mogliby się już nie obudzić. Tuż po świcie Schoening wystawił na zewnątrz głowę, z trudem łapiąc powietrze. Nieprzemakalny namiot okazał się tak szczelny, że wspinacze o mały włos zatruliby się dwutlenkiem węgla. Obaj zmagali się później z potężnym bólem głowy i mdłościami, a Schoening przez kilka godzin widział wszystko podwójnie.

Następnego dnia pogoda zwyczajowo wodziła wspinaczy za nos — po pięknym wschodzie słońca warunki gwałtownie się pogorszyły. Bob Bates i Tony Streater przynieśli z obozu szóstego ostatnie ładunki zawierające jedzenie i paliwo. Po dziesięciu godzinach wspinaczki w koszmarnych warunkach, około osiemnastej dotarli wreszcie do obozu ósmego, gdzie powitało ich zdumienie towarzyszy, a także mile widziane gorące napoje. Był czterdziesty dzień ich działań na górze, a cała ośmioosobowa grupa wspinaczy znajdowała się wysoko na K2. W porównaniu z tym, co działo się w latach 1938 i 1939, było to spore dokonanie, ale jeśli chcieli wyrównać lub poprawić rekord wysokości ustanowiony przez Fritza Wiessnera, musieli pokonać w pionie ponad 600 metrów; od wierzchołka dzieliłoby ich wtedy jeszcze 200 metrów. Charlie za wszelką cenę starał się zachować optymizm: do zdobycia K2 potrzebowali zaledwie trzech dni dobrej pogody. Brzask nie przyniósł jednak poprawy sytuacji. Jeśli warunki się zmieniły, to na gorsze.

Przez niemal tydzień tkwili w obozie, uwięzieni przez najgorszą burzę, z jaką mieli dotychczas do czynienia. W swojej autobiografii, *The Love of Mountains Is Best*, Bob Bates napisał, że można było niemalże odnieść wrażenie, iż góra chce ich zabić. Byli kompletnie przemarznięci pomimo tego, że mieli na sobie dwa komplety bielizny, watowane spodnie i kurtki, odzież

odporną na działanie wiatru i podwójne anoraki. Co gorsza, było tak wietrznie, że nie byli w stanie korzystać z maszynek do gotowania. To oznaczało, że nie mogli liczyć ani na ciepłe jedzenie, ani na wodę. Gdy zdesperowani próbowali topić śnieg w ustach, tylko się w ten sposób wychładzali. W którymś momencie Bob Bates na próżno starał się rozpuścić śnieg, ubijając go w metalowym kubku; po jakimś czasie sfrustrowany zarzucił jednak ten pomysł.

W nocy 4 sierpnia, podczas trzeciej doby burzy, nieprzemakalny namiot ustąpił wreszcie pod naporem żywiołów. Przez kilka godzin poprzedzających ten moment Charlie Houston i George Bell leżeli w środku, obserwując kolejne rozdarcia pojawiające się na płótnie nad ich głowami. Wiedzieli, że jeśli namiot się rozpadnie, będą musieli jakimś cudem włożyć w ciemnościach buty i kurtki. Tuż po świcie maszty się połamały, a materiał, z którego wykonano namiot, rozpadł się na strzępy. Wspinaczom pozostało jedynie zabrać swoje śpiwory i wpełznąć do najbliższego namiotu.

Gdy Charlie wiele lat później pisał o tych wydarzeniach, wspominał owe burzowe dni jako doświadczenie pozwalające budować charakter. Nagranie dźwiękowe zarejestrowane na taśmie tuż po tym, jak wrócili do bazy, nie zawiera jednak żadnej wzmianki o niczym poza kompletną nudą oraz nieustającą walką z wrogimi żywiołami:

Leżysz tam w swoim śpiworze, jest ci ciepło, zasypuje cię śnieg, wiatr szarpie materiałem namiotu nad twoją głową, nie jesteś w stanie gotować, nie możesz uruchomić maszynki, nie możesz roztopić śniegu, by zapewnić sobie wodę — wydaje się, że nie sposób tego znieść, a ten stan ciągnie się, ciągnie i ciągnie^[3].

O dziwo uczestnicy wyprawy nie mieli jeszcze zamiaru się poddawać. 5 sierpnia^[4] w trakcie chwilowej poprawy pogody przeprowadzili tajne głosowanie mające na celu wyłonienie pierwszych dwóch zespołów atakujących szczyt. Plan był prosty: gdy tylko wiatr ustanie, chcieli się wspiąć na wysokość

mniej więcej 8230 m n.p.m., do podstawy piramidy szczytowej, a następnie założyć tam obóz dziewiąty stanowiący ostatnie schronienie poniżej wierzchołka K2. Miał tam stanąć jeden dwuosobowy namiot. Pierwszy zespół szczytowy zostałby tam z zapasami pozwalającymi przetrwać kilka dni i przy pierwszej nadarzającej się okazji spróbował zdobyć K2. Gdyby ta próba zakończyła się sukcesem, wszyscy wycofali by się do bazy tak szybko, jak to możliwe. W przypadku niepowodzenia ataku szczytowego zespół miał wrócić do obozu ósmego i ustąpić miejsca drugiej parze (w razie potrzeby później do góry mógłby jeszcze ruszyć trzeci zespół). Jedyne, czego potrzebowali, to owych nieuchwytnych trzech dni dobrej pogody: jednego, by dotrzeć do obozu dziewiątego, jednego na zdobycie szczytu i jednego na powrót.

W skład pierwszej dwójki atakującej szczyt mieli wejść fizyk jądrowy z Los Alamos George Bell oraz absolwent filozofii Bob Craig. Druga para miała się składać z Pete'a Schoeninga i Arta Gilkeya. W epoce nacechowanej rywalizacją między narodami wiele zespołów przyjeżdżało na Wschód z flagami, które można było potem rozwinąć na szczycie upatrzonej góry, ale Charlie Houston nie przywiózł ze sobą niczego takiego. Jak zawsze pomysłowy Dee Molenaar namalował zatem flagę „cztery w jednym”, łącząc symbole Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Pakistanu i Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W tym samym czasie w oddalonych o kilkanaście tysięcy kilometrów Stanach Zjednoczonych nikt nie miał pojęcia, z czym boryka się zespół Houstona, lecz sukcesy Brytyjczyków na Mount Evereście oraz Austriaków i Niemców na Nanga Parbat doprowadziły do gwałtownego wzrostu zainteresowania prasy działaniami na K2. 6 sierpnia na łamach „Boston Herald” ukazał się artykuł, w którym donoszono, że amerykański zespół jest bliski osiągnięcia swojego celu, a według posłańców, którzy dopiero co dotarli do Skardu, wszyscy są zdrowi i w doskonałych nastrojach. Prawdziwy obraz przedstawiał się jednak tego dnia zupełnie inaczej.

Charlie obudził się, rozpaczliwie marząc o odmianie losu. Dokładnie 19 lat wcześniej, nie zważając na wszelkie przeciwności, wywalczył sobie drogę na szczyt Mount Foraker na Alasce — to właśnie ta wyprawa zapewniła mu reputację ważnej postaci w amerykańskim świecie wspinaczki górskiej. Utrzymywał, że członkowie jego zespołu posiadali tyle umiejętności i siły woli, iż gdyby tylko natrafili na okno pogodowe, musieliby odnieść sukces. Gdy jednak wysunął głowę z namiotu i natychmiast został zaatakowany przez wiatr, zrozumiał, jak próżne były jego nadzieje.

Gdy Charlie przeprowadził codzienną kontrolę stanu zdrowia wspinaczy, jego nastrój jeszcze bardziej się pogorszył. Dwa dni wcześniej podczas głosowania członkowie wyprawy zdecydowali, że George Bell będzie członkiem pierwszego zespołu szczytowego, ale teraz na obu jego piętach widoczne były objawy odmrożeń. W takim stanie nie miał szans podjąć dalszej wspinaczki w kierunku szczytu. Po krótkiej dyskusji ustalono, że Dee Molenaar zabierze George'a do obozu szóstego, by ten spróbował wykurować tam odmrożenia, natomiast miejsce Bella w zespole szczytowym zajmie Pete Schoening. Bob Bates i Tony Streater zgodzili się zejść razem z Bellem i Molenaarem do obozu szóstego i przynieść stamtąd więcej jedzenia i paliwa.

Kiedy podczas wieczornej rozmowy radiowej z bazą Charlie wyjaśnił Ata-Ullahowi, że doszło właśnie do zmiany planów, Pakistańczyk był w głębi ducha zadowolony z tego, iż Amerykanie postanowili w końcu podzielić zespół. W bazie położonej na Lodowcu Godwina-Austena na wysokości nieco powyżej 5000 m n.p.m. panowała stosunkowo dobra pogoda, lecz za każdym razem, gdy Ata-Ullah spoglądał w górę, widział chmury przesłaniające górną połowę K2, a dzięki pakistańskim komunikatom meteorologicznym wiedział, że pogoda w najbliższym czasie się nie zmieni. Oficer łącznikowy odniósł wrażenie, że usłyszał w głosie Charliego nutkę ulgi, gdy Amerykanin przyznał, iż być może wkrótce będą zmuszeni do całkowitego wycofania się z K2.

Następnego ranka wiatr nie zelżał, ale przynajmniej wszyscy czuli, że tak czy siak coś się wkrótce wydarzy. George i Dee przygotowywali się do rozpoczęcia zejścia. Pete i Bob Craig szykowali się z kolei do dalszej wspinaczki i założenia obozu dziewiątego. Bob wyjął właśnie aparat fotograficzny, gdy dostrzegł Arta Gilkeya wyłaniającego się ze swojego namiotu. Dokładnie w chwili, w której Bob nacisnął spust migawki, Art przewrócił się i upadł na śnieg.

Wstał, skarżąc się na skurcz, który dokuczał mu od kilku dni, lecz gdy Charlie go zbadał, odkrył, że sytuacja jest dużo poważniejsza. W lewej nodze Arta doszło do zakrzepowego zapalenia żył. Tego rodzaju stan zapalny wywoływany jest przez skrzeplinę i występuje częściej u kobiet w podeszłym wieku. Charlie nie przypominał sobie, by ta choroba pojawiła się kiedykolwiek w trakcie jakiejś wyprawy wysokogórskiej, ale nie miał wątpliwości, że postawiona przez niego diagnoza jest prawidłowa.

W przypadku szybkiego rozpoczęcia leczenia zakrzepowe zapalenie żył nie stanowiło zagrożenia dla zdrowia, lecz górne partie K2, gdzie krew wspinacza mogła być dwukrotnie gęstsza niż u człowieka przebywającego na poziomie morza, były najgorszym możliwym miejscem dla kogoś, w którym organizmie utworzył się zakrzep. Nie było innego wyjścia: musieli sprowadzić Arta na dół, i to szybko. Szczyt musiał zaczekać, przynajmniej na razie.

Rozdział 8

Człowiek potrzebujący pomocy

Drugi raz z rzędu amerykańska wyprawa miała na K2 człowieka, który potrzebował pomocy.

Jako wspinacz Art Gilkey nie mógł być porównywany z Dudleyem Wolfe'em, który zasługiwał raczej na miano bywalca salonów. Art pracował jako przewodnik w paśmie Teton, dokonał błyskawicznego wejścia na słynącą z trudności górę Devils Tower w stanie Wyoming, a na dodatek spędził sporo czasu w alaskańskiej dzicy. Jako geolog z wykształcenia i zamiłowania był przyzwyczajony do długich wyjazdów w odludne tereny. W trakcie tej wyprawy często był prowadzącym w zespołach i zaimponował wszystkim swoimi umiejętnościami oraz entuzjazmem. Został wybrany do drugiego zespołu szczytowego i żywił nawet nadzieję, że być może wszyscy zdołają dotrzeć na wierzchołek K2. Teraz to wszystko wydawało się jednak nierealne.

Art próbował robić dobrą minę do złej gry i starał się umniejszać problem. Twierdził, że to tylko skurcz, który męczył go od kilku dni. Było mu bardzo przykro i nie chciał być dla wszystkich ciężarem. Charlie Houston od razu zdał sobie jednak sprawę z powagi sytuacji. Zakrzepowe zapalenie żył mogło być podczas wyprawy wspinaczkowej równie nieoczekiwanym schorzeniem, jak ospa prawdziwa, ale nie było wątpliwości, że narzekanie na pecha nikomu nie pomoże. Charlie owinął obie nogi Arta bandażami elastycznymi i poszedł porozmawiać z resztą wspinaczy.

Powiedział im, że stan zdrowia Arta nie zagraża w tym momencie jego życiu, ale jeśli zakrzep się powiększy lub oderwie, może dotrzeć do płuc, co oznaczałoby niemal pewną śmierć. Jedynym wyjściem z sytuacji było jak najszybsze sprowadzenie chorego z K2 — pytanie tylko, jak mieli tego dokonać?

Pozytywnym aspektem sytuacji było to, że cały zespół był razem i inaczej niż w 1939 r., nikt nie musiał pokonywać długiej drogi z bazy, by rozpocząć sprowadzanie Arta w dół. Był jednak i negatywny aspekt: podczas gdy Dudley Wolfe mógł się samodzielnie poruszać (choć był słaby), Gilkey nie był tak naprawdę w stanie chodzić i znajdował się o 300 metrów wyżej. Pete Schoening i Bob Craig mieli doświadczenie związane z górskimi akcjami ratowniczymi. Uważali, że operacja sprowadzenia Arta na dół jest wykonalna, ale jak pisał później Charlie, w tych zapewnieniach „brakowało przekonania”. Gdzieś w głębi ducha wszyscy podejrzewali, że Art przeżyje przypuszczalnie tylko kilka dni, a wszelkie próby ratowania go ściągną niebezpieczeństwo na nich wszystkich. Co innego mieli jednak zrobić — opuścić go? Zostać z nim i patrzeć, jak umiera?

O dziesiątej rano opuścili obóz. Umieścili Arta w jego śpiworze i owinęli resztkami zniszczonego, nieprzemakalnego namiotu. Później spakowali swoje plecaki — zabrali mały namiot, śpiwory, aparaty fotograficzne, odrobinę jedzenia i cenne pamiątki. Tuż przed opuszczeniem obozu Charlie w przypływie dbałości o porządek starał się wszystko uprzątnąć, składając pozostałe namioty i wyrzucając resztę prowiantu za pobliską krawędź skalną. Zanim jednak dokończył te działania, został wypchnięty przez towarzyszy z obozu.

Gdy wspinacze z trudem schodzili stokiem, miękki, puszysty śnieg stawał się coraz głębszy, aż wreszcie zaczęli się w nim zapadać po pas. Po kilkuset metrach stało się oczywiste, że jeśli będą kontynuować wędrówkę tą drogą, ogromne masy śniegu nagromadzone na zboczu zamienią się w lawinę, która zabierze ich ze sobą. W tej sytuacji musieli zawrócić. Jeżeli transportowanie Arta w dół było trudne, wciąganie go do góry

okazało się prawie niewykonalne. W artykule napisanym kilka miesięcy później dla „Saturday Evening Post” Bob Bates obrazowo przedstawiał cały ten proces:

Potrzebowaliśmy godziny i piętnastu minut, by dotrzeć z Artem z powrotem do obozu. Nie mogliśmy go ciągnąć, ale mógł stanąć, opierając się na czekanie, a potem rzucał się do tyłu, podczas gdy dwie osoby po jego bokach starały się go ciągnąć. George jest wyjątkowo silny i ostatecznie wypracowali z Artem i Dee system pozwalający pokonać grawitację i głęboki śnieg^[1].

Kiedy wspinacze dotarli do obozu ósmego, Charlie był bardzo zadowolony z tego, że jego wcześniejsze próby uprzątnięcia wszystkiego zostały przerwane. Wśród mroźnego wiatru zdołali ponownie rozbić namioty złożone kilka godzin wcześniej, lecz nastroje były ponure. Byli uwięzieni na wysokości 7770 m n.p.m.; musiało upłynąć kilka dni, by śnieg poniżej ich obozu związał się z podłożem i stał się twardszy, choć nie było pewności, czy w ogóle do tego dojdzie. Na dodatek pogoda robiła się coraz gorsza.

Oczekiwanie nie wchodziło w grę. Art był najbardziej nagłym problemem, ale na tym etapie wyprawy mieli za sobą niemal tydzień, który spędzili uwięzieni w namiotach. Ten czas dał się wszystkim we znaki. Dee Molenaar zapisał w swoim pamiętniku, że wszyscy byli wymizerowani; on sam schudł przypuszczalnie do jakichś 64 kilogramów, czyli siedem kilogramów poniżej swojej normalnej wagi. W taki czy inny sposób musieli dostać się na dół. Pete Schoening i Bob Craig zaproponowali, że spróbują poszukać innego zejścia. Dwie godziny później wrócili, przynosząc dobre wieści. Znaleźli inną drogę, prowadzącą granią skalną, która kończyła się stromą ścianą. Stamtąd można było opuścić Arta do punktu znajdującego się na wysokości obozu siódmego, a następnie rozbujać go na linie lub przeciągnąć w bok, co pozwoliłoby pokonać pokryte lodem zbocze pomiędzy obozem a ścianą, wzdłuż której miał być opuszczany chory. Było wiadomo, że

cała operacja nie będzie łatwa, ale przynajmniej nie groziło im to, iż wywołają jakąś lawinę.

Gdy Charlie Houston połączył się tego wieczoru przez radio z Ata-Ullahem przebywającym w bazie, miał trudności z nadaniem własnemu głosowi zwyczajowego, optymistycznego brzmienia. „Morale wciąż jest wysokie”, powiedział, ale niemal od razu dodał: „Walczymy o życie”. Wcześniej podczas tej wyprawy Charlie i Ata-Ullah dyskutowali na temat technik związanych z działaniami ratowniczymi na dużej wysokości i obaj doszli do nieuchronnej konkluzji, że „jeśli dotrzesz w górne partie K2, albo zejdziesz stamtąd o własnych siłach, albo już tam zostaniesz”^[2]. Kiedy Charlie opisał objawy zaobserwowane u Arta, Ata-Ullah zgodził się z tym, że musi to być zakrzepowe zapalenie żył. Zaproponował, że wyruszy do góry i spotka się z Amerykanami w połowie drogi, w obozie czwartym, ale Charlie nie był pewien, czy zdołają tam w ogóle dotrzeć i nie chciał, by Ata-Ullah sam wpakował się w kłopoty. Wiadomości, jakie miał do przekazania Amerykanom ich pakistański oficer łącznikowy, również były ponure: nie tylko oni zmagali się z fatalną pogodą. Dokładnie tego samego dnia służby meteorologiczne w Karaczi, największym mieście Pakistanu, odnotowały najwyższy opad deszczu w historii pomiarów — w ciągu 24 godzin spadło niemal 280 milimetrów wody. Szacowano, że powodzie, które były następstwem tej ulewy, pochłonęły setki ofiar.

Następnego ranka Art powiedział, że czuje się nieco lepiej, więc cały zespół postanowił poczekać jeszcze jeden dzień, licząc na to, iż dalsza poprawa stanu zdrowia chorego ułatwi jego transport na dół. Ponieważ zaczęła im się kończyć żywność, Charlie Houston, Tony Streater i Dee Molenaar podjęli próbę zejścia do obozu siódmego, w którym zostawili niewielki zapas jedzenia. Po pokonaniu zaledwie 30 metrów byli jednak zmuszeni zawrócić w obliczu kolejnej burzy.

Kiedy Charlie ruszył w dół, Bob Craig i Pete Schoening — w teorii członkowie pierwszego zespołu, który miał atakować

szczyt — motywowani bardziej przekorą niż nadzieją, postanowili pójść do góry i sprawdzić, jak daleko dotrą. Odpowiedź na nurtujące ich pytanie brzmiała: „niezbyt daleko”. Niskie chmury ograniczyły widoczność do kilku metrów. W przypadku niebezpiecznego terenu, takiego jak stoki powyżej obozu ósmego, dalsza wspinaczka w takich warunkach byłaby samobójstwem.

Charlie przedstawił nowy plan: zostałyby w obozie ósmym z Artem i być może jeszcze jedną osobą, a cała reszta zeszlaby do obozu szóstego. Po odzyskaniu sił wspiełiby się z powrotem do obozu ósmego i pomogli Charliemu i Artowi w zejściu. Ten scenariusz przypominałby początek wyprawy na K2 z 1938 r., gdy Charlie Houston został w Askole, by opiekować się Paulem Petzoldtem, podczas gdy reszta wyprawy ruszyła dalej. Nikomu nie podobał się jednak pomysł rozdzielania zespołu — zostać samemu w ciepłej, dobrze zaopatrzonej wiosce położonej 160 kilometrów od bazy to jedno, natomiast opiekowanie się chorym na wysokości 7770 m n.p.m. było już czymś zupełnie innym.

Późnym popołudniem pogoda odrobinę się poprawiła, ale podczas wieczornej rozmowy radiowej Ata-Ullah miał do przekazania wspinaczom wyłącznie następną porcję złych wiadomości. Nadchodziła kolejna potężna burza. To nie takie wieści chciał usłyszeć Charlie. Zwrócił uwagę na to, że prawa noga Arta zrobiła się tak samo obolała, jak lewa. Jeszcze bardziej złowieszczym objawem było to, że jego wysokogórski pacjent spędził ostatnią noc, kaszląc. Jeżeli zakrzep był już w drodze do płuc, Art miał przed sobą co najwyżej kilka dni życia.

9 sierpnia sytuacja wspinaczy zrobiła się jeszcze trudniejsza niż dotychczas. Wśród szalejącej zamieci śnieżnej Charlie urządził obchód pacjentów. Niemal połowa jego zespołu miała objawy odmrożeń, a Art wyglądał tak, jak gdyby wkrótce miał umrzeć. Dee Molenaar zaczął pisać list do swojej żony Lee. Jak stwierdził, sytuacja była „bardziej beznadziejna niż cokolwiek, czego doświadczył w życiu”. Jego jedynym pocieszeniem były

silne więzi, które łączyły ich jako zespół, oraz pełna determinacja, by dbać o siebie nawzajem.

Choć znajdujemy się w rozpaczliwej sytuacji, nikt nie skupia się na myśleniu o sobie. Zejdziemy na dół albo w komplecie, albo wcale^[3].

Następnego ranka więzi łączące zespół zostały wystawione na najcięższą możliwą próbę.

O dziewiątej rano Charlie skontaktował się drogą radiową z Ata-Ullahem i powiedział mu, że zaraz rozpoczynają drugą próbę sprowadzenia Arta na dół. Po zsynchronizowaniu zegarków Charlie obiecał, że za sześć godzin ponownie skontaktuje się z bazą. Później wyciągnęli na zewnątrz Arta w jego śpiworze, owinęli go namiotem i opatulili mu stopy plecakiem. Houston podał mu morfinę, by uśmierzyć ból, a następnie przymocowali do chorego cztery liny: jedną na górze, jedną na dole i po jednej po obu bokach. W sytuacji, gdy choroba objęła obydwie nogi, nie było mowy o tym, by Art odegrał jakąkolwiek rolę w walce o swoje ocalenie. Przypominał niemowlę: był bierny, z grubszą poowijany i całkowicie zależny od innych. Jego twarz zrobiła się szarosina, ale gdy ktoś się do niego odzywał, chory próbował przywołać na usta uśmiech i zapewniał, że dobrze się czuje.

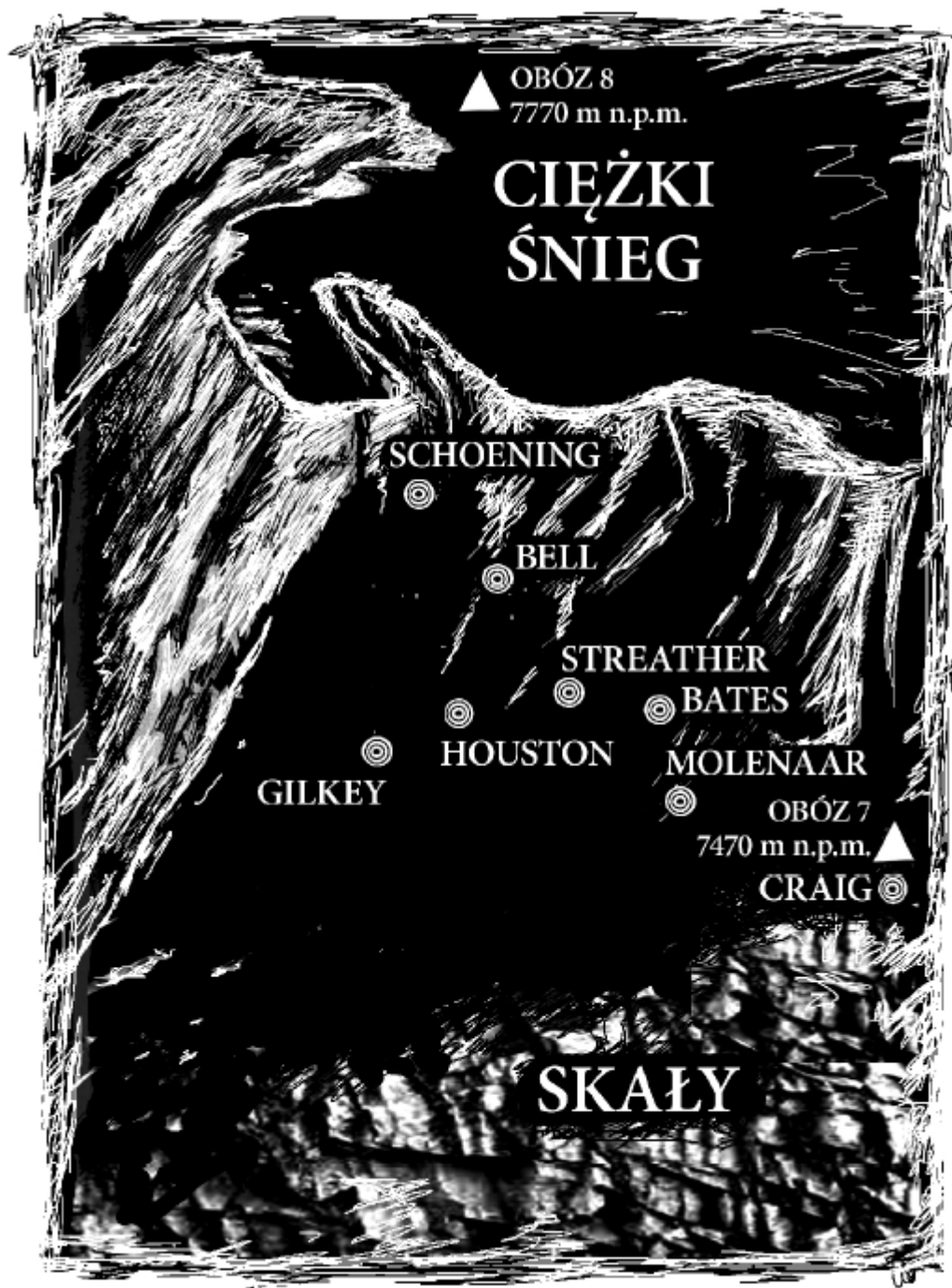
Pete Schoening i Dee Molenaar mieli opuścić obóz jako pierwsi. Ich zadanie polegało na tym, by zejść po skałach, wyszukać drogę, a następnie przetraversować do obozu siódmego i zabrać stamtąd zapas liny, która mogła się okazać przydatna podczas dalszego schodzenia. Śladami tej dwójki miała podążać reszta zespołu razem z Artem. Na bardziej płaskich odcinkach musieli ciągnąć go przez zaspę; w bardziej stromym terenie walczyli o to, by nie zjeżdżał za szybko. Wszyscy mieli na sobie po kilka warstw ubrań, ale szybko zaczęli marznąć ze względu na bardzo powolne tempo, w jakim się poruszali. Ich brody i rzęsy pokryły się lodem. Wiatr atakował ich, podrywając śnieg, aż wreszcie doszło do tego, że schodzili przy zerowej widoczności.

— Lawina!

Tony Streater dostrzegł, że lina przecina szczyt zaspy, ale zanim zdołał ostrzec swojego partnera, Boba Craiga, który znajdował się wówczas trzy metry niżej, ogromna masa lodowatego śniegu zaczęła spływać w dół, pokrywając wszystko, co znalazło się na jej drodze.

Bob był nie tylko jednym z najmłodszych wspinaczy w zespole, ale zaliczał się też do grona najsilniejszych. Brał udział w górskich akcjach ratowniczych w Stanach Zjednoczonych, lecz nigdy nie miał do czynienia z tak wymagającą sytuacją. W tym momencie szedł niezwiązany na czele, starając się pomóc w opuszczaniu Arta stromym żlebem. Streater był wyżej i korzystał z krzyków oraz gestów, by przekazywać informacje od Craiga Houstonowi i Batesowi, którzy trzymali liny przytwierdzone do Gilkeya. Kiedy lawina uderzyła we wspinaczy, Houston i Bates mieli na tyle dużo czasu, by przygotować się na jej atak. Lina wytrzymała, a Craig nie dał się porwać lawinie, chociaż był tak zaszokowany i wychłodzony, że musiał zostawić chorego i przetraversować do obozu siódmego, by zebrać tam siły.

Gdy starał się jakoś rozgrzać i strzepywać śnieg ze swojej kurtki, pozostali wspinacze opuszczali Arta, starając się doprowadzić do sytuacji, w której znajdzie się on na wysokości obozu siódmego. Później zamierzali jakoś rozhuścić go na linie i przerzucić na drugą stronę oblodzonego stoku znajdującego się na drodze do obozu. Gdy przygotowywali się do tej bardzo trudnej operacji, Pete Schoening zajął pozycję niecałe 20 metrów wyżej, ubezpieczając Arta przy użyciu pojedynczej liny.



Mapa 6. Próba ratowania Gilkeya, 10 sierpnia 1953 r.

Inni podjęli środki ostrożności i związali się w pary — Bates i Houston związali się jedną liną, a Bell i Streater drugą. Gdy Dee Molenaar uświadomił sobie, że został sam, przywiązał się do Gilkeya. Nawalnica nie ustępowała ani na moment.

Jak można się było spodziewać, chwilę później jeden ze wspinaczy nagle się poślizgnął.

Przydarzyło się to mierzącemu 196 centymetrów wzrostu George'owi Bellowi, który schodził, by zająć się linami przymocowanymi do chorego. Łup. Upadł na plecy i zaczął sunąć po zboczu, pociągając za sobą Tony'ego Streathera. Tony starał się powstrzymać upadek partnera, ale było za późno. Łup. Wpadł na linę łączącą Charliego Houstona i Boba Batesa. Łup. Charlie zaczął koziółkować w dół. Bob próbował wbić głowicę czekana w śnieg, by powstrzymać dalszy zjazd, ale zanim się zorientował, on też leżał na plecach z kapturem zarzuconym na głowę i zjeżdżał w dół po twardym lodzie. Łup. Ktoś trafił w linę łączącą Dee Molenaara z Artem Gilkeyem, przez co ten pierwszy też zaczął spadać. W ciągu kilku sekund pięciu mężczyzn zaczęło się ślizgać, staczać i podskakiwać po oblodzonym stoku, zmierzając w stronę mierzącego niemal trzy kilometry urwiska, u którego podstawy znajdował się Lodowiec Godwina-Austena.

„Zupełnie niczego nie czułem” — wspominał wiele lat później George Bell. Bob Bates też dokładnie zapamiętał tę chwilę i poczucie rezygnacji, które go wówczas opanowało: „To był koniec. Miałem za sobą długą karierę wspinaczkową, ale właśnie dobiegła ona kresu”^[4].

Wysoko nad nimi Pete Schoening dostrzegł kątem oka, że George Bell się poślizgnął i pociągnął za sobą Tony'ego Streathera. Pete nie mógł im w żaden sposób pomóc, ale na wypadek, gdyby jakoś zaplątali się w liny biegnące do Arta, odwrócił się w kierunku stoku i przygotował się na szarpnięcie. Lina łącząca Pete'a z Artem przebiegała najpierw wokół jego pleców, a potem wokół głowicy jego czekana zaklinowanego za skałą. Sekundy zamieniły się w milisekundy, a Pete czekał, aż coś się wydarzy. Wtedy nadeszło szarpnięcie. Ł-u-u-u-u-p. Czekan zadrżał, a nylonowa lina rozciągała się do granic swojej wytrzymałości.

Gdy kilka miesięcy wcześniej przyjaciel Pete'a, Tom Miller, usłyszał, że jego kumpel wybiera się na K2, pożyczył mu swój ulubiony czekan. Jego stylisko nie zostało wykonane z europejskiego jesionu, tak jak w przypadku większości czekanów, ale z amerykańskiej hikory, która jest dużo solidniejszym drewnem. Musiała być mocna, gdyż Pete zapewniał właśnie asekurację sześciu mężczyznom — Artowi Gilkeyowi i wszystkim pozostałym wspinaczom oprócz Boba Craiga. Ich liny splątały się, tworząc gigantyczny supeł, a przed dalszym upadkiem powstrzymywał wszystkich tych wspinaczy tylko Pete Schoening i jego czekan z hikory. Jedna skaza drewna, jeden wadliwy fragment liny, jakikolwiek ruch skały, za którym zaklinowany był czekan — to wystarczyłoby, żeby wszyscy polecili w przepaść, pociągając za sobą również Pete'a.

W obozie siódmym zamieć śnieżna na chwilę ucichła, dzięki czemu Bob Craig zobaczył stok, z którego dopiero co uciekł. To, co ujrzał, nie miało żadnego sensu. Dostrzegł pojedynczy czekan wbity w lód, ale wszyscy jego towarzysze zniknęli. Chwilę później wiatr znów zaczął wzbijać tumany śniegu, przesłaniając Bobowi widok.

Z perspektywy jego przyjaciół zjeżdżających stokiem K2 całe wydarzenie było zaskakująco bezbolesne. Nie było żadnych skał, w które mogliby uderzyć lub które zatrzymałyby ich upadek. Dee Molenaar odczuł ten upadek bardziej jako lot, natomiast z punktu widzenia Boba Batesa wszystko rozegrało się tak szybko, że praktycznie nie miał czasu, by zareagować. Jego czekan został gdzieś w górze, kaptur zakrył mu głowę, a liny, w które się zaplątał, sprawiały, że był równie bezradny, jak Art Gilkey. Mógł zrobić tylko jedno: czekać na nieuchronny moment, w którym straci przytomność.

Chwilę później Bob nagle się zatrzymał. Nie był w stanie się ruszyć, ale gdy zdołał zaczerpnąć tchu, uświadomił sobie, że siedzi na stosie kamieni. Zaczął wzywać pomocy i ku swojemu zdumieniu usłyszał głos dochodzący z dołu. Należał on do Dee Molenaara, który krwawił z nosa i wciąż nie mógł złapać po

upadku tchu, ale powoli piął się do góry. Gdy Dee rozplątał liny, Bob z trudem wstał z kamieni.

Stopniowo z mgły zaczęły dochodzić głosy, a w ślad za nimi pojawiały się sylwetki. Tony Streather znajdował się 15 metrów wyżej i starał się uwolnić z lin owiniętych wokół jego pasa. George Bell był niecałe 20 metrów niżej, ale piął się z rękami wyciągniętymi przed siebie niczym zombie, stopniowo oddalając się od pustki znajdującej się poniżej. Fizyk jądrowy z Los Alamos stracił swój plecak, okulary i rękawice; miał jako krótkowidz tak dużą wadę wzroku, że ledwie widział to, co miał przed nosem, ale czuł, iż coraz bardziej marzną mu dłonie. Na szczęście Bob miał w kieszeni zapasową parę rękawiczek, chociaż włożenie ich na sztywne i zmarznięte palce George'a nie było wcale łatwe.

To właśnie wtedy Bob dostrzegł ciemny kształt leżący pod stromymi skałami. To był Charlie Houston, mocno sponiewierany i wciąż przywiązany do liny niczym bezwładna marionetka. Gdy Bob nim potrząsnął, Charlie odzyskał świadomość, ale nie mógł się skupić i miał nieobecny wyraz twarzy, tak typowy dla osoby, która doznała wstrząsu mózgu. „Gdzie jesteśmy?”, zapytał, a potem powtarzał to pytanie raz za razem. Bob spojrzał w stronę samotnego namiotu stojącego w obozie siódmym — jedyne miejsce, które mogło im zapewnić schronienie przed wiatrem. Musieli tam dotrzeć naprawdę szybko; w przeciwnym razie wszystkim groziły poważne odmrożenia przekreślające jakiegokolwiek szanse dotarcia na dół. On sam był w stanie dostać się do obozu siódmego, ale nie było mowy, by zdołał zaciągnąć tam Charliego. Zastanawiał się przez chwilę i skupił myśli, starając się przypomnieć sobie imiona żony i córki Charliego. „Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć Dorcas i Penny, musisz zacząć się wspinać, i to już”, wrzasnął, przekrzykując wiatr.

Jego słowa odniosły zamierzony efekt. Charlie natychmiast zaczął się wspinać niczym na autopilocie, aczkolwiek dotarcie wraz z całą grupą do obozu siódmego stanowiło zaledwie połowę sukcesu; gdy się tam znaleźli, musieli jeszcze rozbić

namiot. Wiatr wył bez litości, sprawiając, że przymocowanie namiotu do podłoża było praktycznie niewykonalne: gdy tylko uporali się z jednym rogiem, inny wyrywał się na wolność. Nawet kiedy przymocowali namiot do podłoża kilkoma hakami, mata tworząca podłogę nadal wystawała poza krawędź półki.

Gdy starali się zamienić namiot w bezpieczne schronienie, znajdujący się niecałe 20 metrów nad nimi Pete Schoening nadal trzymał linę biegnącą do unieruchomionego Arta Gilkeya, który wisiał niepewnie na śnieżnym stoku. Pete uwolnił się od ciężaru reszty zespołu, ale czuł, że ze względu na zmarznięte dłonie nie będzie już w stanie długo utrzymać liny. W tej sytuacji Bob Craig wspinał się do Arta i użył swojego czekana, by przytwierdzić do zbocza linę, na której wisiał chory. Kilka minut później Tony Streater wbił drugi czekan, zapewniając Artowi całkowite bezpieczeństwo.

Mniej więcej 45 metrów na prawo Houston, Bell i Molenaar wcisnęli się do niewielkiego namiotu, by uciec przed burzą. Reszta przygotowywała drugą platformę na jeszcze mniejszą, jednoosobową płachtę biwakową, którą jeden ze wspinaczy schował do plecaka. Byli zdumieni tym, że przeżyli upadek, ale nadal znajdowali się w rozpaczliwej sytuacji. Charlie Houston miał wstrząs mózgu i prawdopodobnie złamane żebro. George Bell ledwie widział bez okularów, miał też poważnie odmrożone stopy i dłonie. Dee Molenaar dorobił się rozcięcia nad nosem i głębokiej rany na nodze, a oprócz tego skarżył się na silny ból żeber. Pete Schoening bardzo martwił się o swoje ręce, a Bob Craig nadal nie pozbierał się po lawinie, która zeszła na niego nieco wcześniej. Członkowie zespołu nie widzieli Arta Gilkeya, ponieważ był on ukryty za skalnym żebrem, ale Bob Bates odnosił wrażenie, że od czasu do czasu słyszy przez wiatr słowa zachęty wykrzykiwane przez chorego.

Zaledwie cztery miesiące wcześniej Art zajmował się swoimi sprawami w Nowym Jorku, przygotowując się do największej przygody w swoim życiu. Jako 27-latek znalazł się w sytuacji, w której poszczególne elementy jego egzystencji zaczynały się powoli układać w spójną całość. Miał pochodzącą ze Szkocji

dziewczyne i niewielkie mieszkanie na Manhattanie, a ukończone studia doktoranckie sprawiały, że otwierała się przed nim obiecująca kariera naukowa. Teraz to wszystko nie miało jednak żadnego znaczenia. Był bezwolny i unieruchomiony, nie miał też wpływu na własny los. Gdyby jego nowi przyjaciele ściągnęli go do swoich namiotów, mógł przetrwać kolejną noc, ale było wiadomo, że później będzie tylko trudniej. Od bazy dzieliło ich w pionie ponad 2400 metrów, na które składał się między innymi oblodzony skalny teren Czarnej Piramidy oraz niezwykle stromy Komin House'a. To były fragmenty drogi, o których strach było myśleć.

Jego towarzysze nie mieli jednak zamiaru tak łatwo się poddać. Gdy tylko zdołali rozbić namioty, a najciężej ranni znaleźli się w środku, Bob Bates ruszył z niewielkim zespołem w stronę Arta. Chory znajdował się jakieś 45 metrów na lewo od nich, ale wspinacze potrzebowali kilku minut, by do niego dotrzeć. Wiedzieli, że nie mają na tyle siły, by przeciągnąć Arta do namiotów w obozie siódmym, lecz nieśli dla niego trochę jedzenia i liczyli na to, że wykują dla niego niewielką półkę, dzięki czemu będzie mu trochę wygodniej.

Tony i Bob wspinali się jako pierwsi, ale obydwaj mieli problemy ze wzrokiem z powodu ślepoty śnieżnej, więc otoczenie trochę rozmazywało im się przed oczami. Gdy pokonali skalne żebro, spodziewali się zobaczyć Arta pośrodku wąskiego żlebu, w którym go zostawili — z jakiegoś powodu chorego tam jednak nie było. Wspięli się bliżej, lecz nadal nie dostrzegali nigdzie swojego towarzysza. Widzieli tylko pusty, gładki stok niknący w dole wśród mroku.

Korzystając z pomocy dwóch Bobów, którzy uważnie go asekurowali, Tony przetraversował aż do centralnej części żlebu. Nie znalazł tam niczego. Art zniknął. Stok był całkiem pusty, jeśli nie liczyć niewielkiej bruzdy wiodącej w dół. Był to jedyny ślad po lawinie, która musiała porwać ich towarzysza. Jak ujął to później Bob Bates, „Można było odnieść wrażenie, że ręka Boga jednym ruchem wymiotła stamtąd Arta”^[5].

To była szokująca kulminacja wstrząsającego dnia. Najpierw Pete Schoening zdołał jakoś ocalić ich od pewnej śmierci, a teraz Art po prostu zniknął. Jeśli Bóg miał z tym coś wspólnego, dlaczego tak się z nimi bawił? A może zabierając Gilkeya, w istocie ocalił im życie?

Gdy trzyosobowa grupka wróciła do namiotów, przyniesiona przez nią nowina wywołała szok i niedowierzanie, a także pełną odrętwienia akceptację. Nikt nie powiedział tego na głos, ale wszyscy wiedzieli, że gdyby kontynuowali tę akcję ratunkową, istniało spore prawdopodobieństwo, iż nikt nie wyszedłby z tego żywy. George Bell wspominał niemal 50 lat później:

Na tyle, na ile byliśmy zdolni cokolwiek poczuć, doznaliśmy ulgi. W sytuacji, w której wszyscy byliśmy w kiepskim stanie i zmagaliśmy się z urazami, próby dalszego opuszczania go w niższe partie góry miałyby jeszcze bardziej rozpaczliwy charakter niż wcześniejsze wysiłki^[6].

Wiatr okazał tej nocy litość i ucichł, ale wspinacze wciąż czuli się bardzo niepewnie w swoich namiotach. Wystarczyłby jeden fałszywy ruch, by rozedrzeć płótno lub doprowadzić do sytuacji, w której cały namiot poleciałby w dół. Tony Streater, Bob Craig i Pete Schoening stłoczyli się w najmniejszym namiocie. O dziwo Tony znalazł w kieszeni swojej kurtki trochę herbaty i cukru, więc zaczął przygotowywać kolejne kubki ciepłego napoju. Jedna maszynka, którą dysponowali, nie pozwalała na topienie dużych ilości śniegu, ale Streater nie ustawał w wysiłkach, dopóki tylko miał taką możliwość.

W drugim namiocie znaleźli się George Bell, Charlie Houston, Dee Molenaar i Bob Bates. Schronienie, które przypadło im w udziale, było większe, ale zbyt małe dla Charliego, który na przemian zapadał w niespokojny sen i odzyskiwał częściowo świadomość, nękany przez różne obawy. W swoim delirium wywoływał kolejno różnych członków zespołu, by sprawdzić, czy dobrze się czują, po czym próbował przekonać Boba Batesa do tego, by wpuścić do namiotu więcej

powietrza. „Jeśli tylko pozwolisz mi wyciąć dziurę” — powiedział — „a ja wystawię głowę na zewnątrz, nie umrę. W przeciwnym razie zginę w ciągu trzech minut z powodu braku tlenu. Znam się na tym — studiowałem takie rzeczy”^[7]. Bob robił co w jego mocy, by go uspokoić, lecz była to bardzo długa noc.

Wraz z nadejściem świtu wiatr znów zaatakował z pełną zaciekłością. Pozostawanie w tym samym miejscu było zbyt ryzykowne — nawet gdyby wspinacze zdołali solidnie przytwierdzić namioty, zbocze nad nimi wyglądało tak, jak gdyby zaraz miała zejść tamtędy lawina. Okazało się, że schodzenie nawet bez Arta jest ogromnym wyzwaniem. Stopy George’a Bella były tak spuchnięte, że już samo włożenie butów wymagało od niego znacznego wysiłku. Charlie Houston sprawiał wrażenie nieco przytomniejszego, ale nadal miał trudności z oddychaniem, a oprócz wstrząsu mózgu dokuczał mu również wylew podspojówkowy w prawym oku.

Znajdujące się poniżej ściany i strome wyciągi prowadzące przez Czarną Piramidę wydawały się bardziej przerażające niż kiedykolwiek wcześniej. „Można to porównać do schodzenia po dachu, który ciągnie się w dół przez prawie pół kilometra, a dachówki pokryte są lodem i śniegiem” — napisał później Bob Bates^[8]. „I proszę sobie wyobrazić próbę dokonania czegoś takiego bez okularów zapewniających wyraźny obraz, za to z przemarzniętymi stopami i dłońmi” — mógłby dodać George Bell. Był w lepszym stanie niż Gilkey dzień wcześniej, ale tak naprawdę nie miał innego wyjścia. Przeciągnięcie jego ogromnego ciała przez śliski tor przeszkód, który wspinacze mieli pod sobą, byłoby po prostu niemożliwe.

W ramach dbałości o bezpieczeństwo zespół podzielił się tym razem na dwie grupy. Tony Streater znalazł się na końcu jednej liny; za nim podążali George Bell, Bob Bates i Dee Molenaar. Charlie Houston przywiązał się do drugiej liny między Bobem Craigiem i Pete’em Schoeningiem. Charlie schodził zrywami, co jakiś czas przysiadając i patrząc w

przestrzeń. Później jeden z jego partnerów szarpał za linę, a po zwyczajowym: „Gdzie jestem?” Charlie ponawiał zejście. Bob Bates bardzo martwił się zachowaniem swojego najlepszego przyjaciela. Charlie w każdej chwili mógł się poślizgnąć lub zacząć wspinaczkę w niewłaściwym kierunku, zabierając innych ze sobą. Bob nie mógł jednak zbyt wiele zrobić; pozostawało mu zachować nadzieję i modlić się, by los był dla nich łaskawszy niż poprzedniego dnia.

Po pokonaniu kilkuset metrów natknęli się na czekan Charliego zgubiony dzień wcześniej; nieco niżej zobaczyli roztrzaskane resztki jednego z czekanów użytych w celu przymocowania do stoku liny, na której wisiał Art. Poniżej czekały na nich jednak gorsze widoki. Tuż powyżej obozu szóstego położonego na wysokości 7100 m n.p.m. minęli splątany, zakrwawiony supeł z lin oraz podarte strzępy śpiwora, w którym umieścili wcześniej swojego towarzysza. Wyglądało na to, że Art zjechał w dół po stoku i na chwilę zatrzymał się na kamieniach, po czym został wyrzucony ze swojego śpiwora w kierunku lodowca znajdującego się poniżej. Mogli tylko mieć nadzieję, że miał szybką śmierć, lecz wspinaczka wzdłuż plam krwi na śniegu była doświadczeniem, które zapadło im wszystkim w pamięć, a zarazem czymś, o czym nie byli w stanie rozmawiać przez wiele kolejnych lat.

Dwa namioty w obozie szóstym nadal stały, ale ledwie się trzymały. Były pełne śniegu, a na materiale jednego z nich widoczne było długie rozdarcie. Dee Molenaar zajął się zaszywaniem dziury, podczas gdy jego towarzysze skupili się na porządkowaniu wnętrza. Na szczęście znaleźli spory zapas jedzenia i z radością użyli trzech śpiworów zostawionych przez Szerpów w 1939 r., uzupełniając w ten sposób sprzęt, który mieli ze sobą. Jeszcze więcej radości wywołała niewielka torba, którą Tony Streater zebrał podczas zejścia i wyciągnął dopiero w obozie. Zakładał, że musiała pochodzić z plecaka Arta, ale w istocie należała do George’a Bella — ku jego radości i zdumieniu zawierała zapasową parę okularów, które jakimś cudem były całe i nieuszkodzone.

Po 36 godzinach ciszy w eterze czekający w bazie Ata-Ullah doszedł do przekonania, że żaden z członków zespołu nie przeżył. Był zdumiony, gdy Charlie nawiązał z nim kontakt, korzystając z zapasowego radiotelefonu pozostawionego w obozie szóstym; opowieść o wysiłkach, które miały pozwolić na uratowanie Arta, ogromnie poruszyła pakistańskiego oficera łącznikowego. Niestety, nie miał on dobrych wieści na temat pogody. Nadchodziła właśnie kolejna potężna burza. Gdy zaatakowała następnego dnia, wiatr był tak silny, że wspinacze nie byli w stanie opuścić obozu. W trakcie krótkiego okresu lepszej pogody Tony Streater i Pete Schoening dali radę zejść do obozu piątego, lecz aż do następnego ranka nikt nie zdołał pójść w ich ślady.

Ostatnią poważną przeszkodą był Komin House'a. Liny przymocowane w trakcie wspinaczki w kierunku szczytu wciąż były na swoim miejscu, ale wspinacze, którzy dotarli tam późnym popołudniem w czwartek 13 sierpnia, byli zaledwie cieniami mężczyzn, którzy miesiąc wcześniej pokonywali ten fragment drogi w przeciwnym kierunku. W lipcu przejście 300 metrów między obozem piątym a wylotem Komina zabierało im zaledwie pięć minut. Teraz, gdy zmagali się z ciężkimi plecakami i zmęczeniem, potrzebowali na to ponad godziny.

Wydawało się, że Charlie Houston odzyskał siły; upierał się również, że chce schodzić jako ostatni. On i Bob Bates asekurowali innych, a potem postanowili opuścić swoje plecaki. Bardzo zależało im na tym, by uporać się z Kominem, nim zmierzch zamieni się w całkowite ciemności. Plecak Charliego zahaczył w połowie drogi o wystającą skałę, po czym poleciał w dół, wraz z cennym pamiętikiem Houstona oraz antologią poezji angielskiej — książką, która towarzyszyła mu podczas wszystkich wypraw, począwszy od lat 30. W celu przyspieszenia zejścia i uniknięcia dalszych strat Bob Bates postanowił zejść z plecakiem, ale gdy tylko dotarł do podstawy Komina, zaczął żałować swojej decyzji. Charlie nie schodził jego śladami.

Stojąc samotnie na szczycie stromej ściany, zastanawiał się, co ma zrobić. Nie było już nikogo, kto mógłby go asekurować.

Musiał zrobić użytek z liny poręczowej założonej przez Dee Molenaara i Boba Craiga. Jak miał ją jednak rozpoznać? Wśród zapadającego zmierzchu nie dało się odróżnić nowej liny od tych starych, zostawionych przez wyprawy z 1938 i 1939 r.

Charlie zawsze szczyił się tym, że w trakcie wspinaczki dba o bezpieczeństwo. Bardzo krytycznie oceniał Fritza Wiessnera i jego sposób kierowania wyprawą z 1939 r., lecz teraz sam zmierzał do domu z jedną ofiarą w zespole i przynajmniej jednym wspinaczem z poważnymi urazami, choć nawet nie zbliżył się do najwyższego punktu osiągniętego na K2 przez Fritza. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzył, było wybranie starej liny, która nie wytrzymałaby jego ciężaru, co skończyłoby się następnym zgonem i kolejnym obciążeniem dla jego wyczerpanego zespołu.

Kilkadziesiąt metrów niżej Bob Bates odczuwał wraz z towarzyszami coraz większy strach. Nie byli po prostu w stanie zrozumieć, co robi Charlie. Czy znów siedział i gapił się w przestrzeń? A może dała o sobie znać jego obsesyjna schludność i starał się teraz wszystko uporządkować? Żadne wytłumaczenie nie miało sensu, ale robiło się coraz ciemniej, a on wciąż nie schodził.

Dla Charliego była to chwila prawdy:

Zaczęło do mnie docierać, że nie dam rady tego zrobić. Było ciemno, a ja wciąż byłem obolały. Pamiętam, że powiedziałem: „Skoczę w dół, ponieważ jeśli polecę w trakcie zejścia, strącę ich w przepaść”. Stałem tak, podczas gdy oni wołali, żebym schodził. Odmówiłem modlitwę i ruszyłem w dół; następną rzeczą, jaką sobie przypominam, jest to, że stoję na dole^[9].

Kilka minut później wślizgnęli się do namiotów obozu czwartego. Wszyscy byli tak zmęczeni, że nikt nie próbował nawet gotować niczego ciepłego do jedzenia. Osiągnęli swój cel — poradzieli sobie z burzami, wypadkami, Czarną Piramidą i Kominem House'a. Teraz byli pewni, że zejść na dół żywi, a góra nie mogła ich w żaden sposób zatrzymać.

Noc z 13 na 14 sierpnia była ostatnią, którą spędzili samotnie. Następnego wieczoru, 56 dni od rozpoczęcia działań na K2, Bob Craig i Dee Molenaar jako pierwsi wspinacze wrócili do obozu drugiego. Spotkało ich tam bardzo ciepłe i emocjonalne powitanie ze strony uczestniczących w wyprawie Hunzów, którzy wyszli im naprzeciw, związani czymś, co wyglądało na sznurek do suszenia prania.

Reszta wspinaczy pojawiła się w obozie niedługo po pierwszej dwójce; wkrótce wszyscy zajęli się pochłanianiem litrów herbaty, gór ćapati i ogromnych porcji ryżu gotowanego w mleku. Tragarze modlili się i płakali, a atmosfera przesycona była emocjami, które wspinacze tłumili przez tak wiele dni. Gdy Tony Streater opowiadał, w jaki sposób zginął Art Gilkey, nie był w stanie zapanować nad swoim łamiącym się głosem.

Następnego ranka po raz pierwszy od wielu tygodni zobaczyli słońce w pełnej okazałości i delektowali się nieskomplikowaną przyjemnością, jaką było siedzenie bosy na świeżym powietrzu i przekopywanie się przez oczekujące na nich stosy listów. Ich najpoważniejszym zmartwieniem był wciąż stan stóp George'a Bella. Jego palce u nóg były czarne od odmrożeń, a gdy się rozgrzały, sprawiały coraz więcej bólu. Chociaż wszyscy wielokrotnie pokonali drogę między obozem drugim i bazą, sprowadzenie na dół George'a i uniknięcie przy tym kolejnego wypadku wymagało nie lada wysiłku.

Ata-Ullah powitał ich niczym ludzi powracających z zaświatów. Sześć miesięcy wcześniej był całkowicie zaskoczony listem Charliego Houstona, który proponował mu wzięcie udziału w wyprawie zmierzającej na K2. Gdy pod wpływem chwili postanowił skorzystać z tej szansy i zaakceptował tę ofertę, nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się mierzyć i jak wielu emocji przy okazji doświadczy.

W ciągu kilku dni, które upłynęły od momentu przekazania do bazy wiadomości o śmierci Arta Gilkeya, Hunzowie wznieśli dla uczczenia jego pamięci wysoki kopiec z kamieni. Zbudowali go na skalistym wzgórzu na zachód od bazy, w punkcie, w którym zbiegały się lodowce Godwina-Austena i Savoia.

Następnego dnia w południe uczestnicy ekspedycji udali się w to miejsce (choć niektórzy Amerykanie mocno utykali), by podczas prostej, acz wzruszającej ceremonii złożyć ostatni hołd zmarłemu. George Bell i Bob Craig byli tak poważnie poodmrażani, że mogli jedynie obserwować to wszystko z pewnej odległości.

Na szczycie kopca Hunzowie umieścili aluminiowe pudełko, na którym ułożono czekan Arta. Wewnątrz znajdowały się kwiaty, wiersz oraz list podpisany przez wszystkich uczestników wyprawy. Tekst był prosty i płynął z głębi serc towarzyszy Arta:

Był mężnym uczestnikiem ekspedycji i liderem naszych prób zmierzających do zdobycia tej góry. Jego choroba na wysokości 7600 m n.p.m. była nieoczekiwaną tragedią, a jego śmierć w trakcie desperackiej próby sprowadzenia go na dół stała się stratą, którą wszyscy odczuliśmy tym boleśniej, że w tych trudnych chwilach połączyły nas niezwykle silne więzi.

Bob Bates odczytał psalm 23, „Pan jest moim pasterzem”, po czym z pochylonymi głowami pożegnali młodego wspinacza, który był tak dobrym i życzliwym towarzyszem.

Następnego dnia rozpoczęli przygotowania do opuszczenia bazy. Stopy George'a Bella były tak obolałe, że nie był on w stanie chodzić, więc tragarze zbudowali improwizowane nosze, przywiązując długie maszty namiotowe do płóciennego łóżka polowego. Chorego niosło potem czterech tragarzy, ale było to tak trudne zadanie, że musieli się zmieniać co piętnaście minut. Podczas pokonywania najtrudniejszych fragmentów lodowca Baltoro trzeba było całkowicie zrezygnować z użycia noszy, a najroślejszy z tragarzy, postawny Mohammed Hussein, niósł George'a na plecach.

Inni byli w stanie poruszać się o własnych siłach, ale nikt nie był na tyle dumny, by nie dać się czasem przenieść na drugą stronę lodowcowego strumienia. Podobnie jak w przypadku większości powrotów z wypraw, jedzenie (i pochłanianie go w jak największych ilościach) znajdowało się wysoko na liście

priorytetów wszystkich wspinaczy. Gdy dotarli do Paju, czyli miejsca, w którym kończył się lodowiec, uczcili ten fakt ogniskiem, odrobiną kawioru i kapką whiskey, którą aż do tego momentu oszczędzali, wykazując się nadzwyczajną samodyscypliną. To właśnie wtedy wyzbyli się hamulców. Któregoś dnia w drodze do Askole George Bell pożarł 10 jaj na twardo, dwa kurczaki i ogromny stos ćapati — i wszystko to wyłącznie w ramach popołudniowego posiłku. Im mniejsza była odległość dzieląca ich od Skardu, tym bardziej objadali się świeżymi warzywami i owocami: winogronami, jabłkami, gruszkami, ogórkami i całymi koszami morel. Nawet jeżeli kiepsko wpływało to na ich układy pokarmowe, po prostu jedli i jedli.

Gdy pod koniec sierpnia dotarli do Skardu, światowa prasa była już na bieżąco, jeśli chodzi o wydarzenia, które miały miejsce na K2, a ich historia była opisywana w wielu gazetach. Kilka redakcji skupiło swoją uwagę na rodzicach Arta Gilkeya, którym już wcześniej przekazano telegraficznie koszmarną wiadomość o śmierci syna. Nagłówki prasowe pozbawione były upiększeń — „Śmierć wspinacza na K2”, „Rodzice dowiadują się o tym, że ich syn zginął wśród lodu”, „Góra w Himalajach zabija Amerykanina”.

W Skardu wspinaczy czekały kolejne spotkania z dygnitarzami i dalsze odbieranie kondolencji. Z braku jakiegokolwiek nowego materiału, Charlie Houston po raz kolejny pokazał swój film przedstawiający wyprawę rekonesansową z 1938 r., co musiało być dziwnym i wyczerpującym doświadczeniem. Wczesnym rankiem 30 sierpnia, trzy miesiące po przylocie, wsiedli na pokład samolotu Curtiss C-46 linii Orient Airways i odlecieli do Rawalpindi. Chwilę po starcie piloci zaprosili wspinaczy do kabiny i pokazali im widoczny na horyzoncie czarny szczyt dominujący nad otoczeniem. Tą górą był K2.

Niewiele ponad godzinę później wylądowali w Rawalpindi. Na miejscu powitała ich żona Charliego, Dorcas, która w zakupionym dopiero co sari wyglądała wprost olśniewająco.

Kobieta otoczona była przez fotografów i dziennikarzy. Prasa chciała poznać więcej szczegółów związanych z wydarzeniami, które rozegrały się na K2, ale nawet gdy wspinacze udzielili kilku wywiadów, sporo gazet nadal nie potrafiło sobie poradzić z zawłościami całej tej historii i donosiło, że cały zespół został porwany przez gigantyczną lawinę, która pozbawiła życia Gilkeya, a u pozostałych wywołała urazy. Kilka czasopism poinformowało czytelników, że ciało Arta przykryto gigantycznym stosem kamieni ułożonym u podnóża góry, a lokalna gazeta wydawana w Stanach w jego miejscu zamieszkania rozpoczęła zbiórkę pieniędzy na sprowadzenie jego zwłok do ojczyzny.

W komunikacie agencji prasowej Associated Press skupiono się na innej kwestii — pojawiły się tam spekulacje, czy Gilkey nie postanowił pójść śladami kapitana Oatesa i nie uwolnił się świadomie od lin oraz czekanów utrzymujących go na stoku. Charlie Houston ustosunkował się jednak do tych rozważań, „odrzucając wszelkie sugestie dotyczące tego, że Gilkey popełnił samobójstwo, by uwolnić zespół od ciężaru, jakim było sprowadzanie go z góry”.

Po kilku następnych dniach wypełnionych wywiadami i różnymi uroczystościami publicznymi, członkowie ekspedycji, której celem było zdobycie K2, ruszyli oddzielnie do swoich domów. Poważnie poszkodowany George Bell dotarł do Stanów Zjednoczonych jako pierwszy. Został od razu przewieziony do szpitala Massachusetts General, gdzie poinformowano go, że ma najgęstszą krew spośród wszystkich pacjentów, jakich kiedykolwiek tam przyjęto. Ostatecznie stracił dwa palce u nóg, ale jego dłonie nie uległy żadnym trwałym uszkodzeniom.

Bob Bates ruszył na zachód, zatrzymując się w Europie, natomiast trzech wspinaczy z Oregonu i Waszyngtonu — Bob Craig, Dee Molenaar i Pete Schoening — poleciało w przeciwną stronę, pokonując Pacyfik. 12 dni po powrocie z ekspedycji Pete wziął ślub ze swoją narzeczoną Mell. W przypadku Dee Molenaara powrót do domu nie był tak romantyczny. Jego żona Lee, o której tak wiele rozmyślał na K2, czekała na niego na

lotnisku, ale w drodze do domu powiedziała mu, że chce się z nim rozwieść. Nigdy nie wręczył jej ostatniego listu, który napisał w obozie ósmym.

Charlie i Dorcas Houstonowie wylądowali na lotnisku Idlewild 11 września. Kilka tygodni później „prowincjonalny lekarz”, jak uwielbiała nazywać go prasa, wrócił do pracy w swoim gabinecie w Exeter w stanie New Hampshire. Po zamknięciu rozliczeń finansowych związanych z całym wyjazdem i napisaniu ostatniego z oficjalnych komunikatów dotyczących przebiegu ekspedycji- Charlie zajął się pracami nad filmem z wyprawy, który miał zostać wyemitowany przez NBC w lutym następnego roku.

Wspinacze otrzymali mnóstwo propozycji dotyczących wydania książki opisującej losy wyprawy — postępując podobnie jak w 1938 r., postanowili podzielić się pracą. Zanim ta publikacja ujrzała światło dzienne, w grudniu 1953 r. na łamach „Saturday Evening Post” ukazały się dwa długie artykuły autorstwa Boba Batesa i Boba Craiga. Była to poruszająca relacja, która opisywała osiem tygodni spędzonych przez nich na górze i ukazywała niezwykle trudności, z jakimi przyszło im się zmierzyć. Głównym tematem była więź, która ich połączyła; podobnie jak w 1938 r., panowało zdecydowane przekonanie, że chociaż wyprawa nie dotarła na szczyt, zakończyła się sukcesem. Jak ujął to Bates w panegirycznym stylu:

Góra nie okazała litości, ale czuwała nad nami Siła Wyższa. Upadek, po którym zostaliśmy oszczędzeni, przekonał nas, że jest nam pisane żyć i dalej się wspinać. W owych chwilach połączyła nas więź, której nic nie zdoła zniszczyć; udowodniliśmy również, że duch człowieka jest silniejszy niż jego ciało. Nie zawiedliśmy na K2. Zwyciężyliśmy^[10].

Z perspektywy Charliego Houstona to wszystko nie było jednak takie proste. On też opuścił górę przekonany o tym, że na jej stokach zrodziła się więź braterstwa, ale z drugiej strony

marzył o prostym zwycięstwie związanym ze zdobyciem szczytu. Gdy tylko dotarł w sierpniu 1953 r. do Rawalpindi, ogłosił, że za rok wróci, by dokończyć dzieła.

To też nie było jednak aż takie proste.

Tuż przed wyruszeniem w drogę powrotną do Stanów Zjednoczonych Charlie niespodziewanie napotkał kogoś, kto również obrał za cel najwyższy niezdojty szczyt na świecie, też uważał K2 za „swoją” górę i co najważniejsze, wystosował już do pakistańskich władz prośbę o pozwolenie, dzięki któremu mógłby zorganizować wyprawę w 1954 r. Nie był to Fritz Wiessner, lecz zupełnie nieoczekiwany rywal: Ardito Desio, włoski badacz i geolog z Mediolanu.

Co więcej, gdy Charlie rozpoczynał długą podróż do Stanów Zjednoczonych, na drugą stronę Atlantyku, Desio miał właśnie polecieć w przeciwnym kierunku, do Skardu, by rozpocząć wyprawę umożliwiającą zapoznanie się z K2.

Rozdział 9

Stara droga

Dalsze wydarzenia nie ułożyły się wszakże zgodnie z planem.

Gdy Ardito Desio pożegnał się z Charliem Houstonem w Rawalpindi, istotnie wsiadł do samolotu lecącego do Skardu — miasta stanowiącego punkt początkowy jego planowanej wyprawy rekonesansowej na K2. Gdy przybył na miejsce, sprawy potoczyły się jednak w sposób odbiegający od przyjętego pierwotnie scenariusza.

Na lotnisku na Desia i jego towarzysza, włoskiego wspinacza Riccarda Cassina, czekał już samochód terenowy, ale zamiast pojechać w kierunku K2, kierowca zawiózł Włochów do miasta, na spotkanie z przedstawicielem lokalnych władz. Tam poproszono Europejczyków o pomoc w rozwiązaniu problemu, który był dla tamtejszej ludności dużo istotniejszy niż jakiegokolwiek wyzwanie wspinaczkowe.

Przez ostatnie trzy miesiące przez dolinę Stak, słynny punkt orientacyjny w połowie drogi między Skardu a Gilgitem, starożytnym miastem na północnym wschodzie Pakistanu, sunął gigantyczny lodowiec Kutiah. Wydłużał się on w zdumiewającym tempie, ponad 12 kilometrów w ciągu tych trzech miesięcy. Zdążył już pochłonąć wiele hektarów pastwisk, a teraz zagrażał wsiom. Jeśli nie liczyć Ardita Desia, każdy inny człowiek po poświęceniu wcześniej tylu lat na próby dotarcia pod K2 wysłuchałby teraz uważnie rozmówców, wyraziłby zaskoczenie i niepokój, po czym poszukałby jakiejś wymówki i zostawiłby lokalną społeczność z jej problemem. Z drugiej strony, gdyby pod K2 zmierzała właśnie jakakolwiek inna osoba, nie zostałaby poproszona o pomoc.

Ardito Desio bardzo różnił się od wszystkich innych postaci próbujących wcześniej sięgnąć po laur zdobywców K2. Niski i chudy, z zaczesanymi do tyłu włosami i haczykowatym nosem, otoczony aurą celowości i energii, był profesorem geologii i wybitnym włoskim uczonym. Desio miał 57 lat, czyli był o 16 lat starszy od Charliego Houstona, a do tego był bardziej naukowcem niż wspinaczem.

Urodził się w 1897 r. w północno-wschodnich Włoszech i studiował geologię we Florencji; później został profesorem prestiżowego Uniwersytetu Mediolańskiego. Po raz pierwszy zetknął się z K2 w 1929 r., dziewięć lat przed Charliem Houstonem, gdy został oficjalnym geologiem mało znanej włoskiej ekspedycji działającej wówczas w Karakorum.

Wyprawą kierował książę Spoleto, bratanek księcia Abruzzów — włoskiego podróżnika, który odegrał tak istotną rolę w początkowym okresie eksploracji K2. Spoleto liczył na to, że w dwudziestą rocznicę ekspedycji księcia Abruzzów zdoła zorganizować drugą włoską wyprawę na K2, która doprowadziłaby do końca dzieło rozpoczęte przez jego wuja. Skompletował duży zespół wspinaczy i geografów — obejmujący również Ardita Desia — lecz jego projekt został w ostatniej chwili odrzucony przez włoskie władze.

Faszystowski dyktator Benito Mussolini był bardzo zażenowany, gdy kilka lat wcześniej włoski samolot rozbił się podczas próby dotarcia do bieguna północnego — w tej sytuacji nie chciał narażać na szwank prestiżu swojego kraju, angażując się w coś tak nieprzewidywalnego, jak wyprawa na jedną z najniebezpieczniejszych gór na świecie. Książę Spoleto musiał się zatem zadowolić niewielką ekspedycją naukową i obiecać, że uczestnicy jego wyprawy nie będą próbowali zdobywać K2.

Niezależnie od tego faktu wyprawa w Karakorum zorganizowana w 1929 r. była dla 32-letniego Ardita Desia niezwykle ważnym wydarzeniem — gdy podczas swojej pierwszej wizyty w Azji ujrzał K2 górujący nad sąsiednimi szczytami, ten widok trwale zapadł w jego pamięć. W ciągu kolejnej dekady Desio zdobywał we włoskim środowisku

akademickim coraz większą sławę, do czego przyczyniły się wyprawy geologiczne działające pod jego kierownictwem w Libii i Etiopii, lecz on przez cały czas nie był w stanie wyrzucić ze swojego umysłu obrazu K2. Pod koniec lat 30. starał się zorganizować kolejną włoską wyprawę na K2, ale druga wojna światowa przekreśliła jego plany. Zbyt zaawansowany wiekiem, żeby walczyć, Desio nadal pracował na uniwersytecie i planował dalsze podróże, choć powojenny Mediolan nie był miejscem, w którym łatwo było urzeczywistniać marzenia.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej Włochy były zrujnowanym i podzielonym krajem. W 1948 r. Chrześcijańska Demokracja wygrała wybory powszechne przy tajnym wsparciu CIA, lecz w kolejnych latach w kraju panował lęk przed nieuchronnym przejściem władzy przez komunistów. Koalicje tworzyły się i rozpadały, a rządy były formowane i odwoływane bez względu na fakt powolnego poprawiania się koniunktury gospodarczej.

Początek lat 50. nie wydawał się dobrym okresem, by rozpocząć zbiórkę funduszy na kolejną wyprawę zmierzającą pod K2, ale dzięki całej międzynarodowej uwadze, jaką przyciągnęło francuskie wejście na Annapurnę, a także brytyjskie i szwajcarskie wyprawy działające na Mount Evereście, włoscy politycy zaczęli okazywać większe zainteresowanie wspinaczką. Przedstawiciele rządu dali do zrozumienia władzom CAI (Club Alpino Italiano), że mogliby sfinansować dużą, działającą za granicą ekspedycję, gdyby tylko udało się znaleźć odpowiedni cel, a w 1952 r. Włoski Komitet Olimpijski zapłacił za podróż Ardita Desia do Karaczi, gdzie geolog złożył na ręce władz pakistańskich prośbę o przyznanie pozwolenia na zorganizowanie drugiej włoskiej wyprawy na K2.

Desio dotarł do Pakistanu w sierpniu 1952 r. i był bardzo rozczarowany, gdy dowiedział się, że został minimalnie uprzedzony przez Charliego Houstona, który zdobył już wyłączne pozwolenie na następny rok. Włoch nie miał jednak zamiaru rezygnować. Nie było gwarancji, że zespół Houstona

odniesie sukces, a gdyby amerykańska wyprawa zakończyła się porażką, otwierałoby to możliwość zorganizowania próby w następnym roku. Desio poprosił zatem pakistańskie władze o pozwolenie na przeprowadzenie latem 1953 r. wstępnego rekonesansu; zamierzał też wrócić pod K2 z większą wyprawą, gdyby Houston i jego zespół nie zdobyli szczytu.

Decydenci nie od razu przychyłili się do tej prośby, ale Desio był znaną osobistością i miał liczne koneksje, a w tamtych czasach włoski rząd starał się dbać o dobre relacje z władzami Pakistanu. Kilka dużych włoskich firm zajmowało się na północy Pakistanu wznoszeniem zapór wodnych i budowaniem infrastruktury; Włosi liczyli też na to, że w przyszłości będą otrzymywać kolejne zlecenia. Gdy włoski premier Alcide De Gasperi spotkał się wiosną 1953 r. w Rzymie z premierem Pakistanu, Muhammadem Alim Bogrą, poruszył kwestię ekspedycji na K2, a po kilku miesiącach Desio otrzymał zgodę na przeprowadzenie wyprawy rekonesansowej. Tym razem koszty wyjazdu Desia pokrywał Narodowy Ośrodek Badawczy, a Riccardo Cassin mógł mu towarzyszyć dzięki wsparciu finansowemu ze strony CAI.

Gdy Desio i Cassin ruszali 18 sierpnia 1953 r. w podróż z Rzymu, towarzyszyło im podenerwowanie. Z tego, co wiedzieli, wyprawa Houstona nadal działała na K2. Jeśli szczyt został zdobyty, nie było mowy o organizowaniu w 1954 r. włoskiej ekspedycji. Czy jednak Amerykanom naprawdę się powiodło? Doniesienia pakistańskiej prasy sugerowały, że wspinacze napotkali trudności, aczkolwiek zamierzali właśnie podjąć drugą próbę. Ponieważ o tym, co działo się na K2, świat dowiadywał się z mniej więcej dwutygodniowym opóźnieniem, nikt nie zdawał sobie jeszcze sprawy ze śmierci Gilkeya lub tego, że zespół Houstona wycofał się z góry. Tuż przed opuszczeniem Karaczi do Desia dotarła wiadomość, że amerykańska wyprawa zakończyła się fiaskiem, ale o tym, co dokładnie się wydarzyło, dowiedział się dopiero kilka dni później, gdy spotkał Charliego Houstona w domu Ata-Ullaha.

Amerykanie bardzo wspaniałomyślnie dzielili się fotografiami i wspomnieniami, choć Desio usłyszał też od Charliego informację, którą przyjął z dużo mniejszym zadowoleniem. Houston miał zamiar wrócić w 1954 r., by podjąć kolejną próbę zdobycia K2; był też przekonany, że pakistańskie władze przychylią się do jego prośby o przyznanie pozwolenia na zorganizowanie takiej wyprawy. Poczucie międzynarodowej rywalizacji podsycały dodatkowo w oczach Desia doniesienia pakistańskiej prasy o tym, że doktor Karl Herrligkoffer, kierownik austriacko-niemieckiej wyprawy, która w 1953 r. zdobyła Nanga Parbat, również postanowił przyłączyć się do wyścigu i miał nadzieję, iż w 1954 r. pokieruje na K2 działaniami niemieckiego zespołu. Jak informował „The Times of India”, Herrligkoffer był tak pewny siebie, że zostawił w mieście Gilgit w dolinie Hunza dużą ilość sprzętu wspinaczkowego^[1].

Desio natychmiast odbył międzynarodową rozmowę telefoniczną z władzami CAI, ostrzegając, że w tym momencie o pozwolenie na wyprawę w 1954 r. toczy się już prawdziwa walka. Stwierdził też: „nasza pozycja jest poważnie zagrożona”^[2]. Nawet jeżeli pakistański premier obiecał już stojącemu na czele włoskiego rządu De Gasperiemu, że Włosi będą mogli zorganizować wyprawę na K2, było to jedynie ustne zobowiązanie, a Desio nie miał niczego na piśmie. Nie było tajemnicą, że Stany Zjednoczone są dużo potężniejszym krajem niż Włochy, a jakby tego było mało, włoski ambasador w Pakistanie wrócił właśnie do ojczyzny, zaś jego stanowisko pozostawało nieobsadzone. Desio napisał list do swojej siostry, prosząc ją o zmobilizowanie przyjaciół i znajomych w rządzie; ostrzegął, że „stawką jest prestiż kraju”.

Zaproszenie na lodowiec Kutiah przyszło w najgorszym możliwym momencie. Gdyby Desio poleciał z powrotem do Karaczi, mógłby próbować podjąć bezpośrednie rozmowy z członkami pakistańskiego rządu, starając się przekonać ich do przyznania Włochom pozwolenia na zorganizowanie

ekspedycji w 1954 r., chociaż oznaczałoby to rezygnację z wyprawy rekonesansowej. Mógł też trzymać się pierwotnych planów, zignorować niesforny lodowiec i przeprowadzić rekonesans, choć takie postępowanie byłoby mało dyplomatyczne. Ostatecznie nauka zwyciężyła nad miłością do gór: zamiast ruszyć na lodowiec Baltoro lub zająć się prowadzeniem kuluarowych rozmów w Karaczi, Ardito Desio i Riccardo Cassin rozpoczęli długą i skomplikowaną podróż do doliny Stak.

Jako towarzysze podróży, którzy dzielili jeden namiot, Desio i Cassin stanowili dziwny duet — obyty w świecie naukowiec wyraźnie kontrastował z prostym człowiekiem gór pochodzącym z północno-wschodniej części kraju. Cassin był o 12 lat młodszy od Desia; był też silny i wyglądał na twardziela. Dorastał w ubóstwie, a jego ojciec był chłopem, który opuścił dom rodzinny i wyjechał do Ameryki, gdy Riccardo miał dwa lata. W czasie, kiedy Desio studiował na Uniwersytecie Florenckim, Cassin pracował jako pomocnik kowala.

Jako chłopiec Cassin był uzdolnionym i pełnym entuzjazmu bokserem amatorem, ale zbliżając się do dwudziestego roku życia odkrył wspinaczkę i szybko uświadomił sobie, że ma do tego talent. Nic nie mogło go powstrzymać: wspinał się na wszystkie pobliskie szczyty w Lombardii i wkrótce zaczął regularnie zapuszczać się w Alpy. Pod koniec lat 30. Cassin uchodził za najlepszego wspinacza skałkowego we Włoszech. Otworzył właśnie sklep wspinaczkowy w Lecco w Lombardii, lecz gdy Ardito Desio zaproponował mu udział w wyprawie rekonesansowej zmierzającej pod K2, Riccardo zgodził się bez wahania. Cassin nigdy nie wspinał się poza ojczyznę, a możliwość odwiedzenia Karakorum budziła w nim ogromną ekscytację.

Po pięciu dniach, podczas których Cassin i Desio podróżowali samochodem terenowym, konno i pieszo, dotarli do doliny Stak i byli zdumieni widokiem gigantycznego lodowca, który pochłaniał wszystko, co znalazło się na jego drodze. Lokalni pasterze powiedzieli im, że musieli porzucić

swoje pastwiska, a teraz obawiali się, iż ta gigantyczna rzeka lodu i skał zaleje też ich wioski. Postępy lodowca Kutiah stały się w ostatnich tygodniach nieco wolniejsze, ale do najbliższego domostwa miał zaledwie trzy kilometry, więc wszyscy byli poważnie zaniepokojeni.

Doniesienia nie były przesadzone, ale Desio zwrócił uwagę na to, że inne lodowce w okolicy się cofają, więc sytuacja, w której Kutiah posuwał się do przodu, sprawiała wrażenie nielogicznej. Po bardziej wnikliwych oględzinach Włoch doszedł do tego, co się wydarzyło: kilka miesięcy wcześniej z pobliskiej góry Haramosh zeszła potężna lawina. Jej pozostałości zasiliły lodowiec Kutiah i sprawiły, że ruszył on w dół doliny, ale było to jednorazowe wydarzenie, a prawdopodobieństwo tego, iż niesforny lodowiec będzie zajmować kolejne obszary, było bardzo niewielkie. Pasterze mogli już nigdy nie odzyskać swoich terenów zielonych, lecz ich domy były bezpieczne. Po uporaniu się z tą kwestią Desio i Cassin bez zbędnej zwłoki wyruszyli wraz z niewielką grupką tragarzy w stronę lodowca Baltoro i K2.

Dla Riccarda Cassina była to wyprawa do krainy cudów — podróżowali wśród spektakularnych gór, przy których jego ukochane Alpy wydawały się bardzo małe. Z perspektywy Ardita Desia była to okazja, by powspominać dawne czasy. W Urdukasie, w połowie długości lodowca Baltoro, dostrzegł platformę pod namiot zbudowaną przez tragarzy w 1929 r., w trakcie wyprawy księcia Spoleto. Ten widok wyzwolił falę wspomnień. Nie mógł jednak przeznaczyć na nostalgiczną zadumę zbyt wiele czasu — nieplanowany wypad do doliny Stak oznaczał, że dotarli do bazy pod K2 dopiero 26 września, a wokół widać już było oznaki nadchodzącej zimy.

Pierwotny plan zakładał, że Włosi okrążą K2 i udadzą się pod wschodnią ścianę, a następnie wespną się na położoną wysoko przełęcz Skyang La, by stamtąd dobrze przyjrzeć się górze, ale Cassin i Desio dotarli tylko do obozu pierwszego u stóp Żebra Abruzzów. Obejrzelik K2 przez lornetkę i porównali to, co zobaczyli, ze zdjęciami otrzymanymi od Charliego

Houstona; ponieważ jednak wydawało się, że wkrótce może zacząć padać śnieg, a tragarzom kończyło się jedzenie, po jednym dniu spędzonym w bezpośrednim sąsiedztwie góry Włosi musieli zawrócić i wyruszyć w długą drogę powrotną do Skardu.

Brak możliwości zrobienia czegokolwiek więcej był frustrujący, ale w głębi ducha Desio był zadowolony. Nawiązał dobre relacje z lokalną ludnością, a podróż do doliny Stak okazała się zarówno fascynująca, jak i wartościowa z dyplomatycznego punktu widzenia. Nadal bardzo zależało mu na zdobyciu pisemnego pozwolenia, dzięki któremu mógłby wrócić na K2 w 1954 r., lecz po rozmowach z urzędnikami rządowymi czuł się dużo pewniej. Gdy kilka tygodni później wrócił do Włoch, nie potrzebował zbyt wiele czasu, by uzyskać dokument, na którym mu zależało. W liście przygotowanym wstępnie w lipcu 1953 r., choć wysłanym dopiero w październiku, pakistański premier potwierdzał, że profesor Desio i CAI otrzymają to, na czym im zależało. Włosi wracali pod K2.

To była fantastyczna nowina, a zarazem wielkie osobiste osiągnięcie Ardita Desia. Jedyńm problemem był czas. Była już połowa października, a jeśli ekspedycja miała mieć jakieś szanse na odniesienie sukcesu, należało natychmiast zabrać się za organizowanie wyjazdu. Desio planował jednak wszystko na zupełnie inną skalę niż osoby przygotowujące dotychczasowe ekspedycje. Jego celem, jak wielokrotnie miał jeszcze powtarzać w ciągu następnego roku, było „*podbicie* K2, a nie podjęcie próby wejścia na szczyt”^[3]. To oznaczało przyjęcie podejścia zastosowanego przez Brytyjczyków na Mount Evereście w 1953 r., a więc zebrania dużego zespołu i zapewnienia sobie odpowiedniego zaplecza logistycznego pozwalającego przetrwać przedłużające się obleżenie. Było coś jeszcze: Desio nie miał zamiaru ograniczać się wyłącznie do podbicia K2. Przy okazji pobytu w Karakorum chciał też zrealizować drugą,

czysto naukową ekspedycję, która kontynuowałaby dzieło rozpoczęte przez niego w 1929 r.

W teorii wszystkie te plany dało się zrealizować, ale brak czasu nie był jedynym problemem Desia. Potrzebował dużej ilości pieniędzy, zespołu świetnych wspinaczy, a także całej armii pomocników, którzy wyszkoliliby i wyposażyli uczestników wyprawy. Szacował, że cała ekspedycja może kosztować około 100 milionów lirów, czyli około 160 tysięcy dolarów^[4]. Była to kwota wielokrotnie większa od tej, którą wydał Houston, i kilka razy większa od kosztów zorganizowania w 1953 r. brytyjskiej wyprawy na Mount Everest. Była to gigantyczna suma, lecz na szczęście jesienią 1953 r. włoski rząd zdecydowanie wspierał ten projekt. Narodowy Ośrodek Badawczy obiecał wyłożyć 50 milionów lirów, a Komitet Olimpijski zaoferował kolejnych 20 milionów. Przyjęto założenie, że resztę pieniędzy zapewnią CAI, prywatni darczyńcy oraz przyszłe wpływy z artykułów prasowych oraz książki opisującej losy wyprawy.

Jeśli chodzi o drugą wspomnianą kwestię, czyli znalezienie i wyposażenie zespołu, Desio zwrócił się do CAI, do którego należał od wielu lat. Klub szybko powołał do życia komitet zajmujący się wyprawą na K2; Riccardo Cassin został wyznaczony na lidera zespołu wspinaczy, natomiast Ardito Desio miał być kierownikiem wyprawy. Inaczej niż w przypadku Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii, gdzie kluby wspinaczkowe zrzeszały stosunkowo niewielką grupę osób, CAI był wielką organizacją liczącą ponad 75 tysięcy członków. Miał własne schroniska w górach i siedziby w wielu miastach, a do tego wydawał dwa czasopisma. Klub skontaktował się z osobami, które stały na czele jego struktur w całym kraju, i wkrótce udało się stworzyć listę 23 obiecujących wspinaczy w wieku od 24 do 47 lat. 9 grudnia wszyscy przedstawiciele tej grupki otrzymali listy z prośbą o stawienie się za tydzień w Mediolanie. Informowano ich również, że jeśli przejdą pozytywnie wstępną selekcję, będą musieli być

dostępni przez większą część stycznia, kiedy zostanie wybrany ostateczny skład zespołu uczestniczącego w wyprawie.

Podjęcie Desio diametralnie różniło się od wszystkiego, co można było dotychczas obserwować na K2. W składzie wyprawy miało nie być dyletantów wspinaczkowych w rodzaju Dudleya Wolfe'a ani młodych ludzi takich jak Chappell Cranmer czy George Sheldon. Zamiast podążać śladami Charliego Houstona i prowadzić z poszczególnymi wspinaczami przyjacielskie rozmowy pozwalające stworzyć idealny zespół, Desio miał zamiar poddać swoich kandydatów szeregowi badań medycznych i sprawdzianów w terenie, by ostatecznie wyłonić z tego grona ośmioosobową grupę złożoną z najlepszych włoskich alpinistów.

Proces selekcji rozpoczął się od wystąpienia, podczas którego Desio przedstawił swoje plany i zaprezentował szczegółową analizę sukcesów i porażek wcześniejszych wypraw. Podkreślił, że kluczową kwestią będzie zachowanie ścisłej dyscypliny. Oznajmił, że wyprawa zostanie zorganizowana w wojskowym stylu znanym każdemu, kto miał za sobą służbę w jednostkach górskich. Desio podczas pierwszej wojny światowej służył w 8 Pułku Alpejskim; niektórzy spośród kandydatów walczyli też podczas drugiej wojny światowej w szeregach Alpini.

Po tej wstępnej odprawie kandydatów skierowano do dwóch różnych części Uniwersytetu Mediolańskiego — do kliniki uniwersyteckiej oraz instytutu fizjologii. Tam poddano analizie ich krew i mocz, zrobiono badania wysiłkowe i EKG, sprawdzono płuca, stopy, dłonie oraz przeprowadzono ogólne badania lekarskie. Na podstawie zebranych wyników skreślono z listy sześciu kandydatów.

Informacje o odrzuceniu kandydatur, wysłane pod koniec grudnia do kilku pechowców, zawierały podziękowania za ich udział w badaniach. Adresatów informowano jednak, że ze względu na stan zdrowia „uznano ich za niezdolnych do wykazania się wyjątkową sprawnością, która będzie niezbędna

u prowadzących na wysokości powyżej 8000 m”^[5]. Wszyscy wiedzieli, że wstępna lista kandydatów będzie musiała zostać w którymś momencie skrócona, ale już na początku doszło do dwóch wielkich niespodzianek. Pierwszą było odrzucenie młodego Cesarego Maestriego, obiecującego i nieustępliwego wspinacza z Trydentu. Drugą, jeszcze bardziej szokującą, było skreślenie z listy lidera zespołu wspinaczkowego legendarnego Riccarda Cassina.

Sam zainteresowany przyjął początkowo tę informację z niedowierzaniem. Miał 44 lata i tym samym był jednym ze starszych kandydatów, ale bez wątpienia dysponował też największym doświadczeniem. Zdobył sławę pierwszym przejściem stromej, północno-wschodniej ściany Piz Badile na granicy Włoch i Szwajcarii, a także przejściem jednej z najtrudniejszych dróg we francuskich Alpach, słynnego Filara Walkera na Grandes Jorasses. Jego nazwisko nosiły zarówno drogi wspinaczkowe, jak i sprzęt używany w górach. Cassin cieszył się też dużym szacunkiem w całej Europie. Co najistotniejsze, jeśli nie liczyć Desia, był jedynym członkiem wyprawy, który miał okazję odwiedzić Karakorum. Odrzucanie kogoś, kto zaledwie kilka miesięcy wcześniej dotarł do obozu pierwszego na K2, gdyż teraz uznano go za niewystarczająco sprawnego, by mógł działać na dużej wysokości, było niezrozumiałe.

Cassin poddał się zatem drugiej serii badań w rzymskim centrum medycznym włoskiego lotnictwa wojskowego. Lekarze powiedzieli mu, że nie ma się czego obawiać — ich zdaniem był w doskonałej kondycji i nie powinien mieć podczas wyprawy żadnych problemów. Cassin usłyszał od specjalistów, że wkrótce przygotują oni pisemne opinie, a on sam za kilka miesięcy będzie już w drodze pod K2. Pozytywne świadectwa nigdy nie ujrzały jednak światła dziennego. Zamiast tego pod koniec stycznia Cassin został zaproszony na spotkanie komitetu zajmującego się wyprawą na K2 i usłyszał, że badania w Rzymie

potwierdziły to, co odkryto w Mediolanie: po prostu nie był wystarczająco sprawny fizycznie.

Kilka tygodni później Cassin przesłał komitetowi list polecony, w którym oferował pomoc w kwestiach sprzętowych, ale rezygnował z dalszego zaangażowania w wyprawę. Jeśli jednak Riccardo był gotów zrezygnować po cichu, jego przyjaciele związani ze światem dziennikarstwa zabierali głos w bardziej otwarty sposób. Pierwszy ze sporów, które miały prześladować tę ekspedycję, rozpoczął się 27 stycznia 1954 r., gdy „La Gazzetta dello Sport”, najpoczytniejsza gazeta we Włoszech, opublikowała długi artykuł, w którym kwestionowano fakt wykluczenia Cassina ze składu wyprawy oraz badania medyczne, które do tego doprowadziły. W tekście padało pytanie, dlaczego ktoś taki musiał w ogóle przechodzić tego rodzaju testy. Pomijając wszystko inne, wielokrotnie udowadniał swoje kwalifikacje wspinaczkowe, a czy w sytuacji, w której w grę wchodził prestiż całego kraju, wspinacze tworzący włoski zespół nie powinni mieć mocnego lidera?

Ardito Desio powiedział dziennikarzom, że nie miał żadnego związku z odrzuceniem kandydatury Cassina. Był kierownikiem ekspedycji i przewodniczącym komitetu organizującego wyprawę, ale jak wyjaśnił dziennikarzom, chociaż osobiście wybierał członków drugiej, ściśle naukowej ekspedycji, za dobór wspinaczy odpowiadał CAI. Cassin nie był przekonany co do prawdziwości tych słów. Nie dogadywał się zbyt dobrze z Desiem, a podczas rekonesansu w 1953 r. nigdy nie czuł, że jest traktowany jak równoprawny partner. Było nawet kilka sytuacji, w których Desio podróżował samolotem, natomiast Cassin był zmuszony jechać pociągiem.

Gdy cztery miesiące wcześniej spotkali w Rawalpindi Houstona i Amerykanów, Desio nie zaprosił Cassina, by ten wybrał się wraz z nim do domu Ata-Ullaha, gdzie mógłby poznać całą historię amerykańskiej próby zdobycia K2. Riccardo musiał się zadowolić krótką rozmową na lotnisku, tuż przed tym, jak Włosi polecieeli do Skardu. Z tego, co widział

Cassin, Ardito Desio po prostu chciał skupiać na sobie całą uwagę.

Dyskusja dotycząca selekcji kandydatów, którzy mieli pojechać na K2, zrobiła się nieprzyjemna — anonimowi członkowie komitetu zaczęli skrycie krytykować Cassina, utrzymując, że ze względu na żylaki i problemy z wątrobą żadna firma ubezpieczeniowa nie chciała mu wystawić polisy. Ostatecznie była to walka, którą Riccardo musiał przegrać, gdyż Desio był po prostu zbyt potężną postacią. Kilka gazet podjęło kampanię mającą na celu przywrócenie Cassina do składu wyprawy lub przynajmniej wyznaczenie nowego lidera zespołu wspinaczkowego, ale te artykuły nie przełożyły się na żadne działania i z czasem przestały się ukazywać.

Ardito Desio był jedynym liderem tej wyprawy, a nawet jeżeli wkrótce miał obchodzić 57. urodziny i nie był uważany za alpinistę, nie chciał mieć żadnego zastępcy. Ta kwestia wyszła na jaw później, w górach, gdy nie było już mowy o organizowaniu konferencji prasowych i udzielaniu wywiadów radiowych. Raz za razem powtarzał, że tej ekspedycji potrzebna była rygorystyczna dyscyplina i silny lider. Oprócz tego wiosną 1954 r. wyprawa zmagiała się z dużo poważniejszym kryzysem niż wykluczenie z jej składu jakiegoś wspinacza. Ekspedycja potrzebowała pieniędzy — i musiała je zdobyć naprawdę szybko.

W lutym 1954 r., zaledwie dwa miesiące przed planowaną datą wysłania do Pakistanu drogą morską całego sprzętu wyprawy, doszło do rozpadu koalicji rządzącej Włochami, a dotacja ze strony najważniejszego sponsora ekspedycji, Narodowego Ośrodka Badawczego, stanęła nagle pod znakiem zapytania. Wspomniana instytucja miała wyłożyć połowę pieniędzy na wyprawę, ale póki co te środki nie zostały przekazane. Jakby ten problem nie był wystarczająco poważny, w prasie pojawiały się listy z pytaniami, dlaczego władze chcą wydać tyle pieniędzy na wyjazd grupy wspinaczy, gdy w kraju nie brakuje bardziej palących potrzeb społecznych. Nawet w środowisku wspinaczkowym nie brakowało ludzi, którzy

kwestionowali sens organizowania wyprawy na K2 w sytuacji, kiedy wśród włoskich wspinaczy nie było nikogo, kto miałby jakiegokolwiek doświadczenie wysokogórskie — jedynym wyjątkiem był Riccardo Cassin, były lider grupy wspinaczkowej, wykluczony ze składu ekspedycji.

Władze CAI zachowały spokój i pożyczyły 25 milionów lirów; zabezpieczeniem kredytów były mienie klubu oraz osobiste gwarancje udzielone przez poszczególnych członków tej instytucji. Zarząd klubu był przekonany, że obiecane fundusze ostatecznie się pojawią, a jeśli próba zorganizowania wyprawy na K2 w 1954 r. ma być traktowana poważnie, klub musi się zatroszczyć o własny wkład finansowy w ekspedycję. Trzeba było zdobyć sprzęt i zapłacić za dwa wyjazdy treningowe w Alpy.

Pierwszy z nich odbył się w połowie stycznia, gdy wspinacze, którzy pozytywnie przeszli badania medyczne, spędzili ze sobą siedem dni, starając się zintegrować jako zespół, rozbijając namioty i testując sprzęt pod bacznym okiem oficera z centrum zajmującego się szkoleniem jednostek górskich. Ów mężczyzna został zatrudniony przez Desia i klub; chociaż wspinacze nie zdawali sobie z tego sprawy, wojskowy miał wskazać najsilniejszych i najsłabszych kandydatów. Pod koniec kursu jego uczestnicy przeszli kolejną serię badań medycznych, po których odrzucono następane dwie osoby. Resztę wysłano na drugi, dziewięciodniowy obóz, zorganizowany wysoko w masywie Monte Rosa. Była to sposobność do dalszego testowania sprzętu, a także przeprowadzania ćwiczeń, podczas których kandydaci mogli się wykazać zdolnościami przywódczymi oraz umiejętnością działania w zespole.

Desio zakładał początkowo, że zabierze ośmiu włoskich wspinaczy i trzech Szerpów z Dardżylingu w północnych Indiach, ale po sukcesie Tenzinga na Mount Evereście w 1953 r. nie było mowy o tym, by pakistańskie władze pozwoliły jakiemukolwiek obywatelowi Indii działać na najwyższej górze w ich kraju^[6]. Kierownik wyprawy zrezygnował zatem z

pomysłu korzystania z pomocy Szerpów i powiększył zespół wspinaczkowy do 11 osób; oprócz tego na wyprawę jechał też lekarz Guido Pagani oraz kamerzysta Mario Fantin.

Sześciu spośród wybranych ostatecznie wspinaczy było zawodowymi przewodnikami i instruktorami narciarstwa. Ubaldo Rey, Achille Compagnoni, Mario Puchoz i Sergio Viotto reprezentowali grupę „zachodnią” i pracowali w Alpach, głównie w okolicach Mont Blanc i Matterhornu. Dwaj pozostali, Lino Lacedelli i Gino Soldà, byli reprezentantami frakcji „wschodniej” i działali zawodowo przede wszystkim w Dolomitach, na północnym wschodzie Włoch. 23-letni Walter Bonatti, najmłodszy uczestnik ekspedycji, prowadził schronisko górskie u stóp Grigny, rozległego masywu w Alpach Bergamskich, na północ od Mediolanu.

Trzej kolejni członkowie zespołu, niezwiązani z górami zawodowo i okreśłani mianem *accademici*, byli członkami elitarniej sekcji CAI, którzy mieli na swoim koncie trudne drogi pokonywane bez wsparcia przewodników. Cirillo Floreanini był rysownikiem z Udine, Ugo Angelino pracował jako sprzedawca w Bielli, natomiast Pino Gallotti był inżynierem chemikiem z Mediolanu. Erich Abram z Bolzano łączył obydwa opisane tu obozy, pracując czasem jako przewodnik górski, a czasami jako inżynier chłodnictwa.

Jeśli chodzi o sprzęt, Desio zaczął od zbierania informacji poza granicami Włoch. W październiku 1953 r. spotkał się w Genui z Johnem Huntem, kierownikiem zespołu działającego wcześniej w tym samym roku na Mount Evereście; później udał się do Anglii, by obejrzeć wystawę sprzętu i ubrań wykorzystywanych przez tę ekspedycję. Desio wybrał się też do Zurychu, by spotkać się z organizatorami szwajcarskiej wyprawy na Mount Everest z 1952 r., i do Wiednia, gdzie miał okazję porozmawiać ze wspinaczami z austriacko-niemieckiego zespołu, który w 1953 r. dokonał pierwszego wejścia na szczyt Nanga Parbat.

Podobnie jak brytyjski komitet zajmujący się organizacją wyprawy na Mount Everest, Ardito Desio i organizatorzy

włoskiej ekspedycji na K2 mieli nadzieję, że stanie się ona wizytówką krajowej myśli inżynierskiej i przemysłowej. Wyprawę wsparło kilka słynnych włoskich firm, między innymi Olivetti, Pirelli i Perugina, które dostarczyły odpowiednio maszyny do pisania, przedmioty wykonane z gumy oraz czekolady; presja czasu sprawiła jednak, że komitet organizacyjny musiał się wykazać pragmatyzmem. Do wspinania na mniejszych wysokościach zakupiono brytyjskie buty, a w wyższych obozach wspinacze mieli używać szwajcarskich butów ze skóry renifera. Włoskie przedsiębiorstwo Gottifredi Maffioli zapewniło liny z wytwarzanego lokalnie nylonu, zaś francuska firma Moncler dostarczyła kurtki puchowe. Ardito Desio zdecydował, że po raz pierwszy na K2 dojdzie do użycia dodatkowego tlenu. Działająca na północy Włoch firma odlewnicza Dalmine dostarczyła wyprawie za darmo 200 specjalnych, lekkich butli na tlen, aczkolwiek w skład ekwipunku ekspedycji weszło też kilka zestawów wyprodukowanych przez niemiecką firmę Dräger.

Chociaż Desio planował działać na dużo większą skalę niż jego poprzednicy, bardzo zależało mu na tym, by porozmawiać zarówno z Charliem Houstonem, jak i Fritzem Wiessnerem. Nawet jeżeli Włoch był dla niego oczywistym rywalem, Charlie był na tyle uprzejmy, że przesłał mu więcej fotografii i informacji. Fritz Wiessner okazał się jeszcze bardziej pomocny. Gdy jesienią 1953 r. dowiedział się o porażce wyprawy Charliego Houstona, przez chwilę rozważał zorganizowanie drugiej ekspedycji na K2; kiedy jednak usłyszał, że Desio otrzymał już pozwolenie, zrezygnował z tych planów i zaoferował Włochom wszelką pomoc, jaką tylko mógł im zapewnić^[7]. Na początku 1954 r. Wiessner i Desio spotkali się w Davos w Szwajcarii i wkrótce zaczęli ze sobą korespondować.

Fritz prezentował (jak zawsze) bardzo pozytywne nastawienie, chociaż uprzedzał Desia, że aklimatyzacja, jeden z kluczowych czynników decydujących o sukcesie lub porażce

wyprawy, jest bardzo nieprzewidywalna: poszczególne osoby aklimatyzują się w różnym tempie, a niektórym nigdy się to nie udaje. Jeśli chodzi o spanie na dużej wysokości, ujawnił zaskakującą rzecz — w 1939 r. przez cały okres spędzony na K2 miał problemy ze snem:

Problemy ze snem będą miały szkodliwe następstwa psychologiczne, jeśli wspinacz przejmuje się tą kwestią i uważa, że głęboki sen jest czymś niezastąpionym. Jestem całkowicie przekonany, że spokojny sen nie jest niezbędny, dopóki ciało ma zapewniony odpoczynek, a umysł jest wolny od zmartwień i poważnych problemów natury mentalnej^[8].

Na podstawie swoich rozmów z Wiessnerem i Houstonem oraz analizy poczynań poprzednich wypraw Desio stworzył książeczkę opisującą szczegółowo wcześniejsze działania na K2 — każdy z włoskich wspinaczy uczestniczących w jego wyprawie otrzymał swój egzemplarz tej publikacji. Podobnie jak Wiessner i Houston, Desio miał zamiar skorzystać ze znanej już drogi prowadzącej Żebrem Abruzzów; planował też rozbijać obozy w mniej więcej tych samych miejscach, co wcześniejsze wyprawy. Zdjęcia Vittoria Selli z 1909 r. pozostawały niezwykle istotnym wizualnym punktem odniesienia, a zasoby materiałów informacyjnych wyprawy obejmowały oficjalne raporty zarówno z ekspedycji księcia Abruzzów z 1909 r., jak i wyjazdu zorganizowanego przez księcia Spoleto w 1929 r.

Podobnie jak w przypadku wszystkich dużych wypraw, nie brakowało kryzysów wybuchających w ostatniej chwili, ale bez względu na wszelkie przeciwności losu, 30 marca 1954 r. na pokładzie SS Asia w drogę do Pakistanu ruszyło imponujące 13 ton prowiantu i sprzętu, czyli prawie trzy razy więcej, niż zabrał zespół Charliego Houstona. Dwa tygodnie później Desio poleciał z Rzymu do Karaczi, a wkrótce po tym jego śladami podążyli wspinacze biorący udział w ekspedycji. Pod koniec kwietnia czterej członkowie zespołu naukowców Desia również dotarli na miejsce i zbrali się w Rawalpindi, by czekać na samoloty, którymi wszyscy mieli polecieć do Skardu.

Wzorując się na wyprawie, która działała na K2 w 1953 r., Desio postanowił powołać na stanowisko oficera łącznikowego Mohammada Ata-Ullaha, choć tym razem pakistański lekarz nie był już nowicjuszem, lecz starym wygą. Z jego perspektywy Włosi bardzo różnili się od Amerykanów. Jeśli nie liczyć kierownika wyprawy, mało kto mówił po angielsku, więc trudno mu było nawiązać bliższe kontakty z poszczególnymi osobami. Z czasem Ata-Ullah zaczął lubić i szanować Desia, ale nigdy nie zrodziła się między nimi nieskomplikowana relacja podobna do tej, jaka łączyła Pakistańczyka z Houstonem. Szkic postaci Włocha zamieszczony w autobiografii Ata-Ullaha, *Citizen of Two Worlds*, zapewnia niezwykle wgląd w to, co oficer łącznikowy postrzegał jako przeciwieństwa składające się na charakter Desia:

Ujawnia naprzemiennie dwie osobowości: raz jest chłodnym, wyrachowanym naukowcem — metodycznym, cierpliwym, dokładnym i zwracającym uwagę na najdrobniejsze szczegóły; zaraz potem staje się pokazującym ludzką twarz człowiekiem czynu, dającym swobodny upust swoim nastrojom za sprawą barwnych wypowiedzi i żywiołowych gestów. Z wieloma ludźmi — w tym również ze mną — łączyła go głęboka przyjaźń przesycona lojalnością. Z drugiej strony jego nieliczni wrogowie byli nieprzejednani i zawzięci. Był niezwykle życzliwy, ale gdy uważał, że jest to konieczne, potrafił również być bezwzględny^[9].

Początkowo uwagę Ardita Desia odwracali wszyscy dygnitarze, z którymi musiał się spotkać, a także rozmaite wydarzenia, w których należało wziąć udział, lecz gdy dni upływały, a samoloty, którymi mieli polecieć do Skardu, nadal nie chciały się zmaterializować, kierownik wyprawy zaczął odczuwać narastającą frustrację. W 1929 r. dotarcie na piechotę z Rawalpindi do Skardu pochłonęło 14 dni; tym razem pokonali tę samą trasę w półtorej godziny, ale wcześniej musieli czekać przez 10 dni ze względu na opóźnienia lotów.

Gdy samoloty wreszcie przyleciały, po czym przetransportowały wszystkich do Skardu, Włochom zaproponowano w ramach rekompensaty nieoczekiwany bonus: możliwość obejrzenia K2 z powietrza. W okresie poprzedzającym 1954 r. zrealizowano już kilka lotów wokół Mount Everestu, ale nikt nie odważył się jeszcze zapuścić w samo serce Karakorum. Lokalne linie lotnicze Orient Air były gotowe podjąć taką próbę, gdyby Ardito Desio zgodził się pokryć koszty. Było jednak wiadomo, że będzie to niebezpieczna eskapada: pułap samolotu Douglas DC-3, który miał zostać wykorzystany podczas tego lotu, wynosił nieco ponad 7000 metrów, czyli jakieś 1500 metrów mniej niż wysokość, na której znajdował się szczyt K2. Żeby dotrzeć w pobliże góry, musieli przelecieć nad przełęczami sięgającymi niemal 6400 m n.p.m. Jeśli wziąć pod uwagę, że pilot korzystał z oficjalnych map w skali 1:1 000 000, powodzenie lotu zależało od tego, czy Desio zdoła przełożyć swoją znajomość terenu — zdobywaną z poziomu ziemi w trakcie wcześniejszych wizyt w tym miejscu — na informacje przydatne podczas przemieszczania się po okolicy w powietrzu.

Przedsięwzięcie było ryzykowne, ale Desio był zarówno pewny siebie, jak i podekscytowany; w latach 30. eksperymentował z aerofotogrametrią w Afryce Północnej, a gdy po raz pierwszy planował zorganizowanie wyprawy na K2, usiłował zainteresować producenta helikopterów, firmę Sikorsky, koncepcją zorganizowania serii zrzutów z powietrza, co pozwoliłoby dostarczyć sprzęt i prowiant prosto do bazy. Cały pomysł spalił ostatecznie na panewce, ale Desio był przekonany, że w przyszłości samoloty staną się ważnym narzędziem w rękach kartografów i geografów, a lot zorganizowany przez linie Orient Air był doskonałą okazją, by porobić zdjęcia lotnicze okolicy i przyjrzeć się z bliska K2.

30 kwietnia tuż po świcie Ardito Desio i kamerzysta wyprawy Mario Fantin wsiedli do samolotu w towarzystwie trzyosobowej załogi; chwilę później samolot zaczął kołować w kierunku pasa startowego. Maszyna nie była wyposażona we

własne zapasy tlenu, więc uczestnicy lotu zabrali ze sobą pięć masek tlenowych i siedem butli, które pierwotnie miały służyć wspinaczom. Po dwukrotnym okrążeniu w powietrzu pasa startowego (i nabraniu dzięki temu wysokości) DC-3 ruszył w kierunku K2. Po dotarciu na wysokość 6300 m n.p.m. pilot założył maskę tlenową, ułatwiając sobie w ten sposób osiągnięcie wysokości 6700 m n.p.m.

Pogoda była idealna — błękitne niebo urozmaicało tylko kilka drobnych chmurek. Mario Fantin, brodaty mieszkaniec Bolonii w północnych Włoszech, był doświadczonym fotografem i zapalonym wspinaczem amatorem. Przez kilka wcześniejszych dni zmagał się z problemami żołądkowymi, ale bardzo zależało mu na tym, by wziąć udział w tym locie. Poprosił Paganiego, lekarza wyprawy, o przepisanie mu jak najmocniejszych medykamentów, a potem dzielnie zniósł noc, w trakcie której głowa tętniła mu od bólu, podczas gdy lekarstwa zaczynały krążyć w jego organizmie.

Gdy Fantin zużywał teraz kolejne rolki filmu, upajał się faktem, że rejestruje coś, czego nigdy wcześniej nie sfotografowano. Pasma Karakorum oglądane z powietrza wyglądało niezwykle okazale: Gaszerbrum, Mitre Peak, Czogolisa, Skyang Kangri, Broad Peak i wreszcie K2, „góra gór”.

Ponieważ samolot leciał z prędkością 330 kilometrów na godzinę, mieli niewiele czasu, więc Desio szybko przyjrzał się szczytowi K2 przy akompaniamencie odgłosów wydawanych przez kamery Fantina. Ta część góry sprawiała wrażenie bardzo stromej i wydawało się, że poza opisaną kilka miesięcy wcześniej przez Fritza Wiessnera drogą wzdłuż grani południowo-wschodniej, istniało jeszcze kilka innych możliwości dotarcia na wierzchołek. Gdy przelatywali obok wschodniej ściany K2, Desio stwierdził, że góra przypomina mu olbrzymi średniowieczny zamek, który trzeba będzie atakować przy użyciu „wszelkich środków, jakie potrafi obmyślić współczesna nauka”^[10].

Lot wymagał od pilota całkowitego skupienia — gdy skierował maszynę o rozpiętości skrzydeł wynoszącej 29 metrów wzdłuż Lodowca Godwina-Austena, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że szczyty wielu spośród okolicznych gór znajdują się półtora kilometra wyżej niż maksymalna wysokość, na jaką może się wzbić ten samolot. Zawracanie w dolinie między K2 a Broad Peakiem nie wchodziło w grę, więc pilot przeleciał nad przełęczą Skyang La i znalazł się po północnej stronie K2. Technicznie rzecz biorąc, oznaczało to naruszenie chińskiej przestrzeni powietrznej, lecz było to jedyne możliwe rozwiązanie.

Kierując się wskazówkami Desia, pilot okrążył północną i zachodnią ścianę K2, przelatując nad ogromnym labiryntem nieprzyjaznych lodowców i przyprawiających o zawrót głowy szczytów. Desio czuł pokusę, by kontynuować lot nad terenami, które starał się zbadać w 1929 r., ale pamiętając o starym włoskim powiedzeniu, „*Chi lascia la via vecchia per la nuova, sa quell perde e non sa quel trova*” — „Ten, kto porzuca starą drogę na rzecz nowej, wie, z czego rezygnuje, ale nie wie, co znajdzie”, powiedział pilotowi, by ten wrócił do znanego już punktu orientacyjnego w postaci lodowca Baltoro. Godzinę później wylądowali w Skardu, spakowali filmy Fantina i wysłali je do Włoch.

Lot wokół K2 był wspaniałym doświadczeniem i mógł się okazać niezwykle przydatny podczas przygotowywania filmu dokumentalnego na temat K2, lecz nie było czasu na odpoczynek. Tego samego ranka Gino Soldà, najstarszy wspinacz we włoskim zespole, ruszył w drogę na czele grupy 270 tragarzy. Była to straż przednia prawdziwej armii tubylców zatrudnionych do przetransportowania ekwipunku włoskiej ekspedycji do bazy u stóp góry. Następnego dnia Achille Compagnoni, który służył wcześniej w wojsku, poprowadził drugą grupę liczącą 172 tragarzy, a 2 maja Ugo Angelino, sprzedawca z Bielli, a zarazem osoba odpowiedzialna podczas wyprawy za kwestie logistyczne, ruszył śladami kolegów z

ostatnimi 60 Baltami, Arditem Desiem i pozostałymi wspinaczami. Tak oto rozpoczął się podbój K2.

Pierwsze etapy podróży były zarazem tymi najłatwiejszymi. W ciągu poprzedniego roku pakistańska armia zbudowała kilka nowych mostów między Skardu a Askole, dzięki czemu ekspedycja Desia zdołała pokonać pierwszą połowę trasy dwukrotnie szybciej niż zespół Houstona, który przemierzał tę samą drogę w 1953 r. Włosi potrzebowali jednak trochę czasu, by przyzwyczać się do dziwnego rytmu rozpoczynania i kończenia pracy przez tragarzy. Chociaż zaopatrzyli się w dwadzieścia słowników z języka urdu, Ata-Ullah i tak odgrywał wraz ze swoim niewielkim zespołem pakistańskich oficerów łącznikowych niezwykle istotną rolę. Podobnie jak wyprawa z 1953 r., następna ekspedycja też zmagala się z falą drobnych kradzieży; ginęło wszystko, począwszy od sprzętu wspinaczkowego, a skończywszy na ubraniach noszonych przez Włochów.

Najpoważniejszym wyzwaniem w przypadku tak ogromnej wyprawy było zapewnienie tragarzom odpowiedniej ilości jedzenia. Każdy z tubylców potrzebował na ćapati mniej więcej kilograma mąki dziennie. W tej sytuacji 500 ludzi zjadało w ciągu 10 dni około 5 ton mąki. Na początkowych etapach podróży sporą część jedzenia kupowano we wsiach napotykanych po drodze, ale po tym, jak ekspedycja minęła ostatnią wioskę, Askole, nie było już po prostu możliwości, by zaopatrzyć się w jakikolwiek prowiant. Desio musiał zatem wynająć kolejnych 100 ludzi, których jedynym zadaniem było niesienie mąki pozwalającej wyżywić główną grupę tragarzy.

Oprócz zapewniania żywności w grę wchodziła jeszcze drażliwa kwestia specjalnego wyposażenia. Wszelkiego rodzaju sprzęt oznaczał koszty i dodatkowe kilogramy, więc Ardito Desio starał się zorganizować wszystko tak, by tragarzom wystarczyło generalnie kilka kawałków brezentu, pod którym mogliby spać. Przez większość czasu ta strategia się sprawdzała, a jeśli tylko niesłychanie odpornym Baltom odpowiednio dobrze zapłacono, nie potrzebowali zasadniczo zbyt wiele poza

kocami oraz ubraniami, które mieli na sobie. Możliwość stosowania tej minimalistycznej strategii zależała jednak od dobrej pogody, a gdy ciepłe słońce, które towarzyszyło ekspedycji w pierwszym tygodniu, ustąpiło miejsca intensywnym deszczom, a potem opadom śniegu, tragarze stali się dużo bardziej asertywni.

Kiedy dotarli do Urdukasu, śnieg padał już bez przerwy. Podczas poprzedniej wizyty w tym miejscu, w trakcie rekonesansu we wrześniu 1953 r., Ardito Desio mógł się rozkoszować bujną trawą i kobiercem z kwiatów, ale gdy obudził się rankiem 11 maja, wszystko było pokryte grubą warstwą białego puchu, a Baltowie zbili się w grupki, sprawiając wrażenie wyraźnie niezadowolonych. W sytuacji gdy nie mieli zapewnionej żadnej odzieży ochronnej ani opału, na którym mogliby ugotować jedzenie, odmawiali dalszej wędrówki.

Ata-Ullah starał się następnego dnia przekonać ich do wyruszenia w drogę, obiecując dodatkowy napiwek każdemu, kto dotrze pod K2, ale Desio był zaniepokojony. Jakikolwiek opóźnienie po drodze oznaczało, że trzeba będzie gdzieś znaleźć dodatkową mąkę. Przez moment rozważał pomysł zorganizowania bazy w Urdukasie, tak jak zrobił to książe Spoleto w 1929 r., lecz odległość od K2 była zbyt duża, by takie działanie miało sens. Opady śniegu nie ustawały.

Następnego ranka mniej więcej 120-osobowa grupa tragarzy oznajmiła, że ma dosyć, po czym ruszyła w drogę powrotną. Inni wykręcali się od pracy, dopóki mniej więcej w południe nie wyszło słońce. Po wielu krzykach wzięli wówczas swoje ładunki i powoli wrócili na lodowiec, choć po kilku godzinach się zatrzymali.

Tego wieczoru nie było już kolejnych opadów śniegu, lecz bardzo mroźna noc wywołała następne dezercje. Ci, którzy zostali, odmawiali opuszczenia obozu; zamiast jednak marnować kolejne godziny na kłótnie, Ata-Ullah doradził kierownikowi wyprawy, by ten ruszył w dalszą drogę. Gdy

Desio kilka godzin później obejrzał się za siebie, zobaczył szereg mężczyzn podążających jego śladami.

Zanim dotarli do Concordii, zaczęło im się dawać we znaki palące słońce. Góry wyglądały przepięknie, ale powrót czystego nieba pociągał za sobą nowe problemy. Żaden z Baltów nie miał własnych okularów lodowcowych, a chociaż Włosi, mając na względzie tę kwestię, przywieźli ze sobą setki takich okularów, połowa z nich została porzucona na wcześniejszym etapie podróży, podczas prób zmniejszenia liczby ładunków. Wkrótce wielu tragarzy zaczęło się zmagać ze ślepotą śnieżną.

Setki tragarzy dotarły aż do Concordii, ale większość zrzuciła tam swoje ładunki, pobrała wynagrodzenie, po czym ruszyła do domów. Późnym wieczorem Desio znalazł się wśród ogromnej liczby drewnianych skrzyń, lecz nie dysponował żadnym oczywistym rozwiązaniem, które umożliwiłoby dalszy transport całego tego ekwipunku. Następnego ranka kierownik ekspedycji ruszył do bazy pod K2, ale tylko jeden tragarz był skłonny towarzyszyć mu podczas tej trzygodzinnej wędrówki. Jakby problemów wciąż było za mało, znów zaczął sypać śnieg; opady trwały przez dwa dni.

Cała ekspedycja zamieniła się w logistyczny koszmar, a członkowie wyprawy (wraz z całym ekwipunkiem) byli rozrzućeni między trzy różne miejsca — Urdukas, Concordię i bazę pod K2. Ardito Desio był poirytowany i wyładował swoją frustrację na włoskich wspinaczach. Gdy dotarli oni do Concordii, zamiast ciepłego powitania spotkali się z ostrą reprymendą. Kierownik przypomniał wszystkim o „pakcie posłuszeństwa” podpisanym w Mediolanie i zażądał okazywania od teraz całkowitej dyscypliny.

Desio twierdził, że to Ugo Angelino, 31-letni wspinacz z Piemontu, nadzorujący ostatnią grupę tragarzy, jest odpowiedzialny za to, iż tubylcy nie mieli okularów lodowcowych; zagroził nawet odesłaniem go do Włoch. Angelino był obdarzony przyjacielskim uśmiechem i łagodnym usposobieniem, ale nie miał zamiaru pozwolić, by Desio nim pomiatał, zwłaszcza w sytuacji, w której kierownik wyprawy

nie miał racji. W obliczu oskarżeń odparował, że to sam Desio nakazał porzucić skrzynię z okularami. Co więcej, jako osoba odpowiedzialna za kwestie logistyczne, Angelino domagał się, by umożliwiono mu przeprowadzenie spisu wszystkich dostarczonych dotychczas ładunków. Inni wspinacze stanęli za nim murem, a Ata-Ullah po raz pierwszy — choć nie ostatni — musiał wziąć na siebie obowiązki rozjemcy próbującego pogodzić kierownika wyprawy i jego zbuntowany zespół.

Gdy świat dowiedział się o opóźnieniach, z jakimi borykała się ekspedycja, problemy z tragarzami zostały rozdmuchane do tego stopnia, że szybko trafiły na pierwsze strony gazet. Amerykańska agencja prasowa donosiła, że Włosi zgubili się gdzieś na lodowcu Baltoro, a Desio odłączył się od reszty wyprawy. „New York Times” informował z kolei, że doktor Benedetto D’Acunzo, ambasador Włoch w Karaczi, poprosił pakistańskie lotnictwo wojskowe o wysłanie samolotów, dzięki którym można byłoby podjąć poszukiwania zaginionego zespołu^[11].

We Włoszech prasa była trochę bardziej powściągliwa. Koledzy kierownika ekspedycji podchodzili sceptycznie do doniesień z Pakistanu, przypominając dziennikarzom, że Desio ma duże doświadczenie związane z działaniami w tym regionie. To, że od 23 dni nie było od niego żadnych wieści, mówili, nie musiało jeszcze oznaczać, iż się zgubił — pomijając wszystko inne, wyprawa działała w jednym z najbardziej odosobnionych zakątków świata, zaś Desio był doświadczonym podróżnikiem.

Na początku czerwca CAI przełamał napięcie, wydając oświadczenie prasowe bazujące na liście wysłanym przez Desia z Urdukasu. Komunikat głosił, że wszystko jest w porządku; były problemy i opóźnienia, ale sytuacja jest pod kontrolą i, jak można było przeczytać w zakończeniu oświadczenia, „Wszyscy cieszą się doskonałym zdrowiem, pogoda wyraźnie się poprawia, a krajobrazu po prostu nie sposób opisać”^[12].

Doprowadzenie do tego, by wszyscy wspinacze znaleźli się w bazie wraz z całym przywiezionym ekwipunkiem, zabrało wiele dni, ale na początku czerwca udało się tego dokonać. Desio obliczył, że ekspedycja ma dwa tygodnie opóźnienia w stosunku do przyjętego pierwotnie harmonogramu działań, lecz był tak zadowolony z obecności całego swojego zespołu w bazie, że pozwolił wszystkim na jeden dzień odpoczynku.

Podobnie jak w przypadku innych kwestii związanych z tą ekspedycją, włoska baza była o wiele większa niż wszystko to, co można było wcześniej obserwować pod K2. Centrum „nowego Italopolis” stanowiły cztery duże, połączone ze sobą namioty: pierwszy był pomieszczeniem łącznościowym i skrywał nadajnik radiowy o mocy, która (przynajmniej teoretycznie) powinna wystarczyć do skontaktowania się z najbliższym miastem, Skardu; drugi był wspólnym pomieszczeniem i salą jadalną — został wyposażony w dwa długie stoły i szereg krzeseł; trzeci skrywał prowiant i sprzęt wyprawy; ostatni służył za biuro kierownika wyprawy oraz ambulatorium lekarza ekspedycji. W pobliskiej jaskini lodowej wspinacze ustawili niewielki posążek Matki Boskiej podarowany przez kardynała Schustera, słynnego arcybiskupa Mediolanu.

Chociaż Desio zakładał początkowo, że pod względem żywienia będzie się wzorował na rozwiązaniach stosowanych przez Brytyjczyków na Mount Evereście, dieta uczestników wyprawy miała ostatecznie typowo włoski charakter — obfitowała w makarony, ryż i suszone warzywa, a na specjalne okazje czekały niemal dwa kilogramy culatello, najlepszej szynki parmeńskiej, jaką tylko można kupić. Ulubionym napojem Włochów była herbata rumiankowa; tuż za nią, na drugim miejscu uplasowała się herbata hibiskusowa. Zwycięstwo miało zostać uczczone dużą butelką brandy.

Strategia wspinaczkowa, jaką obrał Desio, bardzo różniła się od rozwiązań stosowanych przez Wiessnera i Houstona. Jak później napisał, tamte wyprawy były zaledwie „próbami” zdobycia góry, natomiast on zastosował „poważniejsze”

podejście, przesycone dużo większą determinacją. Podczas gdy Houston i Wiessner dawali sobie na zdobycie K2 około dwóch miesięcy, Desio przywiózł prowiant pozwalający przeprowadzić zdecydowanie dłuższe oblężenie, które w razie konieczności mogło potrwać do jesieni.

Zgodnie z sugestią Riccarda Cassina, lidera grupy wspinaczy usuniętego później ze składu wyprawy, Włosi zabrali ponad sześć kilometrów liny — jak zażartował pewien wspinacz na łamach czasopisma „Life”, mieli jej na tyle dużo, że mogli zawinąć K2 „niczym paczkę”. Plan przewidywał założenie lin poręczowych wzdłuż całego Żebra Abruzzów, co pozwoliłoby wspinaczom na szybkie przemieszczanie się w górę i w dół. W 1953 r. zespół Houstona wspinał się do góry w większej grupie, a w środkowym okresie działalności Amerykanie tylko okazjonalnie schodzili do niżej położonych obozów, by odebrać czekające na nich listy. Desio miał z kolei nadzieję, że liny poręczowe pozwolą jego ludziom swobodnie przemieszczać się między wyższymi obozami i wracać od czasu do czasu do bazy w celu odbudowania sił.

Gdyby wszystko ułożyło się zgodnie z planem, powinni przeznaczyć pierwszą połowę czerwca na założenie na Żebrze Abruzzów pięciu obozów; celem było znalezienie się przed połową miesiąca powyżej Komina House’a — przemianowanego przez Włochów na „Il Camino Bill”. Drugą połowę czerwca planowali poświęcić na założenie ostatnich trzech obozów przed Ramieniem. Później, gdyby wszystko przebiegało po myśli uczestników wyprawy, mogliby spróbować dotrzeć na szczyt w ciągu pierwszych dwóch tygodni lipca.

Początkowo robili szybkie postępy i w ciągu dwóch tygodni dotarli do miejsca obozu czwartego Houstona, tuż poniżej Komina House’a. Desio podzielił uczestników wyprawy na dwa zespoły: główną grupę wspinaczkową, która zdobywała nowy teren, oraz grupę wsparcia, która podążała nieco z tyłu i umacniała kolejne obozy.

Liderem głównego zespołu wspinaczkowego był Achille Compagnoni, przewodnik górski, który wcześniej służył w wojsku. Był krępy, miał szeroką klatkę piersiową oraz pełną ekspresji twarz, na której widoczna była mieszanka nieustępliwości i poczucia humoru. Miał 40 lat i był jednym ze starszych wspinaczy uczestniczących w wyprawie, ale podczas testów na Uniwersytecie Mediolańskim okazało się, że zalicza się też do najsprawniejszych przedstawicieli tego grona. Od samego początku (co dało o sobie znać zwłaszcza podczas obozów treningowych w styczniu 1954 r.) chętnie brał na siebie odpowiedzialność i szybko stał się ulubieńcem kierownika wyprawy.

Zespołem wsparcia kierował Gino Soldà, przewodnik górski prowadzący sklep sportowy w Dolomitach. 47-letni Gino był najstarszym wspinającym się członkiem ekspedycji, lecz cieszył się reputacją odważnego wspinacza, a oprócz tego był sprawny i silny.

Gdy Włosi docierali w coraz wyższe partie Żebra Abruzzów, znajdowali prowiant i paliwo porzucone przez zespół Houstona wycofujący się z K2. W obozie drugim na Włochów czekała marmolada, szynka i paliwo; w obozie trzecim było jeszcze więcej paliwa i kilka puszek mięsa. Nigdzie nie było ani śladu Arta Gilkeya ani jego rzeczy osobistych, ale wspinacze znaleźli czerwony haftowany parasol przywieziony w 1953 r. z Ameryki przez Charliego Houstona. Mario Puchoz zniósł go z góry i wręczył kierownikowi wyprawy niczym sztandar pokonanego przeciwnika.

Jak zwykle trudnością nie było wyłącznie dotarcie w wyższe partie góry, ale przetransportowanie tam setek kilogramów prowiantu i sprzętu, a także założenie szeregu obozów wzdłuż drogi prowadzącej na szczyt. Czerpiąc inspirację z urządzenia skonstruowanego w 1953 r. przez Pete'a Schoeninga, Włosi przywieźli ze sobą przenośną wciągarkę, która miała ułatwić transportowanie sprzętu i ograniczyć liczbę ładunków, które musieliby nosić tragarze. To urządzenie sprawdziło się tak dobrze, że wkrótce stworzyli improwizowaną drugą wersję

tego systemu, montując do drewnianych skrzyń parę nart. Użycie obu tych wciągarek pozwalało przetransportować sprzęt przez lodowiec z bazy do obozu pierwszego, a potem (po przeniesieniu ładunków na niewielką odległość w tradycyjny sposób) do drugiego.

O ile wciągarka sprawdzała się na tyle dobrze, że przewyższała pierwotne oczekiwania, o tyle Hunzowie zatrudnieni w roli tragarzy wysokościowych początkowo okazali się rozczarowaniem. Ardito Desio miał do dyspozycji 10 ludzi, specjalnie wybranych przez Ata-Ullaha i przywódcę Hunzów. Jeden z mężczyzn, Vilyati, brał udział w amerykańskiej wyprawie działającej na K2 w 1953 r.; dwaj inni, Amir Mahdi i Isakhan, pracowali w tym samym roku na rzecz austriacko-niemieckiego zespołu oblegającego Nanga Parbat. Można było jednak odnieść wrażenie, że żaden z Hunzów nie jest specjalnie zadowolony ze swojej obecności pod K2.

To był poważny problem, ponieważ w przeciwieństwie do Charliego Houstona, który nie oczekiwał, że Hunzowie dotrą dalej niż do pierwszych obozów, Desio miał nadzieję, iż wyjdą oni dużo wyżej. Włoscy wspinacze mieli jednak bardzo poważne problemy, jeśli chodzi o współpracę ze swoimi nowymi kolegami. Hunzowie regularnie narzekali, że ich ładunki są zbyt ciężkie; te skargi powtarzały się na tyle często, iż Włosi musieli zmniejszać ich ciężar do tego stopnia, by były lżejsze od tego, co sami nosili. Jedynym wspólnym językiem był angielski, ale zarówno Włochom, jak i Hunzom bardzo daleko było do płynnego posługiwania się tą mową, więc komunikowali się przy użyciu gestów, papierosów i uśmiechów. Młody wspinacz z Dolomitów uczestniczący w tej wyprawie, Lino Lacedelli, wspominał 50 lat później, że tę komunikację uzupełniało czasem grożenie komuś czekaniem^[13].

Pomimo problemów z tragarzami uczestnicy wyprawy kontynuowali swoją pracę. 20 czerwca u stóp Komina House'a zgromadzono tyle zapasów, że Achille Compagnoni rozważał wykonanie kolejnego kroku i przeniesienie się na drugą połowę

Żebra Abruzzów. Pogoda nie była najlepsza, ale póki co Włosi nie doświadczyli żadnej z silnych burz, które nękały rok wcześniej ekspedycję Houstona.

Wszystko posuwało się miarowo do przodu aż do momentu, gdy z obozu drugiego do bazy dotarła informacja, której nikt się nie spodziewał: Mario Puchoz, jeden z najsilniejszych wspinaczy włoskiego zespołu, rozstał się właśnie z tym światem.

Rozdział 10

Włoskie kwiaty

Gdy młody Walter Bonatti wrócił rankiem 21 czerwca do bazy i powiedział, że stan Maria Puchoza gwałtownie się pogorszył, nikt nie chciał w to wierzyć. Puchoz był najsilniejszym Włochem biorącym udział w tej wyprawie — w pełni zasługiwał na to, by mówić o nim „kawał chłopa”. Choć niski, był potężnie zbudowany i miał szeroką twarz zwieńczoną bujną, ciemnobrązową czupryną. W czasie drugiej wojny światowej walczył z Rosjanami na krwawym froncie wschodnim, a w przeciwieństwie do większości pułku, w którym służył, wrócił do domu i mógł opowiedzieć o tych wydarzeniach. Później żył z bratem i siostrą w Courmayeur, u stóp Mont Blanc i nie chwalił się swoimi dokonaniem, ale każdy był w stanie opowiedzieć jakąś historię na temat Maria — o tym, jak przez ponad dwa tygodnie nosił po górach 65-kilogramową skrzynkę z amunicją; jak wraz z innym przewodnikiem, Eugeniem Bronem, znieśli ciało kobiety, która próbowała wspiąć się boso na Mont Blanc; jak razem ze swoim przyjacielem Albinem znieśli na dół nieprzytomnego klienta... zwyczajny kaszel lub ból gardła nie mogły wyrządzić krzywdy komuś takiemu jak Mario Puchoz.

Jakąś godzinę po Bonattim do bazy zeszli jednak pozostali. Dziewięciu mężczyzn płakało po cichu, a ich twarze naznaczone były bólem. Mario odszedł. „Zmarł po cichu, tak samo, jak żył” — napisał fotograf ekspedycji, Mario Fantin. — „Niemalże wycofał się z życia na palcach, by nie przeszkadzać tym, którzy dzielili z nim namiot”^[1].

Mario rozstał się z tym światem? Zaledwie kilka dni wcześniej Puchoz dźwigał ładunki do obozu czwartego, poniżej

Komina House'a. Sprawiał wrażenie zadowolonego i był w swoim żywiole; kilka osób już na tak wczesnym etapie wyprawy twierdziło, że jest na tyle silny, by zapewnić sobie miejsce w zespole szczytowym. Gdy Puchoz skontaktował się przez radio z bazą, aby powiedzieć, że męczy go kaszel i źle się czuje, Guido Pagani, lekarz ekspedycji, wyruszył do góry. Miał zamiar sprawdzić, co się dzieje, ale udał się tam bardziej na wszelki wypadek niż z powodu jakichkolwiek poważniejszych obaw.

Gdy dotarł na miejsce, Mario był blady i przyznał, że czuje się naprawdę kiepsko. Później dostał zapaści, a Pagani uświadomił sobie, że sytuacja jest dużo poważniejsza. Chciał sprowadzić Maria do bazy, ale ze względu na bardzo silny wiatr próba schodzenia z chorym człowiekiem byłaby szaleństwem. Doktor Pagani przekazał zatem do bazy prośbę o dostarczenie większej ilości lekarstw i podał Puchozowi antybiotyki. Gdy Mario zaczął mieć problemy z oddychaniem, lekarz wypełnił namiot tlenem, ale ani medykamenty, ani tlen nie pomogły uratować chorego. Wieczorem 20 czerwca Puchoz stracił przytomność, a kilka godzin później, o pierwszej nad ranem, zmarł.

Kiedy wspinacze, którzy zeszli właśnie z góry, opowiedzieli tę historię, baza pogrążyła się w ciszy. Nikt nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło. W 1939 r. zabranie Dudleya Wolfe'a na górę było proszeniem się o wypadek, a choroba Arta Gilkeya w 1953 r. zamieniła się w rozciągniętą w czasie agonię, ale Mario Puchoz? Jednego dnia dźwigał ogromne ładunki Żebrem Abruzzów, a nazajutrz nie było go już wśród żywych. Doktor Pagani nazwał to „galopującym zapaleniem płuc” — była to długa nazwa jak na śmierć, która przyszła tak szybko.

W liście wysłanym do Włoch Ardito Desio starał się ukryć głęboki szok, jaki odczuwał, ale jego emocje były aż nazbyt widoczne:

Nie powiem nic oprócz tego, że K2 zabrał kolejną ofiarę. Mogę tylko napisać, że nikt nie spodziewał się stracić towarzysza w takich okolicznościach, nawet jeżeli w

przypadku wyprawy takiej jak nasza trzeba być przygotowanym na to, iż coś może pójść nie tak — czasem nawet bardzo poważnie^[2].

Desio chciał jak najszybciej poinformować o wszystkim rodzinę Maria we Włoszech, ale ponieważ członkom wyprawy nadal nie udało się zmusić nadajnika radiowego do działania, smutną wiadomość trzeba było wysłać przez gońca.

Przez następne trzy dni szalała burza, która uwięziła wszystkich w bazie. Gdy pogoda się poprawiła, 25 czerwca Lino Lacedelli, przewodnik górski z Dolomitów, ruszył wraz z dwoma Włochami i trzema Hunzami na Żebro Abruzzów, by sprowadzić na dół zwłoki Puchoza. Burza pokryła K2 grubą warstwą śniegu, przez co wspinaczka stała się zarówno niebezpieczna, jak i wyczerpująca. Dwa dni później sześcioposobowy zespół wrócił pogrążony w milczeniu, niosąc worek zawierający ciało. Tuż przed bazą Desio uroczyście ułożył na zwłokach włoską flagę; później ciało Maria Puchoza zostało złożone na ostatnią noc w jego namiocie.

Następnego dnia wcześniej rano zwłoki przeniesiono do grobu wykopanego wśród skał, w pobliżu kopca usypanego 11 miesięcy wcześniej dla uczczenia pamięci młodego amerykańskiego wspinacza, Arta Gilkeya. Ubaldo Rey, przewodnik pochodzący z Courmayeur, rodzinnego miasta Puchoza, odczytał emocjonalną mowę pogrzebową, a potem wszyscy odśpiewali „*Montagnes Valdôtines, Vous êtes mes Amours!*”, hymn lokalnych przewodników. Po przysypaniu zwłok ziemią i drobnymi kamieniami towarzysze Puchoza umieścili na jego grobie niewielki drewniany krzyż, na którym wyryli prostą inskrypcję:

Tutaj spoczywa Mario Puchoz, przewodnik górski z Mont Blanc, Courmayeur, styczeń 1918 r., Żebro Abruzzów na K2, czerwiec 1954 r.

Hunzowie przystroili krzyż mchem i dzikimi kwiatami, a potem wszyscy przeszli do namiotu jadalnego w bazie, by w milczeniu spożyć posiłek.

Szok i trauma wisiały w powietrzu. „Nie mieliśmy pojęcia, jak łatwo można zginąć tam na górze” — napisał Mario Fantin^[3]. Jeszcze przed wyjazdem lekarze Uniwersytetu Mediolańskiego ostrzegali ich przed ukrytymi niebezpieczeństwami, jakie pociąga za sobą wspinaczka na dużej wysokości, ale Mario Puchoz nie był nawet specjalnie wysoko. Znajdował się w obozie drugim, około 5900 m n.p.m. Jeżeli K2 potrafił zabrać w ciągu kilku dni kogoś tak twardego jak Mario, ile nadziei mogli mieć wszyscy pozostali?

Ardito Desio zmagiał się z szokiem. Był 27 czerwca, a wyprawa miała teraz niemal miesięczne opóźnienie w stosunku do pierwotnego harmonogramu działań. Oryginalny plan zakładał, że pod koniec czerwca dotrą do obozu ósmego na Ramieniu, wypłaszczeniu położonym na wysokości 7900 m n.p.m., i będą się przygotowywać do założenia ostatecznych obozów, a następnie ataku na szczyt. Nie można było jednak powiedzieć, by byli choćby bliscy realizacji tych planów: jak na razie najwyższym osiągniętym przez nich punktem był obóz czwarty na wysokości 6550 m n.p.m., a więc ponad 1300 metrów niżej, niż przewidywał plan.

Desio musiał być nieugięty. To były decydujące chwile tej wyprawy, a wielu spośród jego podwładnych okazywało teraz ogromne zaniepokojenie. Kierownik wydał więc komunikat: czas żałoby dobiegł końca i wszyscy powinni natychmiast wracać do pracy pomimo utrzymującej się kiepskiej pogody. Zdobycie K2 było najlepszym sposobem uczczenia pamięci Maria Puchoza.

Motywacja Desia mogła być rozsądna, ale niewłaściwie ocenił nastroje swoich ludzi. Jego ulubieniec, Achille Compagnoni, był jedynym wspinaczem skorym do tego, by ruszyć do góry. Erich Abram, bardzo mocny wspinacz z Bolzano w Tyrolu, zabrał głos i powiedział to, co wszystkim chodziło po głowach: czy nie byłoby lepiej poczekać na wyraźną poprawę pogody i dopiero wtedy wrócić na Żebro Abruzzów? Desio

zamilkł. Nie podobało mu się, że ktoś kwestionuje jego polecenia.

Ardito Desio opuścił namiot, a wspinacze podzielili się na grupki i zaczęli grać w karty. W oczach osoby z zewnątrz cała ta scena mogła wyglądać dziwnie, ale jak napisał później pochodzący z Bolonii fotograf Mario Fantin, ten „bezsilny bunt” był jedyną metodą, dzięki której wspinacze mogli się uporać ze swoimi lękami i obawami, a także oburzeniem, jakie rozbudził w nich wszystkich pomysł wracania na K2 jeszcze tego samego ranka, którego pochowali swojego towarzysza, Maria Puchoza.

Relacje wewnątrz zespołu były w 1954 r. zupełnie inne niż w przypadku trzech wcześniejszych wypraw zorganizowanych przez Amerykanów. Ekspedycje Charliego Houstona przebiegały zasadniczo w radosnej i sympatycznej atmosferze; był liderem, a Bob Bates jego zastępcą, lecz obaj angażowali się w pracę i dbali o to, by w trakcie podejmowania ważnych decyzji każdy mógł zabrać głos. Wyprawa Fritza Wiessnera z 1939 r. była dużo bardziej zhierarchizowana (i ostatecznie zmagala się z dużo poważniejszymi napięciami), ale przynajmniej początkowo również i w tym zespole panowało silne poczucie koleżeństwa. W przypadku Desia zawsze obecne było wrażenie dystansu; wygłaszał kazania i wydawał rozkazy, lecz bardzo rzadko zdobywał się na życzliwość (Ugo Angelino skarżył się później na to w liście do CAI).

Pod wieloma względami Ardito Desio wzorował swoje podejście na brytyjskiej ekspedycji działającej w 1953 r. na Mount Evereście, aczkolwiek jego styl bardzo różnił się od postępowania kierownika tamtej wyprawy, pułkownika Johna Hunta. Chociaż Hunt był żołnierzem w czynnej służbie i odznaczonym bohaterem wojennym, podchodził do kierowania ludźmi dużo delikatniej niż Włoch. Zamiast wydawać rozkazy i robić użytek ze swojej pozycji, Brytyjczyk starał się przemawiać ludziom do rozsądku za sprawą swojego uroku i usiłował wydobyć z podwładnych to, co najlepsze. Hunt zawsze próbował dowodzić z linii frontu i sam działał w wyższych partiach góry, podczas gdy Desio spędzał większość czasu w

bazie. Dla wielu był odległą postacią, która zawsze siedziała przy radiodbiorniku lub swojej maszynie do pisania; nieustannie przygotowywał rozkazy, ale rzadko wypuszczał się gdziekolwiek wyżej.

„Il Ducetto”, czyli „mały Mussolini”, jak zaczęli go z czasem nazywać niektórzy wspinacze, był z natury wyznawcą rygorystycznej dyscypliny. Zanim zespół wyjechał z Włoch, wszyscy jego członkowie musieli podpisać dokument, w którym zobowiązywali się do „bezwarunkowego i zdecydowanego” wypełniania rozkazów kierownika. Gdy jednak tygodnie zamieniały się w miesiące, część wspinaczy zaczynała być niezadowolona z przywództwa Desia oraz tonu oficjalnych „komunikatów”, które od czasu do czasu wydawał.

Słowa Desia miały jednak określoną wagę; morale było niskie, ale nikt nie chciał się jeszcze poddawać. Następnego ranka Achille Compagnoni ruszył zatem wraz z pierwszym zespołem z powrotem na K2. Dzień później razem ze swoim dobrym przyjacielem i partnerem wspinaczkowym, Ubaldem Reyem, zdołali pokonać Komin House'a, „Il Camino Bill”, będący zwieńczeniem pierwszej połowy Żebra Abruzzów.

Był to pierwszy od wielu tygodni przełom osiągnięty przez włoski zespół, ale gdy tylko Compagnoni skontaktował się z kierownikiem wyprawy, by przekazać mu dobre wieści, nadeszła druga fala burz, która niemal na tydzień uwięziła Compagnoniego i Reya w ich namiotach. Ostatecznie pogoda się poprawiła, lecz pech nadal prześladował Włochów. Jeden z najbardziej doświadczonych wspinaczy uczestniczących w wyprawie, Cirillo Floreanini, rysownik z regionu Friuli, zaliczył tuż nad obozem trzecim niekontrolowany zjazd o długości ponad 200 metrów, gdy stara lina poręczowa nie wytrzymała jego ciężaru. Skończyło się na sińcach i zadrapaniach, ale była to przerażająca chwila zarówno dla niego, jak i dla jego towarzyszy.

Jak gdyby położenie Włochów nie było już wystarczająco trudne, nie ustawały też kłótnie z Hunzami, których wynajęto jako tragarzy. Desio postanowił w którymś momencie ukarać

dla przykładu trzech najbardziej leniwych mężczyzn i po prostu ich zwolnił. Te działania rozzłościły pozostałych Hunzów, którzy zagrozili przerwaniem dalszej pracy i opuszczeniem wyprawy. Ata-Ullah musiał ich długo przekonywać, nim zgodzili się wrócić do swoich zajęć.

Najpoważniejszą przeszkodą pozostawała jednak pogoda. Od lat naukowcy utrzymywali, że monsun — który każdego lata przynosi Indiom ulewne deszcze i prowadzi do dużych opadów śniegu w Himalajach — nie dociera do K2 i Karakorum. Przebywając na miejscu można było jednak odnieść zupełnie inne wrażenie. Trzy spośród pięciu wcześniejszych wypraw, które próbowały zdobyć K2, miały poważne problemy spowodowane przez burze i znaczące opady śniegu. Wydawało się też coraz bardziej prawdopodobne, że ekspedycja z 1954 r. dołączy do tego grona jako czwarta.

Desio przyjechał pod K2 przygotowany na długie obleżenie, a wszystkie te pytania o monsun zaczynały go już nużyć. Przejrzał swoje książki i dane meteorologiczne, po czym przygotował memorandum, w którym nakazywał swoim podwładnym, by przestali się martwić. Napisał, że gdyby było to konieczne, mogą spędzić w bazie kolejne dwa miesiące, a wbrew powszechnym opiniom mogli liczyć na dobrą pogodę nawet w sierpniu. Zakończenie jego notatki uderzało w polityczną nutę, choć zawierało też groźbę:

Gdybyśmy mieli wrócić do domu, nie wyczerpując wcześniej wszystkich możliwości pozwalających dotrzeć na szczyt K2 lub nie podejmując przynajmniej poważnej próby zdobycia wierzchołka, zdradzilibyśmy nasz naród^[4].

Listy wysyłane przez Desia do Włoch i wykorzystywane w oficjalnych komunikatach prasowych były mniej natarczywe: jak napisał 12 lipca, gdyby trafił im się „zaledwie tydzień dobrej pogody”^[5], mogliby dotrzeć na Ramię i stanęliby przed szansą przypuszczenia ataku na szczyt. Był to refren znany z 1939 i 1953 r., ale — jak przekonali się Fritz Wiessner i Charlie

Houston — marzenia o czystym niebie nie oznaczały wcale, że wyprawa będzie mogła korzystać z takiej pogody.

Dbając o to, by działania ekspedycji nie traciły impetu, 14 lipca Desio oficjalnie zakomunikował, że Achille Compagnoni pokieruje próbą zdobycia szczytu. Compagnoni od początku wyprawy działał na pierwszej linii frontu i okazał swoją lojalność wobec kierownika w trakcie pełnego napięcia okresu, który miał miejsce po śmierci Maria Puchoza. Podczas gdy inni wspinacze mogli się skarżyć na zachowania kierownika wyprawy, Compagnoni nie dawał się wciągnąć w to, co uważał za jałowe dyskusje. Jeśli o niego chodzi, przełożony był przełożonym, natomiast on sam miał za zadanie wypełniać rozkazy.

Wiadomość Desia opatrzona numerem 12 i przygotowana 14 lipca była najbardziej bombastycznym z dotychczasowych komunikatów:

Mogę was zapewnić, że zainteresowanie, jakie budzi na świecie nasze przedsięwzięcie, nie jest mniejsze od tego, które towarzyszyło wyprawie na Mount Everest. Pamiętajcie o tym, że jeśli wasze próby zdobycia szczytu zakończą się powodzeniem — o czym jestem przekonany — cały świat będzie was witał jako wybitnych przedstawicieli waszej rasy, a sława będzie wam towarzyszyć przez całe życie i utrzyma się jeszcze przez wiele lat po waszej śmierci. Gdybyście zatem już nigdy nie osiągnęli niczego godnego wzmianki, i tak będziecie mogli powiedzieć, że nie żyliście na próżno^[6].

Trudno powiedzieć, jak wspinacze odebrali tę notatkę, gdy do nich dotarła, choć 50 lat później Lino Lacedelli — przewodnik z Dolomitów, który stał się kluczowym członkiem wyprawy — podczas rozmowy ze mną powiedział pogardliwie: „Po prostu go zignorowaliśmy i dalej robiliśmy swoje”.

Niezależnie od tego, czy podnoszące morale komunikaty kierownika wyprawy komukolwiek pomagały, zespół znów robił miarowe postępy. 18 lipca Achille Compagnoni i Ubaldo Rey dokonali kolejnego przełomu, pokonując po długim i

męczącym dniu spiętrzenie zwane Czarną Piramidą i osiągając wysokość 7970 m n.p.m.

Po drodze do góry Compagnoni minął plątaninę lin — zakrwawiony dowód desperackiej próby Amerykanów mającej na celu sprowadzenie Arta Gilkeya do bazy. Nieco dalej na Włochów czekały kolejne ślady tamtych wydarzeń: większy, czerwony kształt obdarzony czymś, co wyglądało niczym dwa ramiona chwiejące się na wietrze. Przez kilka sekund Compagnoni sądził, że natknęli się na ciało Gilkeya, ale gdy podszedł bliżej, uświadomił sobie, iż ma przed sobą kurtkę Amerykanina i jego śpiwór, owinięte wieloma metrami splątanych lin. Najwyraźniej gdy Gilkey leciał w dół, zaklinował się między skałami, a dopiero potem został wyrzucony w powietrze. Obcowanie z tym znaleziskiem było dla Włochów przerażającą chwilą i ponurym przypomnieniem o zagrożeniach, jakim musieli stawić czoła.

Podczas kolejnych dni dzięki fantastycznej pracy wykonanej przez Waltera Bonattiego, młodego wspinacza z Bergamo, zespół zaporęczał kolejny uskok i założył obóz siódmy, położony nieco wyżej niż podczas wyprawy Houstona, na wysokości 7345 m n.p.m. Wyprawa napotkała nowy, nieoczekiwany problem: Compagnoni i wspinacze działający na pierwszej linii posuwali się na tyle szybko, że zespoły wsparcia dostarczające jedzenie i namioty po prostu nie nadążały. Udało się postawić sześć pierwszych obozów, które były teraz powoli i metodycznie zaopatrywane, ale Włosi zaczęli odczuwać dużo większą presję czasu — jeśli mieli dotrzeć na szczyt jeszcze w lipcu, musieli się pośpieszyć.

Prasa w ich ojczyźnie zaczęła okazywać dużą nerwowość. Informacje o śmierci Puchoza pojawiły się 7 lipca, wywołując pełne zaniepokojenia nagłówki. Teraz w dwóch największych włoskich gazetach, mediolańskim dzienniku „Corriere della Sera” oraz publikowanej w Turynie „La Stampie”, ukazały się doniesienia o tym, że pogoda w Karakorum jest tak fatalna, iż nikomu nie uda się zdobyć K2. Wiosną 1954 r. do pobliskiego Nepalu udała się inna włoska wyprawa, którą kierował znany

wspinacz, Piero Ghiglione. Celem tego zespołu było zdobycie szczytu Api. Wraz z pojawieniem się doniesień o śmierci trzech uczestników tej wyprawy nastroje jeszcze bardziej się pogorszyły. Jeśli trzech doświadczonych wspinaczy zginęło w trakcie ekspedycji na Api, górę mierzącą zaledwie 7132 m n.p.m., jakim cudem ktokolwiek mógł bezpiecznie wspiąć się na K2, czyli szczyt wyższy o półtora kilometra?

Mieszkający w Mediolanie Vittorio Lombardi, skarbnik wyprawy na K2, został zmuszony do wydania oświadczenia dementującego negatywne historie przedstawiane przez prasę. Owszem, przyznawał, działalność na K2 nie należała do łatwych, ale ostatni list Ardita Desia wskazywał na to, że wyprawa nadal robi postępy i nie ma jeszcze powodów, by rozpaczać:

W ciągu miesiąca wydarzy się to, co ma się wydarzyć, ponieważ nie sądzę, by istniała możliwość dłuższego kontynuowania wspinaczki^[7].

Gdy w Stanach Zjednoczonych pojawiły się informacje o problemach Włochów, Charlie Houston napisał do Ata-Ullaha, zapraszając go do powrotu pod K2 w 1955 r. wraz z czwartą amerykańską wyprawą, którą zamierzał zorganizować. Ata-Ullah odpisał, akceptując tę propozycję; podobnie jak inni, on też nie okazywał zbyt wielkiej wiary w to, że Włosi odniosą sukces. Wtedy wydarzyło się jednak coś nieoczekiwanego: stacja radiowa działająca w Skardu pod auspicjami ONZ wyemitowała informację o tym, że w Karakorum spodziewanych jest pięć, może sześć dni bezchmurnej pogody. Czyżby miało się właśnie otworzyć długo oczekiwane „okno” pogodowe?

Wysoko na górze nic na to nie wskazywało. Meteorolodzy z Karaczi mogli przewidywać piękną pogodę, ale na wysokości 7300 m n.p.m. wiatr był tak silny, że wspinacze nie byli w stanie w ogóle spać. Gdy Włosi przypomnieli sobie o tym, jak Charlie Houston rok wcześniej zmagał się z wiatrem przez 10 dni, morale w zespole osłabło. 27 lipca Sergio Viotto i Ugo Angelino,

dwaj wspinacze, którzy dotychczas naprawdę dobrze sobie radzili, zeszli chwiejnym krokiem do bazy, kompletnie wykończeni po niemal dwóch tygodniach walki z żywiołami. K2 zbierał swoje żniwo. Obiecujące prognozy nie wystarczały: jeżeli wszyscy byli bliscy wyczerpania, nie miało znaczenia, czy niebo jest szare, czy błękitne.

Desio wysłał kolejny list do Mediolanu, uprzedzając Lombardiego, że być może będą zmuszeni się wycofać i podjąć kolejną próbę we wrześniu. Nie miał wątpliwości co do tego, że część wspinaczy będzie musiała wrócić do domów, ale na górze było teraz tyle lin poręczowych, iż zdaniem Desia próbę zdobycia szczytu można było podjąć, nawet dysponując dużo mniejszym zespołem. Potrzebował tylko czterech lub pięciu ludzi z Włoch posiadających świeży zapas sił, a także tego nieuchwytnego „tygodnia dobrej pogody”.

Kierownik wyprawy wciąż pokładał jednak nadzieję w swoim zespole szczytowym. 29 lipca w towarzystwie Maria Fantina urządził sobie krótki spacer po lodowcu, by odwiedzić grób Maria Puchoza i odmówić w milczeniu modlitwę za powodzenie ekspedycji. Wyprawa zmierzała do punktu kulminacyjnego, a jedyną rzeczą, której teraz potrzebowali, była odrobina szczęścia.

Chociaż Ardito Desio nie zdawał sobie z tego sprawy, wspinacze znów robili postępy, nawet jeżeli były one dosyć niepewne. Dzień wcześniej Achille Compagnoni wyruszył z obozu siódmego na czele pięcioosobowego zespołu i wspinał się w kierunku piramidy szczytowej. Ze względu na dużą ilość świeżego śniegu była to długa, powolna i męcząca wędrówka, która szybko zmusiła do odwrotu Ubalda Reya, dobrego przyjaciela Compagnoniego z Courmayeur.

Rey był 31-letnim przewodnikiem alpejskim i gospodarzem schroniska na Mont Blanc. Wysoki i szczupły, ze złotym zębem oraz iskierką w oku, był silnym i pogodnym partnerem wspinaczkowym. Achille Compagnoni liczył na to, że Ubaldo będzie mu towarzyszył podczas ostatecznego ataku na szczyt, lecz po pokonaniu pięćdziesięciu metrów przewyższenia Rey

musiał zawrócić do obozu siódmego, zmożony przez wysokość. Inni kontynuowali wspinaczkę, aż dotarli do wysokiej ściany lodowej znajdującej się na wysokości mniej więcej 7630 m n.p.m. Sam wierzchołek K2 był ledwie widoczny, chociaż wspinacze nie byli w stanie zobaczyć całej drogi prowadzącej na szczyt.

W celu zmniejszenia ciężaru przenoszonych ładunków zabrali ze sobą tylko jeden mały namiot, więc dwóch wspinaczy, Erich Abram i Pino Gallotti, ruszyło śladami Ubalda Reya z powrotem do obozu siódmego; Achille Compagnoni i Lino Lacedelli mieli spędzić tę noc bez żadnego dodatkowego towarzystwa. Chociaż Lino Lacedelli, 28-letni przewodnik z Dolomitów, nigdy nie zakładał, że odegra w trakcie wyprawy ważniejszą rolę, stał się teraz drugim członkiem zespołu szczytowego.

W istocie Lacedelli miał dużo większy dorobek wspinaczkowy niż Compagnoni. Wysoki i szczupły, z dwoma rzucającymi się w oczy złotymi zębami, należał do słynnych „Wiewiórek” — niewielkiej, acz barwnej grupy włoskich wspinaczy z Dolomitów^[8]. Miał już na swoim koncie dziesiątki pierwszych przejść trudnych dróg; był też członkiem francuskiego klubu Le Groupe de Haute Montagne, do którego należało także wielu najlepszych europejskich wspinaczy. W swojej rodzinnej miejscowości Cortina d’Ampezzo, ekskluzywnym kurorcie narciarskim w północno-wschodnich Włoszech, niedaleko granicy z Austrią, Lino pracował jako instruktor narciarstwa i przewodnik górski.

Chociaż Lacedelli był lubiany przez innych członków zespołu, nie uchodził za szczególnie ambitną osobę. Był skromnym człowiekiem, a choć czasem bywał nieokrzesany, dbał o dobro zespołu i był cenionym partnerem wspinaczkowym. Jak na razie całkiem dobrze radził sobie podczas wyprawy, ale nigdy nie zaskarbił sobie sympatii Desia, a jako jeden z przedstawicieli „wschodniej” frakcji z Dolomitów odnosił wrażenie, że nie jest traktowany tak poważnie, jak

przewodnicy z Alp, czyli grupa „zachodnia”. To wszystko było jednak pieśnią przeszłości; chociaż Lino był zaskoczony położeniem, w jakim się znalazł, miał zamiar zrobić z niego jak najlepszy użytek.

Achille Compagnoni wyjaśnił mu, że plan przewiduje założenie następnego dnia jeszcze jednego obozu, dzięki któremu znaleźliby się maksymalnie blisko zlebu poniżej piramidy szczytowej. Fritz Wiessner nie zdołał w 1939 r. pokonać tej przeszkody, ale Włosi liczyli na to, że dzięki lepszemu ekwipunkowi zdołają się tamtędy wspiąć, a potem ruszą w kierunku szczytu. Wcześniej ktoś musiał im jednak dostarczyć zestawy tlenowe.

Początkowo Włosi zakładali, że będą używać dodatkowego tlenu mniej więcej od granicy 7300 m n.p.m. Ani Wiessner, ani Houston nie uważali, że jest to konieczne, ale po tryumfie odniesionym przez Brytyjczyków na Mount Evereście Desio był przekonany, iż to właśnie tlen może zdecydować o tym, czy wyprawa zakończy się sukcesem, czy raczej porażką. Włosi przywieźli ze sobą 230 butli, z których ułożyli stos za bazą, ale póki co zostały one użyte wyłącznie do celów medycznych oraz w trakcie lotu wokół K2. Poważnym wyzwaniem (z czego Brytyjczycy zdali sobie już sprawę rok wcześniej) było przetransportowanie cennych, lecz ciężkich butli w wyższe partie góry.

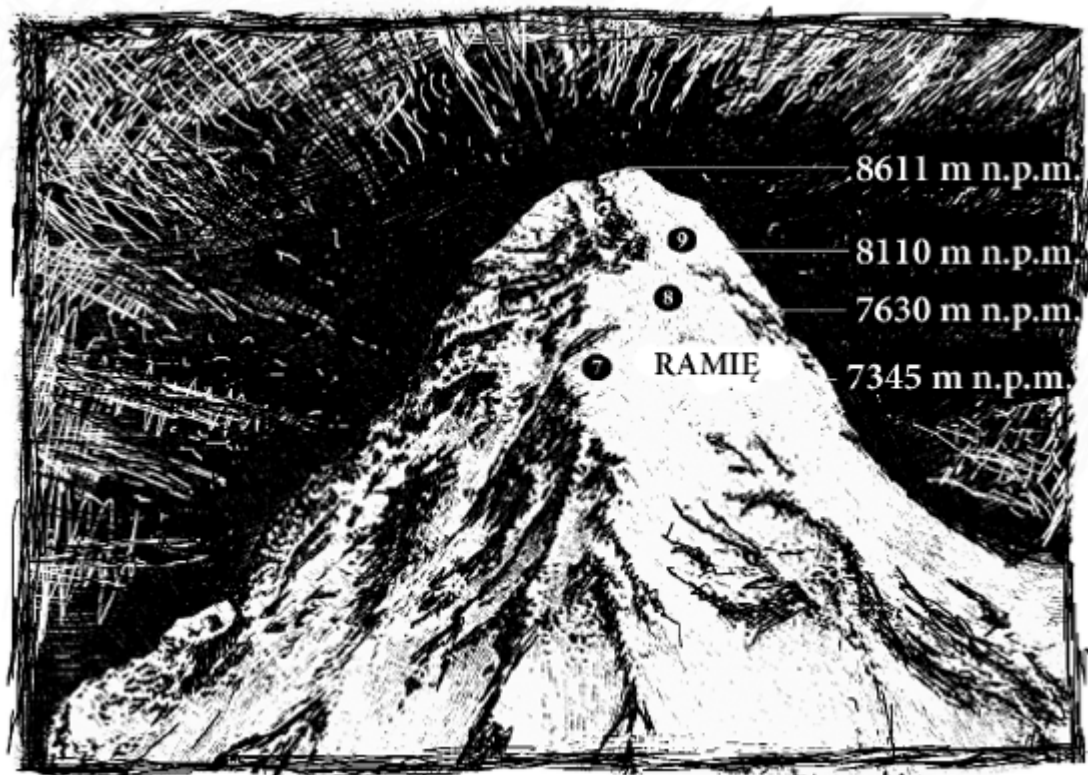
Podczas gdy w 1953 r. John Hunt dysponował 22-osobowym zespołem nepalskich i tybetańskich Szerpów, którzy pełnili funkcję tragarzy wysokościowych, Desio miał tylko dziewięciu Hunzów, którzy bardzo różnili się między sobą w kwestii doświadczenia i predyspozycji. Chociaż udało się wynieść na górę kilka zestawów tlenowych, większość zbiorników z gazem nadal marnowała się za namiotem jadalnym w bazie. Gdy włoscy wspinacze uświadomili sobie, że świetnie sobie radzą bez owych butli, nikt ich stamtąd nie ruszał.

W przypadku rozstrzygającej próby zdobycia szczytu sytuacja miała się jednak przedstawiać zupełnie inaczej. Pojęcie „strefy śmierci” zostało po raz pierwszy użyte przez Edouarda

Wyssa-Dunanta, kierownika szwajcarskiej ekspedycji działającej w 1952 r. na Mount Evereście, w odniesieniu do obszaru powyżej 7900 m n.p.m., gdzie ilość tlenu jest na tyle niewielka, że człowiek na dłuższą metę nie jest się tam w stanie utrzymać przy życiu. W 1954 r. wszyscy członkowie włoskiej wyprawy byli przekonani, że jakakolwiek próba atakowania szczytu bez dodatkowego tlenu zakończy się tragicznie. Nawet jeżeli patrząc przez pryzmat fizjologii, Włosi mogliby przeżyć bez tlenu, był on niezbędny z powodów psychologicznych.

Jego znaczenie nie ułatwiało jednak transportowania go do góry; cały zestaw tlenowy ważył mniej więcej 18 kilogramów — był to ciężki i nieporęczny ładunek. Gdy 29 lipca Compagnoni i Lacedelli pokonali ścianę lodową wznoszącą się nad ich namiotem, by poszukać miejsca na ostatni obóz, ich czterej towarzysze nocujący w obozie siódmym starali się dostarczyć na górę dwa zestawy tlenowe, a także więcej prowiantu i sprzętu biwakowego. Nie zaszli daleko. Przyjaciel Compagnoniego, Ubaldo Rey, ponownie został pokonany przez wysokość, a wspinacz z Bolzano, Erich Abram, zawrócił razem z nim (mapa na kolejnej stronie).

Dwaj pozostali członkowie grupy wsparcia, Walter Bonatti i Pino Gallotti, drągal mierzący 183 centymetry, stanęli przed dylematem: czy powinni nieść na górę dwa ciężkie zestawy tlenowe, czy zabrać drugi namiot i prowiant dla zespołu szczytowego? Ostatecznie wybrali to drugie rozwiązanie i zostawili zestawy tlenowe na śniegu, zakładając, że wyniosą butle do góry następnego dnia.



Mapa 7. Najwyższe obozy założone na K2 przez Włochów

Gdy Bonatti i Gallotti dotarli wreszcie do obozu ósmego na wysokości 7630 m n.p.m., zespół szczytowy był wykończony po całym dniu wymagającej wspinaczki. Compagnoni powiedział przybyłym, że wraz z Lacedellim zdołał dotrzeć na szczyt lodowej ściany wznoszącej się nad ich namiotem; później ukryli w śniegu sprzęt wyniesiony w dwóch plecakach, które mieli ze sobą. Zamiast posuwać się dalej i zakładać obóz dziewiąty będący ostatnim schronieniem, postanowili poczekać jeszcze jeden dzień. Ponieważ nie mieli zestawów tlenowych, i tak nie byłiby w stanie przypuścić ataku na szczyt. Pytanie brzmiało zatem: kiedy dostaną ten sprzęt i kto konkretnie wyniesie go do góry?

Pino Gallotti był odważnym, twardym i zdecydowanie najwyższym członkiem zespołu. Pracował w Mediolanie jako inżynier chemik, ale spędzał w górach tyle czasu, ile tylko mógł, i zaliczał się do grona czterech uczestniczących w wyprawie *accademici* — elitarnych wspinaczy, którzy dowiedli swoich

umiejętności na innych górach^[9]. Obdarzony młodzieńczym wyglądem Walter Bonatti był najmłodszym członkiem zespołu, lecz w świecie wspinaczkowym miał już status wschodzącej gwiazdy. W trakcie wyprawy był kilkakrotnie chory, ale nikt nie wątpił w jego umiejętności wspinaczkowe i ambicję, a gdy ekspedycja wkraczała w decydującą fazę, sprawiał wrażenie człowieka tryskającego energią.

Po zjedzeniu szybkiej kolacji czterej wspinacze urządzili naradę wojenną. Stworzony wspólnie plan sprawiał, że zespół wsparcia musiał się zmierzyć z większym wyzwaniem niż zespół szczytowy. Rano Compagnoni i Lacedelli mieli ponownie pokonać lodową ścianę i wspinać się dalej, dopóki nie znajdą dogodnego miejsca, w którym mogliby założyć ostatni obóz. W tym samym czasie Bonatti i Gallotti mieli zabrać zestawy tlenowe porzucone powyżej obozu siódmego, wynieść je do obozu ósmego, a następnie ruszyć śladami Compagnoniego i Lacedellego aż do ich ostatniego namiotu stojącego w obozie dziewiątym.

Dla zespołu zapewniającego wsparcie było to ogromne wyzwanie: w grę wchodziło pokonanie w pionie 300 metrów w dół, a następnie 600 metrów w górę. W trakcie drogi do góry mieli nieść zestawy tlenowe ważące razem około 36 kilogramów, lecz sami nie mogli z nich korzystać. Nie można było wykluczyć tego, że przy odrobinie szczęścia dołączą do nich koledzy z zespołu, Erich Abram i Ubaldo Rey, którzy wycofali się do obozu siódmego, a także Hunzowie, którzy mogli dotrzeć z dołu. Gdyby jednak nikt inny nie miał ochoty dźwigać zestawów tlenowych — lub nie był w stanie tego zrobić — Bonatti i Gallotti stanęli przed wizją samotnego niesienia ciężkiego sprzętu. Dla obu była to przytłaczająca perspektywa, ale w sytuacji, w której pogoda wciąż była niepewna, a łańcuch dostaw wyprawy uległ nadmiernemu rozciągnięciu, wszyscy zdawali sobie sprawę, że muszą działać tak szybko, jak to tylko możliwe.

Po niezwykle mroźnej nocy zespół szczytowy i dwaj wspinacze zapewniający im wsparcie wstali o wpół do siódmej. Zanim byli gotowi do wyjścia, upłynęło dobre półtorej godziny; na dużej wysokości nawet drobne zadania w rodzaju założenia butów i raków pochłaniały mnóstwo czasu. Gdy wszelkie przygotowania dobiegły końca, Compagnoni i Lacedelli ruszyli do góry, natomiast Bonatti i Gallotti zaczęli schodzić w kierunku zestawów tlenowych porzuconych dzień wcześniej.

Do obozu siódmego dotarły wreszcie posiłki. Cirillo Floreanini, który kilka tygodni wcześniej zaliczył upadek, ale zdążył już częściowo odzyskać siły, pojawił się z dwoma dodatkowymi zestawami tlenowymi i dwoma Hunzami, Isakhanem i Amirem Mahdim. Byli najsilniejszymi Pakistańczykami w zespole, a zarazem weteranami udanej austriacko-niemieckiej wyprawy na Nanga Parbat z 1953 r. Ubaldo Rey nadal czuł się bardzo kiepsko, więc postanowił schodzić razem z Floreaninim — działających wyżej wspinaczy mieli w tej sytuacji wspierać dwaj Hunzowie i Erich Abram, specjalista ekspedycji od systemów tlenowych.

Późnym rankiem Abram i dwaj tragarze spotkali tuż nad obozem siódmym Bonattiego i Gallottiego i dowiedzieli się, jaki jest najnowszy plan. Choć w tym momencie mieli do dyspozycji cztery zestawy tlenowe, po połączeniu się postanowili zabrać tylko dwa z nich, a także prowiant, paliwo i dodatkowe śpiwory oraz dmuchane materace. Później cała grupka złożona z trzech Włochów i dwóch Hunzów, z Walterem Bonattim na czele i Pinem Gallottim na końcu, rozpoczęła wyczerpujące podejście do obozu ósmego.

Po kilku godzinach dotarli do namiotów rozstawionych na wysokości 7630 m n.p.m. i zatrzymali się tam, by przygotować supę. Gdy Bonatti przyjrzał się towarzyszom, uświadomił sobie, że podczas kolejnego etapu swojej misji nie będzie miał zapewnionego zbyt wielkiego wsparcia. Jego przyjaciel Pino Gallotti oraz Hunza Isakhan wyglądali na kompletnie wyczerpanych; Erich Abram prezentował się niewiele lepiej. Drugi z tragarzy, Mahdi, był w zaskakująco dobrej formie, ale

Bonatti nie był pewien, czy ów mężczyzna zechce wejść choćby odrobinę wyżej. Żaden z Hunzów nie dostał butów umożliwiających wspinaczkę na dużej wysokości, ponieważ nikt nie oczekiwał, że któryś z tragarzy dotrze tak wysoko.

Bonatti wiedział, że jeśli nie zdołają dostarczyć tlenu Compagnoniemu i Lacedellemu, do ataku szczytowego po prostu nie dojdzie. Stosując zatem metodę, do której Włosi wielokrotnie odwoływali się już podczas tej wyprawy, zaproponował Mahdiemu dodatkowe pieniądze i wspomniał nawet o tym, że gdyby wszystko poszło idealnie, Hunza może stanąć przed szansą na zdobycie szczytu. Tenzing, który rok wcześniej wszedł na Mount Everest, zapewnił sobie światową sławę i wiele korzyści; może to samo mogłoby się teraz przydarzyć Mahdiemu?

Sława, bogactwo, a może po prostu kilka rupii napiwku... trudno powiedzieć, który z czynników okazał się decydujący, ale zachęty podziałały. Dwie godziny później Mahdi i Bonatti opuścili obóz — nieśli zestawy tlenowe, niewielką torbę ze sprzętem i nic więcej, jeśli nie liczyć czekanów i zwoju liny. Nie zabrali ani śpiworów, ani własnego namiotu; tej nocy musieli albo zejść do niższego obozu, albo zmieścić się z Compagnonim i Lacedellim w obozie dziewiątym i dołożyć wszelkich starań, by jakoś się tam ogrzać. Było wiadomo, że nie będzie to komfortowy nocleg, ale po prostu nie byli w stanie zabrać niczego więcej. Erich Abram zaproponował, że się do nich przyłączy i przez kilka godzin pomoże im w niesieniu sprzętu, ale uprzedził, iż przypuszczalnie nie zdoła pokonać całej czekającej ich drogi.

Podczas gdy zespół wsparcia przegrupowywał szyki, kilkaset metrów wyżej Compagnoni i Lacedelli zbliżali się do piramidy szczytowej. Gdy dotarli do lodowego kuluaru określanego dziś mianem Bottleneck (czyli Szyjka Butelki), okazało się, że to miejsce bardzo różni się od tego, co opisywał Fritz Wiessner. W 1939 r. ten żleb pokryty był twardym lodem, którego nie dało się szybko pokonać bez raków; tym razem był jednak zasypany głębokim, sypkim śniegiem.

Compagnoniemu nie podobało się to miejsce — ani jako potencjalna droga do góry, ani jako punkt, w którym mieliby zakładać obóz — więc zamiast rozbijać namiot u stóp żlebu, jak pierwotnie zakładali, ruszyli w lewo, ostrożnie pokonując połogie, obludzone płyty skalne. Potrzebowali niemal godziny, by znaleźć wystarczająco duże miejsce, chociaż „duże” nie było tu raczej właściwym określeniem. Ich specjalnie zaprojektowany namiot Super K2 o długości 198 i wysokości 76 centymetrów był tak ciasny, że stopy wspinaczy i tak nie mieściły się w jego wnętrzu.

Inaczej niż Hillary i Tenzing, którzy w ostatni wieczór przed atakiem szczytowym na Mount Everest zajadali się brzoskwiniami z puszki, krakersami i sardynkami, Włosi mieli ze sobą bardzo niewiele jedzenia, jeśli nie liczyć zupy i herbaty rumiankowej. Warto też zaznaczyć, że podczas gdy Nowozelandczyk Edmund Hillary spędził sporo czasu, starannie kontrolując dwa zestawy tlenowe, swój i Tenzinga, by mieć pewność, iż zawory są czyste, a gaz może płynąć bez żadnych przeszkód, Compagnoni i Lacedelli mieli w plecakach jedynie maski oraz rurki stanowiące połączenia. Reszta ich zestawów — w tym cenne butle z tlenem — jeszcze do nich nie dotarła.

Jeżeli odczuwali niepokój, sytuacja ich zespołu wsparcia była jeszcze gorsza. Około szesnastej trzydzieści Walter Bonatti dotarł na szczyt ściany lodowej nad obozem ósmym. Krzyknął coś do Compagnoniego i Lacedellego, a słysząc ich odpowiedź, poczuł ulgę. Poinstruowali go, by podążał ich śladami, ale gdy czas mijał, a temperatura spadała, Bonatti zaczynał się coraz bardziej niepokoić. Gdzie był ich namiot? Dlaczego nie rozstawili go niżej, by ułatwić zespołowi wsparcia dostarczenie ciężkich zestawów tlenowych? Gdy tuż po osiemnastej słońce zaczęło zachodzić, zrobiło się jeszcze zimniej. Erich Abram skarżył się, że stracił czucie w jednej ze stóp, więc Bonatti zatrzymał się, by ją rozmasować. Abram odzyskał czucie, lecz był u kresu sił, więc zostawił Bonattiego i Mahdiego, by szli

sami do obozu dziewiątego, podczas gdy on zawrócił, by dołączyć do Pina Gallottiego w obozie ósmym.

Bonatti i Mahdi wspinali się w półmroku coraz wyżej i wyżej; od czasu do czasu zatrzymywali się, by zdjąć z pleców ciężkie zestawy tlenowe i sprawdzić teren znajdujący się nad nimi, ale nie byli w stanie dostrzec jaskrawopomarańczowego namiotu ich towarzyszy. Ślady Compagnoniego i Lacedellego zniknęły, zasypane śniegiem nawiewanym przez wiatr, więc wspinacze musieli liczyć na łut szczęścia. W którymś momencie Bonatti rozważał porzucenie zestawów tlenowych i rozpoczęcie zejścia, ale byłoby to zbyt ryzykowne. W okolicy zalegało na tyle dużo niezwiązanego śniegu, że zestawy tlenowe mogły zostać zasypane i nikt już nigdy by ich nie odnalazł. W tej sytuacji kontynuowali wspinaczkę — Mahdi był coraz bardziej podenerwowany, a zespołu szczytowego wciąż nigdzie nie było widać.

Wreszcie po kilku godzinach poszukiwań, gdy robiło się coraz ciemniej, Walter Bonatti uświadomił sobie, że nie zdołają dotrzeć do towarzyszy, a jedynym wyjściem z sytuacji jest zatrzymać się i spędzić noc pod gołym niebem. Znajdowali się pośrodku stromego, oblodzonego żlebu mierzącego około 200 metrów wysokości. Być może on sam zdołałby zejść bezpiecznie na dół, lecz nie było szans, by ta sama sztuka udała się też Mahdiemu. Bonatti zrobił więc użytek ze swojego czekana i wyrąbał wąską półkę, przeklinając przy tym Compagnoniego i Lacedellego za to, że porzucili wspierających ich kolegów. To nie miało sensu — dlaczego zespół szczytowy rozstawił swój namiot tak wysoko? Jak Compagnoni i Lacedelli wyobrażali sobie przeprowadzenie ataku szczytowego bez tlenu?

Nagle wśród ciemności Bonatti dostrzegł wąski promień światła na lewo od siebie. Nie był w stanie ocenić, jak daleko znajdowało się źródło światła, ale wreszcie usłyszał głos. Należał on do Lina Lacedellego, a Bonatti z trudem był w stanie zrozumieć jego słowa.

— Macie tlen?

— Tak.

— W takim razie zostawcie go tam, gdzie jesteście, i schodźcie.

Gdy dwaj Włosi krzyczeli do siebie, Mahdi ruszył szybko w stronę światła, wołając sahibów znajdujących się powyżej.

— Nie podchodźcie do góry, to zbyt niebezpieczne — krzyknął w odpowiedzi Lino Lacedelli.

Oblodzone, połogie płyty skalne poniżej ich namiotu okazały się zdradliwe, gdy Compagnoni i Lacedelli pokonywali je wcześniej tego dnia. Próba przejścia tego terenu w nocy byłaby samobójstwem. Mahdi nadal zmierzał w tym kierunku i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy światło zniknęło. Desperacko wołał dwóch sahibów znajdujących się powyżej, lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Lacedelli skrył się przed wiatrem we wnętrzu namiotu, pewien, że nikt nie zdoła tam dotrzeć, a Bonatti i Mahdi rozpoczęli już zejście.

Był w błędzie. Po kilku minutach Mahdi wrócił do Bonattiego, ale był w stanie, w którym schodzenie nie wchodziło w grę. Lód pod nimi był stromy, a Hunza był za bardzo podenerwowany, by poradzić sobie w ciemności z wymagającą wspinaczką. Bonatti wiedział, że ich jedyną nadzieją było przetrwać jakoś noc i ruszyć w dół, gdy tylko zacznie się robić jasno. Rok wcześniej Austriak Hermann Buhl przetrwał noc pod gołym niebem na wysokości około 8000 m n.p.m. Teraz przyszła kolej na nich.

Byli dziwnym zespołem, połączonym przez zbieg okoliczności, którego żaden z nich nie był w stanie wcześniej przewidzieć. 23-letni Bonatti był z wykształcenia księgowym, ale rzucił pracę w mieście dla swojej pasji związanej ze wspinaniem. Amir Mahdi był 41-letnim tragarzem z wioski Hassanabad w odległej dolinie Hunza w północnym Pakistanie. Był wysoki, na jego twarzy malowała się wrażliwość, a w trakcie wyprawy na Nanga Parbat zorganizowanej rok wcześniej należał do najsilniejszych tragarzy wysokościowych — teraz był jednak zdesperowany.

Bonatti zdjął swoje raki i pomógł zrobić to samo Mahdiemu — starał się w ten sposób zadbać o lepsze krążenie krwi. Przez

następnych kilka godzin obydwa kurczowo się obejmowali, rozmasowując swoje kończyny w celu zachowania ciepła; od czasu do czasu oklepywali się własnymi czekanami, by podtrzymać krążenie. Włoch był przemarznięty do szpiku kości, ale cieszył się z tego, że wiatr się uspokoił. W którymś momencie zaczęła się jednak nawałnica, która oblepiła ich twarze lodowatymi, wirującymi płatkami śniegu. Bonatti starał się wkopać głębiej w stok, by w ten sposób zapewnić im ochronę przed żywiołami, ale mróz był niezwykle dotkliwy.

Gdy tylko pierwszy brzask oświetlił pobliskie szczyty, Mahdi zdecydował się ruszyć w dół. Bonatti wiedział z doświadczenia, że lepiej byłoby poczekać, aż wschód słońca dobiegnie końca; ponieważ jednak w nocy musiał już kilkakrotnie powstrzymywać swojego towarzysza, teraz nie miał sił, by z nim walczyć. Pomógł Mahdiemu założyć raki i obserwował, jak Hunza chwiejnym krokiem zmierza stokiem w dół. To były dla Bonattiego bardzo niepokojące chwile — żleb wypełnił się w nocy śniegiem, który nie miał czasu związać się z podłożem. Łatwo było wyzwolić lawinę, ale na szczęście Mahdi poradził sobie z zejściem, dzięki czemu Bonatti mógł odetchnąć z ulgą.

Kiedy słońce już wzeszło, Włoch również opuścił swoje mroźne schronienie, chociaż zanim ruszył w dół, oczyścił jeszcze ze śniegu zestawy tlenowe, które przynieśli tu z Mahdim, wkładając w to tyle wysiłku. Później zaczął ostrożnie schodzić, choć przed rozpoczęciem zejścia nie dostrzegł nigdzie Lacedellego i Compagnoniego ani nie zdołał usłyszeć ich głosów.

Gdy Bonatti dotarł do wylotu żlebu i zaczął szukać drogi przez znajdujący się poniżej labirynt szczelin, usłyszał z góry wołanie, ale nie był w stanie dostrzec, skąd ono dochodziło. Machnął czekanem w powietrzu, dając znak, że usłyszał głos, po czym kontynuował zejście. Tuż przed rozpoczęciem zejścia lodową ścianką prowadzącą do obozu ósmego Bonatti przyjrzał się po raz ostatni stokom, które się nad nim wznosiły, lecz oprócz pomalowanych na jaskrawe kolory zestawów tlenowych

widział jedynie śnieg, lód i czerwone skały piramidy szczytowej. Gdzie podzieli się Lino i Achille?

Lacedelli i Compagnoni byli z kolei kompletnie zaszokowani, gdy dostrzegli kogoś w dole. Początkowo nie byli nawet pewni, czy ta postać zmierza w górę, czy na dół, ale później przyszło im do głowy, że musi to być albo Bonatti, albo Mahdi, którzy najwyraźniej mieli za sobą biwak pod gołym niebem, chociaż zespołowi szczytowemu wydawało się to niewiarygodne. Takie postępowanie nie miało żadnego sensu — nikt nie zaryzykowałby z własnej woli spędzenia nocy na wysokości mniej więcej 8000 m n.p.m. — aczkolwiek było jedynym wyjaśnieniem tego, co właśnie widzieli.

Po ciężkiej nocy, którą zespół szczytowy spędził, na przemian zasypiając i wybudzając się ze snu wśród przenikliwego zimna, był to niepokojący początek dnia; poruszony był zwłaszcza Lacedelli, który jako ostatni rozmawiał z Bonattim. Compagnoni okazywał więcej optymizmu: niezależnie od tego, co się wydarzyło, nie było czasu na martwienie się o zespół wsparcia — jeżeli nie ruszą zaraz do góry, nie będą mieli po prostu szans, by dotrzeć na szczyt. Co mieli jednak zrobić z zestawami tlenowymi? Czy powinni zejść oblodzonymi, połogimi płytami skalnymi i zabrać sprzęt, czy może lepiej byłoby ruszyć w kierunku szczytu bez użycia dodatkowego tlenu, tak jak zrobił to Fritz Wiessner w 1939 r.? Compagnoni przez chwilę sądził, że wspinaczka bez zestawów tlenowych jest możliwa, ale po wykonaniu kilku kroków do góry uznał, iż potrzebuje wszelkiej pomocy, jaką tylko zdoła sobie zapewnić. Dwaj Włosi ruszyli zatem w kierunku zestawów tlenowych, choć zamiast iść tą samą trasą, którą pokonali już dzień wcześniej, tym razem wybrali nieco dłuższą i bezpieczniejszą drogę.

Lino Lacedelli miał na sobie wszystkie ubrania, jakie miał do dyspozycji: trzy pary spodni, dwie pary rękawiczek, dwie pary skarpet, kilka koszul, kurtkę puchową oraz kurtkę odporną na działanie wiatru. Choć chroniło go tyle warstw, wciąż było mu bardzo zimno. Za każdym razem, gdy zdejmował grube

rękawice, by zapiąć raki lub zetrzeć wilgoć zbierającą się wewnątrz jego okularów lodowcowych, czuł, jak jego rękawiczki robią się coraz bardziej mokre, a jego palce — coraz bardziej zdrętwiały.

Gdy Compagnoni i Lacedelli dotarli do zestawów tlenowych, uświadomili sobie, że w celu ograniczenia do minimum obciążenia będą musieli porzucić swoje plecaki. Obydwaj nieśli aparaty 35 mm i zapas filmów, ale nie mieli wody ani żadnego jedzenia, jeśli nie liczyć odrobiny słodyczy. Compagnoni starannie przyczepił do aluminiowego stelaża zestawu tlenowego niewielką kamerę filmową formatu 16 mm otrzymaną od fotografa wyprawy, Maria Fantina. Punktem kulminacyjnym filmu, który przedstawiał historię zdobycia Mount Everestu, była fotografia ukazująca Tenzinga na wierzchołku góry, lecz Compagnoni chciał przebić to dokonanie i nakręcić pierwszy film zarejestrowany na jednym z najwyższych szczytów świata.

Gdyby ktoś zapytał ich sześć miesięcy wcześniej o to, jak potoczą się losy ekspedycji, żaden z tych dwóch mężczyzn nie odważyłby się zasugerować, że może się znaleźć w położeniu, które właśnie stało się ich udziałem. W zespole Desia nie brakowało wspinaczy, którzy mogli się pochwalić bogatszym dorobkiem; czterej z nich zaliczali się do grupy szanowanych *accademici*, a wśród zawodowych przewodników inni mieli większe doświadczenie. Bez względu na to Achille i Lino znajdowali się właśnie wysoko na K2 i zamierzali przejść do historii, zdobywając najtrudniejszą górę na świecie.

Gdy otworzyli zawory, zapewniając sobie dodatkową porcję tlenu, obydwaj poczuli natychmiastowy przypływ energii. Każdy z zestawów zawierał trzy niewielkie butle i został zaprojektowany tak, by zapewnić użytkownikowi około 10 godzin dopływu gazu. Głównym problemem była waga: 18 kilogramów aluminium, stali i gazu pod ciśnieniem było poważnym obciążeniem niezależnie od wysokości, a noszenie tego sprzętu powyżej granicy 7900 m n.p.m. stawało się prawdziwą karą za grzechy. Innym pytaniem było to, czy

zestawy będą działać tak, jak należy. Co niezwykle, była to pierwsza sytuacja, w której członkowie włoskiej wyprawy korzystali z tlenu podczas wspinaczki. Ardito Desio zabrał kilka butli na lot wokół K2, a doktor Pagani używał tlenu, próbując ratować chorego Maria Puchoza, lecz większość spośród tych ciężkich zbiorników z gazem nigdy nie została użyta. Compagnoni i Lacedelli nie mieli problemów z podłączeniem rurek i masek, ale butle spędziły dwie ostatnie noce na śniegu — inżynierowie przypuszczalnie nie zalecaliby czegoś takiego tuż przed rozpoczęciem ataku na szczyt.

Kiedy wspinacze dotarli do Szyjki Butelki, którą planowali podążać na szczyt, okazało się, że wcale nie jest ona w lepszym stanie niż dzień wcześniej. W 1939 r., podczas drugiej próby zdobywania szczytu, Fritz Wiessner został zmuszony do odwrotu, ponieważ nie miał raków, a żleb był zalodzony. 15 lat później wspinacze natknęli się na zupełnie inny problem. Z radością wycięliby stopnie lub pokonali przeszkodę przy użyciu raków, ale w żlebie nagromadziło się zbyt wiele niezwiązanego śniegu, by mogli zastosować taką metodę.

W tej sytuacji skierowali się w lewo i podjęli próbę wdrapania się do góry najbliższym napotkanym pasem skał. Po dwóch frustrujących godzinach nie osiągnęli niczego, jeśli nie liczyć marnowania zapasów tlenu, więc skierowali się dalej w bok, gdzie natrafili na kolejną ścianę skalną położoną bliżej pierwszej drogi obranej przez Wiessnera. Podjęli kolejną próbę wspinaczki — Compagnoni ruszył jako pierwszy, lecz odpadł po pokonaniu bardzo niewielkiego dystansu. To właśnie wtedy prowadzenie przejął Lino, pokazując, że zasługuje na miano *lo Scoiattolo*, czyli „wiewiórki”.

Było za zimno, a niebo było zbyt zachmurzone, by dało się wspinać z gołymi rękami, tak jak robił to Fritz Wiessner w 1939 r., ale Lacedelli przed rozpoczęciem wspinaczki zdjął zewnętrzne rękawice i raki. Nad nim wznosił się bardzo stromy, mniej więcej 30-metrowy wyciąg skalny, który sprawiał wrażenie naprawdę trudnego. Gdyby Lino zdołał go pokonać, nachylenie terenu powyżej wyraźnie się zmniejszyło, choć

przejście tego fragmentu drogi było dla wspinacza obciążonego zestawem tlenowym prawdziwym wyzwaniem. Uporanie się z tym wyciągiem wymagało wykonania kilku bardzo czujnych ruchów; nie obyło się też bez modlitw i przekleństw, lecz wspinaczka zakończyła się sukcesem — Lacedelli ściągnął do siebie Compagnoniego, po czym przekazał mu prowadzenie.

Niewiele później skończyła się pierwsza butla w zestawach tlenowych obu Włochów. Gaz w drugiej butli wyczerpał się kilka godzin później. Zestawy zostały zaprojektowane w taki sposób, że puste butle można było odłączyć, co pozwalało zmniejszyć niesiony ciężar. Jeśli wziąć pod uwagę, że każda butla ważyła około 6 kilogramów, bez wątpienia był to dobry pomysł, nawet jeśli pozostawał w sprzeczności z dbałością o środowisko naturalne. Compagnoni i Lacedelli za bardzo się jednak spieszyli (lub byli zbyt słabo zaznajomieni ze swoim sprzętem), by postępować zgodnie z zaleceniami producenta. Każdy z nich porzucił jedną z pustych butli, ale potem niósł zbędny ciężar w postaci drugiego pustego zbiornika.

Droga była bardzo zróżnicowana — fragmenty twardego lodu przeplatały się ze stromymi skałami oraz jeszcze bardziej niebezpiecznymi odcinkami, na których niezwiązane ze sobą warstwy śniegu stwarzały bardzo poważne zagrożenie lawinowe. Niektóre miejsca były tak trudne, że ostatecznie wspinacze pokonywali je, wbijając czekany w stok, a później wykorzystując je jako stopnie. Ta nietypowa technika okazała się skuteczna, ale była trochę niekomfortowa dla drugiego w zespole, który siłą rzeczy był zasypywany odłamkami lodu. Lino Lacedelli zmagął się z problemem nieustannie parujących okularów; za każdym razem, gdy je wycierał, jego rękawiczki wchłaniały więcej wilgoci, a ręce coraz bardziej mu marzły. Niezależnie od tego faktu oraz kilku potknięć, nieustannie parli do góry.

Dokładnie wtedy, gdy sądzili, że są o krok od zwycięstwa, nadeszła chwila, której nikt się nie spodziewał, choć wszyscy się jej obawiali: skończył się gaz w trzeciej butli obu ich zestawów. Lacedelli czuł się tak, jak gdyby jego głowę miażdżył ogromny

ciężar; miał też wrażenie, że jego nogi robią się na przemian gorące i zimne. Compagnoniemu wydawało się, że stalowa dłoń miażdży jego skronie. Odpiął maskę i wciągnął w płuca rozrzedzone powietrze.

Przez kilka koszmarnych minut jedyną rzeczą, którą byli w stanie zrobić, było stanie w bezruchu. Fizjolodzy we Włoszech ostrzegali ich przed zgubnymi następstwami wyczerpania się tlenu na dużej wysokości, ale po upływie kilku minut obaj wspinacze ku swojemu zaskoczeniu uświadomili sobie, że wcale nie umierają i mogą oddychać. W celu sprawdzenia, czy nadal są w stanie logicznie myśleć, zaczęli nazywać otaczające ich góry — Broad Peak, Maszerbrum, Gaszerbrum, Skyang Kangri.

Chwilę później nieoczekiwanie, jak gdyby na zachętę, chmury utrzymujące się pod nimi przez cały dzień nagle się rozstąpiły, ukazując namioty obozu ósmego i pięć malutkich postaci ludzkich zwróconych w ich stronę. Widok przyjaciół znajdujących się w dole zapewnił wspinaczom zastrzyk energii, którego potrzebowali.

Nad nimi rozciągał się ostatni stok śnieżny prowadzący na szczyt. Nie dało się przewidzieć, ile czasu będą potrzebowali, by dotrzeć do celu, ale wyglądało na to, że nie mają już przed sobą wspinaczki w terenie skalnym. Pochylili więc głowy i podążali przed siebie, nie zatrzymując się nawet w celu zrzucenia bezużytecznych już zestawów tlenowych. W dosyć stonowanej relacji zamieszczonej w oficjalnej książce opisującej tę wyprawę, *La Conquista del K2*, Compagnoni i Lacedelli wspominali o tym, że trochę brzęczało im w uszach; później przyznali jednak, iż towarzyszące im doznania były dużo dziwniejsze.

W którymś momencie Lino Lacedelli nabrał przekonania, że tuż za nim idzie jego narzeczona. Potem zobaczył przyjaciela i wspinacza działającego w Dolomitach, Guida Lorenziego. Halucynacje Compagnoniego były równie obrazowe: najpierw zobaczył ich zmarłego towarzysza, Maria Puchoza, podążającego ich śladami, a potem wyczuł obecność jakiejś

kobiety — choć nie była to narzeczona Lacedellego, z pewnością zaliczała się do przedstawicielek płci pięknej. W porównaniu do „latających czajników”, które brytyjski wspinacz Frank Smythe miał widzieć na wysokości 8530 m n.p.m. w trakcie wyprawy na Mount Everest, wizje Włochów były raczej przyziemne, ale i tak pozostawały niepokojące.

Przebywający w bazie Ardito Desio zmagał się z frustracją. Jego ostatni kontakt z grupą wspinaczy zmierzających w kierunku szczytu miał miejsce trzy dni wcześniej, 28 lipca. Ponieważ sprzęt radiowy Włochów działał tylko w sytuacji, w której linii prostej łączącej dwa urządzenia nie przesłaniały żadne przeszkody, a obóz ósmy był niewidoczny z bazy, nie dało się porozmawiać ze znajdującymi się tam wspinaczami bez podejmowania długiej i ryzykownej wędrówki w górę Lodowca Godwina-Austena, aż na przełęcz Skyang La. Kierownik wyprawy mógł tylko czekać i nie tracić nadziei.

W obozie ósmym sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Bonatti i Mahdi dotarli tam kilka godzin wcześniej, a teraz wracali do sił w swoich namiotach. Tragarz był w kiepskim stanie i miał podmrażane dłonie i stopy; co zaskakujące, Bonatti przetrwał tę koszmarną noc cało i zdrowo. Jak wyjaśnił swoim towarzyszom, nie nawiązał żadnego kontaktu z Lacedellim i Compagnonim, jeśli nie liczyć krótkiej rozmowy poprzedniego wieczoru. Nie miał pojęcia, w którym miejscu na górze się znajdowali. Teraz mógł wraz z innymi zrobić tylko jedno: spoglądać w kierunku szczytu i liczyć na to, że wypatrzy tę dwójkę.

Pierwszą część drogi przesłaniała lodowa ściana; reszta była widoczna, chociaż często kryła się wśród chmur. Około siedemnastej trzydzieści jeden z Hunzów, Isakhan, wsunął głowę do namiotu, w którym odpoczywali Bonatti, Abram i Gallotti. „Sahib za moment wejdzie na K2!” — zawołał tragarz po angielsku, powtarzając słynne słowa, które rok wcześniej padły podczas wyprawy na Mount Everest^[10].

Gdy wybiegli na zewnątrz i unieśli głowy, dostrzegli na tle błękitnego nieba dwie małe sylwetki pokonujące to, co z dołu wydawało się ostatnimi metrami poniżej szczytu. Pino Gallotti napisał w swoim pamiętniku, że była to wyjątkowa chwila:

Na ostatnim stoku, który sprawiał wrażenie niezwykle stromego, widać było dwie malutkie kropki, które jedna za drugą zmierzały powoli do góry. Być może zobaczę jeszcze w życiu wiele różnych rzeczy, ale nic nie zdoła mnie poruszyć tak, jak tamten widok. Płakałem bezgłośnie, a łzy kapały mi na klatkę piersiową^[11].

Z perspektywy Compagnoniego i Lacedellego dotarcie na szczyt K2 było nie tyle chwilą pełną dramaturgii, co momentem milczącego uświadomienia sobie, czego właśnie dokonali. Po długiej i mozolnej wędrówce ostatni stok po prostu się skończył, a oni stanęli na środku dużej, otwartej przestrzeni; ich zdaniem była ona na tyle rozległa, by pomieścić ponad 100 osób. Wspinacze wzięli się za ręce, wykonali symboliczny, ostatni krok, uścisnęli się, a następnie padli na śnieg, by wreszcie pozbyć się swoich zestawów tlenowych. Długa, skomplikowana i pełna przygód historia eksploracji K2 osiągnęła właśnie punkt kulminacyjny, gdy szczyt określony w 1909 r. przez księcia Abruzzów mianem niemożliwego do zdobycia padł łupem zespołu złożonego z samych Włochów.

Inaczej niż Hillary i Tenzing, którzy zakopali na szczycie Mount Everestu krzyż i trochę słodyczy, składając w ten sposób ofiarę bogom, Włosi nie mieli niczego, co mogliby zostawić na wierzchołku. Dysponowali natomiast kamerą filmową 16 mm i dwoma aparatami fotograficznymi, dzięki czemu mogli uwiecznić swój tryumf. Lacedelli stanął obok porzuconych zestawów tlenowych i z rękami w kieszeniach oraz brodą pokrytą lodem zapozował do klasycznej fotografii szczytowej. Jego zdjęcia przedstawiające Compagnoniego były mniej oficjalne — na jednym z nich uwiecznił partnera na tle licznych szczytów; na innym sfotografował go w masce tlenowej założonej w celu ogrzania wdychanego powietrza.

Compagnoni rozpostarł trzy niewielkie, jedwabne flagi: włoską, pakistańską i proporczyk jego lokalnej sekcji CAI działającej w miejscowości Valfurva. Gdy łopotały na wietrze, obaj wspinacze filmowali się na zmianę, a potem próbowali nawet nagrać panoramę kamerą działającą w trybie automatycznym. Starali się uśmiechać i okazywać optymizm, ale gdy dziś przyglądamy się tym materiałom, widać niepokój malujący się na twarzach Włochów. Słońce zachodziło, a temperatura gwałtownie spadała; za każdym razem, gdy zmieniali film, ich i tak przemarznięte ręce były wystawiane na działanie przenikliwego wiatru.

Gdy Compagnoni uświadomił sobie, że ma poważnie odmrożone palce, zaczął uderzać nimi o swój czekan w nadziei na to, iż zdoła przywrócić krążenie, ale nadal niczego nie czuł. Starał się włożyć z powrotem zewnętrzne rękawiczki, lecz skóra, z której je uszyto, zrobiła się tak sztywna, a jego palce były tak spuchnięte, że nie był w stanie przeprowadzić tej operacji. Wyjął scyzoryk i starał się powiększyć otwór na nadgarstek, ale zerwał się wiatr, a rękawiczka potoczyła się w dół stoku.

Okazując niezwykle poświęcenie, które praktycznie gwarantowało to, że sam też nabawi się odmrożeń, Lacedelli oddał Compagnoniemu własną zewnętrzną rękawiczkę; ją też trzeba było jednak rozciąć, zanim udało się ją włożyć na rękę jego partnera. Compagnoni był przerażony. Każdy europejski wspinacz znał historię Maurice'a Herzoga, francuskiego wspinacza, który wrócił z Annapurny z bardzo poważnymi odmrożeniami. Ceną, jaką zapłacił za zdobycie szczytu, była amputacja wszystkich palców u nóg i większości palców u rąk. Compagnoni miał żonę, Enricę, oraz dwóch małych synów — gdyby i on stracił palce, a co za tym idzie, nie mógł pracować jako przewodnik i instruktor narciarstwa, jak miał utrzymać rodzinę? Gdy Lacedelli powiedział mu, że czas schodzić, Compagnoni odmówił, twierdząc, iż chce spędzić noc na szczycie.

Dla Lacedellego były to koszmarne chwile. Compagnoni sprawiał wrażenie chwilowo niepoczytalnego, a teraz również i Lacedelli zaczynał tracić czucie w dłoniach. Było jasne, że im dłużej będą zwlekać, tym gorsza będzie ich sytuacja. „Musimy schodzić, i to już!” — zawołał Lino. Aby mieć pewność, że Compagnoni go zrozumiał, Lacedelli uniósł swój czekan i zrobił gest, jakby chciał uderzyć partnera. Compagnoni wreszcie oprzytomniał, rozejrzał się po raz ostatni, po czym ruszył w dół.

Jeżeli ich wspinaczka na szczyt była miarową, mozolną wędrówką, ich zejście można określić mianem odwrotu napędzanego amfetaminą. Jako doświadczeni przewodnicy obydwaj zdawali sobie sprawę z tego, że większość wypadków górskich zdarza się podczas schodzenia ze szczytu, ale nie mieli czasu na zachowanie ostrożności. Połknęli po tabletkę sympaminy^[12], odmiany amfetaminy stosowanej w celu powstrzymania zmęczenia i zwiększenia wydolności, i liczyli na to, że dopisze im szczęście.

Podczas zejścia nie byli w stanie powtórzyć czujnej wspinaczki w skalnym terenie podejmowanej w drodze na szczyt. Zamiast tego zawsze wybierali najłatwiejszą drogę. Tym razem po dotarciu do Szyjki Butelki wystrzegali się skał i ruszyli prosto w dół przez śnieg w centralnej części żlebu. Jakimś cudem dotarli na dół, nie wyzwalając żadnych większych lawin, a ostatni odcinek udało im się nawet pokonać kontrolowanym zjazdem.

Gdy znaleźli się przy porzuconych wcześniej plecakach, Compagnoni wyciągnął niewielką butelkę opatrzoną etykietą „Veleno”, czyli „trucizna”. Lacedellemu nie podobał się ten napis, ale Compagnoni wyjaśnił, że to jego tajny zapas brandy, opisany w taki sposób, by nikt nie podkradł mu cennego płynu. Obaj pociągnęli po solidnym łyku i niemal natychmiast poczuli, że są pijani — był to jednak efekt działania wysokości, a nie następstwo mocy tego trunku. Choć ich kroki były chwiejne, jakoś się pozbierali, po czym ruszyli w dalszą drogę w dół.

Lacedelli miał niewielką latarkę, która jednak szybko przestała działać. Ze swojej wspinaczki na szczyt zapamiętali tylko jedną naprawdę dużą szczelinę lodowcową, ale gdy zaczęli rozprawiać, w jaki sposób najskuteczniej ją ominąć, obaj się poślizgnęli, by chwilę później zatrzymać się tuż przy rzeczonym przeszkodzie. Lacedelli stracił swój czekan, lecz dziwnym trafem obaj zdołali cało i zdrowo pokonać tę szczelinę.

Ostatnim wyzwaniem była ściana lodowa wznosząca się powyżej obozu ósmego i druga szczelina ziejąca tuż pod nią. Compagnoni ruszył w dół jako pierwszy, podczas gdy Lacedelli asekurował go z góry. Wszystko szło dobrze do momentu, w którym wspinacz natrafił na przewieszony teren. Ściana nagle zniknęła (lub tak przynajmniej mogło się wydawać), a Compagnoni zawisł w powietrzu, młócąc kończynami. Lacedelli zebrał wszystkie siły, ale z powodu przemarzniętych palców nie był w stanie utrzymać liny, na której wisiał jego partner. Compagnoni poleciał w dół, po czym uderzył z łoskotem o śnieg. Również i w tym przypadku miał mnóstwo szczęścia, gdyż wylądował na zewnętrznej krawędzi szczeliny, a po sprawdzeniu wszystkich kończyn stwierdził, że najwyraźniej niczego sobie nie złamał.

Niebezpieczeństwo jednak nie minęło. Gdy Compagnoni leżał na śniegu, był przekonany, że za kilka sekund spadnie na niego Lacedelli, wbijając się w niego rakami. Na szczęście drugi ze wspinaczy zachował równowagę, aczkolwiek nie na długo. Chociaż zejście Lacedellego było trochę bardziej kontrolowane, wkrótce on też się poślizgnął i poszybował w kierunku szczeliny ziejącej poniżej. O dziwo, on również zdołał uniknąć najgorszego i wylądował na zewnętrznej krawędzi szczeliny. Miękki śnieg, przez który ich droga na szczyt była tak męcząca, pomógł im podczas zejścia, amortyzując upadki.

Na stoku tuż ponad obozem ósmym obaj mężczyźni zaczęli wołać swoich towarzyszy, licząc na to, że ktoś ich usłyszy i pomoże im trafić do namiotów. Niestety, zespół szczytowy nie doczekał się żadnej odpowiedzi. To, że udało im się zejść,

wydawało się niewiarygodne; w ciemnościach istniało jednak całkiem realne prawdopodobieństwo tego, iż schodzący zespół minie namioty, po prostu ich nie zauważając. Około dwudziestej trzeciej Compagnoni dostrzegł światło poniżej, a kilka minut później byli już wraz z partnerem otoczeni przez rozentuzjasmowanych towarzyszy, którzy dosłownie skakali z radości na wieść o tym, że K2 został zdobyty. Początkowo Compagnoni i Lacedelli mieli tak wysuszone i obolałe gardła, że ledwie mogli mówić, ale po kilku kubkach herbaty zdołali opowiedzieć swoją historię.

Ciepło panujące w namiotach w obozie ósmym miało zarówno plusy, jak i minusy. Gdy przemarznięte ręce wspinaczy zaczęły się rozgrzewać, pojawił się dotkliwy ból. Bonatti masował ręce Lacedellego, natomiast Abram zajął się stopami Compagnoniego. Te wysiłki nie pozwoliły niestety ulżyć potwornym cierpieniom. Członkowie zespołu szczytowego nie byli też jedynymi osobami, które zmagaly się z bólem spowodowanym przez odmrożenia. Jeśli chodzi o zespół, który w noc poprzedzającą dzień ataku szczytowego zaliczył na dużej wysokości biwak pod gołym niebem, Bonatti zniósł tę próbę zaskakująco dobrze, lecz Mahdi zszedł do obozu ósmego z poważnie poodmrażanymi palcami u nóg. Przez całą noc krzyczał i jęczał w pobliskim namiocie.

W bazie narastało napięcie. Wszyscy zadawali sobie pytanie, czy wkrótce ruszą do domów, czy też przyjdzie im jeszcze spędzić w Karakorum wiele miesięcy i wytrzymać u stóp tej ogromnej góry cały szereg burz. Desio miał mnóstwo rzeczy do roboty. Jego naukowcy i geografowie działali już w terenie, a on przygotowywał się do tego, by do nich dołączyć. On też niecierpliwie czekał jednak na jakieś wieści. Dlaczego wspinacze nie wysłali żadnego sygnału?

1 sierpnia tuż przed południem udało się dostrzec kilka osób w górnej części Żebra Abruzzów. Parę godzin później z obozu drugiego wystrzelono trzy race. Prawdopodobnie świadczyły one o odniesionym sukcesie, ale „prawdopodobnie” w tym przypadku nie wystarczało. Czy któryś ze wspinaczy nie mógł

po prostu skorzystać z radia i rozwiać tym samym niepewność tych, którzy zostali na dole? Niektórzy mężczyźni oczekujący w bazie tak bardzo chcieli się czegoś dowiedzieć, że ruszyli lodowcem w kierunku obozu pierwszego, licząc na to, iż spotkają po drodze schodzących wspinaczy. Czekali przez trzy godziny, ale nikogo nie wypatrzyli.

Nieco później długie oczekiwanie dobiegło wreszcie końca. Tuż przed dwudziestą pierwszą Ubaldo Rey i Cirillo Floreanini wyłonili się z ciemności, zmierzając chwiejnym krokiem w kierunku bazy. Gdy ich towarzysze wznosili okrzyki i płakali z radości, dwójka, która zeszła właśnie z góry, podzieliła się z nimi nowinami: Compagnoni i Lacedelli weszli na szczyt pomimo tego, że skończył im się tlen. Obaj mieli poodmrażane dłonie; Mahdi też był w kiepskim stanie, ale K2 został zdobyty.

Po 10 tygodniach spędzonych na górze, miesiącach przygotowań, latach pisania wniosków i dekadach wypełnionych frustracją Ardito Desio dopiął wreszcie swego. Było zbyt późno, by skontaktować się ze stacją telegraficzną w Skardu, ale kierownik wyprawy spędził noc, przygotowując telegramy i informacje prasowe. List napisany tego wieczoru do Vittoria Lombardiego, skarbnika i rzecznika prasowego wyprawy, pięknie ujął intensywne emocje towarzyszące tamtym chwilom:

Nadal nie mogę złapać tchu i czuję ucisk w gardle. Godzinę temu na dół zeszli pierwsi dwaj członkowie wyprawy, którzy przekazali informację o zwycięstwie. Wczoraj po południu o osiemnastej dwaj spośród nas dotarli wreszcie na szczyt K2!!! Wrócili do obozu o dwudziestej trzeciej i zostawili na szczycie dwa zestawy tlenowe z dwiema butlami. Przez ostatnią godzinę nie mieli już tlenu. Wszyscy są wyczerpani, a ja nie wiem, jak zdołali tego dokonać. W ciągu ostatniego dnia pokonali w pionie 900 metrów. To wszystko wciąż wydaje mi się snem^[13].

Frustracja Desia nie dobiegła jednak jeszcze końca. Problemy z łącznością sprawiły, że nie mógł wysłać następnego ranka wiadomości, a Compagnoni i Lacedelli wrócili do bazy

dopiero pod koniec dnia. Zdobywcy K2 byli szczęśliwi, że zdołali zejść, ale byli w fatalnym stanie — obolałe gardła uniemożliwiały im praktycznie mówienie, zaś poodmrażane dłonie przysparzały im z godziny na godzinę coraz więcej cierpienia. Póki co szczegółowa opowieść obejmująca to, czego doświadczyli, musiała poczekać. Obaj marzyli tylko o tym, by zaszyć się w namiotach i spróbować przespać.

O wpół do ósmej rano 3 sierpnia, dwa i pół dnia po zdobyciu szczytu, Desio zdołał wreszcie skontaktować się ze Skardu i wysłał krótką wiadomość:

Zwycięstwo w dniu 31 lipca. Wszystko dobrze. Jesteśmy razem w bazie. Profesor Desio.

Kilka godzin później zwycięstwo zostało ogłoszone przez publiczną rozgłośnię Pakistan Broadcasting Corporation. To była oficjalna informacja: udało im się, „spełnili swoje marzenie”, jak ujął to kamerzysta Mario Fantin. Teraz mogli wreszcie zacząć świętować i przestać myśleć o monsunie lub konieczności powrotu na górę we wrześniu. Ardito Desio i jego naukowcy nadal mieli przed sobą dwa miesiące pracy w Karakorum, lecz pozostali uczestnicy wyprawy mogli wracać do domów.

Późnym popołudniem 3 sierpnia informacja dotarła do Włoch. Mario Scelba, nowy premier, wygłosił oficjalne oświadczenie skierowane do parlamentarzystów: „Włoska flaga powiewa na wysokości 8611 m n.p.m.”. Luigi Einaudi, prezydent Republiki Włoskiej, przesłał telegram z gratulacjami dla Desia, a jak donosiła agencja informacyjna Reuters, w całym kraju powiewały flagi, bito w dzwony i oświetlano budynki publiczne.

Następnego dnia nagłówki na pierwszych stronach włoskich gazet krzyczały: „K2 podbity przez zespół Desia”, „Włoska flaga na K2”, „K2 może być teraz nazywany włoską górą”. Sukces wyprawy nie wywołał na świecie tak dużego zainteresowania, jak pierwsze wejście na Mount Everest (które przyciągnęło dodatkową uwagę za sprawą przypadkowej zbieżności dat z

koronacją królowej Elżbiety II), ale nie było wątpliwości co do tego, że dla Włoch było to niezwykle istotne wydarzenie.

Okres, który nastąpił po drugiej wojnie światowej, był wypełniony nieustannymi strajkami, kryzysami rządowymi i problemami ekonomicznymi. Materiały dotyczące zdobycia K2 dzieliły pierwsze strony gazet z artykułami na temat wysokich cen żywności oraz debatami parlamentarnymi dotyczącymi groźby przejęcia władzy przez komunistów, lecz latem 1954 r. zapanowało przekonanie, że kraj dotarł być może do punktu zwrotnego. Włochom przekazano właśnie kontrolę nad Triestem po 10 latach alianckiej okupacji tego miasta, ogólnokrajowy nadawca RAI uruchomił niedawno program telewizyjny (pierwszym wyemitowanym materiałem było wyraźne zwycięstwo w meczu kwalifikacyjnym do mistrzostw świata), a na dodatek Włosi zdobyli K2 — jak chętnie podkreślali dziennikarze, „najtrudniejszą górę na świecie”.

Jak można było przeczytać w wydawanym w Turynie dzienniku „La Stampa”, zdobycie K2 było „kwiatem w butonierce każdego Włocha”:

Za sprawą tej flagi przywiązanej do styliska czekana zatkniętego na najwyższej niezdobytej górze na świecie, dziś my, Włosi, możemy się przechadzać ulicami tak, jak gdyby każdy miał kwiat w butonierce, a nasze serca były bardziej radosne i pełne życia^[14].

Dino Buzzati, przyjaciel Ardita Desia i znany korespondent wydawanego w Mediolanie dziennika „Corriere della Sera” rywalizującego z „La Stampa”, uderzył w jeszcze bardziej górnolotny ton, ogłaszając sukces tej wyprawy najważniejszym wydarzeniem ostatnich lat:

Nawet jeżeli należysz do osób, które nie interesują się wspinaczką i nigdy nie widziały na oczy żadnej góry, a na dodatek zapomniały, czym jest miłość do naszego kraju, nie ma to większego znaczenia. Słyszac te radosne wieści, wszyscy poczuliśmy coś, od czego odwykliśmy: mocniejsze bicie serca i czyste, bezinteresowne szczęście^[15].

W miarę, jak informacje o włoskim tryumfie na K2 rozchodziły się po świecie, napływały też wiadomości od wspinaczy z całego świata. Brytyjski komitet, który organizował wyprawę na Mount Everest, był jedną z pierwszych instytucji, które przesłały Włochom gratulacje. Kilka dni później w ślady Brytyjczyków poszedł Szerpa Tenzing, który przebywał akurat w Szwajcarii w związku ze szkoleniami dla przewodników. Dwaj wybitni szwajcarscy wspinacze, Raymond Lambert i René Dittert, wysłali telegramy z gratulacjami; podobnie postąpiły też władze klubów górskich z Japonii, Austrii, Francji i Stanów Zjednoczonych.

Włosi zdobyli K2 niecałe 50 lat po tym, jak najsłynniejszy wspinacz pochodzący z tego kraju, książę Abruzzów, rozświetlił ten szczyt na całym świecie. Ziściło się wszystko, o czym marzyli Ardito Desio oraz wspierający go członkowie władz CAI. Długa i imponująca historia K2 doczekała się punktu kulminacyjnego o należycie włoskim charakterze, a teraz cały świat mógł się radować z najnowszego tryumfu ludzkości.

Los miał jednak inne plany. Nie minęło kilka miesięcy, a kwiat w butonierce każdego Włocha zaczął pokazywać swoje kolce.

Rozdział 11

Łupy zwycięzców

Gdy Fritz Wiessner przeczytał w „New York Timesie” o tryumfie Włochów, był niezwykle przejęty i natychmiast napisał do Ardita Desia egzaltowaną wiadomość, którą wysłał do Mediolanu, prosząc żonę kierownika wyprawy o przekazanie listu adresatowi. Fritz tak bardzo cieszył się z sukcesu włoskiego zespołu, że zaproponował nawet, iż przygotuje na potrzeby książki opisującej losy tej wyprawy oddzielny rozdział o wcześniejszych amerykańskich ekspedycjach. Reakcja Charliego Houstona była dla odmiany dużo bardziej skomplikowana.

Gdy dziennikarze mieli okazję porozmawiać z nim w jego domu w Exeter w stanie New Hampshire, on również przyłączył się do gratulacji, chociaż po kilku tygodniach wyraźnie pesymistycznych informacji prasowych na temat włoskiej ekspedycji nie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń i był już ogarnięty gorączką przygotowań związanych z kolejną amerykańską wyprawą na K2. W liście wysłanym 4 sierpnia do redakcji „New York Timesa” Charlie szczerze przedstawiał mieszane uczucia, jakie żywił w stosunku do włoskiego zespołu:

Chylę czoła przed ich odwagą i wytrwałością, ale mam w sobie zbyt wiele ludzkich cech, by nie odczuwać smutku, jako że miałem pozwolenie na zorganizowanie w 1955 r. czwartej amerykańskiej wyprawy na K2. Coś, co wypełniało moje myśli przez 16 lat, od momentu mojej pierwszej wizyty pod K2, przeszło do historii. Niezależnie od tego faktu, z całego serca oddaję honory Włochom i odniesionemu przez nich sukcesowi^[1].

W drugim liście, napisanym tego samego dnia do Erica Shiptona, słynnego brytyjskiego wspinacza, który musiał zrezygnować w 1953 r. z uczestnictwa w wyprawie zmierzającej na Mount Everest, Charlie ujął swoje poczucie straty w bardziej bezpośredni sposób:

Istnieją inne góry oraz inne zainteresowania, ale K2 wypełniał moje serce i umysł przez 16 lat, tak jak Mount Everest towarzyszył Tobie. Nic nie zdoła ich zastąpić — ani drugie wejścia na ich szczyty, ani inne góry.

Nie dysponuję ani środkami, ani swobodą, które pozwoliłyby mi ponownie wyjechać w Himalaje, więc ten etap mojego życia dobiegł końca. Być może powinienem dorosnąć, ale w tym momencie czuję się tak, jak gdybym przechodził odwrotny proces^[2].

Jeżeli Charlie sądził, że pisanie listów będzie miało działanie oczyszczające, grubo się mylił.

Następnego dnia wybrał się do pobliskiego miasta Nashua, by załatwić sprawunki. Gdy dotarł na miejsce, jego umysł wypełniła całkowita pustka. Zapomniał, jak się nazywa, jaki zawód wykonuje, gdzie mieszka; nie pamiętał też, że ma żonę i rodzinę. Z jego głowy wyleciał K2 i szesnastoletnia obsesja dotycząca tego szczytu, a także Ardito Desio oraz Fritz Wiessner. Charlie całkowicie stracił pamięć.

Przez kilka godzin wędrował zrozpaczony ulicami miasta, aż wreszcie trafił do lokalnego szpitala, gdzie zdiagnozowano u niego amnezję całkowitą. Dopiero gdy policjant dostrzegł metkę na jego krawacie i uświadomił sobie, że ta część stroju pochodzi ze sklepu w Exeter, udało się zidentyfikować chorego. Żona Charliego, Dorcas, przyjechała po niego wraz z przyjacielem. Po przespanej nocy Houston odzyskał pamięć, lecz nie był to jeszcze koniec bolesnych doświadczeń.

Kilka dni później Charlie ruszył na wakacje. Rok wcześniej znajdował się wysoko na K2, walcząc o sprowadzenie na dół Arta Gilkeya; gdy jechał teraz prowincjonalnymi drogami w

stronę wiejskiego domku nad jeziorem Honnedaga, wszędzie widział krew, która przesiąkała przez asfalt.

Przez niemal 30 lat był zafascynowany wspinaczką górską, ale ten etap w jego życiu dobiegł końca. Po powrocie z K2 nie pojechał już na żadną wyprawę. Odebrano mu „jego” górę i żaden szczyt nie mógł mu jej zastąpić. Chwała przypadła w udziale Włochom, a on musiał po prostu z tym żyć. Gdyby jednak mógł spojrzeć w kryształową kulę, niewykluczone, że poczulby się zupełnie inaczej. W ciągu kilku miesięcy wyprawa Desia miała się pogrążyć w szeregu sporów, a święcąca tryumfy grupa już wkrótce miała się zmierzyć z tym, co Lino Lacedelli nazwał później „ceną podboju”.

Gdy na początku sierpnia członkowie wyprawy się rozdzielili, nikt nie spodziewał się żadnych kłótni. Podczas tygodni spędzonych w bazie nie brakowało chwil pełnych napięcia, a wielu uczestników ekspedycji nie polubiło kierownika wyprawy, ale sukces był niezwykle skutecznym lekarstwem, a teraz wreszcie wracali do domów w glorii zwycięstwa.

Ardito Desio opuścił bazę jako pierwszy — 7 sierpnia ruszył w drogę w towarzystwie geologa Bruna Zanettina, by rozpocząć badania w górnej części lodowca Baltoro. Cztery dni później wspinacze pożegnali się z K2 i udali się w długą podróż powrotną do Włoch. Zanim opuścili bazę, odwiedzili grób Maria Puchoza i uzupełnili znajdującą się tam tabliczkę o datę swojego wejścia na szczyt.

Pomimo radości wynikającej ze zwycięstwa, zespół ruszający w drogę powrotną spod K2 był dużo słabszy niż ten, który pojawił się tam pod koniec maja. Compagnoni, Lacedelli i Mahdi nadal odczuwali bardzo silny ból związany z odmrożeniami, a Gino Soldà, najstarszy członek zespołu wspinaczkowego, nabawił się zakrzepowego zapalenia żył — tej samej choroby, która w 1953 r. zaatakowała Arta Gilkeya. Soldà przez pierwszych kilka dni podróży musiał być transportowany na improwizowanych noszach.

Achille Compagnoni bardzo niepokoił się o swoje dłonie i chciał jak najszybciej dotrzeć do szpitala we Włoszech. Lino Lacedelli, jego partner z zespołu szczytowego, również zmagał się z bólem, ale nie spieszyło mu się aż tak bardzo, by iść pod nóż chirurga. Guido Pagani, lekarz wyprawy, przekonał go, że lepiej będzie poczekać, niż ryzykować przedwczesne amputacje.

Chociaż wszyscy bardzo chcieli wrócić do rodzin oczekujących we Włoszech, jak przyznał później kamerzysta Mario Fantin, uczestnicy wyprawy czuli też odrobinę żalu w związku z tym, że wielka przygoda dobiegła końca. Chociaż wspinacze pochodzili z różnych miejsc w północnych Włoszech, a przed rozpoczęciem ekspedycji tylko nielicznych łączyła przyjaźń, w ciągu minionych trzech miesięcy stali się zgranym i skutecznym zespołem.

Ostatni komunikat Desia, opatrzony numerem 13 i wydany tuż przed tym, jak kierownik opuścił bazę, ostrzegał wspinaczy, by przyszłe pochwały nie uderzyły im do głów — podczas wszelkich ewentualnych uroczystości mieli zachować „spokój i skromność”. Na koniec Desio przypomniał wszystkim o porozumieniu, które zawarli trzy miesiące wcześniej, zgadzając się nie wymieniać z nazwiska członków zespołu szczytowego.

Ta decyzja została podjęta wspólnie na początku wyprawy, na wniosek jednego ze wspinaczy, Cirilla Floreaniniego. Wszystkie osoby związane ze światem wspinania były zbulwersowane sprzeczkami, które rozpoczęły się po wyprawie na Mount Everest z 1953 r. i dotyczyły tego, kto tak naprawdę stanął na szczycie jako pierwszy. Każdy wspinacz zdawał sobie sprawę z tego, że dużą górę, taką jak K2 czy Mount Everest, można zdobyć tylko dzięki pracy zespołowej, więc przypisywanie wszystkich zasług jednej lub dwóm osobom wydawało się błędem.

Jak to często bywa w przypadku działań wynikających z dobrych intencji, ich pakt milczenia miał nieoczekiwane konsekwencje. Niemal natychmiast po tym, jak 3 sierpnia ogłoszono zwycięstwo, włoska prasa zaczęła dopytywać, kto tak naprawdę dotarł na szczyt. Gdyby w grę wchodziło utrzymanie

nazwisk w tajemnicy przez kilka dni, mogłoby to ułatwić dzielenie chwały między wszystkich członków zespołu. Władze CAI odmówiły jednak udostępnienia tych informacji aż do powrotu Desia do Rzymu, co oznaczało niemal dwa miesiące czekania i dało początek niekończącym się spekulacjom. Opinia publiczna chciała poznać swoich bohaterów — „gości, którzy dotarli tam jako pierwsi”, jak ujął to brytyjski autor James Morris, pisząc o Hillarym i Tenzingu — a odmawianie jej tych informacji prowokowało dręczące poczucie niepewności dotyczące faktów związanych z tą ekspedycją.

Wielu dziennikarzy od razu zgadło, że wśród osób, które dotarły na szczyt, był Achille Compagnoni. Był liderem zespołu wspinaczkowego i od samego początku działał na pierwszej linii. To, że obaj z Linem Lacedellim mieli odmrożenia dłoni, również świadczyło o tym, iż dokonali czegoś wyjątkowego. 6 sierpnia amerykańska agencja prasowa wymieniła z nazwiska Compagnoniego, chociaż w notatce przyznano, że ta informacja nie została oficjalnie potwierdzona.

Spora część gazet zaakceptowała historię przedstawioną przez Amerykanów, aczkolwiek nie wszyscy dziennikarze podchodzili do niej z pełnym przekonaniem. Na łamach „La Stampy” forsowano inną teorię — odmrożenia Lacedellego i Compagnoniego miały wskazywać na to, że byli oni członkami zespołu wsparcia, którzy podejmując heroiczny wysiłek, wynieśli na górę tlen. W myśl tej koncepcji to Walter Bonatti i Pino Gallotti musieli zdobyć szczyt, ponieważ zeszli na dół cało i zdrowo.

Podczas gdy włoska prasa spędziła sierpień na snuciu spekulacji, w Pakistanie wybuchł zupełnie inny spór. Kiedy włoski zespół po długiej podróży dotarł do Karaczi, ostatniego przystanku na drodze do Europy, rozpoczęła się dysputa dotycząca jednego z Hunzów, Mahdiego. „The Times of India” donosił:

Gazeta „Morning News” z Karaczi oskarżyła Włochów o to, że uniemożliwili Amirowi Mahdiemu dotarcie na szczyt.

Mahdi twierdzi, że znalazł się 30 metrów od wierzchołka wraz z dwoma Włochami, którzy ostatecznie zdobyli K2. „Włosi nie pozwolili mu jednak na kontynuowanie wspinaczki, gdyż nie był »pełnoprawnym członkiem« zespołu uczestniczącego w ekspedycji”.

Najwyraźniej zaszczyt wejścia na szczyt był zazdrośnie strzeżony i zachowywany wyłącznie dla zagranicznego zespołu, chociaż bez Mahdiego i Hunzów wyprawa nigdy nie osiągnęłaby sukcesu, który stał się jej udziałem^[3].

Na łamach „Morning News” przedstawiano Włochów w niekorzystnym świetle, porównując ich z brytyjskim zespołem, który w 1953 r. działał na Mount Evereście i pozwolił Tenzingowi dotrzeć na szczyt; jakimś cudem zapomniano jednak o wielomiesięcznych zażartych kłótniach, do jakich doszło po tamtej wyprawie. Na szczęście dla Włochów historia przedstawiona przez „Morning News” nie wzbudziła na świecie większego zainteresowania i nie została podchwycona przez włoskie media. Ambasador Włoch, doktor Benedetto d’Acunzo, czuł się jednak zmuszony zaprosić do siebie Ata-Ullaha i kilku członków zespołu, by wspólnie sporządzić notatkę, w której dokładnie określono, co wydarzyło się w trakcie przygotowań do próby zdobycia szczytu^[4].

31 sierpnia — tego samego dnia, w którym „The Times of India” donosił o zarzutach podnoszonych w Karaczi — na łamach „Corriere della Sera” ukazał się pierwszy raport Ardita Desia na temat ataku szczytowego. Kierownik wyprawy nadal odmawiał ujawnienia nazwisk wspinaczy, którzy zdobyli K2, ale mimowolnie zdradził tożsamość obu członków zespołu szczytowego, gdy wspomniał o tym, że obaj wrócili do bazy z odmrożeniami. Gdy kilka dni później Compagnoni wrócił do Włoch, na lotnisku w Rzymie witano go niczym bohatera. Według jednej z gazet jakiś głos wśród rozentuzjasmowanego tłumu zawołał:

„Czy bardzo pan cierpiał?”

„Tak, wiele się nacierpiałem” — odparł^[5].

Przez następne dwa tygodnie prasa niemal każdego dnia donosiła o przebiegu leczenia Compagnoniego w szpitalu w Mediolanie. Wspinacza poddano eksperymentalnej operacji plastycznej, która obejmowała bolesne przeszczepy skóry; na kilka dni przyszyto mu również lewą rękę do brzucha, by przyspieszyć powrót do zdrowia. Cała ta procedura nie okazała się jednak tak skuteczna, jak oczekiwali tego lekarze, a pacjent stracił czubki dwóch palców lewej dłoni. Compagnoni wrócił do kraju w bardzo kiepskim stanie i ostatecznie spędził w szpitalu trzy miesiące, walcząc z zapaleniem opłucnej oraz zapaleniem płuc.

Podczas gdy on cierpiał w łóżku, jego towarzysze płynęli przez Ocean Indyjski na pokładzie statku SS Asia. Lino Lacedelli również był poddawany kuracji związanej z odmrożeniami palców, choć jego powrót do kraju był spokojny i przyjemny, jeśli porównać go z szaleńczą, 48-godzinną podróżą lotniczą Compagnoniego z Karaczi do Rzymu.

Gdy 22 września statek dotarł do Genui, na nabrzeżu zebrały się dziesiątki przyjaciół i krewnych wspinaczy, lecz całemu wydarzeniu nie towarzyszył aż taki szum medialny, z jakim miał do czynienia Compagnoni podczas swojego powrotu. Nazwiska członków zespołu szczytowego nadal nie zostały oficjalnie potwierdzone, ale CAI stopniowo przekazywał prasie kolejne zdjęcia, w tym kilka fotografii przedstawiających Lacedellego i Compagnoniego na szczycie. Jak skomentował to dziennikarz Fulvio Campiotti, włoska opinia publiczna otwarcie wyśmiewała niezdolność klubu do wystosowania oficjalnego oświadczenia. Wszyscy znali już prawdę.

8 października Ardito Desio przyleciał wreszcie do Rzymu i został tam powitany przez liczną grupę fanów, a także przedstawicieli Włoskiego Komitetu Olimpijskiego i rządu. Na lotnisku w Mediolanie, które stanowiło jego drugi przystanek, czekała na niego duża grupa studentów, którzy nieśli go potem na swoich ramionach w tryumfalnym pochodzie. Przywołując ekscytację z początku sierpnia i naśladując ówczesną egzaltację, dziennik „Corriere della Sera” nazwał go „człowiekiem, który w

lipcu tego roku zmienił znienacka zawartość podręczników do geografii drukowanych we wszelkich możliwych językach na całym świecie”^[6].

Cztery dni później cały zespół spotkał się na dwudniowych uroczystościach w Genui, gdzie otrzymał nagrodę Caravella d’Oro, prestiżowe wyróżnienie przyznawane w Dniu Kolumba dla uczczenia najważniejszego osiągnięcia sportowego mijającego roku. Fritz Wiessner nie zdołał tam dotrzeć, ale w uroczystościach wzięli udział Hermann Buhl, austriacki zdobywca Nanga Parbat, a także Edouard Wyss-Dunant, kierownik szwajcarskiej wyprawy działającej na Mount Evereście w 1952 r. Gościem honorowym był nie kto inny jak Charlie Houston. Podczas jednego z mniej formalnych spotkań Lino Lacedelli przekazał mu jaskrawoczerwoną, haftowaną parasolkę, którą Amerykanin zostawił na K2 w 1953 r.

Gdy uroczystości osiągnęły 12 października punkt kulminacyjny, Desio w typowym dla siebie pompatycznym stylu ogłosił informację, na którą w jego mniemaniu wszyscy niecierpliwie czekali:

Za zgodą członków wyprawy Club Alpino Italiano mogę wreszcie uchylić rąbka tajemnicy i ujawnić nazwiska dwóch Włochów, którzy dzięki współpracy oraz sile fizycznej i psychicznej swoich towarzyszy mieli szczęście i honor zdobyć 31 lipca 1954 r. szczyt K2, drugiej co do wysokości góry na świecie: byli to Achille Compagnoni i Lino Lacedelli. Dwaj przyjaciele podjęli ogromny wysiłek fizyczny i psychiczny, po czym dotarli na dziewiczy szczyt w tej samej chwili, złączeni pełnym emocji uściskiem^[7].

Jego oświadczenie przedrukował londyński „The Times”, lecz włoska prasa zdążyła się już na tyle znudzić niekończącymi się wykrętami, że w gazetach nie pojawiły się nagłówki, jakich bez wątpienia spodziewał się Desio.

Dwa tygodnie później po uroczystościach w Genui nastąpił całodniowy cykl parad i oficjalnych spotkań w Mediolanie, ale pomimo poklepywania się po plecach i grupowych fotografii,

coś się w tym wszystkim nie zgadzało. Charlie Houston dostrzegł to już w Genui. Jak napisał później w liście do jednego z pozostałych członków amerykańskiej wyprawy na K2 z 1953 r., Desio i włoscy wspinacze byli skromni i bezpretensjonalni; ogromne wrażenie robił też entuzjazm, z jakim podchodzono we Włoszech do wspinaczki, ale „nie ma wątpliwości co do tego, że nie był to szczęśliwy zespół”^[8].

Nie minęło wiele czasu, a wspomniane niezadowolenie przedostało się do prasy. W listopadzie popularne włoskie czasopismo „Settegiorni” zamówiło cykl artykułów zatytułowanych „Prawdziwa historia K2” — w tekstach tych ujawniono, że wspinacze spierali się z kierownikiem wyprawy, jeśli chodzi o strategię stosowaną na górze. Młody Walter Bonatti rozbudził spore zainteresowanie mediów. W wywiadzie, który ukazał się na łamach „Settegiorni” i został opatrzony tytułem „Noc 20 lipca, kiedy wspinacze sprzeciwili się Desiowi”, Bonatti ujawnił, że decyzja o tym, by atakować szczyt, została podjęta przez wspinaczy bez aprobaty ze strony kierownika^[9].

W grudniu dziennikarz Fulvio Campiotti uprzedził wszystkich rywali, wydając swoją książkę *K2*, długi i szczegółowy raport opisujący wyprawę z 1954 r. oraz historię góry. Ogólny wydźwięk dzieła był bardzo pozytywny, ale Campiotti nie bał się krytykować przywództwa Desia. Wspomniana książka zawierała długi wywiad z Riccardem Cassinem, który bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że nadal jest rozgoryczony z powodu dyskusyjnego wykluczenia go z ekspedycji „z powodów zdrowotnych”; uważał, że został odrzucony, ponieważ Desio nie chciał się dzielić chwałą z kimś, kto był zaledwie „liderem grupy wspinaczy”.

Ardito Desio był zajęty pracami nad własną książką i obowiązkami uniwersyteckimi, więc nie potraktował tych zarzutów zbyt poważnie, ale oprócz dyskusji rozgrywających się na forum publicznym, gdzieś za kulisami rozpoczął się

również pierwszy z szeregu procesów sądowych, który mógł mieć potencjalnie dużo poważniejsze konsekwencje.

Sprawa dotyczyła sporu, który zaczął się pięć miesięcy wcześniej w Karakorum, gdy Desio prosto z bazy pod K2 dotarł do Askole. Ekspedycja wspinaczkowa dobiegła końca, a zespół wspinaczkowy zmierzał do Włoch, lecz kierownik wyprawy i jego naukowcy wciąż mieli przed sobą mnóstwo pracy. Desio spodziewał się znaleźć tam zapas filmu 16 mm, który pozwoliłby uwiecznić ich działalność. Takie nagrania nie tylko byłyby wartościową dokumentacją ich wysiłków, ale pozwoliłyby również włączyć ten aspekt całej przygody związanej z K2 do oficjalnego filmu dokumentalnego na temat ekspedycji. Jedyne problem polegał na tym, że kierownik wyprawy zamiast dużego składu nienaświetlonej taśmy filmowej znalazł wyłącznie puste pudło.

Desio był wściekły i natychmiast uznał, że winę musi ponosić Mario Fantin, kamerzysta wyprawy. Obaj panowie nigdy nie przypadli sobie do gustu i w trakcie całej ekspedycji nieustannie się kłócili. Fantin irytował się z powodu apodyktycznych zachowań Desia i często odczuwał frustrację związaną z tym, że kierownik nie pozwalał mu wspiąć się do wyżej położonych obozów. Desio uważał z kolei Fantina za kolejną osobę marnującą jego cenne zasoby i nie chciał, by kamerzysta zbytnio utrudniał główne działania związane ze wspinaniem. Był to klasyczny konflikt między kierownikiem wyprawy a osobą filmującą działalność ekspedycji, jednak to, co wydarzyło się później, wcale nie było już typowe.

Jeśli chodzi o Desia, brakujące taśmy filmowe były kroplą, która przepełniła czarę; 27 sierpnia wysłał do CAI napisany błyskawicznie list, w którym domagał się, by od tego momentu Fantin był traktowany jako osoba, która nie uczestniczyła w ekspedycji; kamerzysta miał również zostać wykluczony z wszelkich oficjalnych uroczystości i przyjęć. To były mocne słowa napisane przez człowieka, który najwyraźniej był bardzo poirytowany, ale w grę wchodziły dwa problemy. Po pierwsze, ani CAI, ani członkowie zespołu wspinaczkowego nie chcieli się

zastosować do tej prośby i dbali o to, by Fantin uczestniczył we wszystkich uroczystych fetach. Był popularną postacią, a po spędzeniu z nim tylu tygodni na K2 nikt nie chciał odbierać mu jego udziału w chwale otaczającej uczestników ekspedycji. Drugim — i poważniejszym — problemem Desia było to, że nie miał racji^[10].

W istocie brakujące taśmy filmowe zostały zabrane przez jednego z naukowców Desia, Bruna Zanettina. Gdy tylko uświadomił on sobie swój błąd, napisał przeprosiny skierowane do obu zainteresowanych. Desio — z powodów, które były znane tylko jemu samemu — odmawiał jednak wycofania swoich oskarżeń, więc Fantin pozwał go o zniesławienie, deklarując na łamach lokalnej bolońskiej gazety, że „honor jest ważniejszy niż jakikolwiek szczyt”^[11].

Gdy prawnik Fantina podejmował działania prowadzące do rozpoczęcia procesu, pomiędzy Desiem a CAI narastał dużo poważniejszy konflikt dotyczący finansów wyprawy. Kiedy wiosną 1954 r. upadł poprzedni rząd, a grant ze strony głównego sponsora ekspedycji, Narodowego Ośrodka Badawczego, stanął pod znakiem zapytania, CAI wkroczył do akcji i zaciągnął ogromny kredyt, którego spłatę gwarantowało 23 członków zrzeszenia. Trudno się dziwić, że byli oni bardzo zadowoleni, gdy w listopadzie 1954 r. nowy włoski parlament uchwalił przyznanie z mocą wsteczną grantu opiewającego na 50 milionów lirów.

Aby klub mógł otrzymać te pieniądze, musiał dostarczyć szczegółowe rozliczenia — Ardito Desio nie przesłał jednak od razu potrzebnych dokumentów. Ostatecznie po wielu przykrych przepychankach rachunki wreszcie się pojawiły, lecz opiewały one na niewiele ponad połowę grantu. CAI stał na stanowisku, że reszta pieniędzy powinna zostać użyta na spłacenie innych długów zaciągniętych w związku z ekspedycją na K2. Wszelkie nadwyżki mogłyby zostać wykorzystane na przyszłe wyprawy organizowane przez klub.

Desio postrzegał jednak sytuację zupełnie inaczej, a w sytuacji, w której gra toczyła się o 23 miliony lirów, był gotów na długą walkę. Utrzymywał, że wszystkie te środki powinny być też dostępne dla wypraw geograficznych i naukowych. Gdy latem 1955 r. zorganizował drugą, czysto naukową ekspedycję działającą w Karakorum, zakładał, że zostanie ona opłacona z pierwszego grantu. Władze CAI nie zgodziły się na takie rozwiązanie; w ich ślady poszedł również Narodowy Ośrodek Badawczy, a Desio musiał znaleźć inne źródło finansowania.

Na drugim planie za wszystkimi tymi drobiazgowymi utarczkami dotyczącymi finansów toczyła się walka o spuściznę po wyprawie. Gdy władze CAI postanowiły rozwiązać komitet powołany do życia podczas organizowania ekspedycji, Desio zareagował rezygnacją z członkostwa w radzie klubu. Kiedy w czasopiśmie klubowym ukazał się długi artykuł na temat problemów z kierownikiem wyprawy z 1954 r., bohater tego tekstu odpowiedział bardzo szczegółową repliką, po czym dolewając oliwy do ognia, wydał krótką książkę, w której utrzymywał, że doświadczył ze strony klubu niesprawiedliwego traktowania i podobnie jak król Lear może powiedzieć: „jam pokrzywdzony więcej niż krzywdziciel”^[12].

Z perspektywy Desia sytuacja wyglądała tak, że zainicjował wyprawę, troszczył się o to, by doszła do skutku, a następnie doprowadził ją do punktu kulminacyjnego w postaci sukcesu. Jakby tego było mało, zgodził się przekazać na jej finansowanie wszystkie dochody ze swojej oficjalnej książki opisującej losy ekspedycji oraz wszelkich artykułów na temat K2. Czyż jego krytycy nie byli zatem potwornymi niewdzięcznikami? Władze klubu zapatrywały się na całą sytuację inaczej. W coraz większym stopniu irytowało je to, co uważały za arogancję Desia oraz spoglądanie przez niego z góry na zespół wspinaczkowy. W tym momencie kierownictwo CAI miało już dosyć. Opublikowało listy niezadowolonych członków zespołu skarżących się na protekcyjne i nieprzyjazne zachowanie

Desia podczas wyprawy, a do tego odmawiało pójścia na ustępstwa w kwestiach finansowych.

Jak gdyby tego było mało, latem 1955 r. w prasie rozpoczął się kolejny, zdecydowanie bardziej jawny spór, którego stronami byli Achille Compagnoni oraz producenci filmu z wyprawy, *Italia K2* — CAI i niezależny reżyser Marcello Baldi.

Po długim okresie spędzonym jesienią 1954 r. w szpitalu, Compagnoni wrócił do domu w Breuil pełen obaw dotyczących tego, jak będzie wyglądać jego przyszłość. Jego ręk z pewnością nie można było nazwać „wyleczonymi”, a on sam czuł się bardzo osłabiony. Wyraźnie było widać, że upłynie wiele miesięcy — o ile nie lat — zanim zdoła wrócić do zawodu przewodnika górskiego, więc potrzebował znaleźć jakieś źródło utrzymania. Władze CAI nie przyrykały oczu na jego problemy — przyznały mu niewielką pensję wynoszącą 100 tysięcy lirów miesięcznie i wsparły kampanię, która miała zapewnić państwowe zasiłki dwóm zdobywcom szczytu oraz rodzinie Maria Puchoza.

Compagnoni zarobił trochę pieniędzy na reklamach, a oprócz tego podobnie jak wszyscy członkowie zespołu otrzymał za darmo Fiata 500 Topolino, gdy CAI zawarł umowę z producentem pojazdu cieszącego się we Włoszech ogromną popularnością. Kilkaset tysięcy lirów z reklam i darmowy samochód nie były jednak w stanie zrekompensować Compagnoniemu utraty dwóch palców. Gdy po kilku tygodniach od wprowadzenia na krajowe ekrany film o K2 zaczął przynosić twórcom mnóstwo pieniędzy, Compagnoni poprosił o przyznanie mu udziału w zyskach. Jak wspominał w licznych wywiadach, byłoby to całkiem uczciwe postępowanie — pomijając wszystko inne, w imię rejestracji na szczycie góry materiału filmowego stracił część dwóch palców.

Prasa okazywała Compagnoniemu wiele współczucia. Był popularną i charyzmatyczną postacią, a chociaż jego propozycja była zaskakująca, nie wydawała się całkowicie pozbawiona sensu. Poza tym, jak dobrze wie każdy wydawca działający na rynku prasowym, spory dobrze się sprzedają.

Nieco wcześniej gazety były wypełnione nagłówkami obwieszczającymi wspaniałe narodowe zwycięstwo; teraz dziennikarze z upodobaniem opisywali w najdrobniejszych szczegółach właśnie będące następstwem tamtych wydarzeń.

K2 nie był już „kwiatem w butonierce każdego Włocha”. W artykule zatytułowanym „Miliony zarobione dzięki K2” popularny tygodnik „Epoca” donosił:

Czas kwiatów, flag i przemów już minął. Teraz najważniejsza jest odpowiedź na pytanie, co należy zrobić z łupami — w jaki sposób powinny one zostać rozdzielone, zwrócone i przyporządkowane różnym organizacjom oraz osobom, które roszczą sobie do nich prawa^[13].

W artykule można było przeczytać, że w ciągu pierwszych trzech miesięcy, które upłynęły od premiery, film przedstawiający losy wyprawy zarobił od 200 do 220 milionów lirów. Po tym, jak właściciele kin i dystrybutorzy odliczyli od tej kwoty to, co im się należało, spore zyski zostały podzielone między Marcella Baldiego, producenta filmu, oraz CAI. Czyż nie byłoby jednak sprawiedliwie, gdyby część pieniędzy trafiła do Compagnoniego i innych wspinaczy?

Władze CAI nie zgodziły się z tym tokiem rozumowania. Przede wszystkim podpisały umowę z producentem, a teraz czuły się zobowiązane prawnie i moralnie do szanowania tego dokumentu. Marcello Baldi nie pojechał na K2, ale zainwestował w tę inicjatywę własne pieniądze, biorąc na siebie ogromne ryzyko finansowe. Gdyby włoski zespół działający na górze w 1954 r. poniósł porażkę, film mógł się okazać kompletną klapą, a cały projekt przyniósłby Baldiemu wyłącznie straty. Co więcej, kilka miesięcy wcześniej Compagnoni — podobnie zresztą, jak wszyscy uczestnicy wyprawy — podpisał deklarację, w której jasno stwierdzał, że nie będzie się domagał od organizatorów wyprawy jakiegokolwiek finansowej rekompensaty. Żaden z pozostałych wspinaczy nie popierał jego roszczeń; nie robił tego również jego partner z zespołu szczytowego, Lino Lacedelli.

Lino starał się nie zwracać na siebie uwagi. Po wyprawie wrócił do domu w miejscowości Cortina d'Ampezzo, udzielał bardzo niewielu wywiadów i dawał jasno do zrozumienia, że nie ma czasu dla prasy. We wrześniu 1954 r., zaledwie kilka dni po tym, jak wrócił z Pakistanu, w jednym z tygodników ukazał się artykuł zatytułowany: „Jak Compagnoni zaciągnął Lacedellego na szczyt”^[14]. Nie udało się bezpośrednio zidentyfikować źródła tej historii, ale ponieważ tekst bazował przede wszystkim na wywiadzie z Compagnonim, pojawiły się domysły, że ta opowieść wyszła właśnie od niego (lub przynajmniej od któregoś z jego przyjaciół). Tego samego dnia, w którym opublikowano ten materiał, Compagnoni zdementował te informacje, zaprzeczając temu, by kiedykolwiek powiedział coś takiego, lecz cała ta historia wywołała ogromne oburzenie w rodzinnym mieście Lacedellego i sprawiła, że Lino zaczął nieufnie spoglądać na dziennikarzy — oraz na swojego partnera z zespołu szczytowego.

Gdy jesienią 1955 r. lokalna gazeta skontaktowała się z Linem i zapytała go, co sądzi o roszczeniach Compagnoniego, który domagał się przekazania mu części zysków, jakie przyniósł film, Lacedelli udzielił szczerzej, choć powściągliwej odpowiedzi:

Nie podzielam myśli i działań Compagnoniego... Nie mam nic więcej do powiedzenia. Proszę nie zadawać mi dalszych pytań, mam już dosyć sporów^[15].

W czasie, gdy najnowsza debata dotycząca wyprawy na K2 była w początkowej fazie, Desio przebywał poza terytorium Włoch. Po powrocie do kraju stanął jednak po stronie Compagnoniego, mówiąc dziennikarzom, że jego czołowy wspinacz „walczył jak lew i stracił możliwość korzystania z dwóch palców u jednej z dłoni, by wraz z Lacedellim przynieść na dół dowody zwycięstwa”^[16]. Desio utrzymywał, że nie ma żadnego osobistego interesu w popieraniu roszczeń Compagnoniego; twierdził jednak, iż zapewnienie liderowi

zespołu wspinaczy udziału w zyskach filmu jest jedynym uczciwym wyjściem z sytuacji.

Ponieważ cała sprawa zmierzała nieuchronnie w kierunku sali sądowej, Lacedelli wydał wraz z pozostałymi 10 wspinaczami z wyprawy na K2 publiczne oświadczenie, w którym potępiał działania swojego byłego partnera z zespołu. Compagnoni nie przejął się tym faktem, odpowiadając prowokująco:

Zostawili mnie samego. To nie pierwszy raz, kiedy dochodzi do czegoś takiego, ale dam sobie radę^[17].

W ciągu kolejnych trzech lat roszczenia Compagnoniego były rozpatrywane przez sąd, aż wreszcie zostały odrzucone latem 1958 r. Sędzia stwierdził, że chociaż Compagnoni „może się domagać chwały związanej ze zdobyciem szczytu, nie ma prawa żądać wynagrodzenia jako jeden z autorów *Italia K2*”^[18]. Compagnoni odwołał się od wyroku, ale apelacja zakończyła się jego przegraną.

Ardito Desio również przegrał wszystkie swoje bitwy dotyczące finansowania wyprawy i został nawet zmuszony do rozstania się z nagrodą Caravella d'Oro, której strzegł zazdrośnie od momentu przyznania mu jej w październiku 1954 r. W 1957 r. trofeum doczekało się symbolicznych przenosin z Muzeum Nauki i Technologii w Mediolanie do Muzeum Wspinaczki CAI w Turynie.

W 1964 r., po niemal 10 latach kłótni, sporów sądowych i sensacyjnych nagłówków prasowych, wszyscy przygotowywali się do obchodów dziesięciolecia tej historycznej wspinaczki. Jeśli wziąć pod uwagę to, jak dużą ilością błota zdążyły się już wzajemnie obrzucić osoby biorące udział w tamtych wydarzeniach, łatwo można było zapomnieć, jak wielkim osiągnięciem było pierwsze wejście na K2. Pojawiły się nawet plany, by sprowadzić z Pakistanu Ata-Ullaha i zorganizować serię uroczystości w Mediolanie.

Gdy wydawało się już, że znów uda się wyciągnąć kwiaty i flagi, a także przygotować kolejną porcję pompatycznych

przemówień, wybuchł następny spór, przy którym wcześniejsze dysputy miały się okazać zaledwie mało znaczącym wstępem. Podczas gdy wcześniejsze kłótnie dotyczyły zasadniczo kwestii ubocznych, finansowania i działalności filmowej, przedmiotem ostatniego konfliktu było samo wejście na szczyt i to, w jakich dokładnie okolicznościach do niego doszło. Chociaż nikt nie zdawał sobie wówczas z tego sprawy, ten spór miał się ciągnąć przez 40 pełnych goryczy lat; miał też doprowadzić do całkowitej zmiany spojrzenia na włoską wyprawę.

Rozdział 12

Zasadnicze kłamstwo?

Wielu włoskich pisarzy wspominało o tym, że ich kraj skrywa mnóstwo sprzeczności. Pod względem krajobrazu jest jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie, ale dominuje też w statystykach dotyczących katastrof naturalnych. Dał światu artystyczne cuda renesansu oraz pizzę; jest zamieszkiwany przez najbardziej ciepłych i przyjaznych ludzi, jakich można sobie wyobrazić, a z drugiej strony w żadnym innym zachodnioeuropejskim kraju zorganizowana przestępczość nie jest rozwinięta na tak dużą skalę. Włochy są państwem, w którym wendety mogą się ciągnąć przez stulecia, a procesy sądowe przez dekady; często dochodzi tam do spisków i tuszowania faktów, a wielu ludzi, jak ujął to Machiavelli, woli „postrzegać rzeczy nie takimi, jakimi naprawdę są, ale takimi, jakimi chcieliby je widzieć”. To idealna sceneria dla długiego i zażartego sporu dotyczącego pierwszego wejścia na K2 — górę, która jest tak samo piękna, jak i przerażająca.

Postacią znajdującą się w centrum konfliktu, który ciągnie się dłużej niż wszystkie inne dyskusje, jakie rozgorzały po wyprawie z 1954 r., jest Walter Bonatti — człowiek uważany za jednego z najwybitniejszych wspinaczy XX w. (niektórzy twierdzą nawet, że zasługuje na miano najwybitniejszego). Bonatti osiągnął jako alpinista i podróżnik wiele rzeczy, ale w ciągu ostatnich 30 lat swojego życia poświęcił mnóstwo energii na spory dotyczące K2, czyli góry, której nigdy nie zdobył. Napisał trzy książki i udzielił bardzo wielu wywiadów, by udowodnić, że „oficjalne” sprawozdanie Arditia Desia z pierwszego wejścia na szczyt K2 w zasadniczy sposób rozmija się z prawdą. Dziś to właśnie przebieg wydarzeń przedstawiony

przez Bonattiego stał się nową „oficjalną” wersją — lub takie przynajmniej stanowisko zajmuje CAI i większość historyków — natomiast on sam jest otaczany w środowisku wspinaczkowym ogromnym szacunkiem. To, czy Bonatti miał rację, wciąż nie jest jednak takie jasne.

Walter Bonatti urodził się w 1930 r. w Bergamo w północnych Włoszech. Jego ojciec, Angelo, był drobnym przedsiębiorcą; matka, Tina, zajmowała się domem. Rodzina Bonattich nie miała łatwego życia. Gdy ojciec Waltera odmówił wstąpienia do partii faszystowskiej, stracił pracę i dom. Matka chłopca musiała opuścić Bergamo w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy. Czteroletni Walter wychowywał się w tej sytuacji u różnych krewnych. Wyrósł na samotnego chłopca, który jako nastolatek szukał schronienia w wyimaginowanym świecie wypraw i egzotycznych podróży, inspirując się książkami Jacka Londona, Arthura Conana Doyle’a i Daniela Defoe.

Na początku lat 50. Bonatti zdobył wykształcenie księgowego, ale jego pasją było coś zupełnie innego — w wieku 23 lat rzucił pracę, by skupić się na wspinaczce i prowadzeniu schroniska w górach. W 1954 r. był najmłodszym członkiem zespołu działającego na K2, lecz cieszył się już reputacją zręcznego i odważnego wspinacza. Gdy siedem lat później opublikował swoją pierwszą autobiografię, *Le mie montagne* (wydaną w Polsce jako *Moje góry*), ta renoma została umocniona szeregiem niezwykłych dokonań — solowym przejściem niemal pionowego południowo-zachodniego filara Aiguille du Dru w masywie Mont Blanc, kilkoma pierwszymi przejściami w Patagonii w Ameryce Południowej, a także pierwszym wejściem na mierzący 7925 m n.p.m. Gaszerbrum IV. Bonatti zdobył ten ostatni szczyt bez użycia dodatkowego tlenu, gdy w 1958 r. wrócił w Karakorum. W 1961 r. był gotów, żeby opowiedzieć historię tych przejść; chciał też po raz pierwszy podzielić się ze światem tym, co *naprawdę* wydarzyło się na K2.

Bonatti zawsze uważał, że jego rola została źle zrozumiana i była umniejszana. Utrzymywał, że bez zestawów tlenowych, które wynieśli wraz z Hunzą Amirem Mahdim, Compagnoni i Lacedelli nie dotarliby na szczyt. Film *Italia K2* przedstawiający losy ekspedycji początkowo nie zawierał jednak żadnej wzmianki o wysiłkach zespołu wsparcia ani o koszmarnej nocy, którą Bonatti i Mahdi spędzili na wysokości 8000 m n.p.m. Dopiero wtedy, gdy Bonatti zaprotestował, twórcy filmu dodali kilka linijek komentarza, zwracając uwagę na nieplanowany biwak na dużej wysokości. Również w „oficjalnej” książce Desia, *La Conquista del K2*, te wydarzenia zostały opisane bardzo pobieżnie. W rozdziale poświęconym atakowi na szczyt i bazującym na wywiadach z Compagnonim oraz Lacedellim o Bonattim i Mahdim prawie w ogóle nie było mowy.

Opowieść przedstawiona w *Moich górach* była zupełnie inna. Zawierała bardzo szczegółowe i dokładne informacje o czasie i wysokości, których albo brakowało w oficjalnym raporcie, albo też zostały zdaniem zdobywcy Gaszerbrumu IV podane w nieprecyzyjny sposób. Bonatti bardzo krytycznie wyrażał się o zespole szczytowym, ukazując w szczególnie niekorzystnym świetle Compagnoniego. Zdaniem autora *Moich gór*, na dwie noce przed atakiem na wierzchołek K2 Compagnoni był tak wyczerpany, że wydawało się, iż nie będzie w stanie kontynuować wspinaczki. Bonatti chciał zaproponować przejęcie jego roli w zespole szczytowym, ale powstrzymał się od wysunięcia tej sugestii, ponieważ obawiał się, że Compagnoni może nie mieć na tyle dużo siły, by przynieść zestawy tlenowe znajdujące się na zboczu góry powyżej obozu siódmego, a to oznaczałoby, iż nikt nie zdołałby dotrzeć na szczyt.

Większa część relacji Bonattiego skupiała się na dramatycznych wydarzeniach z 30 lipca, czyli dnia poprzedzającego atak szczytowy, kiedy to wraz z Mahdim starali się wynieść zestawy tlenowe do obozu dziewiątego i spędzili ostatecznie przeraźliwie mroźną noc na wysokości 8000 m n.p.m., biwakując pod gołym niebem, chronieni przed

żywiołami wyłącznie przez odzież, którą mieli na sobie. Wyraźnie przypominając sobie przenikliwy ziąb, Bonatti oskarżył Compagnoniego i Lacedellego o świadome ustawienie namiotu w miejscu, które z jednej strony znajdowało się dużo wyżej, niż wcześniej uzgodnili, a z drugiej strony było nieosiągalne dla zespołu wsparcia. Autor *Moich gór* czuł się zdradzony i porzucony, natomiast Compagnoni i Lacedelli ani w trakcie publicznych wystąpień, ani podczas prywatnych rozmów nie przeprosili za swoje zachowanie i nie podziękowali mu za podjęte ryzyko.

Moje góry spotkały się z ciepłym przyjęciem, lecz rewelacje autora oraz jego krytyka pod adresem Compagnoniego nie wzbudziły szczególnego poruszenia. Chociaż Bonatti był bohaterem opinii publicznej i sporej części prasy, we włoskim środowisku wspinaczkowym pozostawał zagadkową postacią — fantastycznym wspinaczem, ale także samotnikiem. W swojej książce *Karakoram*, opowieści o włoskiej wyprawie działającej na Gaszerbrumie IV, słynny włoski pisarz Fosco Maraini starał się opisać złożony charakter Bonattiego:

Zamknięta i skomplikowana księga. Gdzieś w zakamarkach swojej osobowości skrywał przerażającą, nadludzką siłę. Czasami budziła ona niemalże lęk również w nim samym. Mógł być twoim kumplem przez wiele tygodni — miałeś wtedy do czynienia z towarzyszem, który nieustannie okazywał ci życzliwość, a czasami również niezwykle troskę. Zdarzały się jednak i takie sytuacje, w których między nim a całym światem wyrastała nagle kurtyna ze stali^[1].

Początkowo Compagnoni nie komentował publicznie zarzutów Bonattiego. Wciąż był niezwykle popularną postacią i regularnie pojawiał się we włoskiej prasie w towarzystwie gwiazd filmowych oraz dygnitarzy, którzy odwiedzali go w Cervinii. Kłótnie na temat podziału dochodów z filmu dokumentalnego przedstawiającego wyprawę na K2 zostały pущzone w niepamięć, a Compagnoniemu dobrze się

powodziło. Miał wielu klientów jako przewodnik, prowadził cieszący się popularnością hotel, a oprócz tego robił karierę w świecie filmu — miał już na swoim koncie dwie drobne role we włoskich filmach fabularnych. W 1958 r. napisał na podstawie swojego pamiętnika z wyprawy własną książkę, *Uomini sul K2*. Publikacja została dobrze przyjęta przez krytyków i zdobyła we Włoszech nagrodę w kategorii literatury górskiej.

W lipcu 1964 r., tuż przed obchodami dziesiątej rocznicy zdobycia K2, na łamach turyńskiej „Gazzetta del Popolo” ukazał się artykuł bazujący na wywiadach, które znany dziennikarz zajmujący się tematyką wspinaczkową, Nino Giglio, przeprowadził z Compagnonim i Lacedellim. Rzeczony tekst był promowany jako odpowiedź obu wspinaczy na insynuacje Bonattiego zawarte w *Moich górach* i z pewnością nie można go było uznać za przykład owijania w bawełnę.

Giglio napisał, że Walter Bonatti wcale nie ryzykował życia w imię dobra wyprawy; mało tego, niewiele brakowało, by przez jego samolubne działania zakończyła się ona katastrofą. Według nowej, sensacyjnej wersji całej historii, popartej cytatami z wypowiedzi Compagnoniego, Bonatti knuł intrygę, która miała się zakończyć samowolnym atakiem na szczyt w towarzystwie Mahdiego. Gdy plan spalił na panewce, włoski wspinacz miał porzucić wiernego towarzysza i ruszyć błyskawicznie w dół. Co więcej, Giglio sugerował, że podczas biwaku Bonatti zużył część tlenu Compagnoniego oraz Lacedellego (ta ilość miała rzekomo odpowiadać godzinie korzystania z zestawów) i to właśnie dlatego gaz wyczerpał się tuż przed szczytem.

Tydzień później ukazał się drugi artykuł, w którym Giglio donosił, że Mohammad Ata-Ullah, który niedawno przybył do Włoch, potwierdził, iż Bonatti starał się przekonać Mahdiego do przeprowadzenia bez wymaganej zgody ataku szczytowego mającego zapewnić im chwałę. Pomimo prowokacyjnej treści artykuł kończył się cytatem wypowiedzi Compagnoniego, który proponował „zakopanie topora wojennego”, o ile Bonatti

przedstawi „szczerze i uczciwe wyjaśnienie” tego, co się wydarzyło.

Jeśli Compagnoni liczył na to, że po artykułach Giglia Bonatti naprawdę może wybaczyć i o wszystkim zapomnieć, bardzo się mylił. Bonatti nie miał zamiaru zakopywać topora wojennego — zajął się raczej jego ostrzeniem. Kilka miesięcy później złożył pozew o zniesławienie przeciwko dziennikarzowi i jego gazecie. Gdy zbierano zeznania oraz dowody, Bonatti nie rezygnował ze wspinaczki i dokonał w 1965 r. czegoś, co było uważane za niemożliwe: przeszedł północną ścianę Matterhornu. Zimą. Samotnie. Walter Bonatti nie był człowiekiem, który łatwo się poddaje, a to, że dokonał tak wyjątkowego wyczynu na ulubionej górze Compagnoniego, widocznej z okien jego hotelu w Cervinii, tylko dodawało smaczku całej historii.

Gdy sprawa trafiła wreszcie na wokandę w zimie 1966 r., Nino Giglio bronił się, utrzymując, że powtarzał tylko to, co Bonatti napisał w swojej książce, i to, co powiedział mu Compagnoni. W *Moich górach* Bonatti przyznał, że w pewnym momencie zasugerował Mahdiemu, iż ma on szansę zostać członkiem zespołu szczytowego — powiedział to, by przekonać go do pomocy w wyniesieniu zestawów tlenowych do znajdujących się wyżej Compagnoniego i Lacedellego.

Paradoksalnie Bonatti napisał też w *Moich górach* coś, co stało się podstawą oskarżenia, które uznał za najbardziej obraźliwe — zarzutów dotyczących tego, że zużył część tlenu Compagnoniego i Lacedellego. We fragmencie opisującym biwak pod gołym niebem Bonatti wspominał o tym, że marzył o zrobieniu czegoś takiego:

Wystarczyło odkręcić zawór, i nieważne, że nie mieliśmy masek [tlenowych] oraz reduktorów, których tak czy owak nie mogliśmy mieć, ponieważ znajdowały się one w plecakach Lacedellego i Compagnoniego. Po odkręceniu zaworu rozrzedzone powietrze wokół nas zostałoby nagle wzbogacone cennym gazem, a przez kilka minut (dopóki butle by się nie opróżniły) moglibyśmy się poczuć jak w domu. Oczywiście tylko ironizowałem. Nie było jednak

możliwości, by mojej uwadze umknęło to, na jak cienkim włosku wisiąło powodzenie całej wyprawy^[2].

Użyte tam sformułowania wskazywały na to, że autor przywoływał jedynie coś, co było wytworem jego wyobraźni, a nie autentycznym wydarzeniem, ale ten opis był bez wątpienia podstawą insynuacji Giglia. Najpoważniejszy zarzut — to, że Bonatti porzucił rano Mahdiego po nocy spędzonej pod gołym niebem — był po prostu niezgodny z prawdą; przeczyły temu zarówno pamiętnik Pina Gallottiego, jednego z pozostałych dwóch włoskich wspinaczy przebywających wówczas w obozie ósmym, jak i pismo podpisane przez Compagnoniego i Bonattiego na prośbę ambasadora Włoch w Karaczi we wrześniu 1954 r.

Po zapoznaniu się ze wszystkimi dowodami sędzia wydał wyrok korzystny dla Bonattiego. Założył, że chociaż Bonatti mógł rozbudzić w Mahdim nadzieję na to, że w zamian za pomoc w niesieniu na górę tlenu Hunza mógłby zostać włączony do zespołu uczestniczącego w ataku szczytowym, Włoch nie miał tak naprawdę zamiaru podejmować niezgodnionej z nikim próby zdobywania szczytu. Starał się po prostu skłonić tragarza do wykonania uciążliwej pracy. Jeśli chodzi o cenny gaz, którego rzekomo brakowało, sędzia przyznał, że odkręcanie zaworów butli przez kogoś, kto nie posiadał maski tlenowej, byłoby bezcelowe. Istniały pewne niewyjaśnione kwestie — bardzo dezorientujące zeznanie Mahdiego, które zostało złożone w Pakistanie i częściowo wpisywało się w zarzuty Giglia, a także zaskakujące oświadczenia Ata-Ullaha wygłoszone, gdy przyjechał on do Włoch na obchody dziesiątej rocznicy zdobycia K2 — ale nie było wątpliwości, że trzy zarzuty kierowane przeciwko Bonattiemu były bezpodstawne i oszczercze. „Gazzetta del Popolo” została zmuszona do zdementowania wcześniejszych rewelacji, a także wypłaty odszkodowania, które Bonatti przekazał lokalnemu sierocińcowi.

Pomimo wygranej w sądzie, w połowie lat 60. Bonatti był bardzo rozczarowany światem wspinaczkowym. W 1965 r. opublikował dramatyczne oświadczenie: po niemal 15-letnim okresie, kiedy jego życie zawodowe i prywatne było zdominowane przez wspinanie, miał zamiar rozpocząć nową karierę — planował podjąć współpracę z magazynem „Epoca” jako fotograf i reporter działający w terenie. Przez następne dwie dekady szukał nowych, przede wszystkim horyzontalnych przygód na Antarktydzie, w Afryce i w wielu innych dzikich zakątkach świata.

Bonatti nigdy nie zapomniał jednak o wydarzeniach z 1954 r., a w miarę upływu lat coraz bardziej irytował go sposób, w jaki przedstawiano we Włoszech historię zdobycia K2. Niezależnie od tego, czy w grę wchodziły mapy, książki czy też programy telewizyjne, zawsze wydawało się, że zawierają one te same stare nieścisłości, a jego ówczesnym staraniom poświęca się bardzo niewiele uwagi. Chociaż Bonatti wygrał sprawę o zniesławienie, Compagnoni nadal był uważany za wielkiego bohatera K2, natomiast autor *Moich gór* był ignorowany.

W 1985 r., wkrótce po obchodach trzydziestej rocznicy zdobycia góry, Bonatti przeszedł zatem do ofensywy i wydał krótką książkę *Processo al K2*. Pierwsza połowa tej publikacji przedstawiała ponownie sprawę o zniesławienie, przywołując pozew oraz materiały związane z procesem. Druga część książki była systematycznym obalaniem „oficjalnych” historii spisanych przez Desia i Compagnoniego. Werdykt Bonattiego był potępiający, a użyty przez niego język — bardzo kategoryczny:

miejsca, wysokości, godziny oraz zużycie tlenu opisywane przez zespół szczytowy (a potem przytaczane w bezkrytyczny sposób i bez jakiegokolwiek weryfikacji przez Desia, który był oficjalnym rzecznikiem wprawy) rozmijają się z prawdą^[3].

To były mocne słowa, ale Bonatti na tym nie poprzestał. Przeprowadził szczegółową analizę dnia, w którym doszło do ataku szczytowego, a następnie przedstawił precyzyjny harmonogram wydarzeń. Po zestawieniu ze sobą pojemności butli z tlenem używanych przez Compagnoniego i Lacedellego oraz tego, ile czasu zajęła im wspinaczka, Bonatti zaczął twierdzić, że historia o tym, iż tlen skończył im się poniżej wierzchołka, była rażąco nieprawdziwa — jak to ujął, były to „puste słowa i bujdy”. Wspinaczka trwała od dziewięciu i pół do dziesięciu godzin; łączna pojemność butli z tlenem pozwalała korzystać z tego gazu przez 10 godzin. To oznaczało, że tlenu musiało wystarczyć aż do samego szczytu.

To twierdzenie było dużo bardziej dramatyczne niż wszystkie wcześniejsze deklaracje Bonattiego; nie znalazło się ono również w *Moich górach* ani w zeznaniach związanych ze sprawą o zniesławienie z 1966 r. Wcześniej Bonatti starał się wyjaśnić nieścisłości dotyczące jego własnych przeżyć, lecz teraz przeszedł do ofensywy i zamierzał podważyć wiarygodność zarówno Desia, jak i Compagnoniego. Począwszy od pierwszego listu, który został wysłany do Włoch dwa dni po wejściu na szczyt, poprzez pierwsze artykuły prasowe, a skończywszy na książce opisującej losy wyprawy, chwila, w której skończył się tlen, była kluczowym elementem opowieści o zdobywaniu K2. Compagnoni szczegółowo opisywał ten moment w swojej książce *Uomini sul K2* i twierdził, że to zdarzenie miało miejsce na wysokości 8400 m n.p.m., ponad 200 metrów poniżej szczytu. Teraz Bonatti nazywał Compagnoniego i Lacedellego kłamcami; oskarżał też Desia o to, że dał się nabrać na ich fałszywą relację.

Książka Bonattiego przypominała granat ręczny, który w zamyśle autora miał wstrząsnąć wspinaczkowym establishmentem, lecz ładunek okazał się niewypałem. Włoska prasa wspominała o nowej książce, ale nikt nie chciał jej tak naprawdę traktować poważnie. Bonatti był głęboko rozczarowany, choć nie odczuwał szczególnego zaskoczenia. Pomimo całej swojej sławy pozostawał outsiderem; CAI

traktował go niczym utrapienie i nie miał zamiaru podważać mitu wielkiego, patriotycznego zwycięstwa nad K2.

To właśnie wtedy na pomoc Bonattiemu niespodziewanie przyszedł dziwny orędownik: Robert Marshall, australijski chirurg mieszkający w Melbourne. Marshall nie był wspinaczem, ale chętnie chodził po górach i z zapalem czytał literaturę wspinaczkową. Już wcześniej był zagorzałym wielbicielem Bonattiego, a gdy w jego ręce trafił egzemplarz *Processo al K2*, Marshall doszedł do wniosku, że wspinaczowi wyrządzono wielką krzywdę. Zaczął korespondować ze swoim bohaterem z Włoch, by ostatecznie napisać obszerny komentarz na temat całej tej historii.

Marshall był przekonany o prawdziwości dowodów przedstawionych przez Bonattiego, ale czuł, że w całej tej historii brakuje mu ważnej rzeczy: przyczyny pozwalającej wyjaśnić kłamstwa Compagnoniego i gotowość Desia do tego, by na nie przystać. Jaka była motywacja Compagnoniego i dlaczego Desio tak chętnie kupił jego historię?

Punkt wyjścia przyjęty przez Marshalla był prosty: Compagnoni żywił do Bonattiego urazę ze względu na umiejętności wspinaczkowe młodszego kolegi; zazdrościł mu też jego reputacji. Była to podstawowa przyczyna zarówno procesu o zniesławienie z 1964 r., jak i samolubnego zachowania Compagnoniego w nocy 30 lipca 1954 r. Założył obóz dziewiąty w niedostępnym miejscu, ponieważ obawiał się, że gdyby Bonatti dotarł do ich namiotu, następnego dnia wepchnąłby się do zespołu szczytowego i skradłby Compagnoniemu należną mu chwałę.

Pod jednym względem ten plan się sprawdził: Bonatti nie dotarł do obozu dziewiątego i nie przekroczył na K2 wysokości 8100 m n.p.m. Ostatecznie fortel Compagnoniego obrócił się jednak przeciwko niemu, ponieważ Bonatti i tragarz Mahdi 30 lipca nie zaczęli od razu schodzić, lecz spędzili noc na potwornym mrozie, co zakończyło się nieprzewidzianymi konsekwencjami. Bonatti wyszedł z tego cało i zdrowo, natomiast Mahdi nabawił się ciężkich odmrożeń.

Według teorii Marshalla, gdy kierujący wyprawą Ardito Desio dowiedział się o tych wydarzeniach i uszczerbku na zdrowiu, jakiego doznał Mahdi, zaczął się poważnie obawiać, że włoski zespół zostanie oskarżony o zaniedbania, co rzuciłoby cień na zwycięstwo odniesione na K2. Na dodatek Ata-Ullah, pakistański oficer łącznikowy, był tak zaszokowany odmrożeniami Mahdiego, że zdecydował się na konfrontację z Desiem i zażądał wyjaśnień dotyczących tego, co się wydarzyło: dlaczego Mahdiemu powiedziano, iż ma szansę zostać członkiem zespołu atakującego szczyt, i dlaczego zmuszono go potem do biwakowania pod gołym niebem?

Gdy Compagnoni dotarł do bazy i dowiedział się o oburzeniu Ata-Ullaha oraz obawach Desia, uświadomił sobie, że wina spadnie na niego, gdyż to on podjął decyzję o przesunięciu wyżej ostatniego obozu. W tej sytuacji zdaniem Marshalla podjął próbę przerwania na Waltera Bonattiego odpowiedzialności za odmrożenia, jakich doznał Mahdi. Postanowił trzymać się koncepcji, w myśl której Bonatti naprawdę miał zamiar samowolnie zaatakować szczyt; podążając tym tropem, Compagnoni obmyślił dwa wzajemnie wspierające się kłamstwa, które miały dowodzić egoizmu Bonattiego. Po pierwsze, powiedział Desiowi, że Bonatti przetrwał noc na górze bez uszczerbku na zdrowiu, gdyż wykorzystał część tlenu przeznaczonego dla zespołu szczytowego. Po drugie, Compagnoni zmyślił historię o tym, że w dniu ataku tlen skończył się szybciej, niż powinien — ta opowieść miała być dowodem na to, iż Bonatti wcześniejszej nocy zużył część gazu. Desio kupił kłamstwa Compagnoniego, gdyż mógł dzięki nim odeprzeć krytykę kierowaną pod adresem jego wspaniałego zespołu szczytowego; potem powiedział nawet włoskiemu ambasadorowi w Karaczi, że to Bonatti jest odpowiedzialny za odmrożenia Mahdiego.

To była skomplikowana teoria, ale z perspektywy Marshalla oferowała ona coś nowego i ważnego: powód uzasadniający kłamstwa Compagnoniego oraz wytłumaczenie współdziałania Desia. Obaj chcieli zachować twarz i uniknąć krytyki, więc

zrobili kozła ofiarnego z Bonattiego, najmłodszego członka zespołu. Marshall komentował później, że chociaż cała ta historia sprawiała wrażenie dziwacznej, była w istocie „przykładem typowego, włoskiego, makiawelicznego draństwa”^[4].

Bonatti wkrótce zaprzyjaźnił się z niezwykle Australijczykiem i zaproponował nawet, że dołączy jego komentarz do nowego wydania swojej książki o K2. Ostatecznie nigdy nie ukazało się ono drukiem, a wraz z upływem lat można było odnieść wrażenie, że cały spór wokół K2 odchodzi w zapomnienie. W 1993 r. Robert Marshall dokonał jednak czegoś, co uznał za sensacyjne odkrycie.

Przeglądając egzemplarz „The Mountain World”, szwajcarskiego czasopisma górskiego z 1955 r., natrafił na artykuł o K2 napisany przez Ardita Desia. Materiałowi towarzyszyła fotografia, która nie ukazała się w „oficjalnym sprawozdaniu” Desia, *La Conquista del K2*. Na zdjęciu widać było Compagnoniego na szczycie — wspinacz miał na twarzy maskę tlenową! O ile dźwiganie przez Compagnoniego i Lacedellego pustych zestawów tlenowych ważących po 18 kilogramów było postępowaniem, w które bardzo trudno było uwierzyć, o tyle myśl o tym, że wspinacze nadal używali masek, nawet po wyczerpaniu się gazu, była po prostu niewiarygodna. To był niezbity dowód na to, że Compagnoni kłamał. Marshall przyznawał, że nie było zdjęć ukazujących drugiego ze wspinaczy z maską na twarzy, ale na słynnej fotografii Lacedellego wykonanej na szczycie na brodzie Włocha wyraźnie widać było pierścień z lodu, co wskazywało na to, że dopiero co zdjął maskę.

Marshall napisał na temat tych fotografii artykuł, który w 1993 r. przetłumaczono na język włoski i opublikowano we Włoszech. Z perspektywy włoskiej prasy australijski chirurg był intrygującym głosem spoza środowiska; dzięki temu, że wcześniej nie brał udziału w sporach dotyczących K2, sprawiał wrażenie kogoś obiektywnego.

Artykuł Marshalla, opublikowany na rok przed czterdziestą rocznicą zdobycia K2, wzbudził ogromne zainteresowanie; władze CAI były raz za razem wzywane do tego, by przeprowadzić oficjalne dochodzenie i definitywnie zakończyć ten spór. Prezes klubu, Roberto De Martin, wydał oświadczenie, proponując „wysłuchanie Waltera Bonattiego”.

Do takiego spotkania nigdy jednak nie doszło, co wywołało jeszcze większą frustrację Bonattiego. W 1996 r. opublikował on drugą książkę na ten temat, *K2: Storia di un caso*, która zawierała artykuł Roberta Marshalla na temat fotografii ze szczytu oraz jego oryginalny komentarz dotyczący roli Desia w całym sporze. Książka znów wzbudziła spore zainteresowanie prasy, ale w ślad za nim nie poszły żadne konkretne działania ze strony CAI.

Bonatti nie miał zamiaru się poddać; z czasem stawał się coraz bardziej obrażony z powodu niesprawiedliwości, którą jego zdaniem mu wyrządzono. Gdy włoski rząd przyznał mu prestiżowy tytuł Kawalera Krzyża Wielkiego Orderu Zasług Republiki Włoskiej, zwrócił to odznaczenie, ponieważ został nim wyróżniony również Compagnoni. Bonatti powiedział Marshallowi, że z powodu rozczarowań związanych z K2 postanowił nie mieć dzieci, gdyż obawiał się, iż ich życie byłoby zbrukane kłamstwami opowiadanyymi na jego temat po wyprawie. Wspominał też dziennikarzom, że poprzez rozbicie ostatniego obozu na K2 poza zasięgiem zespołu wsparcia, Compagnoni i Lacedelli nie tylko go porzucili, ale również próbowali go zabić.

Nawet jeżeli establishment włoskiego świata wspinaczkowego nie traktował Bonattiego poważnie, sytuacja w innych krajach przedstawiała się zgoła inaczej. Robert Marshall przemawiał na różnych konferencjach i został tłumaczem nowego angielskiego wydania autobiografii Bonattiego *Moje góry*. W europejskich i amerykańskich czasopismach wspinaczkowych zaczęły się ukazywać artykuły pełne zrozumienia dla Bonattiego. W 2003 r. Włoch zwiększył presję, publikując trzecią książkę, *K2 — La Verità*. Zawierała

ona dziesiątki przychylnych artykułów z całego świata napisanych przez dziennikarzy i znawców tematu przekonanych o tym, że Bonatti ma rację.

Ostatecznie na początku 2004 r., po wielu dekadach ociągania się, władze CAI ogłosiły, że mają zamiar powołać komisję do zbadania tamtych wydarzeń. W skład zespołu miało wejść trzech wybitnych włoskich profesorów — *Tre Saggi*, Trzech Mędrców^[5]. Zapowiedziano, że zbadają oni wszelkie dostępne dowody, chociaż mieli nie przeprowadzać nowych przesłuchań.

Od tego momentu sprawy nabrały tempa. Trzej profesorowie opublikowali swój raport kilka miesięcy później, w kwietniu 2004 r. Zaaprobowali większość roszczeń Bonattiego i wezwali CAI do przygotowania zaktualizowanego raportu z wyprawy. Przypadek sprawił, że jakiś miesiąc później Lino Lacedelli przerwał swoje pięćdziesięcioletnie milczenie, publikując własną książkę, *K2: Il prezzo della Conquista*, której podstawą był cykl wywiadów przeprowadzonych przez dziennikarza i wspinacza, Guida Cenacchiego. Relacja z pierwszej ręki przedstawiana przez Lacedellego bardzo różniła się (podobnie jak książki Bonattiego) od oficjalnego sprawozdania z wyprawy. Lacedelli utrzymywał teraz, że w zasadzie zostało ono napisane przez Desia i Compagnoniego.

Lacedelli przedstawił Desia jako despotycznego tyrana, który nie miał kontaktu ze swoim zespołem, jeżeli nie liczyć Compagnoniego będącego pomagierem kierownika wyprawy. Jeśli chodzi o dni, w których miał miejsce atak szczytowy, Lacedelli zgodził się niemal ze wszystkimi twierdzeniami Bonattiego. Ujawnił też, że nie chciał rozbijać obozu dziewiątego tak wysoko i kłócił się z Compagnonim o jego lokalizację. Chociaż Lacedelli nie zdawał sobie wówczas z tego sprawy, teraz zgadzał się z tym, że Compagnoni mógł zmienić położenie obozu świadomie, by powstrzymać Bonattiego przed wzięciem udziału w ataku na szczyt. Z drugiej strony nadal utrzymywał, że tlen skończył się przed szczytem, choć miało się

to wydarzyć dużo bliżej wierzchołka niż w relacji Compagnoniego.

Jak gdyby tego wszystkiego było jeszcze mało, pod koniec 2004 r. Bonatti otrzymał list od dawnego kolegi z zespołu, Ericha Abrama, który dostarczył mu na pozór jednoznaczny dowód na to, co Bonatti nazwał *la menzogna di base* — zasadniczym kłamstwem — w kwestii tlenu. Abram, z zawodu inżynier, opiekował się w bazie butlami z tlenem; teraz napisał, że to on wybierał zbiorniki używane podczas ataku szczytowego. Ponieważ włoskie butle Dalmine miały problemy ze szczelnością, podczas przygotowywania sprzętu do ataku szczytowego Erich zdecydował się na sprawdzone niemieckie butle firmy Dräger. Nie był to jednak koniec całej historii. Abram po raz pierwszy ujawnił, że w niemieckich butlach specjalnie podwyższano ciśnienie, by zapewniały one możliwość korzystania z tlenu przez 12 godzin — o całe dwie i pół godziny dłużej, niż trwała wspinaczka Compagnoniego i Lacedellego na szczyt. Robert Marshall tryumfalnie napisał w swojej ostatniej książce, *K2: Lies and Treachery*:

Wygląda zatem na to, że historia Compagnoniego przynajmniej częściowo pokrywa się z prawdą. Zgodnie z tym, co zawsze utrzymywał, tlen na K2 mógł się wyczerpać na wysokości około 8400 m n.p.m., jakieś 200 metrów od szczytu, ale jeśli coś takiego się wydarzyło, musiało do tego dojść w trakcie zejścia, a nie w drodze na szczyt!^[6]

Jeśli chodzi o podtrzymywane przez Lacedellego twierdzenie, że tlen naprawdę wyczerpał się przed szczytem, zdaniem Marshalla była to po prostu próba „zachowania resztek dobrego imienia i reputacji bohatera”^[7]. Były to ostre słowa, ale po wielu latach zażartych dyskusji Marshall nie miał wcale ochoty iść na ustępstwa.

Jak można się było spodziewać, Achille Compagnoni był coraz bardziej poirytowany całym tym „błotem”, które niszczyło jego reputację i kalalo pamięć o włoskim zwycięstwie. Był wściekły na Lacedellego o to, że na pozór zwrócił się

przeciwno niemu; w sierpniu 2004 r. doszło być może do najsmutniejszego wydarzenia w całej tej historii — Compagnoni udzielił „Corriere della Sera” wywiadu, w którym utrzymywał, że to on był pierwszym człowiekiem, który stanął na szczycie K2, i wcale nie dotarł tam ramię w ramię z Lacedellim, jak wcześniej utrzymywał. Jak donosiły gazety, Compagnoni przypominał rannego niedźwiedzia lub wilka, który był przywódcą stada, ale został przez nie porzucony. Na dodatek nie był to jeszcze koniec dezercji wśród jego stronników.

W 2007 r. CAI przedstawił ostateczną relację z okresu, w którym doszło do ataku szczytowego. Publikacja *K2: una storia finita* zawierała zarówno raport *Tre Saggi*, jak i nowsze dowody dostarczone przez Ericha Abrama. Jak można było tam przeczytać, cała opowieść została już zamknięta, a nowe „świadcstwo historyczne” miało głosić, że Compagnoni i Lacedelli używali tlenu aż do samego szczytu, natomiast rola odegrana przez Waltera Bonattiego i Amira Mahdiego była „decydującym i absolutnie kluczowym czynnikiem, dzięki któremu wyprawa odniosła sukces”. Bonatti został zrehabilitowany, a Compagnoni i Lacedelli — potępieni.

Wersja ta stała się nowym „oficjalnym opisem wydarzeń”, regularnie powtarzany w większości książek i gazet. Mimo że Walter Bonatti zmarł w 2011 r., pozostaje jedną z najbardziej szanowanych postaci włoskiego świata wspinaczkowego i mało kto ośmiela się kwestionować jego wersję wydarzeń, które miały miejsce na K2.

Czy jednak Bonatti, Marshall i *Tre Saggi* naprawdę dotarli do prawdy? Czy historyczne dokumenty mogą pokazać, że Compagnoni i Lacedelli mówili prawdę na temat tlenu, a dowody fotograficzne w istocie potwierdzają ich historię? Dziś we Włoszech mało kto ma ochotę zaczynać od nowa tę dyskusję, ale jeśli ktoś przyjrzy się obiektywnie wszystkim materiałom, nietrudno dojść do wniosku, że Bonatti nie miał racji, a nowa, „oficjalna historia” jest jeszcze bardziej niedoskonała niż ta stara, którą miała skorygować.

Zanim przejdę do dowodów, które przemawiają za prawdziwością wersji przedstawianej przez Compagnoniego i Lacedellego, warto zaznaczyć, że ich opowieść wydawała się mało prawdopodobna. Idea dźwignia dwóch pustych zestawów tlenowych na szczyt zdaje się przeczyć zdrowemu rozsądkowi. Po co targać ze sobą zbędny ciężar na dużej wysokości, na której człowiek dotkliwie odczuwa każdy dodatkowy kilogram? Czy wspinacze nie mogli po prostu porzucić swoich zestawów tlenowych w drodze na szczyt?

Trzeba też przyznać, że zespół szczytowy na wiele sposobów robił wszystko, by sobie zaszkodzić. Jeśli chodzi o wysokości i podawanie czasu, Compagnoni miał w zwyczaju uciekać albo w ogólniki, albo w przesadę. Czasami twierdził, że tlen skończył się 100 metrów przed szczytem; kiedy indziej wspominał, że gazu zabrakło 200 metrów poniżej wierzchołka. Niezmiennie dodawał też do wszystkich takich wartości „około” lub „w przybliżeniu”. Lacedelli rzadko kiedy zabierał głos i przytakiwał partnerowi nawet wtedy, gdy się z nim nie zgadzał. To, że ich stanowisko było niespójne, a cała historia wydawała się mało prawdopodobna, nie oznacza jednak, iż byli kłamcami. To nie był eksperyment przeprowadzany w laboratorium, lecz wyprawa wspinaczkowa, której punktem kulminacyjnym było zdobycie wierzchołka położonego na wysokości 8611 m n.p.m.

Wraz z upływem czasu dyskusja między Bonattim i Compagnonim siłą rzeczy nabierała coraz bardziej osobistego wydźwięku, aż wreszcie stała się tak naprawdę kwestią zestawiania ze sobą charakterów, a nie dowodów. Komu należało wierzyć — Bonattiemu, najwybitniejszemu wspinaczowi XX w., czy Compagnoniemu i Lacedellemu, dwóm niezłym wspinaczom, którzy po zdobyciu K2 nie osiągnęli już niczego godnego wzmianki? Z perspektywy Roberta Marshalla odpowiedź była prosta i jednoznaczna:

Czy powinniśmy zaakceptować w całości opowieść Bonattiego? Czy ten człowiek próbuje coś ukryć? Czy jest oszustem i kłamcą? Niemożliwe! Jego kariera mówi sama za siebie: poświęcił całe życie bezkompromisowej walce oraz

dążeniu do poznawania swoich granic fizycznych i moralnych. Człowiek takiego pokroju nie byłby w stanie skłamać, a potem w obliczu własnej winy brnąć coraz dalej w łgarstwa. Od razu widać, że jego oburzenie jest szczere; świadczy o tym każde jego słowo^[8].

Czy takie podejście naprawdę jest jednak obiektywnym sposobem oceniania wydarzeń? Nawet jeżeli oburzenie Bonattiego było szczere, zarówno jeśli chodzi o przymusowy biwak pod gołym niebem, jak i oskarżenia, które Nino Giglio zawarł w swoim artykule opublikowanym na łamach „Gazzetta del Popolo”, a do tego ów wybitny wspinacz był uczciwym człowiekiem i brzydził się kłamstwem, nie można jeszcze z góry zakładać, że miał rację. W najbardziej zasadniczym wymiarze nie była to kłótnia dotycząca charakterów, lecz dyskusja na temat harmonogramu wydarzeń i tego, na ile sprawnie działały zestawy tlenowe na początku lat 50. Jeżeli spojrzymy na spór z takiej perspektywy, wersja przedstawiana przez Bonattiego nie prezentuje się już tak solidnie.

Podstawą zarzutów wysuwanych przez Bonattiego pod adresem Compagnoniego i Lacedellego były obliczenia matematyczne: przygotował chronologiczny zarys wydarzeń, do których doszło w dniu ataku szczytowego, określił, ile czasu zabrała droga na wierzchołek K2, a potem porównał tę wartość z czasem działania zestawów tlenowych. Para, która ruszyła na szczyt, zdaniem Bonattiego zaczęła korzystać z tlenu o wpół do dziewiątej rano i dotarła do celu o osiemnastej. To oznaczało, że wspinaczka trwała dziewięć i pół godziny. Butle w zestawach tlenowych zawierały zapas tlenu na 10 godzin, a zatem coś musiało w nich jeszcze zostać. Gdy Bonatti dowiedział się od Ericha Abrama, że Compagnoni i Lacedelli korzystali z butli wyprodukowanych przez firmę Dräger, napełnionych gazem pod wyższym ciśnieniem i zapewniających 12 godzin działania, kłamstwo wydawało się jeszcze bardziej rażące.

Czy Bonatti mógł jednak mieć pewność, że zespół zaczął wspinaczkę o wpół do dziewiątej? On utrzymywał, że tak.

Według jego wersji wydarzeń pierwszą osobą, która ruszyła w drogę w dniu ataku szczytowego, był jego partner, Mahdi, który po niezwykle mroźnym biwaku zaczął schodzić o świcie, około piątej rano. Po oczyszczeniu dwóch zestawów tlenowych ze śniegu, Bonatti rozpoczął zejście mniej więcej godzinę później, gdy słońce już w pełni wzeszło. Mahdi dotarł do obozu ósmego tuż przed siódmą rano; Bonatti przybył tam wkrótce po nim^[9].

W trakcie zejścia nieustannie się oglądał, kierując wzrok w stronę zestawów tlenowych i próbując wypatrzeć Compagnoniego i Lacedellego, ale niczego nie dostrzegł. W tej sytuacji wywnioskował, że wspomniana dwójka nie opuściła obozu dziewiątego przed siódmą rano. Zakładając, że potrzebowali godziny na dotarcie do zestawów tlenowych, a potem 30 minut na doprowadzenie sprzętu do porządku, nie mogli zacząć korzystać z tlenu wcześniej niż o wpół do dziewiątej. Zarówno Robert Marshall, jak i *Tre Saggi* z komisji powołanej przez CAI potraktowali tę informację jako niezbitą fakt.

Harmonogram stworzony przez Bonattiego skłania jednak do postawienia dwóch pytań. Po pierwsze, dlaczego Compagnoni i Lacedelli tak późno opuścili swój namiot? Czyżby rankiem przed atakiem szczytowym wylegiwali się w śpiworach? Po drugie, czy Bonatti mógł mieć stuprocentową pewność, że nigdzie nad nim nie było żadnego ruchu? Czy topografia K2 naprawdę jest tak nieskomplikowana i regularna, że przez cały czas zejścia nic nie zasłaniało mu widoku na zbocza góry znajdujące się powyżej?

Jeśli chodzi o tę drugą kwestię, negatywną odpowiedź skrywają same słowa Bonattiego. Ani 30, ani 31 lipca na żadnym etapie wspinaczki nie widział namiotu Compagnoniego i Lacedellego; w nocy 30 lipca było też kilka sytuacji, w których słyszał ich głosy, lecz nie potrafił określić ich lokalizacji. Następnego ranka w trakcie zejścia do obozu ósmego w pewnym momencie usłyszał wołanie z góry i zareagował, machając czekaniem, ale również i w tym przypadku nie

wiedział, skąd dokładnie dochodził głos. Jeśli zatem z opowieści Bonattiego wynika, że rankiem 31 lipca była przynajmniej jedna chwila, w której Compagnoni i Lacedelli go widzieli, choć on sam nie był w stanie ich dostrzec, skąd mógł mieć pewność, że nie opuścili namiotu przed siódmą rano?

Według opowieści Compagnoniego i Lacedellego przedstawionej w *La Conquista del K2*, 31 lipca opuścili obóz o świcie, o piątej nad ranem, i dostrzegli pod sobą jakąś postać zmierzającą w dół. Zawołali, a schodzący odwrócił się, by po chwili kontynuować zejście. Jeśli podana przez nich godzina pokrywała się z rzeczywistością, mógł to być Mahdi, gdyż według Bonattiego zatrzymał się on w którymś momencie na stoku poniżej miejsca, w którym spędzili noc. Compagnoni i Lacedelli ruszyli później w dół, by mniej więcej kwadrans po szóstej dotrzeć do butli z tlenem.

Te zeznania najwyraźniej nie zgadzają się ze słowami Bonattiego, a jeżeli weźmiemy pod uwagę, że był on niezwykle precyzyjny, podczas gdy Compagnoni i Lacedelli zawsze wyrażali się ogólnikowo, jest prawdopodobne, iż to oni się pomylili, podając godziny. Te dwa świadectwa nie są jednak całkowicie sprzeczne: istnieje możliwość, że Compagnoni i Lacedelli opuścili obóz dziewiąty nie o piątej, ale o szóstej rano, a schodzącą postacią, którą zobaczyli jakieś pół godziny później, nie był Mahdi, lecz Bonatti. Ten ostatni najwyraźniej przyjął założenie, że Compagnoni i Lacedelli schodzili do butli z tlenem tą samą drogą, z której skorzystali w nocy 30 lipca; członkowie zespołu szczytowego obrali jednak inną drogę, unikając śliskich, połogich skał, po których wspinali się dzień wcześniej. Mniej bezpośrednia droga mogła być niewidoczna z perspektywy Bonattiego, a Compagnoni i Lacedelli mogli dotrzeć do butli z tlenem około siódmej rano, dokładnie wtedy, kiedy Bonatti pokonywał w dół ścianę lodową nad obozem ósmym, a co za tym idzie, nie widział zboczy znajdujących się powyżej. Gdyby tak było w istocie, Compagnoni i Lacedelli mogli ruszyć w kierunku szczytu o wpół do ósmej, a

wspinaczka zabrałaby im w takiej sytuacji dziesięć i pół godziny.

Ten harmonogram wydarzeń nie pokrywa się z „oficjalną wersją” zawartą w książce *La Conquista del K2*, aczkolwiek wpisuje się w to, o czym pisał Lacedelli w swoim dziele *K2: Il prezzo della Conquista*. Bonatti nie wspominał w *Moich górach* o pogodzie towarzyszącej im tego dnia, ale według Compagnoniego i Lacedellego, a także Pina Gallottiego przebywającego w obozie ósmym, było niespokojnie i mgliście, co ograniczało widoczność. W tej sytuacji twierdzenia Bonattiego o tym, że w trakcie swojego godzinnego zejścia przez cały czas widział wszystko, co działo się nad nim, stają się jeszcze mniej wiarygodne.

Drugi i dużo poważniejszy problem związany z zarzutami Bonattiego wobec zespołu, który zaatakował szczyt, dotyczy zestawów tlenowych Compagnoniego i Lacedellego. Bonatti założył, że były one niezawodne i zachowywały się w przewidywalny sposób, ale wszystkie dowody historyczne przemawiają przeciwko tej tezie. Zestawy tlenowe używane przez wspinaczy w latach 50. były prymitywnymi i stosunkowo nowymi urządzeniami. Przed drugą wojną światową w Himalajach eksperymentowano ze stosowaniem dodatkowego tlenu, ale dowody świadczące o jego wartości były niejednoznaczne, a wykorzystywaniu przez wspinaczy takiego wspomagania towarzyszyły zażarte debaty dotyczące etyki. Fritz Wiessner nie zabrał w 1939 r. na K2 tlenu; tak samo postąpił Charlie Houston w 1938 i 1953 r., jeśli nie liczyć kilku butli, które miały być stosowane w nagłych sytuacjach w celach medycznych.

Po wojnie powszechna opinia na temat etycznych aspektów stosowania dodatkowego tlenu uległa zmianie, ale chociaż sprzęt był już lepszy niż konstrukcje dostępne w latach 20. i 30., urządzenia nadal były nieprzewidywalne (przynajmniej jak na dzisiejsze standardy). Francuski zespół, który w 1950 r. dokonał pierwszego wejścia na Annapurnę — pierwszy ośmiotysięcznik zdobyty przez człowieka — zabrał zestawy tlenowe, ale ich nie

stosował, gdyż korzystanie z nich było zbyt skomplikowane. W 1952 r. obydwie szwajcarskie wyprawy działające na Mount Evereście dysponowały dodatkowym tlenem, lecz żadna z nich nie odniosła sukcesu. Za pierwszym razem, wiosną 1952 r., Raymond Lambert i Tenzing dotarli bardzo wysoko, ale zawrócili, narzekając na to, że sprzęt ich zawiódł i uniemożliwił im przeprowadzenie skutecznego ataku na szczyt. Wyposażenie, z którego korzystali, było tak nieefektywne, że użytkownicy mogli korzystać z tlenu tylko wtedy, gdy znajdowali się w bezruchu. Sześć miesięcy później Szwajcarzy podjęli kolejną próbę. Tym razem dysponowali lepszymi zestawami tlenowymi wyprodukowanymi przez niemiecką firmę Dräger. Wrócili, donosząc, że sprzęt sprawował się dużo lepiej, ale prawie z niego nie korzystali i nie dotarli tak wysoko, jak Lambert i Tenzing. Większość ich butli z tlenem została porzucona na Przełęczy Południowej, czyli wypłaszczeniu znajdującym się na wysokości 7900 m n.p.m., ponad 900 metrów poniżej szczytu.

W 1953 r. austriacko-niemiecka wyprawa działająca na Nanga Parbat również była wyposażona w zestawy tlenowe firmy Dräger, choć także i tym razem praktycznie ich nie używano i nie odegrały one żadnej roli w sukcesie, jakim zakończyła się ta ekspedycja. Hermann Buhl dotarł na szczyt Nanga Parbat dzięki amfetaminie i sile woli, a nie za sprawą dodatkowego tlenu.

W tym samym roku Hillary i Tenzing zdobyli Mount Everest, korzystając z dodatkowego tlenu; zabrali go nawet na tyle dużo, by wystarczyło na drogę powrotną, ale jeśli przyjrzeć się tej wyprawie trochę dokładniej, nie była to najlepsza reklama dla tej technologii. Brytyjski zespół regularnie borykał się z problemami sprzętowymi, nawet jeżeli była to najlepiej przygotowana (i dysponująca największym budżetem) wyprawa w dotychczasowej historii eksploracji Himalajów. Butle okazywały się nieszczelne, zawory i rurki zamarzały, przejściówki były gubione lub ktoś o nich zapominał, a

wspinacze z obawy przed wyczerpaniem się gazu byli zmuszeni do ustawiania niewielkiego przepływu tlenu.

Pierwszy atak na szczyt Mount Everestu, podjęty 26 maja 1953 r. przez Toma Bourdillona i Charlesa Evansa, od początku był skazany na niepowodzenie z powodu nieprawidłowego funkcjonowania zestawu tlenowego Evansa. Druga próba również mogła się skończyć porażką, gdy na wysokości mniej więcej 8780 m n.p.m. lód zablokował zestaw Tenzinga. Na szczęście Brytyjczycy spotykali się już z takimi problemami tyle razy, że Edmund Hillary wiedział, jak uporać się z niedrożnością.

Jeśli przyjrzeć się szczegółowo temu, jak korzystała z tlenu wyprawa działająca w 1954 r. na K2, okaże się, że prawdopodobieństwo tego, iż w dniu ataku szczytowego zestawy tlenowe nie działały prawidłowo, było jeszcze większe. Ardito Desio nie miał ani czasu, ani zasobów, jakimi dysponowali Brytyjczycy w 1953 r. Chciał, żeby wyprawa na K2 promowała włoską technologię, ale żadna z wcześniejszych ekspedycji z tego kraju nie używała tlenu. Kierownik wyprawy był bardzo zadowolony, gdy Dalmine, duża włoska firma z branży stalowej działająca na północy kraju, przekazała mu za darmo większość butli, jakie zabrała ze sobą ekspedycja, lecz ten producent nie miał wcześniej nic wspólnego z działalnością wspinaczkową.

Jak gdyby brak doświadczenia ze strony Dalmine był niewystarczającym problemem, mniej więcej na miesiąc przed tym, jak wyprawa miała ruszyć do Pakistanu, firma została sparaliżowana przez spór zbiorowy, który doprowadził do przerwania produkcji. Przez kilka pełnych napięcia tygodni wydawało się, że Desio nie dostanie w ogóle żadnych butli. Produkcję ostatecznie wznowiono, a obiecany sprzęt dotarł na czas, ale Desio zdążył się już zabezpieczyć i zaopatrzył się w kilka zestawów niemieckiej firmy Dräger. Wspomniane przedsiębiorstwo było uważane za lidera w swojej branży, chociaż nikt nie stosował jeszcze z powodzeniem jego produktów na naprawdę dużej wysokości.

Na wczesnym etapie selekcji kandydatów, którzy mogliby wziąć udział w wyprawie, włoscy wspinacze mieli okazję zapoznać się z zestawami tlenowymi w komorze dekompresyjnej w Mediolanie; nie ma natomiast żadnych dowodów na to, że przed wyjazdem do Pakistanu ćwiczyli korzystanie z nich w terenie^[10]. Gdy dotarli pod K2, Desio planował stosować dodatkowy tlen mniej więcej od wysokości 7300 m n.p.m., lecz — co niezwykle — pierwszą i ostatnią okazją, gdy użyto go podczas wspinaczki, był dzień ataku szczytowego.

Wystarczy zestawić wszystkie te informacje — znikome doświadczenie Compagnoniego i Lacedellego oraz to, że ani włoski, ani niemiecki sprzęt nie był testowany na dużej wysokości — a dużo łatwiej uwierzyć w to, iż obydwa zestawy nie działały w pełni prawidłowo i nie zapewniały oczekiwanego czasu pracy, względnie wspinacze nie umieli właściwie korzystać z tego sprzętu.

Artykuł Roberta Marshalla na temat fotografii ze szczytu był uważany przez wiele osób za rozstrzygającą opinię, ale również i on skrywał zasadnicze błędy. Przede wszystkim jego autor twierdził, że odkrył dowody fotograficzne, które zostały usunięte z „oficjalnej wersji” i były publikowane wyłącznie poza terytorium Włoch, jak gdyby ktoś próbował tuszować fakty. Marshall mylił się jednak w obu tych kwestiach: dwa zdjęcia, które pojawiły się na łamach „The Mountain World”, były w istocie pierwszymi dwiema fotografiami ze szczytu udostępnionymi włoskiej prasie i opublikowanymi 28 września 1954 r. w „Corriere della Sera” pod nagłówkiem „Pierwsze fotograficzne świadectwo wydarzeń”. „The Mountain World” nie był z kolei mało znanym czasopismem — była to dysponująca sporym budżetem coroczna publikacja Swiss Foundation for Alpine Research, uważana za jeden z najważniejszych magazynów wspinaczkowych wydawanych na świecie.

Jeśli chodzi o zdjęcie Compagnoniego na szczycie, trudno się dziwić, że Marshall kwestionował powód, dla którego Włoch miał na twarzy maskę — Australijczyk przyjął jednak założenie, którego nie można potwierdzić samym oglądaniem fotografii: uznał, że tlen wciąż był podłączony i docierał do maski. Włosi używali zestawów o obiegu otwartym. Tlen z butli był kierowany do mieszalnika zwanego płucem; tam łączył się z powietrzem pobieranym z zewnątrz, po czym wędrował rurką do maski. Gdy tlen w butlach się skończył, nadal można było oddychać przez maskę. Na podstawie fotografii nie można powiedzieć, czy zestaw nadal dostarczał Compagnoniemu dodatkowy tlen; nie widać nawet, dokąd biegnie rurka podłączona do maski wspinacza.

Gdy Compagnoni został zapytany o korzystanie z maski po tym, jak skończył się tlen, wyjaśnił, że ten element zestawu tlenowego pomagał ogrzewać wdychane powietrze. Robert Marshall od razu odrzucił to wytłumaczenie, chociaż argumenty popierające tę tezę przedstawiał zarówno Lacedelli, jak i Erich Abram, inżynier opiekujący się zestawami tlenowymi uczestników wyprawy. W 2004 r. Abram potwierdził, że włoscy wspinacze często nosili maski tlenowe i podłączone do niej rurki, nawet jeżeli nie mieli ze sobą zestawów tlenowych^[11]. Rok wcześniej, w 1953 r., dwaj członkowie amerykańskiej wyprawy Charliego Houstona korzystali z „arktycznych zestawów do oddychania”, specjalnych masek na usta pozwalających ogrzać wdychane powietrze. Tego rodzaju sprzęt nadal bywa stosowany w Arktyce i na Antarktydzie.

Marshall sądził, że zdjęcia były niezbitym dowodem potwierdzającym to, iż Bonatti miał rację; Australijczyk przeoczył jednak niewielki, choć istotny szczegół — to, że Compagnoni i Lacedelli odrzucili w drodze na szczyt po jednej butli ze swoich zestawów. Marshall utrzymywał, że Compagnoni i Lacedelli wytaszczyli na szczyt po trzy butle, a więc całe 18 kilogramów. Tak naprawdę wynieśli tam mniej

więcej po 12 kilogramów. W obydwu zestawach odłączono środkową butlę. Trudno to zauważyć na czarno-białych zdjęciach, ale na powiększeniach widać to wyraźnie. Jeszcze łatwiej dostrzec to na filmie oraz kolorowych zdjęciach ze szczytu.

Podobnie jak sprzęt zabrany na Mount Everest przez brytyjską wyprawę w 1953 r., zestawy Dräger i Dalmine zostały zaprojektowane w taki sposób, by można było łatwo podłączać i usuwać butle. W teorii za każdym razem, gdy butla się wyczerpała, można ją było odrzucić. Ponieważ każda ważyła około sześciu kilogramów nawet wtedy, gdy była pusta, takie działanie było bardzo rozsądne. Dlaczego zatem Compagnoni i Lacedelli nie odrzucili butli, gdy tylko skończyła się ich zawartość?

Obaj członkowie zespołu szczytowego świetnie zdawali sobie sprawę z tego, że niesienie pustych zestawów musiało się wydawać dziwaczne, zwłaszcza osobom, które same się nie wspinają. Na łamach *La Conquista del K2* przedstawili kilka wyjaśnień: było późno, słońce zachodziło, wydawało się, że szczyt jest bardzo blisko, a oni woleli nie marnować czasu na skomplikowane i potencjalnie niebezpieczne działania. Napisali również, że chcieli zostawić na szczycie jakiś dowód swojej obecności. Te słowa mogą brzmieć niepoważnie, ale kilka dni po tym, jak Hillary i Tenzing zdobyli Mount Everest, nad szczytem przeleciał samolot indyjskich sił powietrznych, który wykonał serię fotografii lotniczych — na żadnej z nich nie było jakichkolwiek śladów ludzkiej obecności na wierzchołku. Dwa zestawy tlenowe byłyby jednak wyraźnym znakiem.

Te wyjaśnienia — niezależnie od tego, czy ktoś daje im wiarę, czy też uważa je za nieprawdziwe — dotyczą jedynie okresu obejmującego mniej więcej ostatnią godzinę wspinaczki, ale nie wyjaśniają, dlaczego Compagnoni i Lacedelli nie odrzucili w drodze na górę pustych butli. Nawet jeżeli Bonatti miał rację, a w chwili osiągnięcia szczytu jeden z trzech zbiorników w każdym z zestawów nadal zawierał tlen, dlaczego wspinacze nieśli ze sobą przynajmniej jedną pustą butlę?

Istnieją tylko dwie wiarygodne odpowiedzi: albo nie mieli czasu bądź doświadczenia, by używać sprzętu zgodnie z założeniami jego projektantów, albo ich zestawy tlenowe zostały nieprawidłowo złożone, co utrudniało odłączanie pustych butli. Każde z tych wyjaśnień przydaje wiarygodności twierdzeniom Compagnoniego i Lacedellego o tym, że świadomie wynieśli na szczyt butle, w których nie było już tlenu.

Najważniejszym dowodem fotograficznym nie są jednak zdjęcia, ale film *Italia K2*, przedstawiający losy ekspedycji. Podczas gdy większość fotografii szczytowych jest czarno-biała, film był kręcony wyłącznie w kolorze. Jedno z ujęć zarejestrowanych wcześniej w bazie pokazuje stos jasnoczerwonych butli Dalmine, na których ułożono mniejszą liczbę ciemnoniebieskich butli Dräger — takich, z jakich Compagnoni i Lacedelli mieli korzystać podczas ataku na szczyt.

To połączenie kolorów powtarza się jednak na wierzchołku K2: film pokazuje, że jeden z zestawów ma ciemnoniebieskie butle, a drugi — jasnoczerwone. A zatem wbrew zamierzeniom Ericha Abrama, który zajmował się sprzętem tlenowym wyprawy, jeden z zestawów, które Compagnoni i Lacedelli wynieśli na szczyt, został załadowany butlami Dalmine. Miały one mniejszą pojemność niż butle marki Dräger; 10 godzin stanowiło w tym przypadku absolutne maksimum, a na dodatek spora część włoskich zbiorników była nieszczelna. Abram bez wątpienia chciał wyposażyć zespół atakujący szczyt w dobre, solidne, niemieckie zestawy, załadowane niezawodnymi butlami z tlenem pod wyższym ciśnieniem, ale gdzieś wśród chaosu ostatnich dwóch dni poprzedzających atak szczytowy plan wziął w łeb, a w górne partie K2 wyniesiono jeden z zestawów Dalmine. W tej sytuacji było tym bardziej prawdopodobne, że przynajmniej w jednym z zestawów tlen wyczerpał się jeszcze przed szczytem^[12].

Jeśli chodzi o komentarze Roberta Marshalla dotyczące tego, co wydarzyło się na K2, a także jego teorię spiskową obejmującą

Compagnoniego, Desia i Ata-Ullaha, są to czyste spekulacje. To atrakcyjna, skomplikowana i zmyślna historia, która była powtarzana wiele razy przy okazji innych opowieści o K2, ale w ówczesnych raportach, listach, pamiętnikach lub artykułach prasowych nie ma żadnych dowodów, które mogłyby stanowić jej potwierdzenie.

Co więcej, sama myśl o tym, że Ata-Ullah wpada do namiotu Desia, nie ma z historycznego punktu widzenia żadnego sensu: działalność włoskiej wyprawy została osobiście zaaprobowana przez premiera Pakistanu, tamtejsze wojsko budowało mosty, dzięki którym Włosi dotarli pod K2 szybciej niż jakakolwiek wcześniejsza ekspedycja, a Compagnoni i Lacedelli zamieścili narodową flagę na szczycie najwyższej góry Pakistanu. Czy Ata-Ullah naprawdę miałyby czelność (lub chęć) wywoływać publiczny skandal z powodu odmrożeń Mahdiego, gdy wraz ze wszystkimi innymi osobami był tak podekscytowany faktem zdobycia K2?

W latach 50. odmrożenia były uważane za jeden z elementów ryzyka zawodowego, na jakie narażeni byli zarówno wspinacze, jak i tragarze wysokościowi. Chociaż Desio współczuł Mahdiemu, nie miał powodu, by obawiać się jakiegokolwiek skandalu. Pomijając wszystko inne, Compagnoni i Lacedelli też nabawili się odmrożeń, a Mario Puchoz oddał życie, starając się zdobyć K2. W 1939 r. na K2 zginęło trzech Szerpów i jeden Amerykanin; w 1952 r. na Mount Evereście zmarł jeden Szerpa, a dwóch kolejnych odniosło poważne obrażenia. Zdobywanie gór uważano za zajęcie, które jest z natury ryzykowne, zarówno dla tragarzy wysokościowych, jak i dla wspinaczy z Zachodu.

Najpoważniejsza słabość teorii Marshalla jest jednak dużo mniej skomplikowana: popełnił on błąd, określając chronologię wydarzeń. Pierwsza wzmianka o tym, że tlen skończył się godzinę przed zdobyciem szczytu, pojawiła się w liście napisanym przez Desia 1 sierpnia — czyli na dzień *przed* powrotem Compagnoniego do bazy — a jej podstawą był raport dostarczony przez dwóch innych wspinaczy, Ubalda Reya i

Cirilla Floreaniniego. Nie było to kłamstwo wymyślone przez Compagnoniego dlatego, że Desio obawiał się międzynarodowego skandalu; nie była to również odpowiedź na wyrażaną przez Ata-Ullaha krytykę dotyczącą odmrożeń Mahdiego. Compagnoni i Lacedelli wrócili do bazy 2 sierpnia, ale Mahdi i reszta Hunzów dotarli tam dopiero 3 sierpnia, gdy cała historia została już przekazana dalej.

Jeśli chodzi o koncepcję, która zakładała, że Desio wprowadził w błąd włoskiego ambasadora i obawiał się nieprzychylnych historii publikowanych w pakistańskiej prasie, Marshall znów popełnił błąd w kwestii dat. Desio nie wyjechał spod K2 wraz z zespołem wspinaczy; został w Karakorum, kierując drugą wyprawą o charakterze naukowym. Gdy na początku września publikowano w Karaczi krytyczne doniesienia, Desio znajdował się na lodowcu Biafo oddalonym o wiele kilometrów od ówczesnej stolicy Pakistanu. Nie miał pojęcia, co pisała tamtejsza prasa, i nie mógł rozmawiać z włoskim ambasadorem w Karaczi. Co więcej, dziennikarze nie skupiali się na odmrożeniach Mahdiego, lecz na nieprawdziwych zarzutach dotyczących tego, że Włosi uniemożliwili tragarzowi wejście na szczyt, ponieważ chcieli zachować ten przywilej dla siebie. W oświadczeniu sporządzonym u włoskiego ambasadora i podpisanym przez Bonattiego i Compagnoniego nie ma jakiegokolwiek wzmianki o odmrożeniach Mahdiego.

Obierając inną ścieżkę postępowania niż Bonatti w 1966 r., Compagnoni nie wytaczał swoim krytykom procesów sądowych. Zamiast tego odwoływał się do wartości patriotycznych i wzywał Bonattiego, by ten przestał obrzucać go błotem. Niektórym może się to wydać podejrzane, ale gdy Bonatti wysunął pierwsze ze swoich oskarżeń, Compagnoni miał 70 lat. Kiedy opublikowano artykuł Marshalla na temat fotografii wykonanych na szczycie, krytykowany zdobywca K2 zbliżał się do osiemdziesiątki.

Compagnoni był nieustępliwym, a czasem i szorstkim człowiekiem, który zraził do siebie wiele osób — najpierw

wytaczając CAI proces w związku ze swoimi roszczeniami dotyczącymi części zysków, jakie przyniósł film na temat wyprawy, a potem stając się w 1966 r. stroną procesu o zniesławienie. Ktoś może powiedzieć, że żadna z tych spraw sądowych nie wpłynęła pozytywnie na jego reputację — patrząc z drugiej strony, te procesy nie uczyniły też z niego notorycznego kłamcy.

Zarówno Walter Bonatti, jak i Robert Marshall przedstawili Lina Lacedellego jako kogoś, kto podlizywał się Compagnoniemu, wiernie popierając jego kłamstwa, byle tylko zachować twarz. Ta teza nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością. Obaj panowie nie byli przyjaciółmi ani przed wyprawą na K2, ani po niej. Compagnoni reprezentował grupę „zachodnią” i działał w Alpach; Lacedelli był wspinaczem z frakcji „wschodniej”, z Dolomitów. Wkrótce po zakończeniu ekspedycji każdy z nich ruszył własną drogą. Gdy w 1955 r. Compagnoni wytoczył sprawę sądową CAI i producentom filmu, domagając się udziału w zyskach, jakie przynosiło to dzieło, Lacedelli wcale go nie poparł — podpisał nawet wystosowany przez cały zespół list potępiający działania Compagnoniego. W swojej książce *K2: Il prezzo della Conquista* pisał o Compagnonim w bardzo krytyczny sposób, choć upierał się, że historia o tlenie kończącym się poniżej szczytu była prawdziwa. Gdy współautor tego dzieła, wspinacz i dziennikarz Giovanni Cenacchi, naciskał go w związku z tą kwestią, Lacedelli zawsze miał tę samą odpowiedź: niezależnie od tego, co powiedziała taka czy inna osoba i jakie liczby przedstawił Bonatti w celu poparcia swoich tez, te analizy były „teoretyczne”. Lino wiedział, że tlen się wyczerpał, ponieważ osobiście tego doświadczył.

Bonatti wygrał w 1966 r. sprawę o zniesławienie, gdyż sędzia odrzucił wysuwane przeciwko niemu oskarżenia. Bonatti nie musiał niszczyć reputacji Compagnoniego i twierdzić, że cały opis ataku szczytowego jest kłamstwem, by udowodnić w ten sposób, iż on sam został skrzywdzony. Robert Marshall nie potrzebował obmyślać skomplikowanej teorii spiskowej, by

wyjaśnić to, co widać na zdjęciach wykonanych na szczycie. Prosta wersja, która głosi, że Compagnoni i Lacedelli mówili prawdę, a tlen rzeczywiście im się skończył, zawiera luki, nieścisłości i sprzeczności, ale w ogólnym ujęciu jest dużo bardziej przekonująca niż skomplikowane scenariusze prezentowane przez Bonattiego lub Marshalla.

Hillary i Tenzing zostawili na szczycie Mount Everestu niewielki krzyż i trochę słodyczy; Hermann Buhl pozostawił na szczycie Nanga Parbat swój czekan; Lacedelli i Compagnoni wynieśli na wierzchołek K2 puste zestawy tlenowe i zostawili je tam jako ślad swojej obecności. Może się to wydawać dziwne i irracjonalne, ale w niezwykłych sytuacjach ludzie często zachowują się w nietypowy sposób. Skomplikowane teorie spiskowe są tylko próbą uporządkowania chaosu charakteryzującego życie. Tak się jednak składa, że rzeczywistość bywa często dużo dziwniejsza.

Podobnie jak Robert Marshall, jestem pewien, że Walter Bonatti szczerze wierzył w to, iż został skrzywdzony; nie miał też wątpliwości co do tego, że Compagnoni i Lacedelli kłamali w kwestii swoich zestawów tlenowych. Nikt nie walczyłby przez tyle lat z taką pasją, gdyby nie był w pełni przekonany o słuszności swoich argumentów. Bonatti dzielnie służył wyprawie, przetrwał biwak, który mógł go kosztować życie, a gdy wrócił do domu, jego wkład w sukces ekspedycji był najpierw ignorowany, a potem umniejszany. Ten człowiek wielokrotnie udowadniał, że był jednym z najwybitniejszych wspinaczy swojej epoki. Ani jego umiejętności wspinaczkowe, ani poczucie wyrządzonej mu krzywdy nie oznaczają jednak, że miał rację w kwestii tlenu — lub „zasadniczego kłamstwa”, jak sam to nazywał. Po przeanalizowaniu dowodów — fotograficznych, kontekstowych i tych związanych z naocznymi świadectwami — okazuje się, że „historyczna prawda”, jak określiliby to Bonatti, sprowadza się do tego, iż Compagnoni i Lacedelli nie kłamali w kwestii swoich zestawów tlenowych.

Jeśli chodzi o to, kiedy dokładnie skończył im się tlen, wśród dokumentów można znaleźć interesujący dowód, który może

zapewnić odpowiedź na to pytanie. Zarówno Lacedelli, jak i Compagnoni wspominali, że wydarzyło się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozwiała się mgła, dzięki czemu mogli zobaczyć w dole obóz ósmy oraz mężczyźni stojących obok rozbitych tam namiotów. Dla Lina Lacedellego widok towarzyszy był potężnym bodźcem pobudzającym — oznaką tego, że wszystko się uda, a oni powinni kontynuować wspinaczkę. Tę samą chwilę, w której chmury się rozwiały, opisał też z całkowicie odmiennej perspektywy Pino Gallotti znajdujący się wówczas w obozie ósmym. W swoim niepublikowanym pamiętniku pisze o tym, że został wywołany ze swojego namiotu przez Hunzę Isakhana, który wskazywał dwie figurki zmierzające w kierunku wierzchołka K2. Była mniej więcej siedemnasta trzydzieści; Compagnoni i Lacedelli dotarli na szczyt jakieś pół godziny później.

Założenie, że przetrwali od 30 do 60 minut bez dodatkowego tlenu, jest całkiem realne i pokrywa się z pierwszym sprawozdaniem przesłanym do Włoch przez kierownika wyprawy, Ardita Desia, a także późniejszym świadectwem Lacedellego. Być może Compagnoni przesadzał w niektórych ze swoich relacji, ale zawsze, gdy podawał godziny i wysokości, przyznawał również, że nie zapamiętał wszystkiego zbyt dokładnie. Jego opowieści na temat halucynacji towarzyszących mu podczas wspinaczki, a także fakt, że na szczycie doznał załamania, dobitnie świadczą też o tym, iż w ostatnich chwilach poprzedzających zdobycie K2 jego sposób myślenia nie był szczególnie uporządkowany.

To smutne i nieco absurdalne, że tak doniosłe wydarzenie w historii wspinaczki przerodziło się w konflikt przesycony wrogością. Wszyscy wspinacze z włoskiego zespołu działali na granicy możliwości i wytrzymałości swoich organizmów; ostatnia odsłona dramatu miała miejsce na bardzo dużej wysokości, gdzie często popełnia się błędy, pamięć okazuje się zawodna, a plany potrafią spalić na panewce nawet pomimo najlepszych chęci. Czy Compagnoni i Lacedelli powinni byli wyrażać się w bardziej pochlebny sposób o swoim zespole

wsparcia? Bez wątpienia. Czy powinni byli docenić zasługi Bonattiego i Mahdiego? Na pewno. Czy powinni byli dokładniej odnotowywać wysokości, robić więcej zdjęć, częściej spoglądać na zegarki i zachowywać się w bardziej racjonalny sposób, jeśli chodzi o korzystanie z zestawów tlenowych? Być może. Czy oczekiwanie od nich takich zachowań jest realne? Absolutnie nie. Wszystkie wielkie wspinaczki, które miały miejsce w Himalajach we wczesnych latach 50., były dużo bardziej chaotyczne, niż ktokolwiek przewidywał. Wyczerpanie, ambicja, niedotlenienie, wysokość, niska temperatura, obsesja, odwodnienie, zagrożenie — to potężna mieszanka, która nigdy nie prowadzi do prostych i nieskomplikowanych wyników.

Nikt nie kwestionuje jednego: tego, że 31 lipca 1954 r. około godziny osiemnastej Achille Compagnoni i Lino Lacedelli zostali pierwszymi zdobywcami K2 i urzeczywistnili tym samym aspiracje, których nie zrealizowali Aleister Crowley, książę Abruzzów, Charlie Houston i Fritz Wiessner. Włosi dotarli na szczyt, z zaskoczeniem odkryli, że mogą tam swobodnie oddychać bez dodatkowego tlenu, przez kilka minut odczuwali zachwyty, po czym z ogromnym niepokojem uwiecznili swój tryumf. Wkrótce potem ruszyli na dół, by dołączyć do towarzyszy, a w trakcie zejścia kilka razy cudem uniknęli śmierci. Ludziom udało się wspiąć na szczyt K2, ale góra nie została podbita.

Epilog

Góra, która zasługuje na swoje miano?

Gdy we wrześniu 1953 r. amerykański wspinacz George Bell ze względu na odmrożenia stóp opuszczał samolot na noszach, pewien dziennikarz poprosił go o jakiś komentarz na temat K2. Odpowiedź Bella była bardzo zwięzła:

To okrutna góra, która próbuje cię zabić.

Spontaniczny komentarz Bella znalazł potem odzwierciedlenie w tytule książki opisującej losy wyprawy z 1953 r., *The Savage Mountain*, i zapoczątkował zwyczaj stosowania podobnych przymiotników w tytułach sporej części późniejszych książek o K2.

Wielu bohaterów tej książki doświadczyło okrucieństwa K2 na samej górze i poza nią. Pasang Kikuli, Kitar, Pintso, Dudley Wolfe, Art Gilkey i Mario Puchoz nigdy nie wrócili do domów. Dla Charliego Houstona i Fritza Wiessnera wyjazdy na K2 były ostatnimi dużymi ekspedycjami w ich karierach. Ani Achille Compagnoni, ani Lino Lacedelli nie zdobywali już po 1954 r. wysokich szczytów, a chociaż Walter Bonatti zdołał bardzo wiele osiągnąć, obsesja dotycząca K2 prześladowała go do końca życia, nie dając mu spokoju.

W ciągu ponad 60 lat, które minęły od pierwszego wejścia na szczyt, setki innych wspinaczy postanowiły zmierzyć się z K2, a nieustannie powiększająca się liczba tabliczek na Kopcu Gilkeya odzwierciedla to, jak okrutny i zabójczy pozostaje ten szczyt. Ogromną różnicą z dzisiejszej perspektywy jest dostępność góry. O ile w dawnych czasach wyprawa w Karakorum pochłaniała przynajmniej pół roku, o tyle dziś

można zrealizować taką samą ekspedycję w zaledwie dwa miesiące. K2 na pewno nie cieszy się taką popularnością, jak Mount Everest, ale każdej wiosny w bazie pojawia się zazwyczaj kilka wypraw, które spoglądają w kierunku szczytu z mieszanką lęku i ekscytacji.

Nie zawsze tak to jednak wyglądało. W ciągu 20 lat, jakie upłynęły od zakończenia wyprawy Desia z 1954 r., na górze pojawiła się tylko jedna ekspedycja. Na jej czele stanął Bill Hackett, charyzmatyczny major armii amerykańskiej stacjonujący wówczas na terenie Niemiec. Jego wyprawa z 1960 r. wyróżniła się tym, że w jej zespole wspinaczy atakujących K2 po raz pierwszy znalazła się kobieta, Lynn Pease. Podobnie jak wielu jego poprzedników, Hackett musiał się jednak zmagać z koszmarną pogodą i nie zdołał pokonać granicy 7300 m n.p.m.

Przez następnych 12 lat pakistańskie władze nie udzielały pozwoleń na działalność wyprawową na K2 i na innych wysokich szczytach Karakorum. Północna część granicy między Indiami i Pakistanem była przedmiotem sporu, a obydwa te kraje przez większą część lat 60. pozostawały w stanie wojny lub balansowały na jej krawędzi. Pakistan podpisał układ z Chinami, ustalając oficjalnie, że K2 wyznacza granicę między tymi dwoma krajami, ale pakistańskie władze były przewrażliwione na punkcie całego tego regionu i wołały nikogo tam nie wpuszczać, by nie ryzykować żadnych incydentów.

Gdy w 1974 r. władze w Islamabadzie zmieniły dotychczasową politykę, Bob Bates, przyjaciel Charliego Houstona i jego partner z obu wypraw na K2, jako jeden z pierwszych przedstawicieli świata Zachodu otrzymał pozwolenie na działalność górską w tych okolicach. Bob miał wówczas 63 lata, a chociaż nadal się wspinał, nie zamierzał podejmować trzeciej próby zdobycia szczytu. W towarzystwie swojej żony Gail, przyjaciela z Harvardu Adamsa Cartera oraz jego żony Ann wybrał się na coś, co nazwali „wyprawą memsahib”. Bates planował raczej odwiedzić znane sobie

miejsca i oddawać się wspomnieniom, niż podejmować próbę wyrównywania starych porachunków.

Bob zorganizował wszystko tak, by sirdarem wyprawy (a więc szefem jej tragarzy) był Mohammad Hussein. Ostatnim razem widzieli się pod koniec traumatycznej wyprawy z 1953 r., gdy Mohammad był jednym z Baltów pomagających znieść George'a Bella z bazy. Po krótkim, acz i tak ekscytującym marszu dotarli wreszcie do Concordii. Bob był rozczarowany, gdy odkrył, że zostali uprzedzeni przez grupę japońskich turystów, ale okazało się, iż żaden z tych nieproszonych gości nie wybiera się nigdzie wyżej. Bates i Carter zostawili żony na kilka dni, udali się do bazy pod K2, a potem przeszli pod zachodnią część góry, by przed powrotem do domów przyjrzeć się potencjalnym nowym drogom prowadzącym na szczyt.

Rok później duży amerykański zespół pod przywództwem znanego wspinacza Jima Whittakera starał się wejść na K2 granią północno-zachodnią, lecz ekspedycja nie zrealizowała swojego celu i została zapamiętana bardziej ze względu na książkę Galena Rowella *In the Throne Room of the Mountain Gods* niż za sprawą jakichkolwiek osiągnięć wspinaczkowych. Zazwyczaj „oficjalne relacje z wypraw” unikały jakichkolwiek wzmianek o konfliktach, ale książka Rowella była pozbawionym upiększeń pamiętnikiem, w którym autor najwyraźniej rozkoszował się szczegółowym opisywaniem wszystkich kłótni, rozłamów i konfliktów wewnętrznych, do których doszło, zanim zespół zrezygnował z dalszej działalności górskiej.

Trzy lata później Whittaker wrócił z większym i mocniejszym zespołem, obejmującym też cztery osoby, które działały na górze podczas wcześniejszej wyprawy. Tym razem ekspedycja odniosła dużo większy sukces, a czterech wspinaczy dotarło na szczyt granią północno-wschodnią, czyli drogą, na której działała w 1902 r. wyprawa Eckensteina. Książka opisująca te wydarzenia, opatrzona przedmową senatora Edwarda Kennedy'ego, była dużo bardziej radosna. Wiele mówi

już jej tytuł: *The Last Step: The American Ascent of K2* („Ostatni krok: amerykańskie wejście na K2”).

W trakcie kolejnych dekad na K2 można było obserwować znajomy trend zapoczątkowany w Alpach, a potem powtarzany na Mount Evereście: kolejne ekspedycje rozprawiały się z poszczególnymi graniem, od czasu do czasu pozwalając sobie na zuchwalstwo i zapuszczając się na którąś z jeszcze bardziej niebezpiecznych ścian. Pojawił się nowy styl zdobywania gór, znany jako wspinaczka w stylu alpejskim. Zamiast organizować oblężenie góry, angażować w te działania duży zespół i zakładać przed podjęciem ataku na szczyt wiele obozów, nowe pokolenie wspinaczy wolało poruszać się szybko i z niewielkim obciążeniem, w niewielkich zespołach i najczęściej bez użycia dodatkowego tlenu. Takie podejście stało się bardzo popularne w latach 80., gdy z powodzeniem atakowano w taki sposób Mount Everest i kilka innych szczytów w Himalajach. Kiedy jednak tę samą strategię próbowano zastosować na K2 w niesławnym roku 1986, druga co do wysokości góra na świecie znów trafiła na pierwsze strony gazet, choć na pewno nie za sprawą doniesień o kolejnych sukcesach.

Na początku sezonu w bazie pod K2 zebrało się aż dziewięć odrębnych zespołów. Stary system przyznawania w danym roku pozwolenia na wspinaczkę tylko jednej ekspedycji został już zarzucony dużo wcześniej, ale tak duża liczba wypraw działających na K2 w jednym sezonie była bezprecedensowym wydarzeniem. W bazie pojawiło się ponad 40 wspinaczy z całego świata — byli tam między innymi przedstawiciele Korei Południowej, Polski, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoch, Austrii i Pakistanu. Rok wcześniej szczyt zdobyło 11 osób, więc wspinacze liczyli na to, że to też będzie dobry sezon.

Amerykanie John Smolich i Alan Pennington zginęli jako pierwsi, pochłonięci przez gigantyczną lawinę. Kolejnymi ofiarami było francuskie małżeństwo, Liliane i Maurice Barrardowie. Obrali — wówczas uznawaną już za klasyczną — drogę Żebrem Abruzzów i dotarli na szczyt po południu 23 czerwca, razem z innym wspinaczem ze swojej wyprawy,

Francuzem Michele Parmentierem, pół godziny po słynnej Polce, Wandzie Rutkiewicz. Wanda i Liliane zostały tym samym pierwszymi dwiema kobietami, które stanęły na szczycie K2, ale nie było czasu na świętowanie. W obliczu szybko zapadającej ciemności i gwałtownego spadku temperatury czworo wspinaczy zdecydowało się na biwak i spędziło koszmarną noc na wysokości 8300 m n.p.m. Mieli ze sobą namiot, lecz podobnie jak Fritz Wiessner w 1939 r. nie dysponowali śpiworami. Następnego dnia Parmentier i Rutkiewicz dotarli na dół, natomiast Barrardowie zaginęli w trakcie zejścia. Nikt nie wie dokładnie, co się wydarzyło, ale pod koniec lipca ciało Liliane Barrard odnaleziono 3 kilometry niżej. Zwłoki Maurice'a Barrarda znaleziono dopiero 12 lat później.

Te wypadki na początku sezonu nie odstraszyły innych wypraw działających tego roku na górze, a liczba ofiar tylko rosła. Polscy wspinacze Tadeusz Piotrowski i Jerzy Kukuczka dokonali niezwykłego wyczynu, pierwszego przejścia niepokonanej wcześniej południowej ściany K2. Piotrowski odpadł w trakcie zejścia stromym, oblodzonym zboczem, niedaleko miejsca, w którym 33 lata wcześniej zniknął Art Gilkey. To były ostatnie chwile, kiedy widziano Polaka.

Sześć dni później Włoch Renato Casarotto zmarł w niezwykle tragicznych okolicznościach po tym, jak wspinając się filarem południowo-zachodnim (drogą Magic Line) musiał zawrócić niecałe 300 metrów poniżej szczytu. To była jego trzecia próba tego roku, ale z powodu burzowych chmur na horyzoncie postanowił nie ryzykować i zaczął schodzić. Znajdował się mniej niż godzinę drogi od bazy, gdy wpadł do szczeliny lodowcowej po tym, jak załamał się pod nim mostek śnieżny.

Austriacki wspinacz Kurt Diemberger był przypadkowym świadkiem tego zdarzenia i natychmiast powiadomił Gorette, żonę Włocha, która należała do zespołu zapewniającego mu wsparcie. Kobieta zdołała nawiązać z mężem kontakt radiowy. Renato przeżył upadek, ale wiedział, że jest poważnie ranny. „Nie wytrzymam zbyt długo” — powiedział. Gdy zespół

ratunkowy do niego dotarł, Casarotto jeszcze żył, choć jego chwile były policzone. Goretta starała się zorganizować transport męża helikopterem do szpitala w Skardu, lecz było już za późno. Kiedy na miejsce przybył drugi zespół z lekarzem, Renato Casarotto był już martwy. Za zgodą Goretty jego ciało opuszczono z powrotem do szczeliny, która stała się jego grobowcem.

Przeciągająca się agonía Casarotta nie położyła jednak kresu próbom podejmowanym w tamtym sezonie. W połowie lipca na górze panowała kiepska pogoda, ale pod koniec miesiąca wspinacze wznowili działalność, co przyniosło kolejne ofiary. Na początku sierpnia niewielki zespół złożony z dwóch Polaków i jednego Czecha dokonał pierwszego przejścia Magic Line Casarotta, nie korzystając przy tym z dodatkowego tlenu. W trakcie zejścia jeden ze wspinaczy, Wojciech Wróż, zaczął zjeżdżać wzdłuż liny poręczowej, nie zdając sobie sprawy z tego, że jej koniec nie jest do niczego przytwierdzony. Gdy dotarł do końca liny, nie był już w stanie zrobić niczego, co uratowałoby go przed upadkiem w przepaść.

Dzień później zespół utworzony naprędce z trzech Austriaków — Hannesa Wiesera, Alfreda Imitzera i Williego Bauera — Polki Dobrosławy Miodowicz-Wolf (znanej też pod pseudonimem „Mrówka”), brytyjskiego wspinacza Ala Rouse’a, a także słynnej pary zajmującej się wspinaczką i kręceniem filmów, Kurta Diembergera i jego brytyjskiej przyjaciółki Julie Tullis, ruszył w kierunku szczytu po pokonaniu Żebra Abruzzów. Wcześniej wszyscy spędzili już dwie noce na Ramieniu K2, na wysokości około 8000 m n.p.m., i nikt z tej grupy nie był w szczególnie dobrym stanie.

Jeśli nie liczyć dwóch osób, wszyscy dotarli na szczyt, lecz w trakcie ich zejścia pogoda się pogorszyła. Przez pięć dni cała grupa była praktycznie uwięziona w swoich namiotach na Ramieniu K2. Żywioł przypominał bezlitosną burzę, z którą Charlie Houston musiał się zmierzyć w 1953 r.; różnica polegała jednak na tym, że członkowie zespołu Charliego przynajmniej na początku czuli się zdrowi i towarzyszyło im pozytywne

nastawienie, podczas gdy większość spośród siedmiorga wspinaczy znajdujących się w 1986 r. na Ramieniu K2 była już wyczerpana i zbliżała się do granic wytrzymałości.

Brytyjka Julie Tullis zmarła jako pierwsza; jej ostatnie słowa były prośbą do najsilniejszego z Austriaków, Williego Bauera, by ten pomógł bezpiecznie zejść na dół jej partnerowi, Kurtowi. Diemberger był wstrząśnięty, ale na tym etapie wszyscy byli w fatalnym stanie. Skończyło się jedzenie i zapas gazu w butlach, więc wspinacze nie mogli topić śniegu, by zapewnić sobie w ten sposób wodę.

Gdy burza wreszcie ucichła, trzech spośród ocalałych nie byli w stanie schodzić: Al Rouse nie opuszczał swojego śpiwora od ponad 48 godzin i nie mógł wstać. Alfred Imitzer i Hannes Wieser byli tak słabi, że ich rodak Willi Bauer miał trudności z przekonaniem ich do tego, by w ogóle ruszyli w dół. Po wyjściu z namiotów i pokonaniu kilkunastu metrów opadli z sił, więc Bauer musiał kontynuować zejście bez nich. Diemberger i Bauer zdołali dotrzeć do bazy i podnieśli alarm, ale Dobrosława Miodowicz-Wolf zmarła w trakcie zejścia.

Gdy sezon dobiegł końca, okazało się, że 27 osób dotarło na szczyt, natomiast 13 zginęło — 7 z nich w drodze powrotnej po zdobyciu K2. Pojawiające się stopniowo szczegóły na temat tragedii na K2 zaowocowały falą wyrażających szok nagłówków w europejskiej prasie, natomiast środowisko wspinaczkowe pogrążyło się w głębokich rozważaniach. Brytyjski ekspert zajmujący się działalnością na dużej wysokości, doktor Michael Ward, wybitny wspinacz, a zarazem członek wyprawy działającej w 1953 r. na Mount Evereście, przygotował jako współautor list otwarty opublikowany na łamach „The Timesa”; zdaniem Warda niedawne wydarzenia na K2 były wynikiem nowej mody, by wspiąć się w stylu alpejskim, bez dodatkowego tlenu^[1]. Na coś takiego mogło sobie pozwolić kilku najlepszych sportowców, takich jak Włoch Reinhold Messner, najwybitniejszy wspinacz tamtej epoki, lecz dla większości pozostałych ludzi było to zbyt niebezpieczne.

W Stanach Zjednoczonych Charlie Houston wyraził bardzo podobną opinię w artykule *Death in High Places* opublikowanym na łamach „American Alpine Journal” — pytał tam, czy jakikolwiek wspinacz może „naruszać zasady fizjologii” i oczekiwać, że przeżyje. Charlie nie przebierał w słowach, przypisując zgony, które miały miejsce w tamtym roku na K2, połączonym następstwem odwodnienia, niedotlenienia i hipotermii, które były wynikiem kombinacji „kiepskiej oceny sytuacji, złych manier i pecha”^[2].

Houston zwrócił uwagę na to, że wydarzenia rozegrały się bardzo blisko miejsca tragedii, która spotkała jego wyprawę w 1953 r.; doszło do nich także w tym samym tygodniu w roku. Inni również porównywali zespołowe wysiłki mające na celu sprowadzenie na dół dotkniętego chorobą Arta Gilkeya i „porzucenie” Ala Rouse’a przez towarzyszy, z którymi dzielił namiot. Oczywiście jeśli weźmiemy pod uwagę specyficzne okoliczności, jakie zaistniały w 1986 r., takie porównanie było nieuczciwe, lecz pytania były nieuniknione. Inny zasłużony brytyjski wspinacz, Trevor Braham, zapytał dobitnie na łamach „American Alpine Journal”: czy nastąpiła właśnie nowa era samolubnej rywalizacji, a tradycyjną etykę wspinaczkową zastąpił nowy zestaw wartości, w którym ambicja brała górę nad działaniami zespołowymi i poczuciem braterstwa?^[3]

W niektórych aspektach dyskusja na temat wspinaczki w stylu alpejskim nawiązywała do debaty dotyczącej wyprawy Fritza Wiessnera z 1939 r. oraz pytania o to, co składa się na uzasadnione ryzyko. Tym razem sednem dyskusji nie było jednak zderzenie niemieckich i brytyjskich wartości, lecz różnice kulturowe między starszym i młodszym pokoleniem. Tragedia, która miała miejsce w 1986 r. na K2, mogła się wydarzyć na dowolnej wysokiej górze w Himalajach lub w Karakorum; K2 ze względu na swoje „obiektywne niebezpieczeństwa” i nieuniknione zagrożenia, takie jak wysokość lub nastromienie, był idealną sceną dla współczesnej tragedii wspinaczkowej^[4].

Rok później to pytanie dotyczące ambicji i ryzyka nabrało nowego wydźwięku, gdy K2 pojawił się w prasie z zupełnie innych — i jeszcze bardziej niespodziewanych — powodów. W marcu 1987 r. „The New York Times” przeprowadził wywiad z George’em Wallersteinem, profesorem astronomii na Uniwersytecie Waszyngtońskim w Seattle. Ów naukowiec dokonał niezwykłego odkrycia: na podstawie pomiarów przeprowadzonych pod koniec sezonu 1986 stwierdził, że K2 ma w istocie 8859 m n.p.m., czyli jest o 248 metrów wyższy, niż wskazywały na to pierwsze pomiary podpułkownika T.G. Montgomeriego, i o jakieś 11 metrów wyższy niż Mount Everest.

Odkrycie Wallersteina było szeroko komentowane przez prasę na całym świecie; jak można się było spodziewać, wzbudziło spore zainteresowanie we Włoszech. Czy to oznaczało, że na najwyższą górę świata wspięli się Compagnoni i Lacedelli, a nie Hillary i Tenzing? Katastrofalny sezon 1986 nadszarpnął reputację K2, ale może poprawiłaby się ona, gdyby okazało się, że ta góra jest wyższa od Mount Everestu? Człowiekiem, który podjął się rozstrzygnąć te wątpliwości, był sam Ardito Desio.

Miał już niemal 90 lat, ale nadal nie brakowało mu chęci do działania. Zwrócił się do Narodowego Ośrodka Badawczego, który wyłożył większość środków na wyprawę z 1954 r., po czym przekonał władze tej instytucji do sfinansowania ekspedycji, która zaczęłaby się od Mount Everestu, a potem przeniosłaby się na K2, używając identycznego sprzętu do pomiaru wysokości obu tych gór. Technologia rozwijała się w bardzo szybkim tempie: George Wallerstein polegał w kwestii określania lokalizacji na wczesnej generacji satelitów amerykańskiej marynarki wojennej, natomiast Desio miał możliwość zdobycia najnowszego sprzętu GPS, który miał być dużo dokładniejszy. 20 lat później moduł GPS stał się typowym wyposażeniem każdego telefonu komórkowego, lecz w 1987 r. była to bardzo nowoczesna technologia, do której trudno było uzyskać dostęp.

Dziewięcioosobowy zespół Desia obejmował dwóch wspinaczy, którzy przetrwali sezon 1986 na K2: Kurta Diembergera, mianowanego oficjalnym kamerzystą wyprawy, a także Agostina Da Polenę, który rok wcześniej dotarł na szczyt. Ostatecznie z powodów rodzinnych Desio nie mógł pojechać razem z całą wyprawą, ale nadzorował wszystko w typowym dla siebie stylu, dbając o sprawny przebieg ekspedycji. Na początku sierpnia udało się zmierzyć Mount Everest, a kilka tygodni później członkowie wyprawy dotarli pod K2. Ten jeden raz bogowie pogody okazali swoją przychylność, dzięki czemu pomiary w obu miejscach udało się przeprowadzić w idealnych warunkach.

Po porównaniu danych Desio ogłosił, że K2 rzeczywiście jest wyższy, niż zakładał pierwszy geodeta określający wysokość tej góry, podpułkownik Montgomerie. Różnica wynosiła jednak zaledwie pięć metrów. Mount Everest także „urósł” — według elektronicznych pomiarów o całe 24 metry — co tylko powiększyło różnicę między najwyższym i drugim co do wysokości szczytem na Ziemi. Pochylając się nad przyczynami, dla których pierwotne pomiary przestały być prawidłowe, choć były nadzwyczaj precyzyjne jak na czasy, w których je przeprowadzano, Desio tłumaczył, że zarówno Himalaje, i jaki Karakorum nadal ulegają wypiętrzaniu na skutek ścierania się ze sobą płyt tektonicznych Eurazji i subkontynentu indyjskiego. Według różnych szacunków K2 zyskiwał każdego roku od 1 do 3,8 centymetra^[5].

Chociaż porównania między tymi dwiema górami zawsze będą nieuniknione, losy dwóch najwyższych szczytów na Ziemi nabrały w ostatnim okresie bardzo odmiennego charakteru. Od połowy lat 90. XX w. Mount Everest został zdominowany przez komercyjne wyprawy wynajmujące zespoły Szerpów i przewodników górskich, którzy zabierają na szczyt formowane na oczekaniu grupy złożone z klientów płacących mnóstwo pieniędzy. Większość tych ekspedycji korzysta z tak zwanej drogi dla jaków, która wiedzie południowo-wschodnią granicą

zdobywaną na początku lat 50. przez zespoły z Wielkiej Brytanii i Szwajcarii. W zamian za dziesiątki tysięcy dolarów stosunkowo niedoświadczeni wspinacze regularnie są wprowadzani na szczyt. W 2012 r. dotarło tam 548 kobiet i mężczyzn — w jednym sezonie górę zdobyło niemal tyle samo osób, co podczas 40 lat, które upłynęły od pierwszego wejścia ^[6].

Na K2 działała garstka półkomercyjnych wypraw, ale dużo większe trudności techniczne tej góry sprawiają, że komercyjne przewodnictwo na wielką skalę jest tam czymś nierealnym. Trudno sobie wyobrazić, że nadmierny tłok, uważany za przyczynę wielu zgonów, które miały w ostatnich latach miejsce na Mount Evereście, stanie się kiedykolwiek normą na K2. Z drugiej strony praktyka sprzedaży w jednym sezonie wielu pozwoleń na działalność na danej górze nie została zarzucona po tragedii z 1986 r. i nie wydaje się, by miała zaniknąć. Choć wspinaczka i działalność trekkingowa nie odgrywają w gospodarce Pakistanu tak dużej roli, jak w Nepalu, ilość pieniędzy napływających z zagranicy jest po prostu zbyt duża, by przywrócić stary system, czyli przyznawanie w danym sezonie pozwolenia tylko jednemu zespołowi.

Jak na ironię, jeden z aspektów nowoczesnej wspinaczki, który powinien doprowadzić do zwiększenia bezpieczeństwa, przekłada się teraz na większe zagrożenie: mam tu na myśli możliwość względnie precyzyjnego przewidywania pogody. Dzisiaj większość wypraw pojawiających się pod K2 uzbrojona jest w telefony satelitarne i laptopy. Dzień po dniu donoszą o swoich postępach i wykorzystują zdobyte techniki, by odczytywać szczegółowe prognozy pogody. W przeszłości próby zdobycia szczytu mogły być rozciągnięte na wiele tygodni; dzisiaj zespoły czekają raczej w bazie na obiecujące okno pogodowe, a potem ruszają na szczyt w bardzo zbliżonym czasie. Takie zachowanie było podstawową przyczyną drugiej poważnej tragedii na K2 — wydarzeń, które miały miejsce w 2008 r.

Wszystko zaczęło się od sytuacji, w której licząca 73 osoby grupa wspinaczy, tragarzy i Szerpów czekała w bazie na okno pogodowe umożliwiające ruszenie na szczyt Żebrem Abruzzów. W 2007 r. K2 zdobyło 31 osób, więc w bazie panowały dobre nastroje, a górę obrali za cel wspinacze pochodzący między innymi z Korei, Singapuru, Holandii, Włoch, Stanów Zjednoczonych, Irlandii i Serbii. Wiele spośród tych osób miało duże doświadczenie, a dla niektórych była to druga próba zdobycia K2. W czerwcu i lipcu wspinacze prześladowały burze i obfite opady śniegu, ale pod koniec miesiąca cztery niezależne serwisy meteorologiczne donosiły, że pogoda ma się zmienić — kilka zespołów postanowiło w tej sytuacji połączyć siły i podjąć zbiorową próbę zdobycia szczytu.

Praktyka instalowania długich odcinków lin poręczowych, zapoczątkowana przez Włochów w 1954 r., sięgała teraz coraz wyższych partii góry. Zamiast wiązać się liną dla zapewnienia sobie nawzajem bezpieczeństwa, wspinacze wpinali się do długich odcinków liny przytwierdzonej do podłoża przy użyciu haków i śrub lodowych. W teorii było to bezpieczniejsze, zwłaszcza przy kiepskiej pogodzie, kiedy takie liny zapewniały zarówno informację o przebiegu drogi, jak i poręcz prowadzącą na szczyt.

Jednym z kluczowych miejsc, w których należało założyć poręczówki, była Szyjka Butelki — wąski żleb położony na wysokości 8080 m n.p.m., prowadzący do góry w kierunku szczytu. Niestety, staranne planowanie w bazie nie przełożyło się na skuteczną realizację tych zamiarów w wyższych partiach góry. Wczesnym rankiem 1 sierpnia różne zespoły zebrały się w okolicach Szyjki Butelki, by odkryć tam, że poprzedniej nocy na miejsce nie dotarło ani wystarczająco dużo liny, ani odpowiednio dużo personelu, który mógłby zainstalować poręczówki. Ponieważ liny były dopiero zakładane, dwudziestokilkuosobowa grupa została zmuszona do czekania na dużej wysokości w kolejce, której nikt nie przewidział (i o której nikt wcale nie marzył).

Pierwszą ofiarą był serbski wspinacz Dren Mandić. Około jedenastej rano dotarł do połowy wysokości Szyjki Butelki. W którymś momencie wypiął się z poręczówki (przypuszczalnie dlatego, że potrzebował zmienić butlę z tlenem), by przepuścić innych wspinaczy. Kilka chwil później poślizgnął się i spadł jakieś 100 metrów. Zanim grupa, która ruszyła mu na ratunek, zdołała do niego dotrzeć, było oczywiste, że Serb nie żyje. Podczas próby zniesienia na dół ciała Mandića zginął też Jehan Baig, pakistański tragarz wysokościowy.

W wyższych partiach góry pozostali wspinacze powoli zmierzali w kierunku szczytu. Pierwsi z nich dotarli tam o piętnastej, ale musiało minąć kolejnych pięć godzin, zanim pozostałych 17 osób zdobyło K2. Dotarcie tam tak późno oznaczało, że niemal wszyscy będą musieli schodzić po ciemku.

Około dwudziestej trzydzieści troje członków zespołu norweskiego schodziło Szyjką Butelki, gdy z góry spadła ogromna bryła lodu, zrzucając jednego z mężczyzn, Rolfa Baego, a także przecinając liny poręczowe. Jak na ironię, Bae nie zdobył tego dnia szczytu, lecz zatrzymał się jakieś 100 metrów poniżej, by poczekać na powrót żony, Cecilie Skog, która kontynuowała wspinaczkę bez niego.

Biorąc pod uwagę, że poręczówki zostały przecięte, a wokół zapadały ciemności, zejście z góry stało się dużo trudniejsze. Większość wspinaczy miała ze sobą czołówki, ale nikt nie zabrał dodatkowej liny, a kolejnym czynnikiem zwiększającym ryzyko był fakt, że niektóre fragmenty drogi były teraz pokryte kawałkami lodu. Licząca 14 osób grupa stanęła w obliczu trudnego wyboru: schodzić po ciemku, rezygnując z bezpieczeństwa zapewnianego przez liny poręczowe, czy przeczekać noc i spróbować zejść o świcie.

Spośród siedmiu osób, które wybrały pierwszą z tych opcji, sześć dotarło na dół — Francuz Hugues D'Aubarede zginął na skutek upadku. Pozostali marzli aż do świtu. Wśród chaosu, który zapanował następnego dnia, gdy poniżej organizowano zespoły ratunkowe, wspinacze mający za sobą noc powyżej Szyjki Butelki próbowali pokonać tę przeszkodę. Chociaż

dokładny przebieg wydarzeń wciąż jest przedmiotem dyskusji, z tej grupy na skutek kolejnych obrywów zginęło 7 osób; liczba ofiar wzrosła tym samym do 11 osób, które straciły życie w ciągu 48 godzin^[7].

Panikę i chaos pogłębiał dodatkowo fakt, że wszystko działo się w erze błyskawicznej komunikacji. Na początku lat 50. musiało upłynąć kilka tygodni, nim rodziny Arta Gilkeya i Maria Puchoza dowiedziały się o ich śmierci; w przypadku wydarzeń z 2008 r. można było odnieść wrażenie, że wszystko rozgrywa się w czasie rzeczywistym. Doniesienia z bazy były wysyłane za pośrednictwem telefonów satelitarnych i poczty elektronicznej w ciągu kilku dni, a czasem wręcz kilku godzin od wydarzeń. Trudno się dziwić, że w takiej sytuacji zdarzały się błędy, jeśli chodzi o informacje o tym, kto przeżył, a kto zginął.

W czasie tragedii, która rozegrała się na K2 w 2008 r., nie brakowało chwil pełnych niezwykłego heroizmu i odwagi, ale wydarzenia zawierały też pewien pierwiastek nadmiaru: zbyt wiele zespołów, za dużo technologii, zbyt wielu wspinaczy próbujących dotrzeć w tym samym czasie w to samo miejsce. Przez lata w prasie pojawiały się sensacyjne doniesienia na temat kolejek tworzących się wysoko na Mount Evereście, na Stopniu Hillary'ego, ale K2 nadal cieszył się reputacją góry wspinaczy, na którą porywała się tylko światowa czołówka.

Oczywiście, była to iluzja: Guy Knowles i Dudley Wolfe pojechali na K2 odpowiednio w 1902 i 1939 r. bez większego doświadczenia, a Wolfe zapłacił za to najwyższą cenę. Gdy dotarcie pod K2 było trudne i kosztowne, liczba wspinaczy działających na tej górze była ograniczona — era szybkich i tanich lotów sprawiła jednak, że nie trzeba już dysponować setkami tysięcy dolarów ani wieloma miesiącami wolnego czasu, by podjąć próbę wejścia na K2 lub którykolwiek wielki szczyt w Himalajach. Jednym z ważnych źródeł radości płynącej ze wspinaczki był zawsze fakt, że tej działalności nie ograniczały nigdy żadne „oficjalne” zasady. Nie było żadnych

zewnątrznych przeszkód, które należało pokonać przed rozpoczęciem wspinaczki na dany szczyt (jeśli nie liczyć trudności, jakie dana osoba sama sobie wynajdowała). Z drugiej strony nowa epoka, w której wiele wypraw działa w tym samym czasie na jednej drodze, doprowadziła do narodzin dylematów etycznych, z którymi nie musiały się mierzyć wcześniejsze pokolenia wspinaczy.

Dla ludzi takich jak Charlie Houston i Bob Bates koncepcja „braterstwa liny” — czyli poczucia wspólnego podejmowania wysiłków i oczekiwania wzajemnego wsparcia na najwyższym poziomie — była kluczowym elementem filozofii wspinaczkowej. Czy istnieje jednak coś takiego jak „braterstwo liny poręczowej”? Czy dana osoba jest odpowiedzialna za członków swojego zespołu w takim samym stopniu, jak za wspinaczy, których nigdy wcześniej nie spotkała? Dziś nawet góry najwyższe mają swoją grupkę „samotnych wilków” — osób, które pojawiają się w bazie z minimalną ilością sprzętu i mają zamiar samotnie zdobyć szczyt. Czasem są to ludzie, którzy dysponują dosyć ograniczonym doświadczeniem. Czy w sytuacji, w której podczas ich próby coś pójdzie nie tak, wszyscy inni mają obowiązek się o nich zatroszczyć? Te pytania nie są związane wyłącznie z K2, jednak ze względu na wysokość i stromiznę tej góry prawdopodobieństwo wystąpienia nieprzewidzianych komplikacji jest tam dużo większe, a zatem wspomniane dylematy stają się poważniejsze.

To wszystko bardzo odbiega od sytuacji z 1902 r., kiedy to Oscar Eckenstein i Aleister Crowley zmierzali pod K2, przekonani o tym, że góra nie przedstawia „żadnych poważniejszych trudności technicznych” i można ją bez trudu zdobyć w kilka dni. Oczywiście nie mieli racji, lecz dziś możemy się tylko zastanawiać, jak Crowley zapatrywałby się na dzisiejszą reputację K2 jako „najtrudniejszej góry na naszej planecie”. Na początku XX w. świat skrywał dużo więcej tajemnic, a ekscytacja towarzysząca próbom zdobywania tej góry nie była zakłócana tak jak dziś przez przesadzone stwierdzenia.

Historia — a przynajmniej historia wspinania — obeszła się z pionierami K2 dosyć łaskawie. W 1902 r. Oscar Eckenstein i Aleister Crowley byli uważani za indywidualistów, ale obaj weszli z czasem do panteonu „wizjonerów wspinaczkowych”. Nawet jeśli uchodzą dziś za ekscentryków, zdobyli uznanie dzięki temu, że byli orędownikami koncepcji wspinaczki bez wsparcia ze strony zawodowych przewodników.

Crowley przeżył Eckensteina o 26 lat i zyskał dużo większą sławę, chociaż przypuszczalnie lepszym określeniem byłaby tu „niesława”. W 1923 r. został nazwany na łamach jednego z brytyjskich czasopism „najbardziej niegodziwym człowiekiem na świecie”, a jego eksperymenty z seksem, narkotykami i okultyzmem sprawiły, że przedstawiciele kolejnych pokoleń darzyli go dużo większą sympatią niż ludzie żyjący w jego czasach. W 1967 r. został uwieczniony na okładce jednego z najśłynniejszych albumów muzycznych lat 60., *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* zespołu The Beatles. W sytuacji, w której do wielbicieli Crowleya zaliczali się także Jimmy Page z Led Zeppelin i Ozzy Osbourne z Black Sabbath, Brytyjczyk (przynajmniej przez pewien czas) był bardziej znany w świecie rock and rolla niż w środowisku wspinaczkowym.

Chociaż istnieje spore prawdopodobieństwo, że to właśnie Crowley wskazał grań południowo-wschodnią jako najłatwiejszą drogę prowadzącą na szczyt, nie nazwano jej wcale na jego cześć (jego nazwiska nie nosi zresztą żadna spośród wybitnych formacji K2). Osobą, którą uhonorowano w ten sposób, był kolejny pretendent do miana zdobywcy tej góry; gdy jakikolwiek wspinacz rusza dziś do góry Żebrem Abruzzów, oddaje (przynajmniej lingwistycznie) cześć wybitnemu włoskiemu księciu, który dołożył tylu starań, by rozślawić K2.

Podobnie jak miało to miejsce w przypadku Oscara Eckensteina, wyprawa na K2 była ostatnią dużą ekspedycją wspinaczkową księcia Abruzzów. W trakcie pierwszej wojny światowej awansował on we włoskiej marynarce do stopnia admirała. Po zakończeniu działań wojennych spędzał większość czasu w będącej włoską kolonią Somalii, gdzie założył

eksperymentalną osadę rolniczą. W 1933 r. zmarł w stosunkowo młodym wieku (miał raptem 60 lat) w małym domku, który miał jakoby dzielić z Fadumą Ali, Somalijką, z którą łączył go ukrywany przed światem romans.

Charlie Houston, kolejna ważna postać we wczesnej historii K2, żył zdecydowanie dłużej — odszedł w 2009 r., w budzącym podziw wieku 96 lat. Żadna z formacji K2 nie została nazwana na jego cześć, ale jego osoba zawsze będzie łączona z tą górą. W 1938 r. przeprowadził rekonesans, który na wiele sposobów był wzorcowym przykładem takich działań, a jego druga próba zdobycia szczytu w 1953 r. była jedną z najsłynniejszych wypraw wspinaczkowych w powojennej historii tego sportu. Jak napisał Reinhold Messner, zespół Houstona nie dotarł do szczytu, ale poniósł porażkę „w najlepszym stylu, jaki można sobie wyobrazić”.

Kilku członków tego zespołu uczestniczyło jeszcze w innych ekspedycjach, lecz dla Charliego Houstona druga próba zdobycia K2 była punktem zwrotnym, jak sam to później nazywał — „objawieniem”. Otarł się o śmierć, a do tego zmagał się z poczuciem winy związanym z tym, co spotkało Arta Gilkeya; w tej sytuacji praktycznie przestał się wspinać i nigdy nie pojechał już na kolejną dużą wyprawę.

Rezygnacja z czegoś, co było dla niego tak wielką pasją, nie była jednak łatwa. Wspinaczka stanowiła centralny punkt jego życia od czasów studenckich, a chociaż uważał się za lidera hołdującego zasadom demokracji, najwyraźniej lubił kierować różnymi zespołami. Przez kolejnych 10 lat zmagał się z okresową depresją, a jego życie zdominowały niepewność i brak punktu zaczepienia. Przeprowadził się do Aspen, by zaangażować się tam w działania nowatorskiego centrum zdrowia fizycznego i psychicznego; przeznaczył rok na prace nad sztucznym sercem prowadzone w Stanach Zjednoczonych przez National Heart Institute; podczas kadencji Kennedy'ego pracował w Korpusie Pokoju, by ostatecznie wrócić do Ameryki i objąć posadę profesora medycyny na Uniwersytecie w Vermont.

Nowym zagadnieniem, któremu planował poświęcić swoją uwagę, miała być medycyna społeczna, ale jeszcze w tym samym roku, w którym Charlie zaczął pracować na uniwersytecie, został zaproszony do wzięcia udziału w ambitnym projekcie, którego celem było stworzenie medycznego laboratorium badawczego działającego na wysoko położonym płaskowyżu niedaleko góry Logan w kanadyjskim Jukonie. Przez następną dekadę co roku spędzał tam praktycznie cały lipiec, przeprowadzając liczne eksperymenty dotyczące rozmaitych aspektów funkcjonowania organizmu ludzkiego na dużej wysokości; stworzył też dziesiątki publikacji naukowych.

W 1987 r. historia zatoczyła koło, gdy Houston zorganizował w ośrodku badawczym amerykańskiej armii w Massachusetts drugą odsłonę „Operacji Everest”. Tym razem projekt był realizowany na jeszcze większą skalę, a ośmiu uczestników eksperymentu spędziło w komorze dekompresyjnej aż 40 dni, biorąc udział w symulowanej wspinaczce na wysokość 8840 m n.p.m. Podczas gdy w 1946 r. eksperyment miał ograniczony zakres, tym razem Charlie dysponował zespołem 25 naukowców i dużo bardziej wyszukanym sprzętem, który pozwalał skuteczniej zgłębiać skomplikowany sposób, w jaki ludzkie ciało reaguje na wysokość i adaptuje się do takich warunków.

W chwili śmierci w 2009 r. Charlie był uważany za światowego eksperta w dziedzinie reakcji organizmu ludzkiego na warunki panujące na dużej wysokości. Nie rozwiązał wszystkich zagadek związanych z tym zagadnieniem, ale miał znaczący wkład w poszerzanie wiedzy naukowej i stanowił inspirację dla kolejnych pokoleń badaczy. Zdaniem niektórych spośród jego przyjaciół było to jego największe życiowe osiągnięcie, chociaż dla osób przygotowujących na całym świecie nekrologi to wyprawa na K2 z 1953 r. była największym dokonaniem Houstona.

Kredo Charliego, realizowane w praktyce podczas jego ekspedycji — to, że sposób, w jaki podejmujesz próbę, jest

równie ważny jak to, czy dotrzesz na szczyt — nigdy nie będzie się dobrze sprzedawać w rzeczywistości, w której rywalizacja i indywidualizm stały się kluczowymi wartościami, ale niekwestionowana odwaga i głęboko ludzkie zachowania, które były wyraźnie widoczne podczas wyprawy z 1953 r., sprawiły, że wspomniana ekspedycja przeszła już do legendy.

Jeśli wziąć pod uwagę rywalizację między Charliem Houstonem a Fritzem Wiessnerem, a także wyraźną niechęć, jaką do siebie nawzajem żywili, trzeba uznać za ironię losu to, że obaj ostatecznie zamieszkali bardzo blisko siebie. Charlie spędził ostatnich 40 lat swojego życia w Burlington w stanie Vermont — dokładnie tym samym mieście, w którym Fritz uruchomił w 1946 r. swoją firmę wytwarzającą wosk do nart. Wiessner mieszkał z kolei w pobliskim Stowe. Obaj byli uważani w amerykańskiej społeczności wspinaczkowej za ważne osobistości, lecz nigdy się nie pogodzili.

Podobnie jak Charlie, Fritz po powrocie z K2 nie pojechał już na żadną większą wyprawę wspinaczkową. Jego działalność biznesowa związana z wytwarzaniem i sprzedażą wosku do nart nabrała rozpędu w trakcie drugiej wojny światowej; w kolejnych latach też odnosił na tym polu sukcesy, a Wiessner's Wonder Wax stał się jego najpopularniejszym i najsłynniejszym produktem. W 1945 r. ożenił się z Muriel Schoonmaker, która urodziła mu później dwójkę dzieci.

Gdy na początku lat 50. wspinacze znów zaczęli organizować zakrojone na dużą skalę wyprawy w Himalaje, Fritz był na tyle zajęty sprawami rodzinnymi i biznesowymi, że nie miał ochoty wyjeżdżać na wiele miesięcy na drugi koniec świata, chociaż z drugiej strony nie potrafił też w pełni wyzbyć się fascynacji dotyczącej K2. Jesienią 1953 r., po porażce wyprawy Houstona, przez pewien czas rozważał zorganizowanie kolejnej wyprawy na K2 i wysłał nawet do American Alpine Clubu pytanie o ewentualne wsparcie ze strony tej organizacji. Ostatecznie z tych planów nic nie wyszło, ale Fritz utrzymywał bliskie kontakty z Arditem Desiem, kierownikiem włoskiej wyprawy.

Wiessner nigdy nie stracił jednak chęci uczestnictwa w wyprawach wspinaczkowych działających na mniejszą skalę. Przez resztę swojego życia spędzał większość wakacji i czasu wolnego wśród skał i gór Ameryki Północnej, przez cały czas utrzymując wysoką formę. Wspinał się na całym świecie, począwszy od Meksyku, poprzez Australię i Alpy, a skończywszy na Północnej Walii; prowadził też trudne drogi w imponującym wieku 86 lat. Nigdy nie wrócił na K2, choć na początku lat 60. odwiedził Indie i spędził trochę czasu w Sikim na północy kraju, gdzie złożył wizytę Pasangowi Lamie, swojemu partnerowi wspinaczkowemu z 1939 r. Gdy w późniejszym okresie Pasang zmagał się z poważnymi trudnościami, Fritz wspierał go finansowo.

Fritz Wiessner nie był osobą, którą tak jak Charliego Houstona popychałby do działania niepokój; nie posiadał też cechy, którą autorka biografii Houstona, Bernadette McDonald, określiła mianem „zapędów mesjanistycznych”. Podczas gdy Charlie pisał artykuły i wypowiadał się publicznie na wszelkie możliwe tematy, od etyki wspinaczkowej aż po wpływ turystyki masowej na Nepal, Fritz starał się nie zwracać na siebie uwagi, chociaż podejmował wiele działań na rzecz American Alpine Clubu. Wspinaczka była bez wątpienia sednem jego życia. Jak kiedyś powiedział, była źródłem jego „największych radości i najgłębszych smutków”, a najbardziej emocjonalnym doświadczeniem była bezapelacyjnie wspinaczka na K2^[8].

Fritz na starość regularnie powtarzał dziennikarzom, że gdyby tylko Pasang Lama zgodził się towarzyszyć mu w tamtą bezwietrzną noc w lipcu 1939 r., mogliby razem dotrzeć na szczyt, zejść, zabrać po drodze Dudleya Wolfe'a i wrócić do Stanów Zjednoczonych jako bohaterowie. Bardzo wiele późniejszych wydarzeń wynikało właśnie z owej brzemiennej w skutki chwili, kiedy Fritz postąpił wbrew własnemu instynktowi i zawrócił ze względu na swojego Szerpę.

Gdy Wiessner zmarł w 1988 r., z całego świata napływały ciepłe słowa pod jego adresem. Bez względu na pytania, które

podnosiła książka Putnama i Kauffmana poświęcona wyprawie z 1939 r., Fritz nadal cieszył się bardzo dobrą reputacją. Nawet jeżeli dochodziło do ostrych sporów, nikt nie kwestionował tego, że Wiessner dokonał czegoś niezwykłego i znalazł się o krok od szczytu.

W tym miejscu warto się zastanowić nad interesującym pytaniem: czego mogliby dokonać Houston i Wiessner, gdyby wspinali się razem w 1939 czy nawet 1953 r.? Czy dotarliby na szczyt K2? Obaj byli niezwykle utalentowani i pełni wiary we własne umiejętności. Gdyby Charlie był w 1939 r. prawą ręką Fritza, nie sposób sobie wyobrazić, by ktoś zebrał sprzęt z któregośkolwiek obozu przed powrotem zespołu działającego wysoko na górze. Chociaż w 1939 r. Fritz nie chciał, by Paul Petzoldt został członkiem jego zespołu, później doszedł do przekonania, że byłiby doskonałymi partnerami.

Gdyby Fritz został zaproszony na wyprawę Houstona w 1953 r., jego znajomość góry miałyby z perspektywy całej ekspedycji ogromną wartość. Miałyby wówczas 53 lata, czyli uchodziłby za osobę, która okres świetności ma już za sobą, ale nadal byłby o 12 lat młodszy niż Carlos Soria Fontán — hiszpański wspinacz, który w 2004 r. zdobył K2 w wieku 65 lat.

Oczywiście tego typu hipotetyczne pytania nie mają większego znaczenia. Przy odrobinie szczęścia Fritz mógł odnieść sukces w 1939 r. z Pasangiem Lamą, a chociaż Charlie nie zgłosiłby w 1953 r. swojej kandydatury do udziału w ataku szczytowym, istnieje spore prawdopodobieństwo, że kilku innych członków jego zespołu dotarłoby na wierzchołek K2, gdyby tylko ekspedycji dopisała lepsza pogoda.

Patrząc z drugiej strony, obydwie te wyprawy mogły się zakończyć dużo gorzej, gdyby nękały je okropne burze podobne do tych, które prześladowały ekspedycję Oscara Eckensteina w 1902 r. Szczęście odgrywa bardzo istotną rolę we wszystkich sportach wysokiego ryzyka, a bez względu na to, jak dobry jest taki czy inny zespół, pogoda niemal zawsze jest decydującym czynnikiem wpływającym na losy wszelkich wypraw wspinaczkowych.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Fritz Wiessner i Charlie Houston są teraz uważani za kluczowe postacie w historii K2, chociaż nie zdołali osiągnąć celu, pewnym paradoksem jest to, iż dwaj mężczyźni, którzy zdobyli szczyt, Achille Compagnoni i Lino Lacedelli, są dziś oceniani w dużo bardziej niejednoznaczny sposób. Podobnie jak wielu innych wspinaczy przewijających się w tej historii, po powrocie z K2 żaden z nich nie pojechał już na żadną większą wyprawę. W 1954 r. Compagnoni miał 40 lat, a zanim w sprawie wytoczonej przez niego producentom filmu o wyprawie na K2 zapadł nieunikniony (i niekorzystny dla niego) wyrok, zdobywca szczytu był już o cztery lata starszy. Być może po prostu czuł, że jest za stary, by wracać w góry wysokie. Nadal pracował jako instruktor narciarstwa i przewodnik górski, wielokrotnie zdobywał też szczyt Matterhornu, zanim wreszcie przeszedł na emeryturę i zajął się prowadzeniem hotelu w Cervinii, który po dziś dzień nosi jego nazwisko. Sława Compagnoniego utrzymywała się przez wiele lat po wyprawie na K2, był też odznaczany przez wiele organizacji i rządów na całym świecie.

Lino Lacedelli był o 10 lat młodszy i cieszył się dobrą opinią jako wspinacz, ale chociaż nadal pracował jako przewodnik górski i prowadził w Dolomitach sklep wspinaczkowy i narciarski o nazwie K2 Sports, on również nie pojechał już na żadną większą wyprawę. Bezpośrednio po sukcesie odniesionym w 1954 r. wspominał o powrocie w Karakorum i wspięciu się na niezdobytego wówczas sąsiada K2, Broad Peak, lecz komplikacje związane ze zdobywaniem pozwoleń sprawiły, że wyprawa nigdy nie wyszła poza stadium planowania. Achille Compagnoni miał w sobie coś z showmana; Lino Lacedelli nie przepadał z kolei za rozgłosem i uwagą, którą przyciągał jako bohater narodowy — wolał żyć z dala od światła reflektorów. W 2004 r. jako 79-latek dał się namówić na trekking do bazy pod K2 w ramach obchodów pięćdziesiątej rocznicy zdobycia szczytu i zaskoczył dużo młodszych towarzyszy swoją siłą i wytrzymałością.

Walter Bonatti przeszedł do historii jako jeden z najsłynniejszych powojennych wspinaczy i nadal pozostaje ważną postacią we włoskim środowisku związanym z górami. Dziś jego udział w dostarczeniu zespołowi szczytowemu zestawów tlenowych oraz nieplanowanym biwaku na wysokości 8100 m n.p.m. uważany jest za kluczowy czynnik, który doprowadził do sukcesu wyprawy z 1954 r. Kilka lat później Bonatti starał się (niestety bez powodzenia) zebrać środki, dzięki którym mógłby wrócić w Karakorum, by podjąć drugą próbę zdobycia K2 — tym razem bez tlenu. Dziś możemy tylko spekulować, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że dopiąłby swego. W książce *K2: Il prezzo della Conquista* Lino Lacedelli napisał, że jego zdaniem obaj z Compagnonim zdołaliby dotrzeć w 1954 r. na szczyt K2 bez dodatkowego tlenu, a fakt, iż Bonatti bez stosowania takich środków zdołał wspiąć się bardzo wysoko na K2 podczas tamtej wyprawy, a cztery lata później (również bez dodatkowego tlenu) zdobył pobliski Gaszerbrum IV mierzący 7925 m n.p.m., tylko dodaje tym spekulacjom wiarygodności.

Trudno powiedzieć, jak historia oceni wieloletni spór między Bonattim i Compagnonim. Dostępne dowody wskazują na to, że Bonatti nie miał racji, wysuwając zarzuty dotyczące kwestii tlenu, czyli swojego *menzogna di base*, zasadniczego kłamstwa, lecz w tej dyskusji było już tyle zwrotów akcji, że nie możemy jeszcze powiedzieć, iż została ona zamknięta.

Caso di K2 to bardzo smutne zakończenie historii K2, ale być może nie powinno ono nikogo dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak zagmatwane były losy tej góry. K2 jako szczyt zawsze przyciągał wyjątkowych ludzi i często był areną niezwykłych wydarzeń. Gdy weźmiemy pod uwagę wczesną historię eksploracji tej góry oraz późniejsze tragedie z 1986 i 2008 r., można zacząć się zastanawiać, dlaczego jakkolwiek wspinacz miałby chcieć atakować ten szczyt.

Istnieje wiele odpowiedzi na to pytanie: K2 urzeka niezwykłym pięknem, a piramidalny kształt nadaje tej górze wyjątkowy charakter. Sam fakt, że cieszy się ona reputacją

niebezpiecznego szczytu i „najpoważniejszego wyzwania”, w oczach wielu wspinaczy tylko dodaje jej uroku. W sytuacji, w której bardzo niewielu przedstawicieli wspinaczkowej czołówki interesuje się Mount Everestem, który nabrał komercyjnego charakteru, K2 w jeszcze większym stopniu ugruntował swoją renomę „góry wspinaczy”.

Niezwykła historia zdobywania K2 nie jest schludną i uporządkowaną opowieścią o metodycznych podbojach. Nie brak w niej dziwacznych wydarzeń i ekscentrycznych postaci — wystarczy przywołać Aleistera Crowleya grożącego rewolwerem Guyowi Knowlesowi w 1902 r., Dudleya Wolfe’a umierającego w 1939 r. wśród brudu na wysokości 7130 m n.p.m., tajemnicze zniknięcie Arta Gilkeya w 1953 r. czy Compagnoniego i Lacedellego niosących rok później na szczyt puste zestawy tlenowe. K2 to góra, na której rzeczy niezwykle są niemalże normą.

Każdego roku góra zwraca część swoich ofiar: szczątki Arta Gilkeya znaleziono w 1993 r., a zwłoki Dudleya Wolfe’a — w 2002 r. Świetnie pamiętam, jak podczas kręcenia filmu dokumentalnego dla BBC natknęliśmy się na Lodowcu Godwina-Austena na fragmenty ludzkiej klatki piersiowej. W pobliżu nie było żadnych ubrań ani sprzętu, dzięki którym można byłoby zidentyfikować te kości, więc odmówiliśmy w milczeniu modlitwę i ruszyliśmy w dalszą drogę.

W wielu artykułach i książkach powtarza się stwierdzenie, że góra jest najlepszym miejscem pochówku dla wspinacza. To pocieszająca myśl dla przyjaciół i krewnych, którzy opłakują swoich bliskich, ale ludzie, których spotkałem (i z którymi przeprowadzałem wywiady) podczas pisania tej książki i w trakcie prac nad wcześniejszym filmem dokumentalnym, byli zafascynowani górami ze względu na możliwość cieszenia się życiem, a nie dlatego, że lubili po prostu igrać ze śmiercią.

K2 świetnie pasuje do swojej nazwy: jest nagą, prostą i do pewnego stopnia niezmierną górą. Jeśli jest domem jakichś duchów, niech spoczywają one w pokoju.

Podziękowania

Chociaż większość książek jest dziełem jednego autora, siłą rzeczy są one w mniejszym lub większym stopniu owocem wspólnych wysiłków. Istnieje bardzo wiele osób, którym chciałbym podziękować za pomoc udzielaną mi w trakcie minionych lat.

Przede wszystkim pragnę podziękować zespołowi z BBC, z którym jakiś czas temu pracowałem nad filmem dokumentalnym na temat K2. To właśnie tamta produkcja zainspirowała mnie do napisania tej książki. Kluczowymi postaciami związanymi z przygotowaniem owego filmu byli: Clare Paterson, Tim Jordan, Alison Ramsey, Theresa Lydon, Richard Adam, Keith Partridge, Frank Bigg, Brian Hall i John McAvoy.

Jeśli chodzi o samą książkę, chciałbym serdecznie podziękować mojemu agentowi Anthony'emu Sheilowi; Sally Riley i wszystkim osobom zajmującym się w agencji literackiej Aitken Alexander udzielaniem licencji zagranicznych; mojemu redaktorowi Mike'owi Harpleyowi; mojej adiustatorce Tamsin Shelton, a także wszystkim pracownikom wydawnictwa Oneworld.

Film dokumentalny, który stworzyliśmy w 2000 r., bazował zasadniczo na wywiadach z żyjącymi jeszcze uczestnikami wydarzeń, krewnymi tych osób, a także historykami i wspinaczami. Niestety, niektórzy spośród przedstawicieli tego grona rozstali się już z tym światem, ale ich świadectwa zapewniły mi obszerną wiedzę na temat historii zdobywania K2, a ja chciałbym im wszystkim podziękować. Do tego grona zaliczają się: David Roberts, Bill Putnam, Andy Wiessner, Ed Webster, Dudley Rochester, Charlie Houston, Bob Bates, Bob

Craig, Dee Molenaar, Pete Schoening, George Bell, Tony Streater, Achille Compagnoni i Lino Lacedelli.

Inaczej niż w przypadku filmu, podstawą tej książki są dokumenty archiwalne, a ja nie mam wątpliwości, że nie zdołałbym napisać *Duchów K2* bez znaczącej pomocy bibliotekarzy i archiwistów z całego świata; wśród przedstawicieli tego grona na wzmiankę zasłużyli między innymi Glyn Hughes z Alpine Clubu w Londynie, Katie Sauter i Dana Gerschel z American Alpine Clubu w Kolorado, a także Alessandra Ravelli i Veronica Lisino z Club Alpino Italiano w Turynie. Chciałbym również podziękować za pomoc i wsparcie archiwistom oraz bibliotekarzom z Biblioteki Brytyjskiej w Londynie, Biblioteki Bodlejańskiej w Oksfordzie oraz Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.

Jestem wdzięczny Andy'emu Wiessnerowi i Eldzie Compagnoni za to, że zapewnili mi dostęp do prywatnych i rodzinnych zbiorów; Maria Lacedelli, Margaret Durrance, Paola Gallotti i Dee Molenaar służyli mi z kolei pomocą i wsparciem. Na podziękowania zasługują także Nandini Purani z „Himalayan Journal”, Ingo Welling z archiwów firmy Dräger i Stefano Capelli z archiwów włoskiej firmy Dalmine. Norman Hardy, Stephen Venables, Jim Curran, Bernadette McDonald, Maurice Isserman, Stewart Weaver, Leonardo Bizzaro, Roberto Mantovani, Mirella Tenderini i Jennifer Jordan pomagali mi z kolei uporać się z różnymi wątpliwościami historycznymi.

Szczególne podziękowania kieruję do moich przyjaciół, Johna McAvoya i Jerry'ego Lovatta, którzy czytali moje rękopisy, znosząc liczne literówki, brakujące słowa i błędy gramatyczne, jakimi upstrzone były moje pierwsze szkice. Bardzo dziękuję też Timowi Jordanowi, który współpracował ze mną podczas przygotowywania filmu dokumentalnego i ogromnie mi pomógł podczas pisania tej książki.

Ostatnie słowa podziękowania kieruję jak zawsze pod adresem mojej cudownej żony Stelli, a także naszych dzieci, Franka i Phyllis. Dziękuję za znoszenie mojej nieobecności, akceptowanie monotonii życia z kimś, kto właśnie pisze

książkę, okazywanie szczerego zainteresowania dziwacznymi zestawami tlenowymi, a także szeroko rozumiane utrzymywanie mnie przy życiu i dbanie o moją pomyślność.

Bibliografia

Ata-Ullah Mohammad, *Citizen of Two Worlds*, Harper, Nowy Jork 1960

Bates Robert, *The Love of Mountains Is Best*, Peter E. Randall, Portsmouth, stan New Hampshire, 1994

Bersezio Lorenzo, *Il Mito di K2*, Capricorno, Turyn 2014

Bizzaro L., Gogna A., Pinelli C., Associazione Ardito Desio, *K2: Uomini, esplorazioni, imprese*, De Agostini, Novara 2004

Bonatti Walter, *The Mountains of My Life*, Penguin Classics, Londyn 2010

Bonatti Walter, *Le mie montagne*, Zanichelli, Bolonia, 1961

Polskie wydanie: *Moje góry*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1967

Bonatti Walter, *Processo al K2*, Massimo Baldini Editore, Mediolan 1985

Bonatti Walter, *K2: La Verità*, Rizzoli, Mediolan 2014

Bonatti Walter, *Una Vita Libera*, Rizzoli, Mediolan 2012

Bowley, Graham, *No Way Down*, Viking, London, 2010
Polskie wydanie: *Bez powrotu. Życie i śmierć na K2*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019

Buffet Charlie, *Jules Jacot-Guillarmod Pionnier Du K2*, Editions Slatkine, Genewa 2012

Buhl Hermann, *Nanga Parbat Pilgrimage*, Hodder & Stoughton, Londyn 1956

Cassin Riccardo, *Fifty Years of Alpinism*, Diadem, Londyn 1981

Compagnoni Achille, *Beyond K2*, Marsilio Editore, Wenecja 2014

Compagnoni Achille, *Uomini sul K2*, Veronelli, Mediolan 2014

Compagnoni Achille, *K2 — Tra Storia e Memoria*, Bolis Edizioni, Azzano San Paolo 2004

Conefrey Mick, Jordan Tim, *Mountain Men*, Boxtree, Londyn 2001

Conway William Martin, *Climbing and Exploration in the Karakoram-Himalayas*, Fisher Unwin, Londyn 1894

Crowley Aleister, *The Confessions of Aleister Crowley*, Mandrake Press, Londyn 1929

Crowley Aleister, *The Spirit of Solitude, Vol. 2*, Mandrake Press, Londyn 1929

Curran Jim, *K2: The Story of the Savage Mountain*, Hodder & Stoughton, Londyn 1995

Curran, Jim, *K2: Triumph and Tragedy*, The Mountaineers, Seattle, 1987

Polskie wydanie: *K2: Triumf i tragedia*, Alma-Press, Warszawa 1989

De Filippi Filippo, *The Expedition to the Karakoram and the Western Himalaya*, Constable, Londyn 1912

Diemberger Kurt, *The Endless Knot*, Grafton, Londyn 1991

Desio Ardito, *La Conquista del K2*, Grazanti, Mediolan 2004

Desio Ardito, *The Ascent of K2*, Elek, Londyn 1955

Desio Ardito, *Il Libro Bianco*, Garzanti, Mediolan 1956

Desio Ardito, *Sulle Vie della Sete dei Ghiacci e dell'Oro*, Garzanti, Mediolan 2013

Eckenstein Oscar, *The Karakorams and the Kashmir Himalaya*, Unwin, Londyn 1896

Fantin Mario, *K2: Sogno Vissuto*, Tamari, Bolonia 1958

Golin Augusto, *Erich Abram: Un Alpinista Bolzanino*, Citta di Bolzano, Bolzano 2004

Herrligkoffer Karl M., *Nanga Parbat*, Elek, Londyn 1954

Houston Charles, Bates Robert, *Five Miles High*, The Lyon Press, Nowy Jork 1939

Houston Charles, Bates Robert, *The Savage Mountain*, McGraw Hill, Nowy Jork 1954

Houston Charlie, *Going Higher*, Swan Hill Press, Shrewsbury 1998

Isserman, Maurice, Weaver Stewart, *Fallen Giants*, Yale University Press, New Haven – Londyn 2008

Jacot-Guillarmod Jules, *Six Mois dans l'Himalaya, le Karakorum et l'Hindu-Kush: voyages et explorations aux plus hautes montagnes du monde*, W. Sandoz, Neuchâtel 1904

Jordan Jennifer, *The Last Man on the Mountain*, W.W. Norton, Nowy Jork 2011

Kaczynski Richard, *Perdubado*, North Atlantic Books, Berkeley 2002

Kauffman Andrew, Putnam Bill, *K2: The 1939 Tragedy*, The Mountaineers, Seattle 1992

Lacedelli Lino, Cenacchi Giovanni, *K2: Il prezzo della Conquista*, Mondadori, Mediolan 2004

McDonald Bernadette, *Brotherhood of the Rope: The Biography of Charles Houston*, The Mountaineers, Seattle 1992

Mantovani Roberto, Diemberger Kurt, *K2: Una Sfida ai confini del cielo*, White Star, Vercelli 2004

Maraini Fosco, *Karakoram*, Hutchinson, Londyn 1961

Marshall Robert, *K2: Lies and Treachery*, Carreg, Ross-on-Wye 2009

Messner Reinhold, *Walter Bonatti — Il fratello che non sapevo di avere*, Mondadori, Mediolan 2013

Messner Reinhold, Gogna Alessandro, *K2*, De Agostini, Novara 1980

Molenaar Dee, *Memoirs of a Dinosaur Mountaineer*, CreateSpace 2007

Moorehead Catherine, *The K2 Man*, In Pinn, Glasgow 2013

Neale Jonathan, *Tigers of the Snow*, St Martin's, Nowy Jork 2002

Ortner Sherry B., *Life and Death on Mt Everest*, Princeton University Press, Nowy Jork 2001

Petzoldt Patricia, *On Top of the World*, Thomas Crowell, Nowy Jork 1964

Ridgeway Rick, *The Last Step: The American Ascent of K2*, The Mountaineers, Seattle 1980

Ringholz Raye C., *On Belay*, The Mountaineers, Seattle 1997

Rowell Galen, *In the Throne Room of the Mountain Gods*, Sierra Club, San Francisco 1977

Sale Richard, *The Challenge of K2*, Pen and Sword, Barnsley 2011

Sella Lodovico, *Vittorio Sella with the Italian Expedition to the Karakoram*, Fondazione Sella, Biella 1987

Symonds John, *The Great Beast 666*, Pindar Press, Londyn 1977

Tenderini Mirella, *Tutti Gli Uomini Del K2*, Garzanti, Mediolan 2014

Tenderini Mirella, Shandrick Michael, *Pasja i powinność: Ludwik Sabaudzki książę Abruzji*, Stapis, Katowice 2003

Thompson Simon, *Unjustifiable Risk? The Story of British Climbing*, Cicerone, Milnthorpe 2010

Tullis Julie, *Clouds from Both Sides*, Grafton, Londyn 1986

Viesturs Ed, Roberts David, *K2: Life and Death on the World's Most Dangerous Mountain*, Random House, Nowy Jork 2010

Younghusband Francis, *The Heart of a Continent*, Murray, Londyn 1896

Whymper Edward, *A Right Royal Mountaineer*, William Clowes and Sons, Londyn 1909

Publikacje prasowe

Bates Robert, *The Fight for K2*, „The American Alpine Journal” 9, 1954 r.

Bates Robert, Craig Bob, *We Met Death on K2*, „Saturday Evening Post”, grudzień 1953 r.

Cromwell Oliver Eaton, *Spring Skiing in the Vale of Kashmir*, „Appalachia” 23, 1940 r.

Cromwell Oliver Eaton, *Obituary Dudley Wolfe*, „The American Alpine Journal”, 1940 r.

Documenti e Notizie Sul K2, Il Club Alpino Italiano, 1956 r.

Rivista Mensile, Il Club Alpino Italiano, wrzesień – październik 1955 r.

Rivista Mensile, Il Club Alpino Italiano, marzec – kwiecień 1956 r.

Rivista Mensile, Il Club Alpino Italiano, maj – czerwiec 1956 r.

Rivista Mensile, Il Club Alpino Italiano, wrzesień – październik 1956 r.

Sheldon George, *Lost behind the Ranges*, „Saturday Evening Post”, 16 marca 1940 r.

Streather H.R.A., *The Third American Karakoram Expedition*, „The Alpine Journal”, Londyn 1954

The Swiss Foundation for Alpine Research, *The Mountain World 1955*, Allen and Unwin, Londyn 1955

Wiessner Fritz, *The K2 Expedition of 1939*, „Appalachia”, 1956 r.

Pamiętniki

1902 Guy Knowles (niepublikowany)

1939 Jack Durrance (niepublikowany)

Fritz Wiessner (niepublikowany)

George Sheldon (niepublikowany)

1953 Dee Molenaar (niepublikowany)

Peter Schoening (niepublikowany)

1954 Pino Gallotti (niepublikowany)

Achille Compagnoni (niepublikowany)

Przypisy końcowe

Wstęp

- [1] Wszystkie dane pochodzą z serwisu 8000ers.com.
- [2] „The Geographical Journal” 1930.
- [3] F. Younghusband, *The Heart of a Continent*.
- [4] W.M. Conway, *Climbing and Exploration in the Karakoram-Himalayas*, 1894, s. 326.

Rozdział 1.

- [1] Cytat za: S. Thompson, *Unjustifiable Risk?*.
- [2] A. Crowley, *The Confessions of Aleister Crowley*.
- [3] O. Eckenstein, *The Karakoram and Kashmir*.
- [4] Tamże.
- [5] Trudno powiedzieć, co konkretnie miał na myśli autor tego artykułu. „Dapsang” to inna nazwa K2, ale osoba pisząca te słowa najwyraźniej uważała, że jest to odrębny szczyt.
- [6] „The Daily Chronicle”, 13 maja 1901 r.
- [7] Pojęcie strefy śmierci zostało stworzone przez Edouarda Wyssa-Dunanta dopiero w latach 50. XX w.
- [8] A. Crowley, *The Confessions of Aleister Crowley*, s. 300.
- [9] „Czogori” oznacza w języku Baltów wielką górę.
- [10] J. Jacot-Guillarmod, *Six Mois dans L'Himalaya*.
- [11] Zarówno Crowley, jak i Jacot-Guillarmod podają, że baza znajdowała się na wysokości 5710 m n.p.m. Musi to być błąd, gdyż przedstawiany przez nich opis pasuje do miejsca, które znajduje się na wysokości 5030 m n.p.m. i było wykorzystywane jako baza przez późniejsze wyprawy.
- [12] J. Jacot-Guillarmod, *Six Mois dans L'Himalaya*, s. 231.

[13] Crowley twierdził później, że podczas samotnej wspinaczki osiągnął wysokość około 6700 m n.p.m., ale żaden z jego towarzyszy tego nie potwierdził.

[14] Dziś wysokość Aconcagui została skorygowana do 6960,8 m n.p.m. Jeżeli barometr aneroidalny Jacota-Guillarmoda podawał błędne informacje (co wyjaśniałoby, skąd wzięła się jego pomyłka dotycząca wysokości, na jakiej znajdowała się baza), istnieje możliwość, że nieprawidłowym odczytem było również wspomniane tu 6700 m n.p.m., czyli maksymalna wysokość osiągnięta przez wspinaczy.

[15] Pamiętnik Guya Knowlesa, 15 lipca 1902 r.

[16] Jak wspomniano w jego nekrologu na łamach „Alpine Journal”, ta broń nabrała dla niego niezwyklej wartości i przez wiele lat leżała u niego na gzymsie kominka.

[17] Cytat za: R.W. Clark, *Great Moments in Mountaineering*, Roy Publishing, Londyn 1956.

[18] Pamiętnik Guya Knowlesa, 1 sierpnia 1902 r.

[19] F. de Filippi, *Karakoram and Western Himalaya*.

[20] F. de Filippi, *Karakoram and Western Himalaya*, s. 218.

[21] F. de Filippi, *Karakoram and Western Himalaya*, s. 235.

[22] F. de Filippi, *Karakoram and Western Himalaya*, s. 324.

[23] „New York Times”, 26 września 1909 r.

Rozdział 2.

[1] Ta statystyka nie obejmuje nieudanej, samotnej wyprawy Amerykanina E.F. Farmera.

[2] Niedatowany list Charliego Houstona do Henry’ego Halla, 1936.

[3] Houston i Bates w swojej książce *Five Miles High* podają datę 12 kwietnia.

[4] „Nababowie” to określenie używane w Indiach w odniesieniu do bardzo bogatych osób, które na ogół dorobiły się majątku na Wschodzie.

[5] C. Houston, R. Bates, *Five Miles High*.

[6] C. Houston, R. Bates, *Five Miles High*, s. 151.

[7] C. Houston, *A Reconnaissance of K2*, „The Himalayan Journal” 1939.

[8] Dzisiejszy wspinacz, wyposażony w raki umożliwiające stosowanie techniki frontalnej oraz czekany zaprojektowane z myślą o wspinaczce w lodzie, nie wystraszyłby się lodu o nachyleniu 60 stopni, ale w 1938 r. taki teren był uznawany za niemożliwy do pokonania.

[9] Crowley w tym okresie już się nie wspinał.

[10] List Charliego Houstona do rodziców, cytowany za: B. McDonald, *The Brotherhood of the Rope*.

[11] *One last mountain to climb*, czasopismo „Yankee”, maj 1997.

[12] Różne dokumenty klubowe, AAJ, 1938, vol. 3, s. 225.

[13] List Fritza Wiessnera do Henry’ego Halla, 1938, Kauff Papers.

[14] C. Houston, R. Bates, *Five Miles High*, s. 279.

[15] C. Houston, *A Reconnaissance of K2*, „The Himalayan Journal” 1939.

[16] C. Houston, niepublikowany artykuł, archiwa American Alpine Clubu.

[17] Patrz: B. McDonald, *The Brotherhood of the Rope*.

[18] C. Houston, „The American Alpine Journal” 1939.

Rozdział 3.

[1] List Henry’ego Halla do Fritza Wiessnera, 22 grudnia 1938 r.

[2]

<http://www.nols.edu/alumni/leader/95fall/paultellshistory.shtml>

[3] O.E. Cromwell, *Spring Skiing in the Vale of Kashmir*, „Appalachia” 23, 1940.

[4] Szósty komunikat ekspedycji, 5 czerwca 1939 r.

[5] Pamiętnik Fritza Wiessnera, 1 czerwca 1939 r.

[6] Pamiętnik Fritza Wiessnera, 6 czerwca 1939 r.

[7] Pamiętnik Jacka Durrance’a, 7 czerwca 1939 r.

[8] Pamiętnik Fritza Wiessnera, 17 czerwca 1939 r.

[9] G. Sheldon, *Lost behind the Ranges*, „Saturday Evening Post”, 16 marca 1940 r., s. 126.

[10] Pamiętnik Jacka Durrance’a, 28 czerwca 1939 r.

[11] Pamiętnik Fritza Wiessnera, 1 lipca 1939 r.

[12] Pamiętnik Jacka Durrance’a, 2 lipca 1939 r.

[13] Pamiętnik Jacka Durrance’a, notatki medyczne.

[14] Pamiętnik Jacka Durrance’a, 9 lipca 1939 r.

Rozdział 4.

[1] Ostatecznie pojawiło się 30 mężczyzn.

[2] Fritz ocenił, że znaleźli się na wysokości pomiędzy 8450 a 8600 m n.p.m.

[3] Wywiad przeprowadzony przez Maiksa. Materiał z archiwów Kauffmana; jego oryginalne źródło pozostaje nieznane.

[4] Pamiętnik Fritza Wiessnera, 22 lipca 1939 r.

[5] Pamiętnik Jacka Durrance’a, 24 lipca 1939 r.

Rozdział 5.

[1] D. Dornan, sylwetka Fritza Wiessnera, „Ascent” 1969.

[2] Warto zauważyć, że Fritz Wiessner wspominał o 17 tragarzach.

[3] List Fritza Wiessnera do Alice Damrosch, 4 września 1939 r.

[4] Gdy do George’a Sheldona dotarła wiadomość o śmierci uczestników wyprawy, napisał w swoim pamiętniku: „Jak wcześniej wspominałem, winę ponosi przede wszystkim Fritz. Wielka wyprawa na K2 dobiegła końca, a zespół stracił cztery osoby. Nie ma co, świetna robota!”.

[5] Zeznanie Jacka Durrance’a cytowane w: M. Conefrey, T. Jordan, *Mountain Men*.

[6] List Henry’ego Halla do Ellisa Fishera, 2 stycznia 1940 r.

[7] Niepublikowany manuskrypt Fritza Wiessnera.

[8] Notatka już nie istnieje. Podobnie jak większość dokumentów zebranych podczas śledztwa komisji American Alpine Clubu, zaginęła dawno temu.

[9] List Billa House'a do Andy'ego Kauffmana, grudzień 1986 r., zbiory Kauffmana, American Alpine Club.

[10] G. Rowell, *In the Throne Room of the Mountain Gods*, s. 215.

[11] E. Viesturs, *K2: Life and Death on the World's Most Dangerous Mountain*, s. 182.

[12] List Andy'ego Kauffmana do Fritza Wiessnera, 18 lutego 1982 r., zbiory Kauffmana, American Alpine Club; niepublikowany manuskrypt, zbiory Wiessnera.

[13] List Terrisa Moore'a do Andy'ego Kauffmana, luty 1990 r.

Rozdział 6.

[1] Ostatecznie cała ekspedycja pochłonęła niemal 31 tysięcy dolarów.

[2] List Charliego Houstona do Fritza Wiessnera, 8 kwietnia 1953 r., zbiory Wiessnera.

[3] Podobnie jak w przypadku wielu ekspedycji, poszczególne źródła podają różną liczbę zatrudnionych tragarzy. Jeśli tylko istniała taka możliwość, z zasady starałem się cytować daty i liczby za dokumentami, których moment powstania był maksymalnie bliski samym wydarzeniom (w tym przypadku były to komunikaty publikowane przez wyprawę).

[4] M. Ata-Ullah, *Citizen of Two Worlds*.

[5] Wywiad, *Mountain Men*, telewizja BBC 2001.

Rozdział 7.

[1] Na wysokości 6310 m n.p.m.; R. Bates, R. Craig, *We Met Death on K2*, „Saturday Evening Post”, 5 grudnia 1953 r.

[2] Pamiętnik Dee Molenaara, 28 lipca 1953 r.

[3] Nagranie zarejestrowane po wyprawie, w sierpniu 1953 r.

[4] Poszczególne źródła różnią się w kwestii tego, kiedy dokładnie przeprowadzono głosowanie dotyczące składu zespołów, które miały atakować szczyt. W niektórych spisanych później relacjach pojawia się data 3 sierpnia; inne wspominają o 4 sierpnia. Pamiętniki Dee Molenaara i Pete'a Schoeninga są w tej kwestii zgodne i podają datę 5 sierpnia.

Rozdział 8.

[1] R. Bates, R. Craig, *We Met Death on K2*, „Saturday Evening Post”, 5 grudnia 1953 r.

[2] M. Ata-Ullah, *Citizen of Two Worlds*, s. 257.

[3] Pamiętnik Dee Molenaara, list do Lee i Patti, 9 sierpnia 1953 r.

[4] Wywiad *Mountain Men*, telewizja BBC 2001.

[5] Wywiad *Mountain Men*, telewizja BBC, 2001 r.

[6] Tamże.

[7] R. Bates, R. Craig, *We Met Death on K2*, „Saturday Evening Post”, 5 grudnia 1953 r.

[8] Tamże.

[9] Wywiad *Mountain Men*, telewizja BBC 2001.

[10] R. Bates, R. Craig, *We Met Death on K2*, „Saturday Evening Post”, 5 grudnia 1953 r.

Rozdział 9.

[1] „The Times of India”, 31 sierpnia 1953 r.

[2] Telegram Ardita Desia do CAI, 2 września 1953 r.

[3] „Corriere della Sera”, 6 października 1954 r.

[4] <http://famouswonders.com/italian-lira/>

[5] Archiwa CAI, list z 29 grudnia 1953 r.

[6] Choć Tenzing urodził się w Tybecie, a dorastał w Nepalu, został okrzyknięty w Indiach bohaterem narodowym i pod koniec lat 50. przyjął indyjskie obywatelstwo.

[7] Listy Fritza Wiessnera do Ardita Desia, 1954 r., zbiory Wiessnera.

[8] List Fritza Wiessnera do Ardita Desia, 18 maja 1954 r.

[9] M. Ata-Ullah, *Citizen of Two Worlds*, s. 269.

[10] A. Desio, *La conquista del K2*.

[11] „New York Times”, 9 czerwca 1954 r.

[12] Komunikat prasowy numer 6, 8 czerwca 1954 r., archiwa CAI.

[13] Patrz: L. Lacedelli, *K2. Il prezzo della conquista*.

Rozdział 10.

[1] M. Fantin, *K2: Sogno Vissuto*, s. 53.

[2] Komunikat prasowy numer 8 przygotowany na podstawie listu wysłanego 22 czerwca 1954 r., archiwa CAI.

[3] M. Fantin, *K2: Sogno Vissuto*, s. 53.

[4] Notatka numer 11 cytowana za: A. Desio, *Il Libro Bianco*, s. 94.

[5] Komunikat prasowy numer 12, archiwa CAI.

[6] A. Desio, *La conquista del K2*.

[7] Komunikat prasowy numer 10, 24 lipca 1954 r., archiwa CAI. Listy Desia, które przekształcano w komunikaty prasowe, potrzebowały kilku tygodni, by dotrzeć z Pakistanu do Włoch; czasem przychodziły też w kolejności odbiegającej od porządku chronologicznego.

[8] *Gli Scoiattoli*, „Wiewiórki”, były niedużą, ale niezwykle szanowaną grupą wspinaczy, związaną z miejscowością Cortina d’Ampezzo.

[9] Do tej grupy należało trzech członków zespołu wspinaczkowego, Floreanini, Angelino i Gallotti, a także Pagani, lekarz wyprawy.

[10] W istocie była to pomyłka Szerpy, który dostrzegł pierwszy zespół szczytowy, Toma Bourdillona i Charlesa Evansa, na południowym wierzchołku, niecałe 100 metrów poniżej właściwego szczytu Mount Everestu.

[11] Pamiętnik Pina Gallottiego, 31 lipca 1954 r.

[12] Była to pospolita amfetamina. Austriak Hermann Buhl miał podobno zażyć trzy tabletki amfetaminy przed rozpoczęciem w 1953 r. zejścia ze szczytu Nanga Parbat.

[13] Komunikat prasowy numer 16, 19 sierpnia 1954 r., archiwa CAI.

[14] „La Stampa”, 4 sierpnia 1954 r.

[15] „Corriere della Sera”, 4 sierpnia 1954 r.

Rozdział 11.

[1] „New York Times”, 21 sierpnia 1954 r. Nie sposób ustalić, czy gazeta opóźniła publikację tego materiału, czy może to Charlie Houston czekał przez jakiś czas z wysłaniem tego listu.

[2] List Charliego Houstona do Erica Shiptona, 4 sierpnia 1954 r., archiwa American Alpine Clubu.

[3] „The Times of India”, 31 sierpnia 1954 r. W części wczesnych materiałów nazwisko Mahdiego zapisywano jako „Mehdi”, ale w celu zachowania spójności używałem wszędzie wariantu „Mahdi”.

[4] Odpis tego materiału można znaleźć w: W. Bonatti, *Storia di un caso* oraz R. Marshall, *K2: Lies and Treachery*.

[5] „Corriere della Sera”, 4 września 1954 r.

[6] „Corriere della Sera”, 9 października 1954 r.

[7] „Corriere della Sera”, 13 października 1954 r.

[8] List Charliego Houstona, 20 października 1954 r.

[9] „Settegiorni”, 18 listopada 1954 r.

[10] List Ardita Desia do Amadea Costy, 27 sierpnia 1954 r.

[11] „Visto”, Bolonia, 25 grudnia 1954 r.

[12] Patrz: A. Desio, *Il Libro Bianco*.

[13] „Epoca”, 31 lipca 1955 r.

[14] „Epoca”, 26 września 1954 r.

[15] „Alto Adige”, 8 września 1955 r.

[16] „Corriere della Sera”, 10 września 1955 r.

[17] 28 września 1955 r.

[18] Wycinek prasowy, lipiec 1958 r., archiwa CAI.

Rozdział 12.

[1] F. Maraini, *Karakoram*, s. 249 – 250.

[2] W. Bonatti, *K2: Storia di un caso*, s. 31. Ten sam materiał pojawia się w książce *Processo al K2*.

[3] W. Bonatti, *K2: Storia di Un Caso*, s. 71.

[4] R. Marshall, *K2: Lies and Treachery*, s. 196.

[5] Do tego grona zaliczali się Fosco Maraini, Luigi Zanzi i Alberto Monticone.

[6] R. Marshall, *K2: Lies and Treachery*, s. 153.

[7] Tamże.

[8] R. Marshall, *K2: Lies and Treachery*, s. 103.

[9] Godziny ich powrotu potwierdził Pino Gallotti, który prowadził szczegółowy pamiętnik i przebywał w tym czasie w obozie ósmym.

[10] Istnieją dwa krótkie filmy nakręcone podczas obozów treningowych w Alpach, ale chociaż widać tam, jak mężczyźni testują namioty, maszynki do gotowania, wciągarki i inne elementy wyposażenia, nie pokazano tam użycia zestawów tlenowych.

[11] L. Bizzaro, A. Gogna, C. Pinelli, *K2: Uomini, esplorazioni, imprese*, s. 111.

[12] To, że butle firmy Dräger były niebieskie, zostało potwierdzone przez osobę sprawującą pieczę nad archiwami tego przedsiębiorstwa. Gdy w lipcu 2013 r. na łamach włoskiej gazety „La Repubblica” ukazał się artykuł bazujący na informacjach zebranych przeze mnie podczas prób znalezienia odpowiedzi na pytania dotyczące tlenu, Luigi Zanzi, jeden z *Tre Saggi*, odrzucił te doniesienia, utrzymując, że kolor butli nie miał znaczenia. Twierdził, że jednoczesne wyczerpanie się butli w zestawach Compagnoniego i Lacedellego byłoby nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, a zatem musieli oni kłamać. Compagnoni i Lacedelli nie wspominali jednak o niczym takim — w książce Compagnoniego, *Uomini sul K2*, można przeczytać, że zestawy tlenowe przestały działać w odstępie 10 minut. W innych miejscach wspinacze twierdzili, że

tlen skończył im się mniej więcej w tym samym czasie. Oczywiście, istnieje możliwość, że przed szczytem wyczerpał się tylko gaz w zestawie z butlami Dalmine, ale jeśli wziąć pod uwagę zeznania obu członków zespołu, a także ogólny chaos towarzyszący zarówno ostatnim dniom wyprawy, jak i przygotowywaniu butli we Włoszech, jest prawdopodobne, iż obydwa zestawy przestały działać jeszcze przed szczytem.

Epilog

[1] Michael Ward, Charles Warren i Peter Lloyd, „The Times”, 30 sierpnia 1986 r.

[2] C. Houston, *Death in High Places*, „The American Alpine Journal” 61, 1987 r.

[3] „The American Alpine Journal” 93, 1988 – 1989 r.

[4] Obiektywne niebezpieczeństwa to nieustannie obecne zagrożenia wynikające chociażby z czynników klimatycznych i topograficznych.

[5] Ardito Desio podawał wartość 3,8 cm.

[6] <http://www.alanarnette.com/blog/2012/05/30/everest-2012-season-recap-a-study-in-risk-management/>

[7] Szczegółowy opis tragedii z 2008 r. można znaleźć w następujących książkach: G. Bowley, *Bez powrotu. Życie i śmierć na K2*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019; M. Confortola, *Giorno di Ghiaccio*, Baldini e Castoldi, Mediolan 2014.

[8] *In Memoriam Fritz Wiessner*, „The American Alpine Journal” 63, 1989 r.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion

Spis treści

[Wstęp Góra, która nie ma nazwy](#)

[Rozdział 1 Bestia i książkę](#)

[Rozdział 2 Chłopcy z Harvardu](#)

[Rozdział 3 Grupa wspinaczy](#)

[Rozdział 4 Wygórowane ambicje](#)

[Rozdział 5 Waśnie](#)

[Rozdział 6 Niedokończona sprawa](#)

[Rozdział 7 Praca zespołowa](#)

[Rozdział 8 Człowiek potrzebujący pomocy](#)

[Rozdział 9 Stara droga](#)

[Rozdział 10 Włoskie kwiaty](#)

[Rozdział 11 Łupy zwycięzców](#)

[Rozdział 12 Zasadnicze kłamstwo?](#)

[Epilog Góra, która zasługuje na swoje miano?](#)

[Podziękowania](#)

[Bibliografia](#)

[Publikacje prasowe](#)

[Pamiętniki](#)

[Przypisy końcowe](#)

[Wstęp](#)

[Rozdział 1.](#)

[Rozdział 2.](#)

[Rozdział 3.](#)

[Rozdział 4.](#)

[Rozdział 5.](#)

[Rozdział 6.](#)

[Rozdział 7.](#)

[Rozdział 8.](#)

[Rozdział 9.](#)

[Rozdział 10.](#)

[Rozdział 11.](#)

[Rozdział 12.](#)

[Epilog](#)